

JUAN GÓMEZ-JURADO

LEGENDA O ZŁODZIEJU

Po całej Sewilli krążyła z ust do ust legenda o złodzieju, który obrabował Casa de la Moneda, po czym zniknął bez śladu...

*Salva montes
San miguel y salve concha
San miguel
San miguel y salve de
San miguel y salve de
San miguel y salve de
San miguel y salve de
San miguel y salve de*

*San miguel y salve de
San miguel y salve de
San miguel y salve de
San miguel y salve de
San miguel y salve de
San miguel y salve de
San miguel y salve de
San miguel y salve de*



CERVANTES



JUAN GÓMEZ-JURADO

LEGENDA O ZŁODZIEJU

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Ewa Urbańczyk-Piskorska



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

*Pamięci Joségo Antonia Gómeza-Jurada, który nauczył mnie,
jak docenić dobrą historię.*

PROLOG

W POŁOWIE DROGI

MIĘDZY ÉCIJĄ A SEWILLĄ

WRZESIEŃ 1587 ROKU

Powietrze okryło ziemię gorącym pledem. Na Trakcie Królewskim rozbrzmiewał stukot końskich kopyt.

Na czele grupy jechał chudy mężczyzna o ostrych rysach twarzy, a za nim podążały dwa wozy ciągnięte przez kare szkapy. Na wozach siedzieli dwaj chłopcy do opieki nad zwierzętami i trzech najemnicy do noszenia worków ze zbożem. Pochód zamykał sznur mułów, ze stoickim spokojem łykających kurz podnoszony przez koła i końskie podkowy.

Mężczyzna jadący na czele ścisnął mocniej wodze. Musiał się bardzo starać, by nie wbić ostróg w boki konia i nie pogalopować w kierunku Écichy. To był pierwszy dzień jego pracy na stanowisku królewskiego komisarza do spraw zaopatrzenia, odpowiedzialnego za zgromadzenie pszenicy na potrzeby Wielkiej Armady, którą król hiszpański Filip II przygotowywał do inwazji

na Anglię. Zadanie to napełniało starego żołnierza, a początkującego komisarza, dumą i poczuciem odpowiedzialności. Czuł, że ma szansę przyczynić się do chwały, która w najbliższych miesiącach spłynie na Hiszpanię. Sam nie był już w stanie utrzymać muszkietu, ponieważ w bitwie stoczonej szesnaście lat temu utracił władzę w jednej ręce, jednak mógł chociaż zadbać o wyżywienie tych, którzy chwycą za broń.

Nie, żeby to miało być łatwe zadanie. Chłopi i właściciele ziemscy nie będą zachwyceni rekwizycją zboża. Komisarz dzierżył wprawdzie laskę sędziowską i miał zezwolenie na wyłamywanie zamków i opróżnianie spichlerzy – w zamian był zobowiązany jedynie zostawić weksel królewski. Nie należało się jednak spodziewać, że kawałek papieru wręczony jako zapłata za ciężką pracę zostanie przyjęty bez protestów, szczególnie że opieszałość Korony w spłacie długów, które tak beztrąsko zaciągała, była dobrze znana.

Komisarz otrząsnął się z zamyślenia, kiedy na końcu krętej kamienistej drogi zobaczył chatę, rzut kamieniem od miejsca, w którym się znajdował.

– To oberża w Griján, panie – dobiegł go pełen nadziei głos z jednego z wozów. Podróż z Sewilli do Écichy była ciężka i jego ludzie mieli nadzieję na dzban wina, aby móc oczyścić gardło z pyłu, którego nałykali się na szlaku.

Komisarz zamierzał kontynuować podróż. Czuł, że mógłby na własnych plecach przenieść milion worków pszenicy. Za tydzień miał skończyć czterdziestkę, jednak wciąż był znacznie silniejszy, niżby wskazywała na to jego szczupła postura i bystre smutne oczy.

– Zatrzymamy się na krótki odpoczynek – odpowiedział, nie odwracając się. Ostatecznie trzeba było napoić zwierzęta. W palącym słońcu ludzie i muły mogli wytrzymać jeszcze wiele mil, ale konie to inna sprawa.

Instynkt podpowiedział mu natychmiast, że coś jest nie tak.

Żaden pies nie wybiegł na drogę, aby powitać ich radosnym szczekaniem. Nikt nie wyrztał przez drzwi oberży na odgłos zbliżających się ludzi, wozów i zwierząt. Panowała lepka, niepokojąca cisza.

Gospoda była mała i licha. Kwadratowy, prosty, niegdyś pobielony budynek, z drewnianą szopą pełniącą rolę stajni. Dalej rozciągał się gaj oliwny, ale wzrok komisarza nie sięgnął aż tak daleko. Jego spojrzenie było utkwione w drzwiach.

– Stać! Wracać do wozów!

Mężczyźni, którzy już biegli w stronę studni, znajdującej się nie dalej niż kilka kroków od oberży, stanęli jak wryci. Podążywszy wzrokiem za spojrzeniem komisarza, wszyscy jednocześnie uczynili znak krzyża, jak gdyby wiedzeni niewidoczną dłonią.

Z szopy wystawało chude i nagie trupie ramię. Szczerniała, owrzodzona twarz zmarłego nie pozostawiała cienia wątpliwości co do przyczyny śmierci: był to nieomylny znak bezwzględnej zabójczyni, bohaterki koszmarów każdego męża, niewiasty i dziecka żyjących w tych czasach.

– Zaraza! Święta Panienko! – krzyknął jeden z najemników.

Komisarz władczym tonem powtórzył swoje polecenie i gromadka pospieszyła je wypełnić, tak jakby mogli się zarazić przez sam kontakt z zakurzoną ziemią. Pięć dni straszliwego cierpienia i, ostatecznie, nieunikniona śmierć. Bardzo niewiele

przeżywało dżumę. Komisarz już miał dać rozkaz do odejścia, kiedy jakiś wewnętrzny głos go zatrzymał.

„A jeżeli ktoś tam w środku potrzebuje pomocy?”

Próbując pokonać strach, zsiadł z konia. Obszedł zwierzę dookoła, wyjął z sakwy chustkę i zakrył nią sobie twarz, zawiązując węzeł na karku. Spędził dużo czasu w Algierze, w niewoli u Maurów, i widział tam, że ich medycy często stosowali ten środek ostrożności, doglądając зараżonych dżumą. Wolno skierował się w stronę domu, trzymając się jak najdalej od trupa w stajni.

– Panie, nie wchodźcie tam!

Komisarz zatrzymał się w drzwiach. Przez chwilę poczuł pokusę, aby zawrócić, dosiąść konia i uciec. W tym momencie było to najrozsądniejsze, co mógł zrobić. Jednak kiedyś z pewnością nadszedłby dzień, kiedy ci ludzie przypomnieliby sobie, jak ich dowódca się uląkł. A w nadchodzących miesiącach będzie wiele wymagał od towarzyszących mu mężczyzn i nie byłoby dobrze, gdyby już na początku stracili do niego szacunek.

Zrobił krok naprzód.

Jeden z najemników zaczął cicho odmawiać „Ojcze nasz”, a pozostali natychmiast przyłączyli się do niego. Nawet zwierzęta kręciły się niespokojnie, wyczuwając przerażenie swoich panów.

Wchodząc do środka, komisarz zmrużył oczy, czekając aż źrenice przyzwyczają się do ciemności. Od progu zobaczył duże pomieszczenie, które musiało pełnić rolę izby gościnnej, jadalni i sypialni, jak w niemal wszystkich prostych gospodach. Za całe wyposażenie służyły stół, ława i sienniki leżące w głębi. Nie było

piętra, tylko jedne boczne drzwi, które najpewniej prowadziły do kuchni.

Pomimo chusty poczuł panujący w chacie smród. Ale nie był to odór trupa. Tę woń komisarz znał aż nazbyt dobrze, ale tutaj jej nie wyczuwał.

Zbierając się na odwagę, zrobił kilka kroków naprzód. Pomiedzy stopami przemknęło mu stadko szczurów, których wcześniej nie zauważył. Ucieszył się, że na nogach ma grube buty do jazdy konnej. Obok sienników, które dostrzegł od drzwi, stał duży dzban z oliwą, bez wątpienia owoc niewielkiego gaiku oliwnego rozciągającego się za domem. Jedno z dwóch posłań było zajęte.

Nawet w mroku panującym wewnątrz widział, że leżącej tam kobiecie nie można już pomóc. Pożółkłe oczy utkwione w suficie zasnuwała delikatna mgła. Musiała umrzeć zaledwie kilka godzin temu.

Na podłodze, przytulony do prawej dłoni trupa, siedział szczupły, ciemnowłosy chłopiec. Podobieństwo między nimi rzucało się w oczy, więc komisarz uznał, że to jej syn. Sądząc po sposobie, w jaki tulił się do matki, chłopiec nie zorientował się jeszcze, że ona już nie żyje.

„Został, aby się nią opiekować” – pomyślał komisarz, spoglądając na miskę z wodą i nocnik, stojące na podłodze nieopodal chłopca. Piekło, które przeszedł, czynności, które najpewniej był zmuszony wykonywać w ostatnich godzinach życia swej matki, każdego skłoniłyby do ucieczki. Myśląc o odwadze tego chłopca, poczuł przypływ dumy.

– Chłopcze, słyszysz mnie?

Chłopak nie odpowiedział. Oddychał z trudem, ale regularnie, a oczy miał zamknięte. Tak jak zmarła, on również zaraził się dżumą, jednak wrzody nie zaatakowały jego twarzy. Miał tylko kilka po prawej stronie szyi, były niezamknięte i czarne. Otworzyły się i wydzielały żółtawą, cuchnącą ropę. Komisarz wiedział dobrze, co to oznacza.

„Będzie żył”.

Tylko tym nielicznym, którzy zdołali pokonać chorobę, czwartego dnia zaczynały ropieć wrzody. Ten pewnie najwyżej trzynastoletni chłopiec pokonał chorobę, która mogła w ciągu zaledwie kilku dni zabić silnego mężczyznę. Jednak ten wyczyn zdałby się na nic, gdyby komisarz zostawił go tam, osłabionego, na pastwę losu. Stłumił burknięcie niezadowolenia, bo choć to zdarzenie psuło mu plany, ani przez chwilę nie pomyślał, że mógłby nie pomóc chłopcu. Było jasne, że los przywiódł go do tej zapomnianej przez Boga oberży z jakiegoś powodu.

Omijając sienniki, komisarz podszedł do dzbana z oliwą. Wyjął sztylet zza pasa i wbił go kilka razy w dolną część naczynia, robiąc sporą dziurę w glinie. Płyn zaczął się wylewać z głośnym bulgotem na drewnianą podłogę. Omijając powiększającą się kałużę, komisarz wrócił do chłopca. Przykucnął i przerzucił go sobie przez prawe ramię. Ważył mniej, niż można by się spodziewać po chłopcu w jego wieku, jednak komisarz i tak usłyszał trzeszczenie w plecach, gdy wstawał. Przypomniał sobie z ironią, że zaledwie kilka minut temu czuł się na siłach samodzielnie przenieść całe królewskie zboże.

„Gdybym tylko władał tą przeklętą lewą ręką”.

Ruszył z powrotem w stronę światła, a za nim podążała strużka oliwy – dopłynąwszy do progu, w kontakcie z piachem na zewnątrz zamieniła się w błoto. Ludzie komisarza wstrzymali oddech, widząc go wychodzącego z dzieckiem przerzuconym przez ramię, jednak komisarz odsunął się od nich. Powinni pozostać nieświadomi choroby chłopca, aby miał on szansę przeżyć. Ostatnim wysiłkiem położył małego w cieniu studni. Wyjął swój bukłak i wlał strumień wody w spieczone usta chłopca.

– Panie, chłopiec nie jest zarażony?

– Nie, ale jego rodzina zmarła, a on jest wycieńczony. Muszę go zawieźć do Sewilli.

– A co z królewskim zbożem?

Komisarz w zamyśleniu przejechał dłonią po brodzie. Tymi ludźmi kierowała bardziej chęć zarobku niż zapał patriotyczny, ale i tak mieli rację. Dostawa zboża nie może się opóźnić nawet o jeden dzień, aby flota mogła na czas wyruszyć na podbój Anglii. Od tego zależał los tysięcy dusz.

Wskazał palcem dwóch najemników.

– Ty i ty, rozniećcie ogień i podpalcie szopę. Pozostali napójdzie konie wodą ze studni, ale sami jej nie pijcie. Potem wszyscy ruszajcie dalej w stronę Écichy. Zatrzymajcie się na noc w pierwszej napotkanej gospodzie, a jutro w południe spotkamy się przed ratuszem.

Bez mułów i wozów jeździec mógł przebyć tę drogę w pół dnia. To oznacza, że będzie miał aż nadto czasu, a na dodatek przyjemność z porządnej przejażdżki. Bez jego nadzoru grupa skończy najpewniej w jakimś burdelu, ale na szczęście jeszcze im nie zapłacił, więc bez większego trudu zagoni ich jutro do pracy.

„A kto wie... może ratuję właśnie przyszłego żołnierza Jego Królewskiej Mości”.

Kiedy wozy zniknęły za pierwszym zakrętem, komisarz podszedł do szopy, wziął kilka płonących kawałków drewna za końce, które jeszcze nie zajęły się ogniem, i rzucił je do wnętrza oberży. Musiał powtórzyć to kilka razy, zanim pożar się rozprzestrzenił, najpierw zajmując stół, a potem przesiąknięte deski podłogi. Płomienie potrzebowały trochę czasu, zanim złapały gęstą oliwę, ale kiedy już to się stało, wzniosły się gwałtownie aż po dach. Wystarczy kilka godzin, a z tego miejsca zostanie tylko garść poczerniałych i dymiących ruin i zaraza nie rozprzestrzeni się na okolicę.

Umieszczenie chłopca na końskim grzbiecie kosztowało komisarza sporo wysiłku. Chory aż do tej chwili nic nie powiedział, był półprzytomny, ale teraz jęknął i otworzył oczy.

„To dobry znak, chłopcze. Cieszę się, że wciąż jesteś gotów do walki”.

Do Sewilli nie było daleko, jednak komisarz prowadził konia stępem, obawiając się, że zbyt energiczny ruch zaszkodzi chłopcu. Zaniepokoił się, kiedy zdał sobie sprawę, że może nie zdążyć do miasta przed zamknięciem bram; w takim wypadku musiałby spędzić noc z chorym pod gołym niebem lub w jakiejś karczmie, co byłoby zbyt niebezpieczne, ponieważ ktoś mógłby odkryć, że chłopiec wciąż jeszcze choruje.

Pewien muzułmański lekarz powiedział kiedyś komisarzowi, że osoby, które przeżyły zarazę, nie przenoszą choroby, jednak byłoby bardzo trudno wyjaśnić tę subtelność strażom lub grupie przestraszonych prostaczków. Jak tylko zobaczyliby wrzody,

niechybnie bez namysłu wrzuciliby chłopca do dołu i podpaliliby go. Widywał już takie sceny w przeszłości.

Komisarz nie spodziewał się, że wjazd do miasta będzie łatwy, ale westchnął z ulgą, kiedy znalazł się o rzut kamieniem od Puerta de la Macarena, bramy miejskiej. Słońce kryło się już powoli za wieżą katedry, a od jej pięknej dzwonnicy bił pomarańczowy blask. U podnóża murów otaczających Sewillę, przed bramami do miasta, tworzyły się kolejki. To robotnicy rolni, kupcy, handlarze, nosiwody i rzeźnicy kończyli dzień pracy i spieszyli, by znaleźć się wewnątrz miasta chronionego murami, za którąś z dwudziestu trzech bram, zanim zostaną one zamknięte.

Pośród obelg i skarg pół setki czekających w kolejce, komisarz popędził konia i osadził go dopiero pod samą bramą. Okazał strażnikom dokument poświadczający jego urząd, jednak oni nadal spoglądali na niego podejrzliwie. Wytrzymał ich spojrzenia, nie odwracając wzroku, ufając, że dzięki temu nie będą się przyglądać chłopcu.

- Co to za chłopak?
- To mój sługa.
- Wygląda na chorego.
- Nie posłużyła mu strawa.

Jeden ze strażników zbliżył się do chłopca leżącego twarzą do dołu na grzbiecie konia. Komisarz obawiał się, że strażnik podniesie zawiązaną na szyi chorego i maskującą wrzody chustę. Jednak mężczyzna odsunął się, nie dotykając chłopca.

- Wy, panie, macie wolną drogę, ale wasz sługa nie.

Komisarz już zamierzał zaprotestować, ale strażnik nie dał mu dojść do słowa.

– Musi zapłacić, jak wszyscy. Dwa maravedí.

Gderając jak każdy szlachcic, aby ukryć ulgę, komisarz sięgnął do sakiewki i rzucił strażnikowi miedzianą monetę.

W wąskich uliczkach Sewilli panował już zmierzch, kiedy chory wraz ze swym wybawcą zatrzymali się przed siedzibą Bractwa Świętego Dzieciątka w dzielnicy La Feria. Ten sierociniec był najmniej straszny spośród dwunastu działających w mieście, a przynajmniej tak komisarz słyszał od pewnego komornika sądowego, który zostawił tam dziecko swojej kochanki. Drań chwalił się tym, jak gdyby wybór miejsca, gdzie pozbył się niechcianego potomstwa, stanowił powód do dumy.

Komisarz zsiadł z konia i trzy razy zastukał kołatką. Stary mnich o zmęczonym wyglądzie otworzył furtę ze świecznikiem w ręce i uważnie przyjrzał się stojącemu przed nim nieznajomemu.

– Co was sprowadza?

Komisarz pochylił się i szepnął kilka słów do ucha brata, wskazując na swojego wierzchowca. Zakonnik podszedł do konia. Chłopiec zamrugał, czując, jak kościste dłonie zdejmują z jego szyi chustę, teraz poplamioną ropą wypływającą z wrzodów. Starzec przysunął świecznik, aby ocenić stan choroby.

– Wiecie, kiedy zapadł na dzumę?

– Jego matka zmarła kilka godzin przed tym, jak ich znalazłem, to wszystko, co wiem – odparł komisarz. Obawiał się, że mnich odmówi przyjęcia chłopca ze względu na chorobę, jednak ten, przyjrzawszy się z bliska szyi dziecka, gestem wyraził zgodę.

Następnie uniósł głowę chłopca, chwytając go delikatnie za podbródek. Blask świecy ukazał ostre rysy brudnej twarzy.

– Jest już duży – wymamrotał zakonnik.

– Ma pewnie jakieś trzynaście lat. W jakim wieku wasi wychowankowie opuszczają sierociniec, ojcze?

– Kiedy mają czternaście lat.

– To dałoby chłopcu kilka miesięcy, aby odzyskać siły i może poszukać jakiegoś zajęcia.

Mnich prychnął z dezaprobatą.

– Ze wszystkich niebożąt, które zostawiają w tym świętym domu, tylko dwoje na dziesięcioro dożywa swoich czternastych urodzin, kiedy to mogą opuścić nasze mury. Potrafią wtedy czytać i pisać, a nawet, jeśli tylko nie pogubią się wcześniej, szukamy im chlebobdawcy. Nasza praca jest dziełem lat, nie miesięcy.

– Ojcze, proszę tylko o szansę dla tego chłopca.

– Pokryjecie koszty jego utrzymania przez ten czas?

Komisarz się skrzywił. Oczekiwać przysługi od mnicha bez zapłaty, to jak szukać gruszek na wierzbie, jednak i tak go zabolalo, że musiał sięgnąć do sakiewki. Nie były to nawet jego własne pieniądze, tylko środki powierzone mu na potrzeby misji zleconej przez króla. Kiedy już odbierze swoją zapłatę, będzie musiał te pieniądze zwrócić. Położył cztery złote escudo na wyciągniętej dłoni starca, jednak, jako że tamten nie odsuwał jej, z westchnieniem rezygnacji dodał jeszcze dwa. Ten rycerski gest zaczynał go sporo kosztować.

– Sześć escudo. Powinno wystarczyć.

Zakonnik wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć, że żadna kwota wręczana słudze Bożemu nie jest zbyt wysoka.

Wrócił do sierocińca i przywołał dwóch młodszych braci. Podeszli, aby zająć się chłopcem.

Komisarz dosiadł konia, jednak gdy już miał ruszyć, zakonnik chwycił zwierzę za uzdę.

– Zaczekajcie, panie. Powiedzcie, kim jest jego wybawca, aby chłopiec mógł modlić się za niego?

Mężczyzna milczał przez chwilę, ze wzrokiem wbitym w mrok ulic Sewilli. Już miał odmówić odpowiedzi, ale napotkał w swym życiu zbyt wiele złych chwil, zbyt wiele prób i cierpienia, aby zrezygnować z oferty modlitwy za swoją duszę w zamian za sześć escudo. Zwrócił smutne oczy w stronę mnicha.

– Powiedzcie mu, aby modlił się za Miguela de Cervantesa Saavedrę, królewskiego komisarza do spraw zaopatrzenia.

**OD PAŹDZIERNIKA 1588 R.
DO MARCA 1589 R.**

I

Zabrzmiały dzwony, zrazu mocno i uroczyście, by potem przejść w szybkie, ostre i wesołe tony. Tego dźwięku nie sposób było z niczym pomylić.

Sewilczycy od małego uczyli się rozpoznawać brzmienie dzwonów katedry. Informowały o ślubach i pogrzebach, wybijały nastanie południa i zmierzchu, ostrzegały przed plagami i niebezpieczeństwami. Śpiew tych aniołów z brązu, dobiegający z wysokiej dzwonnicy, regulował życie mieszkańców miasta niczym głos Boga.

Ich przekaz dotarł do wszystkich zakątków miasta, bez wyjątku: wróciła flota z Indii Zachodnich. Olbrzymie galeony z ładowniami pełnymi srebra i złota już płynęły w górę rzeki Betis – albo Gwadalkiwir, jak ją nazwali Maurowie – w stronę portu Arenal.

Bankierzy i kupcy zacierali ręce na myśl o towarach, które wkrótce zapełnią ich magazyny. Cieśle i uszczelniacze podskakiwali z radości, bo statki po niebezpiecznej przeprawie przez Atlantyk będą wymagały wielu napraw. Karczmarze, prostytutki i szulerzy biegli w stronę portu z beczkami taniego

wina, wymalowanymi twarzami i znaczoneymi kartami. Oni byli pierwsi, ale nie jedyni. Cała Sewilla kierowała się w stronę Arenalu.

Sancho nie był wyjątkiem.

Chłopak nigdy wcześniej nie słyszał tego tonu dzwonów, ale natychmiast zrozumiał, co on oznacza, ponieważ już od tygodni w mieście nie mówiło się o niczym innym, jak tylko o nadchodzącym powrocie galeonów. W tej chwili nawet nie przemknęło mu przez myśl, że w ciągu kilku godzin jego życie znajdzie się w niebezpieczeństwie za sprawą ładunku przewożonego na ich pokładach.

Wokół niego plac św. Franciszka rozbrzmiewał okrzykami: „Niech żyje król!” i „Chwała Bogu!”. Sprzedawcy w pośpiechu składali swoje kramy, wiedząc, że ich klientela spędzi ten poranek w innym miejscu. Właściciele przeklinali czeladników, popędzając ich, by pakowali wszystko jak najszybciej. Sancho zbliżył się do konwisarza chowającego misy w kufrze.

– Życzycie sobie pomocy, panie? Mogę zanieść wasze rzeczy do Arenalu i tam pomóc wam rozłożyć stragan na nowo – powiedział, starając się, aby w jego głosie zabrzmiała powaga i szacunek.

Konwisarz, nie przerywając pracy przy swoim dobytku, rzucił okiem na stojącego obok niego wysokiego chłopca o czarnych włosach i zielonych oczach, po czym zrobił wulgarny gest w jego kierunku.

– Zjeżdżaj, smarkaczu! Nie potrzebuję pomocy, a i wątpię, żebyś dał radę przenieść choć swój własny cień.

Sancho odsunął się upokorzony. Już dawno strawił kaszę ze skromnego śniadania. Dziś rano nie miał szczęścia do klientów,

więc cały dzień będzie chodził głodny. Mnisi nie mogli wyżywić ponad setki podrzutków stłoczonych w sierocińcu Bractwa Świętego Dzieciątka, więc ci starsi musieli zapracować na obiad.

Prawie wszyscy podejmowali pracę tragarza. Chodzili z ciężkimi wiklinowymi koszami po placach i targach, oferując swoje usługi. Panie i niewolnice, które udawały się na targ, dawały im jedno maravedí za przeniesienie zakupów ze straganów do kuchni w swych domach. Jeśli los im sprzyjał i wśród zakupów znajdowały się owoce lub jajka, mogli coś przemycić do ust, gdy ich klientka zatrzymała się, aby zamienić kilka słów z jakąś sąsiadką.

Dzisiejszego poranka Sancho nie miał jednak tyle szczęścia i kiszki grały mu marsza. Nie wyglądało też na to, aby mógł je czymkolwiek zapełnić aż do zakończenia lekcji. Każdego dnia sieroty pracujące na zewnątrz musiały stawić się w salach Bractwa punktualnie o czwartej. Trzy godziny lekcji, do siódmej, kiedy to odmawiali różaniec, po czym jedli wodnistą zupę, którą niemal codziennie podawano im na kolację. Potem do łóżka, żeby zerwać się wraz ze świtem i móc zająć dobre miejsce na którymś z placów.

Bo miejsce miało znaczenie. Skromny placyk Medina to nie to samo, co plac św. Franciszka, gdzie kupowali ludzie zamożni i mniej skłonni do samodzielnego noszenia nabytych wiktuałów, byle tylko zaoszczędzić. Żeby znaleźć sobie dobre miejsce, trzeba było wcześniej przyjść na plac. Inni chłopcy wymieniali się na najlepszych narożnikach, ale Sancha, który ostatni pojawił się w sierocińcu, wszyscy zawsze traktowali podejrzliwie.

Ostrożnie złożył kosz, uważając, by nie urwać uchwytów. Kosz należał do sierocińca i Sancho był za niego odpowiedzialny. Wyplecenie go zajmowało rzemieślnikowi tydzień, więc sporo kosztował. Przywiązał go sobie sznurkami do pleców.

Kiedy zaczynał tę pracę, miesiące temu, ledwie mógł unieść pusty kosz. Przez ten czas ramiona mu się rozrosły od ciężkiej pracy i teraz niemal nie czuł ciężaru wielkiego wiklinowego pojemnika. Pomimo głodu uśmiechnął się. Przyplnięcie statków było wielkim wydarzeniem, nigdy wcześniej w czymś takim nie uczestniczył, więc dalsza część dnia zapowiadała się ekscytująco. Jeszcze wiele godzin dzieliło go od chwili, gdy będzie musiał wrócić do sierocińca.

Ulice prowadzące do katedry były całkowicie zapchane ludźmi zmierzającymi do portu. Zamiast przyłączyć się do tej procesji, Sancho przeciął labirynt uliczek na zachód od placu św. Franciszka. Niewiele osób nimi wędrowało, ponieważ wszyscy zamierzali wyjść poza mury miasta bramami Triany, Arenalu i Carbónu. Tam, gdzie podążał Sancho, nie było żadnego wyjścia z miasta, ale chłopak miał inne plany niż tłum. Przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

– Patrz, jak chodzisz, do diabła! – krzyknęła na niego stara kobieta siedząca na kamieniu i odwszawiająca pled. Sancho niemal wpadł na nią, a wymijając ją, przewrócił jej kosz, z którego wysypały się na ziemię jabłka. Kobieta zaczęła wrzeszczeć i przeklinać go, próbując się podnieść.

– Przepraszam! – zawołał Sancho, odwracając głowę z przestraszeniem. Miał biec dalej, ale wygląd kruchej kobiety wzbudził jego współczucie. W pośpiechu wrzucił jej jabłka

z powrotem do koszyka. Pełne dezaprobaty spojrzenie starej złagodniało nieco, kiedy Sancho zatrzymał się, aby jej pomóc.

– Uważaj bardziej, młokosie.

Chłopak uśmiechnął się i pomknął dalej między budynkami, aż niemal się zderzył z murami miejskimi, które w tym miejscu prawie stykały się z linią domów, dzięki czemu Sancho mógł wspiąć się na samą górę. Wsparł jedną dłoń na ścianie budynku, a drugą na murach, jakby je rozpychając. Następnie podobnie ułożył bosc stopy, nieco poniżej dłoni, i zaczął się wdrapywać na mur.

Po kilku minutach trzymał się już krenelaza na szczycie. Wcisnął się w otwór pomiędzy dwoma blankami i stanął na murach, dysząc z wysiłku.

Widok był wspaniały.

Przed nim rozciągała się dzielnica Arenal, najsłynniejsze handlowe miejsce chrześcijańskiego świata.

Ogromna esplanada, biegnąca pomiędzy zachodnimi murami Sewilli a potężną rzeką Betis, wprawiała w zachwytc wszystkich, którzy odwiedzali miasto. Chłopak również uległ jej urokowi, gdy po raz pierwszy postawił w niej stopę zeszcłej zimy. Każdego dnia, od świtu do zmierzchu, tysiące ludzi roilo się na tej otwartej przestrzeni. Dosłownie wszystkie towary z całego świata docierały do tego miejsca. Handlowano tu futrami i ziarnem, przyprawami i żelazem, bronią i amunicją. Pośród chaosu czytelny tylko dla tych, którzy spędzili tutaj lata, ciastkarze i garbarze mieszcali się ze złotnikami i szewcami pod setkami niebieskich, białych i brązowawych markiz. Stukot młotków i bulgotanie w garnkach zlewało się z pośpiesznymi negocjacjami prowadzonymi po

katalońsku, flamandzku, arabsku i angielsku, by wymienić tylko kilka spośród języków, które można było usłyszeć. Jeśli czegoś człowiek uczył się szybko w Arenalu, to oszukiwać we wszystkich możliwych językach.

To właśnie dzielnica Arenal zmieniła Sewillę w stolicę świata. Jej port rzeczny, dzięki usytuowaniu w głębi lądu zabezpieczony przed atakami piratów, na wyraźne życzenie króla Filipa II stał się obowiązkowym punktem na trasie statków przewożących towary do Indii Zachodnich i z powrotem. Co najmniej dwieście statków cumowało zawsze w jego dokach, a w najbliższych tygodniach ich liczba sięgnie pewnie nawet trzystu. Kiedy wszystkie statki tworzące flotę dotrą do miejsca przeznaczenia, utworzy się gigantyczny las masztów i żagli, który dosłownie zakryje widok na Trianę po drugiej stronie rzeki.

Sancho krzyknął z radości, kiedy zobaczył w południowym zakolu rzeki „Izabelę”, flagowy okręt floty, któremu przysługiwał zaszczyt przybicia do portu jako pierwszemu. W tej chwili bateria armat znajdująca się na Złotej Wieży dała salwę, a po niej kolejną i następną, aż okręt, wśród wiwatów zgromadzonych, dotarł do nabrzeża. Zapach prochu wypełnił powietrze na murach, gdzie przycupnął Sancho. Chłopak się ucieszył, że drażniące swędzenie w nosie zabije smród unoszący się nad masą ludzką stłoczoną na esplanadzie. Szlachta i plebs rozpychali się łokciami, walcząc o miejsce, z którego da się obserwować rozładunek.

Mimo że spędził w tym mieście już ponad rok, Sancho nie zdołał się przyzwycząić do smrodu na ulicach. Dzieciństwo upłynęło mu w odludnym zajeździe, gdzie jego jedyne towarzystwo stanowiła matka i podróżni zatrzymujący się w drodze z Écichy lub Sewilli.

Głównie poganiacze mułów i domokrażcy, ale czasem i bardziej wytworni goście. Wszystkich ich łączyło jedno: śmierdzieli. Odór plebsu w zasadzie łatwiej znosił, ponieważ nie był on zamaskowany olejkami i perfumami jak w przypadku szlachty. W oberży wystarczyło wyjść na podwórze, aby odetchnąć świeżym powietrzem. W mieście liczącym ponad sto tysięcy dusz, gdzie najlepszą formą pozbywania się odpadów było wyrzucanie ich przez okno, nie dało się uciec przed smrodem.

Sancho spędził resztę poranka, siedząc na blankach murów miejskich. Każda nowa wyładowana paczka, każdy kufer pakowany na wóz wywoływały falę biegnącą przez tłum, kiedy ludzie przekazywali sobie informację o ich zawartości. Przyprawy, drewno z drzewa kampszewego, koral, sztabki srebra. Chłopiec wyobrażał sobie długą podróż, którą przebyła każda z tych beczek i marzył, by pewnego dnia wyruszyć w rejs w drugą stronę jako uczestnik niezwykłej eskapady. Te rozmyślania tak go pochłonęły, że dopiero kiedy usłyszał, że dzwony wybiły wpół do czwartej, dotarło do niego, że wpakował się w poważne tarapaty.

„Brat Lorenzo nieźle mi złoł skórę, jeśli nie dotrę do klasy na czas” – pomyślał, pośpiesznie schodząc szczeliną pomiędzy murami miejskimi a budynkami.

Gdy tylko stopami dotknął ziemi, pobiegł z powrotem w stronę dzielnicy La Feria. Ale nie przebiegł nawet pół tuzina ulic, gdy zderzył się z murem ludzkich ciał. Gapie tłoczyli się na trasie przejazdu wozów chronionych przez uzbrojonych strażników. Sancho poczuł dreszcz podniecenia, domyślając się, że te wozy przewożą złoto z Indii Zachodnich, najprawdopodobniej do Mennicy Królewskiej.

Przecisnął się między nogami widzów, aż znalazł się w pierwszym rzędzie. Nie mógł czekać, aż cały pochód przejedzie, więc oszacował przestrzeń pomiędzy dwiema karetami, po czym rzucił się naprzód przez ulicę. Strażnicy krzyknęli na niego, ale było już za późno.

Jeden z koni, przestraszony nagłym pojawieniem się chłopca, stanął dęba, aż cały wóz się zachwiało. Sancho, również przestraszony, spróbował się cofnąć i klapnął na zadek. Jedna ze skrzyń spadła z wozu – niechybnie zmiażdżyłaby Sancha, gdyby w ostatniej chwili nie przeturlał się na bok. Wieko skrzyni przełamało się podczas upadku i część jej zawartości wysypała się na bruk. Tłum wydał z siebie okrzyk, kiedy to zobaczył. Trakt pokrył się płaszczem błyszczących, złotych monet.

Na chwilę czas się zatrzymał. Sancho był boleśnie świadomy wszystkiego, co działo się wokół niego. Drewniana skrzynia z wypalonymi literami VARGAS pomiędzy dwoma herbami, jednym królewskim i drugim, którego nie rozpoznał. Brzęk toczących się monet. Chciwe oblicza ludzi gotowych rzucić się na pieniądze.

„Stratują mnie” – pomyślał Sancho, zamykając oczy.

– Nie ruszać się! – krzyknął jeden ze strażników, wyjmując rapier. Ostry dźwięk ostrza wysuwającego się z pochwy sprawił, że czar prysł.

Woźnica zeskoczył z kozła i zaczął zbierać monety. Obok niego na szeroko rozstawionych nogach stał strażnik, trzymając w dłoni obnażony rapier.

Z twarzy o głęboko osadzonych oczach i okolonej brodą przyciętą w szpic biło wyzwanie skierowane do tłumu.

– Gotowe! – powiedział woźnica, zebrawszy monety. Z ogromnym wysiłkiem, z pomocą trzech mężczyzn, umieścił ciężką skrzynię z powrotem na wozie. – Możemy jechać.

– Jeszcze nie – odpowiedział szpicbródka. – Widziałem, że jedna moneta spadła tam – dodał, wskazując palcem na kanał ściekowy na środku ulicy.

Woźnica popatrzył na rynsztok. Służył on do odprowadzania ścieków i wody i stanowił częsty widok na ulicach Sewilli. Głęboki i szeroki na jedną dłoń, był przepełniony cuchnącą mieszaniną kału, moczu i odpadów.

– Ja tam ręki nie włożę – powiedział woźnica.

– Sami włożcie, żołnierzyku! – krzyknął ktoś z tłumu.

Szpicbródka odwrócił się błyskawicznie. Jego wściekły wzrok przesunął się po twarzach gapiów, aż natrafił na jednego, który przerażony mocno zaciskał usta. Strażnik odsunął tych, którzy stali przed nim, i wymierzył nieszczęśnikowi cios w brzuch. Mężczyzna upadł, usiłując złapać powietrze, a jego oprawca zaczął raz za razem kopać go w zębra swoimi ciężkimi skórzanymi butami. Otaczający ich tłum rozstąpił się przerażony zimnym okrucieństwem, z jakim strażnik bił leżącego.

– Ty – powiedział strażnik, wracając do Sancha – włoż tam rękę i wyjmij monetę.

Chłopiec spojrzał uważnie na strażnika. Ten musiał coś dojrzeć w oczach chłopaka, bo jego rapier skierowany w niebo przesunął się i musnął pierś Sancha. Sierota bardzo wolno opuścił głowę, patrząc w cuchnący kanał.

– No dalej, nie ma nad czym tak rozmyślać. W końcu sam wyglądasz, jakbyś wyszedł z rynsztoka – powiedział strażnik,

przyjrząwszy się łachmanom Sancha i jego bosym stopom. –
Poczujesz się jak w domu.

Znacznie później Sancho miał uznać tę chwilę za jeden z decydujących momentów swojego życia. Wiele razy zadawał sobie pytanie, czy do tego szalonego czynu, który popełnił, popchnął go nerwowy rechot, z jakim tłum przyjął komentarz strażnika, czy może głód albo poczucie upokorzenia, czy też mieszanka wszystkich tych czynników. A może ostatecznie spojrzenie, które napotkał, zanim opuścił głowę. Spojrzenie małego chłopca, nie więcej niż pięcio- czy sześcioletniego, który patrzył na niego zafascynowany, z otwartą buzią, nie puszczał ramienia matki i drapiąc się w łydkę pokrytą bąblami. W jakiś dziwny sposób ten malec złożył swoją własną przyszłość w ręce nieznanego chłopaka, któremu kazano szukać monety w gównie.

Ale w tej chwili umysł Sancha przepełniało obrzydzenie. Marszcząc brwi, włożył rękę do kanału. Strażnik zadowolony odsunął rapier od jego piersi i włożył go do pochwy.

– Macaj dobrze, bo będziesz musiał szukać gębą. – Miał mocny obcy akcent i niewyraźnie wymawiał „r”. Jego głos brzmiał jak krosna, w których zabrakło nici.

Przez chwilę Sancho bał się, że nie znajdzie monety, ale w końcu jego palce natrafiły na coś metalicznego i zamknęły się wokół tego przedmiotu. Wtedy ponownie spojrzął w twarz strażnika.

Ten zdołał odczytać z twarzy Sancha to, co miało się zdarzyć, na chwilę przed tym, zanim chłopak zaczął działać, i ponownie wyjął rapier, ale na nic się to zdało. Chłopak, przytrzymując monetę w

dłoni kciukiem, użył pozostałych palców, aby rzucić sporą garść gówna prosto w twarz strażnika.

Obrzydliwa, czarna masa uderzyła w twarz kapitana – na moment skamieniał. Breja zaczęła spływać po jego szyi i ściekać na kaftan.

Sancho nie zatrzymał się, aby podziwiać ten widok. Zanim strażnik się otrząsnął z zaskoczenia, przeskoczył nad gapiem z niewyparzoną gębą, który skopany wciąż zwijał się z bólu na ziemi. Korzystając z wolnej przestrzeni, którą jego leżące ciało utworzyło w tłumie, chłopak rzucił się w głąb uliczki, mocno przyciskając złotą monetę do piersi.

II

– Chodź tu, sukinsynu!

Ogarnięty strachem Sancho przeskoczył nad stertą śmieci i zmienił kierunek, wbiegając w wąską uliczkę. Nie rozumiał, jak jego prześladowca może biec za nim tak długo, obładowany bronią i w ciężkim stroju z grubej skóry, jaki zwykli nosić żołnierze i bandyci. Skręcił ponownie za kolejnym rogiem, mając nadzieję, że go zgubi, ale napastnik coraz bardziej się zbliżał.

– Mam cię!

Chłopak poczuł, że palce strażnika muskają jego koszulę, ale dłoń w rękawicy nie zdołała złapać tkaniny; wyslizgnął się. Strażnik tracąc równowagę, poleciał do przodu, ale po kilku krokach odzyskał ją i ścigał go dalej.

Czując ogień w płucach i coraz większy ciężar w nogach, Sancho jeszcze raz skręcił i wpadł w uliczkę tak wąską, że gdyby wyciągnął w biegu ręce na boki, mógłby dotknąć murów po obu jej stronach. W tym momencie zdał sobie sprawę, że popełnił straszliwy błąd. Na końcu uliczki zobaczył przewyższającą go dwukrotnie stertę gruzu, utworzoną przez nieregularnie zrzucone

cegły i ogromne kawały tynku. Wiedział, że nie da rady szybko przedostać się na drugą stronę.

Przestraszony odwrócił lekko głowę i szeroko otworzył oczy. Strażnik znajdował się zaledwie dwa metry od niego i już zdążył podnieść rapier. Skuliwszy ramiona, Sancho czekał na śmiertelny cios, nie przestając biec.

Ostra klinga wykonała łuk w powietrzu, jednak kiedy już miała spaść na chłopca, zahaczyła lekko o mur, wzniesając deszcz żółtych iskier. Kiedy ostrze uderzyło Sancha, nie trafiło w kark, gdzie celował strażnik, lecz w plecy. Kosz, który chłopak miał na plecach, zamortyzował cios, po czym spadł na ziemię, niemal przecięty na pół.

Strażnik, niesiony siłą rozpędu, potknął się i wpadł na ścianę.

Sancho skorzystał z okazji, aby – zdzierając skórę z dłoni, stóp i kolan o ostre kamienie – wspiąć się na stertę gruzu i przeskoczyć na drugą stronę. Upadając, stoczył się i wylądował oszołomiony kawałek od sterty gruzu. W tej samej chwili poczuł, jak para rąk chwyta go za włosy i zatyka mu usta.

– Dawaj monetę! – Sancho próbował stawiać opór i protestować. Znalazł się oko w oko z brzydką, pucułowatą i malutką twarzą.

– Cii! Nic nie mów i daj mi monetę. Próbuję uratować ci życie, smarkaczu!

Oszołomiony głodem, bólem w kończynach i skrajnie wyczerpany, Sancho nie mógł już dłużej walczyć. Otworzył dłoń i oddał monetę trzymającemu go człowieczkowi. Ten podbiegł do sterty gruzu i umieścił monetę na kamieniu, w blasku popołudniowego słońca. Światło wywołało złote refleksy na

monecie o wartości dwóch escudo – na murach uliczki pojawiło się odbicie krzyża jerozolimskiego.

Karzeł wrócił do Sancha i popychając go, poprowadził pod portal. Tam obaj skulili się, milcząc. W samą porę, bo szerokie rondo kapelusza strażnika już wysuwało się ponad stertę gruzu. Jego rozwścieczona twarz nie pozostawiała cienia wątpliwości, że wolał biec od wspinaczki. Kiedy zobaczył na kamieniu błyszczącą monetę, zrozumiał, że Sancho mu uciekł. Podniósł monetę i wrócił na szczyt kamienistego wzgórka. Stamtąd ochryplym, głębokim i pełnym nienawiści głosem, którego echo rozbrzmiało pod okapami domów, powiedział:

– Dopadnę cię, smarkaczu! Prędzej czy później! I zawiśniesz na szubienicy, gdzie twoje miejsce!

Odwrócił się, skoczył i zniknął im z oczu.

– Co się dzieje? Nigdy nie widziałeś karła? – powiedział do Sancha jego wybawca, rozśmieszony zdziwionym spojrzeniem chłopca.

– Raz. – Chłopak odkaslnął, próbując złapać oddech. – Jacyś kramarze zatrzymali się w oberży mojej matki, podróżował z nimi karzeł. Byłem jeszcze bardzo mały i myślałem, że to dziecko, takie jak ja. Zdaje się, że zapytałem wtedy matkę, dlaczego ja nie mam brody.

Ogarnęła go nagła fala żalu, kiedy przypomniał sobie tamte dni, o tyleż łatwiejsze. Życie ograniczało się do zbiorów w ogrodzie, karmienia kur i dojenia dwóch kóz. A teraz, rok później, cała ta przeszłość wydawała się zacierać i rozmazywać w zetknięciu z twardą rzeczywistością sewilskich ulic. Ból i nostalgia jeszcze się nasiliły, kiedy zdał sobie sprawę, że ledwie

potrafi odtworzyć w pamięci twarz kobiety, która sprowadziła go na świat.

– No dobra, już nie jesteś w oberży, mały. I zadarłeś z kimś bardzo niebezpiecznym. To kapitan Groot, osobisty strażnik Francisca de Vargasa – powiedział karzeł, wskazując ręką w kierunku, w którym oddalił się szpicbródka. – Ten flamandzki heretyk to zimny jak tyłek mniszki sukinsyn. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś go tak rozwścieczył.

– To ty tam byłeś? – zapytał Sancho sceptycznie. Wątpił, aby karzeł mógł tutaj dotrzeć tak szybko na swoich krótkich nóżkach.

– Nie musiałem tam być. Te ulice mają oczy i uszy, trzeba tylko umieć słuchać. Plotki przenoszą się znacznie szybciej niż uciekające nicponie, szczególnie jeśli okradziono samego Vargasa.

Sancho odkaszlnął, w ustach wciąż miał sucho po rozpaczliwym biegu. W ogóle mu się nie spodobało to ostatnie zdanie.

– Ten Vargas to ktoś ważny?

Karzeł zaśmiał się ironicznie.

– Czy Vargas to ktoś ważny? Skąd tyś się urwał, dzieciaku? Myślę, że będę musiał nad tobą sporo popracować, to jest, jeżeli rzeczywiście chcesz się poświęcić temu zajęciu.

– Jakiemu zajęciu?

– A niby jakiemuż? Zajęciu samego boga Hermesa, Kakusa, redystrybucji bogactw, przejmowaniu nadwyżek. Mówiąc wprost, złodziejstwu. Z tymi nogami radziłbyś sobie całkiem nieźle. Oczywiście mając dobrego nauczyciela – dodał szybko.

Ale Sancho już go nie słuchał. Myślał jedynie o tym, że spóźni się do sierocińca. A ten dzień był do tego najmniej odpowiedni.

– Nie jestem zainteresowany.

– Nie jesteś zainteresowany? – Zdziwiony karzeł szeroko otworzył oczy.

– Posłuchaj, dzięki za pomoc, ale muszę już iść. Powodzenia!

– Pytaj na targu Malbaratillo o Bartola z Triany. Tam wszyscy mnie znają! – krzyknął karzeł za plecami chłopca, który już się oddalał, biegnąc w górę ulicy.

III

Za bardzo mu się spieszyło, aby czekać, aż brat furtian otworzy bramę wejściową, więc wspiał się na mur patia, zamierzając wejść od tyłu. Przy odrobinie szczęścia zdąży ustawić się w długiej kolejce tworzącej się przed refektarzem, zanim drzwi zostaną zamknięte i rozpocznie się kolacja.

Zeskakując na ziemię, upadł i zdarł sobie kolana. Łapiąc oddech, usłyszał wyraźnie zgiełk i głosy dobiegające z północnej części budynku; wiedział, że prawie wszyscy siedzą już pewnie wewnątrz. Przeklinając głód, który wciąż będzie mu towarzyszył, jeśli nie zdąży na czas, wskoczył do budynku przez jedno z okien wychodzących na dziedziniec i pobiegł korytarzem. Kiedy dotarł do miejsca, w którym długa galeria skręcała w stronę kaplicy i refektarza, przytrzymał się narożnika, aby skręcić, nie wytracając prędkości. Nagle zderzył się z żywym murem i upadł.

– Co do diabła...? – usłyszał ostry głos przed sobą.

Sancho się podniósł. Stał naprzeciwko Monterita, jednego z najstarszych podopiecznych sierocińca, pocierającego plecy w miejscu, w które przed chwilą uderzył Sancho. Choć byli w tym samym wieku, rzadko spotykali się na korytarzach, ponieważ

spali w różnych sypialniach i chodzili na różne lekcje. Monterito uczył się z najmłodszymi, podczas gdy Sancho miał lekcje indywidualne z bratem Lorenzem, przeorem klasztoru. Chłopak cieszył się z tego, ponieważ Monterito był duży, gruby i kłótlivy. Gdziekolwiek się pojawił, stale prowokował bójki i otaczał się grupą zbirów takich jak on sam. Było ich trzech czy czterech, nękali słabszych, kradnąc im niewielkie ilości pieniędzy i jedzenia, które zdołali wyżebrać na ulicach lub zarobić jako tragarze.

Teraz też tam byli, okrążali jednego z nowych, którego Sancho nie znał.

– Przepraszam, uderzyłem cię. Już sobie idę – przeprosił, podnosząc ręce w uspokajającym geście.

– I słusznie, zjeżdżaj pederasto. Mamy tu robotę – powiedział Monterito.

Nowy spojrział na Sancha z desperackim wyrazem twarzy. Zwykle nowo przybyli mieli na sobie strzępy łachów albo w ogóle nic, ale to biedaczysko było ubrane w szorstką sierocińcową koszulinę, całkowicie rozdartą.

– Co mu robicie?

– A co cię to obchodzi, mądralo? Wynoś się, zanim i tobie powybijamy zęby.

Sancho zrobił krok w tył. Przed nim stało wielu przeciwników, a on miał puste ręce. Poza tym był wyczerpany, głodny i obolały. Jedyne, o czym marzył, to dotrzeć do refektarza, a potem na swój siennik w sypialni, którą dzielił z dwudziestką innych sierot.

Nowy chłopiec drżał, duże krople potu sklejały mu włosy i spływały po wyłupiastych, bezbronnych oczach, których nie

odwracał od Sancha, patrząc na niego błagalnie.

„Cholera”, pomyślał Sancho, robiąc krok naprzód. Jeżeli czegoś nie znosił, to wykorzystywania małych dzieci.

– Zostawcie go w spokoju.

Monterito, który już się skupił na swojej ofierze, spojrział w stronę Sancha ze zdziwieniem i niedowierzaniem malującym się na jego przypominającej księżyc w pełni twarzy.

– Coś ty powiedział?

Sancho westchnął zniesmaczony, starając się nie zdradzać emocji.

– Głuchy jesteś? Powiedziałem, że masz go zostawić w spokoju. Duża ta sfora na tak małego gołąbka...

Grubas odwrócił się, strzelił palcami i bez słowa ruszył na zuchwalca. Sancho już czekał na niego, schylił się, robiąc unik przed ciosem. Monterito wytrącony z równowagi runął na ziemię. Pozostałe zbiry puściły nowego – uciekł, jakby go sam diabeł gonił – i przyłączyły się do bójki. Sancho też chciał uciec, ale nie udało mu się wyrwać z rąk członków bandy. Zdołał kopnąć jednego z nich, zanim upadł na ziemię, i pociągnął za sobą innego w plątaninie rąk i nóg.

– Ach, Jezusie błogosławiony! Cóż to za awantura!

Piskliwy głos brata ekonoma i laska służąca mu do karania tych, którzy zachowywali się niewłaściwie w refektarzu, w kilka chwil rozdzieliły walczących. Sancho leżał na ziemi tak posiniaczony i wykończony, że kara była mu już obojętna. Zakonnik musiał na niego krzyknąć kilka razy, aby się podniósł.

– A więc to ty, Sancho z Écichy! Znowu naruszasz spokój tego domu!

– Bracie, ja...

– To on zaczął tę bijatykę?

Monterito i jego zbiry potwierdzili skinieniem głowy, bardzo poważnie, czyniąc znak krzyża na piersi i przywołując Boga i Jego matkę na świadków winy Sancha. Rozwścieczony niesprawiedliwością chłopak skrzyżował ramiona na piersi i nic nie powiedział.

Kiedy Sancho wszedł do gabinetu, brat Lorenzo stał przy oknie. Nie odwrócił się do niego, aby go przywitać, ponieważ potrzebował chwili, aby zapanować nad emocjami. Brat Lorenzo miał już prawie siedemdziesiąt lat, ale nigdy nie wyzbył się swoich ludzkich odruchów, które jego przełożeni starali się w nim zdusić, przydzielając mu co niebezpieczniejsze zadania. W swojej rodzinnej Irlandii był jałmużnikiem zakonu, pracował w leprozorium, a w 1570 roku po ekskomunikowaniu Elżbiety I został nawet wysłany do Anglii. Spędził tam pięć lat, w czasie gdy nasilały się prześladowania zwolenników papieża z Rzymu. Był zmuszony odprawiać msze w stodołach i szopach, chrzczyć dzieci w sadzawkach i baliach, spowiadać w stajniach i kurnikach. Wreszcie jego twarz stała się zbyt dobrze znana wśród ortodoksyjnych anglikanów, aby nadal mógł przebywać w tym kraju, jednak przełożeni zakonu nie zgodzili się na jego powrót do Irlandii. Przydzielono mu za to najbardziej niewdzięczną pracę: przejęcie największego sierocińca Sewilli po śmierci poprzedniego przeora. Niewielka wspólnota, składająca się z pięciu mnichów, i setka podrzutków.

Brat Lorenzo uszanował śluby posłuszeństwa i nie protestował, choć nie znał ani słowa po hiszpańsku. W ciągu dwunastu lat

spędzonych w Sewilli nauczył się języka tak dobrze, że nawet najbardziej doświadczeni słuchacze nie orientowali się, że nie urodził się w Kastylii. Zakonnik miał dar do języków, dlatego do prowadzonych przez siebie lekcji łaciny, greki i matematyki dodał także angielski. Co dzień wydawało mu się, że sieje na skalistej ziemi, ponieważ dzieci z sierocińca były niemal zawsze zbyt wygłodzone, chore lub otrzymały zbyt wiele ciosów w głowę, aby nasiona wiedzy mogły się przyjąć.

Zdarzały się jednak rzadkie wyjątki, białe lilie rosnące na śmietniku. Z ich powodu cierpiał najbardziej, ponieważ, nieważne jak bardzo się zaangażował, nie mógł ich ustrzec przed zranieniem się zardzewiałym gwoździem, kończącym się śmiercią w cierpieniach, wśród straszliwych skurczy mięśniowych, albo przed gorączką czy tyfusem, które stale przyczyniały się do powstawania coraz to nowych kopczyków ziemi na zatłoczonym cmentarzu w głębi dziedzińca.

Brat Lorenzo od dziesięciu lat zajmował się cudzymi dziećmi, tymi, których nikt nie chciał. Napotkał niewiele białych lilii, a żadna z nich nie miała blasku i siły Sancha. Chłopak potrafił w ciągu kilku dni nauczyć się tego, co innym zajmowało tygodnie. Kiedy już wrócił do zdrowia po dżumie i mógł po raz pierwszy wejść do klasy, nie potrafił czytać ani pisać. A w ciągu zaledwie roku stał się najlepszym uczniem przeora.

Brat Lorenzo odwrócił się i spojrzał na Sancha w milczeniu, gładząc się po siwej brodzie. Chłopak był szczupły, ale też silny i urósł co najmniej o stopę, odkąd pojawił się tutaj chory, przerzucony przez koński grzbiet. Czekał, patrząc mu w twarz jak zawsze, z pozoru spokojny i pełen szacunku, ale brat nie dał się

zwieść. Wiedział, że za tymi zielonymi oczami szalała gwałtowna burza. Sancho nie miał przyjaciół; czasem przeor widział, jak broni się przed obelgami i agresją innych, którzy go nie rozumieli ani nie chcieli zrozumieć. Zauważył rozbitą wargę i nie zdołał ukryć grymasu niezadowolenia.

– Podejź, Sancho.

Odwrócił się ponownie w stronę okna, patrząc, jak nad pustym dziedzińcem zapada zmrok. Sancho stanął obok niego.

– Miałeś przyjść do mnie na rozmowę przed kolacją, nie pojawiłeś się. I na dodatek brat ekonom mówi mi, że wdałeś się w bójkę i straciłeś kosz.

– Przykro mi, ojcze. Widzicie, poszedłem rano do Arenalu...

– Dosyć, Sancho. Powód twojego spóźnienia mnie nie interesuje.

– Ale...

Brat Lorenzo uniósł palec i chłopak zamilkł niechętnie. Był typem buntownika. Nie pogodził się z tym, że przebywa w sierocińcu, ani z tragedią, która go tam sprowadziła. Potrzebował zaledwie kilku tygodni, aby powrócić do zdrowia po dżumie – pozostały mu po niej tylko nieładne blizny na szyi, wielkości dublonu. Jednak mnich wiedział, że rany na duszy chłopca będą się zabliźniać znacznie dłużej, jeżeli w ogóle kiedyś to nastąpi. Minęły miesiące, zanim otworzył usta, a kiedy to zrobił, wyjawiał tylko niewielkie skrawki swojej historii – zakonnik musiał cierpliwie składać je w całość.

Wiedział, że Sancho nigdy nie poznał swojego ojca i że jego matka była twardą kobietą, bardziej skoncentrowaną na czynach niż skłoną do czułości. Nie miał rodzeństwa ani żadnej innej rodziny, a przynajmniej nic o tym nie wiedział. Jego życie toczyło

się wokół motyki i pieca. Miał szorstkie dłonie robotnika, ale umysł lisa i naturę żbika. Bez kotwicy w postaci matki, w otoczeniu takim jak to surowe miasto, chłopak czuł się zagubiony. Wydawało mu się, że zawsze ma rację, i odrzucał wszelką formę kontroli.

Potrzebował jakiegoś środka dyscyplinującego, czegoś, co sprowadziłoby go na właściwą drogę.

„Boże, dopomóż, mam nadzieję, że podejmuję właściwą decyzję” – pomyślał zakonnik.

– Już niewiele lekcji ci pozostało. W przyszłym tygodniu opuścisz mury sierocińca. I wiesz, że dziś zamierzałem cię poinformować o mojej decyzji dotyczącej twojej przyszłości. – Sancho wolno skinął głową. – Zdecydowałem, że nie polecę cię do pracy w domu Malfinich. Zarekomenduję im Ignacia, nie ciebie.

Chłopak szeroko otworzył oczy, jakby dostał w twarz. Marzył o pracy w domu tych włoskich bankierów, odkąd brat Lorenzo wspomniał o niej kilka tygodni temu. Pomimo że Hiszpania i Anglia oficjalnie pozostawały w stanie wojny, szlaki handlowe pomiędzy nimi wciąż funkcjonowały – Malfini mieli przedstawicielstwa na tych szlakach, a towary z Sewilli przewoziły statki włoskie i portugalskie. Nic to dla Sancha nie znaczyło aż do momentu, kiedy przeor wspomniał mu, że czeladnicy mogą podjąć pracę jako członkowie załóg statków. Zamorskie przygody stanowiły jego marzenie, więc teraz decyzję brata Lorenza odebrał jako zdradę.

– Ależ ojczy, sami mówiliście, że to ja najbardziej nadaję się do tego – zdołał wydusić z siebie Sancho, starając się nie podnosić

głosu. – W rachunkach jestem znacznie szybszy od Ignacia, a poza tym...

– Tak, Sancho, jesteś w rachunkach lepszy od Ignacia. Z angielskim również radzisz sobie dobrze, choć twoja łacina pozostawia wiele do życzenia. Jednak w pracy u Malfinich potrzeba czegoś więcej: dyscypliny, porządku, odpowiedzialności. A w tym, mój synu, nie jesteś najlepszy. Spóźniasz się, ciągle się wdajesz w bijatyki...

Sancho odwrócił wzrok, bo nie potrafił w prosty sposób wyjaśnić dzisiejszego zdarzenia z Monteritem i z nowym. Nawet on sam nie wiedział, dlaczego codziennie zadziera z innym chuliganem. Każdego wieczoru, kiedy leżąc na sienniku, liczył swoje siniaki, strupy i chwiejące się zęby, przysięgał sobie, że to się już nie zdarzy. A jednak wciąż mu się przytrafiało.

– Ja nigdy nie zaczynam tych bójek, ojciec – tylko tyle udało mu się powiedzieć.

– Sądziś, że twoi koledzy cię lubią, Sancho?

– Nie wiem. Nie sędzę.

– A czy, twoim zdaniem, jest ku temu jakiś powód? – zapytał zakonnik, unosząc brwi.

Chłopak wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Zupełnie nie rozumiał, do czego mnich zmierza.

– Wyjaśnię ci, co jest tego powodem – kontynuował brat Lorenzo z irytacją. – Podejdź do mojego kufra i otwórz go. Znajdziesz tam małą szkatułkę z ciemnego drewna. Postaw ją na moim biurku i zajrzyj do środka.

Zaintrygowany chłopak posłuchał. Szkatułka była pełna skrawków papieru w różnych rozmiarach i kształtach. Żaden nie

był większy od jego dłoni. Wziął jeden z nich i na głos odczytał zapisaną na nim treść.

– „Oddajemy, bo nie mamy środków na jego utrzymanie”. Co to takiego, ojcze?

– Czytaj dalej.

– „Pozostawiamy go w tym świętym domu w trosce o cześć jego matki” – odczytywał kolejne liściki, nic nie rozumiejąc.

„Zostawiamy, mając na względzie nasz honor”. „Oddaję dziecko, ponieważ mój mąż wraca z zamorskiej wyprawy, gdzie przebywał przez ponad rok”.

– Wszystkie te liściki były przymocowane do zawiniątek, w których u naszych wrót pozostawiono dzieci. Porzucają je nagie, o świcie, nie bacząc, że jest środek zimy, żeby tylko nie wystawić na szwank swego honoru, nie chcą, aby sąsiedzi zobaczyli, że wychodzą z domu, niosąc dziecko swojej córki lub służącej. Czasem nawet nie dzwonią do bramy klasztoru. Dlatego jeden z nas każdej nocy wychodzi co godzinę na próg, ale czasem ten czas okazuje się zbyt długi i porzucone dziecko zdążą już zaatakować wieprzki czy psy. Masz pojęcie, ile dzieci musiałem wyrywać z paszczy zwierząt? Ile razy walczyłem o dłoń czy ucho?

Brat Lorenzo mocno zacisnął pięści, tak jakby jego ciało ponownie walczyło z samą śmiercią na progu sierocińca. Westchnął przeciągle.

– A ci, przy których znajdujemy liściki, to szczęściarze, bo wielu nie ma nawet tego. W dniu, w którym odchodzą z sierocińca, wręczam im te liściki, aby mieli cokolwiek, co będzie im przypominać, kim są.

– Dajecie im je, kiedy odchodzą? Ale tutaj jest ich...

Nagle zamilkł, zdawszy sobie sprawę z tego, gdzie znajdują się niedoszli właściciele wszystkich tych liścików. To ci, którzy przegrali bitwę, ci, którzy nigdy nie opuścili murów sierocińca.

– Ty miałeś matkę przez trzynaście lat. Dlatego pozostali ci zazdrozczą i rzucają się na ciebie przy każdej okazji. Rozumiesz?

Sancho uciekł wzrokiem przed surowym spojrzeniem mnicha. Jego umysł na chwilę pomknął daleko stąd, aż do słonecznej oberży, gdzie zapach oliwy i przydrożnego kurzu zamieniały życie w wolny i rytmiczny poemat. Spierzchnięte dłonie kobiety skubały kurę w cieniu szopy, obok niej chłopczyk rzucał kamieniami w jaszczurki, a w krzakach dźwięczały cykady. Gdyby nie utracił tego wszystkiego, nigdy by nie zrozumiał, że to właśnie te odczucia nazywał domem.

– Może lepiej jest nigdy czegoś nie poznać, niż coś utracić – powiedział smutno Sancho, jakby do siebie.

Brat Lorenzo nie odpowiadał przez chwilę, ponieważ ujęła go dojrzałość słów chłopca. Jednak nie mógł się już wycofać. Nie, jeżeli chciał, aby chłopiec nauczył się czegoś z tej lekcji.

– To właśnie taka postawa odsuwa cię od innych. Zamykasz się w swoim bólu, nie rozmawiasz z nikim, buntujesz się przeciwko wszystkiemu. W ten sposób przekazujesz im, że uważasz się za lepszego od nich. Gdybyś został w sierocińcu dłużej, może... Ale twój pobyt tutaj dobiegł końca i najlepsze, co mogę dla ciebie zrobić, nim odejdziesz, to wyznaczyć ci karę.

– Karę – powtórzył wolno Sancho.

– Będzie to praca poniżej twoich umiejętności, ale nauczy cię trochę rozsądku: będziesz pomocnikiem w karczmie.

Chłopak poczuł, że rumieni się ze wstydu. Krew się w nim gotowała na tę niesprawiedliwą karę, którą wymierzył mu zakonnik, ale nie chciał dać po sobie poznać, jak ta wiadomość na niego podziałała, więc w milczeniu opuścił głowę. Brat Lorenzo przyglądał mu się uważnie, ponieważ spodziewał się gniewnej reakcji.

– To uczciwe miejsce niedaleko placu Medina. Pozostaniesz tam przez sześć miesięcy i – jeśli będziesz sumiennie wypełniał swoje obowiązki – może wtedy polecę cię Malfinim.

IV

Wchodząc na dziedziniec domu Vargasa, kapitan Erik Van de Groot zdjął rękawice. Psy leżące przy wejściu natychmiast uciekły, warcząc i szczerząc kły na widok ogromnych skórzanych butów, których nauczyły się bać. Po panującym na zewnątrz smrodzie świeży zapach dalii i narcyzów w ogrodzie nieco złagodził wciąż trawiącą wściekłość Groota spowodowaną tym, że pozwolił uciec młokosowi, który publicznie go upokorzył.

Wysłał jednego ze służących po dzban wody i ręcznik, aby doprowadzić się do porządku, ponieważ na jego twarzy wciąż pozostawały ślady zniewagi, której doznał. Zamknął oczy i wsłuchiwał się w melodię fontanny stojącej pośrodku dziedzińca, aż zdołał się uspokoić. Vargas nie lubił, gdy ktoś dawał się ponieść emocjom, Flamand zrozumiał to, kiedy tylko rozpoczął pracę dla niego. Szesnaście lat temu, kiedy gnił w więzieniu za zasztyletowanie innego oficera, pojawił się Vargas i zamienił kilka słów z naczelnikiem. Ten ostatni kazał przyprowadzić Groota i dwóch innych łotrów, tak samo wielkich i bezwzględnych jak Flamand. Naczelnik przedstawił Vargasa jako

ważnego kupca, który szuka nowego strażnika, ponieważ poprzedniemu zaszkodziła toledańska stal.

Vargas nie zadawał żadnych pytań, zbliżył się tylko do nich i popatrzył każdemu prosto w twarz, z tak bliska, że niemal dotknął ich nosem. Pozostali dwaj poruszyli się niespokojnie. Groot był jedynym, który wytrzymał to spojrzenie bez mrugnięcia, chociaż czarne, nieprzeniknione oczy kupca wywoływały dreszcze. Tego samego wieczoru Groot po raz pierwszy wszedł na dziedziniec, na którym teraz próbował się uspokoić.

Już wtedy Vargas posiadał znaczną fortunę, chociaż – patrząc na dom z zewnątrz – nikt by się tego nie domyślił. Budynek utrzymany w dawnym stylu *mudejar* miał wysoką fasadę. Bez okien, wzniesiony z gołego i szorstkiego kamienia, znacznie się różnił od rezydencji szlachty i ludzi równie bogatych jak Vargas, którzy majątek zdobyli, handlując z Indiami Zachodnimi. Wielkie pałace, wspaniałe herby na drzwiach powozów, dziesiątki służących. Nic z tego nie pasowało do jego zwierzchnika, który utrzymywał minimalną ilość służby i najbardziej ze wszystkiego cenił sobie dyskrecję.

Jednak rośliny w ogrodzie wymieniano co trzy miesiące, a meble w pokojach zostały wykonane z materiałów, które wzbudziłyby zazdrość samego króla, gdyby tylko raczył on odwiedzić dom plebejusza.

Sługa wrócił z przyborami toaletowymi. Ocknąwszy się z zadumy, Groot umył się pośpiesznie okrężnymi ruchami. Lniany biały ręcznik zamienił się w brudną szmatę. Rzucił go na ziemię.

– Czy don Francisco jest w swoim gabinecie?

– Tak, kapitanie – wycedził przez zęby sługa. – Ale ma gościa.

Był to jeden z najstarszych służących w domu. Groot wychwytał nienawiść w jego głosie i dostrzegł krzywe spojrzenie, które tamten mu rzucił, kiedy cisnął ręcznik na ziemię.

– Sądzisz, że to mi przeszkodzi, tępaku? – Jego flamandzki akcent sprawił, że zabrzmiało to prostacko.

– Myślałem tylko, panie...

– Nic mnie nie obchodzi, co sobie myślałeś. Idź do burdelu i opowiedz o tym swojej matce, może ją to zainteresuje.

Służący, rozwścieczony obelgą, wykonał lekki ruch, jakby chciał rzucić się na Groota, ale ten oparł dłoń na rękojeści rapiera. Służący opanował się w porę. Zmieszany i upokorzony odwrócił się bez słowa.

Holender uśmiechnął się ukradkiem, zadowolony. Jedyne, czego brakowało mu z żołnierskich czasów, to władza nad podkomendnymi, jaką dawało mu jego stanowisko. Obecnie ograniczały go mury tego domu, z wyjątkiem nielicznych okazji, kiedy Vargas zlecał mu jakąś misję na zewnątrz. Taką jak dzisiejsza eskorta indyjskiego złota do Mennicy. Wówczas odwiedzał karczmy i bary w poszukiwaniu prymitywnych osiłków, którzy byli mu potrzebni do wykonania zadania, i znów czuł dawną dumę.

Ruszył w kierunku gabinetu Vargasa znajdującego się na drugim, ostatnim piętrze. Arkadowy dziedziniec otoczony marmurowymi balustradami łączył poszczególne części domu korytarzami. Ciemny parter zajmowała służba, zwierzęta i niewolnicy, na wyższych piętrach mieściły się rzadko używane pokoje. Odkąd pięć lat temu zmarła małżonka Vargasa, a jego syn wyjechał na studia do Francji, życie kupca toczyło się między

gabinetem a sypialnią. Często wychodził, aby załatwić swoje sprawy na schodach katedry, odwiedzić stocznię, i oczywiście wziąć udział w codziennej mszy, jednak kiedy przebywał w domu, rzadko opuszczał swoje miejsce pracy.

W połowie korytarza Groot minął się z Clara, młodziutką córką gospodyni niosącą pościel. Nie odsunął się, aby ją przepuścić. Musiała otrzeć się o niego ramieniem, kiedy przechodziła. Kapitan wymierzył jej klapsa w tyłek, a ona odepchnęła go ze spojrzeniem pełnym wściekłości.

– Uważaj, jak chodzisz, dziewczeczko. Jeśli ci ciężko, pozwól, że pomoże ci prawdziwy mężczyzna.

– Jak tylko go spotkam, poproszę o pomoc – rzuciła ciętą ripostę Clara i oddaliła się, zostawiając osłupiałego Groota.

„Pewnego dnia lepiej wykorzystamy ten twój źmijowaty język, suko” – pomyślał kapitan, wwiercając się spojrzeniem w plecy Clary i czując, jak pali go żądza. Nawet biedne odzienie dziewczyny nie mogło zamaskować jej wspaniałej, smukłej figury. Flamand zastanowił się, czy któregoś dnia odważy się na coś więcej niż zaczepki. Gdyby tylko nie znajdowała się pod opieką jego chlebodawcy, który wyraźnie nakazał mu trzymać się z dala od niej, już dawno dopadłby ją w drewnitni lub stajni i rozdziewiczył opartą o koryto. Może któregoś dnia to zrobi tylko po to, by zobaczyć, jak jej arogancja ustępuje miejsca przerażeniu, i usłyszeć błagania o litość. Ostatecznie gdyby się potem poskarżyła, mógłby się wszystkiego wyprzeć. Komu by uwierzono: niewolnicy czy jemu?

Pokręcił głową, aby pozbyć się tych niebezpiecznych rojeń i doszedł do końca korytarza. Zatrzymał się przed zdobnymi

dębowo-lipowymi drzwiami i zapukał delikatnie.

Francisco de Vargas przestał pisać i lekko unióśł dłoń dzierżącą pióro, słysząc ciężkie kroki kapitana za drzwiami. Cierpliwie zaczekał, aż usłyszy znajome pukanie, nie chciał popsuć swojej kaligrafii, jednocześnie mówiąc i pisząc.

– Wejść.

Dopiero wtedy dokończył wpisywać liczbę do księgi głównej, w której rejestrował wszelkie ruchy w swoim rozległym handlowym imperium. Gruby, oprawiony w skórę tom był szóstym, który zapisywał w tym roku. Wpisy obejmowały wszelkiego typu operacje: żelazo z Vizkai, złote nici i brokaty z Florencji, koszenilę i kakao z Jukatenu, rtęć dla kopalni w Taxco i niewolników do pracy przy tworzeniu stopu rtęci ze srebrem, każdą transakcję kupna i sprzedaży, nawet każdą łapówkę dla urzędników, rejestratorów i celników. Te ostatnie notował za pomocą szyfrów, które tylko on potrafił odczytać. Kiedy zostawał sam, pozwalał sobie na uśmieszek samozadowolenia. Nic nie sprawiało Vargasowi większej przyjemności niż korzyści uzyskane podstępem i przy użyciu różnych sztuczek.

Zmarszczył brwi, przyglądając się ostatnim liczbom, co spowodowało, że okulary, których używał do pisania, zsunęły mu się aż na czubek nosa. Obecność Groota przypomniała mu o problemie, z którym się zmagał. Istniał sposób na jego rozwiązanie, ale potrzebowałby do tego celu instrumentu bardziej subtelnego i precyzyjnego niż Flamand.

– Wejździe, kapitanie. Znacie już pana Ludovica Malfiniego.

Kapitan odwrócił się w stronę ściany, gdzie krępy człowieczek nerwowo pocierał opierścienione dłonie. Szybko ukrył grymas

obrzydzenia, który się pojawił na jego twarzy, kiedy rozpoznał grubego genueńskiego bankiera. Nie uszło to jednak uwagi Vargasa. Dwóm czarnym studniom jego oczu nie umykało wiele szczegółów, nawet jeśli wydawało się, że patrzą w innym kierunku. Jako że był postawnym i – pomimo wieku – przystojnym mężczyzną, obecność Malfiniego u jego boku podkreślała tylko jego wytworność, co często wykorzystywał, również jako sposób na wzbudzanie szacunku swoich ludzi.

Kupiec nabrał garść drobniutkiego piasku z Tracji, który trzymał w szkatułce na swoim zagraconym biurku. Rozsypał go delikatnie na ukończonej właśnie stronie, przyglądając się, jak ziarna piasku osuszają resztki czarnego atramentu, zanim opadną na tacę. W końcu zamknął księgę i wstał z trudem. Dobiegał pięćdziesiątki i zaczynał – częściej niżby sobie życzył – odczuwać swój wiek.

– Czy chcecie mnie poinformować o czymś szczególnym, kapitanie?

– Nie, panie. Ładunek złota z Indii Zachodnich został zarejestrowany na wasze nazwisko w Mennicy zgodnie z poleceniem. Urzędnik policzył monety z mennicy meksykańskiej oraz sztabki złota. Wszystko się zgadzało. Zdarzył się tylko drobny incydent z jedną ze skrzyń, która spadła z wozu, przy czym złamana została pieczęć królewska, a monety rozsypały się na ziemię, ale zawartość skrzyni odzyskano. Oto dokumenty potwierdzające przekazanie ładunku – powiedział Groot, wydobywając spod płaszcza teczkę i kładąc ją na biurku.

Kapitan nie wspomniał nic o incydencie ze złodziejaskiem, ponieważ nie chciał się ośmieszyć przed swoim zwierzchnikiem.

Vargas patrzył na niego obojętnie, czekając, aż coś doda, a może domyślając się, że Groot coś ukrywa.

W końcu Vargas skinął głową.

– Dziękuję, kapitanie. Doskonała robota, jak zawsze. Możecie nas zostawić.

Groot skinął głową w kierunku swojego pryncypała i wyszedł. Vargas zaczekał, aż drzwi się za nim zamkną, po czym wziął z biurka dokumenty i podał je Malfiniemu.

– Przeczytajcie sami.

Genuńczyk rozwiązał wstążki przytrzymujące papiery i w pośpiechu przejrzał dokumenty. Jego świńskie oczka zatrzymały się na ostatnim z nich.

– Tutaj, *signore* Vargas: „Na mocy królewskiej prerogatywy niniejszy ładunek z Indii Zachodnich może zostać skonfiskowany podczas kolejnej oceny wartości Skarbca Jego Wysokości...”.

Vargas ledwie zwrócił uwagę na piskliwy głos bankiera, ponieważ aż za dobrze znał treść notki, jakby przez przypadek dołączonej do dokumentów. Wydawał krocie na szpiegów w Madrycie, którzy już dwa tygodnie temu poinformowali go o konfiskacie, dzięki czemu mógł zacząć planować, jak załagodzić skutki katastrofy, która zawisła nad jego interesami.

„Moja porażka bierze się z nadmiaru powodzenia” – pomyślał Vargas z gorzką ironią. Zyski z każdego przedsięwzięcia, które rozpoczął, każde złote escudo, które zarobił, przeznaczał na nowe projekty. Dopiero rok temu zdał sobie sprawę z problemów, w jakich się znalazł. Wówczas stało się jasne, że jego pełne meandrów imperium jest tak silnie powiązane wewnętrznie, że najmniejsza nierównowaga może spowodować runięcie całej

konstrukcji. I, jakby to odkrycie stało się prorocstwem, kilka dni później jeden z jego statków przewożących niewolników zatonął na oceanie, a jedna z galer padła łupem piratów zaledwie po dwóch dniach rejsu z Hiszpanii. Spodziewając się sporych zysków, zaciągnął pożyczki, których ubezpieczenie – kiedy już i jeśli w ogóle otrzymałby odszkodowanie – i tak nie zdołałoby pokryć. Od tego czasu dziura, która powstała po zatonięciu dwóch okrętów, zaczęła się z każdym dniem powiększać.

Vargas nie zgromadziłby jednak swojej ogromnej fortuny, gdyby poddawał się przy byle niepowodzeniu. Wprost przeciwnie, jego niskie pochodzenie i dzieciństwo, spędzone na ulicach Sewilli, zahartowały go, tak jak ogień żelazo. Manewrował więc umiejętnie, spieniężając dużą część swoich interesów. Sprzedał magazyny w Indiach Zachodnich, warsztaty w księstwach włoskich, fabryki we Flandrii. Kupił udziały w kopalniach metali szlachetnych i skorzystał ze swoich statków niewolniczych, aby dostarczyć do kopalni wytrzymałą siłę roboczą, która wydzierałaby bogactwo z wnętrza ziemi. Setki sztabek złota i srebra z pieczęcią Vargasa dotarły do mennicy w Meksyku w samą porę, aby zdążono je przetopić przed wypłynięciem floty do Hiszpanii. Korona obniżyła podatek od monet wybitych na terenie Indii Zachodnich, ale nie wszyscy kupcy doczekali się na swoją kolej w małej meksykańskiej mennicy i wielu zdecydowało się na transport surowego złota. Vargas dając łapówki i stosując wymuszenia, zdążył przetopić trzy piąte swojego kruszcu przed wypłynięciem floty. To był doprawdy potężny wysiłek, a zaczął się, jak wszystko, w tym niewielkim, słabo oświetlonym gabinecie, gdzie powstawały noty i instrukcje dla pół setki agentów, którzy

bez wahania wypełniali zleczone zadania na drugim krańcu świata.

Ładunek był ogromny. Pięćdziesiąt milionów reali wypełniało ładownie dwóch najlepszych galeonów Vargasa. Przemierzyły ocean wraz z pozostałymi statkami tworzącymi wielką flotę, pełne masztów miasto z drewna; wystawione na łaskę wiatru i fal, przewoziły bogactwo całej Europy i części Wschodu. Żaden pirat nie odważyłby się zbliżyć na odległość strzału do tego lasu armat, ale wielu czyhało na horyzoncie na jakieś problemy któregoś ze statków, na awarię, która uniemożliwiłaby mu dotrzymanie kroku reszcie floty. Wtedy rzuciliby się nań jak lwy na zranioną gazelę.

Tym razem statki Vargasa miały szczęście, zdołały umknąć morzu i korsarzom. Jednak ich ładunek miał wpaść w ręce większego drapieżcy: króla Hiszpanii, jego wysokości Filipa II.

– Niech lichy porwie te wasze wojny i klechów! – wrzasnął Malfini, grubymi paluchami mnąc dokumenty. – Oto przyczyny tego ogromnego zadłużenia Filipa.

– Ja bym powiedział, że i wasi rodacy ze swoimi dwudziestotrzyprocentowymi odsetkami mają z tym coś wspólnego, Ludovicu – odpowiedział Vargas, zmęczony narzekaniem genueńczyka.

Twarz bankiera poczerwieniała z wściekłości jak ogromna okrągła patelnia tuż po wyjęciu z formy kowala.

– To wasz król wysyła jednostkę za jednostką do Flandrii i przychodzi do nas po pożyczki, aby mieć czym za to zapłacić. To nie nasza wina, że jego szaleństwo jest większe niż jego dochody.

– Uspokójcie się, Ludovicu – przerwał mu Vargas, nie mając ochoty na kłótnie. – Wiedzieliśmy, że to się wydarzy. Teraz

musimy temu zaradzić. – Odebrał bankierowi dokumenty i położył je z powrotem na biurku, wygładzając strony i jednocześnie próbując uporządkować myśli. Nie było sensu się użalać: królowie i burze się zdarzają, czasem jakiś sztorm zatopi statek albo monarcha skorzysta ze swych praw.

Korona miała prawo skonfiskować wszelkie ładunki złota i srebra z Indii Zachodnich i zwrócić je po dwóch latach, wypłacając minimalne odsetki, znacznie niższe niż w przypadku pożyczek. Dlatego też kupcy rzadko ryzykowali tak wielkie kwoty jak zdesperowany Vargas. Zwykle woleli inwestować w przyprawy i niewolników, za których płacili wprawdzie wysokie podatki, ale nie obawiali się, że ładunek po dotarciu do portu zniknie w królewskim skarbcu.

– Dwa lata to mnóstwo czasu, *signore* Vargas. Wasze interesy nie wytrzymają tyle, jeśli utracicie płynność finansową.

– Nie dojdzie do tego. Decyzję podjęto w Madrycie, ale wciąż jeszcze wymaga zatwierdzenia przez urzędnika Izby Handlowej. Mamy cztery miesiące do momentu rozliczenia floty, dopiero wtedy konfiskata zyska moc prawną. A w ciągu czterech miesięcy wiele może się zdarzyć.

– Urzędnik zrobi to, co mu każe Madryt, jeśli tylko wie, że mu to wyjdzie na dobre.

– Może i tak, Ludovicu. Ale lepiej wy wywieźcie się o jego nazwisko i doradźcie mu, co jest lepsze dla niego.

Genueńczyk zbladł, zrozumiałszy znaczenie słów Vargasas: łapówka, wymuszenie lub zabójstwo. Nic, co by zbyt kolidowało z liberalnymi zasadami moralnymi Malfiniego. Tym, co go martwiło, był przedmiot takich praktyk.

– Groźby pod adresem urzędnika Izby Handlowej Sewilli to zdrada stanu, *signore* Vargas. Za to się płaci śmiercią – wymamrotał.

– Tylko jeśli was złapią, Ludovicu. Ale tego nie zrobią. Ktokolwiek to będzie, damy mu do wyboru worek złota albo...

Kupiec urwał w pół zdania z grymasem bólu na twarzy, z zeszywniałym ciałem i zaciśniętymi pięściami.

– Co się wam stało? – zapytał zaniepokojony Malfini. Jako że Vargas nie odpowiadał, wstał z trudem i podszedł do niego.

Wtedy Vargas upadł na podłogę, łapiąc się obiema dłońmi za prawą nogę, i zaczął krzyczeć.

V

Sancho przez kilka minut stał przed karczmą, do której skierował go brat Lorenzo, i wahał się, czy wejść. Po raz pierwszy w życiu miał wykonywać pracę, podczas której będzie zależny od nieznajomego, i w dole brzucha czuł coś, co niechętnie uznał za strach. Z zewnątrz miejsce to wyglądało jak dziura w ziemi. Było zlokalizowane w ciemnym zakątku wąskiej uliczki Espaderos. Aby dostać się do środka, trzeba było zejść po sześciu zużytych i nierównych stopniach, a następnie otworzyć drewniane drzwi prowadzące do sutereny. Przez zatłuszczone szyby w oknach dochodził gwar ożywionych głosów, co oznaczało, że nadeszła już pora obiadowa. Plakat w żywych kolorach przytwierdzony do drzwi obwieszczał, że jest to Karczma pod Czerwonym Kogutem. Sancho pomyślał, że artysta zamiast namalować koguta, chyba odrąbał mu głowę, położywszy go na tym papierze.

W końcu odważył się wejść do środka. Wewnątrz w pobliżu drzwi stała lada i siedem stłoczonych stołów, między którymi kręcił się łysy, brzuchaty mężczyzna, który rzucił Sanchowi gniewne spojrzenie.

– Spóźniłeś się! – krzyknął, nie przestając się krzątać między ławami.

Sancho chciał się usprawiedliwić, ale wyraz twarzy mężczyzny powstrzymał go przed tym.

– Idź na zaplecze i zabieraj się za zmywanie – powiedział karczmarz, wręczając mu ciężką drewnianą tacę pełną talerzy i misek.

Przez ponad trzy godziny Sancho pracował w kuchni bez słowa skargi, chociaż od aromatów dochodzących z pieca straszliwie zgłodniał. Miał nadzieję, że uda mu się zjeść jakieś resztki z talerzy klientów, ale karczmarz dyskretnie wrzucał wszystko do naczynia ukrytego za ladą – Sancho podejrzewał, że później przygotuje z tego krokiety.

Kiedy karczmarz, gotując zupę, zostawił na desce do krojenia skórkę z cebuli, Sancho włożył ją do ust i zaczął żuć z wysiłkiem. Prawie nic z niej nie wyciągnął, ale choć na kilka minut oszukał głód. Smaku skórki nie poprawiło nawet przyglądanie się pieczonemu, wciąż jeszcze dymiącemu kurczakowi, podawanemu z grubymi pajdami chleba zanurzonymi w smalcu. Aby się trochę podnieść na duchu, próbował przypomnieć sobie to, co zawsze mówiła o cebuli jego matka.

– Cebula jest jak życie, Sancho – twierdziła, trzymając go na kolanach i pokazując mu, jak ją oczyścić i obrać. – Na początku wyciska z oczu łzy, ale w końcu okazuje się, że była tego warta. Szczególnie smażona.

„Mam nadzieję, że to się sprawdzi również w przypadku pracy w karczmie” – pomyślał Sancho.

W końcu klienci zaczęli opuszczać lokal, pozostawiając za sobą odór potu, plamy z wina na klepisku i garść monet, które karczmarz skrupulatnie liczył i chował do kieszeni.

– Chodź tutaj, chłopcze.

Sancho podszedł do jednego ze stołów, przy którym usiadł jego nowy pracodawca. Stały na nim dwa talerze ze sztuccami, garnek gulaszu i pół bochenka chleba. Chłopiec patrzył na to wszystko zachłannym wzrokiem, ale karczmarz nie zaprosił go, by się posilił.

– Nazywam się Castro i prowadzę ten interes od zawsze – powiedział karczmarz takim tonem, jakby był samym arcybiskupem. – Zakonnik, który cię polecił, powiedział, że jesteś pracowity, ale też radził krótko cię trzymać. Mówił, że jesteś buntownikiem, ale że pracowałeś w oberży. To prawda?

– Tak, panie – odpowiedział Sancho, słysząc, jak burczy mu w brzuchu.

– Ile wody dodaje się do wina z Zafry? – rzucił Castro.

Czyste wino trzeba było mieszać z wodą, aby klienci, którzy nie pili niczego innego do obiadu, mogli zaspokoić pragnienie, nie upijając się pierwszym dzbanem, bo nic więcej już by nie zamówili. Do każdego wina zależnie od jego pochodzenia należało dodać inną ilość wody. Do wina z Zafry, bardzo słabego, niewiele można było dolać wody. Chłopak odpowiedział od razu, ponieważ setki razy słyszał, jaka jest właściwa proporcja.

– Jedną trzecią.

– A do Toro więcej czy mniej niż do Madrigala?

– Tyle samo do obydwu, połowę.

– Aljarafe?

- Tyle samo, co do Sierras, jedną czwartą.
- Jak długo mieszanka musi się odstać?
- Co najmniej cztery godziny.
- Aby zwiększyć konsystencję wina, lepiej dorzucić wapna czy gliny?

To była pułapka i Sancho spostrzegł ją z daleka.

- Są tacy, którzy używają i jednego, i drugiego. Ale moja matka zawsze mówiła, że ten, który tak robi, to oszust i drań.

Powiedział to, nie myśląc dwa razy, i od razu pożałował. Jeżeli Castro należał do tych, którzy stosowali takie metody, po tych słowach miałby prawo skrócić mu kark. Popatrzył z niepokojem na ogromne pięści karczmarza, ale ten nie wyglądał na urażonego.

- Mądra kobieta z twojej matki. No, przynajmniej nie jesteś nowicjuszem. Bóg mi świadkiem, że potrzebuję kogoś, kto wie, co robi, a nie zepsutego dzieciaka, któremu będę musiał ciągle wycierać nos. Co sądzisz o klienteli, która zjawiała się na obiad?

Ton jego głosu nieco się zmienił, teraz przyglądał się chłopcu, poważnie gładząc się po brodzie. Sancho zdał sobie sprawę, że wcześniejsze pytania były tylko wstępem. Teraz przyszedł czas na prawdziwy sprawdzian.

- Było dużo ludzi – powiedział ostrożnie.

Castro pokręcił głową z ironicznym uśmiechem.

- Dla wiejskiego oberżysty mogło to wyglądać na tłum. Ale to jest Sewilla, a dzień był spokojny. To nic w porównaniu z tym, co się dzieje podczas targów bydła, świąt czy Wielkiego Tygodnia. Wtedy przychodzi o wiele więcej ludzi. Jeśli będziesz pracował tak

wolno jak dziś, będę musiał wykopać twój chudy tyłek z powrotem do sierocińca.

Sancha przepełniło zniechęcenie. Kroił, zmywał, skrobał, obłupywał i płukał tak szybko, jak potrafił. Przez chwilę zamierzał się nawet poddać, przyznać, że to był błąd, ale nie chciał wracać do brata Lorenza z podkulonym ogonem. Musiał tutaj zostać sześć miesięcy, jeśli chciał dostać pracę u Malfinich.

– Postaram się – powiedział, zaciskając pięści. – Będę ciężko harował.

Castro skinął głową z powagą.

– To na pewno, chłopaku. Bo jak nie, to skręcę ci kark. A teraz siadaj i jedz, bo stygnie.

VI

Francisco de Vargas był człowiekiem odważnym i pryncypialnym. Wśród jego przekonań było i takie, że doktorzy zabierają więcej istnień, niż ratują, i dlatego też, pomimo całego bólu, jaki odczuwał, przez ponad dzień opierał się przed wezwaniem medyka. Kiedy w końcu zemdłał po raz drugi, jego klucznica zacisnęła usta i podjęła decyzję. Catalina była tylko niewolnicą, ale niewolnicą starą i doskonale się we wszystkim orientowała. Pomimo że jej pan nigdy wcześniej nie potrzebował ani też nie chciał widzieć lekarza, ona zawsze wiedziała, kogo zawiadomi, jeśli sytuacja będzie tego wymagała.

– Claro! – zawołała Catalina, wychylając się na korytarz.

Dziewczyna weszła do pokoju, z dłońmi na plecach, tak jak ją nauczyła matka. Nawet w migotliwym blasku świec Catalina wyczytała zatroskanie z twarzy swojej córki. Dla niewolników choroba pana była czasem wielkiej niepewności. Gdy właściciel umierał, wszystko zależało od tego, co zawarł w swoim testamencie, a nierzadko się zdarzało, że ich sytuacja się pogarszała. Często ich sprzedawano, aby spłacić długi lub by łatwiej podzielić schedę pomiędzy spadkobierców. Zmiany zwykle

nie były korzystne, a rodziny rzadko pozostawały razem. Dlatego Catalina nie zamierzała pozwolić Vargasowi umrzeć tej nocy bez walki.

Zanim przemówiła, przełknęła ślinę. Wysłanie dziewczyny na zewnątrz w środku nocy wymagało od niej ogromnej siły woli. Ale w kwestii tego zadania nie mogła zaufać żadnemu innemu służącemu.

– Musisz sprowadzić tutaj doktora Monardesa – powiedziała cicho. – Mieszka przy ulicy Sierpes, obok klasztoru Klarysek. To szalony i samotny starzec, ale mówią, że i najlepszy medyk w mieście.

Dziewczyna uważnie słuchała instrukcji matki. Bała się, oczywiście, ale była odważna. Zdoła przyprowadzić tu medyka.

– Don Francisco nie życzy tu sobie szarlatanów – przerwał im zza pleców oburzony głos.

Klucznica odwróciła się w stronę drzwi. Jeden ze służących blokował przejście. Był jednym z najstarszych w domu, więc jego opinia wiele znaczyła. Służba Vargasa podlegała Catalinie, ale status niewolnicy w wielu sytuacjach osłabiał jej pozycję. Służący, którzy zazdrościli jej stanowiska, wykorzystywali każdą nawet najmniejszą okazję, aby podkopać jej autorytet, choć nie wazyli się niczego powiedzieć panu domu – we wszystkich wzbudzał on śmiertelny strach. Klucznica wiedziała, że Vargas jest w pełni tego świadomy i bawi się tą sytuacją, a nawet sam podsyca konflikty, uznając to za sposób kontroli nad służbą, jednak to nie był dobry moment na intrygi.

– Don Francisco prosił mnie o to, nim zemdłał. Wolicie zaczekać, aż się ocknie lub umrze?

– Pan nigdy by na to nie pozwolił – powiedział służący, choć w jego głosie słychać już było niepewność. – A już na pewno, gdyby wiedział, że to ją posyłacie o tej godzinie.

– Chcecie ją zastąpić?

Sługa odsunął się, zaniepokojony tym pytaniem niewolnicy, i wyszedł z pokoju.

– Idź już, Claro – Catalina powiedziała do córki. – I nie wracaj bez Monardesa.

Zarzuciwszy sobie na ramiona grubą szarą pelerynę, Clara przekroczyła próg domu Vargasa i zanurzyła się w mrok nocy. Obłoki miedzianej mgły unosiły się nad brukiem, niemal niewidocznym w skąpym świetle rzucanym przez lampy zamożniejszych domów. Pomimo ciemności Clara nie wzięła ze sobą latarni, aby oświetlać sobie drogę, ponieważ wiedziała doskonale, że w ciemnych bramach i zaułkach czyhały na młodą kobietę większe niebezpieczeństwa niż to, że wpadnie do rynsztoka. Ze światłem w ręku byłaby bardziej widoczna.

Miała zaledwie piętnaście lat, ale doskonale знаła charakter tych zagrożeń, więc ukryła twarz pod kapturem i zaufała swojej pamięci, licząc na to, że rozpozna budynki i ulice. Co kilka minut napotykała grupki pijaków, minęła jakiś powóz, a nawet księdza, któremu towarzyszył ministrant. Ksiądz był ubrany na biało, a ministrant niósł świecę, więc Clara domyśliła się, że idą z komunią do umierającego. Jeśli Monardes nie zdoła pomóc jej panu, możliwe, że wkrótce i ona będzie musiała sprowadzić księdza.

Usłyszała jakiś hałas za sobą i wydało jej się, że to czyjeś kroki. Z sercem w gardle przywarła do muru, próbując się ukryć.

Odczekała kilka minut, ale na próżno, nikt się nie pojawił ani też nie usłyszała już kroków. Poczowała pokusę, by wrócić do domu Vargasa, ale nie chciała się narażać na kpiny służby.

W końcu pokonała strach i zmusiła się, aby pójść dalej wąską uliczką. Przejście na plac św. Franciszka było zablokowane przez jakieś ciało, może żebraka, który postanowił tam się przespać, a może jakiegoś głupca, który za dużo wypił. Sądząc po kwaśnym odorze moczu i wymiocin, pewnie to pierwsze. Clara nie widziała zbyt dobrze nawet jego ubrania, a co dopiero, czy wciąż oddycha. W świetle latarni na placu i księżyca wyglądającego znad domów Clara zobaczyła tylko brudną dłoń i bosą stopę. Zebrawszy się na odwagę, przeskoczyła nad ciałem i weszła na plac.

Przemierzyła opustoszały teren z nisko pochyloną głową. Teraz, gdy nie mogła ukryć się w cieniu budynków, czuła się całkowicie pozbawiona osłony. Po drugiej stronie placu pojawiła się grupka strażników i Clara przyspieszyła kroku, aby się z nimi nie spotkać. Ci uzbrojeni mężczyźni, którym król powierzył ochronę Sewilli, stanowili dla Clary takie samo zagrożenie, jak ulotne cienie, których obecność wyczuwała po obu stronach ulicy. A nawet większe, bo ich liczba i pozycja zapewniały im bezkarność – oskarżenia niewolnicy nie stanowiłyby dla nich zagrożenia.

W końcu dotarła do ulicy Sierpes. Klasztor klarysek był już niedaleko, a obok niego wznosił się niewielki dom z ogrodem. Na nadprożu drzwi ktoś wyrył wizerunek węża oplatającego kij, więc Clara wiedziała, że dotarła do celu.

Zastukała kilka razy kołatką, ale bez skutku. Przyłożyła ucho do drzwi, ale wewnątrz domu panowała cisza. Ponownie uderzyła

z całej siły i nagle kołatka wyskoczyła jej z rąk. Ktoś uchylił drzwi.

– Czego chcecie o tej porze? – rzekł zaspany głos.

Dziewczyna usiłowała zobaczyć, kto do niej mówi, ale w środku panowały ciemności.

– Przysyła mnie mój pan. Ma silne bóle w nodze, już kilkakrotnie zemdlał.

– Przyniosłaś pieniądze?

Clara zaprzeczyła ruchem głowy.

– Budzisz medyka w środku nocy i nie przynosisz pełnej sakiewki? – Głos stał się twardy i pobrzmiwała w nim złość. – Niezbyt roztropny ten twój pan, doprawdy.

– Mój pan to don Francisco de Vargas – powiedziała Clara, starając się, by jej głos brzmiał zdecydowanie.

W środku zapanowała cisza. Po kilku chwilach drzwi nieco szerzej się uchyliły, wystarczająco, aby dziewczyna mogła wejść. Tłumiąc strach, Clara zanurzyła się w ciemnościach domu. Usłyszała lekkie stuknięcie za plecami, znak, że drzwi się zamknęły.

– A więc don Francisco kazał wezwać medyka – powiedział głos w ciemności. – Musi więc być rzeczywiście zdesperowany.

Clara wyczuła ruch wokół siebie, jednak nie potrafiła jasno określić, co się dzieje. W końcu iskry przełamały ciemności i świeca oświetliła ogromne pomieszczenie. Jego środek zajmował duży stół zastawiony kolbami, misami, talerzami, moździerzami, garnkami i innymi przyrządami, których Clara nigdy wcześniej nie widziała.

Świecę trzymał szczupły i siwy człowieczek o prostym nosie i spiczastej brodzie. Miał na sobie tylko myckę i koszulę nocną – białe, kościste łydki wystawały spod niej jak dwa kijki.

– Mówią, że twój pan nigdy nie wezwał medyka. W każdym razie nie po tym, co stało się z jego małżonką nieboszczką.

– Teraz też o to nie prosił, panie. Stracił przytomność.

Kiedy medyk to usłyszał, przez jego twarz przemknął cień podejrzenia.

– To nie jest jakiś podstęp? Kto cię tu przyprowadził?

– Nikt, panie.

– A co dolega twojemu panu?

– Trawi go gorączka i ma silne bóle w nodze.

Monardes podszedł do drzwi i otworzył wąskie okienko judasza. Przez chwilę wyglądał na zewnątrz, po czym się odwrócił.

Wydawał się spokojniejszy.

– Sama w środku nocy, bez pozwolenia twojego pana... doprawdy musisz być kimś wyjątkowym. – Pokuśtykał w jej stronę i podniósł świecę. – Odkryj twarz, chcę ci się przyjrzeć.

Dziewczyna zsunęła kaptur z głowy. Lekarz ledwie powstrzymał okrzyk, zobaczywszy przecudnej urody twarz dziewczyny, okoloną gąszczem kruczoczarnych włosów. Zbliżył się jeszcze bardziej, uważnie się jej przyglądając.

– Pełne, ale eleganckie usta, migdałowe oczy, brązowa cera... Jesteś Karaibką. – Clara, zaskoczona tym badaniem, ograniczyła się do skinienia głową. – Ale twoje rysy są bardzo delikatne. Twój ojciec jest Hiszpanem?

– Nie wiem, panie – odpowiedziała Clara z lekkim zawstyżeniem. Niewolnice bardzo często rodziły dzieci,

a tożsamość ojca rzadko wychodziła na jaw. Mógł nim być inny niewolnik, służący, a nawet sam pan. Catalina nigdy nie opowiadała Clarze o jej ojcu, choć ona jako dziecko dopytywała się o niego.

Monardes delikatnie ujął jej podbródek, szukając znaku niewolnictwa, który zwykle wypalano na twarzy. Jednak idealna skóra Clary nigdy nie doznała tej tortury. Dziewczyna podniosła nadgarstek, pokazując żelazną obręcz, na której wyryto nazwisko Vargasa.

– Sądziłem, że już nie wolno mieć Karaibów jako niewolników.

– Moja matka walczyła przeciwko konkwistadorom, panie – powiedziała Clara, czując się coraz bardziej niezręcznie.

Doktor odsunął dłoń od twarzy dziewczyny. Smukłe palce pozostawiły na skórze lodowate wspomnienie, ale Clara oparła się pokusie potarcia miejsca, którego dotykały.

– A ty urodziłaś się już tutaj.

– Tak, panie.

Monardes w roztargnieniu skinął głową i odwrócił wzrok, tak jakby zagadka przestała go interesować, gdy tylko została rozwiązana. Rzeczywiście w Hiszpanii było bardzo niewiele niewolników pochodzących z Indii Zachodnich. Kiedy Kolumb odkrył Nowy Świat, odmalował przed Izabelą Katolicką wspaniały obraz zamieszkujących go ludzi, a ona ogłosiła ich swoimi poddanymi. Dlatego też Hiszpanie nie mogli brać Indian w niewolę i nie próbowali tego robić. Panowało przekonanie, że są z nich leniwi i słabi robotnicy, pracowali źle lub niechętnie. To sprzyjało interesom handlarzy żywym towarem, którzy do pracy

w kopalniach i na plantacjach po drugiej stronie oceanu przewozili niewolników z Afryki.

Niewolników pochodzących z Indii Zachodnich niemal nie było, wyjątek stanowili ci, którzy powstałi zbrojnie przeciwko Hiszpanom. Tak właśnie postąpili dumni Karaibowie. Postanowili walczyć z wrogiem, ale nie zdołali go pokonać swoją prymitywną bronią. Ci, którzy przeżyli, trafili do niewoli. Również Clara wchodziła w skład tej grupy, ponieważ status niewolnicy odziedziczyła po matce.

– Jak ci na imię, dziewczyno?

– Clara.

– Świetnie, Claro z Karaibów. Zaczekaj tutaj, a ja się przygotuję.

Monardes wrócił po kilku minutach, ubrany w czarne spodnie i kaftan, zgodnie z sewilską modą. Ze stołu i stojącej obok szafy wybrał różne przedmioty i włożył je do skórzanej torby wiązanej sznurkiem. Kiedy skończył, odwrócił się do Clary i lekko skłonił.

– Obawiam się, że do tej pory się nie przedstawiłem. Nicolás de Monardes, medyk i zielarz.

Po tej prostej prezentacji wykonał ukłon, który nie mieścił się w kanonie zachowania zamożnego człowieka wobec prostej niewolnicy. Clara nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, choć niezwykle gest ją poruszył. Ten człowiek był najdziwniejszą osobą, jaką spotkała w życiu.

– A teraz, za mną, Claro z Karaibów. Pójdźmy zobaczyć twojego pana.

Droga powrotna zajęła im więcej czasu niż wcześniejsza wędrówka Clary. Stary lekarz szedł z trudem i zatrzymywał się co

kilka ulic, aby złapać oddech, ale idąc z nim, Clara się nie bała. Mężczyzna roztaczał wokół siebie aurę władzy, choć nie był uzbrojony. Nikt ich nie niepokoił i udało im się dotrzeć do rezydencji Vargasa bez żadnych problemów. Te ostatnie pojawiły się, gdy tylko lekarz znalazł się w sypialni chorego, który był już znów przytomny i wył z bólu. Zobaczywszy Monardesa, Vargas zaprotestował gwałtownie, na chwilę zapominając o swoim cierpieniu. Medyk kazał Catalinie i Clarze wyjść i zamknął za nimi drzwi. Niewolnice pozostały za drzwiami. Wrzaski ich pana stopniowo cichły, ale one nie słyszały, co lekarz mówi do niego wolno, miękkim głosem.

Po chwili Monardes wychylił się zza drzwi, prosząc o wrzątek, a kiedy go otrzymał, ponownie zamknął się z chorym. Po godzinie stanął w progu. Miał cienie pod oczami i drżały mu ręce.

– Wystarczy na dziś.

– Jak on się czuje? – zapytała z niepokojem Catalina.

– Śpi teraz. Przygotujcie dodatkowe łożo, żeby i biedny starzec mógł się położyć – powiedział lekarz, odmawiając dwóm niewolnicom dalszych wyjaśnień.

VII

Praca w karczmie była niezmiernie wyczerpująca.

Jednak duma nie pozwalała Sanchowi zrezygnować. I jeszcze niepewność, jaka przyszłość czekałaby go na ulicy, bez pracy i kogokolwiek, kto by się za nim wstawił. Czasem widywał takich porzuconych łobuziaków zaglądających przez okna, z zapadłymi, głodnymi oczami, wychudzone i nagie dzieci, niczym kościste i bezimienne duchy. Raz nie wytrzymał tych spojrzeń i wychylił się za próg Czerwonego Koguta z koszykiem chleba – dzieciaki w mgnieniu oka wyrwały go z jego dłoni. Castro sprawił mu za to niezłe lanie, ale chłopak się tym nie przejął.

Karczmarz nieraz go okładał, niemal bez przerwy częstował go pacnięciami w głowę i kopniakami w tyłek. Niezbyt silnymi, ale bardzo upokarzającymi.

– Ruszaj się, smarkaczu – mawiał, kręcąc głową i spoglądając na klientów, jakby szukał u nich aprobaty. Wymieniali oni z Castrem porozumiewawcze spojrzenia i rechotali, prezentując na wpół przeżute jedzenie w ustach lub rozlewając wino na klepisko.

Sancho zaciskał zęby i czekał.

Nie minął tydzień, a już nienawidził Castra ze wszystkich sił. Poza momentem, kiedy zasiadali do stołu. Z karczmarza był kawał drania, ale i wspaniały kucharz, i nie żałował Sanchowi jedzenia. Jedli w milczeniu, wiosłując łyżkami, każdy ze wzrokiem wbitym w swój talerz. Chłopak był tak szczęśliwy, mogąc napełnić żołądek i usiąść na chwilę, iż niemal czuł wdzięczność do karczmarza. Jednak gdy wracali do pracy, a wspomnienie smaku potraw rozmywało się pod wymierzonymi razami i przy dźwiękach pogardliwego śmiechu, uraza wracała do jego serca.

W nocy spał na podłodze w kuchni, na starych pledach, i śnił o morzu i o Indiach Zachodnich. Roił sobie, że dostaje się na statek na gapę lub zaciąga się jako majtek, chociaż od dawna wiedział od brata Lorenza, że tych pierwszych wyrzucano z pokładu, a ci ostatni pozostawali na nim aż do śmierci. Widział zbyt wielu zezwierzęconych marynarzy włóczących się po ulicach Sewilli, aby nie rozumieć, że to nie jest właściwa droga. Aby dostać się na drugi kraniec świata, potrzebował właściwego zawodu lub środków, a obie te rzeczy mógł zdobyć jako uczeń u bankiera. Nie obchodziło go, że był to zawód źle widziany przez bardzo religijne społeczeństwo Sewilli, które osoby go wykonujące uznawało za lichwiarzy. Ponury widok rozklekotanych ław i klepiska brutalnie wyrywał go z sennych marzeń zaraz po przebudzeniu. W głębi pomieszczenia znajdowały się niewielkie drewniane schody prowadzące do izb sypialnych na pierwszym piętrze. Mieściły się tam trzy pomieszczenia połączone wąskim korytarzem. W pierwszym spał Castro. Środkowa sypialnia była wolna, karczmarz trzymał tam jakieś rupiecie, a tę w głębi

korytarza zajmowała jedna z trzech osób, które miały na zawsze zmienić życie Sancha.

Sancho po raz pierwszy zobaczył gościa Czerwonego Koguta dwa dni po tym, jak rozpoczął pracę w karczmie. Castro nie wspominał mu o nim wcześniej ani też nie powiedział zbyt wiele zapytany przez chłopaka.

– To Irlandczyk uciekający przed prześladowaniami tych przeklętych anglikańskich heretyków. Nie mówi po chrześcijańsku, płaci kiepsko i z opóźnieniem, ale przyjmując go, wypracowuję sobie miejsce w niebie.

Wypiął pierś, czekając na pochwałę swojego pobożnego uczynku, ale Sancho, który na całym ciele nosił dowody dobroczynności karczmarza, nic na to nie rzekł.

– Sądzicie, że walczył z Anglikami? – zapytał z szeroko otwartymi oczyma.

– A ty coś taki ciekawski się zrobił? Bierz się za zmywanie, smarkaczu! – odpowiedział Castro, kopniakiem popychając go na balię do zmywania naczyń pełną brudnej wody.

Od tej pory w Sanchu rozgorzała ciekawość i zaczął się z większym zainteresowaniem przyglądać dziwnemu gościowi. Przybysz był średniego wzrostu, młody i przystojny, choć włosy zaczynały mu już się przerzedzać na czole, tworząc niewielką brązową wysepkę w miejscu, gdzie inni mieli grzywkę. Jego skromne ubranie w brązowym kolorze – wśród Kastyljczyków i Andaluzyjczyków w modzie była surowa czerń – nie rzucało się w oczy. Nigdy nie nosił rapiera ani innej broni na widoku, ale zawsze miał przy sobie świece i ryzy papieru. Czasem przez kilka dni siedział w swojej izbie i nie otwierał drzwi albo w ogóle nie

wracał na noc. Kiedy się pojawiał, witał się skinieniem głowy i znikał na górze.

Tak było zawsze, ale nie tego dnia.

Przyszedł po południu, kiedy karczma była niemal pusta, a Castro ucinał sobie drzemkę za ladą. Tym razem nie wszedł na górę, tylko usiadł w głębi lokalu. Sancho zaintrygowany podszedł do niego, a obcokrajowiec za pomocą gestów poprosił o coś do picia.

Starając się nie hałasować, Sancho wbił kurek w najlepszą beczkę wina z Toro. Gdy napełniał dzban, wsłuchiwał się uważnie w chrapanie karczmarza – Castro zabronił mu dotykać beczek z dobrymi czerwonymi winami i gdyby się w międzyczasie obudził, konsekwencje byłyby bardzo nieprzyjemne. Postawił dzban na tacy, wziął czysty kielich i podszedł do stołu obcokrajowca.

Odkąd zaczął się nim interesować, wysuwał setki różnych teorii wyjaśniających powody pobytu tego człowieka w Sewilli. Planował z nim porozmawiać, wyciągnąć z niego jego historię, wykorzystując do tego celu dobre wino. Może nawet usłyszałby jakąś opowieść o bitwach z heretykami... Ale gość nie dał mu takiej szansy. Wziął dzban z jego dłoni i przyłożył bezpośrednio do ust, ignorując kielich. Trzymał go w górze przez dobrą chwilę, podczas gdy ciecz, której nie zdołał przełknąć, spływała mu po brodzie i szyi i zabarwiała krezę szkarłatem.

Sancho obserwował w zdumieniu, jak jego grdyka unosi się i opada, aż dzban był pusty.

„Nigdy nie widziałem, żeby komuś tak spieszo było się upić” – pomyślał Sancho.

Obcokrajowiec głośno beknął i ponownie kiwnął na chłopaka, aby ten przyniósł wina. Sancho zauważył, że mężczyzna ma wykrzywioną twarz, przekrwione oczy i brudne ubranie. Wyglądał, jakby nie spał od wielu dni.

Ponownie przyniósł mu dzban, obawiając się, że i ten opróżni z taką samą desperacją, z jaką zajął się pierwszym, ale gość wziął go w drżące dłonie i nalał sobie wina do kielicha. Sancho przyglądał mu się, wciąż trzymając tacę w ręku, i czekał. Zamierzał coś powiedzieć, ale obcokrajowiec odprawił go gestem.

Po raz pierwszy krzyknął pół godziny później. Już od jakiegoś czasu mówił do siebie, po cichu, ciepłym i miłym tonem, który Sancho słyszał nieraz z ust pijaków podczas dwóch tygodni swojej pracy w karczmie. Jednak niewielu z nich przechodziło do wrzasków na pozostałych klientów i wchodziło na stół.

– Co się tu dzieje, u diabła? – zagrzmiął głos Castra.

Twarz karczmarza była czerwona, a na policzkach miał odcisnięte słoje drewna z lady, na której drzemał. Zawsze budził się ze swych krótkich drzemek w zrzędlwym nastroju, a to, że zobaczył obcokrajowca stojącego na stole i śpiewającego na cały głos, dodatkowo go rozwścieczyło.

– Irlandczyk za dużo wypił, panie.

– Jak się nie zamknie, to skręcę mu kark! Odstrasza mi klientów – powiedział Castro, który już złapał patelnię sporych rozmiarów i ważył ją w dłoni.

W tej chwili Sanchowi przypomniało się, że w beczce z najlepszym winem został kurek, i poczuł, jak serce mu przyspiesza. Jak mógł być tak głupi, żeby sądzić, że Castro nie odkryje, co zrobił? Jeśli tylko się odwróci, natychmiast się

zorientuje, a na dodatek obcokrajowiec nie zapłacił. Nic by też nie pomogło to, że Castro rzuciłby się na Irlandczyka z patelnią, bo wtedy zaatakowany opuściłby karczmę, a karczmarz obwiniłby Sancha o utratę jedyne go stałego gościa.

Sancho wiedział, że trudno będzie uciec przed furją karczmarza, ale mógł chociaż próbować załagodzić nieco sytuację. Sprawić, by Irlandczyk zamilkł i zapłacił rachunek.

– Pozwólcie mi z nim porozmawiać.

– Porozmawiać z nim? Przecież on guzik rozumie.

– Ale ja, panie, potrafię trochę mówić po angielsku. Może mnie zrozumie.

– Dobrze, byle szybko się zamknął, bo jak nie, to przetrączę mu kark!

Gość, nieświadomy niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, wyśpiewywał ile sił w płucach jakąś pieśń, z której Sancho ledwie wychwytywał pojedyncze słowa. Wiedział, że Irlandia ma własny język, ale słyszał też, że wielu jej mieszkańców rozumie język heretyków.

– Panie! – powiedział Sancho po angielsku, podchodząc do stołu.

Wołał tak wiele razy, ale Irlandczyk nie zwracał na niego uwagi i wciąż śpiewał i wymachiwał ramionami, tuląc i co jakiś czas przystawiając do ust pusty już dzban. W końcu Sancho, zmęczony czekaniem, złapał obcokrajowca za kaftan i pociągnął tak, że ten upadł tyłkiem na stół. Pieśń gwałtownie się urwała.

– Jak śmiesz, zuchwały chłopcze? Przeklęty czosnkiem śmierdzący kraj barbarzyńców i Maurów! – wrzasnął obcokrajowiec.

– Uważajcie, kogo nazywacie Maurem, panie. Może i jesteście gościem w tym domu, ale karczmarz nie zawaha się ani chwili przed nadzianiem was na rożen.

– Niech spróbuje, droga wolna. Poddanych królowej Elżbiety niełatwo przestraszyć – mruknął gość, rzucając w stronę Castra wyzywające spojrzenie.

Nawet przez opary alkoholu, które zaciemniały mu umysł, obcokrajowiec szybko zdał sobie sprawę z tego, co powiedział, i że ten, który stał przed nim, rozumie go. Błady, odwrócił znów twarz w stronę Sancha.

– Jesteście Anglikiem! – powiedział chłopak, podnosząc głos.

– Cicho, cicho, chłopcze – odpowiedział ten drugi, podnosząc palec do ust. Jeszcze walczył z winem, bo pomimo strachu, przyjrzał się swojemu własnemu palcowi, stłumił chichot, po czym spoważniał. – Jestem biednym wygnańcem, ofiarą prześladowań religijnych. Męczennikiem!

– Uciekacie, panie, przed heretykami?

– Heretykami? Ach, tak. Przed heretykami, przeklętymi heretykami. Chcą nas powiesić, wszystkich dobrych papistów takich jak ja.

– My się nie nazywamy papistami, panie – powiedział Sancho zdeorientowany gadaniną i ujęty olśniewającym uśmiechem obcokrajowca.

– Ach, nie? A jak się nazywamy, jeśli można wiedzieć?

– Dobrymi chrześcijanami, panie. Tylko ci wieprzowaci heretycy nazywają nas papistami. To oni muszą nas jakoś odróżnić, panie.

Z lodowatym uśmiechem na twarzy obcokrajowiec podszedł do Sancha i zniżył głos.

– A więc nie powinniśmy nigdy więcej używać tego słowa, nie sądzisz?

Sancho z powagą pokręcił głową.

– Pewnie nie, panie, bo w przeciwnym wypadku bylibyście wrogiem mojego króla i mojego Boga.

Obcokrajowiec przełknął ślinę. Hiszpania i Anglia już od trzech lat prowadziły wojnę. Zaledwie kilka miesięcy temu wypłynęła stworzona przez Filipa II potężna armada, aby zetrzeć heretyków z powierzchni ziemi i zrzucić z tronu tę sukę Elżbietę. Jednak połączone siły żywiołów i przebiegłego pirata Drake'a przyniosły tysiące ofiar i upokorzenie Hiszpanii. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Komisarze do spraw zaopatrzenia przemierzali pola, wyrywając głodującemu ludowi zapasy, aby zaopatrzyć nowe galeony, i zrzucając winę za tę grabież na złego wroga. Heroldzi ze swoich narożników i księży z ambon podpuszczali ludność, podsycając tradycyjną hiszpańską nienawiść do Anglików. Gdyby Sancho wskazał na obcokrajowca palcem, poważani mieszkańcy Sewilli ustawiliby się w kolejce, aby go podziurawić.

– Jesteście młodzi, mój przyjacielu, jeszcze dużo świata musicie zobaczyć. Nie dajcie się zwieść fałszywemu wrażeniu.

Chłopak przyglądał się uważnie pijanemu. Ten człowiek był oszustem, a już na pewno uciekał przed czymś, ale wyglądał na nieszkodliwego szaleńca. Żaden szpieg nie kamuflowałby się tak marnie. Tajemnica otaczająca tego człowieka tylko podsyciła ciekawość Sancha. Nie zamierzał oddawać kogoś tak fascynującego w ręce sprawiedliwości czy rozochoczonego motłochu.

– Najbardziej prawdopodobne jest to, że jesteście dobrym Irlandczykiem prześladowanym przez heretyków – powiedział chłopak, udając, że wciąż ma wątpliwości. – Przysięgnijcie, że nie jesteście szpiegiem.

– Przysięgam na Najświętszą Panię – zapewnił go obcokrajowiec, żegnając się wielokrotnie. Był tak pijany, że ani jeden znak krzyża nie wyszedł mu prosto.

– W takim razie, jako dobry Irlandczyk, powinniście udać się do waszej izby.

Obcokrajowiec przytaknął i wsparł się na ramieniu Sancha, aby wejść schodami na górę. Dotarłszy do korytarza, upadł i pociągnął za sobą chłopca. Sancho musiał włożyć wiele wysiłku, by go podnieść i doprowadzić do izby. Już wychodził, kiedy głos gościa zatrzymał go w drzwiach.

– Zaczekaj, chłopcze, nie powiedziałaś, jak ci na imię.

– Sancho, panie.

– *Sanso* – powtórzył ten drugi; język mu się plątał.

– Sancho, panie.

– No właśnie mówiłem, *Sanso*. – Anglik padł na łoże. Choć już leżał, wykonał gest, jakby zdejmował kapelusz, po czym się przedstawił. – William Szekspir, do usług. Aktor, wędrowiec i poeta. Po trosze z każdego z tych trzech i obawiam się, że wiele z żadnego.

VIII

– Nie mogę już przychodzić, aby zajmować się wami, panie – rzekł Monardes z powagą.

Vargas, zaskoczony, przestał pić napar. Odsunął filiżankę z porcelany tak cienkiej, że niemal przezroczystej, i odstawił ją na nocny stolik.

Minęły dwa tygodnie od bolesnego początku jego choroby. Jak się okazało, była to podagra. Ta diagnoza spadła na niego jak młot. Choć nie był już człowiekiem młodym, nie uważał się też za starego, a podagra niewątpliwie należała do chorób trapiących starsze osoby. Ostatecznie to przecież podagra usunęła z tronu potężnego cesarza Karola i zmusiła go, by dożył swych dni w klasztorze Yuste, samotny i zapomniany.

Upadek starego króla również rozpoczął się od ostrego bólu w stopie, która napuchła, osiągając rozmiar dwukrotnie większy od normalnego. Cesarz zawierzył różańcowi i mszom, jednak nie okazały się one skuteczne. Na dworze mówiono, że pod koniec jego zgniła stopa cuchnęła tak bardzo, że trzeba było chłostą zmuszać niewolników do zmiany bandaży.

Przerażony tą perspektywą kupiec przez kilka dni po usłyszeniu diagnozy nic nie mówił i niemal nic nie jadł. Jednak aby pokonać człowieka tak wielkiego formatu jak Francisco de Vargas, który przywykł do niszczenia wszystkich i wszystkiego, co stało mu na drodze, trzeba było czegoś więcej niż tylko śmiertelnej choroby. W miarę jak przyjmował ją do wiadomości, wracały mu też chęci, aby stoczyć z nią walkę. W końcu mógł żyć jeszcze wiele lat, a nawet dekad.

Oczywiście jeśli będzie miał właściwą opiekę. Dlatego też słowa Monardesa zaskoczyły go i przestraszyły.

– Mówiliście, że będziecie mnie leczyć tak długo, jak będziecie w stanie.

– Wypijcie lekarstwo – odrzekł Monardes, podając mu filiżankę.

– Smakuje obrzydliwie.

– Napar z sasafrasu jest gorzki, ale pomaga zmniejszyć stan zapalny. Jutro będziecie mogli wstać z łoża.

Było to prawdą. Jeszcze tydzień temu z trudem znosił dotyk prześcieradła na dużym palcu u stopy. A teraz opuchlizna praktycznie już ustąpiła, pozostawiając tylko zaczerwienioną skórę i nieprzyjemne swędzenie. Nie wolno mu było się drapać, a zimne okłady, które mu aplikowano, pomagały złagodzić świąd, ale tylko w minimalnym stopniu.

– Czy chodzi o pieniądze? Mogę podwoić wasze wynagrodzenie, jeżeli tego chcecie.

Monardes rozejrzał się dookoła. Srebrny krucyfiks inkrustowany kamieniami szlachetnymi dzielił ścianę z obrazami różnych świętych i wizerunkami Najświętszej Pani. U stóp miękkiego łoża z baldachimem stała tłoczona skrzynia. Łoże było

tak wielkie, że zmieściłyby się na nim cztery osoby, i jeszcze zostałyby wolne miejsce.

– Nie wątpię, panie. Dla was wszystko jest kwestią pieniędzy, prawda?

– Życie mnie nauczyło, że wszystko można kupić.

– Tylko nie więcej życia. A tego właśnie mi brakuje.

– Co chcecie przez to powiedzieć, doktorze?

– Jestem bardzo starym człowiekiem, panie. Wątpię, abym przeżył kolejną zimą, a z pewnością nie przeżyję dwóch – odrzekł Monardes, zbierając swoje maści i buteleczki, i wkładając je do torby. – Każdy krok i każdy oddech to dla mnie nowe zwycięstwo. Mam więcej pieniędzy, niż mogę wydać, a jedyne, czego pragnę, to wrócić do mego ogrodu, pomiędzy moje zioła i paprocie. Chcę widzieć, jak rosną, a potem stanę się kompostem dla nich. Codzienne wizyty u was zabierają mi zbyt wiele czasu.

W tym momencie Vargas odrzucił pościel i z trudem podniósł się z łoża. Kiedy opierał się na chorej stopie, jego usta wykrzywił grymas bólu, jednak i tak udało mu się dokuśtykać do Monardesa, który przyglądał mu się z mieszaniną zdziwienia i strachu na twarzy. Nie był to zwykły pacjent. Należał do najbardziej wpływowych ludzi w Sewilli, a jego reputacja bezwzględного okrutnika dotarła nawet do spokojnego ogrodu medyka. Jeśli wierzyć pogłoskom, niewielu odważyło się sprzeciwić jego woli, a ci, którzy to zrobili, często kończyli żywot w nieprzyjemny sposób. „Mokry grób w Gwadalkiwirze. Zwłoki unoszące się na wodzie, spuchnięte, nie do rozpoznania. Im bardziej kurczowo trzymamy się życia, tym mniej nam go zostaje” – pomyślał Monardes.

– Musicie uważać, panie...

Vargas złapał go za ramię z siłą, która zaprzeczała jego kondycji.

– Czego chcecie?

– Możecie znaleźć innego medyka, który się wami zajmie – odrzekł Monardes słabym głosem.

– Medycy to kłamliwi i godni pogardy szarlatani, którzy przysparzają więcej bólu, niż ujmują, i na dodatek jeszcze każą sobie za to płacić. Chcę was.

– Przykro mi z powodu tego, co stało się z waszą małżonką, jednak...

Kiedy Vargas usłyszał te słowa, jego twarz ściągnęła się w mieszance gniewu i bólu. Uniósł pięść ponad głowę Monardesa, a starzec skulił się przerażony. Jednak zanim padł cios, do sypialni weszła Catalina, niosąc w rękach tacę. Przerazona niewolnica stanęła w drzwiach. Jej pojawienie się uratowało lekarza.

Monardes otworzył oczy w samą porę, aby zobaczyć, jak wściekłość znika z oblicza Vargasasa niczym odpływająca fala, a pozostaje tylko smutek. Kupiec opuścił ramię i ponownie usiadł na łożu.

– Lucinda miała ciągłe migreny, a znachorzy upuszczali jej krwi, aby jej ulżyć. Byłem w podróży, kiedy jeden z tych durni upuścił jej zbyt dużo.

Starzec milczał. To się od czasu do czasu zdarzało: zbyt słaby pacjent, niedouczony lekarz często upuszczający krwi, bo to jedna z niewielu metod, jakie zna i jakie robią wrażenie na jego klientach. Monardes znał tę historię, wiedział też, co się stało

z tym nieodpowiedzialnym doktorem, który zostawił jedną z żył otwartą zbyt długo. Tydzień później znaleziono go wiszącego do góry nogami na haku w rzeźni. Ścięto mu głowę i całą krew z jego ciała zebrano do metalowego garnka.

– Pytam ponownie, Monardes. Czego chcecie?

– Nie chcę nic dla siebie. Ale może jest jakiś sposób, aby wam pomóc.

– Mówcie prędko!

– Dajcie mi dziewczynę z Karaibów. Waszą niewolnicę, Clare.

Catalina, która otrząsnęła się już z szoku i zaczęła sprzątać po śniadaniu swojego pana, usłyszawszy to, zaczęła drżeć.

Porcelanowa filiżanka spadła z tacy i roztrzaskała się w drobny mak na podłodze. Niewolnica spojrzała na skorupy z przerażeniem, bo za cenę takiej filiżanki można było przez miesiąc wyżywić całą rodzinę. Kiedy jej pan przemówił, jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

– Catalino, wyjdź.

– Panie, muszę to sprzątnąć...

– Zrobisz to później.

Monardes widział, że niewolnica jest rozdarta między strachem a pragnieniem usłyszenia dalszej części rozmowy, była wszak świadoma, że w tej komnacie waży się los jej córki. Ostatecznie opuściła głowę i wyszła z pomieszczenia, choć Monardes mógłby się założyć o własne życie, że stanęła tuż za drzwiami.

– Nie zrozumiałem was – powiedział Vargas, kiedy niewolnica wyszła.

Przyglądał się medykowi zmrużonymi oczami, sztywny w ramionach. Coś w jego postawie się zmieniło, kiedy Monardes

wspomniał o młodziutkiej Clarze.

– Panie, moje zmęczone nogi nie mogą codziennie przemierzać tej drogi, ale ona jest młoda i silna. Od lat nie mam ucznia, żyję samotnie w wielkim i pustym domu. Mógłbym jej przekazać swoją wiedzę o ziołach i preparatach, a poza tym ulżyłaby mi w samotności.

– Sądzicie, że byłaby zdolna do nauki? To tylko niewiasta.

– Jest odważna. Przyszła po mnie sama w środku nocy.

– To akurat nie jest oznaką inteligencji – odrzekł Vargas lekceważąco. – Wręcz przeciwnie.

– To było lekkomyślne. Ale możliwe, że tamtej nocy uratowała wam życie.

Vargas milczał przez chwilę, przygotowując się do zadania następnego pytania.

– A co dokładnie macie na myśli, mówiąc o „ulżeniu w samotności”, doktorze?

– Nie ma się czego przy mnie obawiać, panie.

– Tak słyszałem. Inaczej, gdyby chodziło o chłopca, nieprawdaż?
– rzucił Vargas z okrutnym uśmiechem.

Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, w komnacie słychać było tylko trzask ognia w kominku, a Vargas napawał się ewidentnym upokorzeniem lekarza wywołanym tak poważnym oskarżeniem.

– Jak mówiłem, panie, przy mnie nie ma się czego obawiać – po chwili bardzo wolno odrzekł Monardes.

Vargas wzruszył ramionami zawiedziony, że nie zdołał wywołać wybuchu wściekłości, o jaki mu chodziło, ale nie miał wyboru, musiał ustąpić.

– Macie moją zgodę. Zabierzcie ją ze sobą. Ale co dzień musi mieć przerwę w nauce, aby mogła przychodzić tutaj mnie pielęgnować. A po waszej śmierci na zawsze wróci do tego domu.

IX

Opuściwszy Williama, fałszywego Irlandczyka, Sancho zszedł po schodach na dół do karczmy. Tam już czekał na niego Castro z zaczerwienioną twarzą i zaciśniętymi pięściami.

– Dawaj pieniądze.

Chłopak poczuł, jak ogarnia go strach. Otworzył wino z Toro w nadziei, że uda mu się zdobyć zaufanie obcokrajowca, jednak powinien był zażądać zapłaty z góry, jak zwykle, kiedy podawał wino dobrej jakości. W karczmie zapanowała głucha cisza, a trzech czy czterech klientów przy stołach uważnie śledzili tę scenę.

– To będzie piętnaście maravedí – powiedział Castro z naciskiem, rozwścieczony. – Jeżeli dostałeś napiwek, możesz go zatrzymać.

Sancho rzucił szybkie spojrzenie w stronę drzwi, oceniając szanse ucieczki, ale karczmarz przewidział jego ruch, jeszcze zanim jego stopy się poruszyły. Podniósł rękę i jednym ciosem powalił go na ziemię. Chłopak spróbował się wymknąć, wczołgując się pod ławę, ale silne dłonie karczmarza złapały go za kostki i wyciągnęły z powrotem.

– Idiota! Bezużyteczny idiota! – krzyczał Castro, wymierzając mu kopniaki.

Sancho usiłował się zwinąć w kłębek na podłodze, zakrywał twarz przedramionami i zaciskał zęby, aby nie krzyzczeć. Skoro nie mógł uciec przed razami, starał się chociaż nie dać tej bestii satysfakcji. Ciosy spadały na niego raz za razem, a on starał się je liczyć. Bo zamierzał za każdy oddać karczmarzowi po dwakroć.

Naliczył dwa tuziny i zemdlął.

Kiedy odzyskał przytomność, pierwsze, co poczuł, to ból żeber, jakby ucisk skrzyni pełnej gwoździ. Wydawał się nie do zniesienia, aż do chwili gdy do jego świadomości dotarł ból głowy. Otworzył prawe oko i zorientował się, że leży na pledzie w rupieciarni. Drugiego oka nie mógł otworzyć. Przestraszył się, że je stracił, i pomacał twarz opuszkami palców – obawiał się, że natrafi na pusty oczodół. Zamiast tego poczuł napuchnięte i bezkształtne, niemal sztuczne wybrzuszenie.

– Nie martw się, chłopcze. To tylko podbite oko.

Sancho rozpoznał głos Williama i powstrzymał grymas niezadowolenia. To przez niego wpadł w tarapaty. Anglik siedział przy nim i przemywał mu twarz szmatką zamoczoną w winie.

– To z beczki, którą tak zuchwale otworzyłeś. Twój pan zmusił mnie do zakupu całej. Szkoda, że musimy tak je marnować.

– Jakbyście wcześniej dali sobie czas, by je docenić – odrzekł z przekąsem Sancho.

– To nie było „wcześniej”, mój drogi. To było dwa dni temu. Cały ten czas spędziłeś jedną stopą na brzegu Lety – zrobił przerwę, zdawszy sobie sprawę, że mówi tylko do prostego pomocnika karczmarza. – Wybacz. Leta to jedna z rzek Hadesu...

– Wiem, co to Leta. Chciałbym wypić kielich jej wód, wtedy zapomnielibym o tym bólu.

William przyglądał się Sanchowi zadziwiony jego wiedzą. Chłopak jednak nie zauważył tego, ponieważ już zamknął oczy.

– Zapomnienie – powiedział Anglik, wzdychając. – Wiem coś o tym. Też go poszukuję.

– To dlatego piliście, jakby wasze życie od tego zależało?

– Pogarda ze strony niewiasty, przeszłość pełna nieprzyjemnych wspomnień, przyszłość, w której widać więcej cieni niż światła. Jakież to ma znaczenie? Po prostu są dni, kiedy życie jest zbyt bolesne, aby iść przez nie świadomie.

Sancho ponownie otworzył zdrowe oko. William uciekł spojrzeniem; jego zakłopotanie przeszło w długie milczenie.

– Co robicie w Sewilli, don Williamie?

– Nie mogę ci powiedzieć – odrzekł obcokrajowiec z powagą.

– Ale nie jesteście szpiegiem?

Anglik zwlekał z odpowiedzią. Ponownie zamoczył szmatkę w winie i mocno ją wycisnął. Nadchodził wieczór i w izbie pozostało już niewiele światła, ale Sancho mógł jeszcze przyjrzeć się dłoniom Williama. Były czyste i zadbane, z równo przyciętymi paznokciami, pod którymi jednak chłopak dostrzegł czarne obwódki. „Atrament – pomyślał Sancho. – Głęboko pod paznokciem, jakby wychodził z jego własnego ciała”.

– Nie wydałeś mnie – powiedział w końcu William.

– Co mówicie?

– Mogłeś to zrobić i tym sposobem uniknąć pobicia. Byłbyś bohaterem, a ja już siedziałbym w lochach inkwizycji.

„Albo jeszcze gorzej – gorzko pomyślał Sancho. – Mój przyjaciel Castro i jego pobratymcy zaopiekowaliby się tobą czule, zanim dotarłyby tu straże”.

Smutna prawda była taka, że ta forma ucieczki przed razami karczmarza nie przyszła mu do głowy. Zapytał sam siebie, co by zrobił, gdyby taka możliwość przemknęła mu przez myśl. Życie innego człowieka w zamian za uniknięcie bólu. Heretyk, Anglik, wróg. Czy wydałby go? „Być może – odpowiedział sobie. – Być może”.

– Nie chciałem mieć waszej śmierci na sumieniu – powiedział Sancho częściowo po to, by przypodobać się Anglikowi, a częściowo, by przekonać samego siebie.

– Dzięki ci, chłopcze. Jestem twoim dłużnikiem.

– Naprawdę? W takim razie może moglibyście mnie spłacić. No i potrzebuję dobrego zajęcia.

William, zaskoczony, zagryzł wargi.

– Nie bardzo mogę pomóc. Sam szukam jakiegoś zajęcia.

Sancho poczuł ogarniającą go falę rozpacz. Przez chwilę uwierzył, że jego los może się odmienić, ale od pamiętnego dnia powrotu galeonów nic nie wychodziło tak, jak by chciał.

– W takim razie na wiele mi się nie zdacie, don Williamie. Pozostanę w Czerwonym Kogucie aż do czasu, kiedy ta bestia, Castro, zatłucze mnie na śmierć.

– Zawsze możesz odejść.

– Pewnie! – Sancho prychnął pogardliwie. – I co będę robił? Żebrał? Zostanę plugawym złodziejem?

– Nie powinieneś w ten sposób mówić o złodziejach, drogi Sancho. To zawód jak każdy inny.

– Chyba straciliście rozum.

William opuścił wzrok, a kiedy znów go podniósł, w jego spojrzeniu pojawiła się jakaś głębia. Odwrócił twarz do ściany, a ton jego głosu spoważniał.

– Król i niewolnik są równi sobie, Sancho. Różnią się tylko maskami, które noszą, a te można zmienić jak starą koszulę.

– Chcecie mi powiedzieć, że ksiądz i złodziej są tacy sami?

– Kimże ja jestem, aby mówić ci cokolwiek? Wiem tylko, że obaj są ludźmi, którzy starają się zarobić na chleb. A ty czego chcesz, Sancho?

Chłopak podniósł się na łóżku, tak że jego twarz znalazła się na tym samym poziomie, co twarz Williama. W zdrowym oku widać było żar.

– Chcę przemierzyć ocean.

– A to, że tutaj jesteś, pomoże ci to osiągnąć?

Sancho pomyślał o obietnicach brata Lorenza. Teraz, gdy czuł ból w całym ciele, wydawały mu się czystą kpina.

– Wcześniej sądziłem, że tak. Sądziłem, że postępuję słusznie.

– Słusznie – odrzekł Anglik z cieniem gorzkiego uśmiechu na twarzy. – Wiele wieków temu żył pewien mój rodak. Nazywał się Robert z Huntington, ale wszyscy go znali jako Robina Hooda, Robina w kapturze, ze względu na jego strój. Walczył na dalekich ziemiach, a kiedy wrócił do domu, odkrył, że porządek zastąpiły korupcja i tyrania. Ksiądz w jego wiosce, szeryf i wielu innych wydierało ostatnie pensy z niemal już pustych kieszeni wieśniaków. Robert odmówił płacenia wysokich podatków, jakie na niego nałożono, i poprowadził niewielką grupę mężczyzn do lasu. I wiesz, kim został?

– Złodziejem – szepnął Sancho, który z uwagą wsłuchiwał się w opowieść.

– Napadał na bogate karety i zadowolonych z siebie poborców podatkowych. Zdobycze pochodzące z napadów rozdawał wygłodniałym chłopom. Wtedy też mówiono o tym, co słuszne. Proboszcz ogłosił z ambony, że Robin Hood to demon. Szeryf wyjął go spod prawa i wyznaczył cenę za jego głowę.

– I co się stało?

William pomyślał chwilę, zanim podjął wątek. Mógł opowiedzieć Sanchowi prawdę o losach Roberta z Huntington. Jak jego gnijący trup wisiał całymi dniami na murach miasta, a ludność cierpiała jeszcze większy niedostatek. Ale to byłoby smutne zakończenie i oczywiście najgorsze, jakie można by opowiedzieć biednemu pomocnikowi karczmarza, którego zbito na kwaśne jabłko. Byłoby mu szkoda tego smutnego inteligentnego chłopaka, gdyby musiał on spędzić resztę swojego życia, usługując przy stołach. Wybrał więc upiększoną wersję, którą matki opowiadały swoim dzieciom w Anglii od niepamiętnych czasów. W końcu to tylko baśń. Jaką szkodę może wyrządzić baśń?

– Wojska szeryfa otoczyły go, ale Robin Hood był przecież wyjątkowym łucznikiem...

X

– Nie zrobię tego. Pan mnie wysłucha, jeśli go poproszę.

Catalina spojrzała na córkę, marszcząc nos jak królik. Jakże niewiele wiedziała o świecie! Dla Clary niewolnictwo było jak niewygodne i eteryczne jarzmo. Pragnęła wolności tak jak urodzona w niewoli małpka mogłaby pragnąć owocu, który widziała przez kraty. Przysmaku, którego nigdy nie spróbowała.

Clara nie przeszła drogi, jaką pokonała jej matka. Nie zaznała uczucia dumy córki karaibskiego króla. Nie została porwana ze swojego domu pośród płomieni, nie połamano jej palców kolbami muszkietów, aby puściła ciała swych braci zabitych przez hiszpańskich żołnierzy. Nie trafiła na pokład pływającego potwora, nie została skuta łańcuchami w wilgoci i ciemnościach we wnętrzu statku wraz z setkami cuchnących ciał. Nie musiała cierpieć ogromnego pragnienia ani jeść zgniłych sucharów. Nie brodziła tygodniami w wymiocinach chorych. Nie płakała zdesperowana, widząc, jak połączona z nią łańcuchem piątka niewolników umiera, a potem jak białe robaki wylewają się z ich ust jak woda ze źródła. Nie mrużyła oczu, wychodząc ponownie na słońce, oglądając po raz pierwszy Sewillę, i nie opłakiwała losu

swego ojca i braci. Nie zaznała ponizajacej kapieli w lazni ani licytacji na schodach katedry.

Ani tego, co nadeszlo pozniej. Tego, co musiala robic, aby przezyc, jak nisko musiala upasc, aby nie rozlaczono jej z corka.

– Pójdiesz – powiedziala Catalina slabym glósem.

– Ale, matko...

Dlón starej niewolnicy poruszyła się przed oczami Clary i wylądowała na jej policzku z glósnym klaśnięciem. Oniemiała Clara zastygła w bezruchu. Matka od lat nie podniosła na nią ręki, ale nawet wówczas gdy to się zdarzało – Clara była wtedy mała – w niczym nie przypominało tego, co teraz się stało. Nie chodziło o pieczenie policzka, tylko o to, co kryło się w ciemnych oczach matki.

Dziewczyna uniosła dłoń do policzka. Ten fragment gładkiej skóry, zaczerwieniony po uderzeniu, podzielił je na zawsze. W tym samym miejscu na twarzy jej matki widniały wypalone litera S i znak gwoźdźcia. Oznaczanie policzka niewolnika tym przeklętym symbolem przy użyciu gorącego żelaza było powszechną praktyką. Niektórzy dodawali jeszcze pełne nazwisko właściciela na ramieniu lub pośladku. Bardzo nielicznym udawało się uniknąć tego barbarzyńskiego zabiegu, a wielu po nim umierało. Clara wiedziała, że matka skrycie zazdrości jej tego szczęścia; obydwie napawało to wstydem. Wielokrotnie, kiedy matka sądziła, że jest sama, Clara widziała, jak w zapamiętaniu gładzi się po straszliwej bliźnie, wybrzuszającej się na skórze jak biały kurhan.

– Powiedziałam, że pójdiesz! – krzyknęła Catalina. – Pójdiesz i nauczysz się wszystkiego, czego tylko da się nauczyć od tego stukniętego starca. I może, pewnego dnia, może, może...

Stara niewolnica zakryła usta dłonią, niezdolna mówić dalej. Odkąd urodziła córkę, Catalina pragnęła, by pewnego dnia wyzwoliła się ona spod jarzma niewolnictwa. Aby przemierzyła morze i wróciła do ziemi, z której jej matka została wyrwana siłą. Aby opuściła to bure piekło i wróciła do świata szmaragdu i kobaltu, do którego należała. Kiedy Clara była jeszcze dzieckiem, wyszeptywała te życzenia do jej ucha tak często, że stały się one dla niej jak kołysanka, jak łagodny i kojący wstęp do snu.

Teraz, kiedy Clara niemal była już kobietą, wydawało jej się to dziecinną fantazją. Wieczną, piękną i nieosiągalną jak księżyc. Nie rozumiała też, dlaczego matka tak się upiera przy tym, aby nauczyła się od starego Monardesa zakładać bandażę. Wolałaby pozostać w rezydencji Vargasa i zaszywać się w jego bibliotecę, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Odkąd zmarła jego żona, pan niemal nie wchodził do tego pomieszczenia kryjącego ponad dwieście tomów. Clara uwielbiała czytać te książki, ale ilekroć pojawiali się inni służący, musiała czym prędzej zamknąć tom i udawać, że tylko ścierała kurze.

Marzenia Clary, to, czego oczekiwała od przyszłości, miały jeden wspólny punkt z życzeniami Cataliny. Wiedziała, po prostu wiedziała, z taką samą pewnością jak to, że nad jej głową istnieje niebo, a pod jej stopami jest ziemia, że pewnego dnia będzie wolna. I że wtedy będzie musiała pracować, aby zarobić na utrzymanie. Czytając, zapamiętywała zawody, które wykonywali bohaterowie pojawiający się na stronach książek, jednak chyba żaden z nich nie istniał w rzeczywistości. Nigdy jeszcze, na swej drodze na targ i z powrotem, nie spotkała żadnego maga, rycerza

ani wróżbity. I od razu też zauważyła, że żadnego z tych zajęć nie wykonywała kobieta. W książkach pojawiały się tylko szlachetne panie, księżne i księżniczki, które często potrzebowały pomocy męskich bohaterów powieści. Wiele razy chciała o tym porozmawiać z Cataliną, ale ta szybko ją uciszała gniewnym głosem.

Od najmłodszych lat, Clara czuła, że są pewne tematy, których nie może poruszać w rozmowie z matką. Miała zaledwie cztery latka, kiedy towarzysząc Catalinie w drodze na targ, zauważyła jakąś zamożną panią jadącą powozem i osłaniającą się parasolem.

– Matko, nie byłoby lepiej, gdybyśmy pojechały takim powozem? Nie musiałybyśmy iść pieszo.

Catalina spojrzała na nią i zaśmiała się nerwowo, jak zwykła czynić, kiedy córeczka zadawała jej któreś ze swoich dociekliwych pytań.

– My jesteśmy tylko biednymi niewolnicami, Claro.

– A co to jest wolnica, matko?

– To ktoś, kto pracuje dla innej osoby, ponieważ nie jest panem własnego losu.

Dziewczynka wzruszyła ramionami, ponieważ dla niej praca oznaczała tylko okazjonalne i lekkie zajęcia, takie jak pomoc przy przyniesieniu drewna czy obranie fasolki. Była jeszcze za mała, aby zrozumieć, co to znaczy ból zmęczonych pleców, jaki odczuwała jej matka każdego wieczoru, albo gorycz porażki i rozpacz, z którymi wstawała co rano.

– A ta pani z powozu nie pracuje?

– Nie, Claro. Ona jest bogata.

– A gdzie znalazła pieniądze? Może i my mogłybyśmy tam pójść i wziąć trochę.

– Nie znalazła ich. Pewnie jej mąż albo ojciec jest bogaty.

– A mój ojciec nie jest bogaty, matko?

Jednak za każdym razem, kiedy Clara pytała matkę o współautora swojego istnienia, twarz niewolnicy wykrzywił grymas, stawała się gorzka i odległa, a jej oczy zamieniały się w dwie samotne studnie. Dziewczynka nienawidziła, kiedy jej matka tak wyglądała, więc nauczyła się unikać drażliwego tematu. Jednak pomimo jej wysiłków twarz Cataliny zawsze pokrywał ciemny welon, który znikał bardzo rzadko.

Chwila, kiedy poprosiła córkę, aby udała się na nauki do medyka, była jedną z tych nielicznych okazji. Tęsknota, pragnienie i nadzieja, które dało się teraz dojrzeć w oczach starej niewolnicy, były czymś tak rzadkim i cennym, że Clara zgodziła się, niezależnie od wszelkich racjonalnych argumentów.

– Pójdę, matko – powiedziała dziewczyna po chwili pełnego napięcia milczenia.

I tak oto pewnego poranka Clara ponownie znalazła się przed drzwiami Monardesa. W świetle dziennym dom wyglądał z zewnątrz tak samo jak jego właściciel: chylący się ku upadkowi cień dawnej chwały, usiany odpryskami i bez części dachówek. Niewolnica przyjrzała się sama sobie. Nosiła suknię z grubej brązowej tkaniny i zbyt wiele razy łątaną koszulę, która niegdyś należała do jej matki. Buty także były bardzo stare i choć kiedyś na nią za duże, teraz powodowały pęcherze, kiedy musiała daleko iść. Na wierzch narzuciła szarą pelerynę, która chroniła ją przed wilgotną i zimną bryzą wiejącą od rzeki.

Ostrożnie zakołatała do drzwi, niemal obawiając się chwili, kiedy się otworzą. Uczucie bardzo odległe od tego, które towarzyszyło jej za pierwszym razem, kiedy się tutaj znalazła, a niepokój i strach przed ciemnością ścisnęły jej gardło.

– Zamierzasz wejść?

Clara tak się zamyśliła, że nie zauważyła, iż medyk już otworzył drzwi i przygląda jej się surowo spod siwych krzaczastych brwi.

– Dzień dobry, panie.

W środku atmosfera była jakaś inna, niemal domowa.

W świetle dnia wewnątrz nie sprawiało już wrażenia jaskini czarownika z powieści rycerskich, które tak lubił Vargas. Słońce wpadające przez niewielkie boczne okienko nadawało pracowni Monardesa wygląd dziwacznej zakurzonej kuchni. Unosił się tutaj jakiś nieznany zapach, gorzki, uporczywy, ale nie nieprzyjemny.

– Nie nazywaj mnie panem. Od teraz ty będziesz Clarą, a ja mistrzem. Tak będzie właściwie w tej sytuacji.

– Tak, pa... mistrzu.

– Przypuszczam, że będziemy musieli zacząć od podstaw.

Szkoda, że nie umiesz czytać, bo...

– Umiem czytać, mistrzu – przerwała mu z dumą Clara.

– Ty? Niewolnica? Pozwalam sobie w to wątpić.

Dziewczyna podeszła do wielkiego stołu, gdzie leżał stos pożółkłych papierów wypełnionych ciasnym i drobnym pismem przypominającym pajęcze nogi. Wzięła pierwszy z nich.

– Przepis na Galenderię. Weź trzy ziarna *portolaki*...

Monardes zirytowany wyrwał jej kartkę z ręki.

– Portulaki. Przyznaję, że mam paskudne pismo, i że ty potrafisz bardzo dobrze czytać. Kto cię nauczył?

- Jeden ze służących w domu. Zmarł lata temu.
- Jakie książki czytałaś?
- O Amadísie, Floriseu, Palmerínie...

Clara czuła lekki dreszcz, wymawiając te słowa na głos. Robiła to po raz pierwszy, chociaż osoby noszące te nazwiska były dla niej tak samo realne jak poranne słońce. Każda sylaba przywoływała na myśl walkę z potworem, rejs zaczarowanym statkiem lub obietnicę wiecznej miłości. A jednak nie mogła ich wymawiać. Słyszała rozmowy o ich przygodach – o niektórych nawet nie czytała – przechodząc przez place i targi. Słuchała, jak skrybowie i sprzedawcy warzyw dyskutowali o nich, tocząc spory nie do rozstrzygnięcia, kto jest najlepszym i najmężniejszym z rycerzy. Jednak jako niewolnica nie mogła włączać się w rozmowy wolnych.

– Rozumiem – odrzekł medyk z lekceważącym gestem. – Nie musisz kontynuować, już jest jasne, jaki jest gust twojego pana. A więc nie słyszałaś nigdy o bracie Bartolomé de las Casas?

– Nie, mistrzu.

Lekarz bawił się tłuczkiem, tocząc go po stole, i uważnie dobierał słowa.

– Ten sługa, który nauczył cię czytać... zrobił to z własnej inicjatywy, czy też Vargas go o to poprosił?

– Tego nie wiem – odpowiedziała Clara, wzruszając ramionami i podnosząc głos. Nie rozumiała, po co ten stary zrzęda zadaje jej tyle pytań. – Zapytajcie go o to sami.

Śmiałość niewolnicy spodobała się lekarzowi. Odwrócił się, aby dziewczyna nie zobaczyła uśmiechu, jaki odmalował się na jego pergaminowej twarzy.

– Wiesz, dlaczego tutaj jesteś?

– Matka powiedziała mi, że mam się nauczyć, jak opiekować się panem.

– To prawda, a przynajmniej część prawdy. Vargas cierpi na nieuleczalną i bardzo bolesną chorobę, której objawy będą coraz gorsze, aż do samego końca. Twoje starania tego nie zmienią, ale będziesz mogła sprawić, że jego życie będzie bardziej znośne.

Chciałabyś tego?

Clara niepewnie potwierdziła.

– Tak sędzę.

Przez kilka chwil słowa wisiały w powietrzu. Dziewczyna, widząc, jak twarz Monardesa drgnęła, zorientowała się, że popełniła błąd.

– Tak sądzisz? – krzyknął medyk. – A niech cię, dziewczyno, mam ochotę zwrócić cię twojemu panu i pozwolić, abyś szorowała podłogi do końca swoich dni. Tego chcesz? Chcesz być wykształconą pomywaczką rozmyślającą o błędnych rycerzach z uniesioną kopią podczas usuwania gołębicich odchodów z dziedzińca?

Dziewczyna zarumieniła się na ten nagły atak wściekłości Monardesa, i to z kilku powodów.

– Nie, mistrzu!

– Może się pomyliłem co do ciebie. Może twój pan ma rację, mówiąc, że jesteś zbyt tępą na naukę. W końcu jesteś tylko niewiastą. Niewolnicą.

Nagle wątpliwości Clary, niepewność i strach przed zadaniem, którego matka kazała jej się podjąć, zniknęły. Poczowała nienawiść do tego starucha o suchej i poplamionej skórze, do jego żółtych

zębów i dłoni o twardych i grubych paznokciach. Ona była wysoka jak na swój wiek, a starzec niski i skurczony. Naszła ją ochota, aby nim potrząsnąć, bo pomimo że starała się uchodzić za osobę spokojną, głównie po to, by uniknąć problemów, temperament miała ognisty. Nigdy nie dawała upustu uczuciom, ponieważ od wczesnego dzieciństwa uczono ją, co się może zdarzyć, jeśli to zrobi.

Zamiast tego zaczęła błagać.

– Proszę, mistrzu. Nie zwracajcie mnie Vargasowi.

– Dlaczegoż nie miałbym tego zrobić? – odrzekł Monardes, patrząc w jej twarz z powagą, jak ktoś, kto jest przekonany, że nie usłyszy właściwej odpowiedzi.

– Bo to złamie serce mojej matce. Ona chce, abym uczyła się u was. I bym pewnego dnia kupiła sobie wolność.

Stary głęboko westchnął. Wydawało się, że to długie westchnienie oczyściło jego ciało z furii, pozostawiając tylko szarą i przywiedłą powłokę. To, do czego chciała dążyć ta dziewczyna, było praktycznie niemożliwe. Ale jeśli dzięki temu dziewczyna zacznie się uczyć, niech wierzy, w co chce.

– W takim razie lepiej będzie, jeśli zaczniesz pragnąć wiedzy, którą zamierzam wtłoczyć do twojej głowy – mruknął. – Jeśli tylko waleczny Belianis z Grecji nie wysuszył ci jeszcze mózgu, do diaska. Zostaniesz dzisiaj na próbę, ale jeśli twoja postawa mnie nie przekona... wrócisz do miotły.

XI

Po brutalnym pobiciu Sancho przez cztery dni nie mógł się podnieść. Castro, który chyba uważał kary za ważną część życia, podczas rekonwalescencji przynosił mu sute posiłki. Przywiązywał większą wagę do podsmażanych warzyw czy do gulaszu z ciecierzycy niż do siniaków, które pokrywały ciało jego pomocnika. Stawiał tacę na podłodze, obok posłania. Czasami przynosił Sanchowi pół kufla rozwodnionego wina.

– Mam nadzieję, że nauczyłeś się czegoś, chłopcze – mówił z upiornym uśmiechem na zarośniętej twarzy. – Zawsze pieniądze z góry. Żebym nie musiał znów sięgać po kij.

Sancho kiwał głową w milczeniu. Ledwie próbował tego, co przynosił mu Castro. Za bardzo go wszystko bolało, aby mógł na dłużej pochylić się nad talerzem i podnieść łyżkę do ust, więc ograniczał się do moczenia chleba w sosie i jedzenia go na leżąco, ze wzrokiem wbitym w sufit. Nie czuł ani głodu, ani zimna, chociaż klamka w oknie była zepsuta i – wraz z odgłosem drewna uderzającego o ścianę – do środka wpadało chłodne powietrze. Chłopak wsłuchiwał się w rytmiczny stukot i zgrzyt

zardzewiałych zawiasów i rozmyślał o historii, którą opowiedział mu William.

Robin Hood, Robin w kapturze, dobry złodziej. Opowieść Anglika miała w sobie jakąś magiczną, trudną do opisaną moc. Sanchowi umykały pewne niuanse, czasem ledwie rozumiał jakieś słowa, ale nie odważył się przerywać Williamowi i prosić o ich wyjaśnienie. Bał się zakłócić rytm tej opowieści. Albo tych opowieści, bo gość karczmy zabawiał go różnymi historiami o Robin Hoodzie. Dobry złodziej był mistrzem we władaniu mieczem, ale to, co potrafił robić z łukiem, niemal przekraczało ludzkie możliwości.

– Mógł trafić wróbla w oko z odległości stu kroków. I to w locie!

– A potrafił też strzelać z muszkietu? – zapytał Sancho przy jednej z nielicznych okazji, kiedy odważył się przerwać opowiadanie.

– To były lepsze czasy, *Sanso* – odrzekł William, który wino stosował nie tylko do leczenia ran chłopca, więc ponownie zaczął mieć problemy z wymawianiem jego imienia. – Mniej niepewne. Nie istniały muszkiety ani pistolety i zwykły plebejusz nie mógł obalić króla za pomocą trzech gramów prochu.

Sancho spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem, dlaczego to miałyby oznaczać lepsze czasy.

– Nigdy nie skończę, jeżeli ciągle będziesz mi przerywał – bronił się William, ciągnąc opowieść o tym, jak Robin Hood wygrał turniej łuczniczy w Nottingham.

Chłopak był przekonany, że Anglik zmyślił połowę historii, które mu opowiadał. Od czasu do czasu przeciągał dłonią po zaczątkach łysiny lub zabawiał się, majstrując przy paskach swojego kaftana,

a jego głos milkł na chwilę, aby za moment ponownie zabrzmieć silnym tonem. Jakby nagle przypomniał sobie liczbę dziewcząt uratowanych przez Hooda na jakimś rozdrożu, które w podzięce za to zaoferowały mu swe wdzięki. To były ekscytujące obrazy, które rozpalały wyobraźnię Sancha do granic wytrzymałości. Chłopak nigdy nie widział nagiej kobiety, ale sporo fantazjował na ich temat w sierocińcu. Nocne marzenia zazwyczaj kończyły się tym, o czym brat Lorenzo codziennie prawił im kazania, i zawstydzonym wyznaniem winy w konfesjonale następnego poranka.

W miarę jak William pił wino, opowieści robiły się coraz bardziej pikantne, a język jeszcze bardziej mu się plątał. Wreszcie pośpiesznie zakończył opowieść o bitwie, w której Hood i jego weseli kompani skończyli ze złym poborcą podatkowym, i powlókł się do swojej izby, aby się przespać.

Słowa Anglika rozbudziły coś ukrytego w duszy Sancha. Za sprawą sposobu, w jaki opowiadał, przywołując postacie, naśladując ich głosy, opisując w kilku słowach ich cechy charakteru. Ale też z powodu znaczenia tej historii.

Przykuty do posłania, ze stukoczącym oknem jako jedynym towarzyszem, Sancho pogrążył się w rozmyślaniach. Przypomniał sobie, co czuł, kiedy ten sukinsyn flamandzki kapitan zmusił go do włożenia dłoni do rynsztoka pełnego gówna. Przyjemność, jakiej doświadczył, kiedy rzucił ekskrementami w twarz żołdaka, podniecenie uciezką z monetą przyciśniętą do piersi. Jakiś głos w tyle głowy starał się mu przypomnieć, że niemal stracił życie, kiedy rapier Flamanda trafił go w plecy, ale ten szczegół utonął w dźwięku fanfar, który wywołały słowa Williama.

„Skoro mogłem to zrobić raz, mogę zrobić to ponownie”.

Kiedy wsłuchał się dokładniej w tę muzykę, zdał sobie sprawę, że zawsze tam była, czekając, aż Sancho zechce ją usłyszeć.

„Mógłbym tutaj zostać – powiedział jego wewnętrzny głos rozsądku. Jego tchórzliwy głos. – Mógłbym spróbować przetrwać baty Castra, wytrzymać, aż minie sześć miesięcy”.

„Nie dam rady – odpowiedział mu ryk trąb. – Przy następnej okazji to zwierzę mnie zabije. A choćbym tutaj został i przeżył z tym sukinsynem, skąd wiem, że brat Lorenzo dotrzyma słowa?”.

„Otóż to. Brat Lorenzo. Pójdę się spotkać z bratem Lorenzem”.

„Ale cóż zrobił dla mnie ten wyniosły ksiądz? Pracę, na którą ja zasługiwałem, dał innemu. A mnie zamknął z Castrem w tej dziurze”.

„Ale przecież nie wiedział, że...” – tchórzliwy głos był słaby, jednak wciąż darzył uczuciem starego brata, więc starał się go usprawiedliwiać, aby Sancho wrócił i ponownie zdał się na niego. Ale nie wytrzymał ataku.

„Wyśmiej mnie. Zamknie mi wrota klasztoru przed nosem. Nie pomoże mi”.

„Więc dokąd pójdę?”, poskarżył się tchórzliwy głos, już ledwie słyszalny.

„Ucieknę, jak tylko będę mógł się podnieść. Poszukam karła Bartola. On zna ulicę i nauczy mnie, jak to zrobić lepiej niż ostatnio, kiedy musiałem oddać kapitanowi złotą monetę. A brat Lorenzo się wścieknie, kiedy zobaczy, że mu się ze mną nie udało”.

Tchórzliwy głos, nic nie mówiąc, przywołał na myśl Sancha ostatnie wspomnienie. Ulotny obraz jego matki, jak uderzała go

w prawą dłoń, kiedy próbował dosięgnąć kiełbasy wiszącej na sznurku w spiżarni. Jej usta zdążyły się jeszcze ułożyć w słowa: „kradzież to grzech”, zanim obraz zniknął, a pozostały tylko grzmiące trąby.

Krew gotowała się w żyłach chłopaka, gdy wszystko planował.

Pięć dni po pobiciu przez Castra Sancho wstał z posłania dwie godziny przed świtem. Po tak długim leżeniu stanie było torturą. Ramiona go słuchoły, ale nogi były niemal bezwładne, a klatka piersiowa wciąż go bolała, kiedy się obracał. Wiedział, że któreś zebra ma złamane, ponieważ słyszał trzask w klatce piersiowej po jednym z kopniaków Castra, jednak nic nie mógł z tym zrobić.

Mocne przyciśnięcie lewego ramienia do tułowia przynosiło pewną ulgę, więc dociskając je drugą ręką, wyszedł na korytarz.

Od schodów dzieliło go dziesięć kroków. Serce waliło mu ze strachu. Szedł bosy, tuż przy ścianie, tam, gdzie deski nie skrzypiały pod jego ciężarem. Pokonanie każdego stopnia trwało całą wieczność. Na schodach też trzymał się zewnętrznych krawędzi desek, aby uniknąć hałasu. Na klepisku w karczmie mógł poruszać się szybciej. Docierał już do drzwi, kiedy nagle się zatrzymał.

„Nie mogę tak po prostu sobie pójść”.

Ból w zębach przypominał mu, że ma jeszcze rachunek do wyrównania z tym, który zafundował mu takie cierpienie. Zamiast skierować się do wyjścia, skręcił w stronę kuchni. Pod ladą stała przykryta ściereczką skrzynka ze sztućcami. Zanurzył w niej dłoń, szukając po omacku znajomego kształtu. Jego palce poruszały się wolno, wywołując wewnątrz skrzynki delikatne metaliczne odgłosy, które w uszach przestraszonego Sancha

brzmiały jak grzmoty. W końcu opuszek jego palca wskazującego natrafił na coś twardego i szorstkiego. Wyjął to ostrożnie.

Był to duży nóż, z rękojeścią z kości, metalowymi nitami i ostrzem dłuższym niż dłoń, bardzo ostry, o czym mogły zaświadczyć setki warzyw, które nim skroił.

Wrócił na schody. Szedł teraz jeszcze wolniej niż wcześniej, jeżeli w ogóle to możliwe, ściskając kościany trzonek w prawej dłoni tak mocno, że kłykcie mu zbieleły. Na korytarzu przed izbą Castra ogarnęły go wątpliwości. Jeżeli wejdzie, a karczmarz go zobaczy, nie będzie już odwrotu. Nie będzie czasu, aby dobiec do drzwi, odsunąć zasuwę i uciec. Będzie musiał go zabić.

„Po to przecież wróciłem na górę”.

Zadał sobie pytanie, jak to będzie, zatopić ostrze noża w ciele karczmarza. Czy będzie krzyczał? Czy Anglik przyjdzie zobaczyć, co się dzieje?

Pchnął drzwi, niezbyt świadomy tego, co robi. Drzwi otworzyły się niemal bezszelestnie, ale Sancho od razu zauważył, że niepotrzebnie starał się cicho zachowywać. Castro ciężko oddychał, a izbę wypełniał gęsty odór alkoholu i potu, jaki zawsze unosi się w izbach pijaków. Sancho podszedł do łóżka, na którym Castro leżał jak kłoda. Głowę miał zwróconą na bok i w słabym świetle wpadającym przez okno Sancho widział jego bezbronną szyję.

„To byłoby łatwe. Nawet by się nie obudził”.

Podniósł nóż i przez kilka chwil przytrzymał go w górze. Robin Hood tak by nie postąpił. Ale ten łajdak zasłużył na karę. A życie to nie baśń z pojedynkami i turniejami, w której bohaterowie

walczą twarzą w twarz. W życiu bohaterowie wykorzystują dogodny moment.

Ręka z nożem opadła z pełną prędkością.

Nie dbając już o hałas, Sancho ponownie zszedł na dół. Wrócił do skrzynki ze sztućcami i natychmiast odnalazł drugie potrzebne narzędzie. Złapał mocno ostro zakończony kurek i skierował się na zaplecze kuchni, gdzie stały beczki z winem, tworząc stos do samego sufitu. Pewnymi ciosami wbił kurek po kolei w dno każdej z nich. Dostanie się do tych położonych wyżej kosztowało go sporo wysiłku, bo połamane żebra nie pozwalały mu w pełni wyciągnąć prawego ramienia.

Ociekając winem, skierował się do drzwi. Za nim na klepisku tworzyła się coraz większa kałuża o barwie przypominającej krew.

Sancho uśmiechnął się, pomyślawszy o karczmarzu i o nożu, który wbił w materac tuż obok jego twarzy. Najpierw nieźle się przestraszy. A potem zejdzie na dół i zobaczy prawdziwą ranę. To nie krew, ale Castra zaboli dużo bardziej, niż gdyby ciecz wypłynęła z jego własnych żył.

XII

Dla Clary pierwszy dzień spędzony u medyka był jednocześnie przytłaczający i stymulujący. Niewolnica poszła za Monardesem na tyły domu, gdzie znajdował się duży ogród otoczony murem, wychodzący na ulicę z tyłu. Ogród był czystym przeciwieństwem zniszczonej fasady. Dziesiątki roślin w równych rzędkach rosły w wilgotnej i żyznej glebie nawadnianej za pomocą pomysłowych systemów, zróżnicowanych w zależności od rodzaju uprawy. Tu zakręcone kawałki metalu wypuszczające drobne kropelki wody w określonych odstępach czasu, tam bukłaki zawieszane na systemie sznurków, gdzie indziej prowizoryczne rynny wykonane z użyciem dachówek. Na pierwszy rzut oka kruche konstrukcje, które jednak spełniały swoją rolę pośród szmeru i bulgotu.

Clara, która nie знаła innego sposobu dbania o rośliny jak tylko ich podlewanie za pomocą starego wyszczerbionego dzbana stojącego w rogu dziedzińca Vargasa, patrzyła na ten spektakl z otwartymi ustami. Monardes podążył za jej spojrzeniem i uśmiechnął się po raz pierwszy. Odetchnął bardzo głęboko, napełniając płuca pachnącym powietrzem wypełniającym ogród.

– Woda, moja droga Karaibko, jest życiem. Przychodzi z nieba jako prezent od Boga i łączy się z nami. Wszyscy jesteśmy stworzeni z wody – powiedział, delikatnie stukając palcem w ramię Clary.

Dziewczyna podniosła dłoń do twarzy. Nie sądziła, że jest w stanie płynnym, a tak właśnie powiedział Monardes.

– Twoja krew, twoje mięśnie, a nawet oczy są pełne płynu. Jeśli nie będziesz piła, umrzesz, ponieważ twoje ciało nie będzie miało czym zastąpić tego, co wysikasz i wypocisz.

– Jak ten kot – powiedziała Clara do siebie.

– Jaki kot?

Niewolnica przygryzła wargi, niepewnie spoglądając na Monardesa. Nie zdecydowała się przemówić, ponieważ nie chciała ponownie narazić się na gniew mistrza. Ale ten ponaglił ją gestem i nie miała innego wyjścia, musiała odpowiedzieć.

– Kiedy byłam mała, w drewnitni pana przypadkiem zamknięto na całe lato kota. Nikt tam nie wchodził po drewno, ponieważ w kuchni było go aż nadto, i biedak zdechł tam. Kiedy służba go znalazła, została z niego tylko skóra i kości.

Monardes uśmiechnął się do Clary z aprobatą, ale ona chyba tego nie zauważyła. Wpatrywała się w dal, ponad murem ogrodu i sylwetką katedry majaczącą w porannym słońcu.

– Odgryzł sobie łapę. Nie rozumiałam wtedy, po co to zrobił, ale teraz już wiem. Chciał wypić własną krew – dodała dziewczyna, jakby dzięki słowom lekarza rozwiązała zagadkę, nad którą zbyt długo łamała sobie głowę. Nie powiedziała mu, że kot był jej ulubieńcem, ani że płakała i miała koszmary przez wiele tygodni po tym zdarzeniu, ponieważ nie wiedziała, co medyk pomyślałby

sobie o niej. Zauważyła, że mężczyźni, a szczególnie jej pan, gardzili kobietami, kiedy okazywały one uczucia, a nie zamierzała dawać Monardesowi więcej powodów do narzekań po swoim wczorajszym błędzie.

– Jak sądzisz, Claro, dlaczego kot to zrobił?

– Bo instynkt podpowiedział mu, gdzie znajdzie najbliższe źródło wody.

Doktor uśmiechnął się zadowolony.

– Właśnie. Przyroda jest mądra, znacznie mądrzejsza niż my. Rozejrzyj się wokół. Te rośliny tak jak twoja matka przybyły tutaj z bardzo daleka. Wiele z nich pochodzi z Indii Zachodnich – Clara, słysząc to, szeroko otworzyła oczy. – Z miejsca, gdzie klimat i wilgotność bardzo się różnią od tutejszych. Te piękności na swojej ziemi żyją dziko, bez pomocy z naszej strony. Jednak tutaj są zdane na marną pomysłowość ludzką, inaczej nie otrzymają właściwej dawki wody. Ani zbyt dużo, ani zbyt mało.

– A ja sądziłam, że woda daje im życie.

– Tak jak tobie żywność, ale jeśli będziesz się przejadać, możesz się rozchorować.

– Nie rozumiem, jak można się przejeść – rzekła Clara, kręcąc głową. To była Sewilla, największe i najbogatsze miasto świata. Jednak na każdy pałac wznoszony za złoto z Indii Zachodnich przypadała setka domów pełnych wygłodzonych biedaków. Dziewczyna nigdy nie zaznała prawdziwego głodu, wychowała się bowiem w domu bogatego kupca, którego spiżarnia była dobrze zaopatrzona. Najlepsze mięsiwa jadał pan i jego goście, ale służba codziennie dostawała chleb i warzywa, dwa razy w tygodniu mięso, a rybę w piątki, jak nakazywał Kościół. Mimo to Clara

widziała wystarczająco wiele wychudzonych dzieci przeszukujących śmietniki, aby wiedzieć, że jej sytuacja nie jest normą. W spojrzeniach tych dzieci była ciemność, pustka wymagająca wypełnienia, to jednak nigdy nie miało nastąpić. Tą refleksją również nie mogła się podzielić z medykiem.

– Można, Claro. Spójrz tylko na twojego pana. Choroba, która go trawi, jest owocem tego, co zjadł i wypił w ciągu swojego życia.

– Skąd to wiecie? Skąd wiecie, co wywołuje chorobę?

– Bo jest to choroba, na którą zapadają tylko bardzo zamożni ludzie, a spośród nich tylko ci, którzy najbardziej nadużywają mięsa i innych pokarmów.

– To wy to zaobserwowaliście, mistrzu?

– Kilka razy. Jednak wiedza uzdrowiciela pochodzi nie tylko z jego doświadczenia, ale i z ksiąg, które przeczytał. Tym sposobem każdy uczeń wspina się na barkach swojego mistrza. Ale także sam wiele czyta. Tak wszyscy pracujemy nad dalszym rozwojem naszej profesji.

Clara wolno skinęła głową, słuchając i wyobrażając sobie ogromną wieżę z ludzi stojących jeden na ramionach drugiego. Ale o co chodziło z księgami? Była trochę zdezorientowana w kwestii podejścia do nich Monardesa. Dopiero co powiedział, że mogą wysuszyć jej mózg, a teraz znów twierdzi, że są bardzo pomocne w nauce.

Nie miała czasu zbyt długo nad tym rozmyślać, ponieważ doktor zaraz kazał jej zająć się ogrodem. Spędzili całe przedpołudnie, wyrrywając chwasty, naprawiając rynny tam, gdzie wiatr je przesunął, i zakopując zepsute owoce w czarnej ziemi.

– One wzbogacają glebę, ponieważ rośliny potrzebują więcej składników, a nie tylko wody i słońca.

– Dlaczego hodujecie tak wiele odmian, mistrzu?

Kłęcząc na ziemi, Monardes wyprostował łodygę pnącej rośliny, która oplatała wbity w ziemię kij podtrzymywany kawałkami sznurka. Następnie zaczął wskazywać dookoła.

– To jest drapacz lekarski; leczy gorączkę i astmę. Ta wysoka i brzydka to psianka czarna, doszła na wysuszoną i łuszczącą się skórę. Tam widzisz czosnek, cynamonowiec, krwawnik... każdy z nich ma jedno lub więcej zastosowań, które służą poprawie życia ludzi. Chłopi często palą łąki, sądząc, że rosną na nich tylko chwasty, a w rzeczywistości zabijają rośliny, które mogłyby ocalić życie ich chorych dzieci. Gdybyż tylko wiedzieli...

Nagle potknął się i niemal upadł, jednak Clara podsunęła mu ramię i zdołała utrzymać go na nogach. Kosztowało ją to wiele wysiłku, ponieważ pomimo pozornej kruchości starzec sporo ważył.

– Dobrze się czujecie? – zapytała dziewczyna zaniepokojona zasłabnięciem lekarza.

– Praca w ogrodzie jest bardzo ciężka dla takiego biednego starca jak ja. Co rano będziesz sama wykonywała te prace pod moim okiem. A popołudniami zajmiemy się twoimi lekcjami.

Zjedli zupę i raki z rzeki, które po południu przyniósł dostawca. Prawdziwa praca zaczęła się dla Clary po obiedzie, kiedy Monardes kazał jej usiąść na krześle i słuchać wyjaśnień na temat praktyki lekarskiej. Niektóre były ciekawe, na przykład wstęp do budowy ludzkiego ciała, który starzec wyłożył jej za pomocą barwnego rysunku. Inne tematy – takie jak historia

medycyny czy humory wpływające na równowagę człowieka – wydały jej się abstrakcyjne i nudne. Najbardziej podobało jej się, kiedy Monardes wyjaśniał jej, w jaki sposób używać tłuczka do rozdrabniania i wyciskania soku z liści czarnuszki, które – wymieszane z łojem i innymi składnikami – tworzyły maść przynoszącą ulgę pacjentom chorym na podagrę. Skończywszy objaśnienia, doktor poprosił Clarę, aby sama spróbowała przygotować lek.

Niewolnica spędziła długi czas przy stole, po czym wręczyła wynik swojej pracy medykowi, patrząc nań wyczekująco.

– Nieźle – rzekł Monardes, zatapiając swój długi nos w naczyniu i wachając maść. – Jak na pierwszy raz. Może za dużo soli miedzi.

– Za waszym pozwoleniem, mistrzu, muszę już iść – odrzekła Clara, zduszając pytanie, które paliło ją w usta. Zarzuciła pelerynę na ramiona. Na zewnątrz zapadał już zmierzch.

Monardes wręczył jej buteleczkę.

– Co dzień rano i wieczorem weź odrobinę maści, wielkości dużego migdała, w zagłębienie dłoni. Rozsmaruj ją na stopie twojego pana delikatnymi okrężnymi ruchami, aż cała się wchłonie. Pamiętaj o dokładnym umyciu i osuszeniu stopy przed nałożeniem maści, aby skóra była dobrze przygotowana.

– To będzie go boleć? Zawsze narzeka przy najlżejszym dotknięciu.

– Ach, dziewczyno. Będzie się darł jak sam demon i każe ci przestać. Ale ty go nie słuchaj.

Clara skinęła głową, choć nie miała pojęcia, czy da radę to zrobić. Ruszyła w stronę drzwi, jednak przed wyjściem odwróciła

się do starca. Ten usiadł już przy wielkim stole i wyglądał na zupełnie pochłoniętego rozpalaniem węgla pod szklaną kolbą zawierającą zielony płyn. Clara zawahała się przez chwilę, a potem przemówiła, z największą starannością dobierając słowa.

– Mistrzu, czy mogę wrócić jutro?

Zapadła długa chwila ciszy, którą przerwał dopiero bulgot wrzącej mikstury. Wydało jej się, że ten odgłos wyrwał doktora z zamyślenia, choć nie odwrócił wzroku od kolby, kiedy w końcu odpowiedział:

– Przyjdź o świcie. Będzie mnóstwo pracy w ogrodzie. I, Claro...

– Tak, mistrzu?

– Pozostajesz na próbę.

XIII

Sancho biegł opustoszałymi ulicami, uciekając z Czerwonego Koguta. Ociekał winem i ohydnie cuchnął. Kiedy już emocje i strach nieco ustąpiły, poczuł chłód poranka. Skierował się w stronę pobliskiej uliczki Yunque, gdzie kowale z pierwszym brzaskiem otwierali swoje kuźnie.

Zaglądał do warsztatów rzemieślników, którzy przyglądali się niezbyt przyjaźnie lub wygrażali mu swoimi ciężkimi młotami. Nie przejmował się tym zbyt, a w ciepłe kuźni jego ubranie szybko wyschło i nie czuł już chłodu. Jednak wysuszone wino usztywniło grubą tkaninę, która teraz wywoływała paskudne swędzenie.

„Te łachy to wszystko, co mam” – pomyślał ze smutkiem, włączając się bez celu. Ulice, na których zarabiał na życie w poprzednich miesiącach, wydawały się teraz inne, groźne. Sancho wiedział, że nie ma gdzie spać, ani jak zarobić na swoje utrzymanie.

– Ej ty, uważaj jak idziesz!

Pochłonięty rozmyślaniami Sancho zderzył się z małym tragarzem, idącym w poszukiwaniu klientów. Miał nie więcej niż

osiem, dziewięć lat i zderzywszy się z Sanchem, przewrócił się. Jego kosz wylądował między nimi, Sancho podniósł go z ziemi.

„Bardzo łatwo mógłbym z nim uciec i zgubić tego chłopaczka w uliczkach. Szybka ucieczka i w ciągu kilku godzin jadłbym ciepły posiłek”.

Chłopiec już się podniósł i złapał kosz obiema dłońmi, usiłując wyrwać go z rąk Sancha i rozpaczliwie zaciskając usta. Jego chude ramiona aż drżały z wysiłku. Nie ma gorszego grzechu w tym fachu, niż wrócić bez kosza. Brat Lorenzo dałby za to Sanchowi niezłą burę, ale mniej wyrozumiały pracodawca mógłby nierozważnego tragarza obedrzeć ze skóry. Małe ciało pokryte siniakami i naderwane ucho chłopca wskazywały, że właściciel kosza nie grzeszył cierpliwością.

– Oddawaj! To moje, draniu! – krzyczał chłopiec niemal w łzach.

„Nie ma nawet siły, aby odebrać mi kosz. To tylko biedny i głodny sierota, ze strupami na kolanach i dłońmi pokrytymi pęcherzami. Jak ja”.

– Trzymaj i nie puszczaj go tak łatwo – powiedział Sancho, rozwierając palce. – Idź na plac księcia Arcos. W środy mają tam targi powroźników i będzie dużo niezbyt ciężkich paczek do noszenia, w sam raz dla takiego malucha jak ty.

Chłopiec, który niemal upadł na zadek, kiedy Sancho puścił kosz, kopnął go teraz w goleń i uciekł.

– Jestem silniejszy niż ty, dupku!

Sancho uśmiechnął się, rozcierając obolałą nogę. Chłopiec pobiegł w kierunku, który mu wskazał. Może była jakaś nadzieja dla tego śmiałka.

Kiedy słońce wzniosło się ponad mury miasta, Sancho zdecydował się je przekroczyć i zniknąć z Sewilli na kilka godzin. Obawiał się, że Castro doniesie na niego strażom za zniszczenie zapasów wina. Szanse na to, że wymiar sprawiedliwości włoży wysiłek w odnalezienie go lub zdoła go zidentyfikować, były śmiesznie małe, jednak Sancho uważał, że ma swoje przestępstwo wypisane na twarzy, nie wspominając już o ubraniu zabarwionym czerwonym winem.

Wyszedł z miasta przez Puerta de la Almenilla. Niedaleko murów rzeka Betis tworzyła rozlewiska, w których Sancho mógł wyprać swoje łachy z dala od ciekawskich spojrzeń. Nagi, przesywany dreszczami i głodny ukrył się wśród trzcin, czekając, aż koszula i spodnie wyschną na gałęzi. Próbował złowić jedną z małych rybek pływających niedaleko brzegu, ale nie miał sieci ani wędki, więc zdobycz wymykała się pomiędzy jego palcami. Ostatecznie udało mu się złapać jedną, mniejszą od jego kciuka. Wyskoczyła i wylądowała na kamieniu, a Sancho rzucił się na nią. Połknął ją w dwóch kęsach – smakowała ośmi i mułem. To małe śniadanie wywołało u niego skurcze żołądka.

Nie miał nic do roboty poza rozmyślaniami ani żadnego towarzystwa poza rechoczącymi żabami, więc w głowie kołatało mu się wspomnienie ostatnich wydarzeń. W ciągu zaledwie kilku tygodni zamienił bezpieczne łóżko w sierocińcu i codzienne zajęcie, dające mu chleb, na ciągłe baty, i ostatecznie, na ucieczkę bez żadnej przyszłości, a pierwsze jesienne chłody już nadciągały od strony gór.

Pomyślał o bracie Lorenzu, którego nienawidził za to, że zamknął go w karczmie z tym zwierzęciem Castrem, i poczuł

wstyd na myśl, że mógłby zobaczyć go w tej chwili, nagiego, ukrytego w krzakach. Pomyślał o Castrze i poczuł delikatne ukłucie wyrzutów sumienia za zniszczenie jego źródła utrzymania. A potem o Williamie Szekspirze i historii o Robin Hoodzie, i wyrzuty sumienia znikły, ponieważ tak jak ten bohater z opowieści dał tylko draniowi to, na co zasłużył. Pomyślał o Bartolu, który oferował mu naukę złodziejskiego fachu i pożałował szaleństwa, które popełnił.

– Lepiej pod gołym niebem, niż cierpieć kije – powiedział do siebie Sancho, próbując podtrzymać się na duchu, i jednocześnie rozcierając ciało rękami, aby się rozgrzać.

Z miejsca, w którym się znajdował, widział klasztor de las Cuevas na drugim brzegu. Krótco przed południem minęło go kilka krytych karoc wiozących możne panie na mszę o dwunastej. Sancho wbił spojrzenie w te kolorowe powozy i zapragnął z całych sił zaprowadzać sprawiedliwość, jak Robin Hood, wrywając bogactwa z rąk tych, którzy mieli ich nadmiar, i oddając je tym, którzy są w potrzebie.

Noc spędził ukryty w grocie nieopodal murów miejskich. Niemal nie zmrużył oka. Przebywanie na zewnątrz po zmroku było bardzo niebezpieczne. Wielu samotnych podróżnych, którzy dotarli do Sewilli po zachodzie słońca i zamknięciu bram miasta, kończyło nago w rowie lub unosząc się na powierzchni Betisu z poderżniętym gardłem.

Sancho zdrzemnął się zaledwie parę godzin. Obudziło go beczenie stada owiec po drugiej stronie rzeki. Wyszedł z dziury, wbijając palce w ziemię, czując ból w połamanych żebrach. Dociskając je ponownie ramieniem, ruszył w stronę Arenalu. Na

drugim końcu ogromnej esplanady, przy Stoczni, codziennie odbywał się targ Malbaratillo.

Nadszedł czas, by odszukać Bartola.

XIV

Sancho nigdy wcześniej nie był na Malbaratillo. Brat Lorenzo zabronił im szukać tam klientów, ponieważ targ ten uchodził za miejsce, gdzie złodzieje pozbywali się skradzionych towarów, i gdzie można było kupić wszystko. Sądził, że znajdzie się w niebezpiecznym miejscu pełnym ponurych twarzy i rapierów z byle powodu opuszczających pochwy. Tymczasem to, co zobaczył, wyglądało jak każdy inny plac handlowy Sewilli, ot, biedne i bezduszne przedłużenie Arenal.

Chodził rozczarowany pomiędzy stoiskami, na których piętrzyły się zepsute bibeloty, używane ubrania i żywność kiepskiej jakości. Klienci rozglądający się po targu zadawali niewiele pytań, a kupowali jeszcze mniej. Choć sklepikarze nie wyglądali na zajętych, nie okazali się też zbyt skłonni do pomocy Sanchowi.

– Szukam karła Bartola – pytał, chodząc od stoiska do stoiska.

Handlarze wskazywali go palcami i śmiali się głośno.

– Ślepy!

– A to ci głuptas!

A jeden krzyknął: „Obudź się!” – i rzucił w niego zepsutą sałatą. Sancho uskoczył w tył. Upadł na zadek niesiony siłą

rozpędu, co tak rozbawiło handlarza, że aż złapał się za brzuch ze śmiechu. Sancho, wściekły, już miał się podnieść, kiedy poczuł czyjąś dłoń na plecach.

– To będzie twoja pierwsza lekcja, chłopcze. Musisz mieć oczy dookoła głowy.

Chłopak, odwróciwszy się, zobaczył przenikliwe oczka Bartola przyglądającego mu się w rozbawieniu.

Historia karła zaczęła się, kiedy był w wieku Sancha.

Już od dawna zdawał sobie sprawę ze swojej dziwnej kondycji. Rósł pod skrzydłami matki, która kochała go bezwarunkowo, co było niezmiernie rzadkie w owych czasach. Miał dwóch młodszych braci, obu normalnych, z którymi bawił się na ulicach Kadyksu, swojego miasta rodzinnego. Żyli z wyrobu ceramiki, czym zajmował się ich ojciec, i całkiem nieźle im się powodziło. Bartolo pomagał w warsztacie w miarę swoich możliwości, choć jego krótkie ramiona nie potrafiły wyrabiać wielkich i wytrzymałych amfor, z których słynął ojciec. Ale umiał wytwarzać eleganckie wazony i dzbany.

Bartolo był szczęśliwy. Jednak choć jego ciało już nie rosło, pragnienia się powiększały. Kiedy jego średni brat Simón, młodszy o rok, przerósł go o dwie głowy, Bartolo nie przejął się szczególnie. Często rozmawiali i zwierzali się sobie nawzajem, mieszając glinę. Pewnego dnia Bartolo powierzył bratu swój największy sekret.

– Kocham Lucię, córkę nosiwody.

Dziewczyna mieszkała dwa domy dalej, była piękna i skromna. Kiedy brat usłyszał to wyznanie, wyśmiał Bartola.

– Nigdy jej nie będziesz miał. Normalna kobieta nigdy nie spojrzy na taką kreaturę jak ty.

Bartolo żył pośród drwin sąsiadów i chodził po ulicach, nie przejmując się tym, że ludzie widzą w nim dziwoląga. Ale to, co usłyszał od brata, przepełniło czarę goryczy. Obrażony podniósł masę, którą wyrabiał na kole, i rzucił nią w Simóna.

– Sądzisz, że jesteś lepszy ode mnie? To na ciebie nawet nie zwróci uwagi.

Brat nic nie powiedział ojcu, zgarnął tylko mokrą glinę z włosów i zamilkł. Kilka tygodni później powiedział Bartolowi, aby przyszedł do warsztatu po zachodzie słońca, kiedy ojciec będzie z kompanami w pobliskiej karczmie.

– Mam dla ciebie niespodziankę, braciszku. Ukryj się wśród gotowych amfor i czekaj na mnie.

Bartolo posłuchał, zaintrygowany. Wkrótce usłyszał zgrzyt klucza przekręcanego w zamku drzwi warsztatu i czyjś śmiech. Powoli rosło w nim podejrzenie, a kiedy się potwierdziło, lodowaty miecz przeciął jego duszę. Na stole do wyrabiania ceramiki Simón posadził Lucię ze spódnicą zadartą do góry i z opuszczonym gorsetem. Jej białe piersi były duże i krągłe, a w zestawieniu z opaloną skórą ramion wydawały się jeszcze większe. Między jej nogami dostrzegł delikatny meszek owłosienia. Pomimo całego smutku, jaki wywołała w nim zdrada brata, czuł ogromne podniecenie.

Simón położył Lucię, a ona zamknęła oczy i jęczała z przyjemności, kiedy w nią wszedł. W tym momencie odwrócił się w stronę amfor, za którymi ukrywał się Bartolo. Nie mógł go

zobaczyć, ale wiedział, że tam jest, i uśmiechnął się, nie przestając nacierać na dziewczynę.

Złośliwość tego gestu była ponad siły Bartola.

Tej samej nocy związał swoje ubrania w węzełek i odszedł. Zatrzymał się tylko na chwilę, aby ucałować matkę. Kobieta poruszyła się niespokojnie przez sen, a Bartolo zadał sobie pytanie, ileż musiała wycierpieć z jego powodu. Ile razy żałowała, że się urodził, kiedy tępi sąsiedzi i pijacy w karczmie insynuowali, że to kara boska albo owoc kopulacji z diabłem.

Nie miał żadnych wątpliwości, dokąd powinien pójść. Słyszał, że król Filip spędza kilka tygodni w roku w Pałacu Królewskim w Sewilli. A każdy król potrzebuje błaznów.

„Mnie już nie można wyrzucić więcej krzywdy” – myślał ze ściśniętym sercem, wyruszając w drogę.

Jakże się mylił.

Dotarł do Sewilli i, dzięki swojemu uporowi, zdobył pracę. Wystawał przed Pałacem Królewskim całymi tygodniami, aż w końcu znał z imienia każdego, kto tam wchodził. Nocami zebrał, zarabiając na kiepskie życie, wciąż z nadzieją, że ktoś ważny go zauważy. Wreszcie jeden z pałacowych szambelanów zlitował się nad Bartolem, i mijając go, nakazał zatrzymać powóz.

– Król przybywa w najbliższych dniach. Chcesz zostać jednym z nadwornych błaznów?

Bartolo tylko na to czekał. Był podekscytowany. W końcu miał skorzystać z przekleństwa, jakie zesłał na niego Bóg. Poszedł za powozem i po raz pierwszy znalazł się na terenie wspaniałego pałacu. Kazano mu wejść przez kuchnię, gdzie ktoś na niego czekał.

– Musimy cię ubrać stosownie do tego miejsca – powiedział jeden ze służących, marszcząc nos na widok i zapach Bartola.

Dostał strój po karle, który zmarł przed kilkoma miesiącami. Uszyto go z czarnego jedwabiu, z plisami i złotymi brokatowymi zdobieniami. Bartolo nigdy nie widział niczego podobnego, nigdy nawet nie wyobrażał sobie, że mógłby założyć coś tak wspaniałego.

– Ledwo ledwo się mieścisz – rzekł służący – ale przypuszczam, że to nie ma zbyt wielkiego znaczenia. Przecież nie urośniesz, nieprawdaż?

Bartolo zignorował ten okrutny żart. Wiedział, że wielcy ludzie mieli się za jeszcze większych, kiedy otaczali ich maluczcy, dlatego potrzebowali u swego boku karłów.

Poznał króla, tańczył dla niego, a nawet jadł z jego talerza. Widział, jak możni podążali za nim jak ogon za obojętną kometą, poniżając się tak, jak żaden błazen nigdy by się nie poniżył. Kiedy Filip wyjeżdżał, zabrał go ze sobą do Madrytu. Tam zobaczył jeszcze więcej zepsucia, kłamstwa i zdrady, więcej niż sądził, że istnieje. Wraz z całym dworem wrócił do Sewilli. Zarobił pieniądze i stracił je, kiedy odkrył, co to karty. Zaznał kobiecego ciepła i doszedł do wniosku, że nie ma znaczenia, czy droga między damskie nogi prowadzi przez sakiewkę czy przez serce. Tak minęło sześć lat.

Któregoś dnia ten sam szambelan, który go zatrudnił, wyrzucił go na ulicę.

Wyrzucono go w tych samych łachmanach, w których przyszedł. Pozwolono mu zabrać sakiewkę z niewielkimi oszczędnościami, których nie zdążył roztrwonić, ale nie czarny strój, replikę tych,

które nosił Filip. Zapytał, dlaczego król nie chce go więcej widzieć u swego boku.

– Może czymś go obraziłem? – rzekł Bartolo zdezorientowany i przestraszony.

Szambelan spojrział na niego smutno i nie odpowiedział. W tym spojrzeniu Bartolo wyczytał nieobecność, oddalenie i obojętność, które obydwaj widywali wcześniej u Filipa. Dojrzał tam też litość, ale nie wiedział, czy dotyczyła jego czy tego, który rządził Hiszpanią.

I tak oto Bartolo znalazł się na ulicy. Miał dwadzieścia lat i sześć escudo. Nikt nie chciał zatrudnić ceramika, który nie ukończył terminu i nie mógł liczyć na polecenie przez swojego mistrza. Nie było też więcej królów, do których mógłby się udać.

Pewnej nocy Bartolo natknął się na grupkę mężczyzn wybijających otwór w ścianie jakiegoś magazynu. Od razu się zorientował, że to złodzieje, ponieważ pracowali w ciszy i niemal w zupełnych ciemnościach, a końce kilofów owinęli jutą, aby stłumić hałas.

Jeden z nich zauważył Bartola i wyjął nóż, aby pozbyć się niewygodnego świadka, ale drugi go zatrzymał.

– Hej, ty! Chcesz zarobić kilka escudo?

Bartolo przeszedł przez mały otwór, co zaoszczędziło złodziejom sporo pracy. I tak właśnie zaczęło się jego nowe życie. Teraz stojący przed nim chudy chłopak o szorstkich czarnych włosach był w takiej samej sytuacji jak on przed laty.

Sancho i Bartolo odeszli w ustronne miejsce niedaleko brzegu rzeki, na końcu nabrzeża, gdzie mogli spokojnie porozmawiać. Podniosła się lekka bryza, która poruszała żaglami statków i

rozwiewała nieco odór zepsutych owoców unoszący się znad niektórych kramów. Karzeł usiadł na jednym z ogromnych drewnianych polerów, dzięki czemu jego głowa znalazła się teraz ponad głową Sancha.

– Przez cały czas tam byłeś? – zapytał chłopak.

– Szedłem za tobą, kłaniając się wszystkim od chwili, kiedy przekroczyłeś granicę Malbaratillo. Witaj na targu złodziei. – Bartolo wykonał teatralny gest dłonią.

– Nie wygląda na nic szczególnego – kwaśno odrzekł Sancho. Wciąż był urażony przyjęciem, jakie zgotował mu karzeł ze sklepikarzami.

Bartolo skrzywił się zabawnie, ignorując ten komentarz.

– Jadłeś coś?

Wyjął z torby kilka nieco pomarszczonych jabłek – Sancho bezceremonialnie rzucił się na nie. Karzeł czekał cierpliwie, aż chłopak skończy, po czym wskazał ręką w stronę kramów za swoimi plecami.

– W ciągu dnia ci poważani kupcy oferują towar drugiej kategorii. Strażnicy nawet się tutaj nie zbliżają, zresztą niewielu też jest klientów. Jednak z nastaniem wieczoru, kiedy słońce zachodzi nad Trianą, targ się przeobraża. Zapalają się lampy naftowe i dobija się targów przy blasku świec. Pojawiają się klienci z pełnymi sakiewkami i bez skrupułów. Na stołach stają stare mosiężne świeczniki, jednak paczki, które wnoszą stąd klienci, zawierają kandelabry z zupełnie innego kruszcu.

– A strażę o tym wiedzą?

Bartolo roześmiał się, słysząc to naiwne pytanie. Miał głęboki i miły śmiech, który pasował do jego głosu. Ktokolwiek by go

usłyszał, nie widząc postaci, sądziłby, że to głos jakiegoś giganta.

– Jak cię zwa, chłopcze?

– Sancho.

– Cała Sewilla o tym wie, Sancho. Nawet ci, którzy padli ofiarą kradzieży, przychodzą tutaj z nadzieją na odzyskanie skradzionych przedmiotów za rozsądną cenę. I przy odrobinie szczęścia rzeczywiście tutaj je odnajdują.

– A jeśli nie?

– To jest właśnie najlepsze – odrzekł karzeł z szelmowskim uśmiechem ukazującym zadziwiająco białe zęby. – Otóż, jeśli nie znajdą tu zrabowanych przedmiotów, kupują coś innego. Ładny obraz przedstawiający Jana Chrzciciela zamiast Zwiastowania, które wyparowało z sypialni; srebrny różaniec w miejsce bursztynowego, który zniknął w tajemniczy sposób. Można powiedzieć, że tutaj trwa jednocześnie produkcja klienteli i towarów.

Sancho wolno skinął głową.

– Wciąż nie rozumiem, jak to możliwe, że straż nie aresztują wszystkich, którzy się tutaj znajdują.

– Ręka rękę myje, Sancho. Wszyscy mają swój udział w tym interesie.

– Ale... a ci, którzy stoją nad strażami?

– Masz na myśli radę dwudziestu czterech, alkada, króla?

– To oni rozkazują strażom?

– Tak jest.

– Więc tak, o nich mi chodzi.

Bartolo odwrócił się i wskazał na Złotą Wieżę, w odległości rzutu kamieniem od targu Malbaratillo, miejsce, gdzie

przechowywano złoto przywiezione z Ameryki, a następnie na pobliski Pałac Królewski, którego dachy było widać ponad murami.

– Oni też mają swój kram, tutaj, niedaleko.

Podczas tych godzin, które spędził poprzedniego dnia w trzcinach, Sancho rozmyślał o tym, co powie Bartolowi, kiedy go odnajdzie. Ale karzeł nie wyglądał na szczególnie zainteresowanego powodami, dla których sierota zdecydował się przyjąć jego ofertę i przyłączyć się do niego.

– Jesteś tutaj, aby zarobić na życie, to jedyne, co mnie obchodzi. Jednak musisz się wiele nauczyć. To gospodarstwo, na którym się wychowałeś...

– Oberża.

– Jak wolisz. No więc, ta oberża stała w połowie wzgórza, prawda?

– Po drodze do Écichy.

– Od jak dawna mieszkasz w Sewilli?

– Od kilku miesięcy. Mieszkałem w sierocińcu, ale już jestem dorosły.

– Więc braciszekwie znaleźli ci zajęcie. Byłeś jucznym mułem, robotnikiem rolnym lub czeladnikiem u stolarza. I nic z tego nie wyszło. Właściciel cię bił, a ty uciekłeś stamtąd tak, jak stałeś.

Sancho zaskoczony skinął głową.

– Kto ci powiedział?

– Nikt, chłopcze. Nie masz sakiewki ani nawet węzełka z ubraniem, a twoją twarz zdobią siniaki. I na dodatek na twojej koszuli widać ślady po źle spranej krwi, choć nie jest jej dużo.

Chcę tylko wiedzieć jedną rzecz. Zakatrupiłeś go, zanim uciekłeś? Nie kłam, od razu poznam.

Karzeł przyglądał mu się uważnie i, choć się uśmiechał, jego spojrzenie było twarde. Sancho zdawał sobie sprawę, że od jego słów zależy, czy Bartolo weźmie go pod swoje skrzydła, i poczuł w brzuchu pustkę, mieszaną strachu i niepokoju. PrzypomniawsobiesobienóżwbityobokgłowyCastraiwinospływającepoklepiskukarczmy. Porażpierwszyucieszyłsięztego, że nie zabił tego łajdaka, karczmarza, chociaż wątpił, aby to była odpowiedź, której oczekiwał Bartolo.

– Nie, nie zrobiłem tego – wyznał ochryplym głosem. – Bóg wie, że chciałem to zrobić, ale w końcu się nie odważyłem.

– Co cię powstrzymało, strach czy litość?

Sancho wzruszył ramionami, nie wiedząc za bardzo, co odpowiedzieć na to pytanie. W rzeczywistości to litość odsunęła ostrze jego noża od krtani Castra, ale wstydził się przyznać do tego karłowi.

Bartolo przyglądał mu się przez chwilę. Wydawało się, że spodobało mu się to, co zobaczył, bo uśmiech, który malował się na jego ustach, zabłysnął również w oczach. Zeskoczył niezgrabnie z poleru i ruszył wzdłuż nabrzeża.

– Chodź ze mną, Sancho.

– Dokąd idziemy?

– Na twoją pierwszą lekcję.

Szli dalej w milczeniu, mijając cieśli i uszczelniaczy krzątających się wokół łodzi. Kiedy zbliżali się do Puerta del Arenal i kolejki przybywających do miasta, Sancho z każdą chwilą włókł się wolniej. Zatrzymał się w odległości mniejszej niż

pięćdziesiąt kroków od uzbrojonych strażników, którzy kontrolowali każdego, kto przekraczał bramę miejską. Idący za Sanchem wędrowcy obładowani pakunkami lub ciągnący za sobą zwierzęta popychali go i przeklinali, aż odsunął się na bok.

– Co się stało, Sancho? Boisz się? – zapytał Bartolo, cofając się do niego.

Chłopak skinął głową ze wzrokiem wbitym w bramę.

– Spokojnie, nie rozpoznają cię. Jesteś tylko jednym z wielu szcurów, jakie zapełniają to miasto. Oczywiście, Castro na pewno złożył skargę u strażników, ale aresztują cię jedynie wtedy, gdy sam zgłosisz się do więzienia i głośno poprosisz o karę.

Sancho powstrzymał okrzyk zdziwienia.

– Skąd...? Ach, do diabła, Bartolo, wiedziałeś od samego początku!

– Oczywiście – odrzekł karzeł z kpiarskim ukłonem. – Oto twoja pierwsza lekcja. Rozglądaj się na wszystkie strony, dużo łgaj i z góry znaj odpowiedź na każde pytanie.

– Ale skąd wiesz o Castrze?

– Mówią, że wielu klientów Czerwonego Koguta opuściło wczoraj karczmę, bo Castro chciał im podawać wodę do obiadu. A to niezdrowe. Oczywiście, jeśli twój pomocnik zniszczył wszystkie twoje beczki z winem, nim uciekł, nie masz dużego wyboru. Wątpię, aby twój były szef przetrwał zimę jako właściciel tej nory.

– Przykro mi...

– Nie! Niech ci nie będzie przykro. Ciesz się, bo nieźle go załatwiłeś, na zawsze zapamięta nauczkę. I również z tego, że go nie ukatrupiłeś, bo wtedy ty i ja nie mielibyśmy wiele do roboty

razem. Nie lubię tych, co łażą i wywijają nożem na prawo i lewo.
Zrozumiałeś?

XV

Pomimo uspokajających słów Bartola Sancho szedł skulony, aż przekroczyli bramę miasta. Nie nieśli żadnego towaru ani też nie wyglądali na takich, którzy mogą wysupłać z kieszeni choć jedno maravedí, więc strażnicy ledwie na nich spojrzeli. Bartolo ruszył prosto na plac św. Franciszka, przez cały czas trajkocząc. Nazywał mijane przecznice, warsztaty, klasztory i pałace.

– Sewilla jest kluczem, Sancho. Musisz się jej nauczyć.

– Znam ulice.

Karzeł przewrócił oczami i westchnął.

– Znasz ich nazwy i, z pewnością, tę czy inną sztuczkę tragarzy: godziny otwarcia targów, co się sprzedaje na każdym z nich; którzy klienci są dobrzy, którzy dają najlepsze napiwki i którzy dostają apopleksji, jeśli podczas transportu włożysz choć jedno jajko do kieszeni. I czujesz się ważny... Ale to, co wiesz, jest powierzchowne, to tak jakby dotknąć cycka dziwki przez ubranie. Ja cię nauczę, jak dotrzeć najgłębiej jak się da.

Bartolo pośpiesznie się przeżegnał, ponieważ mijali właśnie katedrę. Sancho zaśmiał się z dysonansu pomiędzy tym gestem a

tematem rozmowy, ale karzeł nie widział niczego dziwnego w swoim zachowaniu.

– Cóż to za śmiech, smarkaczu, jesteśmy w świętym miejscu.

Kilka minut później, w szczycie południowej gorączki, dotarli do placu św. Franciszka. Sancho dziwnie się poczuł. Pracował pomiędzy tymi kramami przez wiele miesięcy, a teraz zdawało mu się, jakby od tego czasu minęła cała wieczność. Sklepy działały jak zawsze, pośród krzyków, plotek, zleceń i przesuwających się grup ludzi. To on się zmienił.

– No dobrze, Sancho. Opowiedz mi, co widzisz.

– Ludzi, ludzi na zakupach.

– Co jeszcze?

– Budynki, fontannę, kury. Cóż jeszcze miałbym widzieć?

Karzeł pokręcił głową, uśmiechając się półgębkiem.

– Aby być złodziejem w Sewilli, musisz dużo wiedzieć, ale przede wszystkim musisz się nauczyć patrzeć. Wymieniłeś listę przedmiotów, które widzisz, jak każdy pastuch, któremu zadałbym to samo pytanie. Ale czy ty jesteś pastuchem, Sancho?

– Nie.

– Więc spójrz jeszcze raz.

Urażony Sancho rozejrzał się na wszystkie strony, ale nie zobaczył nic więcej jak tylko ciała w ruchu. Musiał poszukać miejsca, w którym przechodzący ludzie nie przesłaniałyby mu widoku, więc wspiał się na stos drewnianych skrzynek ułożony nieopodal zachodniego wejścia na plac. Udało mu się dostać ponad tłum i pozostał na swoim stanowisku obserwacyjnym przez dłuższą chwilę.

– Dobrze – głos Bartola za jego plecami zaskoczył go. Karzeł miał spoconą twarz i dyszał ciężko. Nie było mu łatwo wgramolić się na szczyt stosu.

– O co ci chodzi? Jeszcze nic nie powiedziałem.

– Dobrze, że tu wszedłeś, i to nie tylko po to, aby mieć lepszy widok. Ludzie nigdy nie podnoszą głowy, Sancho. Są zbyt zajęci patrzeniem pod nogi, aby nie wdepnąć w gówno, albo spoglądają nieco wyżej, na cycki okryte tkaninami sukien. Tak więc najlepszy sposób, aby się ukryć, to wspiąć się jeszcze wyżej. A teraz powiedz, co wypatrzyłeś.

Sancho czuł się tak samo jak na początku. Był zniechęcony, już miał się poddać, kiedy coś zwróciło jego uwagę niedaleko miejsca, w którym się usadowili.

– O tam! – powiedział, wskazując palcem w stronę kramu z ceramiką. Jakiś człowiek właśnie ukradł miskę!

– Do cholery, smarkaczu, nie wskazuj palcem i mów ciszej! Chcesz spieprzyć robotę koledze?

Zawstydzony chłopak spuścił głowę. Karzeł mówił dalej.

– Po twojej prawej stronie, obok południowego wejścia, tam gdzie stawiają piece. Widzisz człowieka w filcowym kapeluszu z żółtym piórem? Patrz na jego plecy.

Sancho zobaczył mężczyznę sprawiającego wrażenie, że właśnie zszedł z któregoś ze statków, które przybyły z Indii Zachodnich. Pomimo niebezpieczeństw podróży wielu chłopów wsiadało na statki, ponieważ płaca była dobra, a członków załogi ciągle potrzebowano. Kiedy wracali do Sewilli obładowani złotem, stawali się celem złodziei. Ten chłopina rozglądał się na wszystkie strony zdumiony. Tuż za nim szła kobieta dźwigająca kosz –

mijając go, uderzyła w niego. Kiedy mężczyzna w kapeluszu schylił się, aby pomóc jej zebrać rozsypane owoce, nie wiadomo skąd pojawił się jej wspólnik i szybkim ruchem przeciął pasy torby, która zwisała mu na biodrze. Wszystko to wydarzyło się tak szybko, że Sancho zważył, że cokolwiek widział. Gdyby Bartolo go nie uprzedził, w ogóle niczego by nie dostrzegł.

– Oto jak szybko fortuna przechodzi z rąk do rąk. Możliwe, że ten nierozważny marynarz na próżno odbył podróż tam i z powrotem. A to niejedyna rzecz, która się dzieje. Tam, przy złotnikach, ktoś kupuje przedmiot, który wygląda na srebrny krucyfiks, a w rzeczywistości jest w nim więcej ołowiu niż czegokolwiek innego. Obok fontanny para zakochanych udaje kłótnię, aby zwrócić na siebie uwagę nieostrożnych. Takich jak ten w czerwonym kapeluszu, który za chwilę się zorientuje, że jego pas jest lżejszy niż wtedy, gdy przybył na plac. Nieopodal stanowisk skrybów tamten wyniosły pan w pończochach sprzedaje plebejuszowi z prowincji tytuł szlachecki, taki sam, jaki wczoraj sprzedał innemu takiemu samemu prostemu głupcowi.

Sancho słuchał z zaciśniętymi ustami, przenosząc wzrok z miejsca na miejsce. Słowa Bartola sprawiały, że inaczej patrzył na tłum kręcący się pod nimi. Widział teraz Sewillę, w której mieszkał przez ostatnie miesiące i którą, jak sądził, tak dobrze znał, z zupełnie innej perspektywy. Poczul się, jakby właśnie się obudził ze snu.

– Wszyscy kradną – powiedział cicho.

– Od pierwszego do ostatniego, Sancho. Sprzedawcy oszukują na obciążnikach i rozregulowują wagi, królowie wymyślają podatki, a księża grzechy, za które należy im zapłacić. Mówi się,

że w Sewilli są jeszcze uczciwi ludzie, ale ja żadnego z nich nie spotkałem. Kiedy nauczysz się patrzeć, nauczysz się żyć. A ja ci w tym pomogę.

W tej chwili pośrodku placu coś wywołało ogromne poruszenie. Obaj zorientowali się, że dzieje się coś ważnego.

– Idziemy tam. Zamieszanie to świetna okazja dla takich jak my.

XVI

Już po kilku minutach od przybycia na plac św. Franciszka Clara pożałowała, że poprosiła matkę, aby jej towarzyszyła. Ostatnio nie spędzały razem zbyt wiele czasu, więc kiedy Monardes poprosił ją, aby udała się na plac po potrzebne mu zioła, Clara od razu powiadomiła matkę. Jednak to, co zaczęło się jak przyjemny spacer w delikatnym październikowym słońcu, zepsuło się, gdy tylko Catalina postawiła stopę na placu. Klucznica przyniosła swój własny koszyk i ciągała Clarę daleko od miejsc, do których ta ostatnia chciała się udać, albo krytykowała jej zakupy.

– Dlaczego kupujesz takie zielone pomarańcze? Prawie nie mają soku.

– Są potrzebne do przygotowania maści. Mistrz Monardes mówi, że miąższ zielonych pomarańczy jest dobry na otarcia.

Catalina zmarszczyła brwi i udała, że z wielką uwagą przygląda się stosowi marchwi. Uwadze Clary nie umknęło niezadowolenie matki i była ciekawa jego przyczyny. Czuła, że miało to coś wspólnego z jej nauką w domu Monardesa, choć to właśnie matka nalegała, aby do niego poszła. W pierwszych dniach wyglądała nawet na dumną z niej, jednak stopniowo ta

duma przerodziła się w chłód. Za każdym razem, gdy Clara wchodziła do sypialni Vargasa, aby przeprowadzić zabiegi zalecone przez Monardesa, Catalina starała się wejść tam razem z nią. Ale pan kazał jej wychodzić i zamykać za sobą drzwi, a kiedy Clara opuszczała komnatę, widziała, że milczącą matkę przepełnia furia.

Wieczorami, wykończona długimi godzinami pracy w ogrodzie doktora, Clara ledwie miała siłę rzucić się na posłanie, by spać do świtu. Liczyła, że podczas porannych zakupów na placu zdoła zbliżyć się do matki, ale stara niewolnica wcale jej tego nie ułatwiała.

– Matko, widzę, że coś was martwi.

– Chodźmy do tamtego kramu, chcę się przyjrzeć paprykom.

Clara sfrustrowana podążyła za matką, kątem oka zerkając na kasztany, które oferował nieopodal inny kupiec. Nie miał ich już wiele, ponieważ były one bardzo popularne wśród sewilczyków, podających je na deser i jako dodatek do pieczeni. Monardes wykorzystywał tylko łupiny, jednak nakazał Clarze kupić ich sporo. Jeśli nie zdoła oderwać się od matki, nie da rady wykonać zadania. Zdecydowała się ostatni raz spróbować dowiedzieć się, co martwi Catalinę.

– Matko, od kilku dni jesteście dla mnie bardzo oschli.

– Te papryki są bardzo miękkie. Musimy poszukać innego kramu, chcę przygotować gazpacho.

– Matko, proszę...

Stara gospodyni upuściła paprykę – upadła z taką siłą, że aż cały stos się sturlał, wywołując przekleństwa kupca. Odwróciła się w stronę córki z ogniem w oczach.

– Co ty tam robisz z tym wieprzem?

– Z medykami? Przysięgam, że to uczciwy człowiek, choć może czasem nieco oschły...

– Nie udawaj głupiej, dziewczyno – odrzekła Catalina, wymachując palcem przed nosem Clary.

– Matko, przysięgam wam, że...

– Mówię o panu!

Clara przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć, zbyt poruszona tym, co sugerowała matka.

– Ja tylko go pielęgnuję.

– Za zamkniętymi drzwiami?

– Matko, nie wiem, dlaczego zawsze każe mi je zamykać.

Przypuszczam, że wstydzi się, że ktoś mógłby usłyszeć jego narzekania...

– Stoję tuż za drzwiami i nigdy nie słyszałam żadnych skarg, dziewczyno. I wydaje mi się, że spędzasz tam z nim zbyt wiele czasu. Wkłada ci rękę pod spódnicę?

– Ależ, matko!

– To ja się nim zajmowałam przez wszystkie lata. Teraz nie pozwolę, aby...

– Takie straszne byłoby, gdyby pan wolał mnie? – odrzekła nagle Clara. Słowa padły jak ogromny kamień w niezbyt głęboką kałużę.

Wypowiedziała je bez zastanowienia i od razu tego pożałowała, widząc pobladłą twarz matki. Straszna blizna w kształcie litery S na jej policzku zabarwiła się na czerwono.

– Nigdy, słyszałaś? Nigdy więcej nie waz się tak do mnie odezwać – wysyczała Catalina.

Clara chciała ją przeprosić, ale właśnie w tej chwili coś uderzyło w jej nogi z dużą prędkością. Odwróciła się i zobaczyła małego czarnego niewolnika. Nie mógł mieć więcej niż pięć czy sześć lat, a w jego ciemnych oczach widać było przerażenie. Zdesperowany przywarł do nóg Clary.

– A ty skąd się tu wzięłeś? – rzekła dziewczyna, gładząc go po policzku, na próżno starając się go uspokoić.

– Zabierzcie ręce od mojej własności, niewiasto.

Torując sobie drogę między ludźmi, pojawił się zamożnie ubrany człowiek. Gruby srebrny łańcuch, zwisający z jego szyi, i rękojeść rapiera wysadzana kamieniami szlachetnymi wskazywały na jego wysokie pochodzenie, choć spocona twarz i kuksańce, jakie rozdawał, aby dostać się do Clary, nadawały mu niezbyt godny wygląd.

– Cóż wam zrobił?

– Nie wasza sprawa. Oddajcie mi go zaraz!

Chłopiec przywarł do Clary jeszcze mocniej, aż musiała siłą oderwać go od siebie. Pochyliła się i uniosła jego podbródek. Wargi mu krwawiły, zabarwiając zęby na czerwono.

– Witaj, maleńki.

Mały niewolnik popatrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Clara przytuliła go i szeptała mu do ucha uspokajające słowa. Choć chłopiec nie mówił po hiszpańsku, miała nadzieję, że sam ton głosu zdoła go ukoić. Pierś dziecka powoli przestawała szybko się unosić. Jednak w tym momencie właściciel złapał chłopca za ramię ze zniecierpliwionym prychnięciem i wyrwał go z ramion Clary.

– Dość już tej farsy! Dopiero co go kupiłem i od razu takie humory? Nie martw się, już ja cię oswoję, przekłety czarnuchu!

Uniósł rękę i uderzył chłopca w ucho, powalając go na ziemię. Malec, oszalały ze strachu, podniósł się chwiejnie na nogi, rozejrzał się i rzucił do ucieczki.

– Wracaj tu, przekłety!

Wyjmując rapier, szlachcic ruszył za uciekinierem, dogonił go i uderzył płazem klingi w kostkę. Chłopiec potknął się i upadł, tak nieszczęśliwie, że uderzył głową w kamień podtrzymujący drewniane nogi jakiegoś kramu. Rozległ się głuchy, nieprzyjemny trzask i pośród tłumu zaległa cisza.

Clara poczuła zimną falę w dole brzucha. Podeszła wolno do chłopczyka leżącego na ziemi i ostrożnie podniosła jedno z jego ramion. Kiedy je puściła, opadło bezwładnie.

– Co tu się dzieje? – rozległ się głos pośród tłumu, który rozstąpił się, aby przepuścić grupę strażników. Idący na jej czele mężczyzna zatrzymał się obok ciała chłopca. – Jestem Jaime Castillo, dowódca straży Jego Królewskiej Mości. Kto to zrobił?

Dziewczyna podniosła się i drżącym palcem wskazała na szlachcica.

– To on. Ten człowiek właśnie zabił tego chłopca.

Dowódca zauważył teraz mężczyznę, z rapierem wciąż w dłoni i z twarzą pozbawioną wyrazu.

– Don Félix de Montemayor, uszanowanie – rzekł, kłaniając się z kapeluszem w dłoni. – Możecie mi wyjaśnić, co się tutaj stało, wasza łaskawość?

– Jedyne przestępstwo, jakie tu miało miejsce, popełnił ten przekłety Rui Barzim, który sprzedał mi towar w złym stanie –

niechętnie odrzekł szlachcic. – Ten niewolnik miał być posłuszny. Niestety, próbował uciec, a ja chciałem temu zapobiec, i źle się to skończyło. Moglibyście mi towarzyszyć do handlarza, aby niezwłocznie oddał mi pieniądze.

Dowódca straży, który założył już kapelusz, rzucił długie spojrzenie na zwłoki chłopca, nie ruszając się z miejsca. Na jego twarzy nie odmalowały się żadne emocje, ale Clara widziała, jak jego dłoń w rękawiczce mocno zaciska się na rękojeści broni.

– Rozumiem już, co się wydarzyło – powiedział bezbarwnym głosem. – Zlecę usunięcie ciała, wasza łaskawość. Wybaczcie to przesłuchanie.

Szlachcic odwrócił się już, by odejść, kiedy zatrzymał go głos Clary.

– I już? To wszystko, co macie do powiedzenia?

Dowódca straży zrobił dwa kroki w jej stronę. Clara zauważyła na jego twarzy wiele blizn, które zyskał podczas długich lat w służbie króla.

– Twierdzicie, że zdarzyło się coś więcej?

Clara poczuła, że dłoń matki zaciska się na jej ramieniu, ale uwolniła się jednym szarpnięciem. Nie była już małą dziewczynką, nawet jeśli matka tak ją traktowała. Łzy wściekłości napłynęły jej do oczu.

– To dziecko zostało wielokrotnie pobite.

Przez tłum przebiegł szmer. Strażnik rozejrzał się dookoła, po czym pochylił się w stronę Clary.

– Właściciel tego niewolnika to don Félix de Montemayor, markiz Aljarafe i jeden z dwudziestu czterech.

Clara zadrżała. Rada dwudziestu czterech stanowiła najwyższą władzę w Sewilli. Gremium to tworzyły dwa tuziny szlachciców odpowiedzialnych za wymierzanie sprawiedliwości w imieniu króla. Ta bitwa była z góry przegrana. Nagle Clara stała się boleśnie świadoma otaczającego ją tłumu, grupy strażników stojących przed nią oraz błędu, jaki popełniła. Jednak, mimo że strach wywołał gęsią skórę na jej ramionach, nie mogła milczeć, gdy ciepłe ciało chłopca wciąż leżało tuż obok niej.

– Tak nie może być – odrzekła cichym głosem. – Tak nie może być. Tylko Bóg jest panem życia i śmierci.

Przez tłum ponownie przeszedł pomruk, tym razem głośniejszy. Stojący w pierwszych rzędach powtarzali słowa Clary tym, którzy stali dalej, i wszyscy energicznie przytakiwali. Ludzie stanęli po stronie odważnej dziewczyny. Szlachcic niezadowolony, że podważa się jego autorytet, podniósł głos.

– Zamierzacie pozwolić tej dziewczynie z gminu poniżać mnie publicznie, dowódco?

Matka Clary, słysząc to, wydała zduszony okrzyk. Nawet taka subtelna sugestia jak ta, która padła z ust szlachcica formatu Montemayora oznaczała dla jej córki karę śmierci. Z sercem mocno walącym w piersi przeniosła wzrok na strażnika.

Stary żołnierz niepewnie podkręcał wąsa. Uwaga szlachcica napawała go obrzydzeniem, jednak nie miał innego wyboru, jak tylko spełnić niewypowiedziany nakaz przełożonego. Już miał dać swoim ludziom rozkaz pojmania Clary, kiedy jakiś wysoki szczupły chłopak o kruczoczarnych włosach pojawił się wśród tłumu. Miał na sobie jakieś łachmany.

– Za pozwoleniem, dowódco, ja wiem, dlaczego ona broni tego niewolnika. Spójrzcie.

Chwyił Clarę za lewe ramię i podniósł rękaw jej sukni. Na jej nadgarstku wszyscy zobaczyli żelazną obręcz z jakimś napisem.

– Jak widzicie, ona sama też jest niewolnicą – rzekł młodzieniec, ciągle trzymając ramię Clary, która zaskoczona nie reagowała.

Clara popatrzyła na młodzieńca, na którego szyi widoczne były dziwne ślady. Ten zaś znieruchomiał, ze wzrokiem wbitym w litery na obręczy, które układały się w nazwisko Vargas.

Przyglądał im się przez chwilę z wyrazem zdziwienia na twarzy. Jego oczy błyszczały zielonym płomieniem, a kiedy napotkały jej wzrok, przeszyły ją niczym błyskawica, i Clara poczuła wewnątrz silne poruszenie.

– Niewolnica! – szydził tłum.

– Jeśli to niewolnica, tym bardziej zasługuje na lekcję – rzekł szlachcic lodowatym tonem. – Niech to będzie przestroga dla nierozważnych, którzy próbują wynieść się ponad swój stan.

– Ale przecież nie możecie tej nieszczęśnicy zatrzymać, wasza łaskawość – rzekł Sancho, w pośpiechu wymyślając wymówkę. – Przecież to tylko niegroźna wariatka.

– Nie jestem wariatką. Pracuję u medyka – zaprotestowała urażona Clara.

– Ach tak? A to należy do waszego pana? – rzekł Sancho, podchodząc do jej koszyka leżącego na ziemi i wywracając go do góry nogami. Dwa tuziny zielonych pomarańczy wysypały się na ziemię. – A więc to tak leczycie waszych pacjentów, siostro?

Obawiam się, że podając im to, możecie wywołać jedynie niestrawność.

Przez otaczającą ich masę ludzką przetoczył się gromki śmiech. Nagle całe napięcie zniknęło, a zastąpiły je szydercze okrzyki rozochoczonego pospólstwa.

– Też mi doktórka!

– Bogactwo mądrości!

– Jeśli jest taka dobra, to niech uleczy tego martwego czarnucha!

Upokorzona Clara uciekła, zakrywając twarz dłońmi. Nikt jej nie zatrzymywał. A kiedy dowódca straży się odwrócił, nieznajomy młodzieniec również już zniknął, tak samo tajemniczo, jak się pojawił.

XVII

– A więc ocaliłeś tę małą niewolnicę – rzekł Bartolo, kiedy Sancho znów znalazł się u jego boku. – Nieźle odwróciłeś ich uwagę. Chociaż omal mnie nie przyłapali, kiedy się zawahałeś, uniósłszy jej ramię w górę. Mówiłem ci przecież, że ani na moment nie możesz przestać mówić.

– Wybacz, Bartolo.

– Spokojnie, dzieciaku. Dzięki tobie odciąłem kilka toreb i podwędziłem trzy chusty.

Uderzył się po kieszeni z zadowolonym wyrazem twarzy i ruszył z powrotem w stronę Malbaratillo. To właśnie on, patrząc z dołu, dostrzegł błysk obręczy na nadgarstku Clary i doradził Sanchowi, jak to wykorzystać, aby odwrócić uwagę tłumu.

– Gdybym wiedział, kto jest jej właścicielem, pozwoliłbym, aby ją pojмали strażnicy – rzekł Sancho, przypominając sobie dzień, kiedy ładunek złota bogatego kupca rozsypał się na środku ulicy, a ten kapitan ścigał go, chcąc odebrać mu złotą monetę. To właśnie był początek łańcucha zdarzeń, który doprowadził go do spania na ulicy i zarabiania na życie złodziejstwem.

– Podobała mi się ta historyjka z wariatką – rzekł karzeł, wyrrywając go z zamyślenia. – Sądzę, że ta dziewczyna może rzeczywiście terminować u medyka, i to nie byle jakiego, tylko najlepszego w Sewilli. Mówią, że Monardes ostatnio przyjął pomocnicę, karaibską niewolnicę.

Sancho nic nie odpowiedział i karzeł spojrział na niego z ukosa.

– Byłoby szkoda, gdyby ją zabrali – niewinnie kontynuował Bartolo. – Była piękna. Oczy Karaibki, ciało Kastylijki, idealne połączenie. I tak godnie się prezentowała, broniąc tego biednego martwego niewolnika...

– Nie zauważyłem nawet – odrzekł Sancho bezbarwnym głosem. Miał zagubione spojrzenie.

– Nad tym też musimy popracować – odpowiedział karzeł w zamyśleniu.

– Nad czym?

– Nad twoją umiejętnością łgania, kiepsko ci to idzie, przyjacielu Sancho.

Chłopak musiał przyznać w duchu, że karzeł ma rację. Dziewczyna była bardzo piękna, było w niej coś szczególnego. Nie chodziło tylko o jej piękną twarz i długie, gęste, granatowe włosy. Nie, to były te skupione, inteligentne oczy, przepełnione słusznym oburzeniem. Przez chwilę, kiedy ich spojrzenia się spotkały, poczuł wewnętrzny dreszcz, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył, i głęboko żałował, że musiał upokorzyć dziewczyną, aby ją ocalić.

„Może mógłbym ją odszukać i poprosić o wybaczenie”.

Pokręcił głową, chcąc wymazać ją ze swych myśli. To wszystko to jedna wielka pomyłka. Na pewno nigdy więcej jej nie zobaczy.

A jednak nie mógł przestać o niej myśleć.

Tej nocy Bartolo zaprowadził go w miejsce, gdzie sam nocował. Sancha ogarnęło głębokie rozczarowanie, kiedy je zobaczył. Była to zaledwie nora z dwoma legowiskami w murach miejskich, do której droga prowadziła przez wąskie przejście o długości dwóch metrów. Kilka świec, jakaś skrzynia i nocnik dopełniały wyposażenia.

– To miejsce stanowiło część systemu obronnego miasta w czasach arabskich, chociaż niektórzy twierdzą, że mury zbudował sam Juliusz Cezar. Było tutaj przejście do wieży strażniczej ze Stoczną, ale zostało już zburzone – dodał wskazując na stertę kamieni w głębi skromnego pomieszczenia. Widząc nietęgą minę Sancha, karzeł klepnął go w plecy. – No, rozchmurz się. Jest czysto i sucho, i wystarczająco wysoko, aby nie martwić się wzbierającą rzeką. Poza tym jeszcze nie widziałeś najlepszego.

Kilkoma krótkimi niezgrabnymi ruchami wdrapał się na skrzynię, służącą mu jednocześnie za stół jadalny i schody. Pchnął jakiś kamień, cieńszy od pozostałych, na którym ktoś umiejętnie przymocował metalowy uchwyt. Kiedy spadł na zewnątrz, Sancho zobaczył przez otwór gwiazdy.

– Natychmiastowe wyjście z Sewilli, gdyby któregoś dnia trzeba było stąd uciekać.

Sancho wychylił się przez otwór, w dole widać było niewielkie zbocze. Kamień stoczył się na sam dół i wylądował na krzaku rozmarynu. Chłopak przecisnął się na zewnątrz i znalazł się na krańcu Arenalu, na tyłach Malbaratillo. O tej porze targ złodziei już się zwinął i tylko bezpańskie psy przeszukiwały sterty śmieci w świetle księżyca.

Zdumiony tą sztuczką, Sancho wciągnął kamień z powrotem. Choć był ciężki, można go było łatwo włożyć na miejsce, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

– Wracaj do środka! – usłyszał głos Bartola dobiegający z wnętrza kryjówki. – Zaczynamy twoje nauki.

W kolejnych miesiącach Sancho odkrył, że mistrzowskie umiejętności karła w oszustwie i kradzieży obejmują mnóstwo przekrętów – od podawania się za służącego stałego klienta sklepu, aby zniknąć z dwoma kilogramami mięsa, po udawanie ślepoty i innego kalectwa, aby zebrać na placach i skrzyżowaniach ulic. Nauczył się odcinać mocne skórzane paski jednym cięciem tak, by właściciel niczego nie zauważył, przy użyciu małego i cienkiego nożyka, tak ostrego, że mógłby w powietrzu przeciąć włos na pół. Bartolo nauczył go łąć jak z nut bez mrugnięcia okiem, udawać wariata i rannego, zmieniać głos i symulować emocje.

– Zdziwienie musi być natychmiastowe, szybkie uniesienie brwi i otwarcie ust. Następnie przejście do zmarszczonych brwi lub uśmiechu, zależnie od sytuacji. Ale uważaj, jeśli będziesz udawał zdziwienie dłużej niż pół zdrowaśki, przyłapią cię. Radość również przychodzi nagle, jednak utrzymuje się dosyć długo. Żal należy udawać stopniowo, tak jakbyś pił wodę z coraz pełniejszych szklanek. Musisz też nauczyć się płakać na zawołanie, korzystając jedynie z własnych wspomnień.

To ostatnie było dosyć proste dla Sancha. Musiał tylko przywołać na myśl obraz swojej matki leżącej na posłaniu z wrzodami chorobowymi na ciele. Nie wyobrażał sobie, co by

o nim pomyślała, gdyby go zobaczyła, jak kradnie puszkę na datki w kościołach.

To, co nie przychodziło mu z łatwością, to przyjmowanie poleceń Bartola. Karzeł był skryty, ale miał dobry charakter. Jednak momentami Sancho wystawiał jego cierpliwość na próbę, na przykład wtedy, kiedy tracił dwie godziny na zdobycie kilku daktyli.

– Gdybyś ten czas poświęcił na kradzież toreb, mógłbyś sobie kupić kwintal daktyli!

– To nie to samo – odpowiadał chłopak, wkładając garść owoców do ust i pozwalając, aby sok spływał mu po brodzie. – Te lepiej smakują.

Bartolo protestował tylko dla pozorów, ponieważ od czasu, kiedy Sancho przyłączył się do niego, jego dzienne łupy ogromnie się zwiększyły. Sancho był uczniem, więc przysługiwała mu jedna szósta zysków z kradzieży; regularnie odkładał zarobek pod kamień w kryjówce. Kupił tylko kaftan i parę koszul.

– Musisz się nauczyć w kilka chwil przybierać pozę szlachcica. Większość ludzi koncentruje się na odzieniu, ale nie mając odpowiednio drogiego stroju, trudno udawać, że jest się kimś znacznym. Ważniejsza jednak jest postawa. Kiedy już będziesz w tym wystarczająco dobry, pójdiesz ulicą nago, a i tak pomylą cię z księciem Albą.

Bartolo płacił za jedzenie dla nich obu, ale kiedy czasami szedł na Compás, do największego burdelu Sewilli, aby tam dać ujście swoim żądzom, nigdy nie zapraszał Sancha i mówił, że jest on jeszcze zbyt młody na trypra. Poza tym nic nie wydawał i chyba też nie ukrywał pieniędzy, więc Sancho nie mógł zrozumieć, jakim

cudem ciągle jest bez grosza przy duszy. Każdego czwartkowego wieczoru karzeł zostawiał Sancha w kryjówce i wychodził w sobie znanym celu. Choć kategorycznie zabronił chłopakowi iść za sobą, ten złamał raz zakaz i widział, jak Bartolo wchodzi do szulerni niedaleko Puerta de la Carne.

Wtedy zrozumiał, skąd się bierze zły humor i smutna mina Bartola w piątkowe poranki. Kiedy w oberży jego matki spotkało się dwóch czy trzech podróżnych, zawsze prędzej czy później któryś z nich wyjmował zniszczoną talię kart. W tym momencie matka Sancha przestawała podawać wino, a jeżeli goście protestowali, mawiała, że picie i gra to złe połączenie, bo szybko zaczynają się kłótnie i niesnaski. Zastanawiał się, ile Bartolo przegrywa podczas swoich nocnych wypraw.

– Dobrze się bawiłeś podczas dzisiejszego spaceru? – zapytał karzeł, wróciwszy do kryjówki w dniu, kiedy Sancho go śledził.

– Nie wiem, o czym mówisz – odrzekł Sancho, patrząc mu prosto w twarz.

Karzeł wbrew sobie wybuchnął śmiechem.

– Oczy skoncentrowane, ramiona rozluźnione, spokojny głos. Gdybym nie widział, jak udajesz mój cień nieopodal klasztoru Karmelitanek, uwierzyłbym ci bez wahania. Jeszcze będzie z ciebie doskonały łgarz.

– Nauczysz mnie grać w karty? – wypalił Sancho. Skoro już karzeł go przyłapał, mogli chociaż pograć razem. Chciał się dowiedzieć, co takiego jest w kartach, że tak pociągają jego mistrza.

Bartolo położył się do łóżka i nakrył się kocem aż po samą głowę.

– Dobrze. Ale jutro. Przy moim dzisiejszym pechu ograłbyś mnie do ostatniego maravedí.

XVIII

Następnego ranka Sancha obudziło donośne chrapanie karła. W kryjówce cuchnęło winem, jakby ktoś tam deptał winogrona, więc chłopak wyslizgnął się przez wąskie przejście na zewnątrz. Bartolo, kiedy wypił tak dużo, spał zwykle do popołudnia, a Sancho nie miał ochoty spędzić tyle czasu w ciasnej norze, kiedy tak wielkie miasto czekało tylko, aby je odkryć.

Pierwszy raz miał dla siebie tyle czasu, odkąd zaczął terminować u swojego mistrza złodziejskiego fachu. Delektował się spacerem, pozwalając swoim stopom wybierać drogę. Zostawił za sobą kręte uliczki wokół murów miejskich i zagłębił się w zgiełk głównych arterii prowadzących do katedry. Przez dłuższy czas szedł za mężczyzną niosącym ogromny kosz pełen warzyw, tylko po to, by sprawdzić, dokąd idzie. Następnie pobiegł za wozem wypełnionym klatkami z kurami, wyobrażając sobie, co by się stało, gdyby nań wskoczył i zaczął je wypuszczać. Ludzie by oszaleli.

Ten pomysł czaił się z tyłu jego głowy już od dłuższego czasu, był jak silne i niebezpieczne leki, które aptekarze przechowują na zapleczu. W jakiś sposób przemieścił się teraz do centrum jego

myśli, kiedy zatrzymał się, aby zjeść smażoną kiełbasę w świeżo upieczonym chlebie. Tłuszcz ściekający z wędliny zabarwił na czerwono miąższ chleba i pozostawił czerwone ślady na opuszkach jego palców. Oblizął je z apetytem, zanim podał karczmarzowi dwa maravedí.

– To za mało, kawalerze – odpowiedział mężczyzna, wyciągając dłoń o czarnych paznokciach.

– Z przyjemnością dołożę jeszcze dwa, jeżeli dacie mi łyknąć z tego bukłaka, który wisi nad wami.

Karczmarz pomarudził chwilę, jednak ostatecznie podał bukłak Sanchowi. Chłopak podniósł go i ścisnął, jednocześnie otwierając usta. Różowe wino popłynęło cienkim strumieniem do ust Sancha; chłopak pociągnął długi łyk, nie rozlewając ani kropli.

– Wystarczy! Chcecie mnie zrujnować?

Sancho zaśmiał się i podał mu kolejne trzy miedziane monety – o jedną więcej, niż uzgodnili – przez ogromną beczkę, która służyła karczmarzowi za kram, ladę i spiżarnię. Mężczyzna schował monety do kieszeni i uśmiechnął się do Sancha, ukazując spore ubytki w uzębieniu.

– Bardzoście mili, młody panie.

– Zastanawiałem się, czy mogę was prosić o przysługę.

– No, już mnie dziwiła ta hojność. Jednak jeżeli chcecie więcej wina, nie obejdzie się bez kolejnej zapłaty – rzekł karczmarz. Z jego ust zniknął już uśmiech, za co chłopak niemal był mu wdzięczny.

– Nie, szukam tylko pewnego adresu.

Karczmarz podrapał się po głowie i wziął gliniane naczynie, w którym podał Sanchowi jedzenie. Przetarł je leniwie

zatłuszczoną ścierką, po czym odstawił ponownie do beczki. Przez otwarty jej bok widać było półki, za pomocą których ktoś umiejętnie przerobił wnętrze, tworząc miejsce na naczynia i potrawy.

– A, to zupełnie inna sprawa. Wskazówki i plotki przekazujemy gratis, to część naszej pracy. A może interesują was najnowsze wieści z pałacu? Mówią, że jedna z infantek jest brzemienna i nosi w sobie bliźnięta. Sam się zastanawiam, któż wlaź pod te szeleszczące jedwabne spódnice – rzekł karczmarz, zniżając głos do lubieżnego szeptu.

– Wystarczy mi, jeżeli wskażecie mi drogę do domu doktora Monardesa.

– Jeżeli macie problem z tryprem, to tu w okolicy znajdziecie innych medyków, dużo lepszych i tańszych. Ja na przykład zwykle chodzę do...

– To musi być Monardes, dziękuję – przerwał mu Sancho, niezbyt zainteresowany dalszymi szczegółami.

– W takim razie uważajcie.

Idąc zgodnie ze wskazówkami karczmarza, Sancho łatwo znalazł dom doktora. Kiedy już był blisko, zadał sobie pytanie, co tak naprawdę pragnie osiągnąć. Może tylko chce ją zobaczyć. Jak odgadł Bartolo, ta niewolnica o śniadej cerze i czarnych oczach zrobiła na nim duże wrażenie. Było w niej coś szczególnego i już od wielu dni Sancho fantazjował na temat ponownego spotkania, podczas którego może mógłby ją poprosić o wybaczenie tego, że publicznie ją upokorzył.

„Na pewno zrozumie, że to było konieczne. Że strażę pojmałyby ją, gdybym się nie wtrącił”.

Nawet się nie zorientował, kiedy dotarł do domu medyka. W tym miejscu kończył się jego zaimprovizowany plan. Doświadczenie z niewiastami miał skąpe, w obojętnej niemal nigdy się z nimi nie stykał, oczywiście poza matką. Kobiety podróżowały znacznie rzadziej niż mężczyźni, a jeśli już to robiły, zwykle nie zatrzymywały się w tak marnych miejscach jak obojętne na trasie do Écichy.

W Sewilli Sancho nie miał kontaktu z przedstawicielkami płci przeciwnej poza paniami, które zlecały mu transport towarów z targu. Jego koledzy z sierocińca przechwalali się, że w ich przypadku jest inaczej, i zdawało się, że nie mają poza tym innego tematu do rozmowy. Czasem rysowali na ziemi na dziedzińcu szczegółowe szkice, które upewniały Sancha, że wie, co mężczyźni i kobiety robią na osobności – domyślił się tego już wcześniej, przyglądając się owcom na łące. Te niezgrabne obrazki ekscytowały go i zawsze starał się przyjrzeć im dobrze, zanim ich autorzy usunęli je pośpiesznie. Zakonnicy nie tolerowali tych obscenicznych rysunków, ani też rozmów, które im zwykle towarzyszyły, i jeśli przyłapali któregoś z ich autorów, nakładali nań surowe kary.

Przeszedł kilka razy przed domem medyka i obszedł przyległe ulice, aż odkrył tylną część posesji, otoczoną niezbyt wysokim murem. Z jednej strony mur wychodził na uliczkę tak wąską, że jeden z wielu bezpańskich psów zamieszkujących miasto, leżący w poprzek, zajmował całą jej szerokość. Pies, nieokreślonej maści, wyglądał na zmęczonego i wygłodzonego, ale Sancho nie chciał przeganiać go kamieniami, ponieważ nigdy nie bił zwierząt, jeśli one nie zaatakowały pierwsze. Jednak wchodzenie w uliczkę,

podczas gdy było tam zwierzę, również nie wydawało się dobrym pomysłem.

Przeszukał swoje ubranie i znalazł kawałek chleba, który kupił od karczmarza i zabrał ze sobą na później. Wyciągnął rękę z chlebem w kierunku psa, a ten natychmiast podniósł łeb i wyszczerzył kły, warcząc z cicha. Sancho, przełykając ślinę, zbliżył się do niego, modląc się, aby pies jednym chapnięciem nie odgryzł mu palców. Ale zwierzę podniosło się na przednich łapach i obwąchało oferowany kąsek. Szybkim ruchem, który przeczył jego nędznemu wyglądowi, porwał chleb i uciekł w głąb uliczki, aby pożreć go w ciszy.

„Kto daje chleb obcemu psu, traci i chleb, i psa”, pomyślał Sancho, przypominając sobie jedno z powiedzeń, które tak lubiła jego matka.

Droga była wolna, więc Sancho rozejrzał się. Nikogo nie dostrzegł. Uliczka wyglądała na mało uczęszczaną, więc było mało prawdopodobne, że pojawi się tutaj patrol strażników, ale i tak nie do końca wiedział, co powinien zrobić. Opierając się o sąsiednią ścianę, wdrapał się na sam szczyt muru. Na górze ktoś umieścił pionowo połamane dachówki o ostrych brzegach, aby nie wchodziły tam koty, jednak Sancho bez wielkiego trudu oderwał kilka, aby móc oprzeć dłonie na murze.

Po drugiej stronie zobaczył słoneczny ogród. Kiedy już miał przeskoczyć przez mur, zobaczył dwie przechadzające się osoby. Jedną z nich był starzec w tunice, który wskazywał na grządki to po jednej, to po drugiej stronie ogrodu. Za nim szła niewolnica, podążając wzrokiem w kierunku miejsc, które wskazywała koścista dłoń mężczyzny.

„A więc to prawda, że służy u medyka – pomyślał chłopak. – Dlaczego więc na nadgarstku nosi nazwisko innego pana?”. Z nosem przy krawędzi muru przyglądał się tej krzątaniu jak zauroczony. Ogród w ogóle nie przypominał tego, który jego matka i on uprawiali przy oberży. Było to miejsce pełne nieznanymi roślinami i ciekawymi urządzeniami, które, sądząc po niezadowolonym wyrazie twarzy starca, wciąż nie działały jak należy. Do uszu Sancha dobiegały tylko pojedyncze słowa, ponieważ doktor mówił cichym głosem, a niewolnica odpowiadała od czasu do czasu skinieniem głowy. Wszystko to jedynie wzmagало aurę tajemniczości, która otaczała postać dziewczyny.

– No dobrze, Claro. Zajmij się tym, a ja dam przez chwilę odpocząć moim biednym starym kościom – dobiegł Sancha głos medyka.

– Clara. Ma na imię Clara – wyszeptał Sancho do muru, nagle rozpalony tym, że dowiedział się czegoś o niej.

Monardes usiadł na kamiennej ławie naprzeciwko miejsca, w którym znajdował się Sancho. Ramiona chłopaka były już zmęczone, a na palcach stóp miał odciski od ich wciskania w szczelinę w murze. Musiał zejść na chwilę. Wykorzystał ten moment, aby znaleźć nieco lepsze miejsce na murze, z niewielkim otworem, w którym mógł oprzeć stopy. Wdrapał się ponownie i w wygodniejszej pozycji zaczął obserwować krzątanie Clary w ogrodzie. Dziewczyna niosła na ramieniu skórzaną torbę z praktycznymi kieszeniami, z których wyjmowała różne narzędzia. A to motykę do pogłębienia rowu, a to nożyce do przycięcia zbyt bujnie rozwiniętej rośliny, a to kawałek sznurka do wyprostowania jakiejś łodygi. Jej dłonie poruszały się pewnie i

szybko, odrywając się od pracy tylko po to, by odgarnąć kosmyk włosów, który stale opadał jej na oczy. Zafascynowany Sancho odkrył, że jej twarz się zmienia, kiedy tak pracuje ze skupionym spojrzeniem i ustami zaciśniętymi w wyrazie największej koncentracji. Kiedy sądziła, że nikt na nią nie patrzy, dawała z siebie wszystko. Sancho wprost przeciwnie, potrzebował publiczności, kogoś, kto będzie go podziwiał, tak jak wtedy na placu, kiedy wystąpił w obronie dziewczyny.

Po drugiej stronie ogrodu starzec zaczął chrapać i Clara wykorzystała tę chwilę na odpoczynek. Choć był już środek jesieni, dzień był bardzo ciepły. Słońce i ciężka praca sprawiły, że twarz i dłonie dziewczyny były pokryte potem i ziemią. Podeszła do zbiornika z wodą i nabrała jej do wiadra. Przez chwilę obmywała się dokładnie, po czym zerknęła w kierunku Monardesa, by stwierdzić, że ten wciąż śpi. Odwróciwszy się do niego plecami, zaczęła rozpinać suknię.

Sancho niemal nie mógł uwierzyć własnym oczom. Clara poluzowała tasiemki podtrzymujące górną część sukni. Nie puszczając dolnej części, pozwoliła koszuli i sukni opaść przez talię – była naga od pasa w górę. Nabrała wody w dłonie i myła się w pośpiechu. Jej teraz rozpuszczone długie, piękne czarne włosy opadły, muskając piersi, krągłe i jędrne – kiedy je mydliła, brodawki jej stwardniały, a na ramionach pojawiła się gęsia skórka.

Chłopak po drugiej stronie muru zaczął się czuć źle z powodu tego, co robił, ale nie potrafił oderwać wzroku od pięknego ciała dziewczyny. W spodniach poczuł erekcję, a w pamięci odżyły mu wszystkie przepowiednie kar piekielnych, które nawkładali mu do

głowy zakonnicy. Serce mu przyspieszyło i słyszał jego bicie w uszach jak uderzenia bębna. Kiedy Clara ponownie sięgnęła po wodę, aby zmyć mydło z piersi, Sancho zapomniał, że potrzebuje obu dłoni, aby trzymać się muru, i prawą przesunął w kierunku nabrzmiałej męskości. Stracił przy tym równowagę, jego stopy się ześlizgnęły i zachwiał się nieco. Zaraz ponownie przywarł do muru, ale hałas już zaalarmował dziewczynę. Kiedy podniosła wzrok, ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę i Sancho poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. Przestraszony puścił krawędź muru i runął na ziemię. Upadając, poczuł ostry ból w kostce. Przez chwilę czuł nieodpartą chęć, by krzyknąć.

– Kto tam jest? Widziałam cię! – zawołał kobiecy głos po drugiej stronie muru.

Sancho oddalił się szybko, utykając, z sercem przepelnionym winą i wstydem.

XIX

Jeżeli Bartolo zauważył, że Sancho utyka – kostka bolała go przez kilka dni – nic na ten temat nie powiedział. Chłopak cieszył się z tego, ponieważ kiedy tylko przypomniawsobie o incydencie w ogrodzie, czuł ogromny wstyd i nie miał ochoty opowiadać o tym Bartolowi, bo ten z pewnością drwiłby z niego. Przysięgnłsobie, że już nigdy nie zbliży się do Clary – i tak nie byłby w stanie odezwać się do niej słowem, nie czerwieniąc się przy tym po same uszy.

Aby zapomnieć o tym zdarzeniu, zajął się grą w karty, co było jedną z najzabawniejszych części jego terminowania w zawodzie złodzieja. Opanowanie subtelności faraona czy diabełka, dwóch z najpopularniejszych gier, zajęło mu kilka godzin. Jednak u Bartola wszystko wiązało się z oszustwem, więc z wielką wprawą pokazał on Sanchowi wiele trików: od znaczenia kart sadzą, aby rozpoznać je po awersie, po korzystne dla siebie układanie ich podczas udawanego tasowania.

Kiedy chłopak zaprezentował Bartolowi sztuczkę z zamianą kart przed jego nosem – i to oryginalną, wymyśloną przez Sancha na poczekaniu – Bartolo gwizdnął z podziwem.

– Ja z moimi grubymi paluchami nie mogę wykonać wielu z tych sztuczek – skarżył się karzeł, podnosząc dłoń.

– To dlatego ciągle przegrywasz? – palnął Sancho, obawiając się nieco reakcji swojego mistrza. Jednak Bartolo nie przyjął tego źle.

– Przegrywam ciągle dlatego, że ludziom, z którymi gram, nie można zaserwować sztuczek.

– Bo wszystkie je znają?

– Bo jeśli cię przyłapią, wrzucą cię do rzeki. W dwóch kawałkach.

Sancho zadał sobie pytanie, z jakimiż zwierzętami gra Bartolo, skoro są zdolni zabić dla kilku reali. I, co więcej, dlaczego jego przyjaciel w ogóle się z nimi zadaje. Niestety, już wkrótce miał poznać odpowiedź na oba te pytania.

Zdarzyło się to pewnej niedzieli, kiedy zamierzali wejść do kościoła św. Serca Jezusowego, aby zwędzić koszyczki z ofiarą. Sancho wymyślił sposób z drewnianą łopatką przywiązaną do przedramienia, na co Bartolo aż zamruczał z zachwytem nad pomysłowością swojego ucznia.

Podczas gdy czekali wraz z resztą wiernych, stojących w kolejce do wejścia do świątyni na południową mszę, usłyszeli chrapliwy i nieprzyjemny głos przyzywający Bartola. Karzeł odwrócił się i na jego twarzy pojawił się grymas. Złapał Sancha za ramię i wyciągnął go z kolejki. Z pobliskiej uliczki, na wpół ukryty za pobielonym rogiem, obserwował ich jakiś mężczyzna. Kiedy się do niego zbliżali, Sancho poczuł strach. Nieznajomy nosił bardzo sfatygowany brązowy skórzany kapelusz i niedopiętą koszulę odsłaniającą owłosioną pierś. Na nogach miał ciężkie buty za kostkę, a za pasem mauretański miecz, szeroki i zakrzywiony, bez

pochwy. Nagą klingę zdobiły setki wyszczerbień, dowód na to, że jej właściciel często jej używał.

Jednak Sancha wystraszyła twarz mężczyzny, a nie jego ubiór czy broń. Miał czarną, gęstą brodę przeciętą ustami o grubych wargach, jakby czerwoną, okrutną raną. Jego oczy, głębokie i ciemne, kryły się w dwóch ciemnych oczodołach. Wszystko w jego zachowaniu sugerowało brutalność.

– Mistrzu Bartolo! – rzekł brodac z nieprzyjemną miną. – Chciałbym zamienić z wami kilka słów. Na osobności, jeżeli to wam nie przeszkadza.

– Nie mam tajemnic przed moim uczniem – odrzekł Bartolo, wskazując na Sancha.

– Nie wątpię, mój przyjacielu. Ale ja mam.

Bartolo niechętnie odwrócił się w stronę Sancha.

– Czekaj na mnie przy wejściu do kościoła, a ja porozmawiam z mistrzem Monipodiem.

Monipodio!

Sancho usłyszał imię najsłynniejszego bandyty Sewilli na długo przed tym, jak Bartolo opisał mu jego słynny dwór. Monipodio przebywał w nieznanym miejscu w dzielnicy Triana, ukrytym w głębi labiryntu jej uliczek. Stworzył prawdziwą gildię złodziei zdolnych przeprowadzać operacje pozostające poza zasięgiem pary odludków, takich jak karzeł i jego uczeń. Miał na swoich usługach przedstawicieli wszystkich fachów, od sprzedawców, którzy znajdą klienta na nawet najdziwniejsze skradzione przedmioty, po ślusarzy, mogących otworzyć każde drzwi, zwanych w tej branży apostołami. W jego domu wszelkiej maści przestępcy składali mu hołd. W zamian otrzymywali od niego ochronę i gwarancję

bezpieczeństwa – strażników opłacał Król Złodziei. Bartolo jednak, z nieznanych Sanchowi powodów, nie należał do tej uprzywilejowanej grupy.

Karzeł i bandyta poszli w głąb uliczki. Sancho nie mógł ich słyszeć; udał, że wraca w stronę kościoła, ale zamiast tego skręcił za następnym rogiem i pobiegł uliczką równoległą do tej, w której byli tamci. Chciał się dowiedzieć, o czym rozmawiają. Znalazł schody prowadzące na drugie piętro. Wbiegł po nich jak najszybciej i wdrapał się na dach, opierając się niebezpiecznie o donicę z geranium. Jedna dachówka wysunęła się spod jego stóp i rozbiła na ulicy trzy metry niżej.

„Teraz powoli. Żeby nie usłyszeli, że się zbliżam”.

Szedł zgięty, uważnie stawiając stopy, aby nie narobić hałasu. Dotarłszy do granicy budynku, zobaczył część uliczki, w której rozmawiali Bartolo i Monipodio. Nie widział zbira, ale karzeł wyglądał na zdenerwowanego, przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Wymyśliliście już, jak mnie spłacicie? – zapytał Monipodio.

– Mam kilka zaplanowanych skoków.

– Z koszyczków na ofiarę raczej nie zbierzecie trzystu escudo, mistrzu Bartolo.

– Mówię o czymś poważniejszym.

– Musielibyście być mniej lekkomyślni w kartach lub mieć więcej szczęścia w robocie. Wasz dług zaczyna być dla mnie kłopotliwy, zbyt wielu o tym wie. Nie mogę sobie pozwolić na oskarżenia, że jestem miękki, mistrzu Bartolo.

– To raczej jest mało prawdopodobne – odrzekł karzeł z sarkazmem.

Jego rozmówca zaśmiał się nieprzyjemnie i niewesoło. Sancha przeszły dreszcze.

– Rzeczywiście, sędzę, że macie rację. Lubię was, karle. Jesteście pomysłowi, poza tym mam słabość do zabawnych typów. Wiecie, że jest sposób na to, bym wam darował to, co jesteście mi winni.

– Jakież to sposób, mistrzu Monipodio?

– Przyłączcie się do mojego dworu. Mówią, że wasz chłopak to nieoszlifowany diament. Mógłbym zrobić dobry użytek z takiej zdolnej pary jak wy dwaj.

„Nie, Bartolo. Odmów”.

– W przeciwnym razie, przypuszczam, spuścicie z łańcucha te psy czekające za rogiem, nieprawdaż?

Sancho spojrział w prawo. Na rogu naprzeciwko kościoła stały dwie ciemne postacie, które nie spuszczały wzroku ze sceny rozgrywającej się w uliczce.

Z góry Sancho widział niewiele więcej jak tylko dwa kapelusze i płaszcze, ale i tak przeszył go strach.

– Luneta i Żelazna Ręka są z natury dobroduszni, sami dobrze wiecie. Nie sędzę, abyście mieli z nimi jakiegokolwiek problemy, gdybyście się przyłączyli do gildii. Wystarczy, że przyrzekniecie mi lojalność.

Bartolo przejechał dłonią po policzkach, jeszcze bardziej nerwowo.

– Dajcie mi kilka dni na przemyślenie tej sprawy.

– Macie czas do przyszłego piątku. Tego dnia albo przyniesiecie mi trzysta escudo, albo przyłączycie się do mojego dworu.

Oddalające się kroki Monipodia odbiły się echem w ulicze. Bartolo nie ruszył się z miejsca, tylko stał zgarbiony przez kilka minut.

– No dobra, złaź – rzekł w końcu, podnosząc wzrok na Sancha, który przez cały czas tkwił w bezruchu. – Zanim coś sobie złamiesz. A jak następnym razem będziesz się wspinał na dach, zdejmij buty, bo robisz więcej hałasu niż tureckie salwy armatnie. No więc teraz wiesz już wszystko, chłopcze – dodał, kiedy Sancho nieco zawstydzony, że Bartolo odkrył jego obecność, dołączył do niego. – Musimy wysilić mózgi i w ciągu najbliższych dni przeprowadzić jakiś niezły skok albo będziemy musieli pracować dla tego zwierzęcia.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym spłacać twoje długi – Sancho, obrażony, kopnął kamień. Bryłka potoczyła się i zniknęła w kałuży szczyń.

– Ponieważ jesteś moim uczniem i taki jest zwyczaj. Albo to, albo wynosisz się z Sewilli, gdzie pieprz rośnie. Ale przecież ty nie zostawiłbyś starego Bartola, prawda?

Zapadła niezręczna cisza.

– Dlaczego nigdy nie chciałeś dołączyć do dworu? – zapytał Sancho, aby przerwać milczenie.

– Dawno temu wchodziłem w skład pewnego dworu – odpowiedział karzeł z zagubionym spojrzeniem. – W innym życiu i w innym miejscu.

Sancho milczał przez chwilę. Tego się właśnie obawiał, że karzeł odpowie mu – jak zwykle – wymijająco. Ale ku jego zdziwieniu Bartolo mówił dalej.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z Monipodiem, ponieważ zmienił szlachetny złodziejski fach w przedsiębiorstwo. On sobie siedzi w swoim domu w Trianie, podczas gdy inni nadstawiają karku, wykonując brudną robotę ze strachu przed jego zbirami.

– Czyż złodziejom nie żyje się teraz lepiej? Nie są chronieni przed strażnikami?

Całe miasto wiedziało, że dowódcy straży są świetnie opłacani przez Monipodia, aby patrzeli w drugą stronę, kiedy dochodzi do rozboju. Niewielu było takich jak Bartolo, którzy odważali się kraść na własny rachunek, nie płacąc procentu Królowi Złodziei.

– Monipodio strzepi sobie język, chwając się, jaki to z niego wielki obrońca złodziei – parsknął karzeł. – Powtarza do znudzenia, że już od sześciu lat w Sewilli nie powieszono ani jednego z nas. Ale nie mówi, ilu z jego poddanych znaleziono o poranku w rowie bez głowy. Wolę gniew strażników od miłosierdzia Monipodia – splunął na ziemię z pogardą, po czym dodał: – A najgorsze jest to, że wielu z naszych stało się zabójcami pozbawionymi skrupułów. Ktokolwiek w Sewilli może się udać do Monipodia i poprosić o uwolnienie od kochanka żony czy zbyt nachalnego wierzyciela. Naznaczenie twarzy na całe życie kosztuje siedem escudo, dziewięć, jeśli celem jest dobry szermierz. Cena za zabójstwo wynosi od piętnastu do trzydziestu escudo. Ludzkie życie waży się i mierzy. Mój Boże...

– Rozumiem – rzekł Sancho, potrząsając głową i przypomniał sobie, że karzeł go pytał, co zrobił z Castrem, zanim uciekł z karczmy. Poczul nagły przyływ szacunku i współczucia dla Bartola, tak małego i samotnego, jednak wiernego swoim zasadom.

– Życie jest cennym darem, chłopcze. To jedyne, czego nigdy nie należy kraść.

XX

Sen Vargasa zawsze zaczynał się spokojnie i wywoływał dziecięcy uśmiech na jego twarzy.

Był bardzo barwny. Precyzyjnie odtwarzał każdy szczegół dawnej ulicy Esparteros: bruk, cuchnące gównem błoto na środku ulicy, śmiech dzieci. Śmiech Francisca zlewający się z tym krystalicznym, niemądrym, beztroskim chórem. Strach, wątpliwości, zmartwienie, skąd wezmą kolejny posiłek, to sprawy jego starszego brata, Luisa. Ma dziesięć lat, czyli tylko dwa więcej od Francisca, ale jest sprytny i silny, a Francisco go podziwia.

– Luis, pobawimy się w konkwistadorów? – prosi go zawzięcie.

– Dobra, Francisco! I wy też! – krzyczy Luis, wdrapując się na jakieś beczki, nawołując pozostałych ulicznych łobuziaków i wymachując wierzbową witką niczym szpadą. – Stańcie do walki z potężnym konkwistadorem Pizarrem!

Wszyscy biegną w pośpiechu w jego stronę. Półnaczy, w samych łachmanach, zawszeni i pokryci pęcherzami, bezzębni i głodni, ale przecież są dziećmi. Odgrywają waleczne czyny konkwistadorów, Luis zawsze jest wielkim Pizarrem. Bohaterem, z którym ojciec obydwu chłopców wyruszył na podbój Peru, zostawiając synów

u dalekiego krewnego, i obiecując im, że wróci ze złotem i okryty chwałą. Jednak z Indii Zachodnich wróciła tylko informacja, że ich ojciec zginął w dżungli z rąk Indian. Krewny wyrzucił ich na ulicę tego samego dnia, stwierdzając, że już nie może ich utrzymywać.

Od tego czasu minęło piętnaście miesięcy, a oni ciągle żyli. Luis wiedział, jak zdobyć jedzenie, gdzie spać, aby było ciepło i sucho, jak unikać strażników. Luis wiedział wszystko. I był najlepszy w zabawie w konkwistadorów.

– Luis, dlaczego ja nigdy nie mogę być jednym z Hiszpanów? – zalił się mały Francisco.

– Bo jesteś niziutki, jak ci bezbożni Indianie.

– A dlaczego ty nigdy nie jesteś naszym ojcem?

Na twarz Luisa Vargasa wypływał wtedy cień, którego malec nie zauważał.

– Bo nasz ojciec zginął. A ja nie chcę być wśród przegranych, Francisco.

– Ojciec był bohaterem!

– Ty go nie znałeś. Zresztą matki też nie.

To był argument, który kończył wszelkie dyskusje. Luis znał matkę, chociaż nigdy nie przyznał się bratu, że jej nie pamięta, bo miał trzy latka, kiedy zabrała ją gorączka. A i to, że rzadko widywał ojca, zanim inna gorączka zabrała go na drugi koniec świata, nie było miłym wspomnieniem.

Więc mały Francisco Vargas milkł, nic nie rozumiejąc. Bo Luis wiedział wszystko.

Kiedy w śnie grupa chłopców uzbrojonych w wyimaginowane szpady z gałęzi wdrapuje się na beczki, czas zaczyna płynąć

wolniej. Poczucie beztroski przechodzi w niepokój, a czas gęstnieje. Zmysły się wyostrzają, uwydatniając każde zawilgotniałe pęknięcie w beczkach, każde włókno związujących je lin, każdy strup w plątaninie wychudłych nóg walczących, aby wdrapać się na beczkę. I w tym momencie nadchodzi nagła, bolesna świadomość tego, co nastąpi, a wraz z nią cierpienie.

Mały Vargas chce podnieść ostrzegawczo jedną rękę, ale czas jest dla jego ciała zbyt gęsty. Ręka niemal nie może się poruszyć. Gardło ledwie wydaje zduszone westchnienie. Stopy sprawiają wrażenie, że są zakotwiczone w bruku. I tylko strach ma skrzydła, którymi jeszcze pobudza bijące szaleńczo serce chłopca.

Czas znów przyspiesza w momencie, gdy liny trzymające beczki rozwarstwiają się i zrywają, uderzając Francisca w twarz jak batem. Spodziewa się bólu, czeka nań, pragnie go, ale to nie wystarcza, aby się obudzić. Musi pozostać na miejscu jako przymusowy świadek ciągu zdarzeń, który już doskonale zna.

Stos się rozpada i beczki zaczynają się toczyć. Chłopcy spadają pośród przekleństw i siniaków. Luis, który stoi najwyżej, pada do tyłu. Strach rozlewa się w sercu jego brata, próbuje krzyczeć jeszcze głośniejsze i biec jeszcze szybciej. Wszystko na nic.

Nagle ulga. Luis porusza się, leżąc na ziemi, kaszląc i się śmiejąc. Beczki spadają po jego bokach, ale żadna go nie dosięga. Luis zaczyna się podnosić i przez chwilę Francisco znów widzi siebie, jak biegnie razem z bratem, jak kradną pomarańcze na dziedzińcach i śmieją się w zaułkach. To jest furтка do szczęścia i do życia, która jednak nagle się zatrząskuje, a uszu chłopca dobiega rzenie konia.

Wtedy Francisco już wie, że to nocny koszmar, jednak cierpienie nie staje się przez to mniej dotkliwe. Słyszy, jak ogromne zwierzę galopuje, jak pędem zbliża się do brata. Widzi, jak koń groźnie unosi się na tylnych kopytach. Widzi ciemne oczy księcia Osorio, który nie zwraca uwagi na chłopaka leżącego u stóp zwierzęcia, lecz wbija w jego bok ostrogę, chcąc jechać dalej. Francisco widzi, jak końskie kopyto kieruje się w stronę twarzy jego brata, słyszy odgłos łamanych kości, kiedy ląduje na głowie Luisa. Jego stopy uwalniają się w samą porę, aby podbiec i wziąć brata w ramiona, podczas gdy krew i mózg chłopca płyną do pełnego odchodów rynsztoka na środku ulicy.

Vargas krzyknął, budząc się, i wygramolił się z łoża. Nie zwracając uwagi na chorą stopę, pokuśtykał w stronę foteli z drewna i tłoczonej skóry stojących przy kominku. Ogień prawie wygasł, tylko pomarańczowy żar świecił jeszcze pod grubą warstwą popiołu. Kupiec zadrżał z zimna, ale nie miał siły, aby złapać za miech, ani też nie chciał wokół siebie krzątaniny służby. Pozostał więc w bezruchu, z dłońmi wczepionymi w ramiona fotela, przeklinając swój powracający koszmar.

Już od wielu miesięcy go nie nawiedzał, jednak odkąd zaczęły się bóle związane z podagrą, sen powrócił. Pojawiał się i go prześladował, kiedy tylko w jego życiu pojawiały się jakieś problemy. Budząc się, był zmęczony, spięty, rozdrażniony i coraz bardziej niespokojny.

Po niezliczonych nocach wypełnionych senną udręką zniekształcony koszmar stał się bardziej rzeczywisty niż samo wspomnienie. W rzeczywistości zdarzenie sprzed czterech dekad trwało zaledwie chwilę. Jego brat spadł z beczek pod kopyta

pędzącego konia i skończył z rozbitą głową w kanale. Pozostałe dzieci bawiące się na beczkach uciekły w popłochu, zostawiając Francisca samego. W zdarzeniu nie było zamiaru ani winy, był to tylko smutny wypadek. Jednak w umyśle małego Vargasa wyglądało to inaczej. Kiedy podniósł wzrok znad ciała brata, ledwie zauważył buty jeździeckie i surową twarz, na której nie malowały się żadne emocje.

– To twój brat?

Jeżeli Francisco odpowiedział, to nie pamięta tego. Coś jednak musiał powiedzieć, bo ksiązę odwrócił się do jednego ze swoich towarzyszy; ten zsiadł z konia i podszedł do Francisca.

– Weź to, chłopcze. Łaska księcia Osorio, na zaspokojenie twoich potrzeb.

Francisco spojrział nań, nie rozumiejąc, ale nie odsunął ręki od Luisa. Towarzysz księcia wzruszywszy ramionami, położył sakiewkę z monetami na jeszcze ciepłym ciele jego brata. Następnie ruszyli dalej, już się nie odwracając.

Tego dnia coś w nim pękło. Wpatrując się w zad konia, który zabił jego starszego brata, Francisco poczuł, jak zalewa go gwałtowny potok uczuć. Były wśród nich nienawiść, poczucie winy i strach, ale ponad wszystkie wznosił się niezrozumiały podziw. Ksiązę Osorio symbolizował wszystko to, czego oni nie posiadali: władzę, pieniądze, bezkarność. Pierwsze słowa, które chłopiec wypowiedział nad trupem swojego brata, miały się stać jego mottem na resztę życia.

– Zostanę księciem.

Przez czterdzieści lat Francisco de Vargas popełniał przestępstwa, dopuszczał się niegodziwości, nie czując przy tym nawet

najmniejszych wyrzutów sumienia. Od czasu, kiedy ostatnia łopata ziemi opadła na ciało jego brata, chłopiec zaczął pracować, aby osiągnąć swój cel i być jak ten, który odebrał mu wszystko.

Droga od malutkiego kramu na placu Encarnación, który otworzył dzięki pieniądzom otrzymanym od księcia, do obecnej fortuny, była usłana trupami – i tymi w przenośni, ludźmi, którzy padli ofiarą jego chciwości lub zemsty, zimnej i bezlitosnej jak lutowe mrozy, i prawdziwymi, takimi jak krewny, który jego i jego brata wyrzucił niegdyś na ulicę – para zbirów wynajętych przez Francisca, mającego wówczas jedenaście lat, wypatroszyła go w jakimś zaułku. Wśród jego ofiar byli ludzie zrujnowani, jak pierwszy handlarz stalą z Vizcai, którego Vargas oszukał i okradł, zanim jeszcze na jego brodzie pojawił się pierwszy zarost. Byli pomówieni i uwięzieni, jak dowódca straży, który oskarżył Vargasa o szmuglowanie wina – ostatecznie to jego uznano za winnego, a on sam nie mógł zrozumieć, jak jakiś młodzieniaszek zdołał przekupić świadków.

Wobec żadnej z tych osób, ani kolejnych swoich ofiar, nie czuł się winny. Wyrzuty sumienia zachował na potrzeby wspomnień o dniu, kiedy po raz ostatni poprosił brata, aby pobawili się w konkwistadorów, bo wówczas Luis wspiał się na beczki. Francisco de Vargas żałował także, że nie udało mu się na czas dopaść księcia Osoria.

Zmarł on w swoim łóżku, w otoczeniu księży i żałobników, na długo przed tym jak chłopak, którego jak sądził, kupił za sakiewkę złota, wzmocnił się na tyle, by móc się z nim zmierzyć.

Vargas podniósł dłonie i wydał z siebie jęk frustracji. Kończyny nadal miał silne, zdolne podnieść rapier, ale niebieskie żyły

zaczynały już robić się widoczne, a skóra na kłykciach stawała się wiotka. Odkąd zaczęły się jego dolegliwości, stawał się coraz bardziej niespokojny i miał coraz większe kłopoty ze snem. Po raz pierwszy czuł, że życie zaczyna mu się wymykać spod kontroli, a kątem oka zaczynał dostrzegać śmierć.

Podniósł się i wziął do ręki mieszek i pogrzebacz, aby spróbować rozniecić żar. Kawałek niedopalonego drewna zajął się i wypuścił samotny pomarańczowy płomyk – Vargas zapatrzył się w niego.

Kiedy gasnący ogień malował w komnacie groźne cienie, Vargas zamyślił się nad latami, które minęły od dnia, gdy koń zmiażdżył głowę jego brata. Choć osiągnął bardzo dużo, uważał się za przegranego, ponieważ nie zdobył książęcego tytułu. Wyrósł wysoko ponad swój stan. Zbudował imperium handlowe rozciągające się na dziewięć krajów. Poślubił piękną i romantyczną istotę, której jednak nigdy nie potrafił zrozumieć. Dwadzieścia lat temu spłodził z nią smukłego i bladego syna, z którym rozmawiał tylko ze dwa tuziny razy, i który obecnie wolał studiować daleko od Hiszpanii z nosem w księgach, zamiast spędzać czas z ojcem, który nigdy nie okazał mu ani krztyny uczucia.

„A jakże o to zebrał, przybiegając do mnie na tych swoich nóżkach jak patyczki za każdym razem, kiedy słyszał, że przychodzę. Próbowałem zrobić z niego silnego mężczyznę, ale był zniewieściałym mazgajem”.

Zadał sobie pytanie, czy syn podejrzewał, co naprawdę stało się z jego matką. Całkiem możliwe, bo zawsze trzymał się jej spódnicy. A ona, odkąd się urodził, wykorzystywała syna jako

wymówkę. Aby nie udać się z nim do łoża, aby nie towarzyszyć mu w jego podróżach handlowych do Indii i Flandrii, aby krytykować sposób, w jaki prowadził swoje interesy. Vargas wziął ją za żonę, ponieważ była córką szlachcica, i małżeństwo mogło rzucić na niego delikatny poblask szlachectwa i pozwolić mu z kupca Francisca Vargasa stać się dystyngowanym don Franciskiem de Vargas.

„Przeklęta suka bez serca. A tyle dla niej zrobiłem”.

Na swój sposób kochał Lucindę. A przynajmniej w takim sensie, w jakim rozumiał słowo miłość. Obsypywał ją podarkami i uprzejmościami... Jednak nigdy tak naprawdę nie nawiązał z nią kontaktu ani nie otworzył dla niej serca, choć ono i tak nie miało jej nic do zaoferowania. Kiedy zrozumiała, za jakiego człowieka wyszła, zaczęli się od siebie oddalać. Ona nie chciała go dotykać, on szukał pocieszenia w ramionach innych kobiet. Początkowo Lucinda znosiła upokorzenie w milczeniu, zgodnie z regułami panującymi wśród pełnej hipokryzji sewilskiej socjety. Jednak po historii z niewolnicą nie mogła już dłużej milczeć. Najpierw rzucała zawołowane aluzje w towarzystwie małżonek innych kupców, a następnie zwierzyła się księdzu, a ten udał się do Vargasa i czynił mu wyrzuty na temat jego zachowania. Vargas, który ponad wszystko nie chciał się znaleźć na językach pospólstwa, podjął drastyczną decyzję.

Od tego czasu minęło już trzynaście lat, jednak wciąż pamiętał każdy szczegół. Jak udał się w fikcyjną podróż w interesach poza miasto. Jak znalazł medyka bez skrupułów, który za odpowiednie pieniądze zgodził się zająć sprawą. Pieniądze, których nigdy nie dostał, ponieważ brutalna zemsta na nim od samego początku

stanowiła część planu. Jeżeli chodzi o kapitana Groota, nie musiał specjalnie się starać. Ten człowiek miał okrucieństwo pod skórą, tuż pod cienką warstewką cywilizacyjnej ogłady, a tę Vargas mógł kilkoma słowami usunąć, kiedy tylko chciał.

Wszyscy wiedzieli, kto zlecił wykrwawienie niekompetentnego medyka, który pozwolił umrzeć małżonce Vargasa. Ponura reputacja kupca stała się po tych wydarzeniach jeszcze bardziej przerażająca, a jego interesy rozkwitły. Nie było więcej beczek z zawilgoconym cynamonem w przesyłkach, statków niewolniczych docierających do portu z chorym ładunkiem, ani dostaw źle sfermentowanego wina. Po tym nikt już się nie odważył stosować wobec Vargasa brudnych sztuczek.

A chłopiec znalazł się w rękach nianie i prywatnych nauczycieli, którzy trzymali go z dala od oczu ojca, aż urósł na tyle, żeby można było go wysłać na nauki do Francji. Vargas nigdy nie pojął ironii tej sytuacji: zrobił ze swoim synem to samo, za co jego brat Luis gardził ich ojcem.

Poczuł powiew lodowatego powietrza. Płomień zadrżał przez chwilę i zgasł. Kupiec wydał okrzyk niezadowolenia, myśląc o własnej fortunie, pożartej przez morze i podatki. Ani król, ani matka natura nie bali się zemsty Vargasa i dlatego właśnie znalazł się w takiej sytuacji. Teraz wszystko zależało od planu, który uknuł z Malfinim. Jeżeli się powiedzie i Vargas zdoła odzyskać zajęty ładunek złota, jego imperium przetrwa, a on będzie o krok bliżej kupna tytułu książęcego. W przeciwnym razie w ciągu kilku miesięcy czeka go bankructwo i hańba. Nie będzie już mógł zatrzymać u swego boku Groota ani zbirów, którzy wykonywali dla niego brudną robotę. A było mnóstwo szakali,

które ze swoimi płatnymi bandytami czekały w cieniu na taki moment, gotowe wziąć odwet za poniżenia doznane od Vargasa. Pozbawiony tarczy swojego bogactwa, kupiec będzie martwy w zaledwie kilka tygodni.

Nie mogąc już znieść zimna, wstał i wrócił do stolika nocnego stojącego obok jego łóża. Leżał tam srebrny dzwonek. Kiedy go podnosił, aby wezwać służbę, dzwonek cicho zadźwięczał. Nawet nie zdążył nim potrząsnąć, bo w tej samej chwili drzwi do sypialni otworzyły się ze skrzypnięciem.

– Byłaś za drzwiami – rzekł kupiec, odwróciwszy się i ujrawszy Catalinę. Tak jak jej pan, klucznica miała na sobie tylko koszulę nocną.

– Usłyszałam, jak krzyčeliście już jakiś czas temu, panie.

– I zostałaś za drzwiami, żeby znów mnie szpiegować. Mówiłem ci już, że to się musi skończyć.

– Noc jest bardzo zimna. Rozpalę wam przyjemny ogień.

Vargas podniósł laskę z podłogi i wspierając się na niej, wrócił na fotel przy kominku. Gospodyni wyszła i wróciła z suchym drewnem. Po kilku minutach znów pojawiły się silne, błyszczące płomienie.

– Życzycie sobie zjeść śniadanie, panie?

– Nie, Catalino. Zostaw mnie samego.

Niewolnica nie odeszła. Pozostała przy fotelu i oparła jedną dłoń na jego oparciu.

– Wyglądacie na zmartwionego, panie. Czy jest coś, co mogę dla was uczynić?

Vargas zauważył zmianę tonu niewolnicy, ale nie odwrócił się. Catalina przeniosła dłoń z oparcia fotela na ramię kupca.

– Mogę rozniecić także inny ogień, mój panie. – Jej głos nie był już głosem niewolnicy, lecz kogoś zupełnie innego. – Już od miesięcy o to nie prosicie.

Dłoń powoli zsuwała się w dół piersi Vargasa, pieściła brzuch, aż dotarła do pachwiny. Masowała go przez chwilę przez koszulę nocną, po czym wsunęła dłoń pod nią. Vargas zamknął oczy, czując, jak palce niewolnicy otaczają jego penisa, jeszcze miękkiego, ale wrażliwego i już powoli zaczynającego odpowiadać na pieśczołę. Rozsunął kolana, a Catalina szeptała mu do ucha, wywołując dreszcz przyjemności.

– Zaraz sprawię, że poczujecie się lepiej i będziecie mogli zasnąć.

Oddechy obojga przyspieszyły, jednak w tym samym momencie włosy niewolnicy zsunęły jej się przez ramię i opadły przed twarz kupca. Vargas, wyczuwając ruch, otworzył oczy i zobaczył posiwiałe włosy Cataliny. Obrócił głowę i widok zmarszczek niewolnicy podziałał na niego jak kubeł zimnej wody. Nagle jego penis zmięknął i skurczył się, a starania kobiety zaczęły sprawiać mu ból.

– Zostaw mnie! – powiedział, odpychając ją. Catalina upadła na ziemię, jęknęła. Kiedy wstała, na twarzy swego pana wyczytała pogardę. – Nie chcę, abyś ponownie mnie dotykała. Nie sprawia mi to już przyjemności – dodał, odwracając wzrok.

– Dawniej tak nie było – odrzekła Catalina. Stała na granicy kręgu światła rzucanego przez kominek; jej oddech tworzył obłoczki pary. W tym miejscu komnaty było bardzo zimno.

– Teraz jesteś stara. Nie mogę już czuć się przy tobie jak mężczyzna!

– Wolelibyście, żeby to była ona, Francisco? Ze swoją idealną twarzą i piersiami? To ty mi to zrobiłeś! – Postąpiła krok naprzód, wskazując na okrutną bliznę na policzku w kształcie litery S i gwoźdźca.

Vargas spojrział na bliznę. Kiedy kupił Catalinę dwadzieścia lat temu, była wspaniałą kobietą, choć nie najmłodszą. Twierdziła, że nie wie, ile ma lat, ale prawdopodobnie dobijała czterdziestki. Pierwszej nocy, kiedy Vargas wdarł się do jej łóżka, walczyła jak tygrysica, aby uniknąć penetracji, jednak na nic się to zdało. Vargas doszedł w niej, wdychając woń spalonego mięsa, która unosiła się ze znaku wypalonego na jej policzku tego ranka.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wzywasz ją do siebie każdego ranka i wieczoru.

– Nic jej nigdy nie zrobiłem.

– Ale któregoś dnia przyjdzie ci to do głowy. Nie myśl, że cię nie znam. To twoja córka, Francisco!

„I przyczyna, dla której musiałem zabić swoją żonę, suko. Któż by przypuszczał, że w tym wieku możesz stać się brzemienna?” – Vargas poruszył się w fotelu. A więc to dlatego Catalina w ostatnich miesiącach była taka niespokojna.

– Przed Bogiem to nie jest moja córka, tylko metyski bękart. Pozwoliłem ci ją zatrzymać, zamiast oddać do sierocińca, jak zrobiłby każdy na moim miejscu. Zrobiłem cię klucznicą.

– Po tym, jak mnie zgwałciłeś.

– Przyjmowałem cię w mojej sypialni przez wszystkie te lata i nie musiałem cię do tego zmuszać.

Twarz Cataliny płonęła z wściekłości i oburzenia. Podniosła palec w stronę Vargasa.

– Nie dotykaj jej, słyszysz? Niech ci to do głowy nie przyjdzie, albo cię zabiję. Wrzucę ci truciznę do jedzenia albo zepchnę ze schod...

Vargas nie pozwolił jej dokończyć. Zerwał się z fotela, doskoczył do Cataliny i uderzył ją w twarz tak mocno, że upadła na podłogę. Kupiec postawił stopę na jej gardle i zaczął naciskać. Niewolnica wbiła mu paznokcie w podeszwę, próbując odsunąć jego nogę od swojej szyi, ale waga i siła napastnika były zbyt duże.

– Nie, nie zrobisz niczego takiego, ponieważ w tej chwili poinformuję Groota, aby w dniu mojej śmierci zabawił się z Clarą, a następnie przeszył ją na wylot drugim ze swych mieczy. Tak więc wracaj natychmiast do swoich obowiązków, traktuj mnie z szacunkiem i módl się, abym żył długo i szczęśliwie. A tymczasem ja, jako właściciel ciebie i twojej córki, będę z wami robił, co mi się żywnie podoba. Zrozumiałaś?

Uniósł nieco stopę. Catalina, kaszląc, skinęła głową, z oczami przepełnionymi nienawiścią i strachem. Vargas z uśmiechem na ustach wrócił na swój fotel, niemal nie korzystając z laski. Od lat nie czuł się tak dobrze. Patrzył, jak niewolnica podnosi się i kulejąc, idzie w stronę drzwi.

– Ach, Catalino...

Kobieta ciężko oddychając, zatrzymała się w progu; nie odwróciła się. Na zewnątrz rozległo się pianie kogutów.

– Przyślij do mnie swoją córkę. Już czas na moje poranne zabiegi.

XXI

– Podnieście stopę trochę wyżej, panie.

Vargas uczynił to niechętnie. Musiał trzymać nogę w górze, gdy Clara masowała mu stopę i nakładała maść, co zwykle powodowało ból i drażliwość. Wcześniejsza konfrontacja z Cataliną kazała mu spojrzeć na ten proces z innej perspektywy; na chwilę oderwał się od swoich zmartwień, przyglądając się Clarze. Dziewczyna była tak piękna, że w środku go bolało od samego patrzenia. Zdziwił się, że wcześniej tego nie zauważył i że to stara klucznica musiała niechcący zwrócić na to jego uwagę. Do tego poranka nawet mu nie przyszła do głowy żadna pożądliva myśl o tej dziewczynie, którą przecież przez wiele lat chronił na odległość, zawsze świadomy tego, że odpowiada za jej pojawienie się na świecie. Jednak zakaz Cataliny zmienił sytuację. Vargas nie znosił, kiedy mu mówiono, co może, a czego nie może robić.

Ale i tak pilniejsze sprawy zaprzętały jego głowę. Poprosił Clarę, aby zabieg przeprowadziła w jego gabinecie, ponieważ – pomimo wczesnej pory – oczekiwał gościa. Nie mógł się doczekać przyścia Malfiniego.

– Wystarczy, Claro.

Niewolnica zignorowała polecenie i kontynuowała masaż.

– Nie, musimy skończyć.

– Zdaje mi się, że odkąd zaczęłaś nauki u Monardesa, zadzierasz nosa – warknął Vargas, który – kiedy tylko powróciły zmartwienia – przestał czerpać przyjemność z sytuacji i zaczął na nowo odczuwać niedogodności towarzyszące zabiegom na chorej stopie.

– To samo mówi moja matka, panie.

Palce Clary natrafiły na wrażliwy punkt na stopie Vargasa – kupiec zawył z bólu, po czym kopniakiem przewrócił podnózek, na którym opierała się Clara.

– Do diabła, powiedziałem, że już wystarczy!

Clara, która upadła na podłogę, podniosła się urażona.

– Lepiej już sobie pójdę, panie.

– Tak, tak będzie najlepiej – powiedział Vargas. – I nie zapominaj, kto tu rządzi.

Patrzył, jak dziewczyna zbiera swoje rzeczy i wychodzi z gabinetu pewnym, eleganckim krokiem.

„Wkrótce przyjdzie czas, aby przytrzeć ci nosa i pokazać, gdzie twoje miejsce”. Zadał sobie pytanie, czy odważy się popełnić grzech spółkowania z własną córką, choćby i z nieprawego łoża. Vargas był człowiekiem bogobojnym, jednak – na szczęście – księży gotowych udzielić rozgrzeszenia z tego i wielu innych grzechów za odpowiednią kwotę w złotych escudo nie brakowało.

„Nie – powiedział do siebie w myślach. – Zabawniej będzie pociągnąć tę gierkę przez kilka miesięcy. Patrzyć, jak Catalina zgrzyta zębami z wściekłości za każdym razem, gdy wezwę jej córkę do moich komnat i zamknę za nią drzwi...”

Z zamyślenia wyrwał go służący.

– Przybył bankier Malfini, panie.

Kupiec wyciągnął naga stopę w stronę kominka, aby resztki maści szybciej się wchłoneły. Poczł dreszcz na plecach.

– Każ mu wejść. Ale najpierw dorzuć jeszcze drew do kominka.

Pojawił się Malfini, jak zwykle tusty i spocony. Był kłębkiem nerwów – gruby genuencyk ryzykował tak samo jak Vargas. A nawet więcej, bo to on musiał wręczyć łapówki urzędnikom Izby Handlowej. Te ostatnie cztery miesiące od tymczasowego zajęcia ładunku złota z Indii Zachodnich były bardzo ciężkie. Najpierw trzeba było odkryć, kto dzięki przywilejom Izby miał uprawnienia, aby przeszkodzić królewskim urzędnikom w przejęciu ładunku, a następnie znaleźć brudy w życiu tych osób, aby stosując przekupstwo i wymuszenie, wpłynąć na ich wolę.

– Dzień dobry, *signore* Vargas. Za waszym pozwoleniem, wyglądacie kwitnąco – służalczo przywitał się bankier.

– Siadajcie, Ludovicu – odrzekł Vargas, nie odwracając wzroku od ognia.

Służący podał im dwie filizanki gorącej czekolady z ciasteczkami; bankier natychmiast się rzucił na poczęstunek.

Kiedy służący wyszedł, Malfini odezwał się cichym, konspiracyjnym głosem.

– Przynoszę doskonałe wieści. Tak jak kazaliście, skontaktowaliśmy się już z Rodolfem Lópezem de Guevarą.

Vargas wolno skinął głową. Trudno było zdecydować, na którego z urzędników Izby nacisnąć najmocniej, aby zapobiegł zajęciu ładunku. Wszyscy w mniejszym lub większym stopniu ulegli korupcji i już samo to stanowiło ich najlepszą ochronę. Mieli takie

powiązania, że trudno było sprawić, by któryś z nich zaczął działać wbrew interesom Izby lub króla Filipa. Jednak López de Guevara poza napełnianiem swoich kieszeni miał jeszcze jedno hobby. Lubił baraszkować z młodzieńcami na łąkach Igualady, a tego inkwizycja nie tolerowała.

Kiedy już ten jego słaby punkt został odkryty, trzeba było tylko przekupić kilku świadków i zdobyć ich zeznania pod przysięgą. Vargas nie dbał o to, czy ci świadkowie mówili prawdę czy nie. Liczył się efekt, a Vargas zamierzał osiągnąć swój cel. Urzędnik zrobi wszystko, aby ta sprawa nie wyszła na jaw, ponieważ karą za homoseksualizm była śmierć na stosie, w straszliwych męczarniach.

– Zgodzi się?

– Zrobi to, *signore* Vargas. Obiecałem jutro przekazać mu dowody obciążające, wraz z akredytywą o wartości tysiąca pięciuset escudo na zachętę. Kij i marchewka – rzekł grubas, potrząsając tłustą dłonią w powietrzu.

Vargas odwrócił się w stronę bankiera, marszcząc brwi. Coś w zachowaniu Malfiniego wzbudzało nieufność kupca.

– A czego mi nie mówicie, Ludovicu?

– Jest pewna niewielka niedogodność – rzekł genueńczyk, odchrząknawszy, czując się niepewnie pod badawczym spojrzeniem Vargasa. – Istnieje tylko jeden legalny wybieg, z którego urzędnik może skorzystać, aby zapobiec bezpośredniemu zajęciu ładunku przez Koronę.

„A więc jest jakieś zastrzeżenie. Powinienem był to przewidzieć”.

– No więc?

– Musicie zadeklarować, że te pieniądze zostaną wydane na korzyść królestwa.

Kiedy Vargas to usłyszał, jego twarz zapłonęła.

– Do diabła, nie! – ryknął i wrzucił w ogień cenną filiżankę po czekoladzie, rozbijając ją w drobny mak o płonące drwa. – To moje pieniądze! Moje! Czy nie wystarczy, że król zabiera piątą część całego zarobku? Że każe nam wybijać złoto w swoich mennicach, naliczając od tego podatek? Że zajmuje wszystko, kiedy tylko chce, w zamian dając tylko puste obietnice?

Bankier skulił się na krześle, jakby na widok Vargasa chwytającego za laskę i wymachującego nią w powietrzu chciał zniknąć wraz ze swoim ogromnym cielskiem.

– Uspokójcie się, *signore* Vargas. Wymyśliłem pewne rozwiązanie, niewątpliwie dość sprytne – bezwstydnie sam się pochwalił.

Zrobił efektowną pauzę i Vargas poczuł chęć, aby go udusić, ale siłą woli uspokoił się i odstawił laskę. Nie miał innego wyjścia, jak tylko wysłuchać tego, co miał do powiedzenia ten ogromny odpad ludzki.

– Powinniście wesprzeć działania wojenne. A najlepszym sposobem na to jest inwestowanie na rynku zbóż, w celu zapewnienia zaopatrzenia naszej Armadzie i flocie indyjskiej. Izba Handlowa spojrzy na to bardzo przychylnym okiem, ponieważ to rozproszony i bardzo zaniedbany sektor. Hiszpania jest nadmiernie zależna od Portugalii i Francji w zakresie dostaw żywności na okręty. Gdyby człowiek waszego formatu wszedł w ten interes, sprawy wyglądałyby inaczej.

Na twarzy Vargasa zaczął pojawiać się uśmiech. To była zupełnie inna sprawa. Biorąc pod uwagę ogromny deficyt ziarna, jaki panował w Hiszpanii w ostatnich latach, na tym rynku dało się zbić niezłą fortunę, jeśli tylko działało się przebiegle.

– A więc sprzedalibyście królowi Filipowi zboże zakupione za pieniądze, które chciał wam zająć, aby kupić to zboże, *signore* Vargas.

– To nie jest zły plan, Ludovicu. Przebiegły i ryzykowny, ale genialny – rzekł kupiec, którego umysł zaczęła już zalewać powódź pomysłów. To będzie wyzwanie, co jeszcze zwiększa atrakcyjność tego planu.

– Jutro zajmę się zamknięciem transakcji – odrzekł Malfini, głośno siorbiąc resztkę czekolady.

XXII

Clara zeszła na dół do kuchni, wycierając dłonie w ściereczkę, aby usunąć resztki maści, którą co dzień smarowała stopę Vargasa. Od kiedy Monardes przekazał jej cuchnącą mieszankę, nie mogła pozbyć się z rąk tego smrodu. Najgorzej było w nocy, bo Clara lubiła spać z przyłożonymi do twarzy dłońmi, a przez tę ohydną woń nie mogła zasnąć, chociaż każdego wieczoru kładła się do łóżka wykończona. Prosiła Monardesa kilka razy, aby pozwolił jej użyć szaławii i mięty do zneutralizowania smrodu maści.

– Lek nie musi dobrze pachnieć. Musi leczyć – stwierdził medyk.

– Ale przecież pacjenci również czują tę woń, mistrzu, a przyjemny zapach może poprawić samopoczucie, co pozwoli im szybciej wyzdrowieć – odrzekła Clara, starając się, aby w jej głosie rozbrzmiewała pokora.

Medyk, słysząc to, mruzczał coś niezrozumiale i patrzył dziwnie, ale w końcu się zgodził. Dziewczyna była bardzo dumna z siebie, kiedy odkryła, że Monardes po kryjomu zaczął dodawać odrobinę rozmarynu do naparu na kaszel o szczególnie nieprzyjemnej woni. Rozmarynu nie było w oryginalnej recepturze – Clara

sprawdziła to dwukrotnie – a z pewnością sprawiał, że mikstura stawała się znośniejsza. Fakt, że medyk uznał jej pomysł za dobry, choć zrobił to, nie przyznając się przed nią, dał jej wiele satysfakcji.

Dotarła w pośpiechu na parter. Musiała wkrótce znaleźć się w domu mistrza, a chciała jeszcze coś zjeść przed wyjściem, bo Monardes zawsze zlecał jej mnóstwo prac, gdy tylko stanęła w drzwiach.

Część domu przeznaczona dla służby znajdowała się po drugiej stronie wytwornego środkowego dziedzińca, który o tak wczesnej porze był szary i ciemny. Kiedy świt zabłyśnie ponad dachem, główną rolę – odgrywaną obecnie przez samotnie szemrzącą fontannę – przejmą kwiaty kwitnące w ogrodzie. Jeden z psów śpiących pod arkadami zaniepokojony podniósł głowę, obawiając się, że to nadchodzi Vargas, który nie znosił zwierząt, albo Groot, który kopał je dla własnej przyjemności. Dojrawszy Clarę, pies podbiegł do niej radośnie.

– Cicho, Breo, spokojnie. Dobry pies! – powiedziała Clara, głaszcząc łeb psa, gdy ten lizał jej dłoń. Żałowała, że nie ma dla niego kawałka chleba albo innych resztek, bo odkąd zaczęła spędzać całe dni u Monardesa, biedny Breo nie miał nikogo, kto by go dobrze nakarmił – została z niego skóra i kości. Będzie musiała przynieść mu coś z kuchni po śniadaniu.

Weszła do części przeznaczonej dla służby, którą stanowił zespół pomieszczeń urządzonych znacznie surowiej niż komnaty pana. Kilkoro służących było już zajętych swoimi obowiązkami. Mijając ich, Clara pozdrawiała ich skinieniem głowy. Niemal wszyscy odpowiadali uśmiechem, bo – w odróżnieniu od starej Cataliny –

młoda Clara była przyjazna i uprzejma. Na końcu wąskiego korytarza znajdowała się ogromna kuchnia, gdzie klucznica wydawała polecenia kucharzowi. Clara ucieszyła się, że matka jest zajęta, bo dzięki temu nie będzie się na niej wyżywać, a to, co robi, zajmie jej chwilę. Trzeba przygotować dla pana obiad, na ogół składający się z kilku potraw rybnych i mięsnych, które Vargas będzie skubał apatycznie. Posiłek zawsze przygotowywano dla kilku osób, na wypadek gdyby pan kogoś przyjmował, co jednak rzadko się zdarzało, bo kupiec nie lubił załatwiać interesów przy jedzeniu.

Clara naląła sobie trochę mleka z ogromnego wiadra stojącego na stole. Było jeszcze ciepłe, mleczarz, który ich zaopatrywał co drugi dzień, musiał dopiero co wydoić krowy. Dziewczyna oblizwała wargi; uwielbiała ten mocny, słodki smak świeżego mleka. Ukroiła sobie grubą pajdę chleba i już miała przemknąć w stronę drzwi, korzystając z tego, że matka jest wciąż zajęta swoimi sprawami, gdy głos tej ostatniej zatrzymał ją, nim zdążyła uciec.

– Claro, podejdz. Potrzebuję twojej pomocy.

Matka otworzyła drzwi w głębi kuchni i zeszła w dół schodami prowadzącymi do spiżarni. Dziewczyna podążyła za nią, próbując nie krzywić się z niezadowoleniem. Choć teoretycznie nie miała w domu Vargasa innych obowiązków poza opieką nad nim samym, w rzeczywistości wyglądało to zupełnie inaczej. Catalina nie traciła okazji, aby zlecić jej jakieś zadanie i nigdy nie spuszczała jej z oka. Wymagała, aby Clara, wróciwszy od medyka, natychmiast stawiała się przed nią, a nawet zabroniła jej wchodzić do biblioteki. Tego ostatniego Clara zupełnie nie żałowała, ponieważ odkąd zaczęła czytać liczne księgi Monardesa,

powieści rycerskie wydawały jej się powiastkami dla dzieci. Tym, co ją naprawdę męczyło, była dusząca kontrola, której poddawała ją matka.

– Życzycie sobie, abym coś przyniosła z targu? Dziś nie będę miała dużo czasu, ale mogę spróbować znaleźć na to chwilę, zanim...

– Zamilcz i posłuchaj mnie. Zawołałam cię tutaj, aby cię ostrzec.

– Ostrzec mnie? Przed czym?

– Pan ciebie pragnie.

Clara popatrzyła na nią, czując się niezręcznie. A więc nadeszła ta chwila. Clara obawiała się, że matka poruszy ten temat, od czasu rozmowy na targu.

– Wy znów o tym samym? Już wam mówiłam, matko, że nigdy mnie nawet nie tknął i nie sądzę, aby miał to zrobić. To byłby wielki grzech.

– Córkó moja, może znasz się na miksturach, ale o mężczyznach nie masz pojęcia – rzekła Catalina lekceważąco. – Może nie wiesz, że jeżeli pan cię zgwałci i zapłodni, to nie popełni żadnego grzechu? Księża patrzą w inną stronę, bo my, niewolnicy, jesteśmy jak zwierzęta. Dla nich zgwałcić niewolnicę, to jak pokryć klacz czy maciore, aby powiększyć swój inwentarz! Bo owocem spółkowania jest dodatkowy niewolnik do sprzątania gówna po swoim panu i...

Stara niewolnica nagle przerwała, a Clara poczuła wewnętrzny dreszcz. Coś dziwnego błysnęło w spojrzeniu jej matki w blasku świecy, którą wzięły, schodząc do piwnicy. Nagle prawda stała się jasna jak słońce, a wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca.

– To mój ojciec, prawda?

Catalina nie odpowiedziała. Nie musiała.

– Matko, nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego nigdy nie powiedzieliście mi prawdy? Przecież tyle razy was o to pytałam?

Matka odchyliła się do tyłu. Przez chwilę światło padało jedynie na straszną bliznę na jej twarzy. Zniżyła głos do niskiego chropawego szeptu.

– Na drugim krańcu świata byłam córką króla. Hiszpanie zabili go, a mnie przywieźli skutą kajdanami do tego suchego, cuchnącego piekła. Zmusili mnie, abym nauczyła się ich barbarzyńskiego języka i kazali mi czcić drewniane figurki, tak śmieszne jak oni sami. Nie miałam nic, a może nawet mniej. Musiałam walczyć o przeżycie.

– Jak? Uwodząc swego pana?

– Pozwoliłam mu sądzić, że to on posiadał mnie siłą, ale tak naprawdę to ja panowałam nad nim. A potem pojawiłaś się ty.

Clara nie potrafiła ukryć swej pogardy.

– I zrobił was klucznicą. Dał najlepsze zajęcie w całym domu. Rzeczywiście, matko, osiągnęliście swój cel.

– Nie waż się mnie oceniać! – rzekła Catalina, podnosząc palec.

– Wiesz, ile dzieci w tym mieście umiera z głodu? Zrobiłam to, co musiałam, aby cię chronić! Aby nas chronić.

Przez chwilę ogrom tego, co usłyszała, pozbawił Clarę tchu. Ogromnym wysiłkiem woli opanowała się, próbując jednocześnie przyswoić sobie nowe informacje. Czuła, że wszystko, co wiedziała, wszystko, w co wierzyła do tej chwili, było tylko jedną z powieści rycerskich. Chciała zrozumieć matkę, wszystko, przez co przeszła, ale w tym momencie czuła tylko wściekłość.

– Wykorzystaliście mnie, aby poprawić swoją pozycję. Całe moje życie jest kłamstwem.

– Dosyć, Claro. Należy mi się twój szacunek. Tak czy owak, nie po to tutaj przyszliśmy.

– On wie, że jest moim ojcem?

– Oczywiście.

– Więc jak mógłby wyrządzić mi krzywdę?

Catalina splunęła na podłogę i uczyniła stopą krzyż na plwocinach, aby uchronić się przed złym urokiem, w geście, który Clara widywała czasem na ulicach.

– Sądzisz, że to go obchodzi? – prychnęła stara niewolnica. – Jego? Córkę, doprawdy jesteś głupsza, niż sądziłam. Jeszcze nie wiesz, jakim potworem jest pan twego życia. I jeżeli ja nie zadziałam jak najszybciej, bez wątpienia szybko to odkryjesz.

Minęła córkę, podeszła do schodów prowadzących do kuchni i trzykrotnie stuknęła w jeden ze stopni. Drzwi się otworzyły i ktoś zaczął schodzić.

– Co chcecie zrobić?

Przestraszona dziewczyna wychyliła się, aby zobaczyć, kto nadchodzi. Widząc męskie nogi, spróbowała się odsunąć, jednak Catalina chwyciła ją za suknię, zatrzymując w miejscu.

– To dla twego dobra, Claro. Pewnego dnia mi za to podziękujesz.

Schody zupełnie zatarasował Braulio, jeden ze służących, z którymi Clara zupełnie się nie dogadywała. Był to ponury, wiecznie skwaszony mężczyzna, zajmujący się końmi i donoszący drewno na opał. Braulio rzucił się na nią, otoczył jej ciało ramionami i rzucił ją na podłogę. Clara usiłowała się podnieść, ale

służący był zbyt ciężki. Udało jej się z wielkim wysiłkiem wyrwać jedną rękę i uderzyć go w szyję. Mężczyzna skrzywił się z bólu, ale jej nie puścił. Podniósł dłoń o twardej i spękanej skórze i uderzył ją w twarz. Clara wydała z siebie krzyk paniki i bólu.

– Uważaj! – wrzasnęła klucznica.

– Wciąż się rusza – warknął sługa, zdoławszy ponownie chwycić ramiona dziewczyny.

– Obróć ją. Połóż ją na brzuchu.

Służący złapał ją za ramiona i zmusił do odwrócenia się. Clara była teraz jeszcze bardziej bezbronna. Matka przykucnęła przy niej i wyjęła nóż, który do tej pory miała za plecami. Widząc go, Clara zamarła. To nie mogło się dziać naprawdę. Jej matka była istotą zimną i apodyktyczną, ale Clara nawet w najgorszych koszmarach nie wyobrażała sobie, że jest zdolna do czegoś takiego.

– Cii. Spokojnie – powiedziała, zbliżając nóż do twarzy Clary. Nóż był bardzo ostry, unosiła się wokół niego słaba metaliczna woń.

Stara klucznica uklękła na ziemi i mocno złapała córkę za włosy, ciągnąc jej głowę w tył. Clara poczuła, jak jej bezbronna szyja naciąga się, i przez chwilę sądziła, że matka zamierza poderżnąć jej gardło, tu i teraz. Poczowała szarpnięcie i ostry ból. Głowa opadła jej do przodu, twarzą uderzyła w wilgotną ziemię. Kiedy podniosła głowę z twarzą już siniejącą od uderzenia, zobaczyła wielką garść jedwabistych czarnych kręconych włosów w lewej dłoni matki.

– To dla twojego dobra – powtórzyła Catalina z triumfalnym uśmiechem.

XXIII

Bartolo i Sancho całymi godzinami rozmyślali, jak zdobyć pieniądze, których zażądał Monipodio. Trzysta escudo stanowiło równowartość pięcioletniej płacy robotnika i niełatwo było zebrać taką kwotę.

– Mam w skrytce dwadzieścia escudo – powiedział Sancho.

– Zachowaj je, chłopcze. Coś wymyślimy – odrzekł Bartolo, masując sobie skronie. – Chyba że...

– Co takiego?

– Myślałem o tym, że przy ulicy Remedios jest szulernia, do której nie chadza zbyt wielu zawodowców. Przy kilku szczęśliwych rozdaniach...

– Bartolo, na życie twojej matki – wybuchnął Sancho. – Pomogę ci, ale tylko jeśli mi przyrzekniesz, że nigdy więcej nie tkniesz kart.

– Dobra, dobra! Nie musisz się tak zaraz unosić – odrzekł Bartolo z wyrzutem.

Wyszli powłóczyć się po ulicach, jednak żaden ze zwykłych numerów nie mógł im przynieść wystarczającego zysku. Poza tym marynarze, którzy wrócili z Indii, już dawno roztrwonili swoje

pieniądze na dziwki z Compásu i rozwodnione wino. Podczas sewilskiej zimy wiatr wył pod okapami dachów i niewielu mieszkańców wychodziło na chłód, a kiedy już wybierali się na targ, opatulali się szczelnie pelerynami, utrudniając zadanie nawet najbardziej doświadczonym złodziejom. Gdyby nie stracili wszystkiego, co zarobili w poprzednich miesiącach, Sancho i Bartolo mogliby siedzieć wygodnie w kryjówce, piec kasztany i kurczaki, i strugać kawałki drewna – była to jedna z wielkich pasji karła, która i Sancha zaczynała wciągać. Niestety, teraz musieli zdobyć pieniądze dla Manipodia.

Godziny mijały, a żadne rozwiązanie nie przychodziło im do głowy. I gdyby nie niespodziewane spotkanie podczas włości po dzielnicy Triana, ich losy potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Skrećając za róg, Sancho zderzył się z jakimś zakonnikiem, który chyba dokądś się spieszył. Już miał przeprosić i pójść dalej, kiedy mnich się odezwał.

– Popatrz, popatrz, Sancho, a więc spotykamy się ponownie.

Chłopak spojrział na zakonnika i od razu rozpoznał swego dawnego nauczyciela. Na sekundę wstrzymał oddech, czując jednocześnie radość ze spotkania z bratem, którego niegdyś tak bardzo starał się zadowolić, i irytację, bo właśnie jego uważał za odpowiedzialnego za wszelkie zło, jakiego doświadczył.

– Brat Lorenzo – rzekł bardzo sucho.

Zakonnik wyglądał jeszcze szczuplej niż dawniej. Czy to dlatego, że Sancho urósł od czasu, kiedy ostatnio się widzieli, czy dlatego, że chłopak wiele przez te miesiące przeżył, brat Lorenzo zrobił na nim o wiele mniejsze wrażenie niż wcześniej. Jego palce

pokrywały pęcherze, a z ramienia zwisał mu w połowie pusty wór na jałmużnę.

– Z wielką przykrością usłyszałem, że nie zdołałeś ukończyć próby w karczmie Castra – wypomniał mu zakonnik.

– To zwierzę lepiej traktowało psy niż ludzi.

Brat Lorenzo pokręcił głową bez zrozumienia.

– Przyszliśmy na ten świat, aby pracować i spełniać wolę boską.

– Wątpię, aby wolą boską było, abym wiecznie przyjmował razy.

– Zawsze byłeś buntownikiem, Sancho. A z tego, co widzę, teraz na dodatek popadłeś w nie najlepsze towarzystwo – odrzekł zakonnik, wskazując Bartola, który z rozbawieniem przyglądał się tej scenie. – Jakież diabeł w ciebie wstąpił, że zadałeś się z łotrzykami i złodziejami?

– Dla was wszystko jest czarne lub białe – niemal wrzasnął w odpowiedzi Sancho. – Nie widzicie dalej niż czubek waszego nosa.

– Muszę iść, zbierać żywność dla sierot. Chciałbyś wesprzeć dom, który cię przyjął, kiedy byłeś w potrzebie? – odrzekł brat Lorenzo, otwierając worek.

Sancho wbił w niego wzrok, zaciskając zęby. To, że zakonnik stawiał go w takiej sytuacji, wydało mu się niesprawiedliwe.

– Macie, bracie. Dzieciom z pewnością nie będzie przeszkadzało, że jałmużna pochodzi od łotra i złodzieja – wtrącił się Bartolo, wrzucając kilka reali do worka.

– Czasem Bóg prowadzi nas tajemniczymi ścieżkami – odrzekł zakonnik, zarzucając worek na ramię. – Widzę, że nie pomyliłem się, kiedy poleciłem w domu Malfinich Ignacia zamiast ciebie. Twoja stopa nigdy nie postanie na indyjskiej ziemi, ani też nie będziesz w życiu niczym więcej jak tylko ulicznym szczurem.

Zniknął w dole ulicy, pozostawiając Sancha kipiącego wściekłością. Na usta cisnęło mu się mnóstwo replik, ale już było za późno, aby je wypowiedzieć. Musiał udowodnić bratu Lorenzo, że bardzo się myli.

– Dobrze się czujesz, chłopcze? – zapytał Bartolo, dotykając jego ramienia.

– Nawet świetnie – odpowiedział chłopak z zaciśniętymi zębami i dziwnym błyskiem w oku. – Właśnie wymyśliłem, jak możemy się uwolnić od Monipodia.

Dom był duży i wytworny, ale bez przesady, ponieważ bank genueńczyka należał do średnich wśród wielu instytucji tego typu działających w Sewilli. Fortuny dorobił się na kilku klientach o dobrej renomie. Niewielkie ryzyko, stałe dochody i solidna pozycja – oto zasady Malfiniego, a jego jedyne cele to zapełnić żołądek i zamawiać obrazy nagich nimf u artystów z rodzinnych stron. Jednak ostatnio skoncentrowanie działalności na transakcjach Vargasa doprowadziło bank do bardzo niebezpiecznego punktu.

Ale na ten temat Bartolo i Sancho nic nie wiedzieli w czwartek o świcie, kiedy zaczęli obserwować dom Malfiniego, a poza tym nic ich to nie obchodziło. Myśleli tylko o tym, jak wykorzystać znajomość Sancha do zdobycia potrzebnych pieniędzy.

– Sądysz, że rozpoznasz tego Ignacia? – zapytał Bartolo, kopiąc w bruk dla rozgrzania palców u stóp. – Chłopcy w twoim wieku szybko się zmieniają.

– Miał szczurzą twarz – odrzekł gorzko Sancho.

Zmoczony rosą ubranie było nieprzyjemnie wilgotne i roztaczało przykrą woń mokrej wełny. Sancho chętnie by poszedł

do jakiejś karczmy po szklanekę wina, ale bał się, że w międzyczasie pojawi się jego dawny kolega z sierocińca. Obawiał się też, że jeśli to karzeł wybierze się do karczmy, raczej już nie wróci, a i tak musiał włożyć wiele wysiłku, by zaciągnąć go aż tutaj.

– I nie ma to nic wspólnego z tym kościstym mnichem... – po raz kolejny zagaił Bartolo.

Sancho nie odpowiedział. Oczywiście, że miało to z nim coś wspólnego. Miał już dosyć roli ofiary. Nie chciał pozostawać w rękach tych, którzy naginali go do swojej woli lub woli Boga, który zapełniał ogród sierocińca kolejnymi grobami. Tych, którzy chcieli go wykorzystać, aby wyładować swe frustracje, jak sługę, i w zamian rzucić garść okruchów. Tych, którzy chcieli z niego zrobić część zapłaty za długi, których nie zaciągnął.

Czuł nienawiść do nich wszystkich, nawet do Bartola. Karzeł był dla niego kimś w rodzaju ojca. Traktował go łagodnie, jednak i tak w końcu wykorzystał go, tak jak wszyscy pozostali.

– Bartolo, dziś zdobędziemy pieniądze. A potem na zawsze zniknę z Sewilli – rzekł Sancho, patrząc przed siebie.

Poczuł, że karzeł wbija spojrzenie w jego kark.

– Tego właśnie chcesz?

Sancho wolno skinął głową.

– Wejdę na pokład jednego z galeonów, jeśli będzie trzeba, przekradnę się. I dostanę się na drugi kraniec świata.

– Dlaczego więc przyszedłeś do mnie? Po co traciłem czas, ucząc cię? – odrzekł karzeł drżącym głosem.

– Bo nie miałem dokąd pójść. Bo pewnego dnia jakiś pijany angielski poeta powiedział mi, że złodziej może być bohaterem.

Zaczęło padać i przez chwilę w pustej uliczce nie było słycać nic więcej, jak tylko odgłos kropel odbijających się od dachów.

– Miałeś rację, Sancho – rzekł Bartolo, wskazując w głąb ulicy, skąd zdążała jakaś postać, kuląc się przed deszczem. – Ma szczurzą twarz.

Kiedy Ignacio, sierota, który zajął miejsce Sancha w domu Malfinich, kilka godzin później wyszedł z banku, aby załatwić sprawę zleconą przez swojego pryncypała, nie zauważył dwóch postaci, które go śledziły. Póki trzymał się głównych ulic, nic mu nie groziło, jednak kiedy wszedł w opuszczoną uliczkę Ánima, para rąk schwyciła go i rzuciła na ziemię. Próbował walczyć, kopiąc na oślep. Trafił w nogę Sancha. Chłopak zignorował ból i z całej siły wymierzył cios w twarz Ignacia.

– Czego chcecie? – wymamrotał bardzo przestraszony Ignacio. – Nie mam pieniędzy!

Sancho złapał go za przód koszuli i podniósł. Jednym pchnięciem rzucił go o ścianę. Ignacio był od niego nieco wyższy, a jego pulchne policzki wskazywały, że dobrze jadł. Jednak nie miał siły i determinacji Sancha. Ten ostatni przysunął twarz bardzo blisko twarzy swego dawnego kolegi.

– Przyjrzyj mi się dobrze, Ignacio. Pamiętasz mnie?

Pomocnik Malfinich z początku go nie rozpoznał, ale potem przyjrzał się charakterystycznym zielonym oczom napastnika.

– Sancho! Ale przecież ty...

– Cicho! Spójrz w dół!

Ignacio opuścił wzrok. Zobaczył Bartola, przyciskającego do jego krocza ostry nożyk, którego karzeł używał do odcinania toreb.

– Nie mam pieniędzy!

– Ale wiesz, gdzie są. Chcemy, abys nam powiedział, jak się do nich dostać.

– Nie!

Ignacio spróbował się wyrwać, ale kiedy nóż przeciął tkaninę jego spodni, zamarł w bezruchu, z szeroko otwartymi oczyma i ustami, ciężko dysząc.

– Na twoim miejscu uważałbym, Ignacio. To ostrze nawet w najtwardszą skórę wchodzi jak w masło.

– Nic nie rozumiecie! – krzyknął ten drugi z rozpaczą. – Malfini niemal nie trzyma złota u siebie, wszystko opiera się na dokumentach, które wpływają i wypływają. W banku nigdy nie ma więcej niż dwa tysiące escudo.

– Zadowolilibyśmy się tym – odrzekł Bartolo, przesuwając nóż nieco w dół i przecinając tkaninę.

– Nigdy tam nie wejdziecie! Wewnątrz zawsze jest dwóch strażników, a wejście jest tylko jedno.

Sancho przez moment poczuł zalewającą go falę goryczy. To była ich ostatnia szansa, jedyny sposób, aby ocalić Bartola i jednocześnie splunąć w twarz wszystkim możliwym. Dlaczegoż, do licha, nie przychodziło mu do głowy właściwe rozwiązanie?

– Skoro pieniądze przychodzą – rzekł nagle Sancho – to i muszą jakoś wychodzić.

– Wiem, że dziś ma wyjść jakaś ważna przesyłka, ale nie mogę nic wam powiedzieć! Stracę pracę.

Pomocnik poczuł mocniejszy ucisk poniżej pasa i skrzywił się ze strachu. Sancho poczuł wyrzuty sumienia, że to robi, ale spróbował zapanować nad sobą, aby ten drugi tego nie zauważył.

– Ignacio, chcesz pewnego dnia zostać ojcem?

– Już dobrze, już dobrze – odpowiedział chłopak, płacząc. – Powiem wam wszystko, jeśli tylko obiecacie nic mi nie zrobić.

– Gadaj.

– Mój pan ma się dziś z kimś spotkać na Schodach katedry, z jakimś urzędnikiem Izby Handlowej. Ma mu zanieść jakąś teczkę. Nie wiem, co w niej jest, ale słyszałem, jak rozmawiał z innym pracownikiem banku. Mówił, że jest warta fortunę.

Sancho złagodził nieco nacisk na pierś Ignacia i zlustrował go od stóp do głów. Właśnie obmyślał pewien ryzykowny plan.

– Bardzo dobrze, Ignacio. A teraz rozbieraj się.

XXIV

Jeśli sewilska dzielnica Arenal była najważniejszym punktem handlowym chrześcijańskiego świata, a plac św. Franciszka centrum miasta, to Schody katedry stanowiły epicentrum wszechświata. Na tych stopniach podejmowano najistotniejsze decyzje, wymieniano się informacjami i finalizowano transakcje. Szlachta, kupcy, dyplomaci i szpiedzy Korony krążyli po nich w tańcu władzy, którego kroki trzeba było znać.

Posłańcy niosący wiadomości dla swych panów podchodzili bezpośrednio do nich jak wilki w ludzkim lesie. Zwykle byli to ci sami umyślni, więc wszyscy zebrani na Schodach wiedzieli, kto właśnie otrzymał poufną informację.

Ci, którzy przychodzili, by posłuchać plotek, zbliżyć się do któregoś z możliwych, czy też po prostu prosić kogoś o przysługę, stawali u stóp Schodów i co jakiś czas kierowali spojrzenie w stronę tej osoby, którą byli zainteresowani. Jeśli można uznać za korzystne przyjęcie takiego petenta, wykonywał dłonią gest lub kazał swemu pomocnikowi go przywołać.

Miejsca na stopniach zajmowali ci, od których zależał los Hiszpanii i Indii Zachodnich; im wyżej stali, tym ważniejsze

piastowali stanowisko. Aby porozmawiać z którymś z równych sobie, po prostu podchodzili do niego, czując się jak gospodarze tego miejsca, bo i rzeczywiście nimi byli. Ponad ich głowami z murów katedry spoglądała na nich imponująca płaskorzeźba przedstawiająca scenę z Ewangelii, w której Chrystus wyrzuca kupców ze świątyni. Ironiczna wymowa tej sytuacji nie pozostawała niezauważona przez tych, którzy odpowiadali tylko przed królem, ale uważali go za zaledwie przeszkodę w swoich interesach.

Vargas zajmował miejsce na przedostatnim stopniu Schodów. Był tylko kupcem, więc – choć jego fortuna należała do największych w Sewilli – nie mógł stanąć na najwyższym jak inni, mniej ważni, ale szlachetnie urodzeni lub ci, którzy kupili tytuły szlacheckie. W Andaluzji było mniej szlachciców z urodzenia niż w pozostałej części Hiszpanii – tam nie brakowało zubożałej szlachty. Ci z Andaluzyjczyków, którzy posiadali tytuły szlacheckie, osiągnęli zwykle duże przychody ze swych posiadłości, jednak ich sytuacja finansowa stopniowo się pogarszała. Nie wypadało im pracować i tylko nieliczni zniżali się do prowadzenia interesów. Z kolei ci, którzy – jak Vargas – pochodzili z plebsu, ale się wzbogacili, aspirowali do tytułu markiza lub barona, aby podnieść znaczenie swoich nazwisk.

Aspiracje kupca były nie mniejsze niż pozostałych. Jego zmarła małżonka zawsze zachęcała go, by kupić tytuł dowolnego stopnia, jednak Vargas opierał się. Chciał być księciem lub nikiem, tak sobie przyrzekł nad ciałem swego zmarłego brata cztery dekady temu.

„Jakże ostentacyjnie paradyują Mendoza, De las Heras i Taboada. W przyszłym roku będziecie stali tu na dole, podnosząc wzrok w moją stronę – rozmyślał Vargas. – Gdybyż tylko nie zatoneły moje statki...”.

Ostatnie trudności, jakie napotkał, oddaliły go od chwały, której miał nadzieję dostąpić już wkrótce. Teraz, aby mógł osiągnąć cel, musiał się zrealizować scenariusz, który starannie obmyślili z Malfinim. W przeciwnym razie imperium się zawali. Dlatego tego ranka udał się na Schody, wspierając się na lasce, która stała się jego dożywotnim towarzyszem, tak jak i ból w stopie.

Vargas nieuważnie słuchał kupca bławatnego z Flandrii, opowiadającego mu o niezwykłym wzroście zapotrzebowania na barwniki, i wpatrywał się w tłum w poszukiwaniu Malfiniego.

„Gdzież się, u diabła, podziwia ten genueński grubas? Już od dobrej chwili powinien tu być”.

– Dobrze się czujecie, panie? Jesteście dziś cokolwiek nieobecni – rzekł jego rozmówca.

– Wszystko w porządku, mistrzu Van der Berg. Mówcie dalej, proszę.

– Stopa znów wam dokucza?

Jakieś dwadzieścia kroków na prawo Vargas dostrzegł urzędnika Izby Handlowej. Był to blady, niski, drobny mężczyzna. Stał pośród grupki u dołu Schodów w czapce z niebieskim piórem, tak jak uzgodnili. Zaczynał już wykazywać pierwsze oznaki zniecierpliwienia i pomimo chłodu wciąż wycierał chustką pot z czoła.

„Przeklęty Malfini, uparł się, aby dokonać wymiany na oczach wszystkich. «Tym sposobem nie będzie ryzyka, że ten

nieszczęśnik zgotuje nam jakąś pułapkę, i będzie to wyglądać mniej podejrzanie» mówił. Chyba że temu tchórzliwemu pederascie puszcza nerwy w środku operacji” – pomyślał Vargas, przygryzając dolną wargę. Pokrętna logika bankiera, która wczoraj wydawała mu się doskonałym planem, teraz wyglądała na czyste szaleństwo.

– Dziękuję, że pytacie, stary przyjacielu. Z nogą już lepiej. Powiedzcie mi, proszę, o tych nowych odcieniach czerwieni, które ponoć uzyskaliście w waszych warsztatach.

Kupiec kontynuował beztruską paplaninę, na którą Vargas nie zwracał najmniejszej uwagi. Wciąż przeszukiwał wzrokiem tłum, licząc na to, że zauważy swego współnika. Nie mógł powstrzymać westchnienia ulgi, kiedy zobaczył Malfiniego zbliżającego się w towarzystwie jednego ze strażników ze swojego banku. W dłoni trzymał cienką skórzaną teczkę. Zanurzając się w tłum, genueńczyk gestem nakazał swemu towarzyszowi, aby jej pilnował.

Vargas już miał odwrócić się ponownie w stronę swego rozmówcy, kiedy dwa metry od Malfiniego dojrzał jakąś twarz, której nigdy wcześniej nie widział. Był to szczupły młodzieniec w klasycznym czarnym stroju pomocników i posłańców pracujących w bankach i izbach rozliczeniowych. Nie zwróciłby na niego najmniejszej uwagi, gdyby nie to, że kiedy Malfini zwrócił się w stronę urzędnika Izby, młodzieniec również rzucił okiem w jego kierunku. Intensywność tego spojrzenia zmroziła Vargasa. Widywał wcześniej podobne – w swoim odbiciu. To były oczy drapieżcy.

„Coś jest nie tak”.

Malfini znajdował się już o dwa kroki od urzędnika Izby, kiedy potknął się, i całym ciężarem upadł na ziemię. Zrobiło się zamieszanie, gdy dwudziestka rąk rzuciła się, aby pomóc genueńczykowi, który był z bólu, jakby upadł na rozżarzone węgle, a nie na kamienne płyty. Vargas nie zwracał na to uwagi. Przyglądał się młodemu pomocnikowi, który również rzucił się na pomoc Malfiniemu.

A potem zniknął.

Vargas pokuśtykał naprzód, odpychając z drogi swego rozmówcę, ale było już za późno. Jeszcze nie doszedł do Malfiniego, kiedy ten zaczął krzyczeć, że go okradziono.

XXV

Karczma, ciemna i zadymiona, mieściła się w dzielnicy Triana. Na zewnątrz nie było żadnego szyldu, który by ogłaszał jej istnienie, nie było to też miejsce, w które chciałby się zapuścić zagubiony przechodzień, aby wypić kielich wina.

Kapitan Groot był już tam nieraz, zawsze w mrocznych celach. Nigdy nie odstraszyły go łatwo obnażające stal zbiry o groźnych spojrzeniach, które nie wpuszczały do środka nikogo, zanim nie objaśnił, kim jest i co go sprowadza. Niewielu ludzi obawiał się Groot, silny jak wół, a przy tym doskonały fechtmistrz. Nie był człowiekiem odważnym w ogólnym znaczeniu tego słowa, ponieważ – aby być odważnym – trzeba wiedzieć, co to strach. Groot nie czuł strachu, czemu towarzyszył zupełny brak wyobraźni. Pod wieloma względami Groot był jak zwierzę, niezdolne do przewidywania dalej niż na dziś, poszukujące wyłącznie zaspokojenia podstawowych potrzeb.

Vargas nigdy nie pytał Groota, co takiego zrobił, że skończył w więzieniu, z którego go wyciągnął. Flamand z przyjemnością by mu o tym opowiedział, gdyby nie był przekonany, że jego chlebodawca doskonale zna jego historię, ponieważ nigdy nie

wykonywał kroku, nie wiedząc, ile karaluchów siedzi pod kamieniem, na którym zamierzał stanąć. Z tego powodu był mu ślepo posłuszny: ponieważ Groot nie lubił decydować samodzielnie o swoim losie. Miał aż nadto dowodów na to, że kiedy to robił, źle na tym wychodził.

Wychował się w gospodarstwie na obrzeżach Rotterdamu. Otaczały je łąny zboża, a jedynym jego zajęciem było ostrzenie sierpów na kamieniu szlifierskim. Ostrza wypróbowywał na małych zwierzętach, takich jak myszy czy szopy, przyglądając się tępym i pustym wzrokiem, jak umierają, i zadając sobie pytanie, jak by się czuł, wbijając ostrze w ludzkie ciało.

Jego rodzina prędko się zorientowała, że z głową młodego Eryka coś jest nie tak. Choć nigdy tego otwarcie nie przyznali, bali się chłopca. Kiedy miał dwanaście i pół roku, mierzył już sześć stóp wzrostu i potrafił sam podnieść koło młyńskie i umieścić je na osi. Jego bliscy nie wiedząc, jak sobie z nim radzić, starali się go trzymać z dala od sąsiadów. Choć mieszkali w odległości dziesięciu mil od największego miasta Flandrii, stopa chłopca nigdy nie powstała na jego ulicach.

Miał trzynaście lat, kiedy pewnego sierpniowego popołudnia uciekł z gospodarstwa i ruszył w kierunku Rotterdamu, zabrawszy ze sobą tylko bochenek chleba i dwa kilogramy sera. Wyglądał na pięć lat starszego, niż był w rzeczywistości, więc nie miał problemów ze zdobyciem zajęcia w porcie – pracował przy rozładunku przewyższających go dwukrotnie bel wełny. Zadawał się tam z wszelkiej maści przestępcami. Będąc w wieku, w którym większość dzieci uczęszcza jeszcze do szkoły, włóczył się już po karczmach i chodził na dziwki. Nauczył się walczyć swoimi

ogromnymi dłońmi i pewnego dnia złamał ramię innemu robotnikowi, skazując go na żywot żebraka. Jednak to wciąż nie zapełniło pustki w jego wnętrzu. W głębi serca najbardziej pragnął zabić człowieka.

Miał szesnaście lat, kiedy ktoś mu powiedział o licznych w mieście szkołach fechtunku. Zaoszczędził pewną kwotę, aby zapisać się do jednej z nich, jednak kiedy stanął przed swoim przyszłym mistrzem, ten – będąc pod wrażeniem niesamowitych warunków fizycznych Groota – zgodził się uczyć go w zamian za wykonywanie drobnych prac w szkole. W kilka miesięcy stał się doskonałym uczniem, a w ciągu kilku lat – szermierzem znanym w całym Rotterdamie. Gdy brakowało mu umiejętności, nadrabiał okrucieństwem i brutalnością, więc nikt nie chciał z nim walczyć, nawet w ramach treningu. Ten okres zakończył się tragicznie, kiedy w końcu zrealizował swoje marzenie. Choć pojedynki były zakazane pod karą śmierci, Groot sprowokował jakiegoś nieszczęśnika i ten go wyzwiał.

Zwłoki młodzieńca, którego zabił, jeszcze nie ostygły, kiedy on sam – uciekając przed wymiarem sprawiedliwości – wstąpił w szeregi armii króla Filipa. Wojskowe życie nakładało na niego ograniczenia, ale wojna stanowiła dla kogoś takiego jak on środowisko naturalne, świat, w którym zasady ustalone przez Boga i ludzi znikają. To, co jego przełożeni brali za odwagę, doprowadziło go do stopnia kapitana, a następnie do więzienia, z którego wyciągnął go Vargas. Trafił tam, kiedy odkryto, że za odmowę udziału w nocnej wyprawie ugodził w plecy sztyletem hiszpańskiego kapitana. Siedząc w więzieniu, znów poczuł się tak samo samotny i pusty jak wtedy, kiedy mieszkał w rodzinnym

gospodarstwie. Gdy Vargas wybrał go do swej służby, początkowo uznał to za tymczasowe rozwiązanie. Szybko jednak odkrył, że pod ochroną kupca mógł prowadzić wygodne życie, od czasu do czasu dając ujście swoim drapieżnym żądom. Vargasowi z kolei taki mężczyzna – bez hamulców moralnych i strachu – był bardzo przydatny.

Jednak człowiek, z którym kapitan miał się dziś spotkać, wywoływał strach nawet w nim. Nigdy go osobiście nie poznał, chociaż już w przeszłości dobijali targu. Bardzo rzadko wychodził poza swój dwór i niewielu ludzi potrafiło go precyzyjnie opisać.

Groot podszedł do baru i cichym głosem zamienił kilka słów z karczmarzem. Mężczyzna pokręcił głową przecząco. Kapitan rzucił na drewniany blat kilka srebrnych monet, na co mężczyzna ponownie zaprzeczył, jednak tym razem już wolniej. Groot dorzucił jeszcze dwie monety i karczmarz zaprowadził go do wolnego stolika. Podał mu dzban wina, po czym podszedł do drzwi, aby pomówić ze stojącymi tam zbirami. Jeden z nich opuścił lokal.

Po godzinie i dwóch dzbanach wina obok kapitana pojawiła się zamaskowana postać. Znad chusty zakrywającej twarz widać było jedynie oczy, ciemne jak dwie wyschnięte studnie.

– Dobry wieczór, kapitanie Groot – rozległ się ochryply głos.

Flamand, który nie spuszczał oka z drzwi, był zaskoczony. Ten człowiek pojawił się znikąd. Lokal musiał mieć jakieś tajemne wejście, bardzo przydatna rzecz, która umożliwiała Monipodiowi ucieczkę przed wrogami. Albo dyskretnie pozbycie się trupa, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Z kim mam honor? – rzekł Groot, podejrzewając podstęp.

– Znacie już moje imię – odrzekł Monipodio, zdejmując chustę i pokazując swe oblicze. Usiadł naprzeciw Groota.

Karczmarz podał więcej wina. Monipodio pił powoli, przyglądając się swemu rozmówcy. Flamand zabębnił palcami w stół, z pewnym trudem wytrzymując spojrzenie Monipodia. Siedzieli tak, jak dwa wilki na leśnej polanie, patrząc wyzywająco, jednak nie pokazując kłów, obaj czekali, aż ten drugi wykona pierwszy ruch. Wreszcie Groot nie wytrzymał.

– Rad jestem, że w końcu mogę was poznać.

– Nie zwykłem osobiście zajmować się sprawami, które zleca wasz pan, kapitanie.

– Jednak w tym przypadku to zupełnie inna sprawa – odrzekł Groot. – Nie chodzi o to, by coś zniknęło, lecz o odnalezienie czegoś, co zaginęło.

– Kiepska sprawa. Sewilla to ogromne miasto.

– Sprawmy, aby stało się mniejsze.

Groot wsunął dłoń pod kaftan, wyjął skórzaną sakiewkę, tak wypchaną, że szwy niemal puszczały, i rzucił na stół. Monipodio zważył ją w swojej ogromnej dłoni o połamanych, czarnych paznokciach i odłożył ją.

– Macie teraz moją pełną uwagę, kapitanie.

– Dziś po południu doszło do kradzieży na Schodach katedry. Zginęła skórzana teczka zawierająca istotne dokumenty.

Monipodio pchnął sakiewkę z powrotem w stronę Groota.

– Nie zrobił tego nikt z moich. Wiedzą doskonale, z kim nie należy zadzierać. Niestety nie mogę wam pomóc.

Bandyta wykonał ruch, jak gdyby zamierzał się podnieść, ale Groot go zatrzymał.

– Pomocnik w domu Malfinich wyjawiał pewnym złodziejaszkom, że coś ważnego ma przejść z rąk do rąk na Schodach. To były tylko dwa szczury uliczne, nikt ważny. Zdaje się, że zależało im jedynie na pieniądzach. Rozebrali pomocnika, a on przestraszony pobiegł do sierocińca, w którym się wychował.

„Jutro wróci na służbę do Malfinich, a potem przydarzy mu się nieszczęśliwy wypadek”, pomyślał Groot. Nie było potrzeby mówić tego na głos. Monipodio wiedział doskonale, jaki los czekał tych, którzy zawiedli Vargasa, ponieważ ten ostatni niejednokrotnie korzystał z usług jego oprychów w „doręczaniu pożegnalnych podarunków”.

– Przyjrzał się dobrze napastnikom?

– Mówi, że byli to chłopak i karzeł.

Monipodio się roześmiał. Śmiał się z czegoś, co tylko dla niego było zrozumiałe. Wyciągnął rękę w stronę sakiewki i przyciągnął ją do siebie.

– Możliwe, że będę mógł odzyskać waszą teczkę, kapitanie. Bądźcie tutaj jutro o tej samej porze.

– Jest coś jeszcze. Mój pan życzy sobie, aby odpowiedzialni za tę kradzież zostali ukarani śmiercią. Możliwie najokrutniejszą.

Bandyta potrząsnął głową, ponownie przesunął sakiewkę w stronę Groota. Poczul krew i zamierzał wyssać ją z kapitana do ostatniej kropli.

– Niestety, te dwa opryszki są mi winne pieniądze. A to nie wystarczy na pokrycie długu.

– Więc sami wyznaczcie cenę – odrzekł kapitan i zaraz pożałował tego, co powiedział.

– Trzysta escudo – powiedział Monipodio z powagą.

– To za dużo! – zaprotestował Groot zdumiony wielkością kwoty, stanowiącej równowartość pięcioletniego wynagrodzenia dowódcy straży. – To stawka dziesięciokrotnie wyższa od normalnej!

– Jak chcecie. Trzysta.

Kapitan przełknął ślinę, wahając się przez chwilę. Monipodio żądał trzykrotnej zawartości sakiewki leżącej na stole, a ta już stanowiła hojną zapłatę nawet dla króla złodziei. Vargas się wścieknie, kiedy się o tym dowie. Jednak pryncypał dał mu też jasno do zrozumienia, że ma nie wracać bez teczki i głów wszystkich, którzy widzieli jej zawartość. Bez pomocy bandyty nie zdoła znaleźć sprawców kradzieży – rozpląną się w powietrzu, a wraz z nimi dowody mające posłużyć do szantażu urzędnika Izby Handlowej. To z kolei doprowadzi Vargasa do ruiny. Groot nie miał więc innego wyjścia, jak tylko przełknąć dumę i zgodzić się.

Wyjąkał coś po flamandzku. Jak zawsze, kiedy był zdenerwowany, zapominał mowy kastylijskiej.

– Wybaczcie, kapitanie, może wasza szanowna matka zrozumiałaby, co rzekliście, ale ja nie – rzekł rozbawiony Monipodio.

– Powiedziałem, że zgoda. Akceptuję cenę.

Monipodio wstał, biorąc do ręki sakiewkę. Uprzejmym gestem dotknął runda kapelusza.

– Do jutrzejszego wieczora obaj będą martwi, kapitanie.

XXVI

Ten pierwszy piątek marca nie mógł się lepiej zacząć dla Sancha i Bartola.

Obu bolały nieco głowy, ponieważ poprzedniego wieczoru urządzili sobie obficie zakrapianą winem ucztę z pieczonej kozy. Świątowali, bo spotkało ich szczęście, kiedy ukradli skórzaną teczkę. Gdy przynieśli ją do kryjówki, rozczarowała ich jej zawartość, ponieważ była tam tylko garść zeznań złożonych pod przysięgą, obciążających jednego z urzędników Izby Handlowej. Jednak pośród dokumentów znaleźli także weksel płatny w jednym z sewilskich banków o wartości tysiąca pięciuset escudo. Chociaż tego nie wiedzieli, Malfini wystawił go za pośrednictwem innego banku i był on płatny bezwarunkowo. Posiadacz weksla mógł zażądać wypłaty, nawet w przypadku protestu wystawcy, jeżeli tylko bank posiadał wystarczające środki.

Kiedy Bartolo zobaczył weksel, aż podskoczył z radości.

– Znam pewnego nawróconego Żyda, mieszka w dzielnicy La Feria. Da nam za to trzysta escudo bez żadnych pytań. Sancho, jesteśmy wolni!

Chłopak ucieszył się i chętnie wieczorem świętował z Bartolem, choć w głębi duszy wciąż był zdecydowany opuścić Sewillę, jak tylko pogoda się poprawi, czyli za kilka tygodni. Nie poruszał jednak tego tematu, aby nie psuć karłowi nastroju. Obaj wspominali dobre czasy od chwili, gdy Sancho zaczął terminować u Bartola, a karzeł zarzekał się, że już nigdy nie wróci do kart.

– Od jutra wszystko się zmieni, zobaczysz. Już nie musisz nigdzie wyjeżdżać. Prawda, że zostaniesz ze mną, mój drogi Sancho?

Pełne nadziei spojrzenie małego mistrza złodziejskiego fachu przerastało chłopca, więc tylko się uśmiechnął i nic nie powiedział. Nie zmienił zdania, ale też nie chciał ranić Bartola bez potrzeby.

Obudzili się późno, krótko przed południem, i w świetnych nastrojach ruszyli w stronę dzielnicy La Feria. Czy to przez kaca, który im dokuczał, czy też euforię, jaką ciągle odczuwali, przeoczyli pierwsze sygnały. Żebraka, który podniósł się, jak tylko go minęli, i pobiegł w przeciwnym kierunku. Grupkę starych Cyganek, które wskazywały na nich palcami, kiedy zatrzymali się, aby kupić chleb z orzechami od ulicznego sprzedawcy przy ulicy kupców bławatnych. Tragarza, który śledził ich przez kilka minut, po czym zmienił go inny. Sieć szpiegów Monipodia została już ostrzeżona i działała sprawnie. Wkrótce wiadomość, że Sancho i Bartolo udają się w stronę La Ferii, dotarła do karczmy przy placu Don Pedro Ponce. Zaraz potem dwaj mężczyźni oczekujący tej informacji wyszli pospiesznie, aby przeciąć im drogę.

Bartolo zorientował się kilka minut wcześniej, że ktoś ich śledzi.

– Sancho, spójrz za siebie.

Sancho rozpoznał alarmujący ton w głosie karła. Odwrócił się w samą porę, by zauważyć chłopaczka chowającego się za rogiem.

– Kto to?

– Nie wiem, ale idzie za nami już od dobrej chwili. Coś mi tu śmierdzi, Sancho. Lepiej wróćmy do kryjówki.

Skierowali się ponownie na zachód, w stronę portu. Ulice były praktycznie puste, a ich kroki odbijały się echem od wyblakłych, pobielonych kiedyś murów. Nagle usłyszeli za sobą, że ktoś idzie.

Bartolo odwrócił się na chwilę i szeroko otworzył oczy ze strachu.

– Sancho, pospiesz się. Tempo i nie zatrzymuj się pod żadnym pozorem.

Obaj przyspieszyli kroku, jednak karzeł na swych krótkich nóżkach nie nadążał za Sanchem. Biegł z wywieszonym językiem, a jego pierś unosiła się i opadała jak miech.

Na końcu uliczki, którą uciekali, znajdował się mur otaczający ogród klasztoru Dominikanów. Jeżeli zdołają przeskoczyć na drugą stronę, zanim prześladowcy ich dopadną, będą uratowani.

– Pobiegnę szybciej i wdrapię się na mur – powiedział Sancho. – Potem wciągnę cię na górę.

– Biegnij, biegnij! – popędzał go karzeł.

Sancho dobiegł do niemal dwumetrowego muru. Skoczył i dosięgnął krawędzi, ale podeszwy jego filcowych butów ślizgały się, kiedy zaczął się wspinać. Spróbował ponownie, tym razem wciskając czubek prawego buta w szczelinę w murze, co zapewniło mu odpowiednie podparcie. Siłą mięśni ramion podciągnął się i usiadł okrakiem na szczycie.

Bartolo był o niecałe dwadzieścia kroków od niego. Za nim Sancho zobaczył dwóch mężczyzn biegnących w ich kierunku. Rozpoznał ich od razu.

„Luneta i Żelazna Ręka!”.

Zbiry Monipodia biegły uliczką truchtem, ich ruchy ograniczały długie płaszcze i dźwigana broń. Jeden z nich zatrzymał się i sięgnął dłonią do pasa.

Sancho nie miał czasu, aby sprawdzić, co robi opryszek, ponieważ walczył właśnie z guzikami swojego kaftana, próbując je rozpiąć. Musiał rzucić Bartolowi coś, czego mógłby się złapać, by Sancho zdołał wciągnąć go na górę.

– Sancho! – zawołał karzeł bez tchu po biegu. Dotarł do stóp muru i patrzył w górę. Jego twarz była żywym obrazem przerażenia.

Chłopak zdołał zerwać z siebie kaftan i pochylił się, podając go Bartolowi. Karłowi udało się złapać jego koniec obiema rękami.

– Wciągnij mnie, chłopcze, na Boga! – wrzasnął.

Sancho pociągnął z całej siły i stopy karła oderwały się od ziemi. Jedna dłoń, dwie... W tym momencie podniósł wzrok i zrozumiał, co robi mężczyzna, który zatrzymał się wcześniej w połowie uliczki. Lufa pistoletu była skierowana prosto w jego głowę.

Strzał rozbrzmiał głośno, płosząc stado gołębi z przyklasztornego ogrodu. Kula minęła Sancha ze świstem, muskając jego czoło. Chłopak, zaskoczony, przechylił się niebezpiecznie do wewnątrz ogrodu i stracił równowagę.

Spadł na ziemię.

Ani na moment nie wypuścił kaftana, co uratowało jego czaszkę przed rozbiciem. Uderzył jednak czołem w mur i zawisł po drugiej stronie ogrodzenia. Karzeł, którego większa waga Sancha wciągnęła niemal na sam szczyt, był o krok od ocalenia.

Jednak w tej chwili szwy przy rękawie kaftana, za który trzymał Sancho, pękły.

Bartolo podniósł się powoli. Luneta już go dopadł. Zbir przyglądał mu się swoimi zezowatymi oczyma.

– Przyjaciele – rzekł karzeł. – Akurat dziś wieczorem wybierałem się do waszego szefa.

– Zbyt późno, dziwolągu.

Luneta kopnął karła z całej siły. Bartolo obrócił się wokół własnej osi i upadł, uderzając w mur. Dał się słyszeć straszny chrzęst, kiedy jego nos złamał się, a twarz pokryła krwią.

– Zaczekajcie, proszę – powiedział, wypluwając kilka zębów. – Mamy pieniądze dla Monipodia... O tam...

Wskazał na teczkę, którą Sancho porzucił, wspinając się po murze.

– Ach tak – odpowiedział Żelazna Ręka, podnosząc ją z ziemi. – Zdaje się, że okradłeś niewłaściwą osobę. Przyłóż mu, Luneta.

Zbir uniósł nogę i opuścił ją z całej siły na żebra karła. I jeszcze raz, z wściekłością.

Po drugiej stronie Sancho zwałił się na kępę azalii, która zamortyzowała nieco upadek, ale i tak lewe ramię bolało go okropnie, a czoło i nos krwawiły po zderzeniu z ogrodzeniem. Z tej strony mur był o półtora metra wyższy. Sancho

zdesperowany próbował się nań wdrapywać, ale za każdym razem kończyło się to upadkiem.

Słyszał wszystkie ciosy, które spadały na Bartola, a rozpacz ścisnęła mu serce.

– Zostawcie go w spokoju, sukinsyny! – wrzeszczał ze łzami w oczach.

– Wystarczy, Luneta – powiedział Żelazna Ręka, łapiąc kompana za ramię. – Przez ten mój strzał zaraz będzie tu pełno straży.

– Jeszcze raz – odpowiedział ten drugi.

– Powiedziałem, że już wystarczy. I tak już jest martwy.

– A ciebie też dopadniemy, smarkaczu! – krzyknął Luneta, podchodząc do muru.

– Zapomnij o chłopaku. Mam lepszy pomysł. A teraz idziemy! I oddalili się biegiem.

Sancho przez kilka minut usiłował znaleźć sposób, aby wydostać się z ogrodu. W końcu udało mu się wdrapać na drzewo i wrócić na ulicę. Podbiegł do Bartola. Wokół karła zebrała się już grupka gapiów. Jeden z nich się roześmiał. Sancho przepchnął się wściekle pomiędzy nimi.

Serce niemal mu pękło, kiedy zobaczył Bartola.

Karzeł leżał na ziemi jak szmata. Jedno z ramion było przyciśnięte tułowiem, wykręcone pod nienaturalnym kątem. Zamiast twarzy miał krwawą miazgę.

Sancho upadł przy nim na kolana i zapłakał. Wkrótce ciało poruszyło się i Bartolo otworzył jedno oko.

– Sancho... – wyszeptał.

Chłopak poczuł ulgę i jednocześnie nagłą potrzebę działania.
Jego mistrz żył!

Podniósł go z trudem.

– Rozstąpić się! – ryknął na gapiów, a oni rozbiegli się na boki,
wystraszywszy się młodzieńca z poranioną twarzą.

Sancho musiał znaleźć pomoc dla karła. I było tylko jedno
miejsce, w które mógł się udać.

XXVII

Kiedy Monardes zobaczył Clare z posiniaczoną twarzą i głową owiniętą kawałkiem materiału, jął wypytywać dziewczynę, co jej się przytrafiło, jednak niczego się nie dowiedział. Clara odmówiła odpowiedzi i przez cały dzień krążyła po ogrodzie, wyrywając chwasty. Zawahała się dopiero, gdy nadszedł czas powrotu do domu i ponownego spotkania z matką, jednak wtedy też nie zdecydowała się przemówić.

Następnego dnia pojawiła się w drzwiach medyka – jak co rano – jednak tym razem z oczami we łzach i obolałym ciałem. Nie spała w izbie, którą dzieliła z matką, tylko w kuchni, na wiązce słomy zebranej w stajniach. Opowiedziała wszystko starcowi – jej wyjaśnienia zajęły ponad godzinę. Przez cały ten czas głos jej nie zadrżał ani na chwilę.

– Przewidywałem, że coś takiego może się zdarzyć – rzekł Monardes z troską. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, kiedy Clara wyznała mu, że Vargas jest jej ojcem, co sprawiło, że poczuła się bardzo głupio. Czyżby wszystkim oprócz niej było to wiadome?

– Boję się wracać. Kiedy wróciłam wczoraj wieczorem i pan zobaczył mnie w tym stanie, spojrzał z bardzo dziwnym wyrazem twarzy. Wyglądał jak pies, któremu ktoś wyrwał smaczny kęs z pyska.

Nie odważyła się przejrzeć w lustrze, wystarczyło, że obmacała skórę głowy. Tam, gdzie dawniej rosły piękne i gęste czarne włosy, pozostało tylko kilka źle przyciętych i nierównych kępek. Blżej czoła matka niemal ogoliła ją do zera, umyślnie tnąc nierówno, tak że całość wyglądała śmiesznie. W miejscach, gdzie dłoń starej niewolnicy zadrzała, na głowie Clary pozostały niezbyt głębokie zacięcia, już pokrywające się suchymi strupami. Potargana chusta, którą Clara nakryła głowę, nieco je maskowała, ale wywoływała swędzenie.

– A dziś rano coś ci powiedziała?

– Nie, mistrzu. Nawet na mnie nie spojrzała.

Monardes westchnął.

– Musisz zachować spokój i być silna, Claro. Ta szkodliwa i niszcząca gra, którą prowadzą Vargas i twoja matka, jest czymś zbyt głębokim, złożonym i długotrwałym, abys próbowała ją zrozumieć lub czuć się przez nią dotknięta.

– Ale ona mnie dotknie, jeśli Vargas spełni swą groźbę, tak jak powiedział mojej matce – odrzekła Clara zirytowana, zinterpretowawszy wypowiedź medyka jako brak zrozumienia z jego strony. – Choć wciąż nie mogę uwierzyć, że on mógłby...

– Ach, dziewczyno, tu nie chodzi o sprawy cielesne. Chodzi o władzę, to walka charakterów.

– Nie pociesza mnie to.

– Wiem. Ale cieszę się, że mi to opowiedziałaś, ponieważ sądzę, że będę mógł ci pomóc.

Dziewczyna poszła za Monardesem do jego laboratorium.

Medyk wziął czystą kolbę i nalał do niej wody na kilka palców.

– Otwórz skrzynię z niebezpiecznymi składnikami i podaj mi buteleczkę z napisem „safavium” – rzekł, wręczając Clarze klucz.

Dziewczyna otworzyła skrzynię i podała mu niewielkie gliniane naczynie z woskowym korkiem, na które nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi.

– Ten środek pochodzi z Ziemi Świętej, z dziwnego morza, niedaleko którego znajdowały się miasta Sodoma i Gomora. Mówią, że to magiczne miejsce, gdzie nie można się utopić, choć ja w to niezbyt wierzę. Odejdź nieco dalej, para jest niebezpieczna.

Paznokciem małego palca, który zawsze zostawiał długi i ostro zakończony, Monardes zdjął woskowy korek i wlał kilka kropel płynu do kolby z czystą wodą. Clara przyniosła grubą świecę i ponownie zaczopowała buteleczkę woskiem. Monardes spojrzał na nią i uśmiechnął się z aprobatą.

– Przygotuj opiłki żelaza, jak najcieńsze zdołasz – rzekł, jednocześnie mieszając płyn i umieszczając kolbę na piecyku.

Kwadrans później kazał jej wrzucać maleńkie czarne opiłki do kolby. W kontakcie z gorącą cieczą tworzyły małe skwierczące pęcherzyki. Clara pilnowała mikstury, nie przestając jej mieszać. Medyk kazał jej dodać łyżkę różowego proszku, którego również wcześniej nie używali.

– A to co? – zapytała, nie przestając mieszać.

– Tego nikt nie wie. Arabowie używają tego proszku razem z popiołem z roślin i innymi składnikami do wytwarzania indygo.

Nie jest niebezpieczny, ale też nieznany jest jego wpływ na ludzi. Ma lekko słonawy smak – odrzekł Monardes, oblizując wargi.

Clara była zaskoczona tym, że starzec odważył się spożywać nieznaną i potencjalnie śmiertelną substancję, jednak doszła do wniosku, że ostatecznie było to kolejne z zadań medyków: przekraczać granice tego, co znane, aby poszerzać horyzonty wiedzy. Choćby wiązało się z tym ryzyko. W tym momencie poczuła podziw dla swego mistrza.

Tymczasem wewnątrz naczynia zachodziły zmiany. Znikł już różowawy odcień składnika, którego dodali na początku, i teraz mieszanka była biaława. Powoli zawartość kolby stawała się coraz bardziej mleczna i gromadziła się na dnie, oddzielając się od płynu pozostałego u jej szczytu, bezbarwnego, jednak gęstszego od wody. Clara już wcześniej widywała ten efekt, kojarzący się z oliwą unoszącą się na wodzie, jednak nigdy nie przestało jej to zadziwiać.

– Przygotuj filtr z materiału i zacznij łyżką odcedzać płyn znajdujący się w górnej części – nakazał jej Monardes.

Dziewczyna postąpiła zgodnie z instrukcją, przelewając zawartość kolby do płaskiego glinianego naczynia. Medyk postawił je na niewielkim piecu i płyn zagotował się w kilka minut.

– Mistrzu, przy tak niewielkiej ilości płynu nie ma ryzyka, że się przypali?

– Owszem, dlatego trzeba kontrolować temperaturę na piecu. Jeżeli zauważysz, że robi się zbyt wysoka, należy zredukować ogień. Kiedy się schłodzi, podgrzewasz ponownie. I tak cały czas, aż płyn wyparuje.

Po jakimś czasie Clara zaniósła naczynie Monardesowi. Zostały w nim tylko białe, twarde grudki, które łamały się, kiedy medyk dotykał ich łyżką. W efekcie powstały niewielkie kryształki przypominające sól.

– Musisz wrzucić pół łyżki tego specyfiku do wina lub wody pana co trzy, cztery dni. Ale nie do jedzenia, bo nie zadziała.

– Do czego to służy? – zapytała Clara, przelękając ślinę.

– Dzięki temu twój pan nie będzie odczuwał popędu seksualnego, choćby bardzo się starał. Jednak musisz uważać przy dawkowaniu, jeśli podasz mu go zbyt wiele, stanie się nieostrożny i agresywny.

Dziewczyna przyglądała się maleńkim kryształkom z obawą. Czuła niechęć do tej metody, ale jednocześnie nie chciała skończyć w łóżu Vargasa. Tego bała się jeszcze bardziej. Była wciąż dziewicą i choć czasem – mijając na ulicy jakiegoś młodzieńca w swoim wieku – czuła ukłucie pożądania, nie miała w tym zakresie żadnego doświadczenia. Pośród ksiąg medyka natknęła się na niewielki tomik w czarnej oprawie, bez *imprimatur* – oficjalnej pieczęci Kościoła zezwalającej na publikację – na pierwszej stronie. Samo posiadanie tej księgi narażało na ekskomunię, albo i coś gorszego, jej właściciela, gdyby wpadł w ręce inkwizycji. Tom był pełen ilustracji szczegółowo opisujących stosunki między mężczyznami i kobietami. Towarzyszył im komentarz, że takie stosunki przynoszą wielką przyjemność, jednak dziewczyna nie potrafiła sobie wyobrazić, do czego to się odnosiło. W każdym razie było dla niej jasne, że kiedy zdecyduje się na ten krok, to nie dlatego, że zostanie do tego zmuszona, i wyboru kochanka dokona sama.

– Jak odkryliście tę miksturę? – zapytała Clara, która nie przypominała sobie, aby widziała ją wśród receptur Monardesa.

– Powiedział mi o niej jeden z moich profesorów na uniwersytecie, lata temu. Nie można jej przekazać na piśmie, ponieważ efekt, jaki przynosi, można by uznać za czary.

Dziewczyna wciąż się wahała.

– Nie chciałabym nikomu wyrządzić krzywdy.

– Nie bój się, moja droga. Mogę zagwarantować, że nie jest to niebezpieczne.

– Używaliście tego? – zdziwiła się Clara.

– Teraz to wiek zadbał o to, by ugasić płomień w moich lędźwiach, jednak kiedy byłem żakiem, te sprawy wyglądały inaczej. A życie może być bardzo niebezpieczne dla takich jak ja.

Dziewczyna już od pewnego czasu wiedziała, że Monardes woli przedstawicieli swojej płci, ponieważ zauważyła, jak patrzy, kiedy jakiś przystojny mężczyzna pojawiał się w jego pracowni. Poczowała falę współczucia dla starca.

Nie miała jednak czasu zbyt długo nad tym rozmyślać, ponieważ w tym momencie rozległo się stukanie do drzwi.

Clara pobiegła otworzyć, zaalarmowana intensywnością uderzeń. Wprawdzie czasem przyjmowali pacjentów w nagłych przypadkach, jednak zdarzało się to rzadko. Medycy byli bardzo drodzy i niewielu ludzi mogło sobie pozwolić na skorzystanie z ich usług. Choć brzmi to nedorzecznie, w poważniejszych przypadkach krewni zwykle korzystali z bardziej przystępnych cenowo usług cyrulików, ponieważ w głębi duszy wszyscy wierzyli, że jeśli kostucha przyszła po jednego z nich, nawet najdroższy

z medyków nie zdoła odsunąć tego, co nieuniknione, za to długi pozostaną.

Otworzywszy drzwi, Clara zobaczyła młodzieńca o poranionej twarzy. Trzymał w ramionach sponiewierane ciało, które początkowo wzięła za dziecko. W jego oczach zobaczyła zmieszanie, jak gdyby spodziewał się, że otworzy mu kto inny.

– Czy to jest dom medyka Monardesa? Potrzebujemy pomocy.

– Mistrzu! – zawołała Clara.

Monardes natychmiast przejął kontrolę nad sytuacją.

– Szybko, wchodźcie! Połóż go tutaj, na stole. Claro, zrób miejsce!

Niewolnica usunęła kolby i fiolki, częściowo uprzątając blat, a chłopak ostrożnie ułożył ciało na stole. Cały trząśł się z nerwów i z ogromnego wysiłku, jakiego wymagało przyniesienie pacjenta aż tutaj.

– Claro, przynieś szybko bandaże i nóż! – rzekł Monardes. – A ty mów, co mu się stało?

Clara w pośpiechu wyjęła czyste bandaże z szafki pod stołem i położyła je w zasięgu ręki medyka.

– Dwóch zbirów pobiło go niemal na śmierć. Nie mogłem nic zrobić – odrzekł młodzieniec, zaciskając pięści.

– Siadaj tam i nie przeszkadzaj. Claro, nóż.

– Już podaję, mistrzu – odpowiedziała Clara, sięgając na półkę po tacę, na której Monardes trzymał noże. Medyk wziął w dłoń jeden z nich i rozciął odzienie rannego. Kilka metalowych narzędzi ukrytych w fałdach tkaniny spadło na podłogę, jednak medyk nawet na nie nie spojrzał. Clara nie wiedziała, co to takiego.

– Stań obok mnie i zacznij ciąć bandażę, potrzebuję dziesięciu, dwunastu kawałków o długości twojego ramienia. A potem przynieś gorącą wodę.

Przez dwie godziny Monardes uparcie walczył ze śmiercią. Clara nigdy nie widziała go tak skupionego i uważnego. Oczy mu błyszczały, kiedy wydawał jej suche i precyzyjne polecenia. Podziwiała stanowczość, z jaką dotykał zakrwawionych części ciała, macając je w poszukiwaniu złamań. Zwykle przypadki, którymi się zajmowali, nie były związane z przemocą, ponieważ wszyscy pacjenci medyka byli zamożnymi ludźmi, szlachcicami cierpiącymi na powszechne choroby, więc Clara pierwszy raz w życiu widziała pobitego człowieka.

Kiedy Monardes dokładnie oczyścił twarz rannego gąbką zamoczoną w wodzie z kilkoma kroplami octu, dziewczyna zdziwiła się, widząc oblicze karła. Widywała ich wcześniej występujących jako błazny w domu pewnego szlachcica. Taką właśnie rolę przydzielała surowa społeczność Sewilli tym, którzy mieli pecha urodzić się takimi jak on.

– Claro – rzekł Monardes. – Opatrz tego młodzieńca. On również jest ranny.

Clara przykucnęła obok chłopaka, który wyglądał na bardzo przygnębionego.

– Nie troszczcie się o mnie. Zajmijcie się moim przyjacielem.

– Pozwól jej się opatrzeć – nakazał mu medyk, nie odwracając się. – Ja już tu kończę.

Clara ostrożnie podniosła brodę młodzieńca i przyjrzała się jego twarzy w poszukiwaniu ran.

– Już was kiedyś widziałam.

Nagle aż podskoczyła, rozpoznawszy go. Teraz zrozumiała jego zdziwione spojrzenie, kiedy otworzyła mu drzwi. Z chustką na głowie i posiniaczoną twarzą wyglądała inaczej.

– Co macie na myśli?

– Już wiem. Jesteście tym chłopakiem z placu!

Młodzieniec ostrożnie skinął głową, a niewolnicy wydało się, że w jego oczach dostrzegła ulgę. Było w nim coś jeszcze, coś, co przed nią ukrywał, jednak na razie Clara nie potrafiła określić, co to jest.

– Przykro mi, że tak was wtedy potraktowałem – rzekł, wzruszając ramionami.

– Poniżyliście mnie na oczach całej Sewilli – odrzekła Clara, mocno przyciskając gąbkę do jego twarzy. Już się nie przejmowała tym, że może wyrządzić mu krzywdę, wprost przeciwnie, teraz nawet chciała, żeby go zabolało.

– Uratowałem was od strażników.

– Sama bym się obroniła.

– Jakoś wam to nie wychodziło najlepiej, pani.

Clara urażona wrzuciła gąbkę do miski i bezceremonialnie dotknęła twarzy chłopaka. W kilku miejscach miał pociętą twarz i nos mu krwawił, ale nie był złamany. Nacisnęła mocniej, niż to było konieczne, ale w oczach młodzieńca nie dojrzała skargi. Przez chwilę patrzyła mu w oczy, czując ich przyciąganie i nie mogąc temu zaradzić.

– Nic wam nie będzie – gwałtownie odwróciła twarz, starając się, by chłopak nie zauważył, co czuje. Przez moment poczuła się odsłonięta i bezbronna, jakby te zielone oczy potrafiły wedrzeć się

w najodleglejsze zakamarki jej myśli. Potrząsnęła głową. To było głupie.

Chłopak wstał i podszedł do stołu, gdzie Monardes opatrywał jego przyjaciela. Doktor zwrócił się w jego stronę.

– Chorowaliście na dżumę, prawda? – zapytał Monardes.

Młodzieniec przejechał opuszkami palców po szyi i Clara zauważyła ślady, które mu zostały: pół tuzina ciemnych blizn wielkości monety.

– Kilka lat temu.

– Mieliście szczęście. Zajrzeliście śmierci w twarz i zdołaliście jej umknąć. Obawiam się, że wasz przyjaciel nie będzie miał tyle szczęścia.

Clara zobaczyła, jak twarz młodzieńca zalewa fala smutku, jak walczy z sobą, by powstrzymać łzy. Poczwała chęć, aby położyć dłoń na jego ramieniu i go pocieszyć, ale powstrzymała się. Monardes nie byłby z tego zadowolony, zawsze mówił, że Clara za bardzo się zbliża do pacjentów. Poza tym wciąż była wściekła na chłopaka.

W tym momencie ranny uniósł nieco dłoń.

– Spójrzcie! – zawołał młodzieniec.

– Nie cieszcie się zbyt – uprzedził go cicho Monardes. – Życie uchodzi już z jego ciała. Pożegnajcie się z nim.

Chłopak ukląkł obok karła. Bartolo miał zabandażowaną szczękę, więc nie mógł wyraźnie mówić.

– Chcesz swoją torbę? – zapytał chłopak, przysunąwszy ucho do ust rannego. – Jest tutaj, Bartolo. O, tutaj.

Karzeł włożył dłoń do środka, szukając czegoś ostatkiem sił. W końcu wyjął coś maleńkiego, czego Clara nie widziała

dokładnie, i włożył to w dłoń swego towarzysza. Ten spojrział przez chwilę i już nie mógł powstrzymać płaczu.

– Bartolo. Przyjacielu. Dziękuję ci, dziękuję.

W tej chwili Monardes wezwał Clarę na bok.

– Chcę, abyś poszła na targ po składniki do tego środka – rzekł, podając jej kawałek papieru.

Dziewczyna już miała zapytać: „Teraz?“, jednak w ostatniej chwili powstrzymał ją ostrzegawczy wyraz twarzy medyka. Wzięła swoją wełnianą pelerynę i zarzuciła ją sobie na ramiona. Po wyjściu na ulicę przeczytała notatkę. Pismo medyka było krzywe, sporządzone drżącą ręką.

„Ci ludzie to złodzieje, mają przy sobie wytrychy i inne instrumenty używane w tym fachu. Ten umierający został brutalnie pobity. Nie możemy być w to zamieszani. Pójdź na plac św. Franciszka i sprowadź strażę. M.”.

Clara poczuła mieszanek strachu i podniecenia. Złodzieje! Kiedy biegła w stronę placu, przez jej głowę przetaczały się sprzeczne myśli. Wydawało jej się niesprawiedliwe, że ten chłopak, który kilka miesięcy temu ocalił ją przed strażnikami, miał teraz zostać przez nich pojmany. Ale nagle przyszła jej do głowy straszna myśl: a jeśli chłopak zrobił to wtedy tylko po to, aby odwrócić uwagę gapiów, podczas gdy jego kompan ich okradał? Catalina opowiadała jej kiedyś o tej sztuczce, na którą nabierali się tylko najgłupszy i przyjezdni. Doświadczeni sewilczycy trzymali swoje kosztowności przy sobie, wchodząc w tłum.

Już niemal dochodziła do placu, kiedy zauważyła grupkę strażników podczas zwyczajowego patrolu. Ich dowódca zatrzymał się i rozmawiał z jakimś mężczyzną, któremu źle patrzyło z oczu.

Wykonywał potakujące gesty, jak gdyby przyjmował rozkazy od przełożonego, co zdziwiło Clarę, ponieważ ten człowiek nie wyglądał na sędziego, którym podlegali strażnicy, a raczej na jakiegoś zbira, w brudnej pelerynie i z wąsami poplamionymi tłuszczem. Kiedy się odwrócił, by odejść, zauważyła jego zezowate spojrzenie.

Nie miało to jednak nic z nią wspólnego, więc zignorowała to. Najważniejsze to spełnić prośbę Monardesa.

– Straż! Tędy, prędko!

– Co się dzieje, pani? – odpowiedział dowódca, korzystając z okazji, aby popisać się przed kobietą.

Clara wyjaśniła, o co chodzi. Kiedy skończyła, dowódca wydał radosny okrzyk.

– Właśnie mnie poinformowano, że ta para jest poszukiwana za kradzież ważnych dokumentów bankierowi Malfiniemu.

Prowadźcie do nich.

„Malfini – pomyślała zaskoczona Clara, prowadząc strażników do domu Monardesa. – Ten człowiek prowadzi interesy z moim panem. Cóż ci złodzieje mogli mu ukraść?”

Otworzyła drzwi kluczem, a dowódca straży odsunął ją na bok. Za nim weszli czterej strażnicy. Z wnętrza domu dobiegły odgłosy walki.

– Nie ruszać się!

Clara nie czekała na zewnątrz. Weszła do domu. Karzeł leżał na stole, już martwy. Ktoś już przykrył jego twarz chustką. Monardes przywarł do ściany, przerażony gwałtownymi scenami rozgrywającymi się w jego pracowni. Obawiał się też o swoje cenne kolby.

Młodzieniec klęczał na podłodze, a dowódca straży zakładał kajdany na jego nadgarstki. Kiedy w drzwiach zobaczył Clarę, na jego twarzy odmalował się wyrzut i rozczarowanie.

Niewolnica od razu pożałowała tego, co zrobiła, ale było już za późno.

– Zaczekajcie! – krzyknęła.

– Co takiego, pani?

– Nie możecie go zabrać – odpowiedziała, nie potrafiąc wytłumaczyć dlaczego.

– To już nie od was zależy. Odsuńcie się, proszę – odrzekł dowódca straży. Odwrócił się do Sancha. – Jesteś oskarżony o kradzież i o zakłócanie spokoju, opryszku. Jak się nazywasz?

– Nazywam się Sancho z Écichy – odrzekł młodzieniec, patrząc Clarze prosto w oczy, podczas gdy strażnicy już wyciągali go na zewnątrz.

**OD KWIETNIA 1589 R.
DO SIERPNIA 1590 R.**

XXVIII

Najgorszy był ten głos.

Potrafił ze stoickim spokojem wytrzymać baty, piekielny upał oraz smród potu i gówna. Z trudem znosił niehumanitarną pracę, głód i muchy. Ale najgorszą karą dla Sancha był głos nadzorcy.

„Wioosłuj. Wioosłuj. Wioosłuj”.

Dla jego buntowniczego ducha stała obecność głosu innego człowieka w głowie, w każdej myśli, była dobijająca. Tylko wtedy, gdy nadzorca się zmęczył, uciążliwy zaśpiew zastępował odgłos bębna i Sancho odnajdywał odrobinę spokoju. Wtedy raz za razem rozpamiętywał, jak znalazł się w tej sytuacji.

Kiedy strażnicy pojмали go w domu Monardesa, tego fatalnego dnia, kiedy zmarł Bartolo, poprowadzili go prosto do sewilskiego więzienia. Nigdy wcześniej nie był w tak ogromnym budynku wypełnionym ludźmi. Więźniowie tłoczyli się na dziedzińcu i na korytarzach, a hałas ich krzyków i bójek nigdy nie ustawał. Sancho nie zachował niemal żadnych wspomnień z tego miejsca, poza pamięcią o ciemnej celi, którą zajmował wraz z trzema innymi skazańcami. Usiadł w jej kącie i nie odpowiadał na żadne pytania współwięźniów, nie uszczknął też ani kęsa z posiłku

podanego przez strażników przez okienko w drzwiach. Jeden z jego współwięźniów próbował obmacać jego ubranie w poszukiwaniu czegoś wartościowego, ale Sancho przyłożył mu w głowę miską i od tej pory zostawili go w spokoju.

Leżał na pryczy z duszą otumanioną bólem po stracie przyjaciela. Nie pocieszał go nawet fakt, że już wcześniej podjął decyzję o wyjeździe z Sewilli na zawsze. W pewien sposób sprawiało to, że śmierć Karła była dla niego jeszcze bardziej gorzka.

Sześć dni później strażnicy postawili go w rzędzie razem z pięćdziesiątką innych więźniów. Zauważył strach na twarzach skazańców, kiedy kolejka posuwała się w stronę stołu, przy którym jeden ze strażników wyjmował brązowe przedmioty ze skrzyni. Kiedy nadeszła jego kolej, chłopak zobaczył, że były to szerokie obręcze, które umieszczano na szyjach skazańców. Z obręczy zwisał łańcuch zamykany na klucz.

– Co chcecie ze mną zrobić? – zapytał Sancho strażnika.

– Idziesz na galery, chłopcze – odrzekł tamten, dopasowując obręcz do szyi Sancha. Musiał wypróbować kilka, aż trafił na właściwy rozmiar. – Dobra pogoda coraz bliżej, więc okręty już wkrótce wyruszą w morze.

Chłopak z trudem przełknął ślinę, czując, jak jego grdyka dotyka zardzewiałego metalu. Bartolo opowiadał mu czasem, gdy ciemną nocą siedzieli przy ogniu, co oznacza skazanie na galery. Dla Sancha zawsze brzmiało to jak opowieść grozy, coś, co może się przydarzyć komuś innemu, ale nigdy jemu. Nagle powróciły w pamięci wszystkie obrazy tortur i kar, o których mówił mu Karzeł.

– To niemożliwe! – krzyknął w proteście. – Przecież nawet mnie nie osądzono!

– Rozprawa odbędzie się w ciągu kilku miesięcy. W międzyczasie zostaniesz wypożyczony na galery.

– I wrócę do Sewilli na rozprawę?

– A po cóż? – odrzekł strażnik ze złośliwym grymasem na twarzy. – I tak zostaniesz uznany za winnego.

Sancho potrzebował chwili, aby przyswoić sobie znaczenie tych słów. Był winny, to jasne. Jednak żeby nie mieć nawet szansy stanąć twarzą w twarz ze swoimi oskarżycielami, by wyjaśnić przyczyny i okoliczności... Ogrom tej niesprawiedliwości przepelnił go wściekłością.

– To niesprawiedliwe.

Strażnik wzruszył ramionami. Bawiła go konsternacja i przerażenie Sancha.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zacząłeś kraść, szumowino. Następny!

Połączono ich wszystkich łańcuchem z metrowym odstępem pomiędzy każdym więźniem. W południe opuścili Sewillę bramą Puerta de Jerez. Po bokach jechali konno trzej strażnicy, popędzając ich, aby szli szybciej, i pilnując, by wędrowali w absolutnej ciszy. Gdziekolwiek się pojawili, mieszkańcy wytykali ich palcami i wyśmiewali. Kobiety ich obrażały, dzieci z diabelską celnością rzucały w nich zepsutymi owocami i kamieniami. Sancho patrzył na wszystkich wyzywająco i zadawał sobie pytanie, co by zrobili, gdyby znaleźli się na jego miejscu. Poprzysiągł sobie, że nigdy nie będzie kpił z innego człowieka.

Jeszcze gorsze od kamieni były upadki. Za każdym razem, gdy jeden ze skazańców upadał na ziemię, pociągał za sobą trzech lub czterech innych. Kiedy po raz pierwszy zdarzyło się to Sanchowi, żelazo przecięło mu skórę – od tego czasu zapobiegliwie przytrzymywał łańcuch obiema dłońmi, aby zamortyzować szarpnięcie.

Pierwszej nocy spróbował otworzyć zamek gałązką. Był to bardzo prosty mechanizm. Gdyby tylko miał wytrychy Bartola, mógłby go otworzyć w ciągu kilku minut, jednak stracił narzędzia karła w domu Monardesa. Pocieszył się myślą, że i tak nie zdołałby daleko uciec przed przemierzającymi się konno strażnikami.

Rankiem czwartego dnia dotarli do Kadyksu. Strażnicy poprowadzili ich do portu, gdzie cumowały dziesiątki statków. Zobaczywszy morze, Sancho na chwilę zapomniał o zmęczeniu. Nigdy w życiu nie widział czegoś tak wielkiego i pięknego. Odgłos fal i słone powietrze sprawiły, że przez chwilę poczuł się szczęśliwy.

„Tam, po drugiej stronie, są Indie Zachodnie. Pewnego dnia...”.

Galera nazywała się „San Telmo”. Wystawała zaledwie kilka metrów nad wodę, a jej kadłub trzeszczał, kołysany przez fale.

Marynarze przerwali pracę, gdy strażnicy uwalniali z łańcucha kolejnych więźniów i po jednym wprowadzali ich na okręt. W odróżnieniu od większości osób, które napotkali w drodze do Kadyksu, na twarzach tych mężczyzn malowało się czyste współczucie.

Sancho, który wszedł na statek jako jeden z pierwszych, nie zdążył nawet przyjrzeć się pokładowi, ani też zatrzymać wzroku

na ogromnych żółtawych żaglach, na które naszyto herb Korony ze skrawków kolorowych materiałów.

– Ruszaj się, śmieciu. To nie miejsce dla ciebie. Na dół!

Droga na dolny pokład galery prowadziła przez właz w podłodze. Kiedy schodził po schodach, w nozdrza uderzył go cuchnący powiew. Zamrugał kilka razy, aby przyzwyczać wzrok do ciemności, ale już ktoś pociągnął go za obręcz, którą wciąż miał na szyi, i rzucił na kolana.

– Nazwisko? – odezwał się jakiś cichy głos.

– Sancho z Écichy – odrzekł strażnik.

– Nie ruszaj się, szumowino. Szkoda by było uciąć ci ucho.

Dostrzegł błysk noża przy swojej twarzy i poczuł, że ktoś szarpie go mocno za włosy, ciągnąc głowę w tył. Pomyślał, że zaraz poderzną mu gardło, ale w końcu zdał sobie sprawę, że tylko gołą mu głowę.

Znajdował się na wielkim podeście na dziobie statku. Była tam ławka i ogromny skórzany bęben. Od podestu odchodził pomost, którego drugi koniec ginął w ciemnościach. Na jego wysokości zauważył kilka rzędów głów. Nie było słyhać ani jednego głosu.

„Święty Boże. Gdzież oni mnie prowadzą?”.

– Podnieś się i odwróć – rozkazał mu człowiek, który golił mu głowę, skończywszy swą pracę.

Sancho odwrócił się i stanął naprzeciw starszego, tęgiego siwiejącego mężczyzny, który przez chwilę przyglądał mu się bez słowa. Jego oczy przypominały Sanchowi oczy jaszczurki.

– Podnieś kamień, który leży u twoich stóp i trzymaj go w górze. Nie puszczaj, aż ci nie pozwolę.

Sancho zrobił, jak mu rozkazano. Kamień wielkości dużego melona był strasznie ciężki. Mężczyzna zaczął bardzo wolno liczyć, a Sancho poczuł, że ramiona chyba zaraz mu odpadną. Kiedy doszli do dwudziestu sześciu, Sancho nie wytrzymał i padł do przodu, jednak kamienia nie wypuścił z rąk.

– Już nie mogę – wyjęczał.

Siwy uderzył go.

– Nie odzywaj się niepytany – rzekł cicho. – Teraz będziesz musiał zacząć od początku.

Ponownie zaczął liczyć, a Sancho przysięgłby, że między jedną a drugą liczbą dałoby się zmówić *Ojciec nasz*. Czas wokół niego zwolnił, mięśnie przedramion miał napięte do granic możliwości. Chłopak zamknął oczy i skoncentrował się na utrzymaniu kamienia.

– Wystarczy – rzekł siwy. W jego głosie rozbrzmiało zdziwienie. Sancho go nie usłyszał. Zdawało się, że skamieniał w tej pozycji i nie wiedział nawet, do ilu tym razem naliczył nadzorca. – Powiedziałem, że już wystarczy.

Sancho powoli położył kamień na pokład. Oddychał z trudem, a wzrok miał szklisty. Niemal upadł, ale jakimś cudem zdołał utrzymać się na nogach.

Siwy jeszcze raz rzucił na niego okiem. Wydawało się, że wahał się przez chwilę, jednak w końcu odwrócił się do strażnika, który wprowadził Sancha na pokład.

– Szósta z lewej burty. Trzecie miejsce.

Strażnik chwycił oszołomionego Sancha za ramiona i nakazał mu iść naprzód wąskim pomostem. W półmroku panującym pod pokładem słychać było tylko pojedyncze kaszlnięcia.

– To tutaj.

Strażnik zdjął Sanchowi obręcz z szyi i kazał mu zejść na dół. Sancho nadepnął na coś, może na czyjąś stopę. Poczuli, że ktoś go popycha, aż w końcu usiadł na ławce. Potem zdjęto mu buty i założono mniejszą obręcz na prawą kostkę.

Czekał w zupełnych ciemnościach. Nigdy w życiu tak się nie bał.

XXIX

Nazywał się Gabriel Soutiño, ale galernicy nadali mu miano Kruk.

Oczywiście nigdy nie ośmielili się zwrócić tak do niego. Oczywiście zwali go tak tylko za jego plecami. Do niego zwracali się „Panie”, unosząc ramiona z fałszywą pokorą, która tak go irytowała. Im więcej było szacunku i pochlebstwa w postawie tych odpadów ludzkich, tym większą mieli ochotę wbić drewniany szpikulec w nerki Kruka. Wszyscy galernicy śmiertelnie nienawidzili swoich nadzorców, na nich koncentrowali całą swą frustrację i gniew.

Gabriel kochał wszystkich swoich galerników i każdego z osobna.

Oddając się temu zajęciu, zdążył się już zestarzeć. Nie to chodziło mu po głowie, kiedy zaciągnął się do Królewskiej Armady na chłopca okrętowego, dwadzieścia pięć lat temu. Teraz miał czterdzieści dwa czy trzy lata, nie był pewien, i przed „San Telmo” służył już na jedenastu okrętach.

Zaczął od szorowania pokładów i naprawy żagli, jak wszyscy początkujący marynarze. Lubił czuć wiatr na twarzy i słońce na

plecach. Dlatego rozkaz kapitana, który otrzymał w dniu, kiedy nadzorca galerników zapadł na gorączkę i biegunkę, uznał za karę.

– Ej ty, Galicyjczyku – zawołał go kapitan, wskazując nań złotą laską.

Gabriel natychmiast podszedł do wyprężonej, niecierpliwej postaci oczekującej go na pokładzie dziobowym, ubranej w czerwone pończochy i żakiet z efektownymi galonowymi zdobieniami. Wola kapitana była na statku równa woli boskiej lub króla. Rzadko się zdarzało, by sam przemawiał do podwładnych, zwykle wszystkie rozkazy wydawał za pośrednictwem bosmana.

– Wasza Łaskawość – rzekł Gabriel, dotarłszy do niego, i pochylił głowę.

– Ile lat spędziłeś na morzu?

– Trzy, Wasza Łaskawość.

– Wiesz, jak obsługiwać bęben?

– Tak..., tak, Wasza Łaskawość.

– Zobaczymy, jak ci pójdzie.

To nie był żaden zaszczyt, wprost przeciwnie. Praca nadzorcy była nieprzyjemna, brudna i niebezpieczna, i nikt z marynarzy nie chciał jej wykonywać. Trzeba było całymi godzinami przesiadywać w cuchnącej i upalnej przestrzeni pod pokładem, i znęcać się nad innymi ludźmi z batem w dłoni. Gabriel poczuł, że jego świat się zawalił.

Dwa dni później zdążył już zapomnieć o przyczynach, dla których się zaciągnął na statek. Nie zrobił tego ani dla kobiet, bo nie pociągały go szczególnie, ani dla złota, hazardu, wina czy też chwały. Swoje prawdziwe powołanie odkrył, kiedy łagodnym

głosem wyznaczał rytm wiosłowania. Modlił się, by stały nadzorca nie wyzdrowiał z gorączki, a nawet zaniósł mu trochę wina z kilkoma łyżkami rtęci, aby się co do tego upewnić.

Kruk uważał się za najważniejszą postać we flocie króla Filipa. Oczywiście to kapitan decydował o manewrach okrętu, a monarcha rządził ludźmi. Jednak tym, kto ostatecznie kontrolował prędkość statku, był on. To od niego zależało powodzenie ataku i jemu zawdzięczano uniknięcie abordażu. To on przechadzał się po pomoście i czyhał na każdy, nawet najmniejszy błąd wioślarzy. Wąska kładka rozdzielająca dwa rzędy ławek u dołu stanowiła śmiertelną pułapkę. Jeden fałszywy krok, jedno poślizgnięcie, niespodziewana wyższa fala, powodująca utratę równowagi i upadek pomiędzy ławki i ten motłoch... i mógł na zawsze pożegnać się z życiem.

Oni już tam czekali na niego, oj tak. Ukrywali ostre drewniane szpikulce pod obiciem ławek, w zakamarkach ubrań, nawet w tyłkach. Co dwa lub trzy dni trzeba było ich przeszukiwać, aby odebrać im te kawałki drewna, które wydrapywali paznokciami z kadłuba statku lub z podłogi albo dostawali od wolnych galerników, kiedy wracali oni z górnego pokładu. W nocy tarli nimi o krawędzie własnych kajdan, aż uzyskiwali szpikulce długie na sześć, siedem palców. Wystarczająco długie, aby otworzyć gardło lub przekłuć nerki, zanim człowiek zdążyłby powiedzieć „Bóg zapłać”.

A to nie było jedyne zagrożenie. Te sukinsyny nie potrzebowały nawet szpikulca, żeby cię załatwić, o nie, mój panie. Mogły też udusić cię własnymi łańcuchami albo przekazywać sobie z rąk do rąk aż do rufy statku, gryząc cię po drodze. Na wysokości masztu

byłbyś już martwy, zwłaszcza jeśli pierwsze ukąszenia otrzymałbyś w szyję lub pod pachę.

O świcie, kiedy wszyscy jeszcze spali, Gabriel gładził wolno swoje blizny na bokach tułowia. Spadł trzy razy, tylko trzy razy w ciągu dwóch dekad. Z pierwszego upadku zachował dwa piękne białe ślady na żebrach, stanowiły pamiątkę po szpikulcu, który przeszył jego klatkę piersiową. Przy drugim zaliczył kilka ugryzień w ramię i było ciężko. Chorował tygodniami, i to podczas potyczki z Turkami, więc na dodatek przez całe dni rzucało nim na koi w części dziobowej statku. Medyk okrętowy powiedział mu, że ugryzienia przez ludzi są bardziej zabójcze niż przez psy lub węże, i żeby się przygotował na najgorsze. W pewnym momencie ramię spuchło i zrobiło się czarne. Ale przeżył.

Kapitanowie galer nigdy nie karali skazańców za zaatakowanie nadzorcy, chyba że ten zmarł. W takim przypadku winnego wieszano zwykle na głównym maszcie. Jeżeli było ich trzech lub więcej, zaczynała się loteria. Nie można było ukarać wielu galerników naraz, ponieważ okręt nie mógł sobie pozwolić na taką stratę. Trudno było o dobrych galerników, już i tak sędziowie musieli skazywać na galery za coraz drobniejsze przestępstwa. Jeden z tych, którzy go ugryźli, trafił pod pokład za pół worka pszenicy, skradzionego, aby wyżywić rodzinę.

Galery były gorsze niż śmierć i galernicy o tym wiedzieli, tak jak zdawali sobie sprawę, że im więcej atakujących, tym większe szanse na uwolnienie. Dlatego nadzorcy zwykle długo nie wytrzymywali, a kapitanowie nigdy nie karali tych, którzy podnieśli na nich rękę. Zostawiali to samemu zainteresowanemu,

ale przykazywali mu, by starał się nie uszkodzić winnych nadmiernie.

Gabriel miał całe tygodnie na wymyślenie odpowiedniej kary.

Kiedy już nabrał sił, kazał pośrodku pomostu umieścić piecyk. Włożył między węgle żelazny pręt i obserwował, jak na twarzach galerników pojawia się przerażenie. Kazał kilku żołnierzom mocno przytrzymać tych trzech, którzy go ugryźli. Powoli, bardzo powoli wziął pręt w dłoń i podniósł w górę, aby wszyscy mogli dobrze mu się przyjrzeć. Końcówka była brudnobiała i błyszcząca. Zbliżył ją do oczu winnych, nie dotykając ich skóry. Choć zamknęli powieki, rogówka spaliła się w kilka chwil.

– Dzięki temu będziecie mogli dalej wiosłować – rzekł cichym głosem, kiedy już wrzaski bólu przeszły w gasnący szloch. – Następnym razem włożę wam to między nogi.

Gdy spadł po raz trzeci, nikt go nie tknął.

Przez wszystkie te lata wypracował sobie własną metodę postępowania.

Pierwszego dnia, kiedy przybywali nowi galernicy, przyjmował ich pod pokładem, w zupełnych ciemnościach. Schodzili po schodach jako więźniowie. Na podeście nadzorcy golono im głowy na łyso, aby się pozbyć wszy, ale też aby byli łatwo rozpoznawalni, gdyby któremuś z tych drani udało się uciec. Zgodnie z prawem Maurom trzeba było pozostawić kosmyk włosów wysoko na czole, co Krukowi wydawało się fantastycznym pomysłem. Nie dlatego, żeby go obchodziło, że Allah po śmierci zabiera swoich wiernych do rajy, ciągnąc ich za włosy, ale dlatego, że dawało mu to nowe możliwości.

Mógł taki kosmyk odciąć jednym pociągnięciem noża, jeżeli skazaniec źle się zachowywał, lub przed bitwą z turecką galerą. To w szczególności doprowadzało ich do szału, ponieważ te wieprzki żyły nadzieją, że ich pobratymcy zdobędą statek, na którym są więzieni, i uwolnią ich. Jednak w półmroku nikt ich nie rozpozna bez tych kosmyków, kiedy tamci zaatakują, i tak pójdą prościutko do piekła, czy jak tam się u tych bezbożników zwie to miejsce.

Mógł też bardzo mocno pociągnąć za kosmyk, kiedy któryś się lenił, i przemówić do niego bardzo łagodnie i powoli, tak żeby ten pomylił go z Bogiem.

To właśnie Kruk najbardziej kochał w swoim zajęciu. Absolutną kontrolę nad ponad dwustoma więźniami, którzy poruszali się w tempie, jakie im podawał. Żadne tam głupie bębny czy trąbki, które szybko go znudziły, i z których korzystał tylko wtedy, gdy gardło odmawiało mu posłuszeństwa.

Kiedy już ich ogolił, kazał im podnosić ogromny kamień i trzymać go w górze jak najdłużej. To dawało mu pojęcie o ich sile, co było decydujące przy przydzielaniu galernikom ławki i miejsca. Z pięciu galerników przypadających na jedną ławkę najważniejszy był ten na pierwszej pozycji. To miejsce należało przydzielić mężczyźnie o wielkiej sile i zręczności, ponieważ to od niego zależało ułożenie wiosła i to on dźwigał największy ciężar. Galernik zajmujący drugą pozycję na ławce musiał tylko być silny. Trzecia pozycja była najwygodniejsza, ponieważ nie wymagała aż tak wielkiego wysiłku, jak dwie pierwsze, ani też nie trzeba było się zginać tak bardzo, jak na pozycjach czwartej i piątej, bliżej burty statku.

Ale nie dlatego kazał im podnosić kamień. Nie najważniejsze było, jak długo wytrzymają czy jak bardzo są silni, bo albo wyrobiją sobie mięśnie, wiosłując, albo padną i zastąpią ich inni. Nie, Kruk chciał skazańcom patrzeć prosto w oczy, gdy trzymali kamień, ponieważ z upływem czasu nauczył się czytać w ich duszach podczas tej próby. Zdarzały się słabe, nic niewarte barczyste zbiry, które pękały, gdy tylko trzeba było porządnie przyłożyć się do wiosłowania. Ci rzucali mu spojrzenia zarzynanych owieczek, a Kruk wiedział, że nie przetrwają zbyt długo.

Inni prosili słowami, jak ten chudy zielonooki chłopak, który dotarł w ostatniej dostawie galerników. Miał mu przydzielić czwartą lub piątą pozycję, ponieważ jego ramiona były wąskie. Wyglądał niemal jak dziecko, jednak było w nim coś szczególnego. Kiedy prosił, słowa wychodziły z jego ust, ale nie z serca, a w głosie brzmiała stal. Kruk zaczął odliczanie od nowa, a chłopak i tak wytrzymał dwa razy dłużej niż inni.

Nadzorca pokochał go za to. Będzie dobrym trybikiem w jego maszynie.

Po goleniu i ocenie nadzorca wysyłał skazańców na ich ławki, gdzie musieli czekać w absolutnej ciszy, aż wszyscy pozostali otrzymają przydział i zostaną przykuci do ław. Kruk wiedział, że był to czas, kiedy niepewność wdzierała się w ich serca, co tworzyło odpowiednią atmosferę dla jego powitalnej mowy. Zawsze zwlekał nieco z jej rozpoczęciem, delektując się reakcją, którą wywoływał na ich twarzach, kiedy zaczynał krzyżeć...

XXX

– Otworzyć włazy!

Marynarze na górnym pokładzie wykonali polecenie. Sześć ogromnych snopów światła wpadło nagle na dolny pokład i wszyscy galernicy podnieśli dłonie do twarzy, aby osłonić oczy.

Do świadomości Sancha nagle wdarło się miejsce, w którym miał odbyć swą karę. Bartolo nie przesadzał ani o krztynę: to było piekło. Siedział przykuty łańcuchem wraz z trzema innymi galernikami do drewnianej, obciągniętej skórą ławki. Dwaj po jego lewej stronie, o smutnym i wygłodzonym wyglądzie, przyglądali mu się złośliwie. Przestraszony odwrócił się w prawo i zobaczył giganta.

Chłopak widywał wcześniej czarnoskórych, w Sewilli były ich setki, jeżeli nie tysiące. Jednak żaden z nich nie był tak ogromny. Miał ramiona dwukrotnie grubsze od nóg Sancha – wyglądały jak skórzane worki wypełnione wielkimi melonami – i ogoloną głowę, tak jak wszyscy galernicy. Sancho przyglądał się z ciekawością jego miłej twarzy o dużym czole i podbródku, na którym można by miażdżyć orzechy.

– Uwaga! – wrzasnął nadzorca.

Podest, którego wcześniej Sancho nie widział w ciemnościach, był wsparty na wielkich skrzyniach i znajdował się na wysokości jego brody. Dzielił powierzchnię pod pokładem na dwie części. Nadzorca stał na nim w rozkroku i ze skrzyżowanymi ramionami. Miał na sobie spodnie i buty. Jego tułów pokrywała czarna skórzana kamizelka. Bawił się krótkim skórzanym batem, gładząc go leniwie.

– Nazywam się Gabriel Soutiño, ale nazywają mnie Kruk. Wy będziecie się do mnie zwracać „panie”. – Postąpił kilka kroków naprzód. – Znajdujecie się na pokładzie „San Telmo”, aby odpokutować za swoje grzechy. Król był łaskaw nie powiesić was, abyście służyli jako siła napędowa jego okrętów. Jeszcze nim ten dzień się skończy, będziecie go za to przeklinać. Nim dobiegnie końca ten tydzień, będziecie przeklinać własną matkę, że was urodziła. Połowa z was umrze w ciągu dwóch lat, więc nie musicie się zbytnio przejmować.

W głębi kadłuba statku rozległ się cichy pomruk – Kruk uciszył skazańców, strzelając batem.

– Cisza! Pierwsza zasada jest taka, że nikt się nie odzywa podczas wiosłowania. Wymagam absolutnej ciszy, niezależnie od tego, co się wydarzy. Powiedzcie jedno słowo, a ten oto mój przyjaciel pogłaszcze was po plecach. Tutaj podczas wiosłowania słyhać jedynie mój głos, to on wyznacza wam tempo. Jest ku temu jeszcze jeden powód. Spójrzcie pod nogi.

Sancho zrobił, jak Kruk kazał, i nie mógł powstrzymać grymasu obrzydzenia. Cuchnące błoto, które wyczuł pod bosymi stopami, okazało się ludzkimi odchodami.

– Wy, odrażające ludzkie pomioty, nie opuście tych ław przez siedem najbliższych miesięcy. Będziecie spać na swoich miejscach, jeść na swoich miejscach, srać na swoich miejscach. Codziennie dwóch z was wyleje na pokład kilka wiader wody, ale to i tak niewiele zmieni. Galery na wiele mil wokół siebie roztaczają odór gówna. Cholerni Maurowie o haczykowatych nosach to wyczuwają, Anglicy ze swoimi białymi pyskami to wyczuwają. Na szczęście gówno niewiernych i heretyków cuchnie tak samo jak nasze, więc w sumie wszystko zależy od tego, skąd zawieje wiatr – nadzorca zrobił teatralną pauzę, rozkładając szeroko ramiona. – Wyobraźcie sobie teraz, że któryś z was, sukinsynów, poskarży się w środku nocy, mając wiatr w plecy, że boli go odcisk. Każdy Maur będzie mógł do nas podpłynąć i wysłać nas na dno. Tak więc od odtrąbienia ciszy nocnej aż do rana również obowiązuje absolutna cisza. Zrozumiano?

Nikt nie odpowiedział.

– To lubię. A teraz nauczycie się, do czego służy ten kawałek drewna, który macie przed sobą – rzekł, wskazując jedno z wiosł. – Pokochacie je do szaleństwa i nie przestaniecie ich tulić przez długi czas. Rozbierać się!

Sancho oszołomiony zobaczył, że wszyscy weterani galer rozbierają się bez wahania. Łatwo było się domyślić, którzy byli nowi, tak jak on, bo ci zawahali się przed zdjęciem odzienia.

– Druga zasada brzmi: posłuszeństwo! – kontynuował Kruk. Szedł wzdłuż kładki, rozdając baty na prawo i lewo.

Sancho szybko zdjął koszulę, zanim nadzorca znalazł się na jego wysokości, i od razu pożałował, że nie zaczął od spodni. Bat trafił go między nagie łopatki. Uderzenie było mocne, lecz tak

błyskawiczne, że przez chwilę zwątpił, że to rzeczywiście się zdarzyło. Zaraz jednak straszliwy piekący ból wyprowadził go z błędu.

– Szybko! Kiedy Turek zaatakuje, nie będzie tyle czasu!

Sancho zrobił węzełek z koszuli i spodni, jednak nie wiedział, gdzie go położyć, i przez chwilę obawiał się, że będzie musiał go rzucić na ten ohydny pokład. Zobaczył jednak, że pozostali schylają się pod ławki – znalazł tam niewielki otwór, w który mógł wcisnąć swoje odzienie.

Był zupełnie nagi. Kiedy podniósł wzrok i zobaczył plecy galerników na ławce przed sobą, poczuł, jak ogarnia go fala przerażenia. Wszystkie były od góry do dołu pokryte długimi bliznami, tworzącymi okrutną mozaikę. Niemal nie było na nich fragmentu, który by się uchował przed batem nadzorcy.

„Ja już raz oberwałem – pomyślał. – A nawet jeszcze nie zacząłem wiosłować”.

Kruk kazał im złapać za wiosło od dołu. Sancho zdziwiony odkrył, że inaczej niż na niewielkich łodziach, które widywał na rzece Betis, ogromne wiosło galery należało unieść w górę, wstając, i opuścić, siadając z impetem na ławce. Zwykle na jedną ławę przypadało pięciu wiosłarzy, jednak ze względu na ogromną siłę czarnego, zajmującego pierwszą pozycję przy wiosle, do którego przydzielono Sancha, było ich tutaj tylko czterech.

– Wiosłować, łotry. Wiosłować do utraty tchu! – krzyknął Kruk.
– Ta zimna angielska suka Elżbieta robiłaby to z większym zapałem niż wy!

Pierwsza lekcja trwała dwie godziny, czyli tyle, co zwykły czas wiosłowania. Dwie godziny wiosłowania, dwie godziny odpoczynku

i od nowa, do czterech sesji dziennie. Po zakończeniu pierwszej zmiany Sancho miał dłonie w pęcherzach, bolały go plecy, ramiona, a także jądra – od ciągłego uderzania w ławkę.

Gdy więźniowie, żałośnie jęcząc, ponownie wkładali ubrania, chłopak poczuł ogromną dłoń na swym ramieniu. Czarnoskóry galernik wyrwał mu koszulę z dłoni. Sancho zaprotestował, ale tamten tylko pokręcił głową i oderwał długi kawał tkaniny z koszuli. Następnie oddał ją Sanchowi.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Czarny położył dłoń na ustach i pokręcił głową.

– Nie umiesz mówić?

Tamten przytaknął i wskazał na swoje krocze. Sancho spojrzał na ogromny członek czarnego i zobaczył, że mężczyzna ze skórzanego paska zrobił prowizoryczny ochraniacz i przywiązał go do nogi. Galernicy nie mogli mieć na sobie ubrań podczas wiosłowania, ponieważ natychmiast by się potargały, hacząc o ławkę. Jednak dzięki takiemu ochraniaczowi można było zaoszczędzić sobie bólu.

– Dziękuję – Sancho zmusił się do uśmiechu. – Jak się nazywasz?

– Nazywa się Josué – odpowiedział mu nieprzyjemny głos z lewej strony. – I jest głupim i niemym mułem.

Chłopak się odwrócił. Patrzyli na niego dwaj skazańcy z jego ławki.

– To skąd wiecie, jak się nazywa?

– Tak powiedział strażnik, który go tutaj przyprowadził rok temu. Ja jestem Antonio Ocaña, a to Francisco Cámara.

– Powiedz lepiej Trup i Sracz! – powiedział ktoś z ławki za nimi.

Trup odwrócił się i rzucił w tamtym kierunku wściekłe spojrzenie, ale nic nie powiedział. Miał nieprzyjemną twarz i Sancho od razu poczuł do niego odrazę. Sracz, dalej na prawo, był drobnym, podatnym na wpływy człowieczkiem i klakierem swojego towarzysza.

– Jak widzisz, inni nadali nam nieprzyjemne przydomki – rzekł Trup.

– A on? – zapytał Sancho, wskazując na nadzorcę, który chyba spał na swoim podeście. – Dlaczego nazywają go Kruk?

– Bo swoim wrogom wydziobuje oczy. To niebezpieczny drań. Teraz siedzi tam i udaje, że śpi. Ale tak naprawdę nie zamknął całkiem oczu, zawsze nas obserwuje. Któregoś dnia go zabiję – rzekł Trup, drapiąc się w kark.

– No pewnie, każdy, kto ci się nie spodoba, kończy jako trup! – dał się słyszeć ten sam kpiący głos z ławki z tyłu. Sancho zrozumiał, skąd się wziął przydomek Francisca Trupa.

– A ty, nowy, jak się zwiesz? – zapytał Sracz.

– Jestem Sancho z Écichy i trafiłem tu za złodziejstwo.

– Jak wszyscy – rzekł Trup. – Ale ty się spodobałeś Krukowi, żółtodziobie.

– Na pewno.

– Dlaczegoż inaczej miałby dać ci trzecią pozycję?

– To najlepsze miejsce na ławce – dodał Sracz.

– Nikt nie zaczyna na trójce, nie zapłaciwszy odpowiedniej ceny – stwierdził Trup. – Na pewno którejs nocy wezwie cię na swoją koję. Lubi niedoświadczonych chłopaczków.

– W tym jesteście do siebie podobni, co Trup? – znów odezwał się ten z tyłu. – Pilnuj swego tyłka dziś w nocy, nowy!

Trup odwrócił się znowu, tym razem z morderczym błyskiem w oku. Ale Sancho tego nie zauważył. Nie zwracał już uwagi na Trupa, ponieważ ręce za bardzo go bolały. Dłonie i opuszki palców krwawiły i nie miał pomysłu, jak zatamować krwawienie. Już miał napluć sobie na dłonie, kiedy Josué wyciągnął w jego stronę coś, co wyjął ze swojego ubrania.

Był to woreczek ze świńskiej skóry pełen gęstej maści. Sancho podniósł go do nosa i zaraz odwrócił twarz. Pachniało jak ziemia zmieszana z octem i szczynami. Zwrócił woreczek czarnemu, kręcąc przecząco głową, jednak Josué nie wyglądał, jakby zamierzał przyjąć odpowiedź odmowną. Złapał Sancho za dłonie i nałożył maść na jego rany. Chłopak protestował, ale zaraz poczuł, jak ból się zmniejsza i prawie znika.

Kiedy pierwszej nocy odtrąbiono ciszę nocną, wszyscy galernicy ułożyli się na ławkach. Czarny Josué był tak ogromny, że musiał oprzeć stopy na kładce, w górze.

Sancho, wykończony, zwinął się w kłębek i zamknął oczy. Pomimo wyczerpania jeszcze przez jakiś czas nie mógł zasnąć przez nieznośny upał i zrozpaczony szloch jednego z galerników, odbijający się echem pod pokładem. Zalała go fala smutku, ale w końcu sen zwyciężył, jeszcze zanim bat nadzorcy uciszył szlochającego.

Po jakimś czasie obudził się, czując jakieś ciało na sobie. Cienie zmierzchu ustąpiły już miejsca całkowitej ciemności i nie wiedział, co się dzieje. Na swoim policzku poczuł czyjś cuchnący

oddech i już miał wszczać alarm, kiedy dobiegł go niemal niesłyszalny szept, wprost do ucha.

– Krzyk po ciszy nocnej oznacza stryczek. Ale i tego nie doczekasz, bo ja zabiję cię wcześniej.

Coś ostrego naciskało na jego szyję, tuż pod szczęką. Poczł cienką strużkę krwi spływającą po skórze i strach lodowatą ręką ściskający serce.

– Bądź cicho, chłopaczku. To nie potrwa długo – szepnął głos. – Potem zajmę się tobą. Zobaczysz, że jestem hojny.

Sancho próbował się wyrwać i walczyć, ale napastnik unieruchomił mu ramiona za plecami. Nagłym ruchem szarpnął głową w tył, chcąc złamać mężczyźnie nos, ale tamten przewidział jego ruch i uchylił się, tak że Sancho trafił go w ramię.

Nagle chłopak usłyszał głuchy odgłos uderzenia, a po nim dwa kolejne. Przez chwilę nic się nie działo, a potem poczuł, że ciało, które go przygniatało, zsunęło się z niego.

Męczył się, nie potrafił ponownie zasnąć, bał się, że napastnik wróci, ale w końcu zmęczenie zwyciężyło. Następnego ranka Trup miał podbite oko i rozciętą brew. Od tego czasu nie odezwał się do Sancha i chłopak wiedział, że ma teraz śmiertelnego wroga. Wiedział też, że jego dług u czarnego Josuégo rośnie z każdym dniem i nie miał pojęcia, jak go spłacić.

XXXI

Przez kilka pierwszych tygodni nie opuszczali spokojnych wód u wejścia do portu. Nowi galernicy musieli nauczyć się wiosłować, zanim kapitan „San Telmo” zdecyduje o wypłynięciu na otwarte morze, ponieważ było to bardzo skomplikowane zadanie. Sancho z trudem dotrzymywał do końca każdej zmiany, a wieczorem ledwie znajdował siły, by się ubrać, zanim padał na ławkę i zasypiał.

Wyczerpanie zwiększała bardzo uboga dieta. Rano rozdawano im po kilogramie sucharów na cały dzień. Był to dwukrotnie wypiekany chleb, bardzo słony i twardy jak kamień. Jedynym sposobem, by nie połamać sobie na nim zębów, było namoczenie go. Kiedy byli jeszcze w porcie, otrzymywali go w mniej lub bardziej nienaruszonym stanie, jednak podczas długich miesięcy, które nadeszły później, Sancho musiał zdrapywać coraz więcej skórki, aby pozbyć się pleśni, lub długo oczyszczać go z robaków. Z obrzydzeniem patrzył, jak niektórzy galernicy nie tylko nie wyrzucali ich, ale łapali w palce i zjadali. Nigdy nie zdobył się na odwagę, aby pójść w ich ślady.

Poza sucharami przysługiwały im dwie miski zupy, na obiad i kolację. Jednego dnia bób, drugiego ciecierzycy, i tak w kółko, bez końca. Długo nie trwało, zanim Sancho odkrył, dlaczego kompana Trupa zwano Sraczem, i nieraz cieszył się, kiedy nadzorca karał go, odbierając mu jego rację żywnościową. Bywały dni, kiedy wysiłki załogi nie spełniały oczekiwań Kruka – wtedy wylewał on na pokład zawartość wspólnego gara. Następnie wzywał marynarzy, aby złali pokład wodą – zwykle robiono to kilka razy dziennie, aby zmyć ekskrementy galerników. Kiedy otrzymywali tę straszną zespołową karę, zapach smażonego boczku dobiegający z górnego pokładu stawał się szczególnie nieznośny. Jelita Sancha zaczynały pracować, kiedy obserwował jedzących marynarzy i wolnych galerników.

Ci ostatni byli dawnymi skazańcami, którzy już odsłużyli swoje wyroki, jednak nie mogli znaleźć innego źródła zarobkowania na lądzie. Wracali więc na galery jako wiosłarze ochotnicy – za pracę otrzymywali wynagrodzenie. Nie byli skuci, spali na pokładzie i jedli to samo co marynarze. Skazańcy gardzili nimi, ponieważ byli oni widmem przyszłości. Nikt nie byłby zadowolony, widząc przed sobą tak czarną przyszłość, jeśli w ogóle udałoby mu się przeżyć.

Śmierć była, niestety, czymś zwyczajnym na pokładzie statku. Jeszcze przed wyjściem statku w otwarte morze Sancho był świadkiem śmierci dwóch galerników, obu nowych, tak jak on, obu pokonanych przez wysiłek przy wiosłach. Z końcem kwietnia, kiedy wreszcie kapitan uznał, że zespół wiosłarzy jest gotowy do wypłynięcia w morze, „San Telmo” wyruszył w stronę Menorki z rozkazem patrolowania wód wokół wysp. Zanim tam dotarli, stan załogi zmniejszył się o kolejne dwie osoby. Któregoś dnia

jeden z galerników zastygł wpatrzony przed siebie, walcząc o oddech ze strasznym grymasem na twarzy. Tej samej nocy zaczął wyginać plecy i krzyczeć, że nie może się ruszyć. Okrętowy medyk przysłał dwóch ludzi po chorego – musieli użyć liny, aby wciągnąć go na górę, bo był tak sztywny i wygięty.

– To spazm – stwierdzili najstarsi weterani, kiedy to zobaczyli. Dalsze wyjaśnienia nie były konieczne, ponieważ już z tonu głosu można było się domyślić, że ten człowiek nie pożyje długo.

Drugi mężczyzna zmarł, ponieważ nie mógł wytrzymać tempa wiosłowania. Zajmował piąte miejsce przy jednym z wiosł w części dziobowej. W pewnym momencie, kiedy nadzorca był odwrócony plecami do niego, włożył rękę do wykonanej z brązu osłony, która pełniła funkcję dulki. Rozległ się straszny chrzęst, kiedy ciężkie wiosło zmiażdżyło mu kości, a on sam zawył jak oszalały. Kruk się odwrócił i kazał przerwać wiosłowanie, na co wściekły bosman wsunął głowę pod pokład.

– Nadzorca, co się, u diabła, dzieje?

Kruk rzucił okiem na człowieka jęczącego na podłodze i od razu się domyślił, co się stało. Podniósł wzrok w stronę bosmana ze smutnym wyrazem twarzy.

– Mamy tu dezertera, panie.

Bosman zbladł. Był to młody chłopak, w swej pierwszej misji. Musiał teraz po raz pierwszy wydać nieprzyjemny rozkaz. Czasem galernicy próbowali się okaleczyć, wierząc naiwnie, że jeżeli staną się bezużyteczni, król ich ułaskawi. Kara dla tych nieszczęśników mogła być tylko jedna, jednak bosman nie chciał nakazać jej wykonania.

– Jesteście tego pewni, nadzorco? – rzekł, zaglądając przez właz. Znajdował się tuż nad Sanchem i chłopak obawiał się, że jeżeli się schyli jeszcze bardziej, spadnie na niego.

Kruk ponownie spojrzął na rannego, który ani na chwilę nie przestawał jęczeć i oddawać się w opiekę Najświętszej Paniencie i wszystkim świętym, błagając o litość. Nadzorcy wydawanie tego rozkazu też nie sprawiało przyjemności. Nie cierpiał tracić trybików swojej maszyny.

– Obawiam się, że tak, panie – odrzekł, z pogardą spluwając na pomost. Chciał, by to się jak najszybciej skończyło. Jeszcze bardziej nienawidził przerw w wiosłowaniu. Potem nie można było ponownie złapać rytmu.

– Muszę się porozumieć z kapitanem.

Głowa bosmana zniknęła z włazu.

Sancho zadał sobie pytanie, czy nikt nie zamierza pomóc biednemu galernikowi, który wciąż cierpiał, ale nie było czasu, by długo to roztrząsać. Głowa bosmana pojawiła się ponownie.

– Kapitan wyraził się bardzo jasno, nadzorco – rzekł już spokojniejszy, ponieważ to ktoś inny wydał rozkaz. – Znacie swoje obowiązki.

Kruk przytaknął i podszedł do pierwszej ławki. Klucz do łańcucha miał w dłoni, podał go towarzyszom rannego.

– Rozkujcie się. Cała piątka.

Nie spuszczał z nich wzroku, gdy zdejmowali obręcze, po czym natychmiast odebrał im klucz.

– Zanieście go pod maszt.

Postawili rannego na nogi. Ten rozejrzał się wokół wzrokiem zamglonym przez łzy. Prawą ręką podtrzymywał uszkodzoną

kończynę. Tam, gdzie kiedyś miał lewą rękę, teraz zwisała bezkształtna i opuchnięta masa, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej sina.

– Gdzie medyk? – wybełkotał.

– Dla dezertarów nie ma medyka.

Galernik szeroko otworzył oczy.

– Jak to? Nie jestem dezertarem! To był wypadek, panie!

– Musiałeś bardzo naciągnąć rękę, aby ulec temu wypadkowi, szumowino.

Pozostali, mimo protestów nieszczęśnika, zaciągnęli go pod maszt. Właz był otwarty, ktoś zrzucił przezeń sznur zakończony pętlą.

– Nie! Na Boga! Miejcie litość!

Kruk nie zwracał uwagi na jego błagania. Założył mu pętlę na szyję i krzyknął, dając sygnał. Sznur nagle się naciągnął i ciało skazańca uniosło się nieco. Jego stopy wciąż jeszcze sięgały pomostu, a paznokcie nieprzyjemnie drapały w drewno.

– Podnieście go wyżej, tak przecież nie umrze!

Nastąpiło drugie pociągnięcie. Tym razem ciało zawisło o dłoń nad ziemią. Jeszcze kopał nogami, kiedy Kruk zwrócił się do galerników.

– Ta dekoracja będzie tutaj wisieć przez kilka dni, aby wam przypominać, że nie warto ulegać wypadkom. A teraz do wiosła.

Kolejne dni były dla galerników straszne. Niektórzy mówili, że to nie jest normalne, czterech martwych w tak krótkim czasie. Pojawiły się nawet głosy, że statek jest przeklęty. Na dodatek Kruk był od czasu egzekucji szczególnie drażliwy i nie żałował

bata. Wyjmował go przy najmniejszej okazji, a morale skazańców jeszcze nigdy nie upadło tak nisko.

I wtedy doszło do zderzenia wioseł i wszystko na pokładzie „San Telmo” uległo zmianie.

W pewien sposób było to nieuniknione. Nadzorca utrzymywał bardzo ostre tempo, bez potrzeby wydłużał zmiany galerników i raz za razem karał ich, odbierając racje żywnościowe, więc byli u kresu wytrzymałości.

Zwykle nie zdarzało się, aby galernicy zajmujący pierwsze miejsca popełniali błędy. Nie wybierano ich tylko dlatego, że byli silni, ale również ze względu na ich zręczność. Musieli być przez cały czas maksymalnie skoncentrowani, aby doprowadzić wiosło do właściwego punktu, raz za razem. Pióro trzeba było zanurzyć w wodę pod odpowiednim kątem i skręcić, gdy tylko znalazło się w wodzie, ponieważ to właśnie napędzało statek. Jednocześnie pierwszy musiał mieć baczenie na manewry wiosła przed sobą.

Incydent był wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Złożyło się nań kilka drobnych spraw: dzień był szczególnie upalny, więc galernicy pocili się obficie, a Josuému oczy na chwilę zasły mgłą. Wioślarza zajmującego miejsce przed nim chwycił nagły skurcz, więc złapał się za nogę. Dwóch nowych w najgorszym momencie oparło się na wiosła, które znalazło się pod dziwnym kątem.

I tak wiosła zderzyły się podczas ruchu w przeciwnych kierunkach. Wiosło Josuégo spadło na to drugie, łamiąc jego pióro na dwie części.

– Stać! Stać, sobacza wasza mać!

Kruk już się zbliżał, ogromnymi susami pokonując pomost i sapiąc wściekle. Kiedy wychylił się przez okienko na dziobie i zobaczył, co się stało, jego twarz przybrała szkarłatny kolor.

– Niech was diabli!

Dotarł aż do piątego rzędu, gdzie złamało się wiosło, i jął chłostać galernika, który wypuścił je z rąk.

– To on, panie! – wykrztusił skazaniec, szlochając. Wskazywał na Josuégo, próbując jednocześnie zasłonić się ramieniem przed razami. – Nie bijcie mnie, panie, błagam!

Nadzorca odwrócił się w stronę czarnego Josuégo. Ten nawet na niego nie spojrzał, wzrok miał wbity w swoje otwarte dłonie, jakby nie potrafił uwierzyć w to, co się stało. Kruk uznał to za przyznanie się do winy. Zamachnął się i spuścił bicz na kark Josuégo. Gruba skóra owinęła się wokół szyi niewolnika i bat na kilka chwil znieruchomiał. W oczach Josuégo odmalowało się przerażenie, ponieważ nie mógł oddychać, ale i tak nie odwrócił twarzy ani nie podniósł rąk, by się bronić. Kiedy nadzorca pociągnął bat, aby go uwolnić, deszcz drobnych kropelek krwi spadł na twarz Sancha – chłopak uznał, że ma tego dość.

– Dostyc! – krzyknął.

Pod pokładem zapadła głucha cisza. Nadzorca zastygł z ramieniem w górze i spojrzał na Sancha, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał.

– Co powiedziałaś? – rzekł lodowatym tonem.

Cisza przeszła w wyczekujące dyszenie galerników. Sancho nagle poczuł strach, ale zaszedł już za daleko, aby teraz żałować czy się wycofać. Przez całe życie ci, którzy byli nad nim, zmuszali go do kroczenia drogą uznaną przez nich za właściwą. Brak

szacunku stanowił niewybaczalne przestępstwo, ale Sancho po prostu nie mógł milczeć.

– To nie była wina Josuégo, panie, tylko błędnego manewru tych przed nami. Ale jeżeli upieracie się, aby ukarać kogoś z tej ławy, ukażcie mnie. Ja przynajmniej rozumiem, że to niesprawiedliwa kara.

Usłyszawszy to, Kruk uśmiechnął się, co bynajmniej nie uspokoiło Sancha. Nadzorca schylił się bardzo powoli i spojrzał chłopakowi prosto w oczy, ciągle się uśmiechając.

– Ach, żółtodziobie. Braknie ci pleców na te wszystkie razy, które zbierzesz.

Coś ciemnego mignęło Sanchowi przed oczami, ale nie miał czasu się uchylić. Skórzany bat trafił go w brew i powiekę, zamykając mu oko.

Nadzorca spojrzał na niego rozbawiony.

– No cóż, zdaje się, że nie trafiłem. Spróbujmy jeszcze raz.

– Nadzorco! – odezwał się niepewny głos za jego plecami.

Kruk się wyprostował, zirytowany, że mu przerwano. Za sobą zobaczył bosmana z niezadowoleniem rysującym się na twarzy. Lewą dłoń podtrzymywał pod nosem cząstkę cytryny, jak to zawsze czynił, gdy obowiązki zmuszały go do zejścia pod pokład, co nie zdarzało się zbyt często.

– Panie – niechętnie odrzekł nadzorca. Jakże nienawidził, kiedy młodszy od niego zajmowali wyższe stanowiska w hierarchii.

– Co się, u diabła, stało? Kapitan jest wściekły! Mamy już całą godzinę opóźnienia.

– Panie, przywołuję galerników do porządku – odrzekł nadzorca, przeszywając bosmana wzrokiem. – Może wróćcie na

górze do waszego drogiego kapitana?

Przy innych okazjach Krukowi udawało się narzucić swoją wolę bosmanowi, na którego już sam widok tego brutala i jego bata działał onieśmielająco. Jednak pogarda pobrzmiewająca w ostatnim zdaniu poruszyła coś w jego wnętrzu. Spojrzał w dół i jego wzrok skrzyżował się ze wzrokiem Sancha – wcześniej, schodząc, usłyszał, że chłopak broni czarnego. Poczuł, że powinien postąpić równie odważnie.

Rzucił cytrynę na ziemię i kiedy się odezwał, jego głos przybrał zupełnie inny, bardziej energiczny ton.

– Przede wszystkim nie powinniście ich tak męczyć, jak to robiliście w ostatnich dniach. Nic dziwnego, że w końcu zaczęli popełniać błędy.

– Panie, chyba was nie rozumiem – odrzekł Kruk skonsternowany tym oskarżeniem.

– Sądzę, że rozumiecie doskonale. Bijąc ich, nie sprawicie, że złamane wiosło odrośnie.

– Ale galerników trzeba dyscyplinować! – Ton Kruka stał się niemal błagalny.

– Za niesubordynację lub nielojalność, tak, ale nie za błąd, do którego sami doprowadziliście – odrzekł bosman, ścisząc głos tak, że nikt poza Sanchem i znajdującymi się najbliżej nie mógł go usłyszeć. – A teraz przyślę tu kilku marynarzy, aby zabrali złamane wiosło. Rozdzielcie ludzi z tej ławki tam, gdzie brakuje rąk, i zapomnijmy o tej sprawie.

I odszedł, nie czekając na odpowiedź. Kruk został na miejscu, wpatrzony w pomost, gdzie po tej konfrontacji pozostała tylko zgnieciona część cytryny. Nadzorca zwinął bat, a kiedy się

odwrócił, na jego twarzy malowała się obietnica śmierci. Sancho pochylił głowę, starając się go już nie prowokować, ale czuł, że to nie wystarczy. Ze spojrzenia Kruka wyczytał dwa słowa.

„Sześć lat” – pomyślał Sancho. – „Sześć lat”.

XXXII

Sancho nie od razu odczuł zemstę Kruka. Nadzorca był zbyt inteligentny, aby zabrać się za niego tuż po wypadku. Rozsądnie odczekał, po czym chłopak zaczął płacić za poniżenie, którego przez niego doznał nadzorca. Jego metoda była zimna i okrutna.

Port Mahón stanowił ważny punkt strategiczny na Morzu Śródziemnym dla okrętów patrolujących chrześcijańskie wody, które polowały na galery tureckie i berberyjskie, próbujące zmyć z siebie hańbę porażek z Malty i Lepanto. W ostatnich latach rozkwitło korsarstwo, nie tylko tureckie i mauretańskie, ale też angielskie. Korsarze atakowali wybrzeża hiszpańskie, spadając na niczego nie spodziewające się wioski i miasteczka w środku nocy, kradnąc bydło i biorąc niewolników, a szczególnie chrześcijańskie dzieci, aby nawrócić je na wiarę Proroka. Za sobą zostawiali tylko trupy i ruiny.

„San Telmo” po kilkudniowym rejsie dotarł do Mahón. Złamane wiosło zastąpiono nowym, beczki napełniono słodką wodą, a marynarze spędzili dwie noce na lądzie. Galernikom nie zezwolono na opuszczenie stanowisk, ale przynajmniej przez ten czas nie musieli wiosłować. Ze swojego miejsca na ławce Sancho

zdołał dojrzeć tylko skrawek ziemi przez okienko w burcie, do którego nie mógł się jednak zbyt zbliżyć, ponieważ przeszkadzali mu Sracz i Trup. Nie widział więc pięknego ujścia rzeki wciśniętego między dwa łagodne wzgórza ani pobielonego arsenału, który zaopatrywał wszystkie okręty Armady. Dostrzegał tylko strzępy normalnego życia, które inni wiedli w porcie, ale to nie przynosiło wielkiego pocieszenia.

Te dwa dni były szczególnie smutne. Niecierpliwe głosy mówiące z obcymi akcentami, skrzypienie wózków wwożących ładunki na galerę, ryk bydła, pisk kół wozów. Wszystkie te odgłosy portu przynosiły gorzkie wspomnienia z Malbaratillo i wielu godzin spędzonych z Bartolem na sprzedaży chust i srebrnych guzików, które zdołali podwędzić na ruchliwych ulicach Sewilli. Nie mając dokąd skierować spojrzenia, Sancho zdał sobie sprawę, jak wiele znaczył dla niego karzeł. Zajmował w jego życiu miejsce należne ojcu. Przez pewien czas widział w tej roli brata Lorenza, ale ten zimny i zdystansowany do wszystkiego zakonnik nigdy nie okazał mu nawet najmniejszego uczucia. Z kolei Bartolo, ten, którym pogardzano ze względu na jego wygląd, podarował mu niezwykłą mądrość. Nie surową i sterylną wiedzę, którą napełnił jego głowę zakonnik, ani też tajniki religii, której ani nie rozumiał, ani nie wyznawał. Bartolo nauczył go, jak cenić samego siebie, być swoim własnym sędzią i brać od innych tylko to, co było im zbędne. Kochał życie, a właśnie je mu odebrano.

Ohyda tego przestępstwa rozdzierała duszę Sancha. Podczas długich sesji wiosłowania próbował znaleźć jakieś wyjaśnienie tego, co się zdarzyło, ale bez rezultatu. Jego umysł wciąż powracał

do Monipodia i wciąż zadawał sobie pytanie, dlaczego król złodziei nasłał swoich zbirów, aby z nimi skończyli, zanim jeszcze spłacili dług. Było tylko jedno wyjaśnienie: zawartość teczki, którą skradli poprzedniego dnia. Nie weksle, tylko pozostałe dokumenty, na które ledwie zwrócili uwagę. Ktoś musiał zapłacić Monipodiowi za ich odzyskanie. Jeżeli Sancho chciał pomścić Bartola, musiał dotrzeć do samego króla złodziei, do jednego z najniebezpieczniejszych i najlepiej chronionych ludzi w Sewilli, i zmusić go do ujawnienia prawdy, a potem poderżnąć mu gardło.

Ogrom tego zadania mógł pozbawić zapału każdego słabszego od Sancha człowieka. Jednak dla niego stanowił bodziec, którego potrzebował. Do tego momentu lizał rany i narzekał na swój los, nie dostrzegając niczego poza wyrokiem sześciu lat, który miał odsłużyć na galerach. Teraz po raz pierwszy miał cel i powód, aby przetrwać.

Pośród smrodu pod pokładem, kąsany przez wszy i pluskwy, zaczął obmyślać plan. Był to zaledwie zalążek pomysłu, wciąż zmieniający się, jak płonące liny poruszające się w ciemnościach.

Kiedy wrócili na otwarte morze, Kruk przystąpił do realizacji swoich planów. Mógłby bardzo łatwo wykończyć Sancha jednym ruchem: celny cios batem w tchawicę i chłopak byłby martwy w ciągu kilku minut. Zdarzało mu się już to robić, kiedy któryś z galerników był zbyt krnąbrny lub powolny. Jednak skrzywiony umysł tego zwierzęcia postrzegał to rozwiązanie jako zbyt proste. Zamiast tego jego bat dosięgał Sancha co pięć uderzeń w plecy pozostałych więźniów. Kruk robił to z taką dokładnością, że Sancho zaczął już zamykać oczy za każdym razem, gdy słyszał piąty świst bata, wiedząc, że kolejny cios jest dla niego.

– A oto nagroda dla naszego gościa specjalnego – przechwalał się Kruk za każdym razem, gdy trafił chłopaka.

I tak zamiast kilku batów tygodniowo, co było normą wśród galerników, zaczął otrzymywać dwa do trzech dziennie. Miał ogromne trudności z zaśnięciem, i tylko układając się na boku, mógł złagodzić ciągły ból wywoływany przez rany.

Można było wytrzymać kilka dni w tak straszliwych warunkach, ale Sancho wiedział, że jeżeli to nękanie będzie trwało zbyt długo, nie przeżyje.

– Już go wcześniej widywałem w takich sytuacjach, kiedy naprawdę kogoś znienawidził – któregoś dnia powiedział mu Trup ze złośliwym błyskiem w oku. – Każdego dnia będziesz coraz słabszy i zaczniesz dawać mu rzeczywiste powody do batów. W tym tempie wyrzucą cię za burtę w ciągu miesiąca, żółtodziobie.

– W ciągu miesiąca. Tylko miesiąca – dodał Sracz ze śmiechem. Sancho miał ochotę go udusić.

Skóra na plecach powoli zamieniała się w straszliwy pejzaż malowany bliznami – podobne mieli tylko najstarsi galernicy. Sancho coraz bardziej upadał na duchu. Którejś szczególnie ciężkiej nocy przyśniło mu się, że dosięga go śmierć i w końcu może odpocząć. Tylko okłady aplikowane regularnie przez Josué przynosiły mu pewną ulgę, choć nie zdarzało się to tak często, jak tego wymagały jego rany. Czarny mógł liczyć na pomoc jednego z wynagradzanych wioślarzy, od czasu do czasu przynosił on odrobinę ziemi, z której Josué sporządzał swoją miksturę, mieszając ją z moczem. Na koniec dnia wioślarz podchodził do niego i podawał mu garść ziemi skradzionej z beczek z balastem

lub wytargowanej od któregoś z marynarzy. Wykonywał gest w stronę Josuégo, a ten spoglądał, nie odpowiadając, wyciągał dłoń i przyjmował ziemię.

Sancho obserwował tę krótką wymianę z ciekawością, jednak nigdy o nic nie pytał. Wolni galernicy nie byli skuci, jednak nie wolno im było rozmawiać ze skazańcami, więc nie spodziewał się uzyskać od niego odpowiedzi, tak jak i nie uzyskałby jej od pozostałych galerników. Odkąd Kruk wypowiedział mu wojnę, pozostali więźniowie traktowali go jak powietrze, jak gdyby wina Sancha była zaraźliwa. Zwracali się do niego tylko jego dwaj znienawidzeni towarzysze z ławki i tylko po to, by go obrazić lub z niego zakpić.

Sancho, desperacko potrzebując kontaktu z drugim człowiekiem, wielokrotnie próbował zagadać do Josuégo, jednak ten albo udawał, że nie zwraca na to uwagi, albo ograniczał się do przeczącego kręcenia głową. Chłopak szukał sposobu dotarcia do niego. Próbował rysować proste litery w powietrzu, ale bezskutecznie. Josué nie potrafił czytać, a bez papieru i czegoś do pisania nigdy nie zdołałby go tego nauczyć. Już prawie zaprzestał starań, kiedy przypomniał sobie, że Bartolo pokazał mu kiedyś kilka znaków, jakimi porozumiewali się między sobą złodzieje, kiedy okradali jakiś dom w nocy i nie mogli rozmawiać. Karzeł dodał to tej listy kilka znaków swojego pomysłu – używali ich potem także w ciągu dnia, kiedy kradli na targach i placach. Wątpił wprawdzie, aby znaki w rodzaju „właściciele się obudzili” lub „odwróć jego uwagę, a ja ukradnę mu torbę” miały się na coś przydać, ale naprowadziło go to na pewien pomysł.

– Josué, posłuchaj – rzekł do swego sąsiada podczas jednej z przerw w wiosłowaniu. – Co ty na to, żebym nauczył cię mówić?

Czarny podniósł głowę znad talerza z bobem, który właśnie im podano, i zwrócił się w stronę Sancha. Zmarszczył brwi, a w jego oczach odmalował się wyrzut, jakby sądził, że Sancho z niego drwi i uznał, że to niesprawiedliwe. Powoli otworzył usta i pokazał chłopakowi swój ucięty język. Sancho stłumił grymas obrzydzenia na widok efektów jatki, jaką lata temu urządzili Josuému handlarze niewolników, jednak nie odwrócił wzroku.

– Nie potrzebujesz języka, aby mówić, Josué. Wystarczą ci ręce. Masz dwie dłonie, prawda?

Josué podniósł dwie ogromne szynki, którymi kończyły się jego ramiona. Wewnętrzna strona dłoni była bardzo jasna, niemal biała, i twarda jak drewno od ciągłego tarcia o wiosło. Dłonie Sancha powoli zaczynały wyglądać podobnie.

– Josué, nauczę cię mówić rękami. Patrz na mnie uważnie, dobrze?

Sancho wskazał palcem na siebie.

– To znaczy „ja”. Powtórz.

Josué przez chwilę pozostał w bezruchu i Sancho przestraszył się, że go nie posłucha, albo co gorsza, że jego inteligencja jest na poziomie zwierząt polnych – wielokrotnie słyszał, że tak mówiono o przedstawicielach jego rasy. Z twarzy czarnoskórego nie zniknęła powaga, jednak posłuchał Sancha, i powtórzył jego gest.

Chłopak zawahał się, zanim zaprezentował kolejne słowo. Chwycił grzbiet lewej dłoni prawą.

– To znaczy „mam”.

Josué powtórzył gest, tym razem nie zwlekając. Sancho podniósł jeden palec. To było łatwiejsze słowo.

– Jeden.

Następnie ułożył dłonie wewnętrzną stroną do siebie, pozostawiając pomiędzy nimi przestrzeń o szerokości swojego tułowia.

– Duży.

Kolejny wyraz można było przedstawić na wiele sposobów, ale Sancho wolał to zrobić, odnosząc się do kształtu przedmiotu, a nie do gestów wykonywanych za jego pomocą.

Dotknął czubkiem palca wskazującego prawej ręki trzeciego paliczka palca wskazującego lewej ręki, unosząc obie dłonie w górę.

– Miecz. A teraz powtórz je wszystkie razem.

– Ten głupek nigdy cię nie zrozumie – zadrwił Trup zza jego pleców. – Tracisz tylko czas. A niewiele ci go zostało.

Sancho zignorował go i spojrzał na Josuégo. Coś w wyrazie twarzy niewolnika się zmieniło. Nie było już na niej podejrzliwości, dojrzał tam coś innego. Może strach, a może wyczekiwanie, Sancho nie potrafił tego odczytać. Znów pomyślał, że mu się nie uda, ale czarny nagle wykonał wszystkie gesty jeden po drugim.

„Ja mam jeden duży miecz”.

– Widzisz, Josué? Właśnie przemówiłeś.

Josué patrzył na Sancha ze zdziwieniem i czcią. W tym momencie Kruk dmuchnął w swój gwizdek i galernicy musieli ponownie zdjąć ubrania i pochylić się nad wiosłami.

I wtedy zaczęły się dziać dobre rzeczy.

Pierwszą z nich było to, że Kruk przestał traktować Sancha jako główny cel swojego bata, a to dlatego, że ktoś popełnił jeszcze gorszy grzech od buntu chłopaka. Jeden z nowych galerników, którzy dołączyli w Mahón, dostał kilka batów i zamiast przyjąć to jak mężczyzna, odwrócił się, chwycił bat i wyrwał go z rąk Kruka. To był odruch, czysty instynkt samozachowawczy. Natychmiast oddał bat, jednak było to coś, czego nadzorca absolutnie nie mógł tolerować. Uwziął się na tego skazańca i zrobił z niego taki sam cel swej zimnej i okrutnej zemsty, jakim wcześniej był Sancho. Chłopak poczuł z tego powodu ulgę, chociaż poczucie winy i współczucie dla nieszczęśnika, który zajął jego miejsce, napełniły go goryczą.

Po drugie, Josué bardzo poważnie potraktował propozycję Sancha. Od czasu, gdy udało mu się stworzyć pierwsze spójne zdanie za pomocą znaków, ogarnął go rodzaj gorączki. Każdą wolną chwilę poświęcali na tworzenie podstaw tego nowego języka. Początki były trudne, ponieważ wiele słów nie przypominało niczego, co obaj znali. Bo jak pokazać gestem „życie” lub „świt”? Poza tym, w miarę jak słownictwo języka się poszerzało, dłonie przestały wystarczać.

Wtedy utknęli w miejscu, aż do czasu, gdy Josué wymyślił, że można użyć innych części ciała do tworzenia znaków. Na przykład pogłodzić się po twarzy, aby wyrazić piękno, lub zrobić koło na piersi, by pokazać słowo „dobro”. Z upływem dni Sancho zaczął się domyślać, że ogromną czaszkę czarnego zamieszkuje głęboki i mądry umysł, więziony – jak jego własny – przez smutek i samotność.

Podstawą, na której zbudowali swój nowy język, była właśnie historia Josuégo. Minęło kilka tygodni, nim zdołali utkać ją całą, ponieważ wiele słów wymagało innych trzech czy czterech, aby je zdefiniować, jednak w końcu się udało i Sancho nigdy w życiu nie był tak dumny. Ani wtedy, gdy recytował przed bratem Lorenzem właściwą odpowiedź, ani wtedy, kiedy po raz pierwszy odciął czyjąś torbę. Te znaki rysowane w powietrzu były wyrazem ich buntu wobec tych, którzy wyrwali czarnemu język i zakuli ich w łańcuchy.

„Urodziłem się daleko stąd”.

– W Afryce – rzekł Sancho, kiedy czarny sformułował swoje pierwsze zdanie, ale Josué tylko wzruszył ramionami. Dla niego ta nazwa nic nie znaczyła, chociaż słyszał ją wielokrotnie z ust Hiszpanów. Znał swą ziemię, choć Sancho nie zdołał ustalić, gdzie ona leży, ponieważ jeszcze nie wiedzieli, jak przedstawiać niektóre nazwy.

„Mieszkałem z moimi rodzicami i czterema braćmi. Byłem najmłodszy. Takiego wzrostu” – powiedział Josué, pokazując wysokość, z której Sancho wywnioskował, że mógł mieć wtedy jakieś dziewięć lat, chociaż w przypadku tego ogromnego człowieka mogło to oznaczać młodszy wiek.

Myląc się, opuszczając po drodze wiele fragmentów, Josué opowiedział, jak handlarze niewolników w środku nocy napadli na jego wioskę. Było ich wielu i posiadali dużo lepszą broń niż mieszkańcy wioski. Jego ojciec był wielkim wojownikiem i zdołał zabić dwóch intruzów, ale kolejny napastnik wpakował mu kulę w plecy. Josué skończył w drewnianej skrzyni. Następnie skuto go, załadowano na statek i sprzedano w dokach Sewilli, tak jak

tysiące innych przed nim i po nim. Czarny opowiadał tę część historii swojego życia chłodno i z dystansem, spokojnie gestykulował nawet wtedy, gdy mówił o tym, jak handlarze ucięli mu w nocy język, ponieważ nie przestawał płakać.

Cień emocji zarysował się na jego twarzy jedynie wtedy, gdy opisywał, jak trafił na galery. Przez ponad jedenaście lat pracował jako nosiwoda dla sewilskiego kupca, który kupował niewolników i rozsyłał ich po mieście, każdego z mułem i kilkoma dzbanami wody.

Sancho codziennie mijał nosiwodów na ulicach miasta, a nawet któregoś dnia rzucił maravedí do blaszanego kubka jednego z nich i pociągnął kilka ciepławych łyków – woda smakowała wybornie. W mieście takim jak Sewilla, gdzie wielu ludzi pracowało w pełnym słońcu, a temperatura w lecie przypominała tę panującą w kotłach piekielnych, był to opłacalny interes, szczególnie jeśli właściciel nie musiał płacić swoim niewolnikom. Kiedy byli już zbyt starzy lub chorzy, aby pracować, właściciel „w akcie chrześcijańskiego miłosierdzia” darował im wolność, co w praktyce oznaczało, że umywał ręce i przestawał się interesować ich losem. I tak ci świeżo uwolnieni umierali na tych samych ulicach, na których wcześniej zbierali miedziaki dla swojego pana. Czasem jednak los płatał figle tym, którzy w taki sposób zbijali majątki. W przypadku właściciela Josuégo stało się tak, że pewnego dnia jednocześnie zachorowało pięciu z jego ośmiu niewolników. Czarny nie potrafił Sanchowi powiedzieć, jaka choroba ich dosięgła, ale wszyscy umarli w ciągu kilku dni.

Nie mając pracowników, których mógłby wysłać na ulice z mułami i nie dysponując gotówką, musiał sprzedać Josuégo

oficerowi galer królewskich.

„Powiedział mi: ty jesz więcej niż pozostali. A za pieniądze, które dostanę za ciebie, kupię trzech innych”.

Sancho wyobraził sobie wyraz twarzy oficera, kiedy zobaczył tego giganta w swoim biurze nieopodal murów miejskich. Nie wątpił, że zakup tego niewolnika był nie lada okazją – Josué miał wtedy około dwudziestu lat i był u szczytu swych możliwości. To był dobry interes zarówno dla króla, jak i dla właściciela Josuégo.

Dla czarnego z kolei oznaczało to zamianę znośnego życia na piekielny los.

„Lubiłem ulice i muły, lubiłem rozdawać wodę. Ludzie pili i czuli się lepiej. I pracowałem w słońcu. A tutaj są tylko ciemności”, podsumował Josué.

Wtedy przyszła kolej Sancha, aby opowiedzieć, jak się dostał na galery. Zrobił to, używając języka znaków i odzywając się jedynie wtedy, gdy chciał coś wyjaśnić lub wprowadzić do ich słownika nowe słowa. Josué kiwał głową i przerywał tylko, aby zadać jakieś krótkie i niepoprawne gramatycznie, ale inteligentne pytanie, które stawiało wiele ze zdarzeń, jakie miały miejsce w ostatnich miesiącach życia chłopaka, w zupełnie nowym świetle.

Zaprzyjaźnili się ze sobą i to była trzecia z dobrych rzeczy, które zdarzyły się tego lata.

Jednak jak już Sancho odkrył we wczesnym dzieciństwie, kiedy jedno po drugim następują szczęśliwe zdarzenia, oznacza to zwykle, że na horyzoncie zbierają się chmury – 17 sierpnia 1589 roku spadł z nich deszcz.

XXXIII

Była trzecia po południu i kończyła się druga tura wiosłowania, kiedy bosman zajrzał do nich i wydał fatalny rozkaz, który stał się przyczyną katastrofy. Nie ma wątpliwości, że sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby nie arogancja kapitana.

Marynarze już od jakiegoś czasu byli nerwowi – ich niepokój udzielił się reszcie załogi. Galernicy słuchali ich rozmów przez włazy i szczeliny w pokładzie, a to, co słyszeli, wcale im się nie podobało. Załoga bała się, że to może być pierwszy rok „San Telmo” bez żadnej zdobyczy do Święta Wniebowzięcia. Ten dzień wyznaczał dwie trzecie sezonu polowań: dla okrętu wojennego przywykłego do zwycięstw brak sukcesów na tym etapie oznaczał hańbę, a dla oficerów również utratę zysków z przechwycenia ładunku i sprzedaży żywych jeńców ze statku korsarskiego jako niewolników.

Wyglądało na to, że nad „San Telmo” rzeczywiście zawisło jakieś fatum. Aż cztery razy okręt przybijał do przybrzeżnych miasteczek, by napotkać tylko dymiące ruiny po ataku piratów. Kapitan galery kreślił okrężne trasy w pobliżu najłatwiej dostępnych dla wrogich statków miejsc u wybrzeży Lewantu,

jednak, choć intuicja go nie zawiodła, za każdym razem docierali na miejsce spóźnieni. Każda napotkana łódź rybacka i każda wieża obserwacyjna, która wysyłała im sygnały, miała dla nich wciąż tę samą wiadomość: dopiero co odpłynęli.

Tydzień przed Świętem Wniebowzięcia na horyzoncie pojawiły się trójkątne żagle szebeki i lewa burta galery aż ugięła się pod ciężarem podekscytowanych marynarzy, którzy pobiegli tam, wykrzykując obelgi i ciesząc się, że w końcu szczęście się do nich uśmiechnęło. Okręt przechylił się niebezpiecznie i kapitan rozkazał wszystkim wrócić na swoje stanowiska i podjąć pościg.

Maurowie okazali się wyjątkowymi przeciwnikami. Wiedząc, że nie mają szans z galerą, niemal dwukrotnie większą i z potężniejszą siłą ognia niż ich szebeka, wykorzystywali większą zwrotność swojego statku, aby trzymać się z dala od „San Telmo”.

Pościg trwał osiem dni. Szebeka nie raz zniknęła z pola widzenia, po czym – dzięki czystemu przypadkowi lub uporowi kapitana – udawało się ją ponownie odnaleźć. W końcu rankiem 17 sierpnia połączenie wiatrów i pływów sprawiło, że statek Maurów znalazł się w potrzasku między wybrzeżem a armatami swoich prześladowców. Bez najmniejszego podmuchu wiatru żagle szebeki były bezużyteczne, a osiemdziesięciu galerników napędzających statek przegrywało sromotnie z dwiema setkami skazańców pod pokładem hiszpańskiej galery.

Podczas pierwszej porannej tury wiosłowania dystans, jaki dzielił statki, stopniał o połowę. Szebeka zatrzymała się pierwsza, około jedenastej. Znajdowała się niewiele ponad pięćset sążni od „San Telmo”, przemieszczając się wzdłuż linii wybrzeża i próbując

rozwinąć żagle, aby zbiec, jednak bez powodzenia. Jej brudnozielona bandera zwisała z głównego masztu. Zdani na wiosła Maurowie musieli podjąć niebezpieczną grę ze ścigającymi. Trzeba było ostrożnie korzystać z sił galerników.

„San Telmo” również się zatrzymał. Kapitan się niecierpliwił, ale wiedział, że szebeka jest już jego. Jeżeli nie dopadną jej podczas drugiej tury wiosłowania, to na pewno zdołają to zrobić podczas trzeciej. Maurowie na burtach mieli po dziesięć armat – hiszpańska galera dysponowała aż piętnastoma na każdej burcie, i to większego kalibru. Maurowie wiedzieli, że nie będą mieli czasu wystrzelić więcej niż jedną salwę. Mogą trafić siedmioma czy ośmioma kulami, zanim nastąpi hiszpański abordaż. Następnie rozpocznie się walka na miecze, a tych na galerze było trzykrotnie więcej.

Odpuściek trwał tylko półtorej godziny. Mijała pierwsza po południu, kiedy szebeka ponownie ruszyła.

– Boją się, kapitanie – rzekł bosman.

Kapitan nie spieszył się z odpowiedzią. Ostatnio wysadzili na ląd pierwszego oficera, który złamał stopę wskutek uderzenia w armatę niezabezpieczoną właściwie przez któregoś nieuwważnego marynarza. Dla załogi był to kolejny zły znak. Choć bosman pełnił obecnie funkcję zastępcy kapitana, ten ostatni traktował go nieco protekcyjnie ze względu na jego plebejskie pochodzenie i flamandzkie nazwisko.

– I dobrze robią, że się boją. Ruszamy.

Dwie godziny później okręt wroga się zatrzymał. Wcześniej płynął wzdłuż wybrzeża i już miał minąć przylądek Marzán, kiedy stanął. Kapitan ucieszył się z tego.

– Przekleńci durnie, gdyby płynęli dalej za przylądek, mogliby wykorzystać prądy, aby zwiększyć dystans.

– Opóźnialiby tylko to, co nieuchronne, kapitanie.

– Prawda, prawda. Dopilnujcie, aby galernicy otrzymali porcję mięsa i wina. Muszą odzyskać siły.

– Już się robi.

– Za dwie godziny wyślemy tych Maurów do piekła – rzekł kapitan, nie odwracając wzroku od szebeki. Znajdowała się teraz w odległości nie większej niż dwieście sążni od „San Telmo”. Jeszcze jakieś sześćdziesiąt sążni i oba statki wejdą w pole strzału dział przeciwnika. Szebeka raczej nie wejdzie w dryf przed hiszpańską galera, bo to by przyniosło śmierć jej załodze. W takim przypadku „San Telmo” musiałby tylko płynąć naprzód i staranować wroga. Takie uderzenie przy odpowiedniej prędkości zatopiłoby szebekę w ciągu kilku minut.

Bosman wydawał rozkazy szybko i zdecydowanie. Marynarze zaczęli znosić pod pokład bukłaki z winem, a żołnierze przygotowywać muszkiety i pistolety. Na pokładzie panowało zamieszanie i nerwowość. Pogróżki i modlitwy mieszały się z odgłosem ostrzenia rapierów.

Tymczasem na pokładzie wroga panowała głucha cisza. Nie dało się zobaczyć twarzy członków załogi, ale widać było, że starają się oni jak najmniej hałasować. Bosman obserwował to z rosnącym niepokojem, ale nie mógł długo się nad tym zastanawiać, ponieważ szebeka ruszyła. Bosman pobiegł na mostek do kapitana, który stał pochylony nad mapą i zagryzał wargę.

– Kapitanie! Ruszają!

– Mam oczy, bosmanie.

Cień szebeki kładł się już na ogromnej ciemnej ponadstumetrowej ścianie przyładka. Fale rozbijały się z hukiem o skałę w miejscu, gdzie wchodziła do morza, pozostawiając kłęby piany.

– Nie rozumiem tego, kapitanie. Nie pozwolili odpocząć swoim wiosłarzom. Zaraz opadną z sił. To nie ma sensu.

– Może zdali sobie sprawę, że znajdują się o kilka sążni od ujścia na północ od przyładka – odrzekł kapitan z nagłym grymasem niepokoju. – Może sądzą, że kiedy my będziemy czekać, podniesie się wiatr i będą mogli rozwinąć żagle.

– Ależ to śmieszne, kapitanie.

– Nie zamierzam ryzykować. Dajcie rozkaz do wiosł, bosmanie. Popłyniemy za nimi nawet do samego piekła, jeśli będzie trzeba.

– Ależ, kapitanie...

Surowe spojrzenie kapitana zdusiło protesty młodego marynarza – odszedł upokorzony. Gdyby to od niego zależało, dałby szebecie godzinę przewagi, po czym podjąłby pościg. Na niebie nie było ani jednej chmury i nic nie wskazywało na to, by choć najmniejszy podmuch wiatru miał dać przewagę ściganym. Ale kapitan doszedł do swojego stanowiska ze względu na szlacheckie pochodzenie, a nie osiągnięcia na morzu. Niestety na dodatek był człowiekiem aroganckim i nigdy nie słuchał głosu rozsądku. Bosman nie miał innego wyjścia, jak tylko wykonać rozkaz, który według wszelkich znaków na niebie i ziemi był błędny.

Marynarze zdążyli rozdać nadzwyczajne racje zaledwie jednej trzeciej skazańców, więc kiedy nagle przestali je rozprowadzać

i pobiegli na pokład, zabierając ze sobą bukłaki i garnki, podniosła się fala protestów. Galernicy tak rzadko mieli okazję skosztować mięsa i wina – jedynie podczas Bożego Narodzenia i Święta Wniebowzięcia – że ogłoszenie, że zostaną one rozdane, po czym przerwanie tej czynności było najgorszym posunięciem. Pomiędzy ostatnimi, którzy otrzymali swoją porcję i tymi, którzy zostali z niczym, zaczęły się bójki. Pozostali zaczęli wrzeszczeć jak oszalali.

Kruk natychmiast uporałby się z protestami, jednak wciąż stał z głową zadartą w stronę włazu z oniemiałym wyrazem twarzy.

– Nie wytrzymają dłużej niż pół godziny – rzekł, wskazując batem za siebie.

– To rozkaz kapitana. Jesteśmy już bardzo blisko. Możemy ich dopaść, jak tylko opłyniemy przylądek – odrzekł bosman, nie potrafiąc ukryć, że zupełnie nie wierzy w to, co mówi.

Nadzorca, z irytacją mlaszcząc językiem – bo i jego obiad został przerwany – trzasnął batem w powietrzu.

– Rozbierać się, diabelskie nasienie! Mamy tych Maurów na odległość strzału!

Po jego słowach zapadła grobowa cisza. Galernicy nie wiedzieli, jaka jest sytuacja, jednak kazać im złapać za wiosła w tej chwili, po dwóch turach wiosłowania i w piekielnym upale, było szaleństwem. Wielu z nich nawet nie zdążyło się ubrać. Inni wciąż jeszcze rozmasowywali obolałe ramiona lub próbowali odpocząć na swoich ławkach. Pomimo strachu przed Krukiem tylko kilku wykonało polecenie.

– Powiedziałem: rozbierać się – powtórzył nadzorca, zniżając głos niemal do lodowatego szeptu i cedząc słowa przez zaciśnięte

zęby. – To jest bitwa, skurwysyny. Pierwszy, który da mi pretekst, dostanie sześć cali w brzuch, nawet nie zadam sobie trudu, by go wieszać.

Uderzył kilkakrotnie w kordelas, który tego ranka zawiesił u pasa. W skierowanych na niego spojrzeniach galerników była czysta i prymitywna nienawiść, i Kruk poczuł ukłucie strachu. Będzie musiał szczególnie uważać, aby nie potknąć się podczas potyczki, bo nawet reputacja okrutnika tym razem mu nie pomoże. Na pewno nie, biorąc pod uwagę to, co widział w tych dwustu parach oczu.

– Niedługo będziecie jeść i pić do woli. A teraz do wioseł, bo jak mi Bóg miły, zabieram się za podrzynanie gardeł. A zacznę od swoich ulubieńców.

Mówiąc to, spojrział w stronę Sancha. Nastąpiła chwila ciszy, po czym nadzorca ponownie strzelił batem w powietrzu. Wielu galerników zaczęło przyjmować pozycję do wiosłowania. Pozostali zaraz poszli w ich ślady i „San Telmo” powoli ruszył.

Kwadrans później galera manewrowała już wzdłuż przylądka, tak blisko, że marynarze widzieli jaja w mewich gniazdach. W tym momencie majtkowie zgłosili, że szebeka się zatrzymuje i wciąga wiosła. Bosman, zajęty kontrolowaniem głębokości, aby uniknąć zderzenia z jakąś przeszkodą, nie śledził ruchów wroga.

Zobaczywszy to, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Wszyscy na pokładzie galery ryknęli z radości. Było jasne, że szebeka zamierza się poddać. Kapitan już oblizywał wargi, a na jego twarzy odmalowała się chciwość, która opanowała jego duszę. Przechwycenie nienaruszonego okrętu wraz z pełną załogą

przyniesie im nawet większe zyski, niż przewidywali. I oto był, stał zaledwie sto sążni od przylądka, z wiosłami w górze.

– Jak dziewica z rozwartymi udami w noc poślubną – wysyczał kapitan. – Tempo bojowe, bosmanie! Pokażmy tym niewiernym, do czego jesteście zdolni. Jeśli są mądrzy, do czasu, gdy do nich dotrzemy, będą już całować krzyże.

– Tak jest, kapitanie! – odrzekł bosman, któremu również udzieliła się gorączka panująca na statku. Schodząc z mostka, niemal spadł głową w dół. Niechętnie przyznał w duchu, że niepokój narastający w nim od samego rana musiał być związany z nadchodzącą bitwą. Fakt, że szebeka się poddawała, uwolnił całe to napięcie i zmienił je w euforię, tak samo jak w przypadku całej załogi.

Zajrzał pod pokład i krzyknął:

– Tempo bojowe! Ostatni wysiłek!

Kruk zwiększył tempo. Teraz już musiał użyć gwizdka, ponieważ szybkiego rytmu tempa bojowego nie sposób było wyznaczać głosem. Na ławkach nikt nie miał siły protestować, nawet w obliczu tego nowego zadania, które wydawało się niewykonalne. Kiedy tak wiosłowali w pocie czoła, duch zbiorowego oporu przygasł, zduszony przez pot i urywane oddechy. Ruchy galerników nabrały szybkości – takiego tempa wielu z nich nie osiągnęło od czasu tygodniowego treningu. Niejeden pomylił rytm i rozbił sobie nos lub wybił zęby, zniżając głowę, podczas gdy wiosło się unosiło. Kruk ignorował rannych, skupiając się na tych, którzy się nie przykładali. Można ich było łatwo zidentyfikować, ponieważ ich towarzysze z ławki natychmiast protestowali, czując, że zwiększa się nacisk na ich barki. Kruk przemieszczał się po

pomoście tam i z powrotem, niemal na oślep chłoszcząc batem na obie strony. Swoją stałą obecnością nadrabiał to, co tracił na precyzji.

Wycie i wrzaski z wysiłku i bólu dobiegające spod pokładu tonęły pośród okrzyków radości rozlegających się na górze. „San Telmo” osiągnął niemal maksymalną prędkość i jego dziób już docierał do przylądka. W tej chwili triumfu w pamięci bosmana na chwilę pojawiło się krótkie wspomnienie ojca. Jakże dumny będzie, kiedy za kilka tygodni syn wróci do domu z łupem z przechwyconego okrętu i ze swoją pierwszą wiktoria na koncie.

Nagle coś na pokładzie szebeki przyciągnęło jego uwagę. Jeden z marynarzy siedzących na takielunku gorączkowo wymachiwał czerwoną flagą. Bosman nie rozumiał, co u diabła robi ten człowiek, aż odwrócił się w kierunku, w którym tamten słał sygnały. Po plecach przebiegł mu dreszcz przerażenia i podniósł mu wszystkie włosy. Chciał krzyknąć, ostrzec podnieconą załogę wokół siebie, która patrzyła w kierunku przeciwnym do zbliżającego się niebezpieczeństwa, ale strach ścisnął mu gardło jak w koszmarze, w którym człowiek traci władzę nad głosem. Zaczął się przepychać przez marynarzy i jeden z nich, odwróciwszy się, aby zaprotestować, dojrzał to samo, co bosman, i wrzasnął rozpaczliwie.

– Kapitanie! Wróg w zasięgu wzroku!

– Statek na kursie kolizyjnym, kapitanie – zdołał wydusić z siebie bosman, ale jego głos był przytłumiony i słaby.

Podczas gdy szebeka ścigana przez „San Telmo” przez cały dzień uciekała, w zatoce na północ od przylądka czekał – ukryty przed wzrokiem ścigających – drugi okręt. Mając do dyspozycji

świeżych wiosłarzy, zbliżał się teraz z pełną prędkością, obrawszy kurs, dzięki któremu zupełnie rozbije burtę galery, jeżeli tylko ta nie zdoła zmienić swojego kursu. Wszystkie żagle miał zrefowane. Na dziobie widać było taran z kutego żelaza pokryty zielonkawą patyną.

Wciąż w szoku, bosman zachwyił się sprytem Maurów. Wiedząc, że nigdy nie będą mogli stanąć do bezpośredniej walki z „San Telmo”, przez wiele dni ukazywali się Hiszpanom na horyzoncie, wciągając ich w śmiertelną pułapkę. A teraz, podczas gdy jedna szebeka pozorowała poddanie się, druga czekała, aż dumni Hiszpanie zbliżą się, by porwać swą zdobycz. I we właściwym momencie statek przynęta dał swoim kompanom sygnał do ataku na galerę.

Panika ogarnęła załogę, ale też – paradoksalnie – zmusiła bosmana do działania. Idąc na mostek, rozpychał się łokciami między żołnierzami przygotowującymi się do abordażu.

– Stać. Zatrzymać wiosła! – krzyknął, przechodząc obok włazu.

Kapitan stał z przekrzywionym kapeluszem i ze śmiesznym wyrazem zdziwienia na twarzy, jak dziecko, któremu zabrano właśnie ciastko. Wykrzykiwał rozkazy do sternika, który sprawiał wrażenie zagubionego.

– Ster lewo na burt, chłopcze! Ster lewo na burt!

– Kapitanie, rozkazałem zatrzymać okręt!

– Do diabła, nie! Musimy zmienić kurs! Nie da się tego zrobić bez rozpędu!

– Ale kapitanie, wtedy dosięgną nas od rufy! – odrzekł bosman, który – widząc nadciągającą śmierć – zrezygnował z bojaźliwej

postawy wobec tego niekompetentnego imbecyla, chcącego uśmiercić całą załogę. – Wydajcie rozkaz rzucenia kotwicy!

Podczas tej dyskusji na mostku na pierwszej szebce dziesiątki Berberów wychylały się za burtę wymachując szablami i wyjąc jak opętani. Wielu wyjęło już muszkiety i wypaliło w stronę zbliżającego się okrętu, choć ich statek był jeszcze zbyt daleko, aby kule dotarły do celu. Część marynarzy na galerze zaczęła strzelać na oślep, utrudniając pracę pozostałym.

Już i tak było za późno na jakąkolwiek reakcję, ponieważ dziób okrętu nieprzyjaciela natarł na galerę.

XXXIV

Pod pokładem Sancho rozcierał obolałe mięśnie, oparty łokciami o wiosło i z głową ukrytą w ramionach. Rozkaz przerwania wiosłowania otrzymali kilka chwil wcześniej – teraz wszyscy padli. Nawet z twarzy Kruka zniknął ten półuśmieszek, który gościł na niej zawsze, gdy nadzorca wprawiał w ruch swój bat. Wtedy jeden z galerników na piątej pozycji na lewej burcie, czyli po stronie Sancha, zaczął wrzeszczeć z przerażenia. Wszedł na ławkę i próbował odsunąć się jak najdalej od burty, jednak łańcuch uniemożliwiał mu to, więc upadł na wiosło, obejmując je. Nadzorca natychmiast znalazł się przy nim, tak zdziwiony jego zachowaniem, że nawet nie spróbował podnieść bata. Wtedy również Sracz wyjrzał przez swoje okienko i rozpętał się chaos.

– Statek! Staranuje nas!

– Wszyscy umrzemy!

Trup i Sracz również wstali i zaczęli się domagać, by zdjęto im łańcuchy, szarpiąc za nie mocno i szlochając. Sancho, tak samo przerażony jak pozostali, już miał ulec impulsowi i rzucić się do ucieczki, kiedy Josué złapał go za ramię.

„Nie. Pomóż mi wyjąć wiosło”.

Nic nie rozumiejąc, chłopak posłuchał przyjaciela, który zaczął ciągnąć za wiosło, przekładając jego koniec ponad pomostem. Kruk, wciąż zszokowany wszystkim, co działo się dookoła, widząc, że wiosło się podnosi i wdziera na jego teren, natychmiast pobiegł w ich stronę.

– Dość tego! Co, u diabła, robicie, sukinsyny?

Strzelił batem z daleka, trafiając prosto w plecy Josuégo. Czarny nawet nie drgnął, wciąż ciągnął za ogromne wiosło. Sancho odwrócił się w samą porę, by zauważyć, że nadzorca patrzy na niego triumfalnie, z nienawiścią w oczach, tak oszalały, że nie był w stanie pojąć zagrożenia, które zawisło nad nimi wszystkimi.

– Tym razem się doigrałeś – rzekł z uśmiechem. Nie zastanawiając się długo, zatknął bat za pas i wyjął kordelas.

Sancho zrozumiał, że właśnie dali Krukowi pretekst, jakiego potrzebował od czasu starcia z bosmanem, i wiedział, że nie wyjdzie z tego żywy. Odwrócił się, aby stanąć twarzą w twarz z nadzorcą. Skoro już nie musiał dalej udawać, mógł chociaż pokazać temu odrażającemu wieprzowi, że się go nie boi.

Manewru bosmana nie udało się w pełni zrealizować, jednak uniknęli uderzenia tarana w sam środek kadłuba – właśnie to planował przeciwnik. Druga szebeka trafiła bliżej dziobu „San Telmo”. Kilka chwil później burty obu statków się zetknęły. Część Hiszpanów przeskoczyła na statek wroga, jednak było ich niewiele i nie stanowili poważnego zagrożenia dla Maurów – ci ostatni zmasakrowali ich bez większych strat po swojej stronie. Następnie na szebecie ponownie wyciągnięto wiosła, wciągnięte tuż przed atakiem. Maurowie wycofali się, aby z dala obejrzeć, jak

raniona śmiertelnie dumna galera tonie powoli w Morzu Śródziemnym.

W tak beznamiętny sposób mógłby to zderzenie dwóch okrętów opisać ktoś obserwujący je ze szczytu przylądka Marzán. Jednak dla tych, którzy znajdowali się w gorącym i cuchnącym brzuchu „San Telmo”, te krótkie minuty poprzedzające śmierć były czasem niewypowiedzianej grozy.

Kruk już podnosił kordelas nad głowę Sancha, kiedy świat rozpadł się na dwie części. Nagle nastąpił ogromny wstrząs i ogłuszający huk, a zielony taran z czubkiem z kutego żelaza w formie sokoła wdarł się pod pokład, zabijając lub okaleczając wszystkich galerników w pierwszych dwóch ławkach na lewej burcie, i wbił się w deski pomostu, unosząc je w górę. Kiedy połączona siła rozpędu obu statków wepchnęła je burtami jeden na drugi, taran wymiótł ciała zabitych na zewnątrz, wrywając warstwę desek pomiędzy dolnym pokładem a zęzą, rozrywając wręgi i grodzie ładowni dziobowej.

Ale to nie był koniec rzezi, ponieważ kiedy burta wrogiej szebeki zderzyła się z burtą galery, wiosła złamały się z trzaskiem, rozsyłając milion kawałków drewna na wszystkie strony. Zniszczone końcówki wiosel wbiły się w ciała wielu galerników. Do Sancha poprzez warstwę ogarniającego go przerażenia dotarło, że gdyby Josué nie wysunął ich wiosła, teraz ich spotkałby ten los. Jednak sprytnie działanie czarnego kupiło im tylko kilka minut życia, bo niemal natychmiast przez ogromną ranę w burcie wyrwaną przez taran wroga, wdarła się wielka fala.

Ryk wody nie zdołał zagłuszyć wrzasków rannych, krzyków paniki skazańców, żądających uwolnienia z łańcuchów, ani rżenia

koni w ładowni na rufie. Wyczuwając niebezpieczeństwo, zwierzęta szaleńczo kopały w grodzie, dodatkowo pogłębiając chaos.

Nadzorca już tego wszystkiego nie zobaczył. Przy pierwszym uderzeniu upadł w tył, pomiędzy ławy galerników. Przytrzymał go tuzin ramion, a ich właściciele zdołali zapomnieć o strachu na tyle, by dokonać zemsty, której od tak dawna pragnęli. Kruk walczył desperacko, usiłując uwolnić dłoń, w której dzierżył kordelas, ale zbyt wiele rąk go trzymało. Pierwsze ugryzienie otrzymał w kark, następne w prawe ramię. Jego ostatnią myślą było, że ból jest znacznie większy, niż sobie wyobrażał.

– Josué! Musimy zerwać łańcuch!

Czarny potrząsnął głową i pochylił się naprzód, próbując złapać za jedno ze złamanych wiosła. Nie zdołał jednak go dosięgnąć, koniec wiosła znajdował się bliżej Sancha. Ten prześlizgnął się pod stojącą przed nim ławką przez maź ekskrementów i przysunął wiosło na tyle blisko, by czarny zdołał je chwycić. Ogromny kawał drewna był niemal wysokości Sancha. Josué włożył go między łańcuch a ławkę. Nadepnął prawą stopą na łańcuch i kazał Sanchowi zrobić to samo, ale chłopak nie mógł go przyciągnąć do siebie. Najpierw Sracz i Trup musieliby się przysunąć o krok do niego i wystarczająco poluznić łańcuch.

– Ej, wy – powiedział, odwracając się do swych podłych towarzyszy z ławki. – Chcecie wyjść z tego cało?

Dwaj więźniowie, którzy wdrapali się na ławkę z twarzami pobladłymi z przerażenia, kiwnęli głowami.

Teraz, kiedy już łańcuch został wystarczająco poluzowany, można było owinąć go wokół wiosła. Josué napał całym ciężarem

na prowizoryczną dźwignię. Wszyscy poczuli, jak obręcze zatapiają im się w kostkach, dociskając ciało, jednak żaden z nich nie zaprotestował. Josué spróbował ponownie i tym razem jedno z ogniw łańcucha rozwarło się odrobinę. Przy trzeciej próbie odkształciło się i wszyscy pociągnęli za łańcuch – zdołali się uwolnić. Sracz i Trup popędzili w stronę zalanego włazu. Woda płynęła już z mniejszą siłą, ale nieprzerwanie, w miarę jak statek pochylał się w stronę dziobu i przekręcał wokół własnej osi, skrzypiąc żałośnie.

Sancho miał już pobiec za nimi, kiedy Josué dotknął jego ramienia i wykonał kilka gestów. Ostatni wyraz w tym zdaniu jeszcze nie istniał w ich języku migowym, jednak chłopak i tak zrozumiał, o co chodzi.

„Nie umiem pływać”.

Sancho wychował się w miejscu oddalonym o pół ligi od rzeki Genil, więc w głowie mu się nie mieściło, że ktoś nie umie pływać. Zaklął w duchu i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc przyjacielowi. Na dziobie zauważył coś przy podeście nadzorcy.

– Nie szkodzi. Chodź za mną.

„Boję się, że utonę”.

– A myślisz, że co się stanie, jeśli zostaniesz tutaj? Chodź za mną!

Licząc na to, że przyjaciel go posłucha, zaczął przeskakiwać z ławki na ławkę, torując sobie drogę pomiędzy rannymi. Teraz galera była już tak przechylona, że kiedy dotarł do ostatniej ławki, musiał przytrzymać się rękoma. Pozostali galernicy, widząc, że oni dwaj są wolni, błagali zdesperowani o pomoc w zerwaniu

łańcuchów. Sancho zawahał się przez chwilę, patrząc na Josuégo, ale zaraz zrozumiał, że jeśli zostaną na statku choć minutę dłużej, pójdą wraz z nim na dno. Może i teraz było już dla nich za późno. Zignorował wołania o pomoc.

Kiedy dotarli w pobliże podestu nadzorcy, Sancho zobaczył, że jest on już zupełnie zalany, a na powierzchni wody chaotycznie pływa ponad setka szczurów. Niektóre z nich, wiedzione instynktem, znalazły drogę po drabince na pokład i Sancho poczuł pokusę, by pójść za ich przykładem, ale zaraz zdał sobie sprawę, że tamtędy już nie wyjdą, bo kłapa wjazdu jest zablokowana.

Nie myśląc wiele, zanurkował pomiędzy szczurami i podpłynął do podestu nadzorcy. Stały tam puste beczki po słodkiej wodzie. Sancho obmacał je w niemal zupełnych ciemnościach, aż w końcu natrafił na węzeł liny łączącej je i mocującej do grodzi. Pociągnął za nią i trzy duże beczki odpadły od pozostałych. Sancho chwycił się jednej z nich, kiedy z dużą siłą ruszyła w górę, na powierzchnię wody.

– Josué! Szybko! – zawołał, podnosząc głowę w stronę przyjaciela, który kurczowo trzymał się jednej z ławek. – Kiedy ci powiem, nabierz powietrza w płuca i skacz na beczkę!

Sancho zbliżył się do burty galery, jak najbliżej wybitego przez taran otworu. Poczuł z obrzydzeniem, jak szczury przebiegają po jego ciele, desperacko próbując dostać się do wyjścia.

– Teraz!

Josué wziął głęboki wdech, szeroko otwierając oczy i nadymając policzki, po czym rzucił się na beczkę – swoim ciężarem wcisnął ją pod wodę. Sancho, zupełnie na ślepo, zaczął machać nogami, aby przemieścić się tam, gdzie – miał nadzieję –

znajduje się otwór. Po jakimś czasie poczuł, że woda wypycha ich ze statku i w górę ku powierzchni morza.

Sancho i Josué wynurzyli się niedaleko galery, trzymając się beczki, parskając i kaszląc. Szczury na szczęście nie wytrzymały pędu beczki pod wodą i od niej odpadły.

Rufa „San Telmo” wznosiła się już nad powierzchnią wody, ukazując tysiące małży przyklejonych do kadłuba. Przednia część statku wciąż się zanurzała w wirze różowawej piany, a Sancho z przerażeniem zdał sobie sprawę, że piana zawdzięcza swój kolor krwi wszystkich tych, którzy zostali rozerwani na strzępy podczas zderzenia. Na pokładzie rozległ się strzał, a potem było słyhać już tylko krzyki umierających i tych, którzy wspinali się na burty i na pionowo wznoszący się pokład, w desperackiej próbie wskoczenia do wody. Wielu marynarzy nie potrafiło pływać, więc spadłszy do wody, szli na dno jak kamienie. Przyszłość tych, którzy potrafili utrzymać się na powierzchni albo zdołali złapać się czegoś, co nie tonęło, nie rysowała się lepiej. Maurowie tak manewrowali statkiem, aby znaleźć się pomiędzy „San Telmo” a plażą i wylawiać rozbitków, i tym sposobem powiększyć swój łup.

Sancho od razu pojął, że nie są bezpieczni. Jedna z szebek już okrążała galerę, a jej załoga spuszczała na wodę szalupy wyposażone w długie żerdzie do wylawiania rozbitków i wszystkiego, co miało jakąś wartość.

– Josué, płyniemy – wyszeptał Sancho. – Musimy spróbować dopłynąć do brzegu, zanim nas dojrzą.

Łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Im bardziej się starali, tym trudniej było sterować beczką. W środku prawie nie było wody, co zwiększało jej wyporność, ale też pozostawiało ją na łasce

prądów, które spychały ją w stronę piratów. Sancho spojrzał w kierunku wybrzeża; zobaczył rafy i skały, równie niebezpieczne jak korsarze. Tylko w jednym miejscu, jakieś sto sążni od punktu, w którym się znajdowali, dostrzegł łagodniejszy fragment wybrzeża z niewielką plażą. To była ich jedyna szansa.

Mocno przebierali nogami, ale beczka wciąż obracała się wokół własnej osi, więc początkowo ciągle płynęli w kółko.

– Do diabła, nic z tego. Tylko się oddalamy od brzegu.

Josué spojrzał na Sancha bardzo poważnie, po czym, pomimo strachu przed zwolnieniem niepewnego chwytu, zdołał wykonać trzy znaki.

„Musisz mnie zostawić”.

Sancho zdał sobie sprawę, że łatwiej byłoby mu dotrzeć do brzegu wpływ, bez beczki, ale Josué nie dałby sobie rady bez niego, a nie zamierzał zostawiać przyjaciela na pastwę losu.

– Nie martw się, przyjacielu. Dopłyniemy tam razem albo razem pójdziemy na dno.

Nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Nabrał powietrza w usta i zanurkował pod beczkę w poszukiwaniu czopu. Musiał powtórzyć tę czynność kilka razy, zanim znalazł to, czego szukał, tuż pod dolną obręczą. Palce mu się kilka razy ześlizgnęły, ale w końcu zdołał mocno złapać czop. Pociągnął i udało mu się go wyjąć – wyslizgnął mu się z ręki i opadł na dno.

– Pomóż mi obrócić beczkę – powiedział do Josuégo, wynurzywszy się.

Zaczęli obracać beczkę, aż otwór o średnicy niewielkiego jabłka znalazł się tuż pod powierzchnią wody. Beczka zaczęła powoli nabierać wody, a Sancho się zastanawiał, w jakim stopniu muszą

ją napełnić, by dało się nią sterować. Doszedł do wniosku, że do połowy.

– Teraz nie możemy wpuścić więcej wody albo koniec wycieczki.

W tym momencie usłyszeli jakieś krzyki i zobaczyli, że załoga jednej z szalup wskazuje na nich i zmierza w ich stronę, aby przeciąć im drogę. Zaczęli mocno machać nogami. Teraz dużo łatwiej mogli kontrolować beczkę i odległość do plaży zaczęła się powoli zmniejszać. Sancho już widział, jak stawia stopy na piasku, kiedy echo wystrzału odbiło się od ściany skalnej. Jeden z Maurów stał na dziobie łodzi z muszkietem w rękach. Pierwszy strzał chybił, ale wróg już ponownie nabijał broń.

– Szybko, Josué!

Druga kula podniosła niewielką fontannę wody na lewo od nich. Sanchowi, z każdą chwilą bardziej świadomemu ciężaru kajdan na nogach, strach dodał sił. Kiedy już dotarli w pobliże brzegu, prąd zaczął ich spychać w stronę raf po lewej stronie.

Sancho przestał sobie wyobrażać piasek plaży pod stopami – teraz widział ciała, Josuégo i swoje, zmasakrowane przez ostre skały wybrzeża.

Maur w szalupie zrezygnował już z celowania w głowy uciekinierów, które unosiły się i opadały z falami, i obrał sobie dużo łatwiejszy cel. Stemplem ubił ładunek w lufie muszkietu, wsadził kulę i podniósł broń do ramienia. Odetchnął głęboko, odczekał, aż osłabnie nieco kołysanie szalupy, i pociągnął za spust.

Ciężka kula dosięgła beczki i roztrzaskała drewno. Sancho i Josué próbowali wciąż się jej trzymać, jednak dziura, którą wyrwała kula, była zbyt duża, i beczka w kilka chwil zaczęła

tonać. Josué otworzył szeroko oczy i zaczął w panice uderzać ramionami o powierzchnię wody.

„Niech to szlag – pomyślał Sancho – utoniemy o dwadzieścia kroków od brzegu”.

– Spokojnie! Popatrz na mnie! Popatrz na mnie!

Josué był tak zdenerwowany, że nie słuchał Sancha. Ten oparł dłoń na jego ramieniu, po czym drugą dłonią uderzył go w twarz. Poczul się, jakby spoliczkował kamień, ale zadziałało, Josué trochę się uspokoił i zwrócił uwagę na przyjaciela.

– Ruszaj stopami tak jak przedtem. Tak! A teraz rękoma, tak i tak.

W końcu Josué był w stanie utrzymać się na powierzchni wody na tyle, aby płynąć za Sanchem. Tymczasem łódź przestała ich ścigać, z pewnością z obawy, że ktoś na lądzie usłyszał strzały i przybiegnie Hiszpanom na pomoc. Już bez beczki Sancho i Josué zdołali w ciągu kilku minut dotrzeć do miejsca, w którym nogami sięgali dna. Potykając się i przewracając, zupełnie wykończeni, dotarli do brzegu i padli na piasek.

XXXV

Sancho nie wiedział, ile czasu leżał na plaży, wykończony jak jeszcze nigdy w życiu. Musiało to trwać długo, w którymś momencie musiał zasnąć albo stracić przytomność, bo kiedy się obudził, już zmierzchało. Podczas krótkich przeblysków świadomości myślał, że po raz pierwszy od wielu miesięcy widzi nad swoją głową niebo. Rozciągnięty na piasku, w zasięgu wzroku miał tylko kilka kamieni, jakiś krzew i dziwnego kraba, który – ciągnąc za sobą muszlę – próbował wdrapać się na kamień i spadał z niego raz za razem. Przyglądał się karmazynowemu skorupiakowi pokrytemu maleńkimi ziarenkami piasku i zachwycał się istnieniem czegoś tak pięknego. Po tak długim czasie w ciemnościach pod pokładem świat zdawał mu się teraz dziwnym i jasnym miejscem, przesyconym żywymi barwami i pełnym ostrych konturów. Pomyślał też o tym, co uznał za najcenniejsze i czego najbardziej mu brakowało podczas bolesnej niewoli.

O ciszy.

Zamknął oczy, pragnąc, by ta chwila trwała wiecznie, i czując, jak ogarnia go błogi spokój. I wtedy rzeczywistość ponownie

wdarła się do jego świadomości, i to w postaci najbardziej znienawidzonych głosów, głosów, których miał nadzieję już nigdy nie usłyszeć.

– Mówię ci, że musimy go rozebrać, zanim go ukatrupimy. Nie chcę, żeby ubranie pobrudziło się krwią.

– A jak to zrobimy?

– Dużym kamieniem. Rozbijemy mu głowę i już, problem rozwiązany. Idź i poszukaj kamienia.

– Dlaczego to ja mam iść szukać?

– A rąbniesz go, Sracz? Czy nie? No pewnie, że nie. Więc rób, co mówię i idź poszukać dużego kamienia.

– Moglibyśmy go utopić.

– Co to, to nie... Mam ochotę własnymi rękami wykończyć jednego z tych wieprzy.

Sancho wyjrzał znad wydmy i jego obawy się potwierdziły. Na drugą stronę plaży zdołali dotrzeć, diabli wiedzą jak, jego towarzysze z ławki. Nie wyglądało na to, aby ktoś ich ścigał, morze było puste. Wrogie szebeki zniknęły już za horyzontem, a „San Telmo” pod wodą. Jedynymi śladami po bitwie, która się rozegrała kilka godzin temu, były resztki drewna i lin wyrzucone na brzeg przez przyływ, który już się zakończył. I jeden człowiek ledwo ruszający rękoma, leżący na wznak na piasku.

Chłopak zacisnął zęby i odetchnął głęboko. Nie mógł tak siedzieć, podczas gdy te kanalie wykańczają bezbronno człowieka. Wątpił, aby zdołał stawić czoło im obu bez niczyjej pomocy. Obaj skazańcy byli nadzy, tak jak i on, i nieuzbrojeni. Sancho poszukał wzrokiem czegoś, co mógłby wykorzystać i na skraju wydmy zauważył grubą gałąź, długą na cztery dłonie.

Jednak aby jej dosięgnąć, musiał opuścić swą kryjówkę i zdradzić swoją obecność. Jeżeli nie dotrze do gałęzi pierwszy i nie zdoła się obronić – i jego rzucają na ziemię. A że było ich dwóch, jeden będzie mógł go przytrzymać, a drugi go zabije. Zrobią z nim to samo, co chcą zrobić z człowiekiem leżącym na piasku.

„Albo wymyślę coś jeszcze gorszego”, pomyślał Sancho, przypominając sobie pierwszą noc na galerach, kiedy Trup rzucił się na niego, dysząc mu do ucha swoim cuchnącym oddechem. Tylko szybka interwencja Josuégo uchroniła Sancha przed chucią Trupa.

Przypomniawszy sobie o przyjacielu, chłopak odwrócił się, lecz w miejscu, w którym zostawił Josuégo kilka godzin wcześniej, zobaczył tylko ogromne wgłębienie w piasku. Sancho doszedł do wniosku, że uciekł, kiedy on sam spał. To go zasmuciło, bo – chociaż zdecydowali, że powinni uciekać osobno – chciał się z nim pożegnać. Teraz jednak nie było czasu, by o tym rozmyślać, a przynajmniej nie miał go człowiek na piasku. Sracz już się zbliżał, niosąc w dwóch rękach kamień, pod którego ciężarem aż się ugiął. Sancho wykorzystał chwilę, kiedy Trup odwrócił się w jego stronę, i poczołgał się na szczyt wydmy. Sracz, zajęty kamieniem, nie zauważył go aż do chwili, gdy Sancho chwycił gałąź w dłonie. Trup, zaalarmowany krzykiem kompana, odwrócił się. W jego oczach pojawił się złośliwy błysk.

– Nie ruszaj się – rzekł Sancho.

Wstał i zrobił kilka kroków w stronę mężczyzny leżącego na piasku. Trup też podszedł, z jedną ręką wyciągniętą w stronę Sancha, a drugą ukrytą za plecami.

– Proszę proszę, a więc nasz żółtodziób potrafi pływać. A gdzie twój czarnuszek?

– Niedaleko – odrzekł Sancho, zagryzając wargę. – Nie ruszaj się, Trup.

– Bo co? Przyłożysz mi tą wielką gałęzią? – zrobił kolejny krok w stronę Sancha. – Tak bardzo chcesz bronić tego wieprza? Mógłbyś przecież przyłączyć się do nas i rozwalić mu głowę.

Sancho również zrobił krok naprzód i wtedy zobaczył twarz mężczyzny, który leżał na ziemi, przyglądając się tej scenie szeroko otwartymi ze strachu oczami. Od razu go rozpoznał, pomimo krwi pokrywającej jedną stronę jego twarzy.

To był bosman.

Sancho jeszcze mocniej zacisnął palce na gałęzi, zauważając, że ciemnobrązowa kora zaczyna już pod wpływem wilgoci odchodzić od drewna. Ten mężczyzna leżący na ziemi stanął w jego obronie, kiedy nikt inny tego nie zrobił. Postawił się Krukowi, dzięki czemu ten nie zatłukł Sancha batem tego dnia, kiedy Josué złamał wiosło.

– Jeżeli chcecie zabić jego, najpierw będziecie musieli zabić mnie – powiedział Sancho z lekkim drżeniem wysuszonego gardła.

– Nie ma sprawy, gołowąsie.

Trup zrobił krok w prawą stronę, próbując okrążyć Sancha. Ten również się poruszył. Nie chciał stracić z oczu drugiego ze skazańców, który patrzył na tę potyczkę oniemiały, nie wypuszczając kamienia z rąk.

– A ty na co czekasz? Zajdź go od tyłu, idioto!

Sracz w końcu zareagował, upuszczając swój ładunek i zbliżając się do nich. Sancho popełnił błąd i odwrócił się w stronę tego nowego zagrożenia. Trup wykorzystał to, aby rzucić się w jego stronę. Wyjął zza pleców dłoń, w której trzymał ostry kawałek drewna, i wycelował go w zębra Sancha. Chłopak zrobił krok w tył, cudem unikając ciosu. Ostry szpic przeciął powietrze o palec od skóry chłopaka. Sancho wyrzucił ramię naprzód, ale minął twarz Trupa w odległości mniejszej niż szerokość dłoni.

– To najlepsze, co potrafisz? – zakpił z niego Trup, patrząc za jego plecy.

„Próbuje odwrócić moją uwagę” – pomyślał Sancho, robiąc krok w lewo. Teraz już nie widział Sracza, który w każdej chwili mógł go zaatakować od tyłu, co oznaczałoby jego koniec.

– Teraz – wrzasnął Trup, ponownie ruszając na Sancha.

Chłopak pochylił się i trzymając gałąź obiema rękami, jej drugim końcem uderzył Trupa w brzuch. Siła Sancha w połączeniu z pędem galernika sprawiły, że Trup złożył się w pół, próbując złapać oddech. W tym momencie Sancho zauważył dłonie Sracza, który usiłował złapać go od tyłu. Skulił ramiona, aby zrobić unik. Jego napastnik zamierzał przeskoczyć nad bosmanem, ale ranny przytrzymał go za kostkę i drugi z galerników upadł na piach. Sancho nie miał nawet czasu, by się odwrócić, wcisnął obie stopy w ziemię, podniósł gałąź i spuścił ją na głowę Trupa. Ten dochodził właśnie do siebie po ciosie otrzymanym w brzuch i już podnosił swój szpikulec, aby wbić go w Sancha. Gałąź trafiła go prosto w twarz. Rozległ się trzask i trysnęła krew – gałąź złamała mu nos i wybiła kilka zębów. Trupowi oczy uciekły do góry i upadł na kolana.

– Ty – rzekł Sancho, wskazując na Sracza, który patrzył na niego z ziemi ze strachem na twarzy. – Zabieraj to ścierwo i wynoście się stąd.

Galernik podniósł się powoli. Chłopak cofnął się, podejrzewając jakiś podstęp, bo Sracz wbił wzrok w jakiś punkt za jego plecami. Sancho odwrócił nieco głowę i za sobą zobaczył Josuégo. Czarny stanął obok Sancha ze skrzyżowanymi ramionami. Tego już było za wiele dla dwóch skazańców. Sracz pomógł Trupowi wstać i obaj, kulejąc, oddalili się. Josué ruszył za nimi, aby się upewnić, że rzeczywiście odchodzą.

Sancho tymczasem ukląkł obok bosmana. Marynarz, leżąc na piasku, wyglądał na jeszcze młodszego od niego, chociaż miał jakieś cztery czy pięć lat więcej. Wyciągnął rękę, szukając dłoni Sancha, a ten wyrzucił gałąź, aby ją chwycić. Słaby uścisk bosmana wzruszył go.

– Dziękuję za waszą pomoc.

– To wy pierwsi mi pomogliście.

Bosman nie wiedział początkowo, do czego odnosi się Sancho, aż w jego gasnącym spojrzeniu pojawił się przebłysk zrozumienia.

– Ach, tak. Chłopak, który postawił się Krukowi. Byliście tego dnia bardzo odważni. Obawiam się, że bardziej niż ja. Gdybym ja postawił się kapitanowi...

– Nie możecie o tym teraz myśleć. Musimy was przenieść w bezpieczne miejsce.

– Ach, panie. Tylu zabitych... – zaczął bosman. Przerwał mu atak kaszlu. Sancho zobaczył, że jego zęby są zabarwione krwią i zmartwiony zmarszczył brwi.

– Jesteście ranni?

– Kiedy skakałem ze statku, dostałem kulę w plecy. Ledwie zdołałem przytrzymać się kawałka drewna... Czy jeszcze ktoś przeżył?

– Niewielu, panie, ale wszystkich zabrali Maurowie. Jest nas tu tylko trzech: Josué, wy i ja.

Marynarz przez chwilę milczał, zamknąwszy oczy, a jego oddech stawał się coraz płytszy.

– Jak się nazywacie?

– Sancho, panie.

– Pomóżcie mi, Sancho. Podnieście mnie. Chcę po raz ostatni zobaczyć morze.

Sancho ostrożnie podtrzymywał bosmana, aby nie upadł. Na rękach zauważył gęstą ciecz i zrozumiał, że plecy marynarza są pokryte krwią. Krew wsiąkała w piasek pod nim, dlatego też galernicy sądzili, że jego ubranie będzie czyste.

Marynarz przez chwilę wpatrywał się w powierzchnię wody w miejscu, gdzie zatonała galera. Następnie wznosił oczy ku niebu, na którym pojawiały się już pierwsze gwiazdy. Ledwie mógł utrzymać zwróconą ku górze twarz. Sancho musiał mu ją podtrzymać.

– Tam są Plejady, Sancho. A za nimi Aldebaran, „ta, która następuje”. Mówią, że jej światło utkane jest z dusz marynarzy, którzy się zagubili, i że teraz stamtąd nam wskazują drogę.

Sancho skinął głową, patrząc za spojrzeniem bosmana w stronę grupy gwiazd wynurzających się na wschodzie.

– Zbliżcie się jeszcze trochę – wyszeptał bosman. – Muszę was o coś prosić.

Chłopak zbliżył ucho do ust mężczyzny i słuchał przez kilka minut. Kiedy szept ustał, głowa bosmana opadła na ramię Sancha. Chłopak delikatnie położył ciało bosmana i zamknął mu powieki.

Kiedy wrócił Josué, zobaczył, że Sancho wyciera zaczerwienione oczy. Przenieśli ciało bosmana nieco wyżej, gdzie nie sięgał przypływ. Wykopali dół, Sancho za pomocą gałęzi, a Josué swoimi gigantycznymi dłońmi. Księżyc był wysoko na niebie, kiedy złożyli bosmana w tym prowizorycznym grobie. Sancho już miał zacząć zasypywać go ziemią, kiedy Josué go powstrzymał.

„Musisz zmówić za niego modlitwę”.

– Nigdy za bardzo nie wierzyłem w te sprawy – rzekł Sancho. – Gdzież był Bóg, kiedy niewierni zaatakowali „San Telmo”?

„Ja się modliłem i zobacz, gdzie się znaleźliśmy”.

– Inni galernicy też się modlili i zobacz, gdzie oni są. Może ty zmówisz modlitwę?

„Ja nie potrafię mówić. Ty owszem”.

– Ale na co się ona zda, jeśli nie będzie płynąć z mojego serca?

Josué milczał przez chwilę, po czym wzruszył ramionami i wskazał na wnętrze grobu.

„Jemu jest obojętne, czy ty wierzysz czy nie”.

Sancho opuścił głowę i spełnił życzenie Josuégo. Przyjaciel już na pokładzie galery dawał dowody swojej głębokiej wiary, co Sanchowi trudno było pojąć, biorąc pod uwagę to cuchnące piekło, w jakim żyli na pokładzie „San Telmo”.

Przez kilka minut Sancho zegnał bosmana, recytując słowa, których nauczył się w zupełnie innym świecie, ale ich nie wymawiał już od kilku lat. Wbrew jego przewidywaniom wcale nie

brzmiały pusto. A potem bosman został sam, mając za jedyne towarzystwo szum fal i nieboskłon.

Kiedy już zasypali grób, spojrzeli po sobie, nie wiedząc dokładnie, jaki ma być ich kolejny krok.

– Gdzie, u diabła, się podziewałeś? – zapytał Sancho.

„Poszedłem rozejrzeć się po okolicy. Chciałem wiedzieć, gdzie jesteście. Czy jest w pobliżu jakaś wioska”.

– Przydałaby mi się twoja pomoc z tymi... – wyrzucał mu chłopak, przypominając sobie, jak niewiele brakowało, by skończył z rozbitą głową, kiedy stanął w obronie bosmana.

„Wybacz. Nie martw się. Już sobie poszli i więcej ich nie zobaczymy. Ale muszę ci coś powiedzieć”.

Sancho patrzył na Josuégo zaintrygowany. W świetle księżyca twarz czarnego wyglądała jak wykuta z tej samej skały, która nadawała kształt zatoce. Było w niej coś innego, coś, co nie pasowało do stanu rezygnacji i fatalizmu, które go zawsze cechowały, a przynajmniej od chwili, gdy się poznali. Była w Josué jakiejś ciemna i złożona strona, która ujawniała się tylko momentami, jak na przykład wtedy, gdy uratował Sancha przed Trupem.

„Nie mogę nikogo zabić”.

– Co to znaczy? – odrzekł Sancho, nie rozumiejąc.

„To przymierze pomiędzy Bogiem a mną. Musisz o tym wiedzieć, skoro teraz pójdę z tobą”.

– Nie musisz tego robić. Jesteś wolny.

„Jestem niewolnikiem. Mam to wypalone na twarzy. Sam, bez ciebie, długo nie przetrwam”.

Sancho od razu pojął, że gdyby teraz opuścił przyjaciela, byłby to dla niego wyrok śmierci. Bez dokumentu poświadczającego, że odzyskał wolność, Josué wpadłby w ręce wymiaru sprawiedliwości, gdy tylko postawiłby stopę w jakiejś wiosce. I znów wysłano by go na galery albo dostałby baty za ucieczkę. To nie było wyjście.

„Poza tym uratowałeś mi życie” – kontynuował Josué. Jego ręce pracowały teraz wolniej niż przedtem, jakby chciał nadać większe znaczenie temu, co mówił. – „Według zasad panujących wśród mojego ludu jesteśmy teraz braćmi. Pójdę za tobą, gdziekolwiek się udasz”.

Sancho, oszołomiony tą manifestacją uczuć, pochylił głowę. Słowa Josuégo poruszyły go, co jeszcze bardziej utrudniało sytuację.

– Ja nawet nie wiem, co teraz zrobię, jak pokieruję swoim życiem. Ale jedna z tych dróg poprowadzi... – nie potrafił tego powiedzieć na głos, więc użył palców. Pokazywał znaki tak powoli i dokładnie jak Josué, kiedy przyrzekał mu lojalność: – „Będę odbierał życie. Co najmniej jedno, ale pewnie więcej”.

Josué skinął głową i wzruszył ramionami, jakby to było dla niego coś oczywistego od dłuższego czasu.

„Będę cię ochraniał i pomagał ci. Jeżeli to będzie konieczne, oddam za ciebie życie. Ale te dłonie nie będą zabijać. Taka jest wola Boga. Ty musisz wypełnić to, co tobie pisane”.

Sancho odetchnął głęboko i zamknął oczy, próbując wchłonąć wszystko to, co go otaczało, tak jak go nauczył Bartolo. Podniosła się lekka bryza, która napełniła jego płuca aromatem krzewów czystka. Gdzieś w krzakach grały cykady. Noc była spokojna,

doskonała, jakby cały świat wstrzymał oddech w oczekiwaniu na jego decyzję.

Wymiar sprawiedliwości upomni się o nich już wkrótce, kiedy tylko morze zacznie wyrzucać na brzeg ciała zabitych, lub kiedy galera nie zawinie do żadnego portu. Rybacy znajdą resztki wraku, na powierzchnię zaczną wypływać beczki z wypalonym napisem „San Telmo”. To może potrwać kilka dni, może tydzień, ale prędzej czy później mieszkańcy tego regionu zaczną się rozglądać za zbiegłymi więźniami.

Mogliby zacząć nowe życie, uciec do Kastylii albo na północ. Podróż będzie trudna, szczególnie na początku, bo przecież nie mają niczego. Obaj są zupełnie nadzy, nie mają pieniędzy ani przyjaciół, do których mogliby się zwrócić. Ale to może również oznaczać nowy początek.

Tak byłoby lepiej dla Josuégo. Czarny udowodnił, że jest dobrym i inteligentnym człowiekiem. Właśnie oddał swój los w ręce Sancha. Czy chłopak miał prawo zaangażować go w swoje sprawy, wykorzystać przy realizacji swoich szalonych planów stworzonych pod pokładem, wciągnąć w bitwę, której nie da się wygrać, zabrać do miasta, w którym ktoś może go rozpoznać i ponownie przykuć do wiosła? Teraz, gdy uwolnią się od tych ciężkich kajdan na kostkach, mogą zacząć od nowa, otworzyć księgę swojego życia na czystej karcie. Mogliby zdobyć ubranie, potem pieniądze, nowe nazwiska, odczekać odpowiedni czas, aby uznano ich za martwych. I wtedy w końcu zrealizować jego marzenie, przemierzyć ocean i dotrzeć do Indii Zachodnich.

Poruszył lekko prawą stopą. Zardzewiała obręcz zadzwoniła. Westchnął głęboko. Mógł pozbyć się kajdan, ale nigdy nie

pozbędzie się wspomnień, które trzymały go jak ciężkie ogniwa łańcucha. Drapieżny uśmiech Monipodia, okrutne odgłosy bicia Bartola, spojrzenie Clary, kiedy strażę wyprowadzały go z domu Monardesa.

Zwrócił się do Josuégo.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? Albo gdzie się znajduje najbliższa wioska?

„O zmierzchu widziałem dym z tamtej strony” – odrzekł czarny, wskazując na zachód, ponad przylądkiem. Daleko.

– W takim razie chodźmy. Musimy ukraść ubranie i żywność.

„A potem?”.

– Najpierw spełnimy ostatnie życzenie bosmana. A potem pomścimy jeszcze jednego zmarłego.

XXXVI

Joachim Dreyer przeciągnął się, słuchając pokrzepiającego trzasku kręgów szyjnych. Przekroczył już pięćdziesiątkę, ale kiedy rozciągnął ramiona, tkanina koszuli nocnej zatrzeszczała w proteście. W tych mięśniach wciąż drzemała wielka siła.

Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Nie tracił czasu na śniadanie, lubił rozpoczynać pracę jak najwcześniej, cieszyć się chłodem świtu. Zrzucił z siebie koszulę i stojąc w samych kalesonach, zanurzył głowę w miednicy z wodą, aby znikło zamglone spojrzenie i nozdrza otworzyły się na zapachy wlosia, saletry i siarki. Z kroplami wody spływającymi po potężnym torsie, Dreyer wszedł do kuźni. Ściany zamykały ją tylko z trzech stron. Tam, gdzie powinna stać czwarta, niewielki warsztat otwierał się na wzgórze, jak punkt obserwacyjny. Teraz widać było tylko ciemność, ale już za godzinę rozpocznie się spektakl.

Dreyer nie chciał go stracić, więc poruszał się szybko. Rzucił okiem na kosz na drewno i stwierdził, że jest niemal pusty, więc ponownie wyszedł i porąbał pniaki drzewa oliwnego. Drewno było stare i suche. Ułożył je w stos na palenisku, a na górze umieścił grubą na trzy palce warstwę węgla drzewnego. Wziął w rękę

krzemień i krzesiwo, zapalił pochodnię i podłożył ogień w kilku miejscach paleniska, tak aby cała górna warstwa rozpałki się zapaliła.

Odczekał chwilę, aby magia zadziałała, zdejmując z haka na ścianie swój gruby skórzany fartuch i rękawice. Skóra fartucha, niegdyś brązowa, teraz była czarno-szara. Liczne dziury wskazywały miejsca, gdzie skóra Dreyera uniknęła iskier odskakujących z paleniska i odłamków czerwonego metalu odrywających się pod ciężarem ogromnego młota. Jego przedramiona, tam gdzie nie sięgał ani fartuch, ani rękawice, były poznaczone setkami białych punkcików. Kowal przeklinał, kiedy się sparzył, ale gdy szedł do karczmy, lubił podwijać rękawy i dumnie prezentować swoje blizny.

Co nie znaczy, że często tam bywał. Choć mieszkał w Castilleja de la Cuesta już od ponad piętnastu lat, wciąż był tutaj obcy. Wioska składała się z niewielu domostw rozrzuconych na wzgórzu wznoszącym się na północny wschód od Sewilli. Dreyer trafił tu, uciekając przed przeszłością, o której wolałby zapomnieć, ale nie mógł, bo prześladowała go każdego dnia. Tylko wtedy, gdy wspomnienia za bardzo go osaczały, ulegał pokusie i udawał się do lokalnego „wodopoju”, gdzie mieszkańcy wioski odnosili się do niego może nie serdecznie, ale z szacunkiem. Nie na darmo był szanowanym miecznikarzem. Często odwiedzali go szlachcice i żołnierze potrzebujący może nie efektownej, ale skutecznej broni. Takiej, której się nie pokazuje, lecz którą się zabija.

Zlecenie, nad którym pracował przez ostateczne dwa tygodnie, było szczególnie trudne ze względu na wysoki wzrost klienta. „Coś niespotykanego w tym kraju pełnym knypków”, pomyślał Dreyer,

po raz pierwszy pociągając za łańcuch miecha. Podmuchał powietrza rozżarzył węgle na czerwono. Kowal odczekał jedno *Ojciec nasz*, aby nie zdusić płomienia, po czym zaczął miarowo pociągać za łańcuch. Robił tak przez kilka minut, aż do uzyskania warstwy rozpalonej do białości.

Klinga leżała owinięta w ściereczki dla ochrony przed wilgocią. Na tym etapie procesu nawet najmniejsza zmiana mogłaby wpłynąć na metal. Dreyer ostrożnie zważył klingę w dłoni i stłumił przekleństwo. Wyczuł lekką niestabilność, która może spowodować problemy podczas hartowania. Już dwa razy kuł klingę i nie mógł tego zrobić po raz trzeci bez ryzyka, że stanie się zbyt miękka.

Suma długości dobrej klingi i ramienia właściciela broni musi być równa jego wzrostowi. Stanowiło to problem w przypadku tych ludzi, którzy mieli ramiona i nogi tak długie, jak jego klient, wysoki kapitan statku. Przypominał raczej mężczyzn z rodzinnych stron Dreyera, z Flandrii, a nie z jego nowej ojczyzny.

„Może matka za plecami męża położyła się z jakimś dobrym i uczciwym Flamandem. To się często zdarza w przypadku ludzi morza. Jeśli tak było, to jej się udało, bo potomek miał ciemne włosy i oliwkową cerę”.

Ułożył na płonących węglach warstwę popiołu, aby zapobiec pęcherzom powstającym na powierzchni metalu wskutek bezpośredniego kontaktu z ogniem. Albo, co gorsza, czarnemu nalotowi często spotykanemu na broni wykonanej przez kiepskich kowali, którego nie można było usunąć bez względu na to, jak długo się polerowało klingę.

„Po prawdzie mój Joaquín wyszedł ciemnowłosy i niziutki jak jego matka, a przecież nie zostawiłem jej ani na chwilę” – pomyślał Dreyer, uśmiechając się smutno i z największą ostrożnością układając klingę na warstwie popiołu. Jego żona zmarła wiele lat temu, a syn wybrał życie na morzu. Wróci za kilka miesięcy, kiedy zima uniemożliwi działania wojenne, i wtedy usiądą razem przy kominku i będą w ciszy popijać wino i grać w szachy, a wiatr będzie uderzał o okiennice. To, co czuł w takich chwilach, to nie było szczęście – nie doświadczył go od czasu śmierci małżonki i sądził, że już nigdy do niego nie przyjdzie – ale spokój i pogoda ducha, które wtedy go ogarniały, były wystarczająco podobne do szczęścia, aby różnica nie miała wielkiego znaczenia.

W ciągu kilku minut metal pod wpływem ciepła zaczął nabierać delikatnej poświaty. Ale Dreyer już na niego nie patrzył, tylko obserwował dzieło większego niż on Kowala. Za otwartym bokiem warsztatu rozpoczął się właśnie spektakl, który Dreyer podziwiał każdego ranka. Słońce już się pojawiło nad linią horyzontu. Na jego tle odcinała się sylwetka klasztoru św. Trójcy. Powoli, niemal leniwie, światło rozlało się na dolinę Betisu, zabarwiając na złoto mury miejskie Sewilli, a tysiące jej dachów pokrywając szkarłatem. Następnie przesunęło się w stronę Castillechy, budząc po drodze La Rinconadę i Santiponce. Tylko musnęło ruiny Itáliki – miasta, którego Rzymianie bronili z gladiusami w dłoni, bronią, która zabrała najwięcej istnień w historii ludzkości – po czym dosięgło szczytu wzgórza i rzuciło pierwsze promienie do wnętrza kuźni. Tam je przywitał Dreyer, ze swoim

dziełem uniesionym ku górze, parującym, z blaskiem jego krawędzi rywalizującym ze słońcem.

Przez chwilę kowal marzył, by starożytni mieli rację i by miecze mogły chłonać magię żywiołów. Wielu było przed nim takich, którzy kuli swe wyroby przy pełni księżyca lub zawijali je w świeżą trawę zerwaną o zmierzchu. Dreyer oszukiwał sam siebie, myśląc, że jest człowiekiem pragmatycznym, wierzącym bardziej w siarkę, którą posypywał metal rozgrzany do czerwoności, niż w mistyczne światła. Mimo wszystko przeżegnał się trzy razy, zanim ponownie umieścił klingę na kowadle. Musiał skorygować tę niestabilność, której nabrała z powodu swojej długości. Trzeba to było zrobić jednym uderzeniem.

Podniósł młot, również skąpany w słońcu, z grubą i tępą głową wibrującą w napiętych dłoniach kowala. Utkwił wzrok w punkcie, który chciał poprawić, i nakazał narzędziu, by tam właśnie się skierowało, tam i nigdzie indziej. Na chwilę jego ramię odmłodziło o piętnaście, a może i dwadzieścia lat. Nie było w nim zwątpienia ani wahania; młot spadł, kreśląc idealny łuk w powietrzu. Rozległ się głośny szczęk – przetoczył się przez wioskę, łącząc się z paniem kogutów.

Nie było chwili do stracenia. Dreyer wziął szczypce i zanurzył klingę w basenie z wodą. Na powierzchni dał się zauważyć błysk i uniosły się kłęby pary, ale Dreyer nie czekał, tylko od razu wyjął rapier z wody. Przy tym pierwszym zanurzeniu oddał on dużą część ciepła, ale teraz kowal musiał zastosować swoją specjalną metodę, która nadawała jego wyrobom szczególną elastyczność, a z niego uczyniła wielkiego mistrza. Rzucił szybkie spojrzenie przez ramię, zazdrośnie strzegąc swej tajemnicy, po czym

zanurzył rapier w wiadrze pod basenem z wodą. Wiadro pełne oślego moczu odgrywało najważniejszą rolę w całym procesie. Z jakiegoś powodu mocz musiał pochodzić od samicy, najlepiej ciężarnej. Dreyer zapłacił sto escudo staremu rzemieślnikowi tolekańskiemu za tę i inne tajemnice zawodowe dwie dekady temu, kiedy pierwszy etap jego życia dobiegł końca i zdecydował się zmienić zajęcie. To, co robił teraz, nie było tak odległe od dawnego zawodu, a sekret, za który dobrze zapłacił, pozwolił mu zarobić na życie.

Klinga syknęła w kontakcie z uryną, a żółtawy obłoczek wycisnął łzy z oczu kowala. Zapach był obrzydliwy, ale mistrz nie odwrócił twarzy. Po minucie wyjął ostrze i zanurzył je jeszcze raz, tym razem w kadzi wypełnionej olejem.

Wrócił do domu i poszedł do kuchni. Wziął chleb, kielbasę i ser, i położył je ostrożnie na ściereczce. Do tego późne jabłko, nieco pomarszczone, ale bardzo słodkie. Złapał ściereczkę za cztery rogi, naznaczając je sadzą, którą miał na palcach, i poszedł do kuźni. Podłoga niemal sięgała zbocza. Dreyer poświęcił następną godzinę na spokojne śniadanie. Pociągał wino z bukłaka, siedząc z nogami zwisającymi nad krzewem rozmarynu.

Smakując jedzenie, zaczął szlifować klingę. Najpierw startł z niej olej, używając tej samej ściereczki, w której przyniósł żywność z kuchni, a następnie wziął szmergiel i zajął się krawędziami. Tam, gdzie jego dłoń napotkała choćby najmniejsze odchylenie lub opór, przeciągał raz i drugi. Szczególnie skupił się na sztychu, który następnego dnia po raz ostatni rozgrzeje w kuźni, aby nadać mu szczególną twardość, wsuwając go bezpośrednio pomiędzy węgle na dwa kreda i trzy zdrowaśki.

Skończył polerować metal szczotką wykonaną z szorstkiego włosia dzika i zawahał się przed przeprowadzeniem ostatecznego testu. Teraz się dowie, czy uderzenie, które wykonał jakiś czas temu, było celne. Podtrzymał klingę osiem palców od trzonu. Metal zachwiał się nieco, po czym zatrzymał się w idealnej równowadze. Trzeba będzie jeszcze powtórzyć sprawdzian w połowie tej odległości już po zamontowaniu rękojeści.

Dreyer uśmiechnął się z dumą rzemieślnika zadowolonego, że pomimo trudności stworzył coś pięknego. Trzymał klingę przed twarzą, czubkiem skierowaną w stronę doliny, aby sprawdzić, czy jest idealnie prosta, kiedy na końcu drogi pojawiły się dwie postacie.

Początkowo nie widział ich zbyt dobrze, ponieważ słońce było jeszcze bardzo nisko, ale nie wyglądały znajomo. Zbliżały się pieszo i nie było widać, czy coś niosą w ręku lub na plecach. Byli to dwaj mężczyźni, to było oczywiste, sądząc po sposobie poruszania się, ale poza tym przez kolejne minuty, aż do czasu gdy nieznajomi podeszli bliżej, nie mógł dostrzec nic więcej. Z początku wydało mu się, że to mężczyzna i chłopiec, ale zaraz się zorientował, że chłopiec jest dosyć wysoki, a mężczyzna to ogromny Murzyn. Na chwilę stracił ich z oczu, gdy znaleźli się za sadem pomarańczowym, ale kiedy ponownie ich zobaczył, było już jasne, że to obcy. Znał z widzenia wszystkich mieszkańców Castillechy i większość domokrażców oraz kupców, którzy się tutaj zapuszczali. Trakt Królewski wił się u stóp wzgórza, więc nikt nie docierał do wioski przypadkiem.

Doszedłszy do rozwidlenia, nieznajomi zawahali się na chwilę. Chłopak wspiął się na skały i podniósł dłoń, aby osłonić oczy

przed słońcem i rozejrzeć się po okolicy. Kiedy jego spojrzenie natrafiło na kuźnię, zawołał do swojego towarzysza i wskazał w jej kierunku.

Dreyer się zdziwił. Jego dom stał w najwyższym punkcie, o dwa rzuty kamieniem od miasteczka, więc ktokolwiek wstępował na niezbyt wyraźną ścieżkę biegnącą w stronę kuźni, musiał szukać właśnie jego. W miarę jak się zbliżali, zauważył, że mieli na sobie same szmaty. Nie byli to więc klienci, to pewne. Nie wyglądali na niebezpiecznych, a i w tych łachmanach nie mogli ukryć broni. Na wszelki wypadek, wychodząc im na spotkanie, wziął do ręki młotek.

Kiedy minęli ostatni zakręt na drodze, Dreyer krzyknął do nich:

– Kim jesteście i czego chcecie?

Nieznajomi zatrzymali się. Chłopak spojrzał na kowala.

Znajdowali się o trzydzieści metrów od niego, ale Dreyer i tak zauważył jego poważny wyraz twarzy.

– Jestem Sancho z Écichy, a to Josué. Czy wy jesteście kowal Dreyer, panie?

– Tak się nazywam – odrzekł ostrożnie Dreyer.

– Przynosimy wieści, mistrzu Dreyer, chcielibyśmy podejść nieco bliżej.

Kowal przyjrzał się uważnie swoim gościom. Obu dobrze patrzyło z oczu, ale on był zbyt stary, by polegać tylko na tym. Mieli bardzo krótkie włosy, skórę spaloną słońcem i obaj owinęli stopy brudnymi szmatami do połowy łydki, pomimo upału panującego o tej porze roku. Czarny miał na policzku wypalony znak niewolnictwa. Musieli być bandytami, zbiegłymi

przestępcami lub galernikami. Ludźmi niebezpiecznymi i zdesperowanymi.

– Możecie i stamtąd powiedzieć mi to, co macie do powiedzenia – odrzekł, potrząsając młotkiem.

Chłopak zawahał się i spojrzał na swojego towarzysza, a ten skinął głową. W końcu wsunął dłoń za pazuchę i szukał czegoś przez chwilę. Obawiając się, że wyjmie sztylet, kowal mocniej ścisnął trzonek młotka. Coś przelotnie błysnęło, ale chłopak nie wyjął broni, tylko złoty wisior. Dreyer zmrużył oczy i od razu rozpoznał przedmiot. Wtedy zrozumiał, po co przyszli nieznajomi. Jego palce utraciły całą siłę i młot, który wykuł doskonałą klingę, klingę, której jego zmarły syn już nigdy nie będzie mógł zobaczyć, wylądował na ziemi.

Kowal padł na kolana, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

XXXVII

Sancho i Josué uszanowali rozpacz kowala, pozostając w bezruchu. W końcu mężczyzna wstał, wziął złoty wisior z dłoni Sancha i bez słowa wszedł do domu. Wtedy i oni podeszli do kuźni i usiedli w cieniu. Josué wyjął spomiędzy łachmanów dwie brzoskwinie, które poprzedniej nocy ukradli w jakimś sadzie. Zjedli je niespiesznie, długo ssąc pestki, aby oszukać pragnienie. Sancho domyślał się, że po drugiej stronie domu jest studnia, jednak nie chciał wchodzić na teren kowala bez pozwolenia.

Byli bardzo spragnieni przez cały czas, odkąd postawili stopę na łądzie, dwanaście dni temu. Pierwszej nocy, wędrując po górach i próbując zorientować się w terenie, nie znaleźli ani kropli słodkiej wody. Późnym rankiem następnego dnia natknęli się na wioskę położoną w ujściu niewielkiej rzeczki, której mieszkańcy zajmowali się wytwarzaniem soli. Nie odważyli się zbliżyć do niej w świetle dziennym, ponieważ wystarczył jeden rzut oka i każdy zorientowałby się, że są galernikami. Poszczuto by ich psami albo pochwycono dla nagrody w wysokości siedmiu escudo oferowanej za zbiegłych więźniów. Dla biedaków, którzy przez całe swoje życie

rzadko widywali monetę, ta niewielka suma oznaczała ogromną fortunę, której na pewno nie chcieliby wypuścić z rąk.

Dzień im się dłużył, gdy czekali w krzakach żarnowca, wystarczających, aby się w nich ukryć, ale nie dających żadnej ochrony przed słońcem. Po tylu miesiącach pod pokładem skóra Sancha nie była przygotowana na tę torturę, i jeszcze przed zachodem słońca jego ramiona i kark zrobiły się czerwone i pokryły się pęcherzami. Kilka razy zemdlał z powodu upału i odwodnienia i – kiedy już zapadła noc – Josué musiał go niemal zaciągnąć do rzeki. Obaj rzucili się do wody i pili desperacko, aż złapały ich skurcze żołądka, a Josué nawet zwymiotował. Sancho, wciąż słaby, zostawił czarnego olbrzyma ukrytego przy jakimś zakręcie, a sam powlókł się do wioski, gdzie – zanim psy zaczęły szczekać – udało mu się ukraść trochę rzepy i prześcieradło suszące się na sznurze.

Podarli prześcieradło na łachmany, które teraz mieli na sobie. Sancho ze szczególną starannością zrobił prowizoryczne buty. Świetnie ukrywały kajdany, które wciąż mieli na kostkach, jednak w żadnym stopniu nie chroniły stóp przed ostrymi kamieniami.

Dysponując tym słabym przebraniem, ponownie ruszyli przed siebie, pytając o drogę tylko wtedy, gdy napotykali niewielkie grupki lub samotnych podróżnych, którzy nie stanowili dla nich zagrożenia. Jeżeli usłyszeli większy gwar lub odgłos kopyt na trakcie, chowali się w krzakach. Kiedy docierali w okolice jakiegoś większego miasta, ukrywali się do zachodu słońca, po czym omijali je w środku nocy. Podróż zajęła im trzykrotnie więcej czasu, niż trwałaby w normalnych warunkach, i była naznaczona przez pragnienie, głód i strach. Tylko w jednym momencie Sancho

odetchnął nieco swobodniej. Było to po południu dziesiątego dnia, kiedy szczególny kształt jakiegoś wzgórza wywołał w jego pamięci cień wspomnienia. Szedł dalej, nie mówiąc nic Josuému. Kiedy usłyszeli, że ktoś się do nich zbliża, a Josué wykonał ruch, jakby chciał zejść z drogi, jak to zawsze czynili, Sancho go zatrzymał.

– Ty idź. Ja muszę coś sprawdzić.

Czarny spojrział na niego zdziwiony, ale odszedł. Sancho usiadł na kamieniu przy drodze, nie potrafiąc ukryć zdenerwowania. Po jakimś czasie pojawiło się kilku poganiaczy, poprzedzonych przez chmurę kurzu i odgłosy krowich dzwonków, które zachodni wiatr przynosił aż tutaj. Sancho zmrużył oczy i zamachał ramionami, starając się zwrócić na siebie uwagę podróżnych. Jeden z nich się zatrzymał, aby z nim porozmawiać, i gestem wskazał kierunek za swoimi plecami.

Kiedy kawalkada już przeszła, Josué wrócił do Sancha, którego uśmiech błyszczał nawet spod warstwy kurzu pokrywającej jego twarz.

– Nie mogę w to uwierzyć – rzekł Sancho, tańcząc wokół przyjaciela z sercem przepelnionym oczekiwaniem. – Za tymi wzgórzami płynie Genil. A dalej, za rzeką, jest oberża, w której się urodziłem i wychowałem.

I pociągnął Josuégo za sobą, na przełaj, tak szybko, jak tylko pozwalały ich nogi zmęczone po tylu dniach wędrówki i trudu. Stan rzeki był bardzo niski, woda ledwie sięgała Josuému do piersi. Mimo to Sancho musiał wziąć go za rękę i pomóc mu się przepawić na drugi brzeg, bo przyjaciel wciąż się bał, że utonie. Robił małe, pełne obawy kroczyki, jak dziecko, które dopiero uczy się chodzić, badając czubkiem stopy zamulone dno. Kiedy dotarli

na drugi brzeg, Josué wydał długie westchnienie, jak gdyby przez cały czas wstrzymywał oddech. Niewolnik bał się, że Sancho znów ruszy biegiem, ale teraz, kiedy już byli tak blisko, chłopak zwolnił tempo, jakby w obawie przed tym, co zastanie po drugiej stronie wzgórz, które wcześniej widzieli z daleka.

Kiedy w końcu znaleźli się tak blisko, że widzieli miejsce, w którym Sancho spędził swoje dzieciństwo, jego obawy potwierdziły się. Zamiast niewielkiej oberży o bielonych ścianach zobaczyli poczerniałe ruiny. Josué spojrzał na Sancha, ale ten milczał. Kiedy dotarł do punktu, w którym stała szopa z narzędziami, pochylił się, wziął do ręki kawałek zwęglonego drewna i zaczął grzebać w zgliszczach. Wiatr i deszcz pokryły popiół grubą warstwą liści i pyłu, ale i tak szybko znalazł to, czego szukał. Długi przedmiot, który przetrwał pożar.

Ludzką kość.

Była duża i Josué odgadł, że to kość nogi dorosłego mężczyzny. Członkowie plemienia, do którego należał Josué, nie byli kanibalami, ale trupy wrogów zawsze palili w ogromnym ognisku. Kości nigdy nie spalały się do końca, więc potem zadaniem kobiet i dzieci było je pogrzebać.

Sancho odetchnął głęboko i przełknął ślinę. Josué położył dłoń na jego plecach, ale chłopak odsunął się i podniósł kość.

– Przybył do oberży pewnej nocy, cały drżąc. Powiedział, że się przeziębiał, jakby było o to tak łatwo w panującym wtedy upale. Moja matka dotknęła jego czoła i kazała mu się położyć. Zniosła mu nawet miskę rosółu, chociaż nigdy wcześniej go nie widzieliśmy i nie mieliśmy pewności, że będzie mógł zapłacić za nocleg. Jego odzienie było dobrej jakości, ale ledwie mówił, bo

ogarnęła go gorączka. W sakiewce miał tylko kilka maravedí. Następnego ranka moja matka zauważyła pęcherze typowe dla zarazy i poprosiła mnie, bym jej pomógł wynieść go do szopy, zanim skazi cały dom. Trzeba było mu poderznąć gardło i wrzucić do rowu. – Sancho ścisnął kość z taką siłą, że aż kłykcie mu zbielały. – Dwa dni później moja matka zaczęła źle się czuć. Najpierw rozboleła ją brzuch. Potem przyszła gorączka. W oberży nie było więcej gości, nie było nikogo, kogo można by posłać po pomoc, a ja bałem się ją zostawić. Pielęgnowałem ją najlepiej, jak potrafiłem, ale to nie wystarczyło. Nie mogłem nic dla niej zrobić. Gdyby tylko ten sukinsyn poszukał sobie innego miejsca, żeby umrzeć...

Podniósł kość, chcąc rozbić ją o kamień, ale Josué go powstrzymał. Sancho odwrócił się do niego z wściekłością i uderzył go w ramię, ale czarny nawet nie drgnął i wyciągnął do niego ramiona. W końcu chłopak nie wytrzymał i wtulił twarz w jego pierś, obejmując go i rozpaczliwie szlochając.

Po wielu godzinach poszukiwań odnaleźli w zgliszczach szczątki matki Sancha. Josué chciał je pozbierać, ale Sancho nie pozwolił mu ich dotknąć. Sam cierpliwie zebrał wszystkie, podnosząc je najostrożniej, jak mógł. Pochowali ją w dawnym gaju oliwnym, który teraz był zaniedbany. Wiele drzewek wyrwali i skradli chciwi sąsiedzi, z innych odcięto gałęzie. Mimo to Sancho wiedział, że właśnie tam jego matka chciałaby spocząć na wieki.

Josué uparł się, aby pochować także nieznanego podróżnego, ale Sancho nie zgodził się, aby leżał on w tej samej ziemi co jego matka. Josué wziął więc szczątki i wyniósł je na odległe pole. Sancho na początku odwrócił się i stał ze skrzyżowanymi

ramionami, jednak po chwili pomógł przyjacielowi kopać trzeci w ciągu kilku dni grób. Josué przyjął jego pomoc z aprobatą w oczach. I choć nie przyznałby się do tego, Sancho sam też poczuł się lepiej.

Kiedy ponownie ruszyli w drogę, Sancho nie obejrzał się za siebie. Wiedział, że nigdy tutaj nie wróci. Jego przeznaczenie czekało na niego na drugim krańcu świata, o ile wcześniej nie upomni się o niego śmierć.

Sancho wypluł pestkę brzoskwini – upadła w kurz przy wejściu do domu kowala. Josué podniósł się i zakopał swoją przy drodze. Sancho uśmiechnął się łagodnie. Szanse na to, że się przyjmie w takim miejscu, były minimalne, ale taką już miał naturę jego przyjaciel.

W tej chwili usłyszeli jakiś hałas i zobaczyli Dreyera. Kowal podniósł z ziemi młot i dopiero co wykuta klingę. Odwracając się, aby wrócić do domu, zauważył dwóch nieznajomych, którzy przynieśli mu fatalne wieści.

Przez kilka sekund przyglądał im się, zdziwiony, zaczerwienionymi oczyma.

– Wciąż tu jesteście.

Sancho wytrzymał jego wzrok w milczeniu.

– Chcecie nagrody? Przekłęci, jakież inny powód mielibyście, aby dotrzeć aż tutaj?

– Nie chcemy żadnej nagrody, mistrzu Dreyer.

– A więc czego chcecie?

– Wasz syn rozmawiał ze mną przed śmiercią, panie. Leżał na piasku na plaży, ranny, a inni galernicy, tacy jak my, chcieli rozbić mu głowę kamieniem. Josué i ja zapobiegliśmy temu.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie wy go zabiliście? Powinienem natychmiast wezwać strażę! – ryknął Dreyer, a w jego głosie wściekłość mieszała się z bólem.

– Nie możecie tego wiedzieć, panie. Ale ostatnie słowa, jakie wypowiedział wasz syn, były przeznaczone dla was. Powiedział, że was kocha, pomimo tego, co zdarzyło się w Antwerpii. Że nie byliście winni jej śmierci i że prosi was o ostatnią łaskę.

Przez ramiona kowala przebiegło drżenie. Wyglądał, jakby postarzał się nagle o kilka lat i jakby znów miał się rozplakać. Zagryzł wargi i powstrzymał łzy, po czym ponownie odwrócił się do Sancha.

– Cóż to takiego, ta łaska?

– Żebyście zapomnieli o duchach i przyjęli mnie na swojego ucznia.

Kowal prychnął i przyjrzał się uważnie Sanchowi. Kiedy odezwał się znowu, mówił bardzo powoli.

– A powiedział ci może, chłopcze, co to za duchy?

– Nie, panie, ani też nie chcę wiedzieć. Ja też mam swoje i nie lubię o nich mówić.

– Czy ty wiesz, kim byłem? To śmieszne, że taki szczur z kanałów jak ty przychodzi do mnie z taką prośbą.

– Wasz syn powiedział mi, że umiecie zrobić z mieczem coś więcej, jak tylko walić weń młotem. Że byliście najwięksi. I to on was o to prosi, nie ja.

Dreyer podszedł do nich. Josué cofnął się, pozostawiając Sancha obok kowala, jednak nie spuszczał z nich wzroku.

– Ile masz lat, chłopcze?

Przez chwilę Sancho chciał skłamać, ale nie potrafił tego zrobić, kiedy miał do czynienia z rozmówcą zasługującym na szacunek, a Dreyer był jedną z takich osób. Jakkolwiek był wyszkolony w oszustwie i manipulacji, przy kimś takim jak kowal, kto był w stanie tak bardzo rozpaczać po utracie ukochanej istoty, Sancho czuł się nagi.

– Szesnaście, panie – odpowiedział, przelękając ślinę.

– Jesteś zbyt młody i niedoświadczony – odrzekł Dreyer lekceważąco.

– Szesnaście, panie, to tylko liczba. Pozwólcie mi dodać kilka innych. Trzyznaście – tyle miałem lat, kiedy moją matkę zabrała zaraza. Czternaście – tyle miesięcy spędziłem w sierocińcu, przygotowując się do podjęcia pracy, której ostatecznie mi odmówiono. Piętnaście – tyle dni pracowałem u karczmarza, który bił mnie bezustannie. Cztery stopy wzrostu miał mój mistrz Bartolo, którego zatłuczono na śmierć. Pięć miesięcy spędziłem na galerach. Sześć lat, na tyle mnie skazano.

Sancho zerwał szmaty, które pokrywały jego ciało. Odwrócił się i pokazał mapę wytyczoną przez blizny na jego plecach. Czerwone, żółte lub białe, jak kalendarz pokazywały każdy dzień spędzony przez chłopaka pod batem Kruka.

– Pięćdziesiąt trzy, to liczba batów, które otrzymałem. Czy już wystarczy wam tych liczb, panie?

Dreyer przygryzł górną wargę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. To nie te blizny zrobiły na nim takie wrażenie, ale fakt, że nagle zdał sobie sprawę, jak trudno musiało być tym dwóm galernikom dotrzeć aż tutaj w tych skrawkach szmat, które chłopak właśnie rzucił na ziemię.

– Zadam ci dwa pytania i chcę, byś powiedział mi prawdę. Zorientuję się, jeśli mnie okłamiesz. Zrozumiałeś?

Sancho skinął głową.

– Dlaczego nie zabrałeś odzienia mojego syna?

– Ponieważ on ocalił mi życie, i Josuému też, broniąc nas przed nadzorcą, który się na nas wziął.

– Łatwiej byłoby ci podróżować.

– Tak nie można.

Powiedział to tak, jak gdyby to wszystko wyjaśniało, jakby już nie było nic więcej do powiedzenia. Potem czekał na kolejne pytanie. Wydawało mu się, że czeka całą wieczność.

– Czego szukasz, chłopcze? – rzekł w końcu Dreyer.

Oczy Sancha się zaświeciły. Poczuł, że natrafił na wyłom w murze, który wznosił wokół siebie kowal, więc z największą ostrożnością dobierał słowa.

– Sprawiedliwości, panie. Dla kogoś, kto był dla mnie dobry. I dla siebie samego.

– Sprawiedliwość, którą człowiek sam wymierza, przestaje nią być.

– Więc nazwijmy to zemstą, jeśli tak wolicie, panie. Ale nauczcie mnie fechtunku.

XXXVIII

Sancho i Josué przespali tę noc w tym samym miejscu, w którym spędzili dzień: przy ścianie kuźni. Po tym, jak Sancho poprosił Dreyera, by ten został jego mistrzem, kowal bez słowa wrócił do domu. Nie pojawił się ponownie, więc chłopak nie był pewien, co powinien zrobić. W końcu zdecydował się czekać.

Kogut jeszcze nie zapiał, kiedy Sancho się obudził. Dreyer trącał go stopą. Chłopak natychmiast się podniósł, pocierając dłonią twarz. Kowal skierował na niego puste spojrzenie. W ciągu nocy na jego czole pojawiły się głębokie zmarszczki, a pod oczami cienie. W rozproszonym świetle zapowiadającym świt wyglądał bardziej na ducha niż na człowieka.

– Będę cię uczył przez rok, przez wzgląd na prośbę mojego syna i to, co dla niego zrobiłeś. Potem opuścicie to miejsce.

Sancho otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale rozmyślił się i skinął głową w milczeniu.

– Ale jego niczego nie myślę uczyć – wychrypiał kowal, wskazując na Josuégo. – Tym niewiernym nigdy nie można ufać.

Chłopak uśmiechnął się półgębkiem, zwracając głowę w stronę śpiącego jeszcze czarnego olbrzyma.

– Mogę was zapewnić, panie, że on jest lepszym chrześcijaninem niż wy i ja.

– Zwracaj się do mnie mistrzu Dreyer – poprawił go kowal sucho. – A ten dobry chrześcijanin umie walczyć?

– Nie, mistrzu. On jest niezdolny do wyrządzenia krzywdy komukolwiek. Kiedy był dzieckiem, widział wiele krwi, i kiedy chrześcijanie wzięli go do niewoli i nawrócili, poprzysiągł, że nigdy nie odbierze nikomu życia.

Dreyer zmarszczył brwi, słysząc czułość w głosie Sancha, kiedy mówił o Josué.

– Jesteście pederastami?

– Jak mówicie, mistrzu?

– Czy jesteście parą. Czy dajecie sobie w tyłek.

Sancho zarumienił się i pokręcił przecząco głową.

– Tym lepiej. Nie lubię takich. Ale jeszcze bardziej nie lubię próżniaków, więc niech wstaje. Dostanie coś do roboty.

Jak tylko Josué otworzył oczy, kowal wydał mu mnóstwo poleceń. Od rąbania drewna po opróżnianie paleniska z popiołu czy przynoszenie wiader wody z ogrodu. Kiedy Dreyer skończył, czarny pokiwał głową.

– Co z nim, jest niemy? – spytał kowal.

– Tak, mistrzu. Handlarze niewolnikami ucięli mu język.

Dreyer przygryzł wąsa, co, jak Sancho miał się wkrótce przekonać, u drażliwego kowala oznaczało wściekłość i niezadowolenie. Szczególnie jeśli dusił w sobie słowa, które cisnęły mu się na usta.

– Jest silny – powiedział, potrząsając ramionami, jakby chciał wymazać z pamięci horror, który zgotowano lata temu Josuému. –

Będzie bardzo pomocny w kuźni i w ogrodzie.

– Jest też świetnym kucharzem.

– W to uwierzę, jak zobaczę. Jeszcze się taki nie narodził, kto by zrobił na mnie wrażenie swoimi potrawami. No dalej, bierz się do roboty – nakazał Josuému. Murzyn skinął głową i odszedł. – A jeśli o ciebie chodzi, to zaczynamy naukę.

Dreyer dotknął jego rąk i nóg, wbijając kciuki w przedramiona i w uda. Na jego prośbę Sancho ugiął nogi i schylił się kilkakrotnie.

– Jesteś silny, ale wiosło zaburzyło równowagę twoich członków, uczniu – brzmiał werdykt Dreyera. – Twoje mięśnie są jak sęki w drewnie, chyba nie będzie z ciebie dobry szermierz. Wątpię, aby się dało coś z ciebie zrobić, ale może chociaż uczynimy cię bardziej giętkim. Widzisz ten topolowy gaj?

Sancho odwrócił się. Pięćdziesiąt kroków dalej, w dole drogi rosła grupa drzew. Sancho bardziej się jej domyślał, niż ją dostrzegł w słabym świetle wczesnego świtu. Skinął głową.

– Biegnij do nich. Zerwij garść liści i wracaj. I lepiej będzie, jeśli tu wrócisz, zanim zmówię tuzin ojczenaszek, albo pożałujesz. Naprzód!

Sancho wystrzelił jak z procy w stronę topól. Choć trochę go kosztowało, by ramiona i nogi odpowiedziały, zaraz poczuł, jak frunie wzdłuż drogi. Przeskakując nad strumieniem, zdał sobie sprawę, od jak dawna nie poruszał się z taką prędkością, a – przede wszystkim – jak bardzo za tym tęsknił. Z radością przypomniał sobie, jak biegł uliczkami Sewilli, uciekając przed co bardziej rozgarniętą ofiarą, którą okradł, lub mniej utuczonym strażnikiem. Widział siebie, jak biegnie, jak raz po raz skręca za

róg, jak mija kolejne przecznice, widząc je tylko rozmyte, kątem oka, czując smak życia i smak zwycięstwa. Wszystko to przyszło mu do głowy zupełnie nagle, jak odruch, którego nie sposób było powstrzymać, i przyspieszył kroku, a stopy jak gdyby zaczęły żyć własnym życiem i pędził w dół drogi na złamanie karku.

Kiedy dobiegł do topól, musiał mocno naciągnąć ramiona i stanąć na czubkach palców, aby dosięgnąć choćby ich najniższych gałęzi. Zdołał zerwać garść liści i wrócił najszybciej, jak potrafił. Powrót w górę wzgórza nie był już tak przyjemny. Kiedy dotarł do Dreyera, rzucił mu garść liści pod stopy, ciężko dysząc i opierając się dłońmi na kolanach.

– Zdążyłem zmówić *Ojciec nasz* piętnaście razy, uczniu. Spróbuj jeszcze raz.

Sancho uniósł głowę, nie wierząc w to, co słyszy.

– Mistrzu Dreyer!

Kowal uniósł jedną ze swoich ogromnych dłoni i Sancho sądził, że zamierza go uderzyć, ale on tylko wskazał mu na świt, który zaczynał rozjaśniać Sewillę.

– Będziesz biegał tak długo, aż słońce wzejdzie wysoko na niebie. Kiedy będziemy tu mieli sporą kupkę liści, zjesz śniadanie. Ruszaj!

Biegnąc po raz drugi w dół drogi, Sancho nie czuł już żadnej radości.

Pół godziny później zaczynał swoją siódmą wspinaczkę, z coraz cięższymi nogami i zamglonym spojrzeniem, kiedy padł na kolana i zaczął wymiotować. Był na czczo, więc żołądek wyrzucił z siebie tylko żółć, a on czuł bolesne skurcze. Josué zobaczył go ze szczytu wzgórza. Rzucił na ziemię naręczce drewna, które właśnie niósł,

i ruszył w jego stronę. Ale Dreyer czekał na drodze i zatrzymał go.

Josué spróbował uwolnić się szarpnięciem, ale nie udało mu się. Siła kowala przeciwko jego sile. Dreyer był o dwie dłonie niższy od czarnego olbrzyma. Josué odwrócił się bardzo zdziwiony, bo jeszcze nigdy w życiu nie spotkał nikogo, kto byłby w stanie zatrzymać go jedną ręką.

– Jesteś jego przyjacielem? – zapytał Dreyer.

Josué przytaknął, bardziej sobie niż kowalowi, który chyba znał odpowiedź na to pytanie i nie patrzył na niego, tylko na półnągą postać leżącą w kurzu drogi.

– Więc spojrzysz na niego. Jeśli ma to, czego mu trzeba, podniesie się i wróci tutaj na górę. A jeśli nie, to wykopię stąd was obu. Niech się dzieje, co chce, cokolwiek zobaczysz od tej chwili, będzie musiał sam przejść tę drogę. Nie możesz mu pomóc.

W dole Sancho podnosił się, tak wolno, jak gdyby w ogóle się nie poruszał. Najpierw zdołał unieść jedno ramię, potem drugie. A potem, niemal na czworakach, zaczął wlec się w stronę domu kowala.

XXXIX

Sancho musiał powtarzać ten rytuał biegów do lasku każdego dnia o świcie.

Następnie Dreyer pozwalał chłopakowi zjeść kawałek chleba i trochę mięsa, po czym wyznaczał mu kolejne ćwiczenia. A to kazał mu się wspinać na drzewo z zawiązanymi oczami i znaleźć dzwonki, które Dreyer rozwiesił na gałęziach, a potem zejść na dół bez zdejmowania opaski. A to zbierać na polach żołędzie, aż napełni cały kosz, po czym rzucać nimi jak najdalej, raz lewą, raz prawą ręką. Ale najokrutniejsze i najbardziej frustrujące dla Sancha było zadanie polegające na tym, by kłaść się na ziemi i wstawać raz po raz, trzymając dzban po brzegi wypełniony wodą.

– Dziesięć razy. Wylejesz jedną kroplę i zacznasz od nowa – mówił Dreyer swoim monotonnym głosem.

Dla Sancha było to zadanie nie do wykonania. Koncentrował się ze wszystkich sił, starał się nie poruszyć ani jednym mięśniem ponad to, co konieczne, ale rezultat był zawsze ten sam. Wypróbował setki sposobów, aby wykonać zadanie, ale zawsze za którymś razem odrobina płynu rozlewała się na piaszczyste podłoże przed domem kowala. Ta przestrzeń i boczna ściana

warsztatu stały się całym jego światem, bo Dreyer nie pozwalał mu wchodzić do domu.

– Do diabła – sapał Sancho ze złości i frustracji, patrząc, jak spieczona ziemia wchłania wodę i tworzy się wysuszona brązowa skorupa. – Tego się nie da zrobić!

Dreyer codziennie patrzył, jak Sancho rozpoczyna to samo ćwiczenie, otwierając usta tylko po to, by kazać mu zacząć od nowa. Minęły dwa tygodnie i chłopak potrafił już biegać długie dystanse, nie mdlejąc niechlubnie, jak wtedy, kiedy się tu pojawił. Stopy już mu nie krwawiły, a posiłki, skromne, ale regularne, które przygotowywali kowal i Josué, pozbawiły jego twarz trupiego wyglądu.

Wtedy Dreyer przemówił po raz pierwszy nie po to, by wydać mu jedno ze swoich monottonnych i precyzyjnych poleceń.

– Fechtunek, uczniu, nie jest sztuką. To jest bitwa, której celem jest pokonanie jednego tylko wroga. Kiedy odkryjesz, co to za wróg, będziesz gotów, aby wziąć broń do ręki.

Leżąc na ziemi z dzbanem w chwiejnej równowadze, Sancho nie widział jego twarzy, ale w głosie kowala wyczuł jakąś ulotną nutę koloru, nutę człowieczeństwa, która do tej pory tam nie gościła.

– Mistrzu Dreyer...

– Dziesięć razy, uczniu. Bez jednej uronionej kropli – rzucił sucho Dreyer, żałując swej wcześniejszej słabości.

Sancho podszedł do wielkiego wiadra wypełnionego wodą, które Josué uzupełniał każdego dnia. Zanurzył dzban w wodzie, na której powierzchni unosiła się warstwa martwych komarów. Napełnił dzban i wrócił na swoje miejsce, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, że teraz przemieszczanie się z naczyniem

w doskonałej równowadze stało się dla niego czymś tak naturalnym jak oddychanie. Stanął ze złączonymi stopami i spojrzał na ziemię, gdzie w południowym słońcu jego cień chował się za nim.

I wtedy zrozumiał.

Spojrzał na Dreyera uważnie i – nie spuszczać wzroku ze starego kowala – podniósł dzban do ust i opróżnił go, pociągając trzy duże łyki. Następnie położył się i wstał dziesięć razy, nie ulewając ani kropli wody.

W oczach kowala pojawił się dziwny blask, którego Sancho nie potrafił zinterpretować.

– Chodź ze mną.

Sancho po raz pierwszy wszedł do domu kowala. Meble były proste, ale zadbane. Na końcu głównej izby zauważył drzwi, za którymi zapewne znajdowała się sypialnia Dreyera, i wąski korytarz prowadzący na tyły domu. Kowal poprowadził go tamtędy, aż doszli do dużego dziedzińca, gdzie Josué energicznie piłował kawałki drewna. Usłyszawszy ich, czarny podniósł głowę i uśmiechnął się do Sancha.

– Wystarczy, niewierny. Później dokończysz – rzekł Dreyer.

Josué dwoma energicznymi pociągnięciami skończył piłować deskę i odszedł, klepnąwszy przyjaciela w plecy. Sancho niemal tego nie zauważył, ponieważ zafascynowany rozglądał się wokoło. To miejsce w ogóle nie pasowało do zewnętrznego wyglądu domu. Pod ażurową konstrukcją porośniętą suchymi winoroślami, tworzącymi przedziwną grę słońca i cienia na kwadratowych płytach ułożonych na ziemi, otwierał się plac szeroki na dwadzieścia kroków i długi na trzydzieści. Miejscami ślady ziemi

i plamy wilgoci na posadzce wskazywały miejsca, skąd usunięto ogromne donice. Teraz stały na nich groteskowe drewniane manekiny ze świeżo porąbanego drewna, tego samego, które piłował Josué, kiedy weszli na dziedziniec kilka chwil temu. Sancho zrozumiał teraz, czym jego przyjaciel był tak zajęty, gdy on pocił się, wykonując ćwiczenia zadane przez kowala.

Na ścianach wisiały zbroje i broń. Pomędzy nimi Sancho zobaczył kilka drewnianych paneli z dziwnymi okrągłymi rysunkami, które wyglądały na świeżo malowane. Na kamiennej posadzce ktoś – Sancho przypuszczał, że Dreyer – wyrysował złożone figury geometryczne przypominające pajęczynę.

Kowal podszedł spokojnym krokiem do zbroi wiszących na ścianie, odwracając się plecami do Sancha. W zamyśleniu przeciągnął palcem po rapierach, szablach i kuszach, aż zatrzymał się przy ogromnym łuku. Wziął go w ręce.

– Nasze dzieci są jak strzały w naszych rękach, uczniu. Aby były użyteczne, trzeba je wysłać jak najdalej się da – głos mu się na chwilę załamał, po czym kontynuował. – Mój Joaquín nie wiedział, jakiego poświęcenia ode mnie zażądał, składając swą obietnicę pospolitemu galernikowi i obciążając nią swój i mój honor.

– Nic o mnie nie wiecie – odciął się chłopak, nie potrafiąc się powstrzymać.

– Za co cię skazano, uczniu?

– Za złodziejstwo.

– I mówisz to ot tak, bez najmniejszego wstydu w głosie.

– Nie mogę się wstydzić tego, że kradłem, aby przeżyć. Wstyd jest tylko zawadą, jak te kajdany, których nie chcecie mi zdjąć –

powiedział Sancho, unosząc stopę.

– Niezłego drania mi tu syn przysłał – odrzekł kowal, kręcąc głową.

– Może tylko chciał dać wam jakieś zajęcie, żebyście nie palnęli sobie w łeb jednym z tych swoich pistoletów.

Kowal sięgnął do arsenału po strzałę, nałożył ją na łuk i wycelował w Sancha. Ten wytrzymał spojrzenie kowala przez niekończącą się chwilę, zakłócaną tylko przez muchy brzęczące jak szalone w upale.

– Jak śmiesz!?! Powinienem przeszyć cię, śmieciu, tą strzałą na wylot, tu i teraz. A może ci się wydaje, że wiesz, do kogo mówisz?

Chłopak wziął głęboki wdech, nadymając nozdrza i uznał, że ma dość.

– Byliście wielkim mistrzem fechtunku w Rotterdamie. Kimś, kto popełnił błąd, który kosztował życie kogoś, kogo kochaliście, śmiem zgadywać, że była to matka waszego syna. Przysięgłbym, że nauczyliście waszej sztuki niewłaściwą osobę, a ta osoba obróciła się przeciwko wam – Sancho przerwał na chwilę, czytając w obliczu kowala, jak go nauczył Bartolo. Dreyer zbliżał się do niego coraz bardziej, aż ostrze strzały musnęło jego szyję. – Nie, nie, teraz już rozumiem. To wasze nauki zawiodły. Wasz uczeń zginął w pojedynku, a ona odebrała sobie życie. To był... jej brat?

Dreyer wydał z siebie potężny ryk, odsunął strzałę od szyi Sancha i wystrzelił ją w stronę jednego z manekinów za jego plecami i przebił go na wylot. Otwartą dłonią wymierzył Sanchowi policzek, który wycisnął z ust chłopaka krwawą pianę. Chłopak wytarł powoli twarz, wściekły, ale niewzruszony.

Kowal patrzył na niego przez chwilę, dysząc ciężko, po czym znów się odezwał.

– Mój syn opowiedział ci o tym, zanim umarł?

– Nie, mistrzu. Domyśliłem się tego, obserwując was, składając w całość kawałki waszej historii i biorąc pod uwagę czas, jaki spędziliście z dala od tego wszystkiego – Sancho wskazał wokół siebie.

– To niezwykle dar.

– To sztuka, której mnie nauczył ktoś, kogo cenilem, i czyją śmierć pomożecie mi pomścić.

Kowal uśmiechnął się do niego smutno.

– Nie jesteś tym, za kogo cię brałem. Może mój syn jednak wiedział, co robi.

Odsunął się od Sancha i ostrożnie odwiesił łuk na miejsce.

– Zasłużyłeś, by wejść tutaj, upijając wodę z dzbana. Powiedz mi, dlaczego to zrobiłeś?

– Ponieważ powiedzieliście, że jest tylko jeden wróg, którego muszę pokonać, aby zrozumieć, czym jest fechtunek.

– I wiesz już, co to za wróg?

– Ja sam.

Dreyer westchnął i zapatrzył się w dal.

– Gdybyś wiedział, ilu mężczyzn udzieliło mi właściwej odpowiedzi na to pytanie pierwszego dnia nauki.

– Ilu?

– Żaden – stwierdził Dreyer.

Kowal zdjął przepoconą koszulę, odsłaniając swój nagi tors, i powiesił ją na jednej ze zbroi. Następnie wziął drewniany miecz i rzucił go Sanchowi, który złapał go w locie.

– To jest broń treningowa, wymyślono ją po to, by niezdarni i nieświadomi uczniowie mogli nauczyć się podstaw sztuki, nie ucinając sobie ucha i nie haratając tyłka. Chcę, abys go złamał.

– Jak mówicie, mistrzu?

– Złam ten miecz, bo jego celem jest upokorzyć ucznia. To już nie będzie konieczne. Zasłużyłeś na to.

Sancho posłusznie wziął miecz w obie dłonie i złamał jednym kopniakiem. Trzask drewna przywiódł mu na myśl wspomnienie tej strasznej chwili, kiedy Maurowie zaatakowali „San Telmo”, a w uszach zabrzmiały mu krzyki umierających. Potrzęsął głową, aby odsunąć od siebie to wspomnienie i skoncentrował się na słowach Dreyera, który już zbliżał się do niego z prawdziwym rapierem. Wziął go za klingę i podsunął Sanchowi rękojeść. Ten przyglądał się jej przez kilka chwil zdumiony, z ramionami opuszczonymi wzdłuż ciała, onieśmielony. W końcu podniósł prawą dłoń i już miał wziąć rapier do ręki, kiedy głos Dreyera zatrzymał go.

– Trzymałeś kiedyś broń w dłoni?

– Nie, mistrzu.

– Więc wyryj tę chwilę w swej pamięci i zachowaj ją, bo niewiele podobnych jest w życiu. To jak pierwszy raz, kiedy ruszasz konno galopem albo wkładasz fiuta między uda kobiety.

Palce Sancha zamknęły się wokół napiętej skóry rękojeści. Poczuł, jak przez jego ciało przepływa fala emocji, jakaś dziwna moc, jakby nagle między nim a całą resztą świata stanął mur – tylko dlatego, że trzyma w ręku broń. Kiedy uniósł rapier na wysokość twarzy, zdziwiło go, jak niewiele waży.

– Jest bardzo lekki.

– Tak ci się tylko teraz wydaje, uczniu. Zobaczysz po pół dnia wymachiwania nim. Unieś go. Zegnij kolana. Głowa prosto, niepochyłona naprzód ani na boki. Szyja i plecy prosto, aby wzmocnić ramiona. O, tak.

– A teraz?

– A teraz będziesz tak stał, aż rapier przestanie ci się wydawać lekki.

Sancho usłuchał, stał z rapierem trzymanym w wyciągniętej ręce. Miał już za sobą jedno takie doświadczenie, w cuchnącej przestrzeni pod pokładem galery, na której odbywał wyrok. Wiedział, jak trudno pozostać długi czas w bezruchu. Wydał lekko nozdrza i przygotował się na ból, który miał zaraz nadejść.

– Sądziś, że ćwiczenia, które wykonywałeś przez ostatnie dwa tygodnie były trudne, uczniu? Teraz dopiero poznasz, co to cierpienie.

XL

Dla Dreyera dzień, w którym uderzył Sancha, był dziwny. Zbyt wiele razy kuł żelazo młotem, aby nie rozpoznać dobrego materiału. Najlepsza stal, taka, z której może powstać najodporniejszy i najlepiej zahartowany rapier, wymaga o wiele dłuższego kucia, niż ta przeznaczona na niższej jakości broń.

Ten chłopak – musiał się pilnować, aby nie widzieć w nim dziecka – miał w sobie coś szczególnego.

Pierwsze przesłanki potwierdzające to przeczucie pojawiły się w dniu, kiedy Sancho rozpoczął ćwiczenia na pracę nóg. Skomplikowane figury geometryczne wyrysowane na posadzce służyły do naśladowania ruchów szermierzy. Nie ma bowiem nic trudniejszego w fechtunku niż praca nóg.

– To stopy wygrywają walkę, uczniu. Jeden krok naprzód, palce skierowane w stronę przeciwnika. Znów do tyłu!

Sancho poruszał się szybko po siatce wymalowanej wapnem, stawiając stopy jedynie na pustych polach, nigdy nie stąpając po liniach. Niemal od samego początku zapamiętał skomplikowane diagramy i Dreyer widział, jak powtarza je w mniejszej skali na piasku wokół domu. Kiedy kowal się zbliżał, chłopak pośpiesznie

usuwał ślady, jakby się obawiał, że zostanie skarcony za wynoszenie tajemnej wiedzy poza salę ćwiczeń. Dreyer uśmiechał się do siebie i udawał, że niczego nie zauważa.

Sancho zaczął od ćwiczeń z tęnym rapierem zakończonym kulką. Posługiwał się nim pewnie, bez tej sztywności, z jaką wszyscy nowicjusze podchodzili do przedmiotu, do którego nie byli przyzwyczajeni.

– Rękojeść jest jak ptak, uczniu. Nie możesz go za mocno ścisnąć, bo go udusisz, ale też nie za lekko, bo ci ucieknie.

Dreyer podszedł do Sancha i wyciągnął rapier przed siebie. Kazał uczniowi zrobić to samo, po czym obrócić się wokół własnej osi.

– Koło o promieniu będącym sumą długości twojego ramienia i rapiera to twoja święta i nienaruszalna przestrzeń. Musisz wiedzieć wszystko, co się dzieje w tym kręgu. Jakie jest podłoże, czy są jakieś przeszkody lub przedmioty, które mogą ci posłużyć za broń, lub o które możesz się potknąć. Kiedy koło twojego przeciwnika przetnie się z twoim, kiedy wasze rapiery będą mogły się zetknąć, będziesz mógł poczuć żelazo. – Musnął końcówkę rapiera Sancha swoją. – Poczujesz to? Wibrację, która dotarła do twojego nadgarstka poprzez klingę rapiera? Z tego, co przekazuje ci twoja broń, możesz się wiele dowiedzieć. Czy broń przeciwnika jest ostra? Czy ten zdaje się wyłącznie na siłę, jak przegrani, czy woli technikę i prędkość? Nauczę cię, jak to ocenić z zamkniętymi oczami, chłopcze. To jest właśnie czucie żelaza.

– A lewa ręka?

– Ona ma służyć ci do utrzymania równowagi oraz jako dodatkowa broń. Możesz w niej trzymać coś, co posłuży za tarczę,

albo owinać wokół niej płaszcz dla ochrony. Kiedy już nauczysz się dobrze używać prawicy, pokażę ci, jak lewą ręką posługiwać się sztyletem.

– Nie wygląda na szczególnie niebezpieczny – powiedział Sancho, patrząc na niewielkie ostrze długości półtorej dłoni, które kowal nosił przy nodze.

– Jesteś tego pewien, chłopcze? Spróbuj mnie pchnąć.

Sancho rzucił się naprzód, ale Dreyer zrobił unik w bok i zablokował jego rapier, korzystając tylko ze sztyletu. Drugą dłonią wymierzył chłopakowi policzek, bardziej upokarzający niż bolesny. Oczy Sancha zapłonęły wściekłością, ale musiał ją przełknąć.

– To nie jest kwestia rozmiaru, uczniu. Ważne jest to, co potrafisz zrobić z bronią.

Sancho codziennie z determinacją wykonywał niezdarne pchnięcia w powietrzu. Atakował cele namalowane na ścianie i manekiny stojące na dziedzińcu, zawsze nieco wolniej niż trzeba, a Dreyer zadawał sobie pytanie, dlaczego. Niemal wszyscy uczniowie cięli na prawo i lewo, jak gdyby od tego zależało ich życie, i kończyli wyczerpani i obolali krótko po tym, jak zaczęli. Tymczasem Sancho był do maksimum oszczędny w ruchach. Nie ulegało wątpliwości, że był świadomy ciężaru rapiera od pierwszego dnia, kiedy kowal kazał mu wiele godzin trzymać go w pozycji bojowej. Od tego czasu nie marnował ani grama siły więcej, niż to było konieczne. Jego zachowanie było tak dziwne – i na swój sposób tak właściwe – że Dreyer musiał uciekać się do coraz to nowych metod, aby sprowokować chłopaka i przełamać tę tarczę spokoju, która go otaczała. Obrażał go, atakował od tyłu, uderzał, kiedy ten spał, i kazał biegać w środku nocy. Żadna

z tych metod nie przynosiła większych rezultatów. Tylko kiedy Dreyer obrażał jego matkę, chłopaka ogarniało szaleństwo i zaczynał walczyć z wściekłością, ujawniając ogromne luki w obronie.

Do tego dochodziła kwestia inicjatywy.

Początkowo chłopak wykonywał dosłownie wszystkie rozkazy Dreyera. Kiedy kazał mu ćwiczyć kroki szermiercze lub wypad, robił to bez wahania. Ale z upływem tygodni Dreyer zauważył, że Sancho wprowadzał subtelne zmiany do ruchów rapierem, które dla mistrza były oczywiste, kroków obrony przed atakiem, które wydawały się idealne, pozycji, które uchodziły za najlepsze. Wszystko, czemu poświęcił całe swoje życie, tworząc, korygując, ważąc i mierząc, Sancho na jego oczach modyfikował. Każda nawet najmniejsza zmiana miała na celu uproszczenie i optymalizację. W umyśle chłopaka nie było miejsca na ozdobniki. Wszystko, czego chciał, to znaleźć najkrótszą drogę pomiędzy ostrzem swojego rapiera a sercem przeciwnika.

– Z jakich części składa się klinga? – wołał Dreyer, podczas gdy Sancho robił pompki na posadzce.

– Ze słabej, średniej i mocnej!

– Jak sparujesz pchnięcie z góry?

– Średnią tercją.

– A jeżeli przeciwnik wytrzyma zasłonę?

– To zależy, mistrzu – odrzekł Sancho, ciężko oddychając przez usta. – Wy nauczyliście mnie skorzystać z lewej dłoni i rozharatać mu nerki. Ale aby uniknąć jego lewicy, najlepiej będzie kopnąć go w jaja.

W dniu, kiedy po raz pierwszy skrzyżowali żelazo, Dreyer tylko musnął rapier Sancha swoim i czekał, aż ten zaatakuje. Ale chłopak ograniczył się do wbicia w kowala spojrzenia swoich zielonych oczu i czekania. Mistrz, czując się nieswojo, przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę, a wtedy uczeń wyprowadził lekkie pchnięcie, szybkie jak błyskawica. Dreyer musiał sparować z lewej, odsłaniając się nieco z prawej strony i świadomie tworząc dziurę w obronie, którą każdy by wykorzystał. Sancho jednym ramieniem wykonał zwód do pchnięcia, jak gdyby chciał rzeczywiście skorzystać z tego zaproszenia, a Dreyer naiwnie połknął haczyk, instynktownie zasłaniając się z tej strony. I ani się nie obejrzał, a już miał sztych rapiera chłopaka o pół cala od swojego owłosionego przedramienia.

– Co robisz, do licha, uczniu? Czy można wiedzieć, dlaczego się zatrzymałeś?

– Nie chciałem was zranić, mistrzu, to tylko ćwiczenia – odrzekł zmieszany Sancho.

– To ty myślisz, że my się tu bawimy? My się uczymy zabijać. Następnym razem, kiedy będziesz mógł trafić mnie w ramię, zrobisz to. Tym sposobem zmusisz mnie do walki.

Sancho uśmiechnął się arogancko i opuścił swój rapier o kilka palców. W tym momencie Dreyer skierował na niego kombinację trzech pchnięć wysokich i jednego niskiego, pod których naporem Sancho musiał się cofnąć, po czym potknął się o jeden z manekinów treningowych. Rozciągnięty na ziemi, poczuł rapier mistrza oparty na swoim gardle. Kowal ukłuł go spokojnie w sam środek jednej z blizn, które mu zostały po zarazie. Po szyi Sancha spłynęło kilka maleńkich kropel krwi.

– To zachowasz na pamiątkę tej lekcji.

Dreyer stopniowo przestał traktować lekcje z Sanchem jako obowiązek. Po sześciu miesiącach, czyli w połowie okresu, który chłopak miał poświęcić na naukę, nie tylko każda sesja sprawiała mu już radość, ale wręcz co noc czekał niecierpliwie, aż nadejdzie kolejny dzień i będzie mógł wrócić do pracy ze swoim uczniem. Kiedy pojawiali się klienci z nowymi zamówieniami na broń, czuł frustrację, że musi spędzać czas w kuźni i z dala od sali ćwiczeń. W takich przypadkach potajemnie zazdrościł Sanchowi, który w tych dniach sam ćwiczył.

Do tego czasu mistrz już zdał sobie sprawę, jaki materiał ma w rękach. Ten chłopak był po prostu geniuszem. Przyjmował od niego tylko te nauki, które mu odpowiadały, odrzucając to, co mu się nie podobało, i znajdując dla siebie nowe rozwiązania, często po burzliwych dyskusjach. Dreyer utrzymywał – zgodnie z zasadą mistrzów włoskich i hiszpańskich – że wbicie sztychu jest jedynym praktycznym sposobem zranienia i zabicia przeciwnika.

– Krawędź rapiera służy tylko do tego, by nikt nie wytrącił ci broni z rąk.

– Ale dobrze użyta może również wyrządzić wiele szkody.
Sprawne cięcie przez plecy...

– Wiesz, ile warstw znajduje się między ostrzem a miękkimi częściami ciała, uczniu? Najpierw musiałbyś przeciąć kaftan, a to trudna sprawa, jeśli jest skórzany. Następnie masz koszulę, potem skórę i wierzchnią warstwę tłuszczu, zwykle grubą na palec. Przy pociągnięciu z dużą prędkością jest niemal niemożliwe, aby krawędź dotarła do trzewi lub serca. A jeśli już, to tylko pod warunkiem, że nie natrafi na żebra. Używaj sztychu.

– Ale zawsze jeszcze pozostaje szyja i nadgarstki. I żyły pod pachami. Nie chodzi też tylko o wyrządzoną szkodę, ale również o ból. O to, co czuje przeciwnik. To, co dzieje się w jego głowie – upierał się Sancho. A następnie wypróbowywał ciosy poprzeczne na manekinach treningowych, czemu mistrz przyglądał się z pozoru lekceważąco, jednak w głębi duszy przyznawał, że wiele z technik, które wypracował chłopak, było genialnych w swej prostocie. Jednak prędeziej by umarł, niż przyznał to na głos.

„Człowiek przez całe życie czeka na takiego ucznia. Przez całe życie... a on pojawia się dopiero teraz, na sam koniec. Kiedy już jestem stary i zmęczony, kiedy już przestałem wierzyć”.

Wieczorami, kiedy wyczerpani przerywali ćwiczenia, rzucali się na to, co ugotował Josué. Kiedy Sancho i Josué przybyli tutaj latem ubiegłego roku, dla kowala było nie do pomyślenia, by usiąść przy jednym stole z dwoma obdartymi skazańcami, a tym bardziej z czarnym. Jednak z upływem czasu i z każdym nowym daniem przyrządzonym przez Josuégo uprzedzenia Dreyera słabły.

W końcu niechętnie przyznał, że gigant był znośnym kucharzem.

– Ale do wszystkiego dodaje za dużo cebuli. Tak nie da się delectować dobrym gulaszem. Choć jest prawie jadalny.

Pewnego zimowego dnia bez większych ceremonii zaprosił ich obu, aby towarzyszyli mu na długiej ławie przy stole w kuchni. Nieufność z pierwszych dni stopniowo topniała. A kiedy nadeszła wiosna, kolacje w domu kowala zdążyły już przybrać charakter przyjacielskich biesiad. Dreyer śpiewał wojskowe pieśni pochodzące z jego rodzinnej Flandrii, opowiadające o pobiciu

Hiszpanów i odzyskaniu flamandzkiej dumy narodowej. Sancho i Josué słuchali, nie rozumiejąc, poruszeni głębokimi tonami i nostalgią słyszalną w głosie kowala. Jednak Dreyer nigdy nie opowiadał im o sobie, choć obaj bardzo chcieli poznać przyczyny, które wyгнаły starego mistrza fechtunku tak daleko od rodzinnych stron. Poza tymi, które Sancho odgadł pierwszego dnia swoich nauk.

Przed końcem wieczoru Sancho zawsze wymykał się na zewnątrz, mruczając jakąś wymówkę. Kowal czasem śledził go z daleka. Chłopak zawsze szedł do kuźni, gdzie siadał na kamiennym podeście z widokiem na dolinę. Siedział tam, w tym samym miejscu, z którego kowal po raz pierwszy ich dojrzał, i wpatrywał się w ciemność. W jasne noce, kiedy księżyc zabarwiał dachy Sewilli niebieskawym blaskiem, potrafił tak przesiadywać całymi godzinami. Dreyer zadawał sobie pytanie, jakież myśli przebiegały przez głowę chłopaka w takich chwilach.

Pewnego letniego poranka kowal zawołał Sancha do kuźni i kazał mu postawić stopę na kowadle. W kilka chwil zdołał uwolnić go z kajdan, które z głośnym brzękiem upadły na podłogę. Sancho czubkami palców rozmasował skórę w miejscu, gdzie znajdowała się obręcz – było białawe i nieco zapadnięte. Włosy nigdy już tam nie odrosną.

– Wcześniej zdjąłem kajdany twojemu przyjacielowi. Lepiej będzie, Sancho, jeżeli nikt nigdy nie zobaczy tego śladu. Nie byłoby trudno dodać dwa do dwóch.

Chłopak zdziwiony podniósł wzrok na Dreyera. Kowal po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu. I wtedy zrozumiał.

– Minął rok.

– Już nie jesteś uczniem.

– Rzeczywiście, taka była umowa – odrzekł Sancho z lekkim drżeniem w głosie.

– Chciałbym, abyś został. To znaczy, chciałbym, abyście obaj zostali, niewierny i ty.

– Ja też bym tego chciał.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Przekazałem ci dopiero podstawy dotyczące broni pomocniczej i oczywiście w ogóle nie potrafisz celnie strzelać z pistoletu.

Sancho niepewnie przytaknął. Rzeczywiście, tak bardzo zaangażował się w walkę na rapiery, że niemal nie poświęcał czasu na inne rodzaje broni, a palną uznawał za narzędzie prymitywne, powolne i niedokładne. Nie zapałał do niej uczuciem, zresztą z wzajemnością.

– Chciałbym was zapytać, czy sądzicie, że jestem wystarczająco przygotowany do walki.

Dreyer podrapał się w głowę i zmierzył chłopaka wzrokiem od stóp do głów. Sancho urósł o kilka cali, plecy mu się wyprostowały, a ramiona rozrosły. Od biegania w pełnym słońcu różowawa bladość, z którą pojawił się na progu domu kowala, już zniknęła, a w jej miejsce muskularne i długie uda pokrywała opalona skóra.

Dreyer odwrócił wzrok, nie wiedząc, co powiedzieć. Największą trudność w nauczaniu Sancha stanowiło to, że przez cały czas stawał do walki tylko z nim. W szkołach walki było wielu uczniów, mogli się uczyć od siebie nawzajem, w domu kowala był tylko jeden przeciwnik, choć niewątpliwie godny. Chłopak będzie potrzebował wielu miesięcy prawdziwej walki, zanim osiągnie

pełnię swoich możliwości. Miał do dyspozycji szybkie ręce, jeszcze szybszy umysł i przede wszystkim lodowaty spokój.

– Potrzebujesz więcej ćwiczeń.

– Ale...

– Jesteś gotów się bronić, jeśli o to chciałeś mnie zapytać. Jeżeli nie będziesz popełniał głupstw, może dożyjesz starości. Pamiętasz, co ci mówiłem na temat legendarnych szermierzy?

– Że aby stać się legendą, trzeba zrobić coś głupiego.

– Właśnie. Łatwo się pamięta o kimś, kto stanął samotnie do walki przeciwko siedmiu czy ośmiu. Ale jakkolwiek byłby dobry i jakkolwiek słabi byliby tamci, któryś w końcu osiągnie jego wątroby. Lepiej, żeby nikt cię nie zapamiętał, Sancho.

Chłopak uśmiechnął się.

– Czas na mnie, mistrzu. Muszę spłacić mój dług.

– Zanim więc odejdziesz, chciałbym, Sancho, abyś coś zapamiętał. Twój przyjaciel nie zginął przez ciebie.

Sancho spojrzał na niego zdziwiony, bo chociaż obaj z Josué opowiedzieli swoje historie Dreyerowi, do tej pory on nigdy tego nie skomentował.

– To ja opracowałem plan kradzieży dokumentów z banku. Gdyby nie to, wciąż by żył.

Dreyer odchrząknął i wziął do ręki bezkształtny kawałek żelaza. Położył go na węglach, aby się rozgrzał.

– Jest pewna lekcja, której nie da się odrobić, idąc drogą miecza, Sancho. Trzeba podążać drogą życia. Najtrudniej jest wybaczyć samemu sobie.

– To nie wróci życia Bartolowi.

Kowal opuścił głowę. Tego się właśnie spodziewał. Zapadło niezręczne milczenie.

– Powiniennem uprzedzić Josuégo, że musimy przygotować się do drogi – rzekł Sancho, kierując się w stronę wyjścia z kuźni.

– Zaczekaj chwilę.

Dreyer pogrzebał na półkach pod wielkim warsztatem i wyjął podłużną paczkę owiniętą jutą. Włożył ją w dłonie Sancha, a on natychmiast rozpoznał przedmiot po jego wadze.

– Mistrzu...

– Cicho. Po prostu rozpakuj.

Sancho niecierpliwymi palcami pociągnął za sznurki. Kiedy pozbył się pierwszej warstwy opakowania, dotarł do drugiej, z dużo miększego materiału.

– Nie chciałem, żeby za bardzo rzucał się w oczy na drodze.

Chłopak położył przedmiot na warsztacie i rozsunął drugą warstwę. W środku był rapier w prostej, skórzanej pochwie. Zarówno rękojeść, jak i jelec były pozbawione wszelkich zdobień. Wypolerowany jelec pokrywały setki maleńkich otarć wskazujących, że broń brała udział w wielu walkach. Rękojeść wymieniono niedawno, sądząc po świeżej skórze, a tworzące ją cieniutkie paski pokryto ciemnym barwnikiem. Wyjął broń z pochwy, tak natłuszczonej, że dał się słyszeć tylko delikatny szmer. Klinga była twarda i elastyczna, tak wyważona, że Sancho niemal nie czuł jej ciężaru, jak gdyby rapier był przedłużeniem jego ręki. Była to niezwykła broń, warta siedmio- lub ośmioletniego zarobku.

Zwrócił się w stronę Dreyera, który udawał, że układa narzędzia na drugim końcu warsztatu.

– To był mój rapier – rzekł kowal, nie odwracając się. Próbował opanować emocje. – Sam go zrobiłem. Nie nosi żadnych zdobień ani napisów, ale jest dobrze zahartowany. Nigdy nie lubiłem broni z wieloma ozdobnikami i kamieniami szlachetnymi.

Chłopak z nabożną czcią wsunął rapier do pochwy. Dreyer odszedł jeszcze dalej i pochylił się, by rozpaścić ogień. Próbował unikać Sancha, ale kiedy się odwrócił, chłopak zarzucił mu ramiona na szyję i uścisnął go mocno, na co kowal odpowiedział, klepiąc go nieśmiało w plecy.

– Wystarczy, chłopcze. Dalej, zbieraj się stąd, bo robota na mnie czeka. To żelazo samo się nie zahartuje.

Godzinę później Sancho i Josué wyruszyli w drogę. Dreyer pomachał im od drzwi kuźni, po czym od razu wrócił do środka. Patrzył za nimi, jak szli w stronę miasta, aż stali się tylko dwoma maleńkimi punkcikami w dolinie.

Kiedy zniknęli, zostawił szczypce i palenisko. Przeszedł obok drzewka brzoskwiniowego, które walczyło o życie przy drodze. Było już niemal wzrostu Dreyera. Josué dbał o to, by co dzień otrzymywało wystarczającą porcję wody, przywiązał je do kija, aby rosło silne i proste, i aby wiatr go nie położył. Teraz na kowala przeszedł ten obowiązek.

„Kto by pomyślał, że w tak słabej ziemi może wyrosnąć drzewo”, zdziwił się po raz nie wiadomo który.

Poszedł do sali ćwiczeń. Pod pergolą zaczynało się już robić gorąco. Dreyer wziął jedną z opasek używanych do ochrony nadgarstków podczas ćwiczeń z łukiem i powiesił ją na miejsce na zbroi. W zasięgu ręki miał zestaw pistoletów – jednym z nich zamierzał strzelić sobie głowę, kiedy dowiedział się, że jego syn

nie żyje, dokładnie rok temu. Coś, co Sancho przewidział i czemu zapobiegł swoją obecnością i nauką. Może o to chodziło jego synowi.

Zdjął pistolet ze ściany i przez długą chwilę patrzył w jego lufę, myśląc o ostatniej radzie, jakiej udzielił Sanchowi, dotyczącej umiejętności przebaczenia samemu sobie. Zamknął oczy i wydało mu się, że wciąż słyszy niewygasłe jeszcze odgłosy pojedynku na rapiery.

„Może jeszcze jest nadzieja. Może życie jeszcze ma sens”.

Kiedy wrócił do kuźni, po policzkach spływały mu łzy.

**OD WRZEŚNIA 1590 R.
DO KWIETNIA 1591 R.**

XLI

Monardes umierał niemal przez cały miesiąc.

Medyk od samego początku bezbłędnie rozpoznał u siebie symptomy i wiedział, że nie ma już ratunku. Zaczął więc porządkować swoje sprawy. Wezwał adwokata i kilku świadków, aby sporządzić testament. Napisał listy do medyków, botaników i innych kolegów, z którymi nigdy nie spotkał się osobiście, ale których mógł nazywać swoimi przyjaciółmi. Wszystkim im podziękował za owocną wymianę wiedzy i za ciepło, które przekazywali mu w swoich listach. Za przesyłki, które przebyły setki mil drogą lądową i morską, przetrwały ataki piratów czy przydrożnych rozbójników, a nawet wojny, aby rozszerzać granice wiedzy medycznej.

Zamówił msze za spokój swej duszy, choćby tylko dla stworzenia pozorów, bo sam sceptycznie podchodził do tego, co nadprzyrodzone. Bał się jednak, że inkwizycja wpisałaby jego prace na listę ksiąg zakazanych, gdyby po jego śmierci pojawiło się choćby najmniejsze podejrzenie, że był heretykiem, więc wolał udawać dewota.

Spędził też mnóstwo czasu w ogrodzie, muskając opuszkami palców swoje ukochane rośliny, tu prostując jakiś korzeń, tam łodygę. Monardes widział śmierć setek ludzi, dobrych i złych, w każdym wieku i każdego stanu. Już wiele lat temu przestał odczuwać cokolwiek, kiedy życie uchodziło z istoty ludzkiej. A jednak gdy tak siedział sam w swym ogrodzie, pod stopami mając ciemną, gąbczastą ziemię, a na twarzy czując ciepłe promienie słońca, odczuwał litość do siebie samego. To, że już nigdy nie zobaczy, jak zakwitają te piękności, łamało mu serce.

W końcu, osiem dni przed tym, jak w jednej z wiosek położonych niedaleko Sewilli pewien młodzieniec zakończył naukę fechtunku, medyk przywołał do siebie Clarę.

Dziewczyna podeszła do niego. Było późne popołudnie i Monardes siedział w swoim ulubionym miejscu, na kamiennej ławce w najbardziej nasłonecznionej części ogrodu.

– Jeżeli moje nauki nie poszły na marne, wiesz już, co zamierzam ci powiedzieć.

– Umieracie – odrzekła Clara drżącym głosem. Już wcześniej obawiała się tej chwili, a jej nadejście wyczuła krótko po tym, jak medyk nabrał co do tego pewności.

Monardes przytaknął, dumny i spokojny. Czuł wewnętrzny spokój, a jego jedynym zmartwieniem była teraz jego młoda uczennica.

– Przekazałem ci dużą część swojej wiedzy, jednak jest jeszcze wiele spraw, o których ci do tej pory nie zdążyłem opowiedzieć. Sądzę, że nie zostało mi więcej niż jakieś dwa tygodnie. To, co przekażę ci teraz, to wiedza bardzo niebezpieczna, i będziesz

musiała zachować ją w tajemnicy. Korzystaj z niej tylko wtedy, gdy będziesz miała pewność.

– Co do czego?

– Co do osoby, wobec której ją stosujesz. Chcesz być medykiem, prawda, Claro?

Dziewczyna przytaknęła energicznie. Przybyła do tego domu zmuszona przez matkę, jednak teraz czuła ogromny żal, że wkrótce go opuści. Otaczała starego medyka niemal nabożną czcią.

– Niestety, nigdy nim nie zostaniesz. Tytułem tym mogą się szcycić jedynie ci, którzy ukończyli uniwersytet, a ten przyjmuje wyłącznie mężczyzn. Z powodu płci nie będziesz też mogła praktykować jako cyrulik, druga kategoria medyków.

Przedstawiciele tej profesji potrafią tylko rwać zęby i upuszczać chorym krew, pogarszając jedynie ich stan. Twoim przeznaczeniem jest więc zostać lekodziejką.

– Ależ to niesprawiedliwe!

– Wiem, ale tak to już jest na tym świecie. Tam, za murami, w ubogich domach, to kobiety dbają o zdrowie swoich rodzin; to one leczą oparzenia dzieci, kiedy te przez nieuwagę dotkną gorącego garnka; one przemywają dłonie swych mężów pokryte pęcherzami po całym dniu pracy motyką; one zajmują się swoimi siostrami i kuzynkami podczas porodów. Gdzie są wtedy medycy?

– Monardes przerwał. Rozemocjonowany, stracił na chwilę oddech, zebra strasznie go bolały. Może jednak zostało mu mniej czasu, niż przewidywał. – A więc będziesz lekodziejką. Będziesz sprzedawać leki i udzielać darmowych porad, bo taka jest tradycja. Jednak i tak będziesz musiała uważać. Jeżeli postawisz

błędną diagnozę, ktoś może donieść na ciebie inkwizycji, a wtedy pójdiesz na stos. Niewiele potrzeba, aby oskarżyć kobietę o czary. Czy jesteś gotowa podjąć to ryzyko?

– Tak, mistrzu – odrzekła Clara zdecydowanym głosem, choć nie miała pojęcia, jak to robi.

– Ach, dziecko, gdybyś tylko wiedziała, jakie zobowiązanie na siebie przyjmujesz. W każdym razie życzę ci szczęścia.

Zamilkł na dłuższą chwilę z zamkniętymi oczyma, i Clara sądziła, że zasnął. W końcu poruszył się, aby przegonić jakiegoś owada, i niewolnica ośmieliła się znów przemówić.

– Mówiliście, że pozostało jeszcze coś, czego chcieliście mnie nauczyć.

Monardes zamrugał powiekami i popatrzył na nią, jakby nie wiedział, kim jest i co tam robi. Po chwili jego wzrok nie był już roztargniony.

– Jeżeli powtórzysz cokolwiek z tego, co zamierzam ci przekazać, niewłaściwej osobie, zostaniesz uznana za heretyczkę, i nie będzie dla ciebie ratunku. Nie zapisuj też tego. Zapamiętaj wszystko, powtarzaj to w nocy, aż wszystko wyryje się w twojej pamięci. A jeżeli któregoś dnia spotkasz kogoś, komu będziesz mogła tę wiedzę przekazać, kogoś naprawdę wartościowego, zrób to. Zrozumiałaś?

Clara poczuła, jak zaszczyt i poczucie odpowiedzialności okrywają ją ciepłym, podnoszącym na duchu pledem.

– Zrobię, jak mówicie.

Monardes odchrząknął i zaczął, zrazu ostrożnie, ponieważ o wielu z tych rzeczy mówił na głos po raz pierwszy w życiu, jednak stopniowo ożywiał się.

– Pamiętasz, jak śmiałem się z twojego zamiłowania do powieści rycerskich, kiedy przybyłaś do tego domu?

Clara przytaknęła. Doskonale pamiętała upokorzenie, jakiego doznała wtedy ze strony medyka, i to, jak bardzo czuła się zraniona.

– Więc teraz pokażę ci prawdziwy sekret wiedzy tajemnej. Przynies nieco siarki, drewnianą deskę i zapaloną świecę.

Dziewczyna poszła do laboratorium i przyniosła medykowi to, o co prosił, czując rosnący niepokój. Monardes umieścił deskę na ławce i wziął szczyptę siarki z butelki. Z największą ostrożnością żółtawym proszkiem wyrysował na desce pentagram. Kiedy skończył, odwrócił się w stronę Clary.

– Wiesz, co to jest?

– To magiczny symbol – odpowiedziała. Widziała go na wielu ilustracjach w przeczytanych powieściach. Zawsze w nich występował jakiś starzec w spiczastym kapeluszu albo pomarszczona starucha, otoczeni eliksirami i bulgoczącymi kociołkami.

– Dobrze. Rozpal więc ogień.

Clara zbliżyła płomień świecy do siarki – natychmiast zajęła się zielonkawym płomieniem.

– O ty, Księżę Ciemności, mroczne bóstwo na głębokościach – zaczął głuchym głosem recytować Monardes. – Przybądź do nas, wzywamy cię. Oferujemy ci nasze nieśmiertelne dusze jako zapłatę za twe usługi. Przybądź do nas, Szatanie!

Niewolnica, przerażona, zrobiła krok w tył i zakryła twarz dłońmi. Monardes nagle zaczął się śmiać, chwytając się za brzuch,

a jego chichot zabrzmiał jak piskliwe i męczące skrzypienie zardzewiałych zawiasów.

– Bardzo śmieszne – mruknęła urażona Clara.

Monardes śmiał się jeszcze przez dobrą chwilę, aż przeszkodził mu gwałtowny atak kaszlu. Clara podała mu szklanekę wody ze studni, a starzec pociągnął łyk.

– Wybacz... Warto było, choćby tylko po to, by zobaczyć wyraz twojej twarzy – rzekł już nieco poważniej. – Ale nie zrobiłem tego tylko po to, by z ciebie zadrwić. Czy zauważyłaś jakiegoś demona w ogrodzie?

– Nie – przyznała Clara, wciąż jeszcze czując się niepewnie.

– Ty jesteś inteligentną młodą osobą, a jednak uwierzyłaś, że zapalając nieco proszku i wypowiadając pewne słowa, wywołaliśmy diabła. Tymczasem to nieprawda.

Podniósł deskę, na której pozostał wypalony ślad pentagramu, i zajął się usuwaniem go za pomocą płomienia świecy, jednocześnie kontynuując wywód.

– Claro, ludzie są bardzo łatwowierni. Z całego serca pragną wielu rzeczy, których nie udaje im się zdobyć, i wierzą, że magia jest sposobem na osiągnięcie tego, czego nie mogą uzyskać pracą własnych rąk. Niestety, to kłamstwo. Nie da się wyleczyć kogoś kilkoma słowami. Ani magia, ani czarownicy nie istnieją.

– Ale mistrzu, inkwizycja...

– Inkwizycja lubi od czasu do czasu spalić na stosie jakąś mieszkającą na odludziu samotną, mającą staruchę pokrytą brodawkami. To umacnia jej władzę nad ignorantami. Ale ty jesteś ponad to. Ty wiesz, że jeżeli nie zrobisz czegoś naprawdę, to nic naprawdę się nie zdarzy.

– Jeżeli nie przyjmiesz leku, w ciele nie nastąpi poprawa – rzekła w zamyśleniu Clara.

– Otóż to. A teraz zapamiętaj to, czego cię nauczę, i nie ujawniaj tego nikomu, kto nie będzie się cieszył twoim pełnym zaufaniem, bo inaczej skończysz na stosie na placu św.

Franciszka. Przysięgnij na własne życie.

Podał dziewczynie rękę, a ona wzięła ją w swoje dłonie. Ręka medyka była lodowato zimna i drżąca.

– Przrzekam, mistrzu.

– Pierwsze, co musisz wiedzieć, dotyczy humorów, o których czytałaś w księdze Hipokratesa. Musisz o nich mówić i udawać, że są istotne. Następnie jednak działaj zgodnie z prawdą, a prawda jest taka, że one nie istnieją.

– Dlaczego więc po prostu ich nie zignorować?

W oczach medyka błysnęła ironia.

– Dlatego, że Kościół katolicki w swej nieskończonej mądrości uważa, że księża, którzy nad duchami mają władzę, są również wspaniałymi medykami. Przyjęto za część tradycji chrześcijańskiej, że nasze ciało jest zdominowane przez cztery duchy, zwane humorami, które – jeśli nie są zrównoważone – wywołują choroby. Jako że kobiety krwawią w boleściach raz w miesiącu, istnieje przekonanie, że upuszczanie krwi pacjentowi jest dobre. Nigdy, przenigdy tego nie rób, choćby cię o to proszono.

– I nie wzbudzę niczyich podejrzeń?

– Nie, nikt cię nie będzie podejrzewał, jeżeli będziesz udawać, że jako kobieta, boisz się wykonać niewłaściwy ruch nożem. Od dziś będziesz musiała się uciekać do różnych wybiegów. Nie wierz też, że ludzie chorują przez złośliwe duchy przenoszące się z jednej

osoby na drugą. Nie wiemy, dlaczego chorujemy, ale wielu medyków wskazuje, że czysta woda pozwala uniknąć zakażenia. Tak samo jak utrzymywanie higieny i jedzenie świeżych owoców.

Wykład trwał kilka dni. Clara z wielkim zdumieniem dowiedziała się, że wierzenie ludowe, jakoby najlepsze lekarstwo na dane schorzenie musiało przypominać trawiącą pacjenta chorobę, było całkowicie błędne. Ludzie wierzyli, że na ból zęba należało spożyć proszek z kości słoniowej, ponieważ zęby i kość słoniowa są do siebie podobne. Albo że sałata, jako zimna roślina, jest dobrym środkiem zwalczającym gorączkę.

– Claro, wygląd rzeczy nie ma nic wspólnego z ich zastosowaniem – rzekł Monardes. Nagle podniósł dłoń do piersi, ciężko dysząc, i niemal natychmiast nieprzytomny upadł na ziemię.

Musieli kontynuować wykład w sypialni Monardesa. W ostatnich godzinach życia medyk miewał na przemian chwile, kiedy ogarniał go tak wielki ból, że ledwie mógł mówić, i takie, kiedy przemawiał z niezwykłą jasnością. Clara chciała mu podać napar z ziół *sombra de toro*, ale medyk odmówił, ponieważ specyfik uspiłby go. Wolał znosić cierpienie i udzielać Clarze ostatnich lekcji, podczas których mówił jej o fałszywych lekach i o tym, jak ich unikać.

– Nigdy nie podawaj chorym środków wymiotnych, chyba że połknęli truciznę lub coś zepsutego. Korzystaj z ziół mądrze i kłam, jeśli to będzie konieczne. Sprawdzaj, do czego klienci potrzebują środków, po które do ciebie przychodzą. Jeżeli upierają się, by wziąć *jalapę* przeciwko gorączce, daj im *strączyńca*, bo tego

właśnie potrzebują. W formie rozgniecionej lub wysuszonej nie zauważą różnicy, a ty zdołasz uratować im życie.

Clara czasem płakała, kiedy sądziła, że Monardes nie widzi. Medyk jednak zawsze to odkrywał i marszczył swoje krzaczaste brwi, aż tworzyły grubą białą linię.

– Nie płacz, Claro z Karaibów – mówił, używając przydomka, którym ją ochrzcił tej nocy, kiedy się poznali, co powodowało, że dziewczyna uśmiechała się przez łzy. – Byłaś dla mnie jak córka. Miałem wielu uczniów, ale niewielu z nich uczyniło mnie tak szczęśliwym, jak ty. Tej nocy, kiedy wykazałaś się odwagą, aby przyjść tutaj i zastukać do mych drzwi, od razu wiedziałem, że jest w tobie coś.

– Bardzo będzie mi was brakować.

– Spokojnie. Zadbalem o wszystko...

Jego głos nagle się urwał i już więcej nie mógł mówić. Tej samej nocy Monardes zmarł, a Clara zadawała sobie pytanie, co takiego chciał jej na koniec powiedzieć.

XLII

– Jałmużna dla biednego ślepcy!

Zachariasz potrząsnął monetami w swojej metalowej miseczce, a te wydały charakterystyczny brzęk zdolny przebić się przez gwar panujący na placu św. Franciszka. Nigdy nie zostawiał w miseczce więcej niż kilka miedziaków, aby uniknąć dużej straty, gdyby jakiś cwany smarkacz mu ją wyrwał i uciekł. Jak tylko ktoś wrzucił jałmużnę do miseczki, ślepiec wyjmował ją i chował w swoim odzieniu. Miał tak wyostrzony słuch, że potrafił perfekcyjnie rozpoznać wysokość datku po odgłosie, jaki wydał, upadając na metal, i podziękować odpowiednio do jego wartości. Jedno maravedí zasługiwało tylko na skinienie głową. Za kilka należało się podziękowanie. W rzadkich przypadkach, gdy jakaś zamożna dama rzuciła srebrnego reala, ciepłe słowa wyrażające wdzięczność rozbrzmiewały aż poza mury miasta.

– Ślepcze, mówią, że jesteście jasnowidzem – rzekł kobiecy głos na prawo od niego.

– W rzeczy samej, moja pani – odpowiedział, zwracając się w stronę, z której dobiegał głos. Ostrożnie zdjął opaskę przykrywającą jego oczy, które były tylko dwiema białymi kulami

zagubionymi w kościstej, wychudzonej twarzy, i z satysfakcją odnotował okrzyk przestachu. – Bóg odmówił mi daru wzroku, ale obdarzył mnie umiejętnością przejrzenia zawilości jego dzieła stworzenia. Mogę wyrecytować romans lub zmówić za was modlitwę, jeśli tego sobie życzycie.

– A moglibyście mi powiedzieć, co noszę w środku? – poprosiła niespokojnie kobieta.

– Zbliźcie swój brzuch do mych starych dłoni.

Kobieta zrobiła kilka kroków w jego stronę i zadrżała, gdy Zachariasz położył swoje kościste dłonie na jej wypukłym brzuchu. Pozostali w tej pozycji, gdy on mamrotał serię niezrozumiałych sentencji po łacinie. Suknia była miękka w dotyku, choć nie najwyższej jakości. Dłonie kobiety, które poprowadziły ręce Zachariasza do brzucha, były nieco szorstkie. Ślepiec natychmiast się domyślił, że kobieta jest panią domu i nie wykonuje zbyt wielu prac, ale też nie należy do najzamożniejszych.

Potrzebował jednak dodatkowych informacji, aby móc jej powiedzieć dokładnie to, co chciała usłyszeć.

– Czy to wasz pierwszy potomek?

– Drugi. Mam już córkę.

Zachariasz uśmiechnął się w duchu, wciąż mamrocząc pod nosem. Teraz wiedział już wszystko, czego potrzebował.

– Pani, nosicie w swym łonie pięknego chłopaka, który będzie silny i uczciwy jak wasz małżonek. Będzie miał ciemne włosy, a urodzi się w dniu świętego Kryspina.

Kobieta stłumiła okrzyk radości i uścisnęła mocno dłoń ślepca.

– Nie mogę dać wam pieniędzy, lecz przyjmijcie, proszę, ten niewielki srebrny wisiorek. Zmówicie modlitwę za mojego malca?

– Pani, poświęcę wam pięćdziesiąt różańców i trzy nowenny do Najświętszej Maryi Panny. Nie będzie w Sewilli bardziej wyczekiwanych narodzin. Wszyscy święci w niebie będą towarzyszyć wam w tej szczęśliwej chwili. Niech Bóg błogosławi waszą hojność!

Kobieta odeszła zadowolona, a Zachariasz począł odmawiać jeden z obiecanych różańców, ale przerwał, kiedy tylko zyskał pewność, że klientka odeszła wystarczająco daleko. Zbadał wisiołek palcami znawcy, uniósł go do haczykowatego nosa, aby go obwąchać i musnął czubkiem języka. Był niewielki, wielkości paznokcia u kciuka, z mało wytrzymałego stopu srebra, ale na pewno dostanie za niego pół reala. Los w końcu uśmiechnął się do Zachariasza po beznadziejnym tygodniu. Tego wieczora będzie mógł sobie pozwolić na dobrą gorącą zupę.

Pozostał na placu przez jakieś pół godziny, nie chciał jeszcze kończyć dnia. W końcu jednak znudziło mu się kreślenie miską łuku w powietrzu za odgłosem kroków. Do tego sposobu uciekał się tylko wtedy, gdy był zdesperowany, jednak tego popołudnia nawet on nie przynosił rezultatów.

Rozciągnął ramiona i wygiął się w tył, aby ulżyć plecom, które stale go bolały od siedzenia przez wiele godzin bez ruchu. Nadszedł czas, aby wziąć w dłoń kij, na którym zawsze się opierał, i wyruszyć w stronę domu pasera Szuflady. Końcówka kija miała metalowe okucie służące ślepcowi zarówno do obrony, jak i do orientacji w terenie. Zachariasz znał na pamięć każdą płytę chodnikową, każdą rynnę i każdy róg sewilskich ulic. Ten kawałek drewna był dla niego prawie jak wzrok.

Pomyślał o istotce, której ruchy czuł niedawno w brzuchu kobiety. Kiedy to dziecko osiągnie wiek, kiedy po raz pierwszy się ogoli, Zachariasz będzie już od dawna nawozem dla malw. Nie spodziewał się, aby miał jeszcze długo żyć, bo już przekroczył sześćdziesiątkę. Wszystko, czego chciał od życia, to trochę spokoju, talerz stawy i miękkie posłanie. Jednak żadna z tych rzeczy nie wyglądała na osiągalną, przynajmniej póki Monipodio był na niego wściekły.

Bawiąc się srebrnym wisiorkiem, wrócił myślami do przejętej matki, która mu go podarowała. Zadał sobie pytanie, jak będzie traktować to dziecko. „Jedno jest pewne – pomyślał gorzko – będzie miało lepsze życie niż ja”.

Zachariasz nie urodził się ślepy, jak lubił rozgłaszać. Historia o tym, jak to Bóg dał mu dar prorokowania w zamian za zmysł wzroku, bardzo się podobała łatwowiernym sewilczykom i zmniejszała nieufność inkwizycji. Prawdziwe przyczyny jego ślepoty leżały w biedzie i egoizmie. Kiedy miał trzy lata, jego ojciec zdał sobie sprawę, że nie da rady wykarmić jego i jego starszych braci. Był powroźnikiem, a ostatniej zimy zaczęły mu drżeć dłonie, co uniemożliwiało mu pracę. Zdesperowany uznał, że jedynym wyjściem będzie żebractwo. Jednak w ten sposób zarabiać na życie nie mogły zdrowe dorosłe osoby. Niewidome dzieci mogły żebrac na ulicach i miały zapewnione utrzymanie dzięki litości, jaką w przechodniach wzbudzał ich stan.

Powroźnik udał się więc do starej znachorki, która zapewniła go, że dzieci nie będą cierpieć. Zostawił z nią chłopców, a ona związała ich mocno, po czym przysunęła rozgrzaną do czerwoności

igłę do ich oczu. Ojciec poszedł do karczmy stojącej wystarczająco daleko, by nie słyszeć ich wrzasków.

Dwoje z dzieci z powodu bólu, szoku doznanego tego dnia i ran, które uległy zakażeniu, zmarło przed upływem miesiąca.

Zachariaszowi udało się przeżyć i – odkąd skończył trzy lata – musiał zebrać na ulicach, aby utrzymać siebie i swojego ojca. To było długie i trudne życie, aż do czasu, gdy na swej drodze spotkał młodego bandytę zwanego Monipodio.

„Oby ten szczur nigdy nie wyszedł z łona swej matki”.

Układ bruku pod końcówką kija Zachariasza zmienił się nieco i ślepiec skręcił za róg, zanim dotarł do ulicy Armas. Zatrzymał się na chwilę, bo wydało mu się, że za plecami słyszy kroki, które zwalniają wtedy, gdy on zmienia kierunek. To były ostrożne kroki. Zdawało się, że ich właściciel porusza się swobodnie, jednak nie czyniąc zbyt dużego hałasu, w odróżnieniu od większości mieszkańców tego miasta.

Zatrzymał się ponownie, ale kroki za nim już umilkły. Uspokojony znów skręcił, wchodząc w ulicę Cruces. Dla pewności dotknął muru po swojej lewej stronie, ale tylko z przyzwyczajenia. Przemierzał tę trasę setki razy i już dawno zdążyła uwiecznić się w jego doskonałej pamięci. Ślepiec niemal nie pamiętał widoku światła czy kształtów przedmiotów. Krople deszczu pod okapami domów, drzewka pomarańczowe w kwiatkach lub delikatny zarys piersi kobiety były obrazami, które nigdy nie wyryły się w jego umyśle. Za to rozwinął w sobie niesamowitą umiejętność zapamiętywania i liczenia – z tego wzięły się jego problemy.

Kiedy poznał Monipodia – a było to już niemal dwadzieścia lat temu – młody bandyta był szefem niewielkiej bandy złodziei

parającej się wyłamywaniem zamków i kradzieżą koszul ze sznurów na bieliznę. Pracowali między Puerta de la Macarena i Puerta del Sol, i wyciągali z tego zajęcia tyle tylko, by przeżyć. Ale Monipodio chciał więcej. Marzył o jednej wielkiej bandzie, której on byłby szefem.

Monipodia charakteryzowała cierpliwość, spryt i brutalność, cechy potrzebne, aby osiągnąć ten cel. Stopniowo, z upływem lat, powiększał swoją bandę o kolejnych złodziei, żebraków, przemytników, cyganki i alfonsów. Wszelkie przejawy buntu tłumił krwawo, tak aby dla całego półświatka Sewilli było jasne, że nie należy z nim zadzierać.

Brakowało mu jedynie zdolności intelektualnych do zarządzania rosnącym przestępczym imperium. Sewilla była miastem liczącym sto pięćdziesiąt tysięcy dusz, z których niemal tysiąc przestępców wszelkiej maści wysysało, co tylko się dało, jak gigantyczna pijawka. Monipodio domagał się udziału w każdej kropli wyssanej krwi. Siedział pośrodku tej ogromnej pajęczyny i potrzebował kogoś, kto poprowadziłby jego rachunki. Ile zarabiają prostytutki? Ile powinni oddać ich alfonsi z Compásu? Jaką opłatę powinni wносить drobni paserzy z Malbaratillo za każdy kram. Jak zorganizować wypłaty dla straży, aby trzymała się z dala od interesów organizacji. Gdzie rozmieszczać co tydzień bandy złodziei, aby nie stali się zbyt znani.

W dniu, w którym na dwór przyprowadzono ślepego i chudego żebraka imieniem Zachariasz, o którym mówiono, że ma genialny umysł, Monipodio tylko rzucił na niego okiem, po czym jął się śmiać.

– A ten jakżeby miał cokolwiek policzyć, skoro nie dojrzy nawet liczydła? Wykopać mi go stąd.

Jego zbiry schwyły ślepeca pod ramiona i powlokły go w stronę wyjścia, jednak Zachariasz zdążył coś powiedzieć, zanim go wyrzucono.

– Banda z ulicy Arcabuceros was oszukuje!

Zaintrygowany herszt bandytów uniósł w górę palec i zbiry się zatrzymały.

– A skąd ty to wiesz, żebraku?

Zachariasz nie widział oblicza Monipodia, jednak coś w jego głosie mu powiedziało, że jeżeli nie udzieli właściwej odpowiedzi, wyjdzie stąd w gorszym stanie niż tylko poobijany. Wymienił nazwę bandy z ulicy Arcabuceros, ponieważ była jedyną, jaką znał, choć nie miał zielonego pojęcia, czy oszukuje Króla Złodziei czy nie. Musiał myśleć bardzo szybko.

– Powiedzcie mi, panie, ile wam płacą miesięcznie jako procent od swego zarobku?

– Siedem escudo, równiuteńko.

– A ile się należy?

– Osiemdziesiąt maravedí od każdego zarobionego escudo.

Jedno złote escudo było warte czterysta miedzianych maravedí lub dwanaście srebrnych reali. Zachariasz przeliczył wszystko w mgnieniu oka.

– To znaczy, że twierdzą, iż zarabiają trzydzieści pięć złotych escudo miesięcznie. Powiedzcie, jak byliście kiedyś szefem bandy złodziei, czy zawsze wtedy zarabialiście miesięcznie tyle samo?

– Nie, nie zawsze. Czasem zdarzy się lepszy skok, bywają też gorsze miesiące.

– A jednak oni płacą wam tyle samo co miesiąc. Dokładnie tę samą kwotę.

Monipodio zdębiał, zdziwiony zarówno szybkością, z jaką Zachariasz wszystko porachował, jak i przebiegłością, jaką się wykazał. Szefa bandy Arcabuceros wezwano na dwór, gdzie mu udowodniono, że zaokrągliła w dół kwotę należną Królowi Złodziei. Wyszedł z tego z kilkoma złamanymi palcami tylko dlatego, że Monipodio był w niespotykane dobrym nastroju. Znalazł wszak narzędzie, którego potrzebował. Ślepiec również był zadowolony. Skończyło się jego żebracze życie o głodzie i chłódzie.

Zachariasz w końcu dotarł do celu. Zawahał się przez chwilę, zanim zastukał do drzwi pasera. Jeżeli temu ostatniemu dzisiejszego popołudnia nie dopisze humor, znów zacznie wybrzydzać i Zachariasz będzie musiał go błagać o każde maravedí. Szuflada był skąpym wieprzkiem, jednak po sprawie z Monipodiem ślepiec nie mógł niestety udać się do nikogo innego. W końcu uderzył kilka razy laską w drewno. Nie miał innego wyjścia.

– Porysujesz mi drzwi tym swoim kijem, Zachariaszu – odezwał się głos po drugiej stronie. Ślepiec wszedł do środka i zrobił cztery kroki, które dzieliły go od lady.

– Pochwalony, Szuflado.

– Pochwalony. Cóż mi przynosisz?

Zachariasz wyjął srebrny wisior i położył go na ladzie. Usłyszał, jak paser grzebie w szufladach za sobą. To właśnie od nich wziął się jego przydomek. Szuflada był głównym paserem Monipodia, doświadczonym wytapiaczem i fałszerzem biżuterii, więc przez jego sklep przechodziły wszystkie wartościowe rzeczy, dla których

nie znalazło się miejsce na Malbaratillo, zanim przerzucono je przez Betis do Triany. Dla zwykłych mieszkańców Sewilli był tylko prostym jubilerem prowadzącym zaniedbany i rzadko odwiedzany sklepik, żyjącym ze sprzedaży tanizny.

Szuflada postawił na ladzie niewielką wagę i na jednej z szal umieścił wisior.

– Za to gównu mogę ci dać najwyżej dziesięć maravedí. I tak jestem hojny.

– Ależ on jest wart co najmniej pół srebrnego reala – zaprotestował żebrak.

– Ślepcze, to ja tu decyduję. Bierzesz czy nie?

Zachariasz z trudem przełknął ślinę. Jego wydatna grdyka poruszyła się w górę i w dół chudej szyi. Nie widział tego, ale doskonale wiedział, że Szuflada się uśmiecha, bawiąc się tym niepotrzebnym upokorzeniem ślepca. Była to, oczywiście, część kary, jaką Monipodio nałożył na niego, ale Szuflada traktował to jakoś bardziej osobiście. Bezczelnie okradał go z siedmiu maravedí, których brakowało do pół reala. Zachariasz pilnie potrzebował trzydziestu, aby zapłacić za gospodę, w której nocował. Jeśli wróci tam bez pieniędzy, wyrzucą go bez skrupułów. Pocieszył się myślą, że zachowa chociaż resztę zgromadzonej jałmużny. Wprawdzie się nie naje, ale przynajmniej będzie miał gdzie położyć swoje zmęczone plecy.

– Dobrze.

Szuflada położył monety na ladzie. Jednak kiedy Zachariasz wyciągnął dłoń, usłyszał, że paser odsuwa je z zasięgu jego ręki, pozostawiając mu tylko jedno maravedí. Jedną ósmą wartości małego bochenka chleba.

– Oto twój udział, ślepcze. Reszta zostaje na poczet twojego długu u Króla.

Zachariasz wściekły odwrócił się w stronę wyjścia, kiedy poczuł szarpnięcie w tył. Ktoś wyszedł z zaplecza, obszedł ladę i złapał go za ubranie. Sądząc po jego wzroście i odorze potu, był to jeden ze zbirów Monipodia.

– Po przemyśleniu, ślepcze... stwierdziłem, że jesteś zbyt stary. W tym tempie musiałbyś żyć jeszcze ze dwie dekady, aby spłacić dług. Przeszukaj go, Kulawy.

Jakieś ramię przygniotło go do ściany. Zachariasz poczuł w ustach gorzki smak tynku zmieszany z kwasem podchodzącym w górę od żołądka, ze strachu. To nie mogło się wydarzyć.

– Proszę was, panowie moi. Potrzebuję tych pieniędzy. Proszę was.

Dłoń zbira wciąż go przeszukiwała, nie bacząc na jego błagania. Dwa razy przesunęła się po ukrytej kieszeni, w której Zachariasz przechowywał otrzymaną jałmużnę. Starzec aż wstrzymał oddech. Może jednak mu się uda.

– Nie ma nic więcej – odezwał się niski i nieprzyjemny głos tuż przy jego uchu.

– Nie wierzę. Całymi dniami przesiaduje jak głupek na placu św. Franciszka. Poza tym nie denerwowałby się tak, gdyby nic więcej nie miał. Szukaj dalej.

Zachariasz przeklął się w duchu za to, że przyszedł najpierw tutaj. Trzeba było wcześniej pójść do gospody. Te marne maravedí, które przechowywał w ukrytej kieszonce, stanowiły cały jego majątek. Jeżeli te dranie je znajdą, tej nocy będzie musiał spać na

schodach jakiegoś kościoła, jak najbardziej zdesperowani pośród żebraków. A następnego dnia historia zacznie się od nowa.

– Aż tyle wam płaci Monipodio za to, byście mnie tak traktowali? – zajączał ślepiec.

– Jemu jest zupełnie obojętne, czy ci wyśpiewujemy psalmy czy lejemy kijami. On chce tylko odzyskać utracone dziewięćdziesiąt escudo. Cała przyjemność po naszej stronie.

Zbir wydał triumfalny pomruk, macając pod rękawami tuniki Zachariasza. Wyczuł twardsze w dotyku miejsce umiejętnie ukryte pod szwem. Ślepiec usłyszał, jak stalowe ostrze rozdziera materiał co najmniej na palec od jego pachy, a monety spadają na podłogę.

– Widzisz, Kulawy? – rzekł Szuflada, śmiejąc się okrutnie. – Z drzewa zawsze spadną jakieś owoce, trzeba tylko dobrze potrząsnąć. A teraz wyrzuc go stąd.

Zachariasz poczuł, jak Kulawy łapie go za ubranie i popycha naprzód. Wylądował w kanale biegnącym w poprzek ulicy, przemoczony i dezorientowany. Za plecami usłyszał donośne trzaśnięcie drzwi. Ogarnęło go poczucie klęski i rozpacz. Leżąc tak, upokorzony, z posiniaczonymi kolanami, zapragnął umrzeć.

Nagle poczuł, jak jakieś ogromne łapska podnoszą go z taką łatwością, jakby był lekki jak piórko. Ogarnięty przerażeniem, nie wiedząc, co to za nowe zagrożenie, Zachariasz oddychał z trudem. Żebrakowi wydawało się, że jest niesiony całą wieczność, w rzeczywistości jednak trwało to nie więcej niż kilka minut. W końcu ktoś, kto go niósł, zatrzymał się, i ślepiec znów poczuł grunt pod nogami. Kolana drżały mu tak, że niemal upadł. Ktoś

włożył kij w jego dłonie, dzięki czemu z trudem udało mu się utrzymać na nogach.

– Podtrzymaj go, Josué. Zdaje się, że nasz nowy przyjaciel nie czuje się najlepiej – rzekł jakiś głos naprzeciw niego.

Brzmiał młodzieńczo, metalicznie i żywo, i przebijała przezeń jakaś dziwna stanowczość. Choć Zachariasz był przekonany, że nigdy wcześniej nie słyszał tego głosu, było w nim coś, co wzbudzało zaufanie.

Ogromna dłoń spoczęła na jego ramieniu, tym razem dużo delikatniej.

– Kim jesteście?

– Przyjaciółmi, mistrzu Zachariaszu – odrzekł młodzieniec. – A z tego, co widzę, przydadzą wam się przyjaciele.

XLIII

Sancho i Josué dotarli na przedmieścia Sewilli cztery dni przed spotkaniem z Zachariaszem. Opuścili dom kowala w odzieniu należącym niegdyś do Joaquína, syna Dreyera. O ile na Sancha było ono tylko nieco za małe, w przypadku Josuégo trzeba było zszyć kawałki różnych części garderoby, aby jako tako to wyglądało. Z obuwiem nie dało się nic zrobić, ale Sancho planował jak najszybciej uporać się z tym problemem. Musieli jednak w tym celu dotrzeć do miasta i wprowadzić w życie jego plan.

Teraz już nie rzucali się w oczy tak jak wtedy, gdy rok temu zbiegli po zatonięciu „San Telmo”, więc nie musieli się już ukrywać, mijając po drodze innych podróżnych. W okolicy klasztoru Cuevas dotarli w porze obiadowej. Mogli zejść drogą dalej, przejść przez most – Puente de Triana – i przyłączyć się do innych czekających w kolejce u bram na wejście do miasta, jednak Sancho chciał uniknąć pytań strażników o Josuégo. Nie posiadali tytułu własności niewolnika ani pieniędzy, dzięki którym strażnicy przymknęliby na to oko, więc ryzykowaliby, że zostaną zdemaskowani. W razie najmniejszej wątpliwości strażnicy

zabraliby Josuégo do więzienia przy ulicy Sierpes do czasu ustalenia jego tożsamości. Ale na to ryzyko Sancho nie chciał się zdecydować. Choć to, które zamierzali podjąć, wcale nie było mniejsze.

Pozostali w cieniu wysokich murów klasztornych, gdzie ucieli sobie drzemkę. Tej nocy będą musieli być silni i wypoczęci.

„Boję się” – powiedział Josué.

Księżyc był już wysoko na niebie, więc Sancho dokładnie widział gesty przyjaciela. Srebrzyste światło nadawało mocnym i odważnym rysom twarzy czarnego mroczny wygląd, jakby był jakimś duchem.

– Wiem, wiem – odrzekł cicho Sancho. Nie mógł odpowiedzieć na migi, ponieważ miał zajęte ręce. – Ale wiesz, że nie mamy innego wyjścia. Nie mogę cię tu zostawić samego.

Josué wzruszył ramionami i ruszyli dalej w stronę rzeki. Wcześniej sprzed jednej z chat w okolicy ukradli łódkę. Jej właściciel najpewniej używał jej do połowu raków, które sprzedawał później w mieście. Była tak mała, że Sancho był w stanie sam ją nieść. Nie dziwiło go więc, że gigant, który autentycznie bał się utonięcia, był przestraszony. Sancho w zamyśleniu przyglądał się ciemnej powierzchni wody, poruszającej się, jak gdyby czaił się tam jakiś gad. On sam miał wątpliwości, czy ta marna łupina uniesie ciężar jego przyjaciela.

Kiedy opuścili ją na rzekę, Josué zazgrzytał zębami i zwiesił głowę, jednak w końcu odważył się do niej wejść. Siedział z podkurczonymi nogami i ściągniętymi ramionami, a jego ciało sprawiało wrażenie, że wylewa się z łódki. Sancho zawahał się przez chwilę. Jeżeli Josué wykona jakiś niespodziewany ruch,

kiedy już prąd znieśie łódkę na środek, z pewnością utonie. Sam wszedł do wody i zaczął pchać łódkę. Choć w środku sierpnia woda opadała, siła prądu i tak kilkakrotnie niemal zatopiła ich środek transportu. Josué trzymał się burt z taką siłą, że drewno aż trzeszczało pod naciskiem jego palców.

Kiedy dotarli na drugi brzeg, Josué, zgodnie z planem, pobiegł ukryć się w krzakach. Sancho odczuwał pewne zmęczenie, ale mimo wszystko nie chciał tam zostawić łódki. Dla poławiacza raków była najpewniej jedynym źródłem utrzymania, a jeżeli zostawią ją na tym brzegu, on nigdy jej nie odzyska. Przepłynął więc na drugą stronę, tym razem w łódce, wiosłując ramionami. Kiedy odniósł łódkę tam, skąd ją zabrał, usłyszał chrapanie rybaka. Sancho uśmiechnął się w duchu. Rano łódka będzie sucha i rybak nawet się nie zorientuje, że ją sobie pożyczyli.

Powrót wpław do Sewilli wymagał wiele wysiłku i kiedy Sancho dotarł do miejsca, gdzie mógł dotknąć nogami dna, musiał się zatrzymać na dłuższą chwilę, aby złapać oddech. Nie wyszedł jeszcze z wody. Wpatrywał się w gwiazdy i słuchał szumu rzeki. W końcu dotarł do krzaków, w których ukrył się Josué.

– Czekał tutaj, wrócę przed świtem.

Josué ścisnął jego ramię, życząc mu szczęścia. Sancho ruszył naprzód, wiedząc, że będzie go potrzebował. Musiał obejść mury od zewnątrz i dotrzeć do Puerta del Arenal, a to było terytorium grupy bandytów czatujących na roztargnionych podróżnych, którzy nie zdążyli dostać się do miasta przed zamknięciem bram. Poprawił pas, na którym wisiał rapier Dreyera. „Mój rapier”, pomyślał z dumą. Nigdy jeszcze nie walczył z nikim na śmierć

i życie, i nie wiedział, jak sobie poradzi. Jaka będzie jego reakcja, kiedy dojdzie do walki poza salą ćwiczeń.

Obszedł domy Kolumba, gdzie mieszkali potomkowie Admirala, i ruszył w dół, przyklejony do murów. Nagle serce mu podskoczyło. Jakieś trzydzieści czy czterdzieści kroków przed sobą dostrzegł kilka postaci przyczajonych w ciemności. Rozmawiały szeptem, a jedna z nich podtrzymywała niewielki żar, zapewne do zapalania lontów arkebuzów. Było ich zbyt wielu jak na grupę przydrożnych rozbójników. Zastanowił się przez chwilę, czy to mogą być strażnicy szykujący zasadzkę na kogoś, ale uznał, że to bardzo wątpliwe. Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości nie zapuszczali się nocą poza mury miasta, jeżeli nie było to konieczne.

Sancho nie mógł teraz zawrócić i spróbować dostać się z drugiego brzegu, zbyt długo by to trwało. Czas nie stał w miejscu, a z nadejściem świtu marna kryjówka Josuégo zostanie odkryta. Nie mógł też spróbować wejść do wody, ponieważ w tym miejscu, już za łukiem, który zataczała rzeka na północnym krańcu miasta, nurt był w nocy zbyt niebezpieczny. Pozostawało jedynie przemknąć pomiędzy nimi pod osłoną mroku.

Położył się na ziemi i zaczął się czołgać, starając się nie tracić ochrony, jaką dawał mu cień rzucany przez mury miejskie. Tej nocy księżyc świecił bardzo jasno, Sancho przeklął sam siebie, że nie wziął tego pod uwagę. Wydawało mu się, że przemieszcza się w ślimaczym tempie i gęsty pot wystąpił mu na plecy. Bandyci znajdowali się tak blisko, że kiedy ich mijał, czuł w ich oddechach, co zjedli na wieczerzę.

– Coś mnie musnęło w nogę – wyszeptał jakiś głos na prawo od Sancha.

Chłopak zastygł w bezruchu, czując przez wysuszoną ziemię wibrację wytworzoną przez ciało mówiącego, który teraz niespokojnie się poruszał, szukając tego, co go zaalarmowało.

– Cicho, człowieku. To pewnie tylko żaba. Nie bądź tchórzem – rzekł inny głos nieco dalej.

– A jeśli to wąż?

– Cisza! Chcesz, żeby nas usłyszeli strażnicy z murów? Wstań i przesuń się dalej, jeśli tak się boisz.

Mężczyzna znajdujący się najbliżej Sancha podniósł się, a jego buty musnęły stopy Sancha. Chłopak przywarł do murów i natychmiast poczuł intensywny ból. Między kamieniami rósł kolczasty krzew, którego kolce przebiły się przez koszulę i przecięły mu skórę na plecach. Zacisnął zęby na przedramieniu, aby nie krzyknąć.

Kiedy mężczyzna zaczął się poruszać, depcząc swoich towarzyszy i wywołując ich protesty, Sancho wykorzystał zamieszanie, aby się oddalić. Czołgał się teraz szybciej. Kilka minut później odważył się podnieść i szedł dalej pochylony. Poruszał się teraz tak szybko, że wydało mu się, iż frunie. Dopiero na wysokości Puerta de Triana musiał ponownie paść na ziemię, aby ukryć się przed światłem lamp oświetlających Puente de Barcas. Tę ogromną i niestabilną drewnianą platformę łączącą Trianę z Sewillą zawsze patrolował oddział straży odpowiedzialny za teren między zamkiem inkwizycji a portem. Zadaniem tych żołnierzy było raczej dopilnowanie, by żaden wróg nie zniszczył drogiego i kruchego mostu, niż kontrola wstępu do miasta

w środku nocy. Ale Sancho i tak nie chciał, by cokolwiek stanęło pomiędzy nim a jego celem, szczególnie teraz, gdy był już blisko.

Zbliżając się do drugiego krańca Arenalu, usłyszał w oddali jakieś strzały, na północ od miejsca, w którym się znajdował. Zatrzymał się z przechyloną głową i napiętymi mięśniami, ale walka toczyła się daleko od niego. Usłyszał jeszcze kilka strzałów, po czym znów zapadła cisza. Był przekonany, że miało to coś wspólnego z grupą mężczyzn, których widział przyuczajonych przy Bramie Królewskiej.

„Cóż takiego dzieje się w Sewilli? Coś takiego nie jest normalne” – pomyślał, ruszając dalej.

W końcu dotarł do niewielkiego wzgórza na tyłach Malbaratillo, które tak dobrze pamiętał. Dobrych kilka minut zajęło mu znalezienie po omacku wejścia do kryjówki, którą dzielił z Bartolem. Kiedy jego palce napotkały umiejętnie zakamuflowaną szparę służącą do usuwania kamienia zakrywającego wejście, zawahał się. Ogarnął go strach i niepokój. Jeżeli ktoś jeszcze wiedział o tym miejscu – a wydawało się, że Monipodio zna wszystkie tajemnice tego miasta – to z pewnością przeszukał je po śmierci karła. Znalezienie skrytki pod posłaniem Sancha nie byłoby zbyt trudne. W takim przypadku nie będzie tam niewielkiej sakiewki pełnej złotych monet, na której Sancho oparł wszystkie swoje plany i nadzieje. Musiałby wówczas wrócić do Josuégo z pustymi rękami i namówić go do ponownej przeprawy na północny brzeg, podczas gdy świt zbliżał się wielkimi krokami. Jeżeli się pomylił, zakładając, że skrytki nikt nie znalazł, Josué i on sam mogli skończyć ponownie przykuci do wiosła na jakiejś galerze.

Głęboko odetchnął, potrząsnął głową, aby odpędzić złe przeczucia, i pociągnął kamień do siebie – początkowo ani drgnął. Od dłuższego czasu tkwił w miejscu i u dołu obrósł mchem i chwastami. Sancho uspokoił się nieco. Wyglądało na to, że przynajmniej z tej strony nikt nie wchodził.

W końcu kamień wysunął się, wydając nieprzyjemny odgłos, i chłopak wsunął do środka ramiona i głowę. Przeciśnięcie się przez otwór nie było tak łatwe, jak zapamiętał, i pomyślał z nostalgią, że już nie jest dzieckiem, którym był, kiedy po raz pierwszy zawitał do tej części murów. Odepchnął się stopami i wylądował na kamieniu. Leżał na brzuchu i nie mógł poruszyć ramionami. Utknąwszy na chwilę, poczuł na twarzy coś oślizgłego i wielonożnego, i po raz drugi tej nocy musiał się bardzo postarać, by nie krzyknąć.

Sancho miał głęboką awersję do owadów i leżąc w ciemnościach, unieruchomiony, poczuł lekki atak paniki. Zaczął płytko oddychać i zaciskać zęby. Wydawało mu się, że słyszy setki czarnych nóżek sunących po kamieniach wokół niego. Kiedy zdołał się uspokoić, zaczął się wiercić, wspierając się na palcach u stóp. Po dłuższej chwili, kiedy już rany na plecach w miejscach, gdzie wbiły się kolce krzaka, na którym się wcześniej oparł, nie przysparzały mu piekielnego bólu, Sanchowi udało się w końcu uwolnić jedno ramię. Złapawszy się kamienia po drugiej stronie, szarpnął mocno i wpadł do środka kryjówki, uderzając głową w coś, czego nie potrafił zidentyfikować.

Wstał z trudem i pomacał dookoła siebie, próbując się zorientować w przestrzeni. Z mroku wynurzały się powoli znajome kształty, choć Sanchowi wydawało się, że wszystko wokół

jest porozrzucane. Zadał sobie pytanie, czy to na skutek jego upadku, czy też ktoś był tam przed nim. Wyciągnął ramiona w stronę miejsca, gdzie Bartolo zawsze trzymał hubkę, krzesiwo i krzemień, ale otwór w ścianie był pusty. Nie pamiętał, czy położył je na swoim miejscu tego dnia, gdy po raz ostatni wychodzili z kryjówki, w dniu śmierci karła. Jeżeli tak, byłby to ostateczny dowód na to, że ktoś odkrył kryjówkę i splądrował ją.

Zdesperowany pomacał podłogę, aż natknął się na coś gładkiego i twardego. Był to kawałek krzemienia, który pewnie odłamał się, spadając. Hubka leżała nieopodal, ale nigdzie nie mógł znaleźć krzesiwa. Sancho, znecierpliwiony, użył głowicy rapiera, aby wykrzesać iskry z krzemienia i zapalić hubkę. Kiedy nieśmiały, ale jednolity pomarańczowy język oświetlił kryjówkę, chłopaka zalała fala wspomnień. Wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dwóch lat, skurczyło się i rozmyło jak sen o niewyraźnych konturach. Przez chwilę miał wrażenie, że zaraz w progu pojawi się Bartolo, cuchnąc winem i przeklinając na czym świat stoi swojego pecha w kartach. Potem płomień zadrżał, zmuszając Sancha do powrotu do rzeczywistości. Podeszedł pośpiesznie do swojego posłania i wywrócił je, usuwając je sobie z drogi. Pod spodem znalazł luźny kamień, który służył mu za skrytkę. Męczył się chwilę, aby go wyjąć, z każdą chwilą coraz bardziej nerwowo, aż w końcu wsunął dłoń w otwór. Kiedy czubkami palców dotknął skórzanej sakiewki i poczuł wewnątrz znajome twarde i zaokrąglone kształty, wyrwało mu się westchnienie ulgi.

Wyjął sakiewkę z dziury i pociągnął za sznurki, a zawartość wypadła na skrzynię, służącą niegdyś Bartolowi i jemu za stół.

Zobaczył złote i srebrne monety zaoszczędzone podczas terminowania u karła. Przypomniał sobie, jak zaoferował je Bartolowi na spłatę długu u Monipodia, i jak Bartolo mężnie odrzucił tę ofertę. Dwadzieścia escudo, które leżały u podstaw jego planu zemsty na zabójcy karła i walki o lepsze życie dla niego i Josuégo.

Opuścił kryjówkę przejściem prowadzącym do wewnątrz miasta i pobiegł na północ uliczkami dzielnicy Calafates. Niebo zaczynało już jaśnieć i Sancho z każdą chwilą coraz bardziej niepokoił się o Josuégo. Bał się, że ktoś mógł go znaleźć. Jego pierwotny plan zakładał, że wyjdzie z miasta poza mury i pójdzie po przyjaciela, ale musiał go zmienić.

Kiedy zaspani strażnicy krótko przed świtem otwierali Puerta Real, komentowali między sobą strzelaninę, która miała miejsce kilka godzin wcześniej za murami miejskimi. Choć Sancho umierał z ciekawości, by się dowiedzieć, co się wydarzyło, nie miał czasu, by zatrzymać się na pogaduchy. Wyślizgnął się na zewnątrz wraz z grupą chłopów i robotników rolnych, którzy już czekali na otwarcie bram. Wszyscy nieśli narzędzia i kosze lub wężełki z jedzeniem na długi dzień pracy. Sancho zostawił rapier w kryjówce, nie bez obaw, i teraz był jedynym idącym z pustymi rękami, jednak trzymał głowę nisko i pokornie, więc nikt na niego nie zwrócił uwagi.

Wieśniacy skierowali się w stronę Puente de Barcas, gdzie znajdowały się ogrody i pola – niektóre stanowiły ich własność, na innych tylko pracowali. Sancho stopniowo zwalniał tempo marszu, aż w końcu znalazł się na samym końcu grupy. Zanim dotarli do

mostu, zatrzymał dwóch robotników, którzy wyglądali na ojca i syna.

– Wybaczcie, panowie, chciałbym wam zaproponować interes.

Starszy z nich spojrział na niego nieufnie i wykonał ruch, jakby chciał iść dalej, ale młodszy zmierzył Sancha wzrokiem od stóp do głów.

– Czego chcecie?

– Chciałbym odkupić od was narzędzia.

Mężczyźni popatrzeni na siebie i na swoje dwie stare motyki. Pierścienie mocujące były pokryte ziemią i rdzą, a kije nierówne i wyszczerbione.

– A po cóż ci nasze narzędzia, chłopcze? – rzekł starszy.

– Zaproponowano mi pracę na polu, a nie chcę dotrzeć na miejsce bez własnych narzędzi.

– Ile oferujesz? – zapytał młodszy.

– Nie rozumiem, po co ci dwie motyki – powiedział starszy niemal w tym samym momencie.

Sancho zaprezentował najlepszy ze swoich uśmiechów, patrząc to na jednego, to na drugiego mężczyznę.

– Na miejscu czeka na mnie przyjaciel. Mogę zapłacić srebrnego reala.

– To bardzo dużo za dwie motyki. Za te pieniądze mógłbyś ich kupić z dziesięć. Jest w tym jakaś sztuczka? – zapytał starszy mężczyzna, unosząc brew.

– Ojczy, mogę z wami zamienić słowo? – rzekł młodszy, ciągnąc starszego za ramię.

Sancho z niepokojem obserwował, jak kłóć się kilka kroków dalej. Syn gestykułował, podczas gdy jego ojciec tylko potrząsał

głową. W końcu młodszy mężczyzna podszedł do Sancha z obiema motykami w dłoni.

– Ojciec mówi, że nie wyglądacie na robotnika rolnego. I że jeżeli możecie zapłacić jednego srebrnego reala, to i dwa też możecie.

Sancho aż gwizdnął z zaskoczenia, słysząc to bezczelne żądanie. To było szaleństwo, ale on nie miał czasu do stracenia. Brzeg, na którym zostawił Josuégo, wkrótce zapełni się rybakami, a jeżeli któryś odkryje ogromnego Murzyna ukrytego w krzakach, sprawy mogą przybrać bardzo nieprzyjemny obrót. Musiał wrócić do przyjaciela, zanim ktoś go znajdzie.

– Dam wam dwa srebrne reale, jeżeli dorzucicie tę torbę.

– To jest nasz obiad – rzekł młodszy mężczyzna, przyciskając torbę do siebie.

Sancho pokazał mu otwartą dłoń. Błyszczały na niej dwie monety. Podrzucił je w górę z brzękiem i złapał ponownie, zamykając wokół nich pięść.

– Za to będziesz mógł kupić więcej jedzenia. Zgadzasz się, czy mam szukać kogoś innego?

Chłopak spojrzał za plecy Sancha, skąd nadchodziła kolejna grupa wieśniaków, potem na ojca, który czekał niecierpliwie ze skrzyżowanymi ramionami.

– Dobrze – odrzekł, oddając Sanchowi motyki i torbę, i szybko biorąc z jego dłoni monety, jakby się obawiał, że ten zmieni zdanie.

Sancho bez zwłoki ruszył wzdłuż rzeki. Świtało już pół godziny temu, a on wciąż miał spory kawałek do pokonania, nim dotrze do miejsca, gdzie czekał na niego Josué. Po drodze mijał grupy

rybaków niosących sieci i skrzynki oraz foluszników zmierzających w stronę swoich młynów. Ciemne i bezludne kilka godzin temu miejsce teraz stało się tłoczne i pełne życia.

Zdyszany i z sercem walącym w piersi jak młotem dotarł do krzaków, w których zostawił czarnego. Uśmiechając się, wszedł pomiędzy nie.

– Josué, udało się!

Jednak uśmiech zamarł mu na twarzy, kiedy zobaczył, że Josuégo tam nie ma. Rozejrzał się niespokojnie wokół. Josué zniknął.

XLIV

Zdyszany i zmartwiony Sancho zaczął się zastanawiać, co takiego mogło się zdarzyć. Gdyby został odkryty, Josué nie stawiałby oporu, ani też nie mógłby nikomu wyjaśnić, kim jest. Gigant był bezbronny jak owieczka wobec kogokolwiek, kto by mu zagroził, o ile oczywiście ktoś by się na to odważył. Sancho rozejrzał się wokół, ale nie zauważył nikogo poza nosiwodami napełniającymi swoje amfory i dzbany. To miejsce było jedynym punktem na rzece, gdzie można było pobierać wodę, ponieważ już za kolanem rzeki przy Bramie Królewskiej siarka i inne substancje chemiczne stosowane przez foluszników nadawały wodzie bardzo zły smak.

Poszedł w stronę brzegu, rozglądając się na wszystkie strony i próbując odgadnąć, co takiego się zdarzyło, kiedy poczuł, jak ogromna dłoń wynurza się z błota, chwyta go za kostki i rzuca na ziemię. Już podniósł jedną z motyk, aby uderzyć napastnika, kiedy dotarło do niego, kto go złapał.

– Josué!

Tuż obok niego, jak gdyby sam brzeg rzeki unosił się i ożywał, powstał z błota jego przyjaciel z szerokim uśmiechem na twarzy,

od stóp do głów pokryty błotem. Sancho, nie myśląc nawet o tym, że się ubrudzi, uściskał go mocno.

– Co się stało?

„O świcie zacząłem słyszeć hałasy i się przestraszyłem” – rzekł Josué, z każdym kolejnym gestem zrzucając z siebie niewielkie kawałki suchego już błota. – „Przypomniałem sobie pewną sztuczkę stosowaną przez zwierzęta w moich stronach. Kiedy nadchodzą inne zwierzęta, które chcą je zjeść, tarzają się w błocie”.

Josué był szczęśliwy, że Sancho wrócił. Przestał się uśmiechać dopiero wtedy, gdy chłopak powiedział mu, że będą musieli obaj wejść do wody, aby zmyć z siebie całe to błoto.

Po kąpeli rozwiesili swoje ubrania do wyschnięcia, a sami położyli się nago w słońcu, posilając się jedzeniem z torby wieśniaków.

– Po południu wejdziemy do miasta z motykami na ramieniu. Zachowuj się normalnie, a wszystko będzie dobrze.

Tak też zrobili. Strażnicy przy Bramie Królewskiej ledwie spojrzeli na Sancha, jednak zobaczywszy Josuégo, jeden z nich zatrzymał ich, zamykając im drogę swoją piką.

– Do kogo należysz, niewolniku?

– Należy do mojego pana, markiza Aljarafe – odrzekł Sancho, wymieniając jednego z największych posiadaczy ziemskich w mieście. Tym sposobem zmniejszył szanse, że zostanie zdemaskowany, ponieważ markiz miał mnóstwo robotników, którzy zajmowali się jego polami. – Dopiero co go kupiono i jeszcze nawet nie mówi w naszym języku.

– Nigdy wcześniej go tu nie widziałem.

– To jego pierwszy dzień pracy, panie.

– A jego świadectwo własności? – zapytał strażnik podejrzliwie.

Zgodnie z prawem niewolnicy musieli nosić przy sobie dokument potwierdzający, kto jest ich właścicielem. Zwykle nosili je w blaszanej tubie zawieszanej u pasa. Prawo to na terenie miasta nie było rygorystycznie przestrzegane, jednak kiedy niewolnik miał wyjść poza mury, rzadziej przymykano na to oczy. Zwykle właściciele posiadający wielu niewolników odnajmowali ich drobnym gospodarzom w okresach intensywniejszej pracy w polu. W takim przypadku dokument również musiał to potwierdzać.

– Pisarz pracuje nad nim, panie.

Strażnik zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy postąpić zgodnie z obowiązującymi zasadami, czyli aresztować czarnego i doprowadzić go do więzienia, gdzie przetrzymywano niezidentyfikowanych niewolników. Odwrócił się i spojrzał na swoich towarzyszy, którzy byli zajęci przeszukiwaniem wozu, który właśnie podjechał, załadowanego wieloma beczkami. Sądząc po zapachu dobiegającym z wozu, przewożono na nim młode wino lub moszcz. W pełnym słońcu panował straszliwy upał, a zbroje strażników, łącznie z hełmami i nagolennikami, były bardzo ciężkie, więc wszystko wskazywało na to, że te beczki wjadą do miasta napoczęte.

Strażnik pokręcił głową niezadowolony. Do więzienia miałby spory kawałek do przejścia. Jeżeli zabierze tam czarnego, ominie go darmowe picie.

– Dobrze, przechodźcie. Ale żeby się tu jutro nie pokazał bez świadectwa, bo pójdzie prosto na Sierpes, skąd będzie musiał go

odebrać twój pan. Zrozumiano?

Sancho pokornie kiwnął głową, choć wewnątrz przepełniała go radość. Przebranie i upał zagrały na ich korzyść. Tak czy owak chłopak nie zamierzał ponownie ryzykować, jak dzisiejszego poranka. Trzeba było to zorganizować tak, by Josué mógł swobodnie poruszać się po mieście.

Najpierw poszli po rapier do kryjówki, potem skierowali się do dzielnicy Feria, wędrując w górę ulicą Armas w stronę placu Księcia Mediny, po czym skręcili na zachód. W miarę jak opuszczali zamożniejsze części miasta, Sancho zauważał coś dziwnego na twarzach sewilczyków. Powietrze wydawało się ciężkie, i to nie tylko ze względu na ogromny upał, który sprawiał, że wydawało się, iż płuca wypełniają się ogniem. Wszędzie wyczuwało się jakieś zagrożenie – było ono jak gorące płyty chodnikowe palące podeszwy bosych stóp.

– Josué, sądziłem, że nigdy nie zatęsknię za cieniem galery.

„Jesteś szalony – odrzekł czarny. – Lepszy już ten upał, bez wiosła i bata na plecach”.

Zatrzymali się przy jakiejś fontannie, aby się napić i zmoczyć głowy. Musieli przejść przez całe miasto, ponieważ ze zleceniem, które chciał złożyć Sancho, nie mogli udać się do rzemieślników po wschodniej stronie. Nie tylko dlatego, że byli dużo drożsi, ale też ze względu na szczególne wymogi tego zlecenia, które lepiej spełni ktoś, kto jest do nich przyzwyczajony. Miał w głowie kilka nazwisk, które zapamiętał z rozmów z Bartolem, jednak kiedy dotarli do dwóch pierwszych ludzi z listy, okazało się, że jeden zamknął już interes, a drugi zmarł. Przy trzecim mieli więcej szczęścia.

– Aurelio Fanzón, krawiec – odczytał Sancho na szyldzie wiszącym na zewnątrz sklepu. Dom był niewielki, kamienny, niebielony. Kiedy przekroczyli próg, dzwoneczek wiszący nad drzwiami poruszył się i wydał krystaliczny dźwięk. Pomieszczenie było małe i tak ciemne w porównaniu z jasną ulicą, że musieli kilka razy zamrużyć oczami, by móc dojrzeć, gdzie stawiają stopy.

– Dzień dobry, panowie. Czym mogę służyć? – odezwał się sprzedawca, który wyszedł z zaplecza. Było to niski mauretański niewolnik o miedzianej skórze.

– Szukamy Fanzóna – rzekł Sancho.

Niewolnik przyjrzał się im uważnie. Motyki i zniszczone ubranie, w przypadku Josuégo sztukowane, nie zapowiadały dobrych klientów.

– Mistrz jest zajęty, kończy w tej chwili pilne zlecenie. Ale może ja będę pomocny...

Sancho podszedł do lady i rzucił na nią złote escudo.

– Będziemy rozmawiać tylko z Fanzónem – rzekł kategorycznie.

Niewolnik spojrzał na monetę z tak zaskoczonym wyrazem twarzy, jak gdyby tym dwóm obdartym klientom stojącym w progu zaczęły z ust wyskakiwać żaby. Bez wątpienia był jednak dobrze wyszkolonym pracownikiem, ponieważ natychmiast wziął monetę, skłonił głowę i zaprowadził ich na zaplecze.

Były tam schody prowadzące na piętro, gdzie znajdowała się duża i jasna pracownia krawiecka. O ściany opierały się wielkie bele wszelkiego rodzaju materiałów i brokatów. Stała tam też wąska i wysoka komoda z dziesiątkami malutkich szufladek, z których każda ogłaszała swą zawartość za pomocą próbki przyklejonej od zewnątrz. Guziki z macicy perłowej, z kości

słoniowej i ze wszystkich dostępnych metali; taśmy, igły i inne narzędzia krawieckie, od których promienie słońca wpadające przez wysokie okno odbijały się różnokolorowym blaskiem. Na środku tego dziwnego królestwa, spocony i skoncentrowany, ze szpilkami wystającymi spomiędzy zaciśniętych warg, stał Fanzón, walcząc z suknią z zielonego muślinu. Suknia wisiała na manekinie, który przypominał Sanchowi te używane w sali ćwiczeń Dreyera.

Krawiec najwyraźniej nie był zadowolony, że przerwano mu pracę, ponieważ odwrócił się w stronę sługi z nieprzyjemnym wyrazem twarzy, który bynajmniej się nie zmienił, kiedy przyjrzał się klientom. Maur podszedł do pana, wyszeptał mu coś do ucha i dyskretnie przekazał złotą monetę. Fanzón wyjął szpilki z ust i wbił je w poduszkę, przybierając łagodny wyraz twarzy.

– Dzień dobry, panowie. Mój sługa przekazał mi, że życzyliście sobie rozmawiać ze mną.

Sancho postąpił krok naprzód.

– Potrzebujemy dobrej jakości odzienia dla mojego przyjaciela i dla mnie, mistrzu Fanzón.

– Rozumiem, że pilnie potrzebujecie krawca. Rzeczywiście, lepiej by było, gdybyście chodzili nago niż w tym – rzekł, pogardliwym gestem wskazując na odzienie swoich gości. – Jednak obawiam się, że nie będę mógł panom pomóc. Jestem bardzo zajęty zleceniem dla księżnej Alby.

– Przyjaciel wspominał mi, że wykonujecie zlecenia... specjalne.

Fanzón zdziwiony uniósł jedną brew. Zostawił poduszkę na szpilki przy muślinowej sukni i podszedł do Sancha.

– Mówcie dalej, proszę.

– Potrzebny mi kaftan z wewnętrznym wzmocnieniem, kieszeniami na wytrychy i miejscem w lewym rękawie na dodatkowe ostrze. Mówiono mi, że ten model ma u was nawet swoją własną nazwę...

Krawiec nie dał chłopakowi skończyć. Złapał go mocno za nadgarstki, wydał okrzyk radości i zaczął się obracać, ciągnąc Sancha za sobą w tym dziwnym tańcu.

– Pełen strój Kakusa! Na króla Filipa, już od ponad dziesięciu lat nie dostałem takiego zlecenia! Uszyję go dla was wraz z butami w zestawie, ze wszystkimi odpowiednimi kieszonkami. Do diabła z suknią księżnej! Fahrud!

Maur pojawił się na progu pracowni, jakby za sprawą czarów.

– Tak, panie?

– Zabieraj mi to stąd natychmiast! Przynieś mi sześć... – przerwał na chwilę, patrząc na Josuégo – ...nie, lepiej dziewięć łokci czarnego sukna! I kolejnych dziewięć skóry! I pasy z bawolej skóry.

Jak opętany wydawał kolejne instrukcje, a niewolnik biegał schodami w górę i w dół.

– Myślałem o czymś bardziej dyskretnym, może ciemny brąz – usiłował wtrącić się Sancho.

– Młodzieńcze, nie jesteście przy zdrowych zmysłach. Czerń to ostatni krzyk mody na madryckim dworze. Potrzebujecie dwóch warstw dobrej skóry drapanej podłużnie i zafarbowanej na matową czerń. A jakże! W tej sprawie nie ma dyskusji! – krzyczał krawiec, machając ręką przed oczami Sancha, jak gdyby odganiał muchy.

Chłopak zwrócił się w stronę Josuégo, który patrzył na krawca podejrzliwie, jakby widoczne szaleństwo krawca było zaraźliwe.

„Ten człowiek jest bardzo dziwny – powiedział Josué. – Powinniśmy stąd pójść”.

Nagle Fanzón zamilkł, wpatrzony w jakiś punkt na suficie ponad głową Sancha. Pozostał tak przez dobrą chwilę, zupełnie nieruchomo, jak gdyby zasnął na stojąco i z otwartymi oczami. Chłopak zaniepokojony zatrzymał niewolnika zmierzającego ponownie na dół po materiały.

– Co mu jest? – wyszeptał.

Maur podniósł palec do ust, po czym wskazał na jedno z ceramicznych naczyń stojących na nieco wyższym stole, obok filców i szczotek. Sancho spojrział na etykietę naklejoną na naczyniu: rtęć. Wtedy przypomniał sobie, jak brat Lorenzo wyjaśniał mu podczas zajęć, że praca z rtęcią i innymi substancjami używanymi przez krawców i kapeluszników prowadzi do szaleństwa.

Nagle krawiec oprzytomniał. Potrząsnął głową i rozejrzał się wokoło szeroko otwartymi oczyma, jak gdyby nie pamiętał, kim jest ani co tam robi.

Wyglądało na to, że powoli rozjaśnia mu się w głowie, aż w końcu wyciągnął ręce w ich kierunku.

– Proszę wasze łaskawości na podest! – zaordynował Fanzón, kopiąc w skrzynkę pełną szpulek nici, stojącą na małym taborecie. Szpulki rozsypały się po podłodze, a Fahrud, który właśnie wracał obładowany różnymi tkaninami, postawił na nich stopę. Tkaniny w komiczny sposób pofrunęły w powietrze, a Josué musiał złapać Maura, by ten nie skręcił karku na schodach.

Niewolnik dziękował mu za to bez końca, podnosząc dłonie do czoła i serca. Rozbawiony Josué odpowiadał tym samym gestem, co sprawiało, że Fahrud patrzył na niego z podziwem.

Sancho wręczył rapier przyjacielowi i wszedł na taboret. Krawiec natychmiast zaczął go mierzyć przy użyciu dziwnego narzędzia sporządzonego z kawałków drewna połączonych ze sobą. Gryzmolił przy tym kredą na podłodze i mruczał:

– Podnieście ramię nieco wyżej. Dobrze, dobrze, młodzieńcze, macie wspaniałą figurę, nie ma co do tego wątpliwości. Rozłóżcie ciężar ciała równo na obu nogach... o, tak. Nie są to tak herkulesowe rozmiary jak waszego towarzysza, ale niewątpliwie dużo bardziej zrównoważone.

– Dziękuję – odrzekł zmieszany chłopak, wykonując polecenia krawca.

– Pełny strój Kakusa, nic dodać, nic ująć... Unieście nieco szyję. Nie zaprzeczam, wykonam go z ogromną przyjemnością. W dzisiejszych czasach przedstawiciele waszej profesji już po ten strój nie sięgają. Wszystko opiera się na brutalnej sile, żadnej przebiegłości czy zręczności, jak za dawnych czasów. Tak bardzo mam ochotę zabrać się już do pracy, że chętnie zrobiłbym to dla was gratis. Niestety, nie mogę. Materiał jest straszliwie drogi, sami wiecie. I tak dochodzimy do nieprzyjemnej kwestii, to jest mojego honorarium...

– Bez owijania w bawełnę, mistrzu Fanzón. Ile?

– Pomyślmy... mogę wam uszyć dwa zestawy spodni i trzy koszule na głowę. Czy waszemu przyjacielowi również jest potrzebny kaftan?

– Zwykły. Ma wyglądać jak niewolnik zamożnej rodziny.

– Zrobimy mu też buty. Trwałe – Fanzón zatrzymał się, w zamyśleniu stukając się palcem wskazującym w brodę. – W takim razie całość zamknie się w dwudziestu pięciu escudo.

Sancho zeskoczył z taboretu.

– Idziemy stąd, Josué.

Czarny, jak gdyby tylko czekał na te słowa przyjaciela, ruszył w dół schodów – zatrzeszczały pod jego ogromnym ciężarem.

– Zaczekajcie, zaczekajcie, panowie! Czy jest jakiś problem?

– Wasze ceny – odrzekł Sancho, idąc za Josué.

– Ależ, panie, musicie wziąć pod uwagę, że do tego zlecenia potrzeba dużo materiału! Sami widzieliście rozmiar pleców waszego towarzysza.

– Krawcze, łokieć dobrego sukna kosztuje pół escudo – krzyknął Sancho już z pomieszczenia na dole.

– Dobrze, już dobrze! Mogę zacisnąć pasa i uszyć dla was odzienie za dziewiętnaście escudo.

Głowa Sancha ponownie pojawiła się na dole schodów. Z bardzo poważnym wyrazem twarzy rzekł:

– Dziesięć escudo i ani maravedí więcej.

– Ach, panie, niewątpliwie jesteście uczniem Kakusa – rzekł Fanzón z uśmiechem. – Wejdźcie na górę i omówmy cenę jak dżentelmeni, a ja tymczasem wezmę miarę z tego tytana, który wam towarzyszy.

Krawiec i chłopak targowali się zapalczywie przez kolejne pół godziny. W tych czasach odzienie było straszliwie drogie, szczególnie w Sewilli, gdzie rozwinięty handel z Indiami Zachodnimi oraz kwitnące bogactwo miasta przyczyniły się do wzrostu cen produktów przetworzonych. Było to szczególnie

odczuwalne w przypadku tkanin, ponieważ wielokrotnie zdarzało się, że bele wełny kastylijskiej odpływające z Sewilli do Flandrii, wracały do miasta w postaci sukna w żywych kolorach, dwadzieścia a nawet trzydzieści razy droższego niż wełna. To doprowadzało kupców hiszpańskich do rozpacz, jednak prośby kierowane do króla, aby przeznaczył złoto płynące z Indii Zachodnich na stworzenie przemysłu tekstylnego w Kastylii, trafiały w próżnię. Filip wolał wydawać pieniądze na zwiększanie liczby wojska i walkę z heretykami.

Wszystko to tworzyło rosnącą przepaść pomiędzy zamożnymi klasami a zwykłymi śmiertelnikami. Odzież stała się głównym wyznacznikiem pozycji społecznej. Większość dorosłych posiadała tylko jeden czy dwa kaftany przez całe swoje życie, a i koszul zużywali mniej niż mieli palców u rąk. Dzieci z niższych klas musiały się zadowolić kiepsko pozszywanymi ubraniami ze skrawków starego odzienia rodziców. Na nic więcej nie starczało pieniędzy, zresztą prości ludzie nawet nie zawracali sobie tym głowy, ich obsesją były bardziej palące sprawy, takie jak to, by postawić na stole co najmniej jeden ciepły posiłek dziennie. Dlatego ci, którzy mogli poświęcić czas i zasoby finansowe na strojenie się, byli natychmiast uznawani za ludzi wytwornych.

Fanzón i Sancho zgodzili się co do ceny na poziomie czternastu escudo za całe zlecenie. Chłopak wiedział, że uzyskał dobrą cenę, ale i tak martwił go ten potężny cios w ich finanse, szczególnie że brakowało im jeszcze podstawowej rzeczy.

– Wróćcie po stroje pojutrze – rzekł krawiec, ściskając dłoń Sancha.

– Zanim odejdziemy, chciałbym was prosić o przysługę. Potrzebujemy bystrego skryby do załatwienia pilnej i poufnej sprawy.

– Zatrzymajcie się w gospodzie na końcu ulicy. Jutro rano przyślę kogoś do was.

XLV

Dotarłszy przed pałac Félix de Montemayora, markiza Aljarafe, Francisco de Vargas zdusił w sobie przekleństwo.

Zostawił powóz pół mili stąd, ponieważ aby dotrzeć z jego domu do tego imponującego budynku, trzeba było przemierzyć cały szereg uliczek zbyt wąskich dla tego pojazdu. Widział pogardliwe spojrzenia, jakie kierowali w jego stronę przechodnie, kiedy wysiadał z powozu. Sewilczycy żywili głęboką niechęć do powozów konnych i ich właścicieli, ponieważ te często utykały na skrzyżowaniach ulic, uniemożliwiając przejście pieszym lub powodując wypadki. Jednak ci, którzy korzystali z tego środka transportu, byli wystarczająco bogaci i zapatrzeni w siebie, aby w najmniejszym stopniu nie przejmować się utrudnieniami przysparzanymi innym. Francisco de Vargas był jednym z nich. W odpowiedzi również rzucał nienawistne spojrzenia na prawo i lewo. On widział to inaczej: winą za tę płataninę, którą tworzyły uliczki Sewilli, w szczególności wokół klasztoru Carmen, gdzie znajdował się dom markiza, obarczał motłoch, który jego zdaniem był zbyt liczny. Gdyby to on o tym decydował, kazałby wyburzyć

wszystkie domy biedaków w okolicy, a kręte uliczki zastąpiły szerokimi brukowanymi alejami.

„Wystarczyłoby wyrzucić z miasta jakieś dziesięć, piętnaście tysięcy ludzi. Jeżeli czegoś Sewilla ma w nadmiarze, to biedaków. Z łatwością byśmy ich zastąpili” – myślał.

Dobłą chwilę wędrował źle wybrukowanymi i brudnymi uliczkami. Wydawało mu się, że pogardza nim każdy mijany przechodzień. Student obładowany książkami, mający całe życie przed sobą, zataczający się pijak, który szedł chyba pewniejszym krokiem niż Vargas, prostytutka, która pokazała mu cycek, co wydało mu się drwiącym i obraźliwym gestem. Vargas w każdej z tych osób widział powód do tego, by czuć się nieszczęśliwym. Kiedy dotarł do pałacu markiza, przeklął, ponieważ zobaczył przed sobą swojego najgorszego wroga.

Dziewiętnaście marmurowych stopni. Wypolerowanych, śliskich i morderczych.

Pomimo starań jego niewolnicy podagra przez ostatnie miesiące coraz bardziej mu dokuczała. Póki siedział, czuł się dobrze, jednak chodzenie sprawiało mu coraz większy ból. Podniesienie stopy, aby pokonać różnicę poziomów, było koszmarem. A kiedy musiał wspiąć się po wysokich i stromych schodach, takich jak te, po prostu się bał.

– Złapcie mnie za ramię, panie – rzekł Groot, który towarzyszył mu i trzymał na odległość bandytów i żebraków.

Vargas odepchnął go. Ostatnie, czego chciał, to pokazać swoją słabość w domu markiza.

– A co, macie mnie za inwalidę? Zaczekajcie tu na mnie, kapitanie.

Flamand cofnął się, mruknawszy coś z irytacją. Vargas stanął z boku schodów i ruszył w górę, próbując opierać ciężar ciała to na lasce, to na zdrowej stopie. Niestety, chora kończyna również brała udział w tej niezdarnej bitwie, jaką staczał ze schodami. Po każdym kolejnym kroku musiał dać chorej stopie odpocząć przez kilka chwil, dzięki czemu unikał ataków bólu, które przeszywały całą nogę, chwytaly za mosznę, po czym wybuchały w karku, jak gdyby jadowity wąż wprowadził się pod jego skórę.

Zaciskając zęby, Francisco de Vargas zdusił w sobie cierpienie. Prędzej by umarł, niżby pokazał przed lokajem markiza, jaką torturą jest dla niego ta wspinaczka. A ten oczekiwał go już u szczytu schodów, z powitalnym uśmiechem tak samo fałszywym jak kamienna twarz gościa.

– Witajcie, mistrzu Vargas – rzekł lokaj, celowo używając jedyne tytułu, który Vargas oficjalnie posiadał. Tytuł mistrza danego zawodu był najwyższym, jaki mógł otrzymać plebejusz za swe zasługi. Vargas, będąc członkiem cechu kupców, zyskał prawo do tego tytułu. Jednak na progu tak imponującego budynku tytuł ten brzmiał biednie i jałowo.

– Ależ upał – tyle zdołał powiedzieć, wciąż wykończony wspinaczką po schodach.

– Natychmiast podamy napój orzeźwiający. Mam nadzieję, że znalezienie domu nie przysporzyło wam trudności. Dzielnica bardzo się rozrosła w ostatnich dekadach.

Vargas posiadał szósty zmysł do wykrywania obelg, nawet tych najbardziej zawołowanych, a ta była jedną z najsubtelniejszych i najokrutniejszych, z jakimi się spotkał. Lokaj rzucał mu w twarz, że pałac jest bardzo stary, tak jak i tytuł szlachecki rodziny

Montemayorów. Tak, biedacy mogli się tłoczyć w tej części miasta, ale tylko dlatego, że była to najstarsza i najdumniejsza jego część.

Nowocześniejszy i uporządkowany obszar otaczający katedrę i pałac królewski – gdzie mieszkał Vargas – odpowiadał bardziej nowobogackim, którzy próbowali ogrzać się w blasku króla, zamieszkując jak najbliżej niego.

Kuśtykając przez pałac za służącym, kupiec stwierdził, że nie mylił się. Przechodzili przez kolejne puste salony, gdzie markiz mógł przyjąć swojego gościa z wszelkimi wygodami. Jednak wolał on wybrać najbardziej odległe miejsce w budynku, tak aby Vargas miał okazję zobaczyć rodzinne portrety, ikony, wytłaczane krzesła, arraszy ze scenami polowań, poroża upolowanej zwierzyny. Niekończący się pokaz przepychu, dla Vargasasa tak samo nieprzyjemny jak nieustanny ból w nodze.

W końcu dotarli do salonu, w którym oczekiwał go markiz, patrząc w roztargnieniu przez okno.

– Zostawiliście psa uwiązanego przy bramie. Bardzo słusznie – rzekł, wskazując na Groota stojącego bez ruchu u wejścia. Markiz uderzył się dłonią w kolano, śmiejąc się do rozpuku ze swojego żartu.

Vargas zmusił się do uśmiechu, wyobrażając sobie, co mógłby zrobić ogromny, szeroki rapier Groota z brzuchem markiza. Nieoficjalny ubiór markiza składał się ze zwykłej koszuli i pięknych zielonych spodni. Ramiona i nogi, teraz bez butów, Montemayora były chude jak patyki, w przeciwieństwie do wielkiego brzucha i rumianej twarzy.

Wszystko w nim wydawało się Vargasowi nieprzyjemne, od jego pogardliwego zachowania przez jego niezmierną fortunę po

miejsce, w którym mieszkał. Jak wielu szlachciców, odziedziczył majątek w postaci ziemi, zbiorów i renty, którą płacili mu chłopci. Montemayor urodził się bogatym szlachcicem, wiódł życie bez zmartwień i nigdy nie kiwnął palcem, aby powiększyć swoje bogactwo, za to zrobił wiele, aby je roztrwonić na polowania, sztukę i beczki drogiego tokaju. W oczach człowieka takiego jak Vargas, który sam do wszystkiego doszedł, był godnym pożałowania pasożytem. Ale kupiec nie oszukiwał sam siebie. Wiedział doskonale, co szlachcic o nim myśli: że jest tylko nędznym nowobogackim, który wybił się ponad swój stan. Dlatego też nie rozumiał do końca, w jakim celu markiz zaprosił go dziś do siebie. Może tylko po to, by z niego kpić.

– Usiądźcie, mistrzu Vargas – rzekł markiz, wskazując miejsce obok siebie. – Orzeźwicie się nieco.

Pojawił się służący ze srebrną tacą, na której stały różne naczynia i duża misa z pokrywą. Kiedy ją uniósł, w środku Vargas zobaczył wzniesienie świeżego śniegu. Służący podał go w filiżankach oprószony cukrem i cynamonem. To zrobiło wrażenie nawet na kimś tak odpornym na ostentacyjne pokazy jak Vargas.

Śnieg pod koniec lata był dziesięciokrotnie droższy od złota. Spojrzał na filiżankę, którą podawał mu służący. Choć nie planował nic jeść ani pić, jego wysuszone gardło uległo pokusie i przyjął filiżankę, nie patrząc na sługę.

– Piętnaście escudo za filiżankę, ale jest tego wart, prawda, mistrzu Vargas? Nie chcemy przecież być najbogatsi na cmentarzu.

– Wyborny, markizie.

– Jestem prostym człowiekiem, ale od czasu do czasu pozwalam sobie na jakiś kaprys, muszę przyznać. Nie tak jak wy. Zawsze i wszędzie taki poważny, powściągliwy. Tak wysoko zasłiście, a wydaje się, że nie korzystacie z tego.

Vargas wysilił się, aby przełknąć ostatnią łyżeczkę śniegu, bo pod wpływem obelgi bardzo mocno zacisnął zęby. Zadał sobie pytanie, co by się stało, gdyby teraz wstał i rozwalił markizowi czaszkę ciężką srebrną rękojeścią swojej laski. „Niewątpliwie sprawiłoby mi to przyjemność”, pomyślał. Jednak zawsze istniało ryzyko, że markiz zechciałby się bronić, a i przecież służący widzieli kupca w pałacu. Zabójstwo szlachcica i członka rady dwudziestu czterech było czymś niewybaczalnym, nie tak jak dyskretne wyeliminowanie rywala w interesach. Ale kiedy wróci do domu, odnotuje z najwyższą starannością każdą obelgę. Już on znajdzie jakąś formę, by się za nie odwdzięczyć stokrotnie.

– Bóg nasz pan pobłogosławił mi, markizie – zmusił się do odpowiedzi.

– A więc jesteście zadowoleni? Nie pragniecie już w życiu niczego więcej?

Tego już było dla kupca zbyt wiele.

– Jeżeli chcecie mi coś powiedzieć, zróbcie to, panie – mruknął Vargas, podnosząc się. – W przeciwnym razie, za waszym pozwoleniem, muszę zająć się swoimi sprawami.

– Chcę wam zaoferować tytuł szlachecki.

Vargas nie potrafił ukryć zdumienia. Markiz oczyścił gardło – rozległ się szorstki i nieprzyjemny odgłos.

– Otrzymałem osobiste zlecenie od Jego Wysokości. Król Filip rozważa nadanie wam tytułu barona w uznaniu waszej długiej

służby na rzecz Korony hiszpańskiej, etcetera, etcetera, co tam się zawsze mówi. I co mi odpowiecie? Nieźle, jak na sklepikarza, nieprawdaż?

Kiedy już Vargas przezwyciężył zdumienie, precyzyjne trybiki w jego umyśle ponownie zaczęły się obracać z pełną prędkością. Nagle wszystko nabrało sensu: lekceważące traktowanie, przemyślane obelgi, wybór otoczenia.

Wszystko zgodnie z dokładnie skalkulowanym, choć raczej prymitywnym planem.

„Ach, Montemayor, ty tłusta pijawko, myślisz, że z kim masz do czynienia? Chciałeś zanurzyć mnie w błocie po to, by następnie sprzedać mi jedyną czystą koszulę w mieście. Biedny idioto. Ja grałem już w tę grę, jeszcze zanim ty się urodziłeś” – pomyślał.

Wystudiowanym ruchem, powoli usiadł ponownie na krześle. Wyjął chustkę, starł z kaftana niewidoczną plamę, po czym poskładał ją i włożył do kieszonki. W ogóle nie patrzył na swego rozmówcę, który zaczął już się denerwować ciszą.

– Mistrzu Vargas, musicie zrozumieć...

– Ile?

– Co mówicie?

– Powiedziałem: ile? Ileż zamierza ze mnie wycisnąć Jego

Wysokość, aby napisać na kawałku papieru, że teraz moja krew, jakby z pomocą czarów, stała się błękitna?

– Och, tu nie chodzi tylko o tytuł szlachecki. Wraz z nim zyskacie ziemię...

– Kawałek wiejskiej ziemi, do tego jakieś cztery owce i sześciu chłopów. Nic, co byłoby coś warte. Ziemiaństwo jest dziś skazane na ruinę. Powtarzam: ile?

Teraz to markiz musiał przełknąć dumę. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko odpowiedzieć na pytanie. Wymienił liczbę lekko, jak gdyby rozmawiali o zakupie nowej pary rękawiczek.

– Milion escudo.

Kupiec w ciągu swojego życia negocjował już różne bajeczne kwoty, ale nigdy jeszcze nie zetknął się z tak ogromną.

Musiał się bardzo wysilić, aby się kontrolować i myśleć jasno.

– Oczywiście, jeżeli ta kwota jest dla was zbyt wysoka... – markiz ruszył do ataku z kpiącym uśmiechem.

– Nie, cena nie jest zbyt wysoka. To raczej towar nie jest odpowiedniej jakości.

– O czym mówicie?

– Chcę tytułu książęcego.

Zdumiony markiz roześmiał się krótko i sucho, jakby szczerknął.

– Chyba sobie żartujecie.

Vargas milczał, wytrzymując spojrzenie markiza bez mrugnięcia okiem. Montemayor w końcu odwrócił wzrok, nerwowo podniósł się z miejsca i zaczął przemierzać komnatę tam i z powrotem.

– Nie, już widzę, że sobie nie żartujecie. Mistrzu Vargas, czy macie pojęcie, jakie znaczenie posiada tytuł książęcy? Jak absolutnie niezwykle byłoby uhonorowanie plebejusza tym tytułem?

Kupiec doskonale wiedział, co to oznaczało. Od czterech dekad pragnął tego właśnie tytułu, i wiedział doskonale, jakie korzyści były z nim związane. Na przykład to, że tytuł ten postawiłby go w hierarchii ponad markizem Aljarafe i włączył do grona najwyższej arystokracji hiszpańskiej. Dałby mu prawo do pozostania

w pozycji stojącej i z zakrytą głową w obecności króla oraz możliwość patrzenia z pogardą w dół, na tych, którzy klęczeli wokół. Nie dziwiło go w najmniejszym stopniu to, że jego żądanie w ogóle nie spodobało się markizowi.

– Panie, jestem tego wszystkiego świadom. Król chce miliona escudo. A ja chcę tytułu książęcego. Z mojego punktu widzenia jest to dosyć proste.

– Ależ tytuł barona to więcej niż wystarczający dla takiego nowobogackiego jak wy!

– Panie, dla Korony to nie będzie oznaczało dużo większego zużycia atramentu. W końcu tytuł księcia ma tylko o jedną literę więcej niż tytuł barona.

Markiz sfrustrowany oparł dłonie na gzymsie kominka, nad którym wisiała bogato zdobiona broń, nigdy nie użyta w walce. Tak jak jej właścicielowi, nigdy nikt się jej nie przeciwstawił. Markiz kazał wezwać kupca, spodziewając się, że oszołomi go bogactwem swojego pałacu, czystością swojej krwi i wiekiem swojego tytułu. Bez wątpienia sądził, że jak tylko przedstawi swą ofertę, kupiec rzuci mu pieniądze do stóp, wdzięczny za szansę wejścia do jego uprzywilejowanego świata. Niestety zmierzył się z o wiele lepszym od siebie przeciwnikiem.

Odchrząknął i podjął ostatnią desperacką próbę.

– Nie jesteście jedynym bogatym plebejuszem w tym mieście. Vargas wzruszył ramionami. Miał gotową odpowiedź.

– Ale jedynym, który może zapłacić taką kwotę. Ostatnie dwa lata były kiepskie zarówno na wojnie, jak i w interesach. Jeżeli król chce spłacić ogromne kredyty zaciągnięte u genueńskich bankierów, będzie musiał przyjąć mój warunek.

– Czyżbyście śmieli się targować z Jego Wysokością, mistrzu Vargas? – rzekł markiz, patrząc złowieszczo na kupca.

„Nie, śmiem się targować z pompatycznym osłem, któremu powierzono zlecenie, które go przerosło”.

– Ależ, panie, wybaczcie. W końcu jestem tylko sklepikarzem, działam zgodnie ze swoją naturą. Nie wszyscy możemy mieć wasze doskonale maniery wyssane z mlekiem wysoko urodzonej matki.

Markiz patrzył na niego przez długą chwilę, wahając się, czy odpowiedzieć na ten sarkazm, jednak nie zdołał wymyślić żadnej odpowiedniej riposty. W końcu pobity opadł na krzesło.

– Będę musiał to skonsultować z Jego Wysokością. A teraz odejdźcie.

Machnął ręką, aby oddalić kupca, starając się zachować resztki godności.

– Zróbcie to, markizie. A kiedy już się zgodzi, przyślijcie mi list z warunkami – rzekł Vargas, kuśtykając bez pośpiechu w stronę drzwi.

– Popelniacie szaleństwo – wrzasnął Malfini, potrząsając kartką trzymaną w grubiotkich palcach.

– To nie jest odpowiedź na pytanie, które wam zadałem – upierał się Vargas.

Kłócili się od ponad godziny. List od markiza Aljarafe dotarł w ciągu tygodnia i kupiec natychmiast posłał po bankiera, wzywając go do swojej rezydencji. Było zbyt gorąco, aby przebywać w gabinecie Vargasasa, więc usiedli na ławce na wewnętrznym dziedzińcu. Zanosilo się na popołudniową burzę, ołowiane, duszące chmury wisiały nisko.

– Król daje wam tylko osiem miesięcy na dokonanie płatności. Macie niewiele ponad sześćdziesiąt tysięcy escudo w gotówce na rachunku. Sprzedając statki i kopalnie, które jeszcze posiadacie w Indiach Zachodnich, zdołacie zebrać trzysta tysięcy.

– Ależ te koncesje są warte o wiele więcej!

– Na dłuższą metę to możliwe, jednak obecnie król oferuje nowe złoża na Jukatanie, w odróżnieniu od waszych wolne od ryzyka zajęcia na potrzeby Korony. To jedyny sposób, aby Filip mógł doprowadzić do ich eksploatacji. Gdybyście kupowali na tych samych warunkach...

– Nie mogę z tym konkurować – burknął Vargas.

– Wyprzedając pozostałą część waszego majątku tu i tam, moglibyśmy zebrać kolejne czterdzieści tysięcy. Nie dotykając tego domu ani interesów zbożowych, które pozostałyby waszym jedynym źródłem utrzymania po zakupie tytułu. Tego nie powinniście dotykać pod żadnym pozorem.

– Dodajcie sto tysięcy escudo z mojej rezerwy osobistej.

Bankier uniósł brew na znak dezaprobaty.

– Nawet popełniając to głupstwo, dojdziecie zaledwie do pół miliona. Wciąż będzie wam brakowało połowy.

– Mogę zaciągnąć kredyt.

– Bez gwarancji nikt nie da wam takiej kwoty – odrzekł Malfini, używając listu od markiza jako wachlarza. – Nawet ja. Nie pomogę wam w popełnieniu finansowego samobójstwa.

Pociągnęlibyście na dno także mój bank.

– Ale pomyślcie, jak ten tytuł pomoże nam w interesach!

– Ani w wystarczającym stopniu, ani wystarczająco szybko, aby odzyskać *un milione di scudi*.

Vargas miał ochotę potrząsnąć tłustym bankierem, ale powstrzymał się. Potrzebował Malfiniego bardziej niż kiedykolwiek. Gdyby otrzymał ofertę króla trzy lata temu, zebranie miliona escudo byłoby o wiele prostsze. W tamtych czasach jego interesy były bardzo zróżnicowane, a imperium tak wielkie, że mógł uzyskać kredyty z różnych banków, pozostałe nawet by nie wiedziały, że zapożyczają się po uszy. Jednak po przeciwnościach losu, jakie go spotkały w 1587 roku, jego wiarygodność wśród bankierów znacząco spadła. Położył wszystko na jednej szali, koncentrując większość swych interesów na handlu złotem i srebrem, po czym okazało się, że król zajął jego ładunki. Za pomocą przekupstwa i szantaży zdołał uniknąć zajęcia, ale w zamian musiał stworzyć rynek zboża. Jednak zyski były zbyt niskie, aby mógł zapłacić królowi tyle, ile ten żądał.

Dlatego Vargas potrzebował Malfiniego, który – tak jak on sam – był człowiekiem bez skrupułów, i był dziesięć razy bardziej przebiegły.

„Gdyby nie był takim tchórzem, pół Sewilli należałoby do niego, tak jak do mnie lata temu. Kiedyś dysponowałem fortuną trzykrotnie większą od majątku markiza Aljarafe, niech go diabli. Ale wciąż jeszcze mogę upokorzyć ich wszystkich. Muszę tylko znaleźć jakiś sposób, by utrzymać tego tłustego wieprzaka po mojej stronie” – myślał Vargas.

Zdecydował się zmienić strategię. Zawsze udawało mu się przekonać Malfiniego, używając na zmianę groźby i perswazji, jednak tym razem to nie działało, ponieważ ta sprawa była czystym szaleństwem. Jedyнным sposobem na to, by Malfini mu pomógł, było powiedzieć mu prawdę.

Oczywiście nie tę rzeczywistą prawdę. Vargas nigdy by nie przyznał na głos, że chciał zostać księciem po to, by móc spokojnie spać. By pozbyć się koszmarów, w których koń miażdży czaszkę jego brata. Ledwie mógł się przyznać sam przed sobą, że pomimo wszystkiego, co w życiu osiągnął, nigdy nie czuł się szczęśliwy ani bezpieczny.

Nie, tej prawdy nie mógł wyjawić. Ale mógł powiedzieć coś bardzo zbliżonego.

– Od wielu lat płacę podatki na rzecz Korony. Ostatnio, kiedy ten świętoszek Filip zajął mój ładunek złota, straciłem niemal wszystko.

– A więc przyznajecie mi rację, *signore* Vargas!

– Wprost przeciwnie, Ludovicu. Czas już, bym uzyskał coś w zamian za moje pieniądze.

– Za więcej pieniędzy, chcecie powiedzieć. Za o wiele więcej pieniędzy. Za więcej niż posiadacie – stwierdził bankier.

– Filip uważa się za najwyższego obrońcę wiary katolickiej. Każdą złotą monetę, którą wyciąga z Indii Zachodnich, trwoni na proch i rapiery, jak skończony idiota. Wystarczyłoby, by wydał połowę tego na budowę dróg i warsztatów, a nie tylko zrobiłby z Hiszpanii najpotężniejszy kraj na świecie, ale i potroiłby swoje przychody z podatków.

– I co zamierzacie, chcecie go ratować? – rzekł z niedowierzaniem Malfini.

– Znamy się długo, Ludovicu, i zamierzacie mnie nazwać patriotą? Sprzedałbym ten kraj kawałek po kawałku Maurom i Anglikom, gdyby tylko można było z tego uzyskać o jedno maravedí więcej, niż sam za niego dam.

Bankier wydał z siebie nieprzyjemne gdakanie, które uważał za śmiech, i Vargas się ożywił. Docierał do niego.

– To już bardziej mi was przypomina.

– Filip utopi Hiszpanię, Ludovicu.

– Co takiego mówicie? – bankier ze zdumieniem potrząsnął głową. – Siła regimentów...

– Za te regimenty trzeba płacić, a król nie będzie mógł płacić wiecznie. Kiedy już nie będzie miał więcej pieniędzy, przegramy, tak jak Rzym przegrał w swoim czasie. Może nie za tego króla, ani nie w tym wieku, ale to się wydarzy.

– Gdzie zamierzacie się zatrzymać, *signore*?

– Wciąż nic nie rozumiecie. Tak jak Hiszpania któregoś dnia zacznie przegrywać, tak może się zdarzyć i ze mną choćby jutro. Przetrzymałem wszystkie burze, a Bóg mi świadkiem, złe czasy za mną, Ludovicu. Wciąż jeszcze się trzymam na nogach, ale to nie wystarczy. Jeszcze nie dotarłem do portu. Jeżeli teraz stracę wszystko, cóż mi pozostanie? Cóż zdobyłem, poza pieniędzmi?

Vargas umilkł, pozwalając, by monotony szum fontanny i odległe odgłosy krzątania służby przygotowującej kolację w kuchni wypełniły ciszę. Płynęły długie minuty, podczas których Vargas niemal słyszał, jak Malfini myśli, i czuł wciąż i nieprzerwanie rosnący niepokój.

– Może znajdziemy jakiś sposób. Ale to będzie brudna i skomplikowana sprawa.

– Na cóż czekacie? Mówcie! – rzucił niecierpliwie kupiec.

Ludovico podniósł dłoń.

– Nie, *signore* Vargas. Najpierw chcę coś wyjaśnić. Tym razem nie wykorzystacie mnie tak, jak to zrobiliście przy szantażu

urzędnika Izby Handlowej. Wtedy nie miałem innego wyjścia, jak tylko się zgodzić, ponieważ chodziło o przyszłość mojego banku. Ale teraz i wy nadstawicie karku razem ze mną. To jedyny sposób. Jeżeli jednak ktokolwiek odkryje to, co wam zaproponuję, i wy, i ja zawiśniemy na stryczku, nim kur zapieje. Pod warunkiem, że wcześniej motłoch nie dostanie nas w swoje łapy.

Vargas nie odpowiedział. Niczego nie nienawdził bardziej, jak osobiście mieszać się w brudne interesy. Wolał zrzucić odpowiedzialność na swoich pomagierów, jak Groot czy Malfini. Przez krótką chwilę przemknęło mu przez myśl, że mógłby po prostu odpuścić. Odrzucić ofertę króla i do końca życia zajmować się swoimi interesami. Monarcha uzna to za obrazę majestatu i nigdy więcej nie zaproponuje mu żadnego zaszczytu ani tytułu, jednak wtedy nie ryzykowałby wszystkiego. I właśnie wtedy, gdy zaczęły go pochłaniać rozmyślenia nad taką możliwością, z jego ust padły słowa:

– Zrobimy to zgodnie z waszym planem, Ludovicu. Mam tylko nadzieję, że mnie nie zawiedziecie, albo jeśli się nie uda, wymiar sprawiedliwości nie zdąży was pojmać, ponieważ wówczas osobiście wyrwę wam serce z piersi.

Bankier zbladł, ale było już zbyt późno, aby się wycofać, więc się otrząsnął i zdecydował się przeć do przodu.

– Jesteście gotowi na wszystko, aby zdobyć ten tytuł?

– Wysłałbym do piekła każdego męża, niewiastę i dziecko w tym mieście, jeśli dzięki temu bym go uzyskał – odrzekł Vargas, patrząc stanowczo na Malfiniego.

Usta bankiera wygięły się krzywo w górę, jak gdyby dopiero uczył się uśmiechać.

– Ciekawe, że to właśnie mówicie, *signore*... bo jest bardzo prawdopodobne, że właśnie to będziecie musieli zrobić.

XLVI

Następnego dnia w izbie wynajętej przez Sancha i Josuégo niedaleko pracowni krawieckiej Fanzóna pojawił się chudy i przygarbiony człowieczek. Choć przyjaciele mieli pewne wątpliwości, czy stuknięty krawiec będzie pamiętał o tym zleceniu, oto zjawił się skryba, ze swoim przenośnym kałamarzem, ryzą papieru i mosiężnymi buteleczkami pełnymi różnokolorowych atramentów.

Gdy tylko Sancho wyjaśnił mu, czego potrzebuje, skryba usadowił się przy jedynym w pomieszczeniu wąziutkim okienku i natychmiast zabrał się do pracy. Wziął w dłoń pióro, naostrzył je maleńkim nożykiem i od razu przypuścił atak na papier, kaligrafując pewnie i elegancko. Josué był zafascynowany całym tym procesem i nie przestawał zaglądać mężczyźnie przez ramię, aż ten w końcu począł się odwracać poirytowany.

– Czy wasz niewolnik musi stać tak tuż przy mnie?

– To nie jest mój niewolnik, tylko mój przyjaciel. I nie powinno to was niepokoić, on tylko podziwia waszą pracę – odrzekł rozbawiony Sancho.

Trzy godziny później skryba wyprostował się na krześle i wydał z siebie zadowolone westchnienie. Wyjął z woreczka piasek i rozsypał go na dokumentach, aby przyspieszyć schnięcie atramentu. Dmuchnął ostrożnie na papiery, po czym wyciągnął je w stronę Sancha.

– Oto one. Nienaganna robota, muszę dodać.

Chłopak uważnie przeczytał pierwszy z dokumentów. Pod nagłówkiem, na którym skryba perfekcyjnie wyrysował czerwonym atramentem pieczęć Izby Handlowej, znajdowało się potwierdzenie, że czarny Josué, rasy mandinka, został zakupiony od handlarza niewolnikami za kwotę stu escudo przez Sancha del Castilla. Było to fałszywe nazwisko, którego chłopak wolał użyć zamiast przydomka „de Écija”, pod którym zawsze występował. Ponieważ ojca nie znał, a matkę stracił, zanim osiągnął wiek, w którym mógł z nią porozmawiać na poważne tematy, nie mógł liczyć na nic więcej.

– Datowałem dokument i numer rejestru na siedem lat wstecz, wystarczająco dawno, by w razie, gdyby ktoś szukał wpisu w księgach i go nie znalazł, uznał to za błąd w dokumentacji. Choć szczerze wątpię, aby ktoś zadał sobie ten trud.

– Dziękuję wam.

„Co tu jest napisane?” – zapytał Josué.

– Potwierdza się tutaj, że do mnie należysz, że jesteś moim niewolnikiem i że kupiłem cię za sto escudo.

Usłyszawszy to, Josué wydał nozdrza i pokręcił głową, bardzo urażony.

„Nie podoba mi się to”.

– Ależ, Josué, to tylko taki wybieg. Kamuflaż, jak wtedy, gdy wysmarowałaś się błotem, żeby nikt cię nie zauważył.

„Błoto zmywa się wodą. A to jest napisane. A to, co na papierze, ma moc. Nie należę ani do ciebie, ani do nikogo innego”.

– Josué, posłuchaj – rzekł Sancho, próbując go uspokoić. – Przymierzam ci, że jak tylko zakończymy to, po co tutaj przybyliśmy, będziesz mógł spalić ten dokument. A wtedy ważny będzie tylko ten drugi.

Pokazał Josuému drugi dokument. Na tym nie figurowała pieczęć Izby, ponieważ był to tylko podrobiony kontrakt prywatny.

– Tutaj jest napisane, że Josué, czarny mandinka, wykupił swą wolność od Sancha del Castilla, zostając tym samym wyzwolonym niewolnikiem i panem swego losu.

Josué z nabożną czcią wziął w dłonie drugi dokument, jak gdyby trzymał w rękach motyla, którego mógłby uszkodzić przez nieuwagę. Przyglądał mu się przez długą chwilę, po czym jego głębokie oczy poszukały wzroku Sancha.

Chłopak rzekł:

– Zatrzymaj te dokumenty. Dzięki temu, jeżeli coś mi się stanie, będziesz mógł...

Czarny nie pozwolił mu skończyć. Nie było ani znaków, ani słów, które mogłyby wyrazić to, co chciał powiedzieć. Po prostu pochylił czoło, aż dotknął nim czoła Sancha, i położył swoje ogromne dłonie na ramionach przyjaciela. Ręce drżały mu ze wzruszenia.

Zwinęli obydwaj dokumenty i włożyli do niewielkiej metalowej tuby, tak, by kontrakt wyzwalający Josuégo znalazł się w głębi. Posiadając te dokumenty, Josué będzie mógł spokojniej poruszać się po Sewilli. Cena, jaką za nie zapłacili, była bardzo wysoka.

Skryba za oba falsyfikaty zażądał sześciu escudo – Sancho zdołał stargować cenę do czterech. I tak jednak zostali już niemal bez środków, a to był dopiero początek.

Od tej chwili plan Sancha musiał zacząć przynosić owoce.

Kiedy udali się do pracowni Fanzóna, aby odebrać swe stroje, krawiec wykańczał kaftan Sancha na manekinie, na którym wcześniej wisiała zielona muślinowa suknia. Chłopak ubrał się na miejscu, wypróbując ukryte kieszonki i dodatkowe skrytki, w które krawiec wyposażył strój. Były one pomysłowe i łatwo dostępne, teraz pozostawało mu tylko zdobyć narzędzia, którymi je zapełni.

Fanzón skinął na swojego niewolnika, a ten przyniósł ogromne owalne lustro ukazujące całą postać i postawił je naprzeciwko Sancha. Chłopak przejrzał się w nim zdziwiony. Ledwie rozpoznał osobę, której odbiciu się przyglądał. Ostre rysy jego twarzy pogłębiły się, miał mocno zarysowane kości policzkowe i brodę. Włosy były zbyt długie, a broda, którą zawsze starał się regularnie golić, stała się gęsta i mocna. Zapamiętał, aby od razu po wyjściu stąd udać się do golibrody.

Jednak od szyi w dół był zupełnie odmieniony. Fanzón stworzył prawdziwe arcydzieło. Kaftan uszyty z czarnej skóry, z nitami i guzikami z przyciemnianej stali. Do tego luźno opadające spodnie i wysokie buty z mankietem sięgające do kolan. Sancho, który nigdy w życiu nie miał dobrze obutych stóp, nie mógł powstrzymać uśmiechu, patrząc na nie.

– Robicie wrażenie, panie. Prostota i elegancja. Jeśli można, pozwoliłem sobie wykonać dla was pas i pochwę na rapier, gratis.

Sancho zerknął na przedmioty, które wręczał mu Fanzón, oba pasujące do reszty stroju, ale pokręcił głową przecząco.

– Pas przyjmę, mistrzu. Jednak pochwa musi pozostać taka, jaka jest. To prezent od przyjaciela.

Fanzón przytaknął, nieco niezadowolony. Wtedy nadeszła kolej Josuégo, dla którego Fanzón przygotował zestaw podobny do stroju Sancha, choć mniej zdobny, zgodnie z zamówieniem. Kiedy Josué ujrzał się w lustrze, aż skoczył w tył, jak gdyby zobaczył ducha. Jednak zaraz potem uśmiechnął się szczęśliwy.

Najbardziej ucieszył się z pasa, na którym mógł zawiesić swoją tubę z dokumentami.

Tego samego popołudnia Sancho i Josué udali się na plac św. Franciszka w poszukiwaniu kluczowego elementu ich planu. Wkrótce odnaleźli ślepcę Zachariasza, którego obserwowali potem przez kilka godzin. Kiedy wyruszył w stronę domu pasera, śledzili go z daleka, choć wydawało im się, że ślepiec kilka razy odnotował ich obecność.

Uliczka, przy której znajdował się dom, do którego wszedł Zachariasz, była zbyt wąska, aby mogli nań zaczekać na zewnątrz, więc przyczaili się za rogiem, obawiając się nieco, że ślepiec może zostać tam na noc. Na szczęście już po chwili żebrak wylądował na chodniku.

– Podnieś go i przynieś tutaj, Josué – wyszeptał Sancho.

Josué wszedł w głąb uliczki i rozejrzawszy się ostrożnie, aby się upewnić, że nikt go nie widzi, zarzucił sobie ślepcę na ramię z taką łatwością, jak gdyby podnosił dziecko. Zachariasz przez chwilę się wyrywał, dezorientowany i przestraszony, ale zdawszy

sobie sprawę z rozmiarów Josuégo, przestał się wiercić, godząc się na nieuniknione.

Poczuł się lepiej, kiedy zabrali go do pobliskiej karczmy przy placu Księcia Mediny i postawili przed nim kielich wina i talerz jajeczniczy z kiełbasą.

– Skąd znacie moje imię? – zapytał żebrak z pełnymi ustami.

– Mój mistrz powiedział mi kiedyś, że w Sewilli nie ma bystrzejszego umysłu od ślepego Zachariasza, który potrafiłby zliczyć nawet wszystkie nogi w mrowisku. Powiedział mi też, że nie pałacie zbyt gorącym uczuciem do Monipodia.

Twarz Zachariasza spoważniała.

– Jest tylko jedna osoba, która mogła wam to powiedzieć, ale już nie żyje. Chyba że... jesteście uczniem Bartola?

– Wiecie, co się przydarzyło mojemu mistrzowi?

– Chłopcze, cały sewilski półświatek wiedział, co się stało z Bartolem. Luneta i Żelazna Ręka wykopali go na spotkanie ze Stwórcą. Jak go znam, teraz pewnie żąda od Pana wyjaśnień, dlaczego stworzył go o trzy dłonie niższym, niż powinien.

Sancho roześmiał się serdecznie, wyobrażając sobie karła dochodzącego się z Najwyższym. Wszyscy wypili za dawnego mistrza złodziejskiego fachu.

– A więc to ty jesteś chłopakiem od Bartola. Słyszałem na mieście, że masz niezwykle sprawne ręce, a biegasz jak sam diabeł.

Sancho zdziwił się na chwilę, że jego skromne dokonania są tak znane.

– Co jeszcze o mnie wiecie?

– Że skończyłeś na galerach. Monipodio zadbał o to, by tę historię rozgłosić, jako przykład dla innych, którzy decydują się działać na własną rękę.

– Na galery się wchodzi, ale i się z nich schodzi. Mój przyjaciel Josué i ja zdecydowaliśmy, że mamy ich dość – odrzekł Sancho i na tym zakończył wyjaśnienia.

– A czego chcesz ode mnie, chłopcze? Nie mogę cię wiele nauczyć.

– Zanim wam powiem, czego chcę, chciałbym was o coś zapytać. Co takiego się stało, że Monipodio wyrzucił z dworu swego najcenniejszego doradcę?

Ślepiec poruszył się niespokojnie na ławce. Przechylił głowę w jedną i w drugą stronę, próbując wychwycić rozmowy toczące się przy najbliższych stołach. Lokal był w połowie pusty, tylko kilku handlarzy bydłem omawiało swoje sprawy na drugim końcu izby. Karczmarz przy barze rozgniatał czosnek w moździerzu i choćby się starał, znajdował się zbyt daleko i za bardzo hałasował, aby usłyszeć cokolwiek z tego, o czym rozmawiali.

– Nikt nas nie słucha – rzekł Sancho.

– W jego przypadku nigdy zbyt wiele środków ostrożności, chłopcze. Przekonałem się o tym na własnej skórze.

– Byliście jego buchalterem, prawda?

– Buchalterem, doradcą i zarządcą. Wygodna praca dla mych starych kości, jednak niezbyt dobra dla sumienia. Bartolo powtarzał mi to do znudzenia. Znaliśmy się już od dawna, na długo przed moim wstąpieniem na służbę u tego łajdaka. Zwykliśmy pić razem, dwóch mężczyzn, którzy od Boga czy też od życia, jak zwał tak zwał, dostali strasznie marne karty.

– Bartolo bardzo lubił karty – rzekł Sancho.

– Sądził, że szczęście musi gdzieś na niego czekać. Nigdy nie udało mi się wybić mu tego z głowy. Mówiłem mu: „Bartolo, grzęda w kurniku jest obsrana z każdej strony... nie wyobrażaj sobie, że znajdziesz czystszy kawałek”. Ale nigdy mnie nie słuchał. Młodzi nigdy nie słuchają.

– Dlaczego nie podobała mu się wasza praca?

– Dlatego, że oprócz wielu innych spraw tego bandyty prowadziłem też rachunki zbirów do wynajęcia. Tak to się zaczęło. Bywały okresy, kiedy pracy było więcej, szczególnie wiosną. Zdaje się, że kobiety w tym czasie rozkwitają jak kwiaty pomarańczy, a ich brzoskwinki wyłaniają się na nowo spomiędzy koronek. To rozbudza myśliwskie instynkty młodzieńców spacerujących po ogrodach Alamedy w poszukiwaniu zdobyczy. Ci, którym się to udaje, rozwścieczają ojców i mężów, a ci z kolei natychmiast szukają kogoś, kto pomści ich honor, bo sami nie odważą się tego zrobić.

– I noże w ruch – rzekł Sancho, jednocześnie zgorszony i rozbawiony cynizmem starego ślepeca.

Zachariasz mówił o życiu i śmierci ze zbytnią lekkością i Sancho zadawał sobie pytanie, do jakiego stopnia może mu zaufać. Sancho miał w pamięci swoje doświadczenie z pobytu w ciemnej kryjówce kilka dni temu, więc łatwo mu było wczuć się w sytuację ślepeca. Poczul falę współczucia dla Zachariasza, który tak niesprawiedliwie został skazany na życie bez najpiękniejszego ze zmysłów. Dla wielu oznaczało to wyrok śmierci, szczególnie dla żołnierzy, którzy tracili wzrok na polu bitwy i byli zmuszeni włóczyć się po ulicach i żebrac, atakowały ich łobuziaki i psy.

Zachariasz stawiał czoło przeciwnościom losu jak prawdziwy zwycięzca. Jednak, choć go rozumiał, Sancho nie mógł sobie pozwolić na to, by opuścić gardę.

– Prowadziłem również rejestr tych wszystkich zleceń. W pamięci, nie notując ani słowa, bo i nie mógłbym tego zrobić, ponieważ nie potrafię czytać ani pisać. I to doprowadziło do zatargu z Monipodiem.

– Zapomnieliście o jakiejś robocie?

– Tam gdzie jest mięso, tam są i robaki. Gdzie są kobiety, są i ladacznice. Tam gdzie są pieniądze, tam i przeróżne słabości. I im więcej wina, tym gorsza pamięć, don Sancho. Chłopak nazywał się Esteban Rodríguez i starał się o córkę flamandzkiego handlarza jedwabiem, jedną z tych blondynek zimnych i suchych jak gówno szczura. Handlarz chciał ją wydać za innego, nieco starszego pana, prowadzącego interesy w Indiach Zachodnich. Tak to się odbywa: sprzedajesz córkę w zamian za licencję na sprzedaż za morzem, bo – jak wiadomo – obcokrajowców tam nie wpuszczają, jeszcze by zdeprawowali dzikusów. Stary zbereźnik nazywał się Rodrigo Estévez, taki zbieg okoliczności, niech go diabli.

– Nie wierzę. Pomyliliście jednego z drugim? – rzekł Sancho w oszołomieniu.

– Zdaje się, że masz w tej swojej głowie lepiej poukładane niż ja miałem w dniu, kiedy zbiry zgłosiły się do mnie po zlecenie i podałem im niewłaściwe nazwisko. Krótko mówiąc, stary skończył w jakiejś uliczce z flakami na wierzchu, konkurent wziął nogi za pas, na wypadek gdyby miano jego obarczyć za to winą, ojciec nie zapłacił, a mnie Monipodio wyrzucił na ulicę.

Sancho obracał kielich w dłoni, czując się niezręcznie.

– A więc ktoś zginął przez waszą pomyłkę.

– Ach, powściągnij wodze, chłopcze. Jak się nad tym zastanowić, to wyszło na lepsze. Staremu i tak wiele nie zostało z życia, młody uniknął cmentarza, a dziewczyna jest wolna i może dalej się łajdaczyć. I wszyscy zadowoleni. Poza mną, bo już kilka lat minęło od tego czasu, a ja wciąż nie mam dachu nad głową. I na dodatek jestem Królowi Złodziei winny zapłatę za zabójstwo, a jego zbiry wyciskają ze mnie niemal wszystko, co zdołam zebrać z jałmużny. A teraz, czy będziesz tak uprzejmy i wyjaśnisz mi, czego ode mnie chcesz?

Chłopak głęboko westchnął. Nadszedł czas, by podjąć decyzję. Nie pochwalał tego, co ślepiec robił w przeszłości, ale potrzebował go. Nie chodziło o to, czy podobała mu się niemoralność Zachariasza, lecz czy jest gotów go wykorzystać, i czy ślepiec jest wystarczająco zły na Monipodia, aby podążyć za nim i pomóc mu w realizacji jego szalonego planu.

Pochylił się naprzód i zniżył głos do szeptu.

– Wróciłem, aby strącić Monipodia z jego tronu. Aby zniszczyć jego królestwo terroru i wyrwać mu z gardła imiona odpowiedzialnych za śmierć Bartola.

Zachariasz roześmiał się.

– A masz do tego armię?

– Nie. Jest nas tylko dwóch: Josué i ja. I ty, jeśli zechcesz się przyłączyć.

Drżące dłonie ślepcy poruszyły się, rozlewając nieco wina na stół.

– Zbliz się, chłopcze. Chcę cię dotknąć.

Sancho, zdziwiony, usłuchał. Obszedł stół i stanął obok ślepcy. Ten wyciągnął swoje sękaty palce i dotknął twarzy chłopaka, badając każdy jej zakątek.

– Nie liczysz sobie więcej niż dwadzieścia wiosen, a rzekłbym nawet, że mniej. Jak zamierzasz pokonać najbardziej nikczemnego, podłego i najpotężniejszego człowieka w Sewilli? Człowieka, który w każdej chwili ma u swego boku tuzin zbirów, którzy zabiją cię z taką samą łatwością, z jaką podcierają sobie tyłek. Człowieka, który mieszka w fortecy nie do zdobycia, pełnej sekretnych korytarzy, z której rzadko kiedy wychodzi?

Sancho usiadł ponownie, uśmiechając się. W głosie Zachariasza nie było oceny czy niedowierzania. Było tylko jakieś zaskakujące pragnienie.

– Niszcząc jego organizację i obracając jego ludzi przeciwko niemu. Bartolo powiedział mi kiedyś, że wolałby sprawiedliwość króla od współczucia Monipodia. Jeżeli znajdzie się wystarczająco dużo takich, którzy myślą tak samo, zdołamy go obalić.

Ślepiec zdjął z oczu opaskę, odsłaniając swoje bezużyteczne gałki oczne, przesłonięte upiorną białą mgłą, i zaczął masować sobie skronie.

– Nie ma nikogo tak szalonego w półświatku sewilskim, kto by się obrócił przeciwko Monipodiowi.

– Nie potrzebuję ich pomocy. Chcę tylko, by zwrócili przeciwko niemu swoją niechęć. Czy nie ma nikogo, kto by kwestionował jego przywództwo?

Ślepiec przytaknął.

– Ostatnimi czasy ten sukinsyn traci kontakt z rzeczywistością. Codziennie trudniej jest kraść, szczególnie odkąd wojna z Anglią

zwiększyła głód i niedostatek. Miesiąc po przyplynięciu floty z Indii Zachodnich bywa zwykle bardzo dobry, ale reszta roku dla wielu jest ciężka. Tymczasem Monipodio żądając takich samych danin jak zawsze, popchnął już niewielkie bandy do tego, że zabijają się nawzajem dla czterech maravedí. Wszyscy są u niego zadłużeni po uszy.

– Kilka dni temu, kiedy Josué i ja dotarliśmy do Sewilli, słyszałem bitwę na muszkiety – rzekł Sancho, wspominając, jak czołgał się w ciemnościach za murami miejskimi, starając się ominąć nieznajomych.

– To była banda z Carmona, mają na pieńku z tymi z Puerta del Osario, odkąd ci ostatni zepsuli im duży skok. Słyszałem, że dwie noce temu zginęło ich po kilku z każdej bandy, a to był tylko jeden z wielu takich przypadków. Atmosfera jest coraz bardziej napięta, nie tylko między złodziejami, również pośród ludności. Ta zima będzie bardzo ciężka.

– A już na pewno dla tych, którzy nie mają dachu nad głową.

Sancho nic więcej nie powiedział. Ślepiec potrafił czytać między wierszami i poruszył się ożywiony.

– Tak, chłopcze, nienawidzę tego diabelskiego pomiotu i tak, chciałbym nasrać na niego, kiedy już spadnie z tronu. Ale się boję. Cóż ja mogę na tym zyskać?

– Uwolnić się od długu. Zemścić się na kimś, kto przez lata cię wykorzystywał. I zdobyć pieniądze, dużo pieniędzy. To się stanie jasne, kiedy ci przedstawię swój plan.

– Już tylko ostatni z wymienionych powodów byłby wystarczający.

– A więc przyłączasz się?

Ślepiec wskazał na talerz, teraz już pusty, stojący przed nim na stole.

– Przyjacielu mój, jest różnica pomiędzy przyłączeniem się a zaangażowaniem. Do sporządzenia jajecznicy z kiełbasą przyłącza się kura. Wieprz się angażuje. Rozumiesz?

Sancho roześmiał się i uścisnął dłoń, którą wyciągnął do niego ślepiec.

– Nie martw się, Zachariaszu. Nie pozwolimy, by cię posolili jak zwykłego wieprzka.

XLVII

Clara wyżeła ścierkę, którą myła schody, i z rozpaczą przeklęła swój los. Tydzień temu powróciła do domu Vargasa. To było siedem bolesnych dni, które wydawały jej się wiecznością. Niemal nie dano jej czasu na czuwanie przy zwłokach Monardesa. Jak tylko wróciła do domu Vargasa i poinformowała go o śmierci medyka, kupiec nakazał jej powrót do służby w swym domu.

Przejsście od ciężkiej, ale jakże satysfakcjonującej pracy w ogrodzie i laboratorium do szorowania podłóg zabolowało Clarę. Codzienne obowiązki były monotonne i irytujące, a wykonując je, myślała wciąż o zaniedbanych roślinach wędnących w ogrodzie medyka.

Był jeszcze jeden, znacznie poważniejszy powód, dla którego Clara żałowała zakończonej służby w domu Monardesa. Kilka dni temu skończyły jej się kryształki, których używała, aby stłumić libido Vargasa. Jakże była wdzięczna medykowi za to, że nauczył ją sporządzać ten środek, ponieważ krótko po tym, jak matka ogoliła jej głowę, Vargas spróbował pierwszy raz dobrać się do niej.

Już od jakiegoś czasu pożerał ją wzrokiem, obracając bez przerwy rękojeść swojej laski w dłoniach. Dziewczyna nakładała mu maść na stopę, próbując przez cały czas trzymać się jak najdalej od niego, tak aby tego nie zauważył, jednak było to niemożliwe.

– Zbliź się – rzekł do niej ochryłym głosem.

Clara nie spojrzała mu w oczy. Nie musiała, i tak było jasne, czego chce. Jego oddech stał się ciężki, w komnacie narastało napięcie. Spróbowała w pośpiechu zebrać swoje rzeczy.

– Muszę już iść.

Vargas nic nie odpowiedział. Nagle wstał, złapał Clarę za nadgarstek i szarpnął ją w tył, zanim zdołała zareagować. Dziewczyna próbowała się odwrócić, aby stanąć z nim twarzą w twarz, ale kupiec przyciągnął ją do siebie tyłem, przyciskając swoje ciało do jej pleców.

– Od dawna tego pragnąłem. A teraz nie ruszaj się, to twój obowiązek – wyszeptał jej do ucha. Jego gorący oddech śmierdział cebulą i winem. – A może twoja matka sądziła, że obcinając ci włosy, sprawi, że będziesz mniej godna pożądania? Tego się nie da zrobić. Jesteś małą lisiczką, słodką i przepiękną liszką.

Silne prawe ramię Vargasa otaczało dziewczynę, ograniczając jej ruchy i przyciskając jej ręce do boków. Jego lewa dłoń zaczęła masować piersi Clary przez suknię i rozpinać pasek u spodni. W końcu, po długiej walce, spodnie Vargasa zjechały mu do kostek. Teraz zajął się suknią Clary – udało mu się unieść ją na wysokość jej talii. Dziewczyna krzyknęła, kiedy poczuła nagie nogi swego pana między swoimi, i próbowała bronić się

paznokciami, ale miała je tak krótkie, że opuszki palców zsuwały się po skórze napastnika.

– Spokój! Niech cię diabli, spokój!

Clara ani na chwilę nie przestawała walczyć, jednak Vargas był zbyt silny. Na szczęście coś u kupca nie zadziało jak należy i musiał sięgnąć dłonią do krocza. Clara zauważyła, jak usiłował ożywić swój zwiędły członek. Potrząsnął nim kilka razy, a nawet uderzył nim o wewnętrzną część ud dziewczyny, jednak był to już tylko niewielki, miękki i bezużyteczny kawałek ciała.

„To działa. Środek zrobił z niego impotentą” – pomyślała Clara. Powstrzymała okrzyk radości wyrywający się z piersi, napędzany strachem i obrzydzeniem. Kupiec nigdy nie może się dowiedzieć, co zrobiła.

– Wynoś się stąd! – rzekł Vargas głosem pełnym wściekłości i upokorzenia. Popchnął Clarę, upadła na ziemię. Podniosła się i jak najszybciej pobiegła w stronę drzwi, ale zanim wyszła z komnaty, usłyszała jeszcze, jak Vargas wykrzykuje ostatnią groźbę. – Innym razem dostaniesz to, na co zasługujesz!

Ten dzień do tej pory nie nadszedł, chociaż kupiec ponawiał próby. Były to nieprzyjemne i upokarzające zmagania pełne potu, które zawsze kończyły się napadami wściekłości Vargasa. Ostatnio uderzył ją w twarz i od tego czasu Clara strasznie się bała za każdym razem, gdy udawała się do niego – dwa razy dziennie, przez niekończące się miesiące, zawsze w niepewności, czy któregoś dnia Vargas z frustracji i wściekłości, że nie może spełnić swych pragnień, zamorduje ją. Podawanie kupcowi środka na impotencję było jedynym wyjściem, jednak wiązało się z niebezpieczeństwem. Clara stąpała po cienkiej linii.

Teraz, gdy znalazła się ponownie w domu Vargasa, bez medykamentu i możliwości sporządzenia go, lina dodatkowo stanęła w płomieniach.

Clara skończyła szorować schody i wylała wodę z wiadra do jednej z dużych donic stojących na wewnętrznym dziedzińcu.

Przynajmniej o te rośliny mogła dbać. Przy tegorocznym upale – a choć był już wrzesień, wciąż nie zauważało się żadnego ochłodzenia – nawet ta brudna woda dobrze robiła spieczonej ziemi.

– Cześć, Breo – powiedziała czule do psa, który obwąchiwał jej kostki. – Tobie też chce się pić, prawda, mój piękny?

Pod schodami trzymała wyszczerbiony talerz do pojenia zwierzęcia. Napełniła go świeżą wodą z fontanny i postawiła na płytkach dziedzińca, gdzie pies wychłptał jej zawartość szybko i radośnie. Dziewczyna poklepała go po grzbiecie, zadowolona, że w tym domu jest przynajmniej jedna rzeczywiście szczęśliwa i beztroska istota. Ona czuła się zupełnie inaczej. Nie mogła odsunąć od siebie myśli o tym, co z pewnością wydarzy się w ciągu najbliższych dni, jak tylko organizm jej pana oczyści się z podawanego środka na impotencję i zauważy on, że odzyskał wigor. Strach przed potworem zamieszkującym drugie piętro tego domu rósł w sercu dziewczyny. Od tej chwili z każdą wizytą w jego komnacie lub gabinecie prawdopodobieństwo gwałtu było coraz większe.

Clara nie była na to gotowa. Jeżeli czegoś chciała uniknąć za wszelką cenę, to upodobnienia się do swojej matki. Przejechała mechanicznie dłonią po głowie. Jej długie i gęste włosy już odrosły i sięgały poniżej ramion.

„Mogłabym się go pozbyć za pomocą jakiejś trucizny. W tym celu nie musiałabym iść do laboratorium. Wystarczyłoby kilka nasion rącznika, które można zdobyć choćby w ogrodach Alamedy, rośnie tam wiele dzikich roślin. Potem trzeba byłoby wycisnąć ziarna bez podgrzewania, aby nie usunąć substancji toksycznych, i otrzymany olej wstrzyknąć do jakiegoś deseru, czegoś o silnym smaku, aby nie wyczuł goryczy. To mogłoby się udać w ciągu trzech, czterech dni”.

Monardes szczegółowo opisał jej proces uzyskiwania oleju rycynowego, który był doskonałym środkiem przeczyszczającym, jednak źle przygotowany stanowił śmiertelną truciznę. Mistrz opisał jej też dokładnie, co działo się z tymi, którzy go spożyli. Biegunka, nudności, krwiste wymioty, wysoka gorączka i śmierć po dwóch czy trzech dniach bolesnej agonii. Clara pokręciła głową, nie wiedząc, co o tym myśleć. Jedną rzeczą było podawać panu środek powodujący impotencję, zapobiegając gwałtowi, a zupełnie inną zabić go. Jeżeli coś wpoił jej Monardes, to to, by nigdy nie wyrządzać krzywdy innym. Zabicie Vargasa z wykorzystaniem wiedzy przekazanej jej przez medyka stanowiłoby obrazę jego pamięci.

Wciąż jeszcze o tym rozmyślała, kiedy rozległo się stukanie do bramy wychodzącej na ulicę. Clara poszła otworzyć i stanęła przed łysym i wąsatym mężczyzną w średnim wieku.

– Jestem don Javier Núñez, rejent. Przyszedłem zobaczyć się z don Franciskiem de Vargasem.

Clara przyjrzała mu się, zanim wpuściła go do środka. Był ubrany elegancko, choć skórzane buty miał mocno zniszczone, a tkanina jego kaftana przecierała się na łokciach i ramionach na

skutek zużycia. Niewątpliwie był to urzędnik żyjący ponad stan, zgodnie z tym, co dyktował mu honor i zwyczaje panujące w tej dziwnej Hiszpanii, która ciągle oglądała się na innych.

– Zaanonsuję naszego gościa, Claro. Ty możesz kontynuować pracę – rzekła Catalina, która właśnie pojawiła się na dziedzińcu.

Dziewczyna poczuła ulgę, że nie będzie musiała udawać się do pana, i odeszła, nie myśląc więcej o tym człowieku.

– Chodzi o waszą niewolnicę, panie – rzekł rejent, przedstawivszy się Vargasowi.

– Moją niewolnicę? A cóż wam do starej Cataliny?

Gość wyjął jakieś dokumenty i poprawił na nosie porysowane okulary, po czym kontynuował.

– Nie, don Francisco. Chodzi o młodą Clarę. Jeżeli dobrze rozumiem, spędziła niemal dwa lata na służbie u Nicolása de Monardesa, obywatela tegoż miasta, znanego medyka i botanika. Zgadza się?

– Tak, zgadza się. Jednak jeżeli jego spadkobiercy sądzą, że w jakimkolwiek stopniu mają prawa do niewolnicy...

– Rzeczywiście przyszedłem się z wami zobaczyć w sprawie spadku, jednak nie jest tak, jak sądzą.

– A więc czego chcecie, u diabła?

– Monardes ujął was w swym testamencie, don Francisco. W istocie jesteście jego głównym beneficjentem.

Na twarzy Vargasa nie pojawiłoby się chyba większe zdziwienie, gdyby sam Monardes powstał z grobu, aby odczytać mu swoją ostatnią wolę. Zaraz też pojawiła się tam chciwość, ponieważ wiedział dobrze, że medyk był osobą zamożną. Zadał więc swoje ulubione pytanie.

– Ile?

Rejent nie skomentował tego. W swojej pracy widział wiele reakcji takich jak ta i zdążył już się przyzwyczaić do podobnych przejawów pazerności. Ograniczył się do odczytania przyniesionych dokumentów.

– Nieco poniżej pięciu tysięcy escudo w złocie, na rachunku bankowym na nazwisko zmarłego. Przekazuje też wam własność wielu hektarów ziemi w pobliżu Lebrichy, winnice w Marchena i gaje oliwne na przedmieściach Kordoby, które obecnie znajdują się w rękach dzierżawców. Wszystko razem o łącznej wartości powyżej sześciu tysięcy escudo.

Vargas poczuł, jak przyspiesza mu puls. Kilka lat temu ta suma nie znaczyłaby dla niego wiele, ale ponieważ desperacko potrzebował gotówki w związku z płatnością na rzecz króla, każda dodatkowa kwota była mile widziana. Uśmiechnął się zadowolony, po czym coś mu się przypomniało.

– Mówiliście, że jestem głównym beneficjentem. Kim są pozostali? – zapytał z niepokojem.

– W zasadzie to nie jest beneficjent. Zmarły pozostawił waszej niewolnicy, Clarze, dom i ogród niedaleko placu św. Franciszka.

Vargas szybko podliczył w myślach. Nieruchomość była tutaj istotna. Tereny w obrębie murów miejskich stale zyskiwały na wartości. Sewilla, ograniczona przez rzekę Betis, nie miała wielu możliwości rozrostu. Dom Monardesa mógł być wart blisko tysiąc escudo, a może i więcej, więc kupiec zdecydował, że będzie jego. Istniała tylko jedna drobna przeszkoda, mianowicie to, że stary głupiec zostawił dom jego niewolnicy, pewnie go urobiła na łożu

śmierci. Vargasowi inne wyjaśnienie nie mieściło się w głowie. Jednak to nie miało znaczenia, wkrótce dom będzie jego.

– Jest tylko jeden warunek, don Francisco – kontynuował rejent, odchrząkując, by oczyścić gardło. – Musicie umożliwić niewolnicy odzyskanie wolności.

Kupiec zamrugał kilka razy, zanim dotarło do niego to, co usłyszał. Następnie pokręcił kategorycznie głową.

– Ależ to niemożliwe.

– W takim razie obawiam się, don Francisco, że nie będziecie mogli otrzymać spadku – rzekł rejent, wymachując dokumentem w powietrzu.

– Co takiego mówicie? Te pieniądze są moje! Stary mnie je zostawił.

– Rzeczywiście, panie, ale tu chodzi o dziedziczenie objęte warunkiem. Jeżeli nie spełnicie życzeń zmarłego, niczego nie dostaniecie.

Vargas poczuł, jak w środku rośnie mu kula wypełniona kwasem i pali go w żołądek. To nie mogła być prawda. Nie zamierzał pozwolić swojej niewolnicy odejść. Nie dałby tej satysfakcji Catalinie, ani też nie chciał stracić władzy nad Clarą. A tym bardziej okazji do wykorzystania jej, co starał się uczynić od tak dawna. A gdyby nawet nie udało mu się to ostatnie, to chociaż miałby satysfakcję z tego, że Clara do końca życia będzie szorować płyty na dziedzińcu. Wolałby umrzeć, niż pozwolić tym dwóm nic nieznaczącym dziwkom narzucić sobie ich wolę.

– Panie rejencie, to, czego ode mnie oczekujecie, jest niemożliwe ze względów osobistych, które was nie dotyczą. Nie mogę na to pozwolić.

– A zatem obawiam się, że nie mam nic więcej do powiedzenia – odrzekł rejent, porządkując dokumenty i zbierając się do wyjścia.

– Bądźcie uprzejmi usiąść!

Głos Vargasa stał się suchy i stanowczy. Rejent pozostał na miejscu, zaskoczony tą zmianą tonu. Kupiec przygryzł wargę i spróbował odezwać się łagodniej. W końcu ten człowiek miał pewną władzę i – jak wszyscy urzędnicy niższego szczebla – lubił ją wykorzystywać, aby zwiększyć swe znaczenie.

– Wybaczcie, panie rejencie. To przez nerwy. Musicie zrozumieć, że ta niewolnica jest mi bardzo bliska i nie chcę, aby odeszła.

– Takie są warunki testamentu – odrzekł urzędnik, wciąż stojąc.

– Wyglądacie mi na człowieka prawego i wyrozumiałego. Na kogoś, kto byłby w stanie pomóc biednemu wdowcowi, który nie chce utracić ostatniej radości w tym życiu. Mógłbym być bardzo hojny.

Rejent bardzo powoli usiadł i spojrzał na Vargasa znad okularów, jak gdyby chcąc sprawdzić, czy właściwie odebrał to, co usłyszał.

– Prawo jest prawem, don Francisco. Jednak...

Po drugiej stronie drzwi gabinetu Vargasa klęczała klucznica, udając, że odkurza listwy. W rzeczywistości słuchała uważnie, z głową przekrzywioną na bok, ze skulonymi ramionami i zaciśniętymi pięściami. Nagle podniosła się i zeszła na dół, aby poszukać córki.

XLVIII

Clara była akurat zajęta przy wejściu do kuchni, ale kiedy zobaczyła zbliżającą się matkę, natychmiast wzmogła czujność. Już wcześniej ledwie ze sobą rozmawiały. Odkąd Clara wróciła do codziennej służby w domu i musiały razem pracować, ich relacje stały się szorstkie i nieprzyjemne. Staraly się unikać siebie nawzajem, ale nawet ogromna rezydencja stała się dla nich zbyt mała. Dziewczyna przeżywała koszmar.

– Muszę z tobą pomówić.

– Już wam powiedziałam, kiedy wróciłam: przydzielcie mi obowiązki, a ja będę je wypełniać.

Poza tym nie mamy o czym rozmawiać.

Chciała się odwrócić, ale matka przytrzymała ją za ramię.

– Posłuchaj mnie! Ten człowiek, który właśnie przyszedł, rejent, mówi, że Monardes zostawił panu mnóstwo pieniędzy w zamian za twoją wolność. A ty dostaniesz jego dom.

Clara oniemiała, słysząc to. Jakże to możliwe? Owszem, medyk powiedział jej na łożu śmierci, że zadbał o wszystko, ale nie sądziła, że mógłby przeznaczyć cały swój spadek na to, by kupić jej wolność. A jej zostawił dom i ogród! Już na samą myśl o tym,

że będzie mogła ponownie zająć się ukochanymi roślinami, jej serce przyspieszyło, a fale emocji zalały ciało.

– Nie ciesz się jeszcze. Pan nie pozwoli ci na przyjęcie spadku. Nigdy. Prędzej kazałby Grootowi poderżnąć ci gardło.

– Ależ tak nie może być.

Clara poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg. To była ogromna niesprawiedliwość. Pracowała dla medyka ciężko przez ostatnie dwa lata i on zdecydował, że chce coś dla niej zrobić. Zapracowała na to! Nikt nie może być tak okrutny, aby teraz pozbawić ją spadku, wbrew ostatniej woli tak dobrego i wielkiego człowieka jak Monardes.

– Nie znasz pana. Siedzi tam teraz na górze, spiskując z tym człowieczkiem i sporządzając dokumenty, które zostawią cię z niczym. Kazań ci to podpisać.

W tej chwili nad ich głowami dały się słyszeć charakterystyczne kroki Vargasa, którym towarzyszył stukot laski.

– Claro!

Klucznica przycisnęła córkę do ściany i gestem nakazała milczenie. Następnie zrobiła kilka kroków na środek dziedzińca.

– Czego sobie życzycie, panie?

Vargas wychylał się przez marmurową balustradę z nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

– Nie ciebie wołałem. Gdzie się podziała twoja córka? Kazań jej natychmiast przyjść na górę.

– Poszła na targ, panie. Wysłałam ją po warzywa na wieczerzę.

– Kiedy wyszła? – rzekł Vargas podejrzliwym tonem. Nie mógł jej widzieć ze swojego miejsca, ale gdyby tylko przeszedł na drugi koniec korytarza, w stronę biblioteki lub swojej komnaty, od razu

by ją zauważył. Dziewczyna nie mogła też wyjść z domu, nie przechodząc przez dziedziniec.

– Dopiero co wyszła, ale to nie zajmie jej dużo czasu – odrzekła stara niewolnica, starając się, aby jej głos brzmiał obojętnie.

– Dobrze. Kiedy tylko wróci, niech przyjdzie do mnie. Ale jeżeli nie wróci przed upływem godziny, drogo za to zapłacisz.

Zrozumiałaś?

Nie czekając na odpowiedź, Vargas, trzasnąwszy drzwiami, zniknął znów w swoim gabinecie. Catalina odwróciła się do dziewczyny, a ta odetchnęła z ulgą. Przez cały czas wstrzymywała oddech.

– Masz godzinę na przemyślenie, co zrobić.

Clara spojrzała na matkę, nie wiedząc, co o niej myśleć. Rozumiała, że jej powrót do domu na pewno nie był dla matki łatwy ani przyjemny, szczególnie biorąc pod uwagę jej własną skomplikowaną sytuację. Gardziła Cataliną za to, że oszukiwała ją przez tyle lat, jednak w tej chwili robiła dla niej coś dobrego, nawet jeśli miała w tym jakiś swój mroczny cel. Choć robak urazy wciąż zżerał ją od wewnątrz, Clara była gotowa wybaczyć matce i nie oceniać jej przez pryzmat tego, co zrobiła w przeszłości. Choć nie przyszło jej to łatwo.

Wykręciła ręce, próbując się skoncentrować. Tam na górze siedzieli dwaj potężni i inteligentni ludzie, mający nad nią przewagę w postaci pieniędzy i samego faktu, że są mężczyznami. Ona była tylko bękartem, niewolnicą, kobietą bez majątku i nazwiska, którą można było wykorzystać, zabić, pozbawić wszystkiego – nikt nawet nie ruszyłby palcem w jej obronie. Stała

na najniższym stopniu schodów, który prawo zarówno Kościoła, jak i ludzi pozwalało zdeptać.

Potrzebowała kogoś, kogoś, kto przemówi w jej imieniu. I miała niecałą godzinę, aby go znaleźć.

– Sądzę, że już wiem, co trzeba zrobić, matko.

Catalina spojrzała zdziwiona na córkę, ponieważ w ten sposób zwróciła się tak do niej po raz pierwszy od ponad roku. Ale teraz nie było czasu do stracenia.

– Biegnij. Biegnij i nie zatrzymuj się.

Setki razy przechodziła pod tym drewnianym szyldem. Był przybity do drzwi niewielkiego domu niedaleko placu św. Franciszka, między domem Monardesa a Vargasa. Każdego dnia widziała go w ten dziwny sposób pomiędzy roztargnieniem a świadomością, w jaki zatrzymuje się wzrok na rzeczach, które stanowią część codziennej trasy. Widziała go w kroplach deszczu, w promieniach słońca, a nawet przyozdobiony maleńką, ledwie kilkugodzinną pajęczyną.

Litery wyryte w orzechu mówiły:

Manuel del Valle

Adwokat

Dla Clary nigdy nic nie oznaczały, przelotnie zatrzymywała na nich spojrzenie, po czym przesuwiała wzrok na kolejny dom, należący do blacharza, aby sprawdzić, czy wywiesił jakiś nowy towar w oknach. Jednak dziś znaczyły dla niej wszystko. Nie znała adresu żadnego innego jurysty, ani też nie miała czasu go szukać. Musiała postawić wszystko na tę jedną kartę.

Chciała zastukać do drzwi, jednak kiedy ich dotknęła, otworzyły się, poruszając dzwoneczkiem zawieszonym u sufitu. Kancelaria adwokata była duża, otwarta i zakurzona. Wypełniały ją księgi i dokumenty ułożone w stosy na każdym calu dostępnej powierzchni, zarówno na podłodze, jak i na wielkim biurku stojącym pośrodku. Za biurkiem siedział mężczyzna w średnim wieku, ze stopami wyciągniętymi na podnóżku i głową przechyloną na bok. Usłyszawszy dzwonek, podniósł wzrok i przetarł oczy.

– Czym mogę służyć?

– Potrzebuję adwokata. Mój mistrz zostawił mi duży spadek, ale mój pan chce mnie zmusić do podpisania dokumentów, na których mocy pozbawi mnie go. Jest w...

– Zaczekaj, zaczekaj, dziewczyno, wszystko po kolei. Mówisz, że jesteś niewolnicą?

– Tak jest, panie. Należę do Franciska de Vargasa. Użyczył mnie jako uczennicę medykowi Monardesowi, który zmarł w zeszłym tygodniu.

– Słyszałem o tym – stwierdził adwokat.

– Mój mistrz zostawił mi w testamencie dom, w którym mieszkał, a mojemu panu pewną kwotę pieniędzy w zamian za moją wolność. Ale on chce porozumieć się z rejentem, aby wszystko mi odebrać. Potrzebuję waszej pomocy.

– Zobaczmy, czy dobrze cię zrozumiałem. Chcesz, abym reprezentował ciebie, niewolnicę, co już samo w sobie jest... niezwykle. I chcesz, abym wystąpił przeciw jednemu z najpotężniejszych i najbardziej mściwych ludzi w Sewilli.

– Boicie się mojego pana?

Adwokat wypiął pierś, to pytanie zraniło jego dumę.

– Nigdy nie uciekałem przed dobrą potyczką. Bardziej się boję, że nic na tym nie zarobię. A może masz pieniądze, aby mnie zatrudnić?

– Nie mam – odrzekła Clara ze smutkiem. – Ale obiecuję wam zapłacić.

– Obietnicami nikt się jeszcze nie najadł.

W tej chwili ogromny atramentowoczarny kot wskoczył na kolana adwokata, a ten pogłaskał go czule.

– Piękne zwierzę – rzekła Clara, widząc, że adwokat już nie zwraca na nią uwagi. – Pomożecie mi?

– Wabi się Lukullus. Wiesz, skąd pochodzi to imię?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową, a prawnik kontynuował.

– Mówią, że w starożytnym Rzymie żył generał o imieniu Lukullus, znany z zamiłowania do świętowania i ucztowania. Pewnego wieczoru był sam, więc służący podali mu prostą kolację, a ten skarcił ich za ten skromny posiłek. Służący usprawiedliwiali się tym, że tego dnia pan nie miał żadnych gości. Na to generał im odrzekł: „A to nie wiedzieliście, że dziś Lukullus wieczerza z Lukullusem?” – Adwokat podrapał kota pod brodą, po czym mówił dalej. – Taki jest też ten mój kociak. Zajmuje się przede wszystkim sobą. To mądra sztuka, którą niewielu z nas praktykuje.

– A więc nie pomożecie mi?

– A cóż jest złego w byciu niewolnicą? – odrzekł prawnik, kręcąc głową. – Karmią cię i ubierają do końca twoich dni w zamian za wykonywanie prostych obowiązków. Na co ci wolność? Nie wiedziałabyś, co z nią zrobić, najpewniej umarłabyś z głodu.

– Znam się na ziołach i lekach, umiem leczyć ludzi. Potrafię zarobić na życie.

– Z pewnością. No dalej, dziewczyno, zmykaj stąd i pozwól mi w spokoju delektować się sjestą.

Clara poczuła się bardzo głupio. Chciała złożyć swój los w ręce człowieka, którego nigdy w życiu nie widziała, wierząc, że pomoże jej tylko dlatego, że co dzień mijała jego drzwi. Jeśli nie zaoferuje mu nic w zamian, ten człowiek nie ruszy dla niej palcem.

Palce. Palce adwokata.

Nagle Clara zdała sobie sprawę z tego, co ją męczyło, odkąd tutaj weszła. Zwróciła się do adwokata.

– Miewacie popołudniami migreny, prawda? I palpacje, kiedy jesteście zmęczeni, albo po powrocie ze spaceru, szczególnie w upalne dni.

Adwokat spojrział na nią ze zdziwieniem rysującym się na twarzy.

– Skąd to wiesz? Rozmawiałaś z moimi sługami?

Clara zaprzeczyła ruchem głowy i wskazała na jego dłonie. Jego palce miały dziwny kształt, wąskie w paliczkach i grube w koniuszkach, jak pałeczki bębna.

– Zawsze mieliście takie palce?

– Chodzi o ten dziwny kształt? Tak, choć ostatnio puchną bardziej niż niegdyś. Sądzę, że to kwestia wieku.

– Nie, panie. Cierpicie na schorzenie zwane palcami Hipokratesa. Nazywa się je tak dlatego, że Hipokrates...

– Wiem, kim był Hipokrates, dziewczyno.

– Był pierwszym, który opisał tę chorobę, na którą prawdopodobnie cierpiał także wasz ojciec. Dotyka ona waszego

krażenia.

– Czy to coś poważnego?

– Z czasem może stać się poważne. Musicie codziennie pić napar z miodu z yerba buena, jeść niewiele mięsa i unikać puszczania krwi, panie.

Adwokat przez dłuższą chwilę przyglądał się w zamyśleniu swoim palcom.

– Mój ojciec również był adwokatem. Zmarł młodo, chwycił się za klatkę piersiową podczas rozprawy. Pamiętam to dokładnie, ponieważ zawsze, kiedy występował w sądzie, chodziłem go oglądać. Oczywiście nic nie rozumiałem, ale sprawiało mi przyjemność słuchanie, jak rozwijał swoją argumentację i cytował klasyków. Kiedy upadł, wyciągnął prawą rękę w moim kierunku. Nigdy nie zapomnę jego palców. Miały taki sam kształt jak moje, ale ich końcówki zrobiły się niebieskawe.

Wstał. Wziął kapelusz leżący na stosie książek i popchnął Clare w stronę drzwi.

– Idźmy. Po drodze opowiesz mi wszystko, co wiesz.

Drzwi otworzyła im Catalina. Miała rozciętą wargę, a po brodzie spływała jej krew.

– Spóźniłaś się. Woła cię bez przerwy. Jest wściekły.

Clara spojrzała na adwokata, obawiając się, że słysząc to, wycofa się, ale on pozostał niewzruszony. Dopiero wtedy klucznica zauważyła jego obecność.

– A to kto?

– Wyjaśnię wam później. A teraz zaprowadźcie nas do pana.

Kiedy weszli do gabinetu kupca, ten siedział z rejentem, głowa przy głowie, czytając sporządzony dokument. Widząc wchodzących, wstał z grymasem bólu na twarzy.

– Gdzie się podziewałaś? I kto to, u diabła, jest?

– Pozwól mi mówić – szepnął adwokat do ucha Clary. – Jestem Manuel del Valle, adwokat. Z tego, co wyjaśniła mi moja klientka, macie tu panowie testament, w którym moja klientka została ujęta.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której z twarzy kupca można było łatwo wyczytać, jak jego mózg przetwarza to, co się dzieje. Od triumfu, który jak sądził, już sobie zagwarantował, przez niemal komiczne zdumienie po furię, którą ledwie powstrzymywał.

– Adwokat – rzekł w końcu głosem przepełnionym zimną pogardą. W jego ustach to słowo zabrzmiało jak najgorsza z obelg.

– Ośmieliłaś się przyprowadzić do tego domu adwokata. Ty!

Pomywaczka podłóg, niewolnica, brudna, głupia suka!

Clara, śmiertelnie przerażona, nie była w stanie odpowiedzieć, ale wytrzymała spojrzenie swojego pana. Ten wskazał laską na adwokata.

– A wy? Zdrajca krwi i klasy, broniący karaibskiej niewolnicy. W izbie adwokackiej i w cechu kupieckim dowiedzą się o tym.

– Ach, oczywiście, że się dowiedzą, don Francisco. Jest to tak niezwykle testament, że bez wątpienia przysporzy mi pewnej sławy. Zamierzam sam pobiec na Schody katedry, aby o tym wszystkim opowiedzieć, jak tylko załatwimy naszą drobną sprawę. A więc, za pozwoleniem, chciałbym zobaczyć testament...

Wyciągnął rękę po dokument trzymany przez rejenta. Ten spojrzał na Vargasa zdezorientowany. Kupiec schwycił go za kaftan.

– Nie dawajcie mu go!

– Don Francisco, w sądzie znajduje się kopia tego testamentu, mogę ją mieć w dłoniach w ciągu niecałej pół godziny.

Rzeczywiście chcecie tę sprawę aż tak przeciągać?

Vargas prychnął, ale wiedział, że nie ma innego wyjścia i puścił rejenta, a ten wręczył dokument adwokatowi. Del Valle czytał go przez kilka minut, po każdej linijce wydając zadowolone pomruki, jak gdyby zawartość testamentu nie mogła być korzystniejsza dla jego klientki. Clarze te odgłosy przypominały mruczenie kota, którego adwokat trzymał w swojej kancelarii.

– Aha. Tak jak myślałem. A więc wszystko jest jasne. Czy spadek jest gotów do przekazania, panie rejencie? – rzekł, zwracając testament.

– Tak, don Francisco może przejąć spadek, podpisując kilka dokumentów, które mam tutaj przy sobie.

– Don Francisco, czy zamierzacie zrzec się spadku?

– Nie myślę rezygnować z niczego, co jest moje – odrzekł kupiec, patrząc nienawistnie na Clarę.

Prawnik zignorował tę niewypowiedzianą groźbę i ciągnął tonem tak wesołym, jak gdyby komentował radosną korridę.

– To wszystko załatwia. W takim razie zabieram ze sobą swoją klientkę, która od tej chwili jest wolną kobietą. Jutro podejść do don Francisca po podpis na dokumentach dotyczących nadania wolności, aby całą sprawę sformalizować. A teraz, jeżeli panowie pozwolą...

Prawnik wziął Clare pod ramię, a dziewczyna poczuła, jak dreszcz radości przebiega jej po plecach. Udało im się!

Za jej plecami rejent wzruszył ramionami i z rezygnacją spojrział na Vargasa. Jednak kupiec nie zamierzał poddać się tak łatwo. Wyrwał rejentowi testament z ręki i przeczytał go gorączkowo jeszcze raz, szukając czegoś, co mogło mu wcześniej umknąć. Nagle złośliwy błysk pojawił się w jego oczach.

– Zaczekajcie chwilę!

Clara i adwokat zatrzymali się w drzwiach. Dziewczyna wstrzymała oddech.

– Don Francisco...

– Panie rejencie, przeczytajcie, proszę, warunek testamentu dotyczący przyjęcia przeze mnie spadku.

– „Zapisuję wyżej wymieniony majątek don Franciscowi de Vargasowi pod warunkiem, że umożliwi swojej niewolnicy Clarze odzyskanie wolności”.

– Otóż to. Ona nie jest wolna – rzekł Vargas, wymachując rękami.

– Warunki testamentu są jasne, don Francisco.

– Wprost przeciwnie. Nie napisano „w zamian za wolność niewolnicy”. Jestem zobowiązany umożliwić jej odzyskanie wolności. I to właśnie zamierzam zrobić. Pozwolę jej kupić sobie wolność.

– Ależ właśnie otrzymaliście sześć tysięcy escudo! – krzyknął adwokat, który zaczynał już tracić panowanie nad sobą. – Możecie za tę kwotę kupić tuzin niewolników!

Vargas uśmiechnął się przebiegle.

– Nie jest to wystarczająca cena za moją Clarę. Wyceniam jej wolność na dziesięć tysięcy escudo.

– Ależ to szaleństwo.

– Być może. Jednak taką właśnie cenę ustaliam. To ja jestem właścicielem tej niewolnicy, i jako taki mogę za nią zażądać, ile mi się podoba. Jak tylko wpłaci mi brakujące cztery tysiące escudo, będzie mogła opuścić ten dom.

– Ale to nie jest zgodne z duchem tego dokumentu... – zaprotestował adwokat.

– Jeśli chcecie duchów, idźcie porozmawiać z wiedźmą, niech przywoła Monardesa i go zapyta.

Tymczasem to, co napisane, jest napisane.

Manuel del Valle pogłodził się po brodzie i wziął Clarę na bok.

– Czy może to zrobić? – zapytała dziewczyna.

– Obawiam się, że tak. I szczerze mówiąc, dziewczyno, nie wiem, na co mógłbym się powołać.

– A jak miałabym zapłacić cztery tysiące escudo, nie wychodząc stąd?

Clara pokręciła głową w rozpacz, ale adwokat, usłyszawszy to, uśmiechnął się szeroko.

– Otóż to, Claro! – Odwrócił się do pozostałych i rzekł: – Panie rejencie, uznajemy oświadczenie don Francisca de Vargasa. W istocie jest zobowiązany umożliwić Clarze odzyskanie wolności. Dlatego też należy umożliwić jej przyjęcie należnej części spadku i praktykowanie jako lekodziejce w dawnym domu medyka, po zajęciu go przez nią w charakterze właścicielki. Tym sposobem będzie mogła spłacać don Francisca w rocznych ratach.

– Ależ to potrwa wieczność – rzekła Clara, która szybko dokonała obliczeń i zdała sobie sprawę, że aby zebrać te pieniądze, będzie musiała pracować całymi dekadami. Adwokat uciszył ją gestem.

– Nie ma mowy! – wrzasnął Vargas. – Musi teraz wpłacić te cztery tysiące escudo!

– A jak miałyby to zrobić, don Francisco, skoro nie posiada ani pieniędzy, ani środków, aby je uzyskać? Albo umożliwicie jej odzyskanie wolności na warunkach, które właśnie opisałem, albo będziecie musieli udać się do sądu i sprawdzić, co tam zdecydują.

Kupiec opadł na krzesło, wyczerpany potyczką. Wiedział, że przegrał. Nie mógł sobie pozwolić na to, by pójść do sądu i tam przegrać, narażając się na publiczne drwiny. Poza tym, podczas gdy trwałby proces, nie mógłby dysponować pieniędzmi, za które planował kupić tytuł księżęcy. Choć urazona duma bolała, musiał ustąpić.

– Wynosź się, suko – wycedził przez zęby, patrząc na podłogę. – Ale Bóg mi świadkiem, że nigdy nie będziesz wolna.

– Przykro mi – rzekł adwokat, kiedy tylko przekroczyli próg domu. – Wiem, że tak to nie wygląda, ale w rzeczywistości jest to zwycięstwo. Niestety, prawo jest po jego stronie, choć to wielka niesprawiedliwość.

Clara pokazała mu nadgarstek, na którym wciąż błyszczała obręcz wskazująca, że stanowi własność Vargasasa.

– Wyrwaliście mnie z jego łap, ale wciąż muszę to nosić. Teraz mam chociaż jakąś szansę, choćby małą. Stokrotne dzięki. Zachowaliście się jak prawdziwy błędny rycerz.

– Doprawdy? Zawsze wierzyłem, że mam w sobie coś z Amadisa z Galii – rzekł adwokat, wciągając brzuch i usiłując wypiąć pierś.

– Ile jestem wam winna?

– Od każdego innego zażądałbym pięciu escudo, ale wydaje mi się, że macie już wystarczająco dużo długów jak na jeden dzień. Usługa na koszt firmy. Warto było, choćby po to, by zobaczyć wyraz twarzy tych dwóch.

Clara podziękowała adwokatowi i skinęła głową na pożegnanie. Już się oddalała, kiedy adwokat ją zawołał.

– W istocie, panienko...

Odwróciła się do niego. Prawnik podniósł dłoń i zamachał palcami w kształcie pałeczek.

– Te napary z yerba buena są bardzo drogie?

Dziewczyna uśmiechnęła się słodko.

– Dla błędnych rycerzy są gratis.

XLIX

Plan był od początku skazany na niepowodzenie, ale Sancho zrozumiał to dopiero wtedy, gdy poczuł nóż na gardle. To, że dożył kolejnego świtu, zawdzięczał szczęściu, nie przebiegłości czy pomysłowości. Choć umysł miał bardzo bystry, zbyt wiele pozostawiał improwizacji albo w ogóle nie dbał o szczegóły. Ostatni raz działał w ten sposób, ale cena za tę lekcję była bardzo wysoka.

Pomysł, by napaść na dom Szufłady, pasera, wyszedł od Zachariasza. Pierwszy wniosek, jaki Sancho wyciągnął z tej nocy, był taki, że pomysły ślepcy nie są złe, jednak wymagają zmacerowania i zakonserwowania przed zrealizowaniem.

Zaczekali do nocy, nie tylko po to, by nikt ich nie zobaczył, ale też by łup był jak największy. Jak na tak dochodowy interes i magazyn wyrobów ze złota, nie było zbyt wielu zabezpieczeń. Wszyscy wiedzieli, kim jest właściciel tego sklepu, i to wystarczało.

Zachariasz zastukał do drzwi, jak zwykle. Plan zakładał, że nikt nie powinien się zorientować, że jest zaangażowany w sprawę. Był zbyt znaną postacią w Sewilli i Sancho potrzebował

go na wolności, chciał, aby nadal mógł poruszać się swobodnie po ulicach. Dlatego kiedy Szuflada otworzył drzwi, jak zwykle drwiąc ze ślepcy, Sancho z rapierem w dłoni wdarł się do środka za Zachariaszem i odepchnął go na bok.

– Nie ruszać się! – zagroził Szufladzie uwięzionemu przy drewnianej ladzie.

Josué wszedł za Sanchem, wywołując zdumienie na twarzy zbira, jak zwykle pilnującego drzwi, i samego Szuflady. Nie mogli uwierzyć w to, że para nieznajomych wdarła się do miejsca, które uważali za nienaruszalne.

– Co wy, u diabła, robicie, głupcy? – zapytał paser odchylony w tył, jak najdalej od sztychu rapiera.

– Zamierzamy obrabować tę dziurę, panie. Za waszym pozwoleniem, oczywiście.

Zbir ruszył do przodu, jednak Josué zatrzymał go, kładąc mu dłoń na piersi. Bandyta pozostał na miejscu, ogarnięty klasycznym tchórzostwem twardzieli. Czym innym jest uderzyć starego ślepcy w plecy, a zupełnie czym innym postawić się gigantowi wyższemu od zwykłego człowieka o dwie głowy.

– Nie wiecie, w co wdepnęliście. Nawet nie macie pojęcia, kogo okradacie, prawda?

– Wiemy doskonale, kim jest Monipodio, dziękujemy.

Szuflada z niedowierzaniem zamrugał oczami.

– Nie możecie być aż tak głupi, by sądzić, że wyjdziecie z tego cało. Wydłubie wam oczy.

– Wcześniej musiałby nas złapać.

– A ty, Zachariasz? Jesteś z nimi? – Ślepiec zaprzeczył ruchem głowy, ale jego gwałtowne gesty nie przekonały Szuflady. – No

pewnie, że tak. Zawsze byłeś przepełnionym urazą głównem. Zobacysz, co się stanie, kiedy Król odkryje, że jesteś zdrajcą.

W tym momencie Sancho otrzymał jednocześnie lekcję numer dwa i trzy: musisz bardzo dobrze znać teren, na który się zapuszczasz, ponieważ może się okazać, że jest tam więcej wejść; a w takim przypadku musisz mieć kogoś, kto będzie osłaniał plecy. Obie kwestie przemknęły mu przez myśl w tej krótkiej chwili, kiedy drugi ze zbirów wbiegł z zaplecza z naładowanymi pistoletami w obu dłoniach. Wystrzelił z jednego w stronę Sancha. Chłopak ledwie uniknął kuli, rzucając się na ziemię. Josué uskoczył w bok, kiedy drugi pistolet został wycelowany w niego – kula trafiła w głowę zbira, którego przytrzymał. Czerwony kwiat wykwitł na czole mężczyzny a ten przewrócił oczami i upadł.

– Josué, padnij!

Czarny rzucił się obok Sancha. Chłopak próbował zatrzymać Szufladę, który starał się uciec, przeskakując przez ladę. Sancho chwycił go za jedną nogę, ale paser kopnął go drugą w twarz i w ręce chłopaka został tylko but.

Zawahał się przez chwilę, nim ruszył za Szufladą. Zbir, który trafił w głowę swojego kompana, okazał się beznadziejnym strzelcem, jednak – jakkolwiek był niewprawny lub pijany – nie mógł chybić z odległości pół metra. Jeżeli miał trzeci pistolet, Sancho dostanie kulę. A jeśli nawet go nie miał, to i tak zdąży ponownie naładować broń, o ile chłopak nie wyskoczy jak najszybciej.

Sancho zdecydował się zaryzykować i wstał. Szuflada padł na ziemię po drugiej stronie lady i starał się nabić pistolet. Drugi ze

zbirów robił to samo, ale szybciej. Wepchnął już kulę stemplem i podsypał proch na panewkę. Sancho usłyszał metaliczne kliknięcie odciąganego kurka. Nie mając czasu, by użyć rapieru, chłopak oparł obie dłonie na ladzie i rzucił się na zbira z nogami naprzód, kopiąc go w brzuch. Pistolet wystrzelił, upadając na podłogę, a kula trafiła Szufladę w ramię. Tylko go drasnęła, ale to wystarczyło, aby paser zawył, jakby już umierał.

Widząc to zbir, którego Sancho powalił, wstał i pobiegł z powrotem na zaplecze. Chłopak ruszył za nim, ale Szuflada chwycił go za kaftan – Sancho ciosem w szczękę posłał go na ziemię.

– Pilnuj go, Josué! – krzyknął chłopak, biegnąc za zbirem.

Zaplecze było ciemną i wąską kiszką, oświetloną tylko przez skromny prostokąt światła wpadającego ze sklepu. Sancho potrzebował chwili, nim w mroku zlokalizował bandytę. Obawiał się, że ten może się schować i przygotować zasadzkę, ale znalazł go przy łożu, w którym pewnie spał, kiedy oni wdarli się do lokalu, rozrzucającego leżące tam ubranie. W końcu mężczyzna odwrócił się z nożem w dłoni, a Sancho otrzymał czwartą lekcję: zawsze bądź przygotowany do walki w ciasnym miejscu, gdzie nie można użyć rapiera. Kiedy wyprowadził pchnięcie, klinga wbiła się w jakiś mebel i utknęła tam. Chłopak był bezbronny. To, co zrazu wydawało się, że będzie nierówną walką i łatwym zwycięstwem Sancha, przeistoczyło się w śmiertelne zmagania, kiedy zbir rzucił się na niego z nożem wycelowanym w jego w brzuch.

Sancho wypuścił z dłoni rapier i uskoczył w tył, chwytając obiema dłońmi ramię zbira. Nie zwracał uwagi na ciosy, które

tamten wymierzał mu drugą ręką w twarz i szyję. Skupił się tylko na tym, by odsunąć poczerńiałe stalowe ostrze od swojego brzucha, w którego stronę kierował je brutalny i silny przeciwnik. Przez kilka chwil nóż drżał w powietrzu, poddany działaniu dwóch równorzędnych sił, wciąż zwrócony ostrzem w stronę chłopaka. Kiedy już się wydawało, że nic nie naruszy tej równowagi, Sancho głową uderzył w nos zbira, łamiąc go z trzaskiem. Ramiona mężczyzny nagle straciły swą moc, a ostrze noża zmieniło kierunek i wbiło się w jego mostek. Upadł na Sancha, wstrząsany straszliwymi drgawkami, a ten zepchnął go z siebie przestraszony.

Tam, pośrodku tego ciemnego zaplecza, Sancho odebrał swoją piątą lekcję: wojna i zemsta polegają na zabijaniu, a zabijanie jest brudne i odrażające. Na miękkich nogach, z krwią zbira spływającą po dłoniach, oparł się o ścianę, aby nie upaść. Jego jelita zaczęły pracować, jakby w proteście przed nożem, który niemal je przeszył.

Nie mogąc się powstrzymać, wymiotował.

Kiedy już minęły skurcze i oddech wrócił do normy, Sancho przyjrzał się nieruchomej postaci leżącej na ziemi. Tylko prawa dłoń trupa była oświetlona przez światło wpadające z drugiego pomieszczenia. Zmusił się, by dobrze się mu przyjrzeć. Do tego właśnie przygotowywał się podczas roku nauki w domu Dreyera.

Powtarzał sobie, że nie zamierzał go zabić, że przecież zrobił to w obronie własnej, ale to on był odpowiedzialny za śmierć tego człowieka. Wmawiał sobie, że zabity był zbirzem, żył z przemocy, z całą pewnością również zabijał, jednak ostatecznie to on,

Sancho, zaczął tę wojnę, a zrobił to w imię kogoś, kto odrzucał przemoc.

Zadał sobie pytanie, co pomyślałby o nim teraz Bartolo. Jeżeli istnieje niebo i karzeł patrzy na niego z góry, to czy kiwa teraz głową z politowaniem, czy raczej zaciska pięści w triumfalnym geście.

Sancho wrócił do głównej izby zaledwie kilka minut po tym, jak zagłębił się w ciemności, jednak wychodząc, nie był już tą samą osobą. Czuł, że jego głowa jest cięższa i był bardziej świadomy swojego oddechu. Przedmioty, które pojawiały się przed jego oczami, miały teraz wyraźniejsze krawędzie. Nie było to przyjemne uczucie.

„Krew leci ci z nosa” – rzekł Josué, odsuwając się od Szuflady i idąc w kierunku chłopaka. Wyglądał, jakby mu ulżyło, kiedy zobaczył Sancha.

„To nic” – odrzekł Sancho, również używając znaków.

Josué spojrział ponad ramieniem Sancha.

„A ten drugi?”

„Zabiłem go. Nie chciałem tego zrobić”.

Gigant uścisnął ramię przyjaciela. Sancho nie wiedział, czy był to gest czułości czy współczucia. Zadrżał i chciał odwzajemnić uścisk, ale poczucie winy i wstyd nie pozwoliły mu na to. Poza tym musiał się zająć Szufladą.

Paser wciąż leżał na ziemi, mamrocząc coś niezrozumiale, oszołomiony ciosem zadany mu przez Sancha. Chłopak kazał mu wstać, nie wiedząc zbyt dobrze, co miałyby dalej z nim zrobić, kiedy za plecami Szuflady pojawił się Zachariasz i złapał go od

tyłu, szukając dłońmi jego szyi. Szuflada bezskutecznie próbował się uwolnić.

– Nie! – krzyknął Sancho, o sekundę zbyt późno przejrzawszy intencje ślepcy. Zachariasz wolną ręką podniósł nóż i podciął Szufladzie gardło, przeciągając z lewej do prawej strony, jakby przecinał melona.

Gęsta i ciemna krew trysnęła, bulgocząc, a paser upadł na ladę z głuchym odgłosem.

– O co to zamieszanie? – rzekł Zachariasz. – Powinieneś się cieszyć. Ten drań wyczuł, co uknuliśmy.

– Nie trzeba było go zabijać. Psiamać, był nieuzbrojony!

– Chłopcze, może dla ciebie to nie było konieczne. Ale ten gnój wysyłał mnie spać pod gołym niebem tyle razy, ile wszy ma kurwa za dwa maravedí. Nadszedł czas, żeby ktoś mu za to odpłacił.

Sancho patrzył, jak czerwona plama rozlewa się po ladzie – tak samo jak ciemne myśli zapełniały jego głowę.

„W co się zamieniam?” – pomyślał.

L

Kapitan Groot niespokojnie poprawił się w siodle. Nienawidził nocnej jazdy, wywoływała w nim napięcie i rozdrażnienie.

Zwierzę, ogromna kasztanowa klacz, wyczuło zdenerwowanie jeźdźca. Wierzgnęła kilka razy, ale Flamand pociągnął brutalnie za wodze, aby ją opanować i zmusić do pozostania w miejscu. Żelazne wędzidło wywołało krwawienie u zwierzęcia – pewnie będzie musiał je poświęcić po powrocie do Sewilli. Groot ubolewał nad tym, ponieważ zapłacił za klacz z własnej kieszeni zaledwie kilka tygodni temu i nawet jeszcze nie miał okazji przejechać się nią po mieście. Wzruszył ramionami z rezygnacją. Ostatnie dni były okrutne dla wszystkich zaangażowanych w tę operację, a on wyładował swoją frustrację na klaczy. Na szczęście Vargas obiecał mu za trudy rekompensatę, która wystarczy na nowego wierzchowca. Wiedział już też dokładnie, na co wyda resztę. Było na Compásie kilka prostytutek, które pozwalały się bić za podwójną stawkę. A kiedy któraś z nich zniknęła, nikt nie zadawał zbyt wielu pytań.

Delikatny stukot na szlaku wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał w niebo. Z pozycji księżyca wywnioskował, że było około trzeciej

piętnaście nad ranem. Doskonała pora, aby zrealizować ostatnią część planu.

Zaraz też ostatni z wozów zjechał z drogi i ruszył w stronę pustego teraz spichlerza. Jeszcze tam nie dojechał, kiedy jedno z kół zawadziło o kamień i spadło z osi. Woźnica zatrzymał konie i zeskoczył, aby sprawdzić rozmiar szkód.

– Całe szczęście, że to się zdarzyło na sam koniec – rzekł, odwracając się w stronę Groota.

– Jedź dalej, trzeba wstawić wóz do magazynu – rozkazał krótko Flamand.

– Ależ, panie, oś może się złamać. Wóz będzie bezużyteczny.

– Nie płacą ci tu za myślenie, tylko za wykonywanie poleceń.

Woźnica zdusił przekleństwo i kazał zsiąść najemnikom siedzącym na wozie.

– Każ wszystkim wejść do spichlerza – rzekł Groot. – Otrzymacie nagrodę za ten kawał dobrej roboty.

Usłyszawszy to, mężczyźni ożywili się, choć byli wykończeni.

– Ile to będzie?

– Zaraz przyjdzie pan z pieniędzmi.

Najemnicy popchnęli wóz, podtrzymując go od strony wyłamanego koła. Przyszło im to z trudem, ale zdołali wprowadzić go do budynku.

Groot zsiadł z konia i podszedł do krytego powozu bez żadnego herbu ani oznaczeń, który czekał po drugiej stronie drogi.

Zastukał w okienko. Zasłonki poruszyły się, a chwilę później okienko się otwarło.

– Transport zakończony, panie.

– Czas najwyższy, u diabła. Macie rozliczenie worków?

Flamand zbliżył dokument do okienka. Ktoś ze środka go wziął, po czym wewnątrz dał się słyszeć pomruk zadowolenia.

– Zaczekajcie chwilę.

Wewnątrz powozu Vargas odwrócił się do Malfiniego, którego głębokie cienie pod oczami były widoczne nawet w słabym świetle świecy. Ostatnie trzy noce spędzili wewnątrz powozu, drzemiąc tylko chwilami przez cały czas doglądania transportu. Obaj byli spięci, ponieważ operacja wiązała się z wielkim ryzykiem.

– Ubezpieczyliście zboże trzymane w waszym spichlerzu? – zapytał Malfini Vargas, gdy tylko wyłożył mu swój plan.

– Na minimalną kwotę.

– Anulujcie polisę, informując, że zboże zostanie wkrótce sprzedane Jego Wysokości, więc już jej nie potrzebujecie. Trzeba oddalić wszelkie podejrzenia.

Vargas wysłuchał go uważnie, początkowo ze ściśniętym sercem, jednak z każdą chwilą coraz bardziej ożywiony na myśl o czekającym ich przedsięwzięciu.

– Kupicie magazyn lub jakiś inny duży budynek niedaleko spichlerza, w którym obecnie przechowujecie zboże. Następnie w środku nocy przewieziemy tam zboże: niewielu ludzi, niewiele wozów, szybka i dyskretna operacja. Król rozpaczliwie potrzebuje dostaw, aby wyżywić załogi swoich okrętów. W ciągu trzech czy czterech miesięcy, kiedy komisarze do spraw zaopatrzenia nie będą już mogli znaleźć ani jednego ziarna, zainscenizujemy dostawę z Sycylii lub z Polski, z jakiegoś miejsca znajdującego się wystarczająco daleko, aby nikogo to nie obchodziło, a wtedy będziecie mogli je sprzedać siedem razy drożej.

– A tymczasem mogę sprzedać drożej to, co zostało w Andaluzji. Doskonale.

– Wiedząc z wyprzedzeniem, co ma się zdarzyć, będziecie też mieli przewagę przy negocjowaniu cen. Jest tylko jedna niedogodność.

Vargas machnął lekceważąco ręką. Nie chciał słuchać tego, co Ludovico miał do powiedzenia, ponieważ dobrze wiedział, o co chodzi. Ponad połowa pszenicy w spichlerzu, który zamierzali złupić, była przeznaczona dla Sewilli. Vargas powinien sprzedać ją za cenę ustaloną przez Koronę cechom, młynarzom, niewielkim piekarniom i sklepikom, a ci z kolei mieli ją rozprowadzić w mieście.

Chleb pszeniczny stanowił podstawę wyżywienia prostej ludności. Dla ponad połowy mieszkańców miasta mały bochenek chleba, w najlepszym razie posmarowany odrobiną smalcu lub masła, stanowił dzienną rację żywnościową. Nagłe zniknięcie pszenicy przeznaczonej na wyżywienie Sewilli zimą będzie ogromnym ciosem. Cechy będą musiały ją importować, o ile w ogóle ją zdobędą, za niebotyczne ceny. Dla biedaków zabraknie chleba albo będzie on tak drogi, że stanie się dla nich nieosiągalny. Zapanuje straszny głód, tak jak w 1565 roku, podczas oblężenia Malty, które zbiegło się w czasie z najgorszymi zbiorami w tym stuleciu. Rok 1590 też był straszny w całej Europie, naznaczony suszami i plagami.

Ludzie będą cierpieć, i to bardzo. Vargas i Malfini musieli zachować najwyższą ostrożność podczas realizacji tego planu, ponieważ przestępstwo, które zamierzali popełnić – spekulowanie – było karane śmiercią. Dlatego też zatrudnili najemników spoza

miasta, nie wyjaśniając, jakie zadanie mają wykonać, ale każąc im poinformować rodziny, że wyjeżdżają na cały rok. Spichlerz, w którym Vargas przechowywał zboże, był oddalony o sześć lig od Sewilli; docierały tam worki z Marcheny, Osuny, Utrery i wielu innych wiosek, które stały się spiżarnią dla stu pięćdziesięciu tysięcy głodnych gęb najważniejszego miasta na świecie.

Jedynym miejscem, jakie Vargas znalazł, mogącym pomieścić wszystkie worki, był stary tartak opuszczony lata temu, ukryty pośrodku sosnowego lasu, pół ligi od spichlerza. Malfini kupił go poprzez pośrednika, a wynajęci robotnicy opróżnili go z wszelkich narzędzi do obróbki drewna.

– To miejsce nie nadaje się do przechowywania pszenicy. Ziarna mogą zgnieć – warknął Vargas, zobaczywszy budynek.

– Nie martwcie się. To kwestia zaledwie kilku miesięcy, a wtedy na rynku będzie już taki deficyt zboża, że sprzeda się nawet to zepsute.

Przed rozpoczęciem transportu, który przeprowadzono zgodnie z planem Malfiniego, w nocy i potajemnie, okna zabito deskami, a drzwi wzmocniono. Robotnikom obiecano trzykrotnie wyższe stawki w zamian za pracę w trudnych warunkach, z noclegiem w tartaku. Sam transport pszenicy trwał trzy noce i właśnie zakończył się pomyślnie.

Teraz pozostawało to, co najważniejsze.

Nie można było pozostawić żadnych świadków.

Vargas wychylił się przez okienko i spojrzał poważnie na Groota.

– Wiesz, co robić.

Kapitan skinął głową, wyjął rapier i potrząsnął nim w powietrzu, dając umówiony sygnał.

Natychmiast na tyłach spichlerza dał się słyszeć gwizd i czterech ludzi wynurzyło się z ciemności. Dwóch z nich niosło pochodnie.

Ci, którzy szli z pustymi rękami, pobiegli w stronę wejścia do spichlerza i pchnęli jedno z ogromnych skrzydeł wrót otwierających się na zewnątrz, aż znalazły się na swym miejscu.

– Kim jesteście? – zapytał jeden z robotników, który wychylił się na zewnątrz zaalarmowany hałasem. Zobaczywszy Groota zbliżającego się z rapierem w dłoni, przestraszył się jeszcze bardziej. – Co się, u diabła, dzieje?

– Szybko, zamykać! – rozkazał Groot, z każdą chwilą coraz bliżej wejścia. Przeklął się za to, że zbyt wcześnie wydał rozkaz, bo robotników było zbyt wielu. Choć nie mieli broni, gdyby w tej chwili wyszli, rozdarliby ich na strzępy.

Robotnik, który wszczął alarm, zaczął krzyczeć i próbował przeszkodzić dwóm mężczyznom siłującym się z drugim skrzydłem wrót. Uderzył jednego z nich pięścią w skroń, a ten zamroczony upadł na ziemię. Spróbował rzucić się na drugiego nieznanego, który pchał wrota – brakowało już tylko czterech dłoni, aby się domknęły.

– Pomóżcie! Chcą nas...

Jego zdesperowane wołanie o pomoc zamieniło się w głuche rżenie. To kapitan dotarł na miejsce i przeciął mu gardło rapierem, tnąc od góry do dołu. Stał wysunęła się z drugiej strony szyi i utonęła w zagłębieniu obojczyka. Za pomocą rapiera Groot obrócił ciało konającego robotnika twarzą w stronę wrót.

Jednym mocnym kopnięciem wepchnął go do środka, jednocześnie ciągnąc za rapier, aby go uwolnić.

– Sztaba, durnie! Zakładać sztabę! – rzekł, pchając wrota, aż je domknął. Ze środka dochodziły krzyki, ktoś zaczął siłować się z drzwiami. – Nie dam rady utrzymać ich długo!

Mężczyźni z trudem podnieśli ciężki kawał drewna. Groot znów poczuł pchnięcie i całym swoim ciężarem przycisnął wrota.

– Chodźcie tutaj! Zamknęli nas! – krzyczał ktoś po ich drugiej stronie.

– Odsuńcie się! – krzyknął jeden z mężczyzn trzymających sztabę i Groot odszedł na bok, a tamci włożyli sztabę w pierwszy z metalowych uchwytów, tych samych, które jeszcze tydzień temu służyły do zamykania drzwi spichlerza od środka. Groot sam usunął je stamtąd i umieścił na zewnątrz.

Wykonał też w budynku inne przeróbki, których żaden z robotników nie zauważył.

Sztaba już miała wejść w drugi uchwyt, kiedy okazało się, że jeden z mężczyzn źle wymierzył i potężna belka wyslizgnęła mu się z rąk i upadła na ziemię. Pech chciał, że nastąpiło to dokładnie w chwili, kiedy robotnicy zamknięci w środku popchnęli wszyscy razem, i udało im się otworzyć jedno ze skrzydeł na szerokość kilku dłoni. W szparze pojawiły się rozpaczliwie wczepione palce.

– Wypuście nas!

Groot rzucił rapier, przycisnął ramię do wrót i wyjąwszy sztylet, który nosił za pasem, zaczął okrutnie ciąć wystające palce. Odciął ich kilka, a głosy wewnątrz zamieniły się we wrzaski bólu.

– Pchać teraz, idioci! – ryknął. – A wy natychmiast wólcie sztabę na miejsce, przekłęci!

Ten, który upuścił belkę, zdołał ją podnieść na właściwą wysokość, jednak uderzył przy tym w ramię Groota. Ten ryknął, jednak nie odsunął się od szpary i znów zaczął pchać, aż udało mu się zamknąć wrota. W końcu sztaba opadła na uchwyty, a pchnięcia od wewnątrz zamieniły się w głuche, bezużyteczne uderzenia.

– Wybaczcie, że was uderzyłem, panie – rzekł mężczyzna, który uderzył kapitana.

Groot trzymał się za obolałe ramię.

– Zapomnij teraz o tym. Zapalić drewno!

Mężczyźni rozbiegli się na dwie strony budynku, gdzie znaleźli przykryte pledami stosy suchego drewna przełożonego słomą.

Ci z pochodniami zaczęli podpalać drewno. W ciągu kilku minut silne płomienie wzniosły się wysoko. Groot nie ruszał się z miejsca, patrząc, czy wrota wytrzymują. Zamknięci robotnicy szturmowali je coraz rozpaczliwiej, ponieważ poczuli już dym wdzierający się do środka wąskimi okienkami na poddaszu spichlerza, gdzie przechowywano narzędzia.

– Szukajcie drabiny! Uciekniemy przez okna!

Groot uśmiechnął się zadowolony z siebie. Drabina, z której zwykle korzystano, aby dostać się na piętro spichlerza, została usunięta podczas ostatniego przejazdu robotników, a jedyne wyjście z budynku prowadziło przez zamknięte obecnie wrota. Teraz trzeba było tylko zaczekać tutaj, aby się upewnić, że mężczyźni zamknięci w środku nie wyjdą i że nikt nie pojawi się na miejscu, zauważywszy płomienie, by wmieszać się w sprawę.

Jego radość nie trwała jednak długo, ponieważ zauważył, że drewniana sztaba zaczyna pękać na środku, tam, gdzie uderzenia

robotników były najsilniejsze. Czy więźniom uda się wyważyć drzwi, zanim płomienie dosięgną dachu budynku? Kiedy to się stanie, zginą, ponieważ bandyci, którzy towarzyszyli mu tej nocy – jak zwykle przysłani przez Monipodia – podpiłowali do połowy drewniane słupy podtrzymujące konstrukcję. Jak tylko ogień dotrze do góry, budynek się zawali, przygniatając mężczyzn i konie, które – poczuwszy dym – rżały przerażone w środku.

Groot zaniepokojony wychylił się za frontową ścianę spichlerza. Pożar zaczynał już ogarniać boczne ściany, jednak wydało mu się, że dzieje się to irytująco wolno. Musiał ich wykończyć, zanim zdołają wyważyć drzwi, ale jak? Było ich zbyt wielu, nie dało się też ich wystrzelać przez górne okienka, ponieważ Groot miał do dyspozycji tylko krótką broń, a w środku panowała ciemność.

Nagle, jak objawienie, przyszedł mu do głowy pomysł.

– Przynieście drabinę!

Jeden ze zbirów wykonał rozkaz, przynosząc drabinę z za spichlerza, gdzie ją ukryli. Kapitan oparł ją o frontową ścianę budynku, ponad wrotami, tak żeby mógł się z niej dostać do wysoko położonego, okrągłego okienka. Było ono tak małe, że nie zmieściłby się w nim nawet większy arbuz, ale na tym właśnie opierał się najnowszy plan Flamanda.

– Ej, wy, ustawcie się w łańcuch i podawajcie mi płonące polana. Łapcie takie, które zajęły się tylko z jednej strony, nasikajcie na drugi koniec, jeśli trzeba, aby dało się je mocno złapać, i podawajcie mi je!

Mężczyźni zrobili, jak kazał, a Groot wspiął się na drabinę, która zatrzeszczała pod jego ogromnym ciężarem. Pierwsze polano dotarło do niego w doskonałym stanie, z jednej strony

zarzące się i płonące, z drugiej jeszcze niezajęte. Mężczyzna, który mu je przyniósł, przeklinał bez przerwy, tak go parzyło, ale Groot był przewidujący i – pomimo gorąca panującego tej nocy – włożył skórzane rękawice. Przeżył zbyt wiele bitew, aby nie wiedzieć, że dłonie wymagają dobrej ochrony, zwłaszcza wtedy, gdy mogą się pojawić problemy.

Umieścił końcówkę polana w otworze, a następnie z całej siły pchnął je otwartą dłonią do środka, ponieważ chciał, by ominęło ono drewniane poddasze i spadło na dolny poziom. Wstrzymał oddech w oczekiwaniu na wynik. Kiedy usłyszał przerażone wrzaski robotników wewnątrz, wiedział, że mu się udało. Zaśmiał się krótko i sucho. Będą mieli czym się zająć.

– Podawajcie kolejne. Szybko!

Wrzucił następne trzy lub cztery polana, mając nadzieję, że dopisze mu szczęście, i któreś z nich spadnie pod jeden z wozów i podpali go. To by mu ułatwiło sprawę. Rozpaczliwe rzenie koni zlewało się już z wrzaskami bólu ludzi, więc zakładał, że w środku już coś się zajęło ogniem. Dalej wrzucał płonące polana przez okienko, teraz starając się, by upadały na poddasze. Dzięki temu szybciej zapłonie dach, a wewnątrz wypełni się dymem. Uduszą się, nim zdołają wyważyć wrota.

Szturmy robotników na dole stopniowo traciły już na sile, aż zupełnie ustały. Krzyki i rzenie również stawały się coraz rzadsze, aż zupełnie umilkły. Groot zadowolony zszedł z drabiny. Wiele by dał za porządny kielich wina.

Miał już dać rozkaz do odjazdu, kiedy podszedł do niego jeden ze zbirów. Jego twarz była kompletnie umazana sadzą; kapitan przypuszczał, że on sam też wygląda podobnie. Bandyta ciągnął

za sobą jakiegoś chłopaka. Nie mógł mieć więcej niż dwanaście czy trzynaście lat.

– Znaleźliśmy go dziś w nocy podczas jednego z przejazdów.

Groot podrapał się po głowie, myśląc, co powinien zrobić. Dwóch zbirów Monipodia każdej nocy towarzyszyło robotnikom, idąc albo obok nich wzdłuż drogi, w ciemnościach, albo o rzut kamieniem przed wozami. Ich jedynym zadaniem było złapać każdego pechowca, który nie spał o świcie i mógłby natknąć się na wozy. Pod żadnym pozorem nie wolno było zostawić świadków.

Pierwszej nocy napatoczyły się dwie osoby: mężczyzna w średnim wieku sprawiający wrażenie kupca – zamordowali go, rozebrali i wrzucili do rowu, żeby wyglądało, iż wpadł w ręce przydrożnych rozbójników – i żołnierz na przepustce, który w organizmie miał więcej alkoholu niż jedzenia. Podzielił los poprzednika. Kolejnej nocy nikogo nie spotkali, a ostatniej tylko tego chłopaczka.

Groot przyjrzał mu się uważnie. Był związany i zakneblowany, a w jego wielkich, bystrych oczach błyszczało przerażenie. Kapitan patrząc na jego proste odzienie, plamy na siedzeniu spodni i kawałki wełny wplątane w brudne, kręcone kasztanowe włosy, uznał, że chłopak jest zapewne pasterzem. Pewnie wyszedł na poszukiwanie zagubionej owcy. Miał pecha.

„A my szczęście” – pomyślał Groot, wyjmując zza pasa sztylet, który kupił specjalnie na tę noc. Był średniej jakości, nadawał się bardziej do ozdoby niż do celów praktycznych, ale o to właśnie chodziło: miał posłużyć do zostawienia mylnego tropu co do autorstwa kradzieży. Dzięki sztyletowi zdarzenie nie będzie wyglądało na zwykły rabunek, tylko na działanie wojenne, na

zuchwały i szybki napad. Do tego był im potrzebny ten niewinny pastuszek.

Groot zręcznym ruchem przeciął mu więzy i usunął knebel. Chłopak otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i spróbował się uśmiechnąć.

– Dzięki, panie. Dzięki.

Groot również się uśmiechnął i natychmiast zatopił sztylet w jego piersi. Chłopak upadł na plecy z wciąż otwartymi ustami.

– Wszyscy gotowi? Ruszamy!

Flamand nie skończył jeszcze mówić, a powóz już ruszył z miejsca. Groot i pozostali bandyci rozbiegli się do miejsc, gdzie przywiązali konie, które wierzgały zaniepokojone pożarem. Zwierzęta pogalopowały za powozem, pragnąc znaleźć się jak najdalej od trzaskającego ognia.

W ciągu kilku minut zawalił się dach spichlerza. Jedyne świadkami tego zdarzenia były trzy stojące lwy, które ktoś wygrawerował na sztylcie wbitym w pierś pasterza.

Trzy lwy. Symbol Anglii.

LI

Sancho i Josué musieli odsunąć trupa, aby dostać się do szuflad, od których wziął się przydomek pasera. Znaleźli dość godziwą kwotę w gotówce, niemal trzydzieści escudo, które bardzo im się przydadzą w ciągu najbliższych miesięcy. Do tego sporo taniej biżuterii, głównie bransolet, srebrnych naszyjników i medalionów. Tylko jeden okaz wyglądał na rzeczywiście wartościowy: cienki złoty diadem inkrustowany niewielkimi szmaragdami, który chyba był wart małą fortunę.

– Pechowo. Z pewnością ten drań Szuflada dopiero co wysłał transport towaru do szefa. Dobrze, że chociaż to cacko tutaj zostało. Za to dostaniemy jakieś czterysta, pięćset – rzekł Zachariasz po tym, jak zważył diadem w dłoni, a Sancho na jego prośbę opisał mu go szczegółowo.

– Nie możemy sprzedać diademowi w Sewilli, Zachariaszu. Uczciwi jubilerzy będą wiedzieli, że pochodzi z kradzieży, a paserzy, że należy do Monipodia. To tak jakbyśmy ukradli kamień – rzekł Sancho, który był w paskudnym nastroju po tym, co zaszło ostatniej nocy.

Ta rozmowa toczyła się po południu w dzień po napadzie, w pokoju w gospodzie, w której ulokowali się Sancho i Josué. Zamknęli się tam teraz ze strachu, że ktoś mógł ich wczoraj zobaczyć. Zachariasz realizował swój zwykły plan dnia, aby nie wzbudzać podejrzeń i aby dowiedzieć się, co się mówiło na temat tego zdarzenia w półświatku.

– Uspokój się, chłopcze. Gdy już opadnie kurz, przyjdzie czas, aby wybrać się do Toledo lub do Madrytu i sprzedać to.

Tymczasem trzeba przetrwać burzę.

– Czyżby to wywołało aż takie zamieszanie?

– Chłopcze, w całej Sewilli nie mówi się o niczym innym. Uczciwi obywatele mówią o kradzieży, półświatek sądzi, że pojawiła się grupa niezadowolonych z Monipodia.

„Zapytaj go, czy ktoś nas widział” – wtrącił się Josué, który bardziej tym się martwił niż wartością łupu. Sancho zapytał.

– Mówią, że jakiś sąsiad opisał sprawców strażom. Pięciu wysokich, silnych mężczyzn z grubymi wąsami, cichych jak duchy. Sancho odetchnął z ulgą.

– To nie my!

– A myślisz, że kto przemyka się między ludźmi, szepcząc odpowiednie słowa we właściwe uszy? Wystarczy powtórzyć jakąś historię z tuzin razy i już sama rozchodzi się lotem błyskawicy.

– Ktoś może cię z nami powiązać.

– Sądzisz, że urwałem się z księżycą, chłopcze? Zawsze mówię, że „właśnie usłyszałem” od kogoś... Nie jestem idiotą. Takie sprawy zostawcie mnie, a wy odpoczywajcie.

– Nic z tego, Zachariaszu – rzekł Sancho stanowczo. – Nie możemy przestać nękać Monipodia, jeżeli chcemy obrócić jego

ludzi przeciwko niemu.

Kłócili się przez dobrą chwilę, a Zachariasz błagał wszystkich świętych, żeby sprawili, by Sancho zmienił zdanie. Skończywszy litanię do wszystkich świętych i nie zdoławszy zmienić planów chłopaka ani krztynę, ślepiec poddał się i zasugerował inne rozwiązanie.

– W takim razie nie możecie zostać tutaj. Tym razem nikt nas nie widział, ale prędzej czy później ktoś zacznie mówić o ogromnym niewolniku i towarzyszącym mu młodzieńcu. Nie możemy do tego dopuścić.

„Nie jestem niewolnikiem” – rzekł Josué, zamaszycie wykonując kolejne znaki. Sancho poprosił go, by się nie odzywał.

– Będziemy potrzebowali miejsca z bezpośrednim wyjściem na ulicę, nie tak, jak tutaj. Czegoś dyskretnego, gdzie nie będzie się przewijać wielu ludzi.

Zachariasz skinął głową.

– Sądzę, że znam takie miejsce. Jest niemal puste, zdaje się, że mieszka tam tylko jeden człowiek, i to lekko stuknięty. Za skradzione pieniądze możesz spróbować je kupić. Ale to nie jedyne, czego będziecie potrzebować. Trzeba też będzie więcej rapierów.

– Nie chcę w to mieszać więcej osób.

– Chłopcze, i mnie się nie widzi dzielenie się łupem.

– Nie o to mi chodzi.

– Więc jak zamierzasz przekonać swojego przyjaciela, aby jednak użył swych łapsk i zaczął łamać karki?

Kiedy wcześniej Zachariasz pomacał tors, twarz i ramiona Josuégo – wydawało się, że jest to jego szczególny sposób

poznawania osób, z którymi się stykał – był zdumiony siłą drzemiącą pod jego napiętą hebanową skórą. Kiedy Sancho mu wyjaśnił, że Josué ślubował nie krzywdzić innych, ślepiec odrzekł, że są szaleni, i niewiele brakowało, by ich opuścił. W świetle zdarzeń, które zaszły w domu pasera, Sancho musiał jednak zmienić swoje pierwotne plany i zwerbować dodatkowych współników. Miał do wyboru albo to, albo sam stać się jak zbiry Monipodia. Tak, jak go ostrzegął Dreyer miesiąc temu: „zabić kogoś, a następnie okraść, jest proste i bezpieczne; obrabować kogoś, utrzymać go przy życiu i przekonać do milczenia, jest cholernie niebezpieczne”.

– Muszę pomówić z Josué.

– Jak sobie życzysz, chłopcze. Ale lepiej, żebyście zdecydowali się mnie posłuchać, albo od razu się rozstańmy. Nie odpowiadają mi takie emocje, jakich doświadczyłem wczorajszej nocy.

Ślepiec poszedł na chwilę się położyć, ponieważ poprzedniej nocy niemal nie zmrużył oka. Wkrótce rozległy się ostre i suche odgłosy chrapania, które brzmiały jak piłowanie ogromnych pni drzewa. Na wszelki wypadek Sancho zwrócił się jednak do Josuégo w języku migowym, ponieważ to, co mieli do omówienia, w dużym stopniu dotyczyło Zachariasza.

„Co sądzisz?”

„To teraz cię interesuje, co ja sądzę?” – rzekł Josué, obrażony z powodu sposobu, w jaki Sancho przerwał mu wcześniej.

Chłopak, który od dłuższego czasu siedział na podłodze, wstał i podszedł do przyjaciela, który zajmował jedyne krzesło w izbie. Musiał ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego. Rozumiał, że Josué jest zazdrosny w związku

z wkroczeniem Zachariasza w ich tak świetnie zgrany zespół, jednak nie mógł ani nie chciał poruszać tego tematu.

„Prawdę mówiąc, tak, interesuje mnie” – Sancho zawahał się przez chwilę. Nawet w języku migowym były pewne słowa, których pokazanie przychodziło mu ze szczególną trudnością. – „Przepraszam. Przepraszam za wcześniej”.

Josué skinął głową i rozciągnął twarz w tym swoim szerokim uśmiechu nasuwającym Sanchowi na myśl klawiaturę klawesynu, który brat Lorenzo trzymał w sierocińcu. Gigant łatwo się dąsał, ale też szybko wybaczał.

„Sądzę, że nie damy rady zrobić tego sami”.

„Nie wiem nawet, czy chcę to zrobić, Josué”.

„Nie wierzę, że chcesz” – odrzekł czarny, wzruszając ramionami. – „Ale i tak to zrobisz, ponieważ tak trzeba”.

Sancho nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Od poprzedniej nocy bał się chwili, kiedy zostanie sam na sam z Josué i będą musieli porozmawiać o przebiegu zdarzeń na zapleczu. Śmierć tego zbira ciążyła mu na sumieniu i – gdy tylko zamykał na chwilę oczy – powracał do niego obraz nieruchomego ciała. Już samo poddanie się osądowi przyjaciela przerażało go.

„Nie chcę, aby ponownie zdarzyło się to, co wczoraj” – rzekł do Josuégo, przełykając ślinę.

„Uniknięcie tego nie jest w twojej mocy. Rozmyślałem długo nad tym, co robimy. Ten człowiek, który kazał zabić twojego przyjaciela, jest złym człowiekiem. Ci, którzy mu towarzyszą, są tak samo źli jak on. Musisz walczyć dalej”.

„A ja sądziłem, że tego nie popierasz”.

Josué pokręcił głową.

„Nie jesteście tacy sami”.

„Nie mów tak” – odrzekł Sancho zraniony. – „Jesteście braćmi”.

„Jesteście braćmi, ale nawet bracia nie są tacy sami. Twoje przeznaczenie zostało zapisane, tak jak i moje. Ty sądzisz, że twoim przeznaczeniem jest pomścić przyjaciela, ale to tylko coś, co wskazuje ci drogę, którą masz do przebycia”.

Sancho nie odpowiedział. Spojrzał na swoje dłonie. Pod paznokciami wciąż miał jeszcze resztki krwi, która pokryła jego ręce poprzedniej nocy.

Chłopaka zadziwiała ogromna wiara przyjaciela, tak wielka, jak jego ciało. Jemu samemu wiara w Boga przychodziła z trudnością, może dlatego, że nie mógł się pogodzić z tym, że istnieje ktoś tak okrutny, by ignorować ogrom cierpienia nękającego świat każdego dnia. Przyzywał go przy łożu śmierci swej matki, sam pożerany przez zarazę. Prosił o życie Bartola, niosąc jego ciało do domu Monardesa. Błagał przy każdym uderzeniu batem, jakie otrzymał na galerze.

I nigdy nie uzyskał żadnej odpowiedzi. A jednak wciąż żył, cały i zdrowy, i trzymał w ręku rapier z najlepszej stali. Przez chwilę chłopak poczuł się przytłoczony. Ale pomyślał, że chyba byłby egoistą, gdyby odwrócił się od tego wszystkiego tylko po to, by nie brudzić sobie rąk.

Uwolnienie świata od takiej pijawki jak Monipodio mogło być przecież czymś więcej niż tylko osobistą zemstą.

Jego prośby nie były jedynymi kierowanymi do nieba, może to on, Sancho, stanowił odpowiedź na błagania innych? Jak ten banita, Robin Hood, o którym opowiadał mu tamten stuknięty Anglik, William Szekspir.

A może, jak powiedziałyby Bartolo, wszystko to było tylko jednym wielkim żartem.

„Sądziysz, że możemy mu ufać?” – zapytał w końcu Sancho, wskazując na Zachariasza.

„Kiedy byłem mały, mój ojciec miał pewien problem z duchami”.

„Sądziłem, że już nie wierzysz w duchy”.

Josué, słysząc to, przewrócił oczami, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że jego przyjaciel jest aż takim ignorantem.

„Teraz jestem dobrym chrześcijaninem, ale duchy nie przestaną istnieć tylko z tego powodu”.

„Oczywiście” – odrzekł Sancho, starając się nie uśmiechać. – „Mów dalej”.

„Mój ojciec nastąpił na grób jednego z naszych przodków i duchy strasznie się na niego rozgniewały. Wymiona naszych krów wyschły, a ryż na polach zgnił. Mój ojciec udał się do...”.

Tu Josué przerwał, ponieważ słowo, którego chciał użyć, nie istniało w wymyślonym przez nich języku. Musiał pokazać wiele innych znaków, aby wyjaśnić, o co mu chodzi.

– Do czarownika – rzekł Sancho na głos, kiedy w końcu zrozumiał, co chciał powiedzieć Josué. Ułożył obie dłonie na głowie, łącząc palce wskazujące i przykładając nadgarstki do skroni, w geście imitującym spiczaste czapki, które noszą czarownicy w sztukach teatralnych. Josué nigdy nie widział żadnego, ale lata temu słyszał to słowo i skinął głową.

„Tak. Mój ojciec ich nie znosił, ale był mądry. Jako zapłatę oddał czarownikowi dwie kozy. Kiedy wkraczasz na teren duchów, musisz grać zgodnie z ich zasadami i potrzebujesz kogoś, kto je zna. Tak samo jest w mieście złodziei”.

Sancho podrapał się w brodę w zamyśleniu. Sam nie ująłby tego lepiej.

„A co z czarownikiem, Josué? Uwolnił was od pecha?”

„Tego się nigdy nie dowiemy. Następnego dnia po tym, jak oddaliśmy kozy, naszą wioskę zniszczyli handlarze niewolników”.

Kiedy znacznie później Zachariasz się obudził, ucieszył się z decyzji Sancha i Josuégo. O zmierzchu wyszli w poszukiwaniu nowego miejsca, które miało im służyć za kryjówkę, wciąż obawiając się nieco, że ktoś mógłby ich rozpoznać.

– Sami zobaczycie. To stara karczma, z miejscem do spania u góry. Mieści się przy niewielkiej uliczce, a do drzwi schodzi się po schodkach. Doskonałe miejsce, aby wchodzić i wychodzić niezauważonym.

Kiedy dotarli do celu, Sancho zdusił okrzyk. Wszystkie szczegóły, które Zachariasz podał, opisując to miejsce, powinny zwrócić jego uwagę, ale on w myślach wciąż był pogrążony w rozmowie z Josuéem i niemal nie słuchał ślepcy. A jednak przeczuwał, że to, iż tutaj się znalazł, miało jakieś szczególne znaczenie, choć jeszcze nie wiedział jakie.

Zachariasz doprowadził ich pod drzwi Czerwonego Koguta.

Źle namalowany szyld, o którym Sancho pomyślał kiedyś, że zamiast namalować koguta, chyba odrąbano mu głowę, położywszy go na papierze, wisiał wciąż w tym samym miejscu, choć brakowało mu sporej części u dołu. Brud i błoto pokryły schody, coś nie do pomyslenia w czasach, kiedy Sancho tu pracował.

– Co wiesz o tym miejscu?

– Właściciel zbankrutował i interes padł. Takie rzeczy zdarzają się codziennie.

Zachariasz pchnął drzwi, a te otworzyły się bez oporu. Sancho był tym zaskoczony, ale wszystko stało się jasne, gdy tylko zdołał zapalić niewielki kawałek hubki, którą zawsze nosił w torbie.

Wnętrze karczmy wyglądało jak chlew. Nie było już żadnych mebli, a w ich miejscu pozostały tylko wióry, znak, że ktoś je porąbał. Tylko tak można było wynieść stąd ogromne ławy, przy których dawniej zasiadało tylu klientów. Klepisko pokrywało cuchnące błoto, a pod ścianami leżały stosy wszelkiego rodzaju odpadów.

– I jak ci się podoba, chłopcze? – zapytał Zachariasz. – Czyż to nie wspaniała kryjówka?

Sancha zdziwiło, jak dumny był z siebie ślepiec, przyprowadziwszy ich tam. Nawet jeśli nie widział, w jak tragicznym stanie jest lokal, musiał przecież czuć ten smród zgnilizny. Już miał odpowiedzieć, kiedy skrzypnięcie na schodach sprawiło, że sięgnął dłonią do rękojeści rapiera.

– Kto tu jest? – usłyszeli jakiś głos.

– To ja, Zachariasz. Chodź, przyprowadziłem ci ludzi, którzy wyciągną cię z biedy.

Skrzypienie nasiliło się, a Sancho nie mógł powstrzymać drżenia, przypominając sobie, jak schodził po tych samych schodach, zanim zebrał niemal śmiertelne baty.

– Do diabła, ślepcze, mam nadzieję, że to wszystko jest tego warte – rzekł niewyraźnie schodzący do nich mężczyzna.

W tym momencie wszedł w krąg światła i serce Sancha zamarło, kiedy go rozpoznał. Nawet w słabym blasku hubki twarz

starego karczmarza wyglądała strasznie. Łysa głowa była w wielu miejscach naznaczona strupami po ranach powstałych w czasie upadków po pijaku. Brodę miał dłuższą niż dawniej i pokrytą teraz wymiocinami. Od pasa w górę był nagi.

– Castro?

Castrowi zajęło chwilę, nim rozpoznał swego dawnego pomocnika, który zrujnował go, niszcząc całe zapasy wina. Oczy zabłyśły mu na chwilę ze wzburzenia, gdy twarz Sancha przedzierała się powoli do jego pamięci przez opary wina. Aż w końcu wściekłe spojrzenie wyostrzyło się.

– Ty sukinsynu!

Castro dla odwrócenia uwagi Sancha rzucił butelką w kierunku jego twarzy, ten się uchylił. Castro opuścił głowę i natarł na chłopaka jak młody byk. Sancho uskoczył w bok, a Josué podłożył karczmarzowi nogę, sprawiając, że ten wylądował z twarzą w odpadkach. Leżał nieruchomo.

– Podnieśmy go, zanim się udusi.

Sancho nie widział, co na to Josué, bo podczas tego krótkiego ataku hubka wypadła mu z rąk i zgasła.

Musieli po omacku podnieść Castra i oprzeć go o ścianę. Sancho ponownie zapalił hubkę, podczas gdy karczmarz wracał do siebie, prychnął i chrząkając.

– Przeklęty... Nie wystarczyło ci, że zniszczyłeś mi życie? Wracasz teraz, by mnie zabić?

– Uspokój się, Castro – rzekł Zachariasz. – Ci chłopcy tutaj chcą odkupić od ciebie interes. Dadzą ci pieniądze, za które będziesz mógł wrócić do swojej wioski. Chciałbyś przecież posadzić swój tyłek z powrotem na swojej ziemi, zgadza się?

– Ja się nigdzie nie wybieram – odrzekł karczmarz. Przechylił się niebezpiecznie w prawo i Josué musiał go złapać, aby nie upadł ponownie. – Tutaj jest mi jak w niebie.

– Co ci się przytrafiło, Castro? – zapytał Sancho. – Jak to się stało, że tak skończyłeś?

– Pożyczyłem pieniądze od niewłaściwych osób, aby naprawić to, co ty zniszczyłeś. Sądziłem, że to tylko chwilowy problem, ale wtedy interes zaczął iść źle. To wszystko, co mam.

– Możesz nam to sprzedać.

– Ach tak? A cóż ty mi dasz w zamian? Toż ty byłeś tylko pomocnikiem, biednym jak mysz kościelna.

Chłopak włożył rękę do torby przewieszanej przez plecy i wyjął złoty diadem.

– To jest warte co najmniej pięćset escudo.

Podał go Castrowi, a ten przyjrzał mu się z niedowierzaniem. Nawet w słabym świetle z hubki Sancha diadem roztaczał silny blask, który zalewał pomieszczenie.

Usłyszawszy, co Sancho mu podał, Zachariasz ścisnął ramię chłopaka.

– Co robisz? To za dużo – wysyczał mu do ucha głosem pełnym chciwości. – Nie należy mu się aż tyle.

– Czuję się za niego odpowiedzialny, Zachariaszu.

– Ale to też mój łup.

– Zdobędziemy więcej.

Sancho strząsnął dłoń ślepcy. Karczmarz, nieświadomy sporu, podziwiał diadem z otwartymi ustami, jednak ostatecznie ze złością rzucił go z powrotem Sanchowi.

– I cóż niby miałbym z tym zrobić? Powiesiliby mnie jak tylko spróbowałbym to sprzedać. Poza tym nie zamierzam oddać ci mojej karczmy. Chcę tutaj umrzeć.

– Przy tej ilości wińska, które wypijasz, długo nie trzeba będzie na to czekać – rzekł zirytowany Zachariasz.

– Dosyć – przerwał mu Sancho. Chciał przekonać Castra, ale też zdał sobie sprawę, że czuje się winny z powodu tego, co zrobił.

– Idźcie sobie i pozwólcie mi pić w spokoju.

Nagle Sancha coś tknęło.

– Castro, kto ci dał pieniądze na odtworzenie zapasów wina?

Karczmarz uciekł przed nim spojrzeniem, wściekły na samego siebie.

– Lichwiarz Carbajal. Dopiero później się dowiedziałem, że ten wieprz pracuje dla największego bandyty w mieście. Zawsze gdy się spóźniałem ze spłatą, jego zbiry przychodziły mnie przyciskać. Aż w końcu musiałem wszystko sprzedać. Teraz nikomu nic nie jestem winien, ale też nie mam klientów – skończył, ironicznie się śmiejąc i szeroko otwierając ramiona. – I to wszystko przez ciebie.

Sancho skinął głową. Już podjął decyzję.

– Masz rację. To, co zrobiłem, było złe. Dlatego chcę ci złożyć ofertę. Pomożemy ci odnowić twoją karczmę i przez kilka miesięcy wykorzystamy ją jako kryjówkę. Mamy robotę do wykonania w Sewilli.

– Jaką robotę?

– Zamierzamy wykończyć Monipodia.

Zachariasz westchnął z rezygnacją. Nawet Josué spojrzał na Sancha zaniepokojony. Chłopak tego nie zauważył, ponieważ był

zajęty oceną wrażenia, jakie informacja wywarła na Castrze. Na twarzy starego karczmarza ledwie drgnął jakiś mięsień.

– Kiedy skończymy, zostawimy ci tyle pieniędzy, że będziesz mógł nie tylko odtworzyć, ale i kilkakrotnie powiększyć swoje zapasy – dodał Sancho.

– Umarli nie spłacają długów.

– Nikt z nas tutaj nie zamierza umierać.

Castro aż zamrugał, słysząc tę bezczelną pewność w głosie chłopaka. Zacisnął pięść i zbliżył ją groźnie do twarzy chłopaka, aż Josué zrobił krok naprzód, by go przytrzymać, jednak Sancho zatrzymał go gestem. Karczmarz zamierzył się, ale widząc, że chłopak się nie boi, opuścił rękę.

– Jeżeli chcesz, bym przyjął ofertę, najpierw musisz mnie przeprosić.

– Castro, za piętnaście maravedí stłukłeś mnie niemal na śmierć.

– A ty podziurawiłeś beczki o wartości stu escudo.

– Pijawki zasługują na nauzkę.

– A czeladników trzeba trzymać krótko!

– No, to powiedziałbym, że jesteście kwita.

Karczmarz pokręcił przecząco głową.

– Ty bezczelny draniu, od niemal dwóch lat upijam się kiepskim winem, wspominając doskonałe roczniki, które zamieniłeś w błoto! – Castro spróbował uśmiechnąć się smutno, ale wyglądało to bardziej na grymas. – Czasem życzyłem sobie, żebyś mnie wtedy przebił tym nożem, który wbiłeś w materac.

Odwrócił się, chcąc wejść na schody, ale zatrzymał go głos Zachariasza.

– Castro, przyjmij ofertę chłopaka. A może masz jakąś lepszą?

– Wiesz dobrze, że nie, ślepcze. Szczęście się ode mnie odwróciło.

– Ja zawsze mówię: jeżeli szczęście odwróci się do ciebie plecami, łap je za tyłek.

Castro odrzucił głowę w tył i zaśmiał się krótko i sucho, co w dużym stopniu rozładowało napięcie. Spojrzał na Sancha, który wyciągnął dłoń w jego stronę. Zbliżył się i uścisnął ją mocno. To była dziwna chwila.

– Lepiej by było dla ciebie, żebyś tym razem nie wylewał mojego wina, chłopcze.

Tej samej nocy Sancho i Josué wybrali się na krótki wypad, zostawiając ślepca w Czerwonym Kogucie. Zachariasz protestował nieśmiało, ale był zbyt zmęczony, aby się upierać. Przyjaciele wrócili po dwóch godzinach. Dali czystą i bezkrwawą nauczkę parze fałszywych mnichów zebrzących po nocy na ulicach. Sancho upewnił się, że nie doznali żadnej trwałej krzywdy i zostawił jasną wskazówkę co do swoich intencji. Uśmiechnął się na myśl, co poczuje Monipodio, kiedy odczyta tę wiadomość napisaną wielkimi literami na skrawku papieru.

Następne dni były wypełnione pracą. Za dnia Sancho i Josué zajmowali się oczyszczaniem zrujnowanej karczmy. Było to dużo trudniejsze, niż sobie wyobrażali, szczególnie biorąc pod uwagę, że mieli zaledwie kilka godzin na odpoczynek w nocy. Po trzech dniach udało im się jednak doprowadzić do porządku parter. Wyczyścili wszystko i umieścili posłania tam, gdzie wcześniej stały ławy. Nie chcieli się pokazywać w mieście, więc zakup

potrzebnych artykułów zlecili Castrowi – z zaskakującą ochotą podjął się zadania. Kiedy już spiżarnia została ponownie zapełniona, a klepisko karczmy wymienione, i zaczęła się rysować perspektywa wznowienia interesu w ciągu kilku miesięcy, nastrój Castra zmienił się radykalnie. Trupi wygląd stopniowo ustępował z jego twarzy, dzięki czemu malało też poczucie winy Sancha. Jak człowiek, który obudził się z koszmaru i próbuje odpędzić duchy, Castro bardzo głośno mówił i bardzo szybko się poruszał. Zajął się gotowaniem, a była to czynność, której najwyraźniej nie zapomniał. Choć początkowo niechętnie dzielił kuchnię z Josué, jednak czarny szybko mu udowodnił, że urodził się po to, by zmieniać składniki w pyszne dania i tak zaczęła się między nimi nawiązywać więź.

– Rany, chłopcze. Masz dobrą rękę – tylko tyle powiedział Castro.

Josué kiwnął głową. Po kilku dniach doskonale się już uzupełniali.

Jednak najważniejszą zmianą było włączenie do bandy Sancha dwóch nowych członków, tak jak wcześniej ustalili. Zachariasz pojawił się z nimi trzy dni po napadzie na sklep Szufłady.

Czekali, aż Sancho się obudzi, niemal do pory obiadowej. Kiedy do nich podszedł, wstali powoli. Mieli ziemistą cerę, byli młodzi, o dłoń niżsi od Sancha, i podobni do siebie jak dwie krople wody. Nosili bardzo biedne odzienie i przyszli boso.

– Oto Mateo i Marcos – rzekł Zachariasz, wskazując gestem na bliźniaków, którzy skinęli głowami z rezerwą. – Obaj są dyskretni i świetnie władają nożem.

Sancho spojrzał im w oczy.

– Czy Zachariasz wam powiedział, że nie chcę niczyjej śmierci?

– Tego zbyt dobrze nie rozumiemy – rzekł bliźniak po prawej, jak się okazało, Marcos. Sancho miał się wkrótce nauczyć go odróżniać po bliźnie z jednej strony brody. – My też chcemy wyrównać rachunki. Ale nie wiem, co to za zemsta, jeśli ma być bezkrwawa.

– Co wam zrobił Monipodio?

– Zabił naszego ojca – wtrącił się Mateo. – To było lata temu, kiedy należał do jego straży. Nie wiemy, dlaczego Monipodio to zrobił.

Teraz przerwał mu Marcos. Wyglądało to na ich stały sposób komunikacji, jak gdyby wiedzieli z góry, co zamierza powiedzieć ten drugi.

– Wiemy tylko, że mu poderżnęli gardło, chociaż nie, żeby to nas szczególnie interesowało. Wychowaliśmy się w młynie, pod opieką ciotki. Przez całe życie czekaliśmy na chwilę taką jak ta, aby odpłacić temu draniowi za to, co zrobił naszemu ojcu.

Sancho potarł oczy, wciąż jeszcze zaspany i w złym humorze, bo nie zdążył wypocząć. Ci dwaj młodzieńcy wydawali się zdecydowani, i niewątpliwie mieli bardziej niż uzasadniony powód, by się do nich przyłączyć. Zmarszczył brwi, zdawszy sobie sprawę, że pewnie są od niego o kilka lat starsi, a jednak myślał o nich, jakby wciąż byli dziećmi.

– Przypuszczam, że rozumiecie, że wasz ojciec sam był zbirem i mordercą – rzucił prowokacyjnie.

Bliźniacy spojrzeli na niego z furją, ale nie odpowiedzieli.

– Chcecie być jak wasz ojciec? Możecie tacy być. W rzeczywistości najbardziej prawdopodobne jest, że skończycie tak

jak on, jako bezimienne trupy w jakimś rowie. Oto droga, którą poprowadzi was krew. A jednak, jeżeli jesteście inteligentni i przyłączycie się do nas, będziecie mogli się zemścić. W inny sposób, niż to sobie wymarzyliście, ale przyrzekam, że dużo bardziej satysfakcjonujący – rzekł z enigmatycznym uśmiechem.

– Dlaczego nie pozwolisz nam go wykończyć?

– Moja banda, moje zasady. Wasza decyzja.

Bliźniacy wymienili porozumiewawcze spojrzenia i Marcos postąpił krok naprzód.

– Zrobimy to po twojemu.

– Dobrze. Pokażcie teraz, co potraficie.

Bliźniacy wyjęli dwa ogromne noże, o ostrzach tak długich jak podeszwa buta, i skrzyżowali je ze szczękiem. Zaczęli krążyć po kole, kierując jeden w stronę drugiego cięcia, które bynajmniej nie wyglądały na udawane. Jeden z nich wyrwał kawałek materiału z koszuli drugiego, a ten odwdzieczył się, uderzając brata w twarz łokciem. Choć uderzenie było bardzo silne – policzek już mu zaczynał sinieć – Marcos nie przestraszył się, tylko znów wyprowadził cięcie, przed którym Mateo ledwie zrobił unik.

Ruchy obu chłopców były tak samo zsynchronizowane jak ich rozmowa, i tak samo bezpośrednie. Sancho nigdy wcześniej nie oceniał innego walczącego, ale spokój, z jakim bliźniacy trzymali noże, był jedną z oznak, po których – jak mówił mistrz Dreyer – dało się rozpoznać tych, którzy znali się na rzeczy. Zdał sobie sprawę, że chłopcy są urodzonymi wojownikami, prawdopodobnie odziedziczyli to po ojcu. Gdyby nie wychowywali się w młynie, gdyby ojciec wyszkolił ich w sztuce wojennej, byłiby obecnie wspaniałymi szermierzami. Jednak wtedy Sancho nie mógłby

liczyć na pomoc tej dwójki w realizacji swoich ryzykownych planów.

„Żeby tylko zdołał ich sobie podporządkować”.

- Wystarczy, chłopaki. – Zatrzymali się obydwaj, ciężko dysząc.
- Wyjaśnię wam, w jaki sposób pomścimy waszego ojca.

LII

Clara poczuła się dziwnie, znalazłszy się ponownie w domu Monardesa. Nigdy wcześniej nie była w miejscu, które do niej należało.

Formalnie rzecz biorąc, dom jeszcze nie był jej, ponieważ testament miał wejść w życie dopiero za kilka dni, jednak odrzuciła propozycję nocowania do tego czasu w domu adwokata. Choć wyglądał na uczciwego człowieka, Clara miała już dosyć po tym, co wydarzyło się z Vargasem. Od tej pory nie zamierzała nikomu pozwolić sobą manipulować.

W dniu śmierci medyka Clara nie wiedziała, komu zostawić klucz do wejścia głównego, ani też nie śmiała go wziąć ze sobą, więc ukryła go w szparze w murze otaczającym ogród i przykryła suchymi liśćmi.

Jak tylko weszła do środka, pobiegła do ogrodu, obawiając się tego, co może tam zastać. Niektóre rośliny nie przetrwały tygodniowego upału i zwiędły. Clara walczyła wytrwale przez kilka godzin, napełniając wodą rynny i inne systemy nawadniania, wyciągając ze studni wiadro za wiadrem i przycinając wysuszone łodygi. Wiele roślin udało jej się

uratować, jednak były i takie, którym nie można było już pomóc. Clarę najbardziej zabolęła utrata rzadkiej i niezastąpionej rośliny, której nasiona przybyły do Sewilli aż z Azji, przesłane przez znajomego starego medyka.

Klęcząc w ogrodzie, z twarzą umorusaną ziemią i z martwą rośliną w dłoniach, dziewczyna wybuchnęła niepohamowanym płaczem. Zdała sobie sprawę, że nie płacze tylko nad rośliną, ale też nad sobą.

„Co ze mną będzie? Jakże mam sobie sama dać radę z tym wszystkim?”.

Zadała sobie pytanie, czy aby nie popełnia szaleństwa, czy adwokat nie miał przypadkiem racji, kiedy sugerował, żeby została w domu Vargasa, gdzie miała zapewnione łóżko i dobre wyżywienie. Musiałaby tylko co jakiś czas rozłożyć nogi. Przecież to nie mogło być aż takie straszne, wiele kobiet to robi. Przecież nigdy nie zdoła zebrać pieniędzy, których Vargas zażądał w zamian za jej wolność. Osiągnie tylko tyle, że przecierpiawszy wiele nieszczęść, będzie musiała upokorzona wrócić do swego pana, kiedy już głód ją zwycięży.

Ale nie to sprawiłoby, że Clarze pękłoby serce, tylko rezygnacja z pragnienia zrobienia czegoś ze swoim życiem, z chęci bycia inną. Chciała sama podejmować decyzje. Dlatego nie mogła się poddać.

„Jakkolwiek trudna będzie ta droga, w końcu to droga wolności”.

Tej nocy nie mogła się położyć w sypialni Monardesa. Pomieszczenie zachowało gorzki i gryzący zapach zmarłego, i Clara otworzyła okna, aby je dobrze wywietrzyć. W domu nie było więcej łóżek, jednak to jej nie przeszkadzało. Noc była jasna.

Rozłożyła wyplataną matę w ogrodzie i zasnęła tam, pośród świeżego aromatu roślin, pod dachem z tysięcy gwiazd.

Następne dni upłynęły jej na szaleńczej pracy. W domu nie znalazła żadnego jedzenia. Ale wiedziała, że Monardes trzymał sakiewkę z garścią dukatów pod luźną płytką w sypialni. Clara wzięła część tych pieniędzy i uzupełniła zapasy w spiżarni. Doszła do wniosku, że nawet jeżeli będzie bardzo oszczędzać, wystarczy tego tylko na jakieś dwa miesiące. A na dodatek będzie musiała ponieść wiele innych kosztów, aby utrzymać interes w ruchu. Musiała jak najszybciej zacząć zarabiać.

Za najpilniejsze zadanie uznała zmianę wystroju laboratorium. Choć był on bardzo praktyczny, to większość wyposażenia zgromadzonego przez Monardesa nadawała pomieszczeniu obskurny wygląd. Było to akceptowalne, a nawet pożądane w przypadku medyka, jednak Clara nie oszukiwała samej siebie, jeżeli chodzi o to, co powiedzieliby ludzie, gdyby zobaczyli ją krzątającą się pośród eliksirów i kolb. Dobrze zapamiętała ostrzeżenie Monardesa dotyczące inkwizycji. Przeniosła więc laboratorium do pomieszczenia, które wcześniej służyło za kuchnię, na dużo mniejszy stół – jednak tak samo praktyczny jak ten wielki, jeśli wszystko dobrze zorganizuje.

Tamten duży stół był jej największym zmartwieniem. Nie mogła w żaden sposób go ustawić, by wyglądał dobrze, więc w końcu, spocona i zmęczona, po wielu bezowocnych próbach, wyszła na poszukiwanie stolarza. Zapłaciła mu dwa srebrne reale za podzielenie stołu na dwie części i dodanie brakujących nóg.

– Jestem pewien, że nie tego chcesz, panienko – rzekł stolarz z pobłażliwym uśmiechem. – Szkoda niszczyć mebel takiej

jakości. Za kilka reali więcej mógłbym...

Clarę ogarnęła wściekłość. Dlaczego wszyscy mężczyźni sądzą, że są mądrzejsi od niej?

– Róbcie to, o co prosiłam, albo poszukam kogoś innego – przerwała mu niegrzecznie.

Mężczyzna ledwie odezwał się do niej ponownie, ale Clara musiała przyznać, że wykonał kawał dobrej roboty. Jedną z połówek stołu wyniosła do ogrodu i postawiła pod wypustem, który pełnił rolę daszku. Przyda się podczas kiełkowania delikatniejszych roślin w niewielkich doniczkach lub przy przygotowywaniu sadzonek. Dzięki temu nie będzie musiała się tyle schylać.

Drugą połówkę postawiła w poprzek nieopodal drzwi, jako ladę. Stół był wysoki i bardzo szeroki, więc nikt łatwo nie przedostanie się przezeń górą ani go nie obejdzie, dzięki czemu mógł jej służyć także jako ochrona, gdyby ktoś wszedł do sklepu w złych zamiarach.

Bo taki właśnie plan miała Clara. Medyk zawsze zamykał drzwi i nie przyjmował nikogo bez przeprowadzenia surowej oceny potencjalnego klienta. Nie udzielał porad ani nie wydawał leków, jeżeli nie wiedział dokładnie, komu były potrzebne, a przede wszystkim, czy ta osoba mogła sobie na nie pozwolić. Clara wprost przeciwnie, chciała prowadzić otwarty sklep, dostępny dla wszystkich, jak mięsny czy piekarnia. Monardes zasugerował, że powinna zostać lekodziejką, i tak zamierzała postąpić. Lokal musiał więc przede wszystkim wzbudzać zaufanie.

Otworzyła okna, wpuszczając do środka światło, zamiotła i umyła wszystko. Przykryła swoją nową ladę pięknym, nowym,

niebieskim suknem, którego kupno pochłonęło sporą część jej topniejących rezerw. Ustawiła słoje z najpopularniejszymi ziołami w jednym z rogów stołu, aby móc z łatwością je wydawać, i położyła nóż w zasięgu ręki, aby odstraszyć złodziei. Wielkimi literami wypisała cennik leków i zawiesiła go na ścianie, na wysokości wzroku klientów.

A kiedy już wszystko było gotowe... nikt się nie pojawił.

Pierwsze dni po otwarciu nowego interesu były męczarnią. Ponieważ Clara zostawiła drzwi otwarte, musiała przez cały czas pilnować, czy ktoś nie przyszedł, i nie mogła poświęcić się w pełni pracy w ogrodzie. Tym musiała się więc zajmować wczesnym rankiem lub późnym popołudniem, które – z drugiej strony – były najlepszym czasem na podlewanie, ponieważ słońce nie paliło liści roślin. W ciągu dnia siadała beczynn timer za ladą, trzymając w ręku książkę, na którą jednak niemal nie zwracała uwagi. Wpatrywała się w jasny prostokąt wychodzący na ulicę. Widziała, jak setki ludzi przechodzą ulicą, nie zatrzymując się. Czasem jakiś ciekawski rzucił okiem, ale nic poza tym.

Clara zamówiła u stolarza – u innego, mniej pyskatego – szyld z napisem „Apteka” i powiesiła na nim gałązkę kopru, jak kazała tradycja. Jednak jedyną osobą, która weszła do sklepu w ciągu pierwszego tygodnia, był adwokat Del Valle, który przyniósł dokumenty dla Clary.

Poprosił o escudo na zapłacenie kosztów wpisania własności do ksiąg, a dziewczyna, zawstydzona, musiała go prosić, by pożyczył jej tę kwotę.

– Nie macie pojęcia, jak mi przykro. Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiliście...

Del Valle wyglądał na nieco złego, że musi pokryć te koszty z własnej kieszeni, ale w rycerskim geście starał się to ukryć.

– Nie przejmuj się, oddasz kiedyś. Jak idzie interes?

– W tym problem, don Manuel. Że nie idzie. W tym tempie szybko umrę z głodu.

Mężczyzna wzruszył ramionami i eleganckim ruchem uniósł dłoń do kapelusza.

– Zobaczysz, wszystko się ułoży. To kwestia czasu. Ludzie muszą odkryć, że tutaj jesteś. Najtrudniej o pierwszych klientów i o nich też najlepiej trzeba zadbać, ponieważ to oni powiedzą o tobie innym.

Wizyta adwokata ani trochę nie uspokoiła Clary. Wręcz przeciwnie, pierwsza od wielu dni rozmowa na głos z innym człowiekiem tylko pogłębiła jej poczucie osamotnienia. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest samotna.

Pod wpływem impulsu wyszła na ulicę. Musiała ponownie z kimś porozmawiać, aby pozbyć się tego straszego uczucia. Odwiedziła sąsiednie sklepy, pozdrawiając te nieliczne osoby, które znała z widzenia, choć nigdy nie zamieniła z nimi więcej niż dwa słowa. Zauważyła jednak, że wiele z nich unika jej spojrzenia, co ją zdziwiło. Nikt też nie zareagował na jej pozdrowienia.

Jej zdziwienie rosło, w miarę jak szła ulicą dalej. Twarze poważniały, gdy tylko się pojawiła.

Zatrzymała się przy piekarni, choć tak naprawdę niczego nie potrzebowała. Kupiła kilka bochenków chleba dwa dni temu i przechowywała je w kredensie zawinięte w płótno. Będą dobre

jeszcze do końca tygodnia. Weszła więc do piekarni tylko po to, by przerwać duszące ją milczenie.

Mężczyzna, który ją obsługiwał, wyglądał na właściciela. Kiedy Clara poprosiła o chleb, podał jej mały ciepły bochenek. Skórka była delikatnie chrupiąca i wydawała delikatny i apetyczny aromat, który sprawił, że dziewczynie zaburczało w brzuchu.

– Szesnaście maravedí.

– To bardzo drogo – zaprotestowała zdumiona. Cena wzrosła o cztery maravedí od ostatniego razu.

– Nigdzie nie ma pszenicy – odrzekł piekarz, wzruszając ramionami. – Wkrótce będę musiał robić chleb z otrębów.

Clara poszperała w torbie, udając, że nie może znaleźć pieniędzy i jednocześnie próbując zebrać się na odwagę, by powiedzieć to, co planowała. Mimo że od dłuższego czasu przechodziła tędy codziennie, załatwiając sprawy medyka, jej charakter nie skłaniał jej do zatrzymywania się na pogaduszki z innymi. Ktoś, kto jej nie znał, mógłby pomylić jej rezerwę z poczuciem wyższości. Zadała sobie pytanie, czy to dlatego wszyscy traktowali ją z dystansem. Ale jeśli tak, to dlaczego nie zauważyła tego wcześniej?

– Mam na imię Clara, mieszkam w dawnym domu Monardesa. Widzicie, prowadzę tam aptekę i zaczęłam...

– Wiem, kim jesteś – przerwał jej piekarz. – Nie trudź się. My tutaj nigdy nie chorujemy.

Wziął garść miedziaków, które Clara położyła na ladzie, i zniknął na zapleczu.

– Ale...

– Nikt tutaj nie chce twoich ziół! Idź sobie! – krzyknął piekarz z głębi pomieszczenia.

Clara znieruchomiała, zmieszana i upokorzona. Rozejrzała się dookoła za kimś, kto mógłby jej wyjaśnić to, co właśnie zaszło. Na drugim końcu sklepu zobaczyła kobietę w średnim wieku wyrabiającą na ladzie ciasto na chleb. Dłonie miała umazane, a z każdym ich ruchem nad deską unosiła się chmura mąki, która osiadała na jej twarzy, sprawiając, że wyglądała jak duch. Jej oczy przypominały czarne latarnie morskie na tym białym morzu. Clara pomyślała, że kogoś jej przypomina.

– Ludzie chodzą teraz do apteki przy ulicy Cañas – powiedziała kobieta przez zęby, jakby nie chciała, żeby mężczyzna się zorientował, że rozmawia z Clarą.

– Ależ to jest na drugim końcu miasta!

– W tej okolicy nie ma wielu miejsc, gdzie można by się udać po leki.

– Więc mogliby przychodzić do mnie.

– Nikt tego nie zrobi, bo ludzie się boją. Kilka dni temu ktoś przeszedł przez dzielnicę, grożąc, że wydlubie oczy pierwszemu, komu przyjdzie do głowy wejść do twojego sklepu.

Clara była wstrząśnięta. Któż mógł być na tyle okrutny, by zrobić coś takiego? Tylko jedno nazwisko przychodziło jej do głowy.

– Był wysoki i jasnowłosy? Z długimi wąsami i ogromnym rapierem?

– Tak, mówił z flamandzkim akcentem.

Groot. Był tam, z pewnością na polecenie Vargasa. Ten drań nie zamierzał zostawić jej w spokoju.

– To niemożliwe – wyszeptała Clara.

– I tak wielu nie przyszłoby do ciebie, nawet gdyby nikt im nie groził. W końcu jesteś kobietą.

Dziewczyna podniosła wzrok i spojrzała rozwścieczona na piekarkę. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. To było bardzo powszechne nastawienie wśród mężczyzn, ale kobiety zwykle wspierały się nawzajem. Zimna pogarda, z jaką mówiła do niej piekarka, zabolą ją tak bardzo, że miała ochotę przeskoczyć przez ladę i garściami wyrywać włosy z jej głowy. Było coś jeszcze w oczach tej kobiety – już wcześniej widywała takie spojrzenie. To były oczy osoby, która czuje, że przebyła już więcej niż połowę drogi, osoby, która straciła wszelką nadzieję. Tacy ludzie czerpią radość z obarczania swoim zgorzknieniem młodszych. Bez wątpienia zazdrość o urodę Clary i zawiść odgrywały tu rolę.

– Wy także jesteście kobietą – tylko tyle zdołała odrzec.

– Ale moim chlebem nikt się nie otruje. Nie wiem, czy tak samo byłoby w przypadku twoich ziół. Skąd mogę wiedzieć, czy dasz mi cynamonowiec czy krwawnik? Nie chciałabym, abyś się pomyliła, wydając mi środek dla moich dzieci. Mężczyźni są bardziej godni zaufania.

Clara zdała sobie sprawę, kogo przypominało jej gorzkie spojrzenie piekarki. Było takie samo jak wzrok jej matki.

Wyszła z piekarni bez słowa, przeżuwając wściekłość. Wróciła do zgiełku ruchliwej późnym popołudniem ulicy. Dni stawały się powoli chłodniejsze, zapowiadając jesień, która miała nadejść powoli i bez szumu, jak zwykle w Sewilli.

Clara była tak wściekła, że szła pomiędzy ludźmi, nie zdając sobie sprawy, dokąd idzie. Kiedy zauważyła, że wciąż ma w ręku

chleb, sam jego widok stał się nie do zniesienia i wyrzuciła go daleko od siebie. Zaraz pożałowała tego, co zrobiła, ale było za późno. Pólnagi chłopiec wyskoczył zza jakichś skrzyń i rzucił się na chleb. Już miał go podnieść do ust, kiedy pojawił się inny i uderzył go w nos. Ten pierwszy rozplakał się, a jego krew poplamiła chleb. W końcu musiał go jednak wypuścić z rąk. Inne dzieci wyszły z tego samego miejsca i zaczęły walczyć o chleb, rozdierając go na kawałki zębami. Wkrótce pożarły bochenek jak zwierzęta. Pierwszy chłopiec musiał się zadowolić okruszkami, które spadły na ziemię. Nos wciąż mu krwawił, kiedy wkładał je do ust.

– Chłopcze, podejdź tutaj.

Chłopiec spojrział na Clarę oczyma pełnymi strachu i już miał się odwrócić i uciec, ale dziewczyna go złapała. Zawsze miała przy sobie w torbie kawałek białego płótna, na wypadek gdyby potrzebowała coś zawinąć. Użyła go, aby zatamować krwawienie z nosa chłopca. Oparła palec wskazujący i kciuk na grzbiecie jego nosa, sprawdzając, w jakim jest stanie. Przynajmniej nie był złamany.

– Przechylił głowę w tył. O, tak. Wkrótce przestanie krwawić.

Pozostałe dzieci zniknęły w pobliskiej uliczce, gdy tylko zobaczyły, że Clara się zbliża. Spojrzała na chłopca. Nie liczył sobie więcej niż siedem czy osiem lat. Miał duże, migdałowe oczy i był tak szczupły, że dałoby się policzyć na nim wszystkie kości.

– Kiedy ostatnio coś jadłeś?

– Wczoraj znaleźliśmy obierki z ziemniaków – odpowiedział chłopiec, wzruszając ramionami.

– To byli twoi przyjaciele?

– Tak. Przychodzimy tutaj wachać chleb. Czy mogę już iść?

Clara westchnęła i ponownie włożyła rękę do torby. Wyjęła swojego ostatniego srebrnego reala. To było wszystko, co jej zostało z rezerwy Monardesa.

– Posłuchaj. Widzisz tę monetę?

Chłopiec skinął głową. Nie mógł oderwać od niej oczu.

– Chcę, abyś wszedł do piekarni i poprosił o średni bochenek. Bóg raczy wiedzieć, ile to może dziś kosztować. Zjedz go na miejscu, a jeśli zostaną ci pieniądze, schowaj je i wydaj na jedzenie jutro. Zrozumiałeś?

Chłopiec wziął reala z jej ręki z nabożną czcią, po czym pobiegł w stronę piekarni, nie dziękując, ani nie patrząc za siebie.

Clara się nie oszukiwała. Wiedziała, że był to niepotrzebny gest. To dziecko i tak nie przeżyje zimy. Ale chociaż ona nie odwróciła wzroku. Na ulicach było coraz więcej dzieci wyrzuconych przez dorosłych, skazanych na żebranie i na śmierć.

Dziewczyna zrozumiała, że ukrywały się niedaleko piekarni tylko po to, by oszukać żołądek zapachem świeżo pieczonego chleba roznoszącym się wokoło. Wściekłość, z jaką walczyły o ten bochenek, zszokowała ją. To była prawdziwa potrzeba, to coś, co się pojawia, kiedy nie masz już zupełnie nic.

Nagle zdała sobie sprawę, że i ona może skończyć jak te dzieciaki, jeśli szybko nie ściągnie klientów do swojej apteki.

Albo to, albo powrót do Vargasa.

Nigdy w życiu tak się nie bała, ani nie czuła się tak zagubiona.

LIII

Następnego dnia Clare odwiedziły dwie osoby.

Każda z tych wizyt miała w jakiś sposób zmienić losy dziewczyny, choć ona sama jeszcze o tym nie wiedziała. A byli to goście, których najmniej by się spodziewała w swojej aptece.

Pierwszy pojawił się o zmierzchu, kiedy Clara miała już zamknąć drzwi, uznać jeszcze jeden dzień za stracony i zająć się ogrodem. Czytała właśnie kiepskie tłumaczenie na kastylijski dzieła Włocha Achilliniego zatytułowanego *Humani corporis anatomia*. Monardes usiłował nauczyć ją łaciny i arabskiego, języków, w których napisano większość traktatów medycznych, ale dziewczyna nie miała do tego talentu. Medyk był zrozpaczony, bo choć potrafiła wyrecytować z pamięci pół tysiąca różnych receptur, w łacinie nie potrafiła przebrnąć przez trzecią deklinację.

Na szczęście najważniejsze dzieła zostały przetłumaczone na kastylijski i Monardes w końcu się poddał i kupił jej niektóre z nich. Ominąwszy barierę językową, Clara przeczytała je z tuzin razy od deski do deski. Ten traktat o anatomii należał do jej ulubionych dzieł. Była tak pogrążona w lekturze, że nie

zorientowała się, że ktoś wszedł do sklepu aż do momentu, gdy klientka przemówiła.

– Mogę cię zapewnić, że rzadko są aż tak duże.

Clara podniosła wzrok znad książki. Strona, którą czytała, zawierała szczegółową ilustrację ludzkiego penisa w stanie spoczynku i w erekcji. Tekst opisywał, na czym polegało przejście z jednego stanu w drugi, i przytaczał teorie różnych uczonych na ten temat, od Arystotelesa po Awicennę. Żadna z nich nie przydałaby się jednak do wyjaśnienia, dlatego Clara zarumieniła się i nagle zatrzasnęła księgę, jednocześnie zrywając się na nogi.

Przez okno wpadało do środka słońce, które podświetliło postać, więc początkowo Clara sądziła, że przyszła do niej piekarka. Kobieta miała twarz pokrytą białym proszkiem, i to właśnie zmyliło dziewczynę. Jednak spojrzawszy po raz drugi, Clara zrozumiała, że to, co wzięła za mąkę, było bielą ołowianą, substancją, której kobiety używały do makijażu. Błada cera oznaczała, że jej posiadaczka nie musi pracować na słońcu. Opalona skóra, taka jak Clary, symbolizowała wszystko to, co społeczeństwo uznawało za gorsze.

W kobiecie nie było niczego pospolitego i Clara nie mogła się powstrzymać od dokładnego jej zlustrowania. Wszystko w jej stroju zwracało uwagę, od wydatnego dekoltu po suknię w krzykliwym zielonym kolorze z haftowanym motywem kwiatowym. Choć Clara nie zauważyła tego na początku – bo apteka była miejscem, gdzie zapachy środków przepływały i mieszały się ze sobą – kobieta pachniała wodą różaną. Połączenie było jednocześnie krzykliwe i nieokreślone, i Clara

zdała sobie sprawę, że nie potrafiłaby określić wieku klientki. Mogła mieć zarówno dwadzieścia, jak i czterdzieści lat.

Kontrast pomiędzy jej strojem a prostą brązową suknią, jedyną, jaką posiadała Clara, był tak ogromny, że dziewczyna musiała powstrzymać chęć wygładzenia spódnicy, kładąc dłonie na ladzie.

– Przyjrzałaś się już dobrze? – rzekła kobieta z rozbawionym wyrazem twarzy.

– Wybaczcie, pani – odrzekła Clara, znów zawstydzona. – Zwykle nie miewam dużo...

– Klientów takich jak ja, chciałaś powiedzieć? – przerwała jej zimno przybyła.

– Klientów tak w ogóle. Nie powinnam tego mówić, ale jesteście moją pierwszą klientką w ciągu dwóch tygodni, odkąd otworzyłam aptekę. W czym mogę wam służyć?

Ton kobiety złagodniał nieco.

– Widzisz, chodzi o to, że... no... niełatwo mi to powiedzieć, a zapewniam cię, że Zadziornej nigdy nie brakuje słów.

Clara uśmiechnęła się do niej wyrozumiale. Wielokrotnie widywała Monardesa udzielającego porad – tego nie potrafił robić i to właśnie stanowiło jedną z głównych wad medyka. Często pacjenci nie potrafili dobrze opisać swoich objawów, ponieważ albo się wstydzili, albo nie umieli ich nazwać. Monardes był niecierpliwy, zadawał im mnóstwo pytań, czasem niesmacznych, aby stwierdzić, co im dolega, lub co sądzą, że im dolega. W efekcie pacjenci denerwowali się jeszcze bardziej, a nawet wychodzili oburzeni. Medyk, z natury dumny, ograniczał się w takich momentach do wzruszenia ramionami.

– Mój dom, moje reguły. Wróć.

W większości przypadków miał rację, ale Clara nie uważała tego postępowania za słuszne. Ktoś taki jak młoda niewolnica, stale żyjący w jarzmie swojej kondycji, dobrze wiedział, że słowa potrafiły być tak samo bolesne jak wrzód lub złamana kość. A cierpieniu można było ulżyć również w uprzejmy sposób. Kiedy podzieliła się swoimi spostrzeżeniami z medykiem, ten bardzo niegrzecznie kazał jej zająć się napełnianiem naczyń wodą. Ale jej słowa musiały do niego dotrzeć, bo od tej pory Clara zauważyła, że starał się hamować przy pacjentach.

– Wejdźcie tutaj i usiądźcie, proszę – rzekła Clara do swojej klientki.

Kobieta początkowo nie była skłonna do przekroczenia bariery, którą stanowiła lada, ale w końcu zgodziła się. Clara przysunęła jej krzesło i usiadła naprzeciw niej.

– Jesteśmy same, możecie swobodnie mówić. Wasz problem jest natury... intymnej?

– Intymnej? – powtórzyła kobieta, nie rozumiejąc. – Intymny to jest mój interes, to tak, ale jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Wiele to nie pomogło. Clara przygryzła policzek, szukając sposobu, aby dotrzeć do klientki. Teraz o wiele lepiej rozumiała Monardesa.

– Gdybyście jednak mogli dać mi jakąś wskazówkę, co was tutaj sprowadza... Możecie na przykład powiedzieć mi, jak się nazywacie i czym się zajmujecie.

– Na imię mi Lucía, nazwiska nie mam, bo zostawili mnie przed kościołem, ale wszyscy wołają mnie Zadziorna. A jeśli chodzi o to, czym się zajmuję, to nie żartuj sobie, dziewczyno. To niby dlaczego

tak mnie zmierzyłaś spojrzeniem od stóp do głów, kiedy tylko przekroczyłam próg?

– No cóż, myślałam, że jesteście damą z wyższych sfer albo... – podczas gdy Clara mówiła, wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Krzykliwa suknia, makijaż, śmiała wzmianka o penisach wypowiedziana ironicznym tonem kogoś, kto widział ich wiele w swojej pracy. Dziewczyna przeklęła się za to, że nie zorientowała się wcześniej, szukając jednocześnie sposobu, by znaleźć się w tej sytuacji. – Ach. Już rozumiem.

Kobieta zdusiła w sobie odgłos, jakby pomiędzy śmiechem a okrzykiem zdziwienia.

– No nie wierzę. Wybacz, źle cię oceniłam, duszko. Sądziłam, że jesteś tak wyniosła jak cała reszta, a ty jesteś niewinna jak niemowlę. Ale rozejrzyj się dobrze, bo właśnie wypadłaś z gniazda. Cóż ty, do cholery, robisz, prowadząc miejsce takie jak to? Tylko tego brakuje, żebyś pomyliła stokrotkę z sadzonym jajem.

Inaczej niż podczas rozmowy z piekarką, Clary rozbawiły wątpliwości prostytutki. To była tylko spontaniczna próba przełamania lodów, a jednocześnie odsunięcie na chwilę problemu, który ją tutaj sprowadził. Fakt, że ktoś wykonujący zawód pozostawiający tak niewiele miejsca na intymność, potrafił być tak pruderyjny, wydał jej się niezwykły.

– Pani...

– Nie nazywaj mnie panią, nie pasuje mi. Jak ci na imię?

– Mam na imię Clara. To powiecie mi w końcu, co wam dolega?

Zadziorna pochyliła się nieco do przodu i wyszeptała coś do ucha Clary, a ta kiwnęła głową z troską.

– A kiedy ostatnio?

– Tydzień temu, duszko. A ściska mnie mocniej niż kaftan garbusa.

– Zaczekajcie chwilę!

Clara poszła do niewielkiego laboratorium, które założyła w przyległym pomieszczeniu. Wzięła stamtąd piecyk, statyw i warząchew. Umieściła wszystko na ladzie, nastawiła wodę do gotowania i stopniowo dodawała składniki z różnych słoiczków. Po chwili zdjęła naczynie z ognia i zostawiła na boku, aż mieszanka nabrała brązowozielonkawej barwy. Przełała ją przez sito do glinianej filizanki i podała ją Zadziornej. Kobieta spojrzała niepewnie.

– Co jest w środku?

– Korzeń cykorii, koci pazur i kruszone nasiona babki. Wypijcie niewielkimi łyżkami, jeszcze gorące.

Podczas gdy kobieta piła napar, Clara przeprosiła ją na moment, wyszła i wróciła po chwili z garścią dużych, szerokich liści.

– A to? Mam je zjeść, jak krowa?

– To? To nieważne. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to zostańcie jeszcze trochę na pogawędkę. Prawda jest taka, że od jakiegoś czasu czuję się dość samotna.

Zadziorna przystała na to z ochotą i zaraz udowodniła, że w rozmowie na każdy temat poza jej bieżącymi dolegliwościami, nie brak jej słów. Opowiedziała Clarze o swoim dzieciństwie w sierocińcu, z którego uciekła, mając dwanaście lat. Kiedy tak opowiadała, Clara zobaczyła za tym makijażem i krzykliwą suknią człowieka i zrozumiała, że oba te akcesoria służyły

Zadziornej jako zbroja mająca chronić resztki godności, które jej pozostały. Jej historia, choć tragiczna, była niestety aż zbyt powszechna w tych czasach. Bez rodziny i pieniędzy, dziewczęta, które nie mogły szybko się schronić pod skrzydłami małżonka lub za murami klasztornymi, nie miały innego wyjścia, jak to, które wybrała mała Lucía jedenaście miesięcy po swojej ucieczce.

– Nie mogłam już dłużej wytrzymać głodu i zimna. Byłam chudsza niż ość sardynki, duszko. Któregoś popołudnia zastukałam do drzwi Compásu, a dziewczyny mnie przyjęły.

Zajęły się mną, aż odzyskałam siły na tyle, by zacząć pracować.

– A nie baliście się? Za pierwszym razem, kiedy...

– Kiedy rozłożyłam nogi? Czułam obrzydzenie, to tak, bo temu pierwszemu cuchnęło z gęby smażonym czosnkiem. Ale strachu nie. Rozdziewiczył mnie już jeden z braciszków w sierocińcu. Dlatego uciekłam. I popatrz, na co mi się to zdało...

Zadziorna nagle przerwała, czerwona na twarzy. Przez chwilę siedziała zupełnie bez ruchu, jak gdyby nie mogła określić pochodzenia przeszywającego ją bólu.

Położyła dłoń na brzuchu i spojrzała na Clarę błagalnym spojrzeniem.

– Proszę... ja... muszę...

Clara podała jej garść liści i wskazała drzwi do ogrodu.

– Na ziemię poproszę. Rośliny będą wam za to wdzięczne.

Zadziorna poszła w stronę drzwi, próbując nie biec i starając się zachować spokój.

Kiedy wróciła po kilku minutach, wydawała się inną osobą. Umyła twarz, usuwając większość makijażu, choć nadal miała białe smugi pod oczami i przy samej linii włosów. Dodało jej to

sporo lat. Clara oceniła, że już dawno przekroczyła trzydziestkę, jednak wciąż była piękna.

– Mam nadzieję, że to nie kłopot, wzięłam wodę ze studni, aby się odświeżyć – rzekła, siadając znów obok Clary.

– Wręcz przeciwnie. Właśnie o tym chciałam z wami pomówić. Widzicie, możliwe, że przyczyna waszego problemu tkwi nie tylko w pożywieniu. Co więcej, śmiem twierdzić, że to nie jest wasz jedyny problem. Czy miewacie bóle głowy?

Clara podała jej czysty kawałek płótna, a Zdziorna osuszyła twarz i starła pozostałości makijażu, odsuwając włosy do tyłu, aby ułatwić sobie zadanie.

– Czasem, szczególnie popołudniami. Ale to pewnie dlatego, że całym dniami pracuję. Czasem mi się wydaje, że tam na dole przebiega Łuk Macareny, taki tam ruch...

– Może istnieć i inny powód. Miewacie problemy ze snem?

– Duszko, w mojej pracy nie ma stałego rozkładu dnia. Jeżeli o piątej rano pojawi się czterech pijaków, muszę się zrywać i rozkładać nogi. Rzadko kiedy zdarzy się noc, którą mogę przespać spokojnie.

– Chodziło mi o to, czy miewacie problemy z zasypianiem.

– Tak, ostatnio trudno mi zasnąć. I co dzień czuję się bardziej zmęczona.

– Sądzę, że problem tkwi w tym proszku, który nakładacie na twarz i dekolty. Do jego przygotowania używa się ołowiu, a ten jest trujący dla waszego ciała.

– Ależ wiele osób tego używa, duszko! – rzekła kobieta, z niedowierzaniem potrząsając głową.

Clara podniosła się i wzięła z półki w głębi pomieszczenia niewielki tom. Dzieło napisano po łacinie i nie istniało tłumaczenie, ale Monardes przeczytał jej całe strony, które odnosiły się do mało znanych chorób. Clara pokazała go Zadziornej, mając nadzieję, że ta uwierzy jej na słowo i nie każe sobie tego czytać, ponieważ nie chciała się przyznać do nieznajomości łaciny. Czuła się winna, że posiadała swoją wiedzę z drugiej ręki. Pomyślała, że zbyt tanio kupiła mądrość, której zdobycie kosztowało Monardesa tak wiele.

– Tę księgę napisał wiele wieków temu dawny żołnierz rzymski, który został medykiem. Opowiada o tym, jak ludzie zatruli się ołowiem, a pierwsze objawy były właśnie takie, jak u was. Biel wenecka zawiera ten metal i im więcej go nakładacie, tym więcej go wnika do waszego ciała przez skórę. Musicie jak najszybciej przestać go używać.

– Bóle głowy to jeszcze nic takiego.

– Ale śmierć, i owszem, Lucío. Jeżeli mnie nie posłuchacie, to właśnie się stanie.

Prostytutka opuściła głowę i zamyśliła się. Dziewczyna zauważyła, jak jej ramiona unoszą się i opadają, i zrozumiała, że kobieta płacze, i że mocno zaciska wargi, aby Clara się nie zorientowała. Wstała i położyła jej dłoń na plecach, chcąc ją pocieszyć. Wtedy kobieta rozszlochała się na dobre, już się nie krępując. Trwało to kilka minut. W końcu wstała i wzięła prawą dłoń Clary w swoje ręce.

– Dziękuję. Za to, że używasz mojego imienia, za to, że mnie przyjąłeś, za prawdę. Nawet nie wiesz, co to znaczy być kurwą w Sewilli, duszko. Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy cię wytykają

palcami na placach, albo kiedy gołowasy pokazują ci na ulicy tyłki, mijając cię. Ale najgorsze jest to, co sama sobie robisz, duszko. To, co czujesz kiedy idziesz zaułkiem i mijasz bogatego pana, który patrzy na ciebie jakbyś była tylko kawałkiem mięsa, a w końcu wybiera inną, o dziesięć lat młodszą od ciebie. A ty przeklinasz i nie wiesz już, jak pozbyć się zmarszczek z twarzy. Kiedy już ani pudry, ani inne kosmetyki nie wystarczają. Nawet gdybym przestała teraz używać bieli, i tak bym umarła, ale z głodu, duszko. Jest tyle piętnastoletnich dziewcząt, które w łóżku są jak kamień, ale mają gładziutkie buzie i tyłki twarde jak skała.

Clara nie odpowiedziała, nie mogła powiedzieć nic, co by osłodziło tę bezwzględną rzeczywistość, którą Zadziorna właśnie opisała. Ograniczyła się do odwzajemnienia uścisku. Na twarzy jej pacjentki zaczął się pojawiać nieśmiały uśmiech. „Moja pierwsza pacjentka” – pomyślała dziewczyna.

– Przygotuję wam trochę naparu na bóle głowy. I trochę więcej tego środka, który tutaj wypiliście.

Zadziorna obeszła ladę dookoła i zaczęła tam, podczas gdy Clara krzątała się między buteleczkami i wsypywała środki do niewielkich papierowych paczuszek. Kiedy wszystko było gotowe, kobieta wyjęła torebkę i spojrzała pytająco na Clare.

– Za zioła dwadzieścia maravedí.

– A za porady? – zapytała Zadziorna, unosząc brew po usłyszeniu ceny.

– Za to nie mogę was obciążyć. Nie jestem medykiem.

– Ja nie mogę sobie pozwolić na medyka, duszko. Gdybym poszła do księdza, z tych co to twierdzą, że uzdrawiają,

powiedziałyby mi, że dolega mi grzech w moim ciele. A cyrulik upuściłby mi krwi. Gdybym poszła do innego lekodzieja, wiesz, co by zrobił? Może i by mi dał napar taki jak ty, ale nie zaprosiłby mnie na pogawędkę. Środek zacząłby działać na środku ulicy.

Zadziorna pogrzebała w torbie i wyjęła srebrnego reala. Było to niemal dwukrotnie więcej, niż wyliczyła Clara.

– Tyle zarabiam za każdym razem, gdy się położę. Po prawdzie klientów ubywa, a połowę z tego reala i tak zabierają mi alfonsi. Ale niech mnie diabeł porwie, jeśli to, co dla mnie zrobiłaś, nie jest warte co najmniej tyle – rzekła, delikatnie kładąc monetę na ladzie.

Clara uśmiechnęła się z wdzięcznością. Gest tej kobiety był tak hojny, że brakło jej słów. W tej chwili te długie dni samotności i strach, który czuła, wychodząc poprzedniego dnia z piekarni, nagle poszły w niepamięć.

– Zrobiłabym to samo i drugi raz, gdyby było trzeba.

– Nie spiesz się tak. Jest nas dużo i nie ma dnia, żeby któraś z nas nie miała jakiegoś „aua”! – Kobieta zawahała się przez chwilę, zanim zaczęła mówić dalej, jak gdyby obawiała się odpowiedzi Clary. – Chciałabym, abyś od czasu do czasu przyszła nas odwiedzić. To znaczy, nie jest to przyjemne miejsce, ale rano niemal nie ma mężczyzn i...

– Z przyjemnością, Lucio. Bardzo bym chciała, naprawdę. Tak naprawdę to i mnie się to przyda. Jak widzicie, nie cierpię na nadmiar klientów – rzekła, wskazując dookoła.

– W takim razie przyjdę za kilka dni, aby zaprowadzić cię na miejsce. To niedaleko, ale nie byłoby dobrze, żeby tak niewinna

lilia jak ty sama chodziła po Compásie. A teraz zostawiam cię, już noc i Zdziorna będzie musiała stoczyć wiele bitew.

Skierowała się w stronę drzwi, jednak doszedłszy tam, zrobiła krok w tył i odwróciła się do Clary. W drzwiach czekał jakiś mężczyzna.

– Nie mówiłaś przypadkiem, że nie masz klientów? A tu proszę, i to jaki piękny młodzieniec! – rzekła kobieta, mrugając do nowego gościa lubieżnie.

– Pani – rzekł mężczyzna, z galanterią zdejmując kapelusz.

– Wpadnijcie, panie, później na Compás i zapytajcie o Zdziorną. Nie pożałujecie.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko przepuścił ją w drzwiach, po czym wszedł. Na zewnątrz zapadł już zmierzch i Clara nie mogła przyjrzeć się jego twarzy. Poczowała ukłucie niepokoju. Sięgnęła po świecę i świecznik, które trzymała pod ladą, bo w aptecce było już niemal zupełnie ciemno.

– Czym mogę służyć? – rzekła, próbując zapalić świecę.

– Sam się obsłużę – odrzekł mężczyzna, zamykając drzwi za swoimi plecami.

Pewnym krokiem podszedł do lady, oparł na niej rękę i pokonał ją jednym susem, co Clarze wydawało się niemożliwe. Jego buty podniosły zaledwie lekką chmurkę pyłu z klepiska, kiedy lądował na ugiętych kolanach i w eleganckiej pozie, która dziewczynie przywiodła na myśl dzikie zwierzę. Przez chwilę tak się zapatrzyła, że zapomniała się bać. Wreszcie udało jej się zapalić świecę. Ze świecznikiem w jednej dłoni i z nożem, który trzymała między słoiczkami, w drugiej, odwróciła się do intruza, obawiając się, że w każdej chwili może się na nią rzucić.

Ale on nie zwracał na Clare najmniejszej uwagi, tylko zdezorientowany rozglądał się wokół.

– Do licha, wszystko poprzestawiane.

Odwrócił się i zobaczył dziewczynę z nożem w ręku.

– Ani kroku dalej albo wypruję wam flaki.

– Chyba sobie żartujecie?

Clara krzyknęła i rzuciła się na mężczyznę z nożem przed sobą, ale intruz uchylił się, złapał ją za rękę, w której trzymała nóż, i wyrwał jej go.

– To wam nie będzie potrzebne – rzekł. Podeszedł do biblioteczki z drzewa orzechowego, gdzie stały traktaty medyczne, i położył nóż na najwyższej półce, poza zasięgiem Clary. Następnie wrócił do niej. – Czy mógłbym pożyczyć świecę?

– Żebyście mogli kraść swobodnie? Tutaj nie ma niczego wartościowego.

– Jesteście w błędzie, i to podwójnie. Nie przychodzę po to, by kraść, tylko po coś, co do mnie należy. I owszem, ma to swoją wartość, przynajmniej dla mnie. Pożyczycie mi tę świecę, czy będę musiał ją wam odebrać, tak jak ten nożyk wcześniej?

Clara rozwścieczona podniosła świecznik, aby przyłożyć intruzowi w głowę, kiedy płomień świecy wywołał zielony błysk w jego oczach. W oczach, których Clara nigdy nie zdołała zapomnieć.

– To wy! Chłopak od karła!

Na twarzy intruza pojawił się kpiarski uśmiech.

– Aha! A więc nie zapominacie swoich ofiar.

Dziewczyna w zawstydzeniu odwróciła wzrok. To, co wydarzyło się tamtego dnia, długo ciążyło jej na sumieniu. Wykonała

bezmyślnie polecenie Monardesa i przyprowadziła strażę. Medykowi podyktował to strach. Ten chłopak nie zrobił im nic złego. W istocie to on uratował ją kilka miesięcy wcześniej na rynku, kiedy oskarżyła markiza de Aljarafe o zabójstwo. Sumienie i serce Clary uznały go za niewinnego przestępstwa, za które zabrały go strażę, jednak jej mózg uparcie powtarzał wymówkę, która miała złagodzić dręczące ją wyrzuty sumienia.

Duma kazała jej wypowiedzieć ją na głos.

– Byliście złodziejem, który wszedł do domu mojego pana z umierającym w ramionach. Zrobiłam tylko to, co nakazuje prawo – rzekła, starając się nie okazywać emocji.

Kpiarski uśmiech na twarzy intruza zadrżał nieco, jak kawałek materiału poruszony przez niespodziewany podmuch, ale zaraz wrócił na miejsce.

– No, no! Szybko przywołujecie prawo. Macie na myśli to samo prawo, które pozwala panu zabić uciekającego niewolnika? Nie wyglądaliście na zbyt przekonaną do tego prawa w dniu, w którym się poznaliśmy.

Clara, przyłapana na niekonsekwencji, szukała odpowiedniej riposty, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Prychnęła ze złością, zostawiła intruza i poszła do laboratorium po światło. Kiedy wróciła, w mocniejszym świetle lampy naftowej stwierdziła, że ten chuderlak, którego strażę wywlekły z domu Monardesa, zmienił się w przystojnego barczystego mężczyznę o dłoniach z długimi i silnymi palcami. Jego odzienie było dobrej jakości, a u boku wisiał prosty rapier, który unosił nieco od tyłu jego pelerynę.

„Jedyne, co się nie zmieniło, to te zielone oczy” – pomyślała Clara, próbując nie patrzeć prosto w nie.

– Powieście mi, czego chcecie? Muszę zająć się ogrodem.

– Kiedy strażę mnie pojmały, miałem coś w dłoni, ostatni prezent od mojego mistrza. Bałem się, że mi to zabiorą, więc podczas szarpaniny rzuciłem to na ziemię i schowałem za nogą stołu, który tu wcześniej stał.

Clara przytaknęła.

– Sądzę, że wiem, czego szukacie.

Podeszła do lady i pośród swoich rzeczy znalazła materiałową torbę. Pogrzebała wewnątrz, wyjęła niewielki przedmiot i wręczyła go intruzowi. Ten podniósł go do światła i przez jego twarz w ciągu jednej chwili przelała się fala emocji. To było tak, jak gdyby nagle otworzyło się okno w domu, który wydawał się pusty, ukazując krzątanicę jego mieszkańców.

Chłopak trzymał w ręku drewnianą figurkę, małą i niedokończoną. Twarz, wyrzeźbiona z dużą wprawą, przedstawiała chłopca, jednak broda i oczy wskazywały na kogoś w średnim wieku. Clara sądziła, że ta figurka przedstawia karła, który zmarł w tym pomieszczeniu, ale do teraz nie miała pewności. Kiedy Bartolo się tutaj znalazł, jego zdeformowaną uderzeniami twarz pokrywała krew i nie sposób było wyobrazić sobie, jak wyglądał normalnie.

– Znalazłam to w dniu, kiedy zaczęłam przerabiać aptekę. Nie wiedziałam, że to wasze – rzekła Clara. A jednak jakieś niewyjaśnione przecucie kazało jej zachować ten dziwny przedmiot, zamiast wyrzucić go lub podarować jakiemuś dziecku na ulicy.

– Ja... dziękuję – rzekł intruz, w końcu odrywając wzrok od figurki i zaglądając w oczy młodej zielarki. Clara poczuła

mrowienie w piersi i na chwilę wstrzymała oddech, czekając na kolejne słowa z ust chłopaka. Te jednak ją rozczarowały. – Wy... teraz tutaj mieszkanie? Sądziłem, że jesteście niewolnicą Vargasa.

– Wciąż nią jestem, ale to nie wasza sprawa – odrzekła krótko. Spodziewała się po nim czegoś innego.

– Lepiej już pójdę – odrzekł chłopak, przestraszony chłodem w jej głosie. Skierował się w stronę drzwi, jednak teraz nie przeskoczył przez ladę, tylko obszedł ją, co Clara odnotowała z żalem. Oddałaby wszystko, by jeszcze raz zobaczyć ten skok, który wykonał, wchodząc.

– Tak, tak będzie najlepiej. I niech wam nie przychodzi do głowy wracać tutaj, Sancho de Écija.

Sancho zatrzymał się w drzwiach i odwrócił do niej. Kpiarski uśmiech powrócił już na jego twarz, kiedy dotknął kapelusza w geście pożegnania.

– Przez myśl by mi to nie przeszło. Nawet za milion lat.

LIV

Na zachodnim brzegu Betisu, bardzo odmiennym od miasta po drugiej stronie, leży miasteczko Triana. Liczy zaledwie trzy tysiące mieszkańców, podczas gdy Sewilla ma ich sto pięćdziesiąt tysięcy. Nieuważnemu podróżnemu mogłoby się wydać zwykłym spokojnym miasteczkiem, w którym można się zatrzymać i ochłonać przed przekroczeniem mostu Barcas, co zawsze wywołuje dreszczyk emocji. W ciągu dnia ta iluzja spokoju może trwać, choć z trudem i pod warunkiem, że podróżny nie zboczy z szerokiego Traktu Królewskiego prowadzącego wprost do mostu. Można zignorować ponure spojrzenia i posępne milczenie. W końcu rzut kamieniem stąd wznoszą się mury stolicy świata, metropolii założonej przez samego Herkulesa, w której można znaleźć wszystko, czego dusza zapragnie.

Nocą jednak iluzja spokoju się rozpływa. Jak obraz, który nagle ożywa, wraz ze zmierzchem ulice Triany zapełniają się jej mieszkańcami. Nie korzystają oni z ochrony murów miejskich, nie mają też ikony takiej jak katedra, ale nie potrzebują tego. Żaden wróg nie przetrwałby ataku na Trianę, ani też nie znalazłby tam nic, co można by zdobyć lub co byłoby tego warte.

Największym budynkiem w miasteczku jest zamek inkwizycji, którego grube mury zagłuszają rozlegające się w środku krzyki skazańców. Wierni mówią, że stanowi on przeciwwagę dla zła czającego się w Trianie. Bandyci, znacznie lepiej poinformowani, wiedzą, że przy tym, co dzieje się w zamku, ich przestępstwa wydają się niewielkie. I jedni, i drudzy pocieszają się tymi, jakże przeciwnymi, wnioskami.

W Trianie znajduje się też szkoła, ulubione miejsce bezpańskich kotów, które lubią włóczyć się w jej ruinach. I są dwa młyny prochowe, ogromne i niebezpieczne, wykorzystywane do przechowywania setek beczek najlepszego prochu w Europie. Są tacy, którzy twierdzą, że to szaleństwo trzymać proch w samym środku miasteczka, ze względu na ryzyko katastrofy. Jednak znacznie więcej jest tych, którzy uważają, że strata nie byłaby zbyt wielka, pomijając sam proch.

Pracują tu też rzemieślnicy i sklepikarze. Ci przeklinają każdą minutę swego życia i marzą o przeprowadzce na sąsiedni brzeg. Są i dzieci, z kolanami pokrytymi strupami i z gnidami we włosach, ale nie w łachmanach. Dużo można by rzec o triańczykach, ale swoje potomstwo traktują lepiej niż sewilczycy. Na zachodnim brzegu Betisu nie zobaczy się niemowlęcia pozostawionego przed kościołem lub rozszarpanego przez psy. I choć, tak jak w Sewilli, dzieci też dopada tu głód i grzybica, tutaj chociaż nie biegają nago.

Reszta miasteczka składa się z niskich domków stojących przy wąskich uliczkach, z których żadna nie jest prosta. Tworzą labirynt murów, ślepych uliczek i zaułków, z których nikt, kto nie zna drogi, nie zdoła uciec. Czasem nawet sami mieszkańcy gubią

się pośród zakrętów. Straże oczywiście nigdy nie zapędzają się w te strony.

Nocami ulice stają się ciemną i nieprzeniknioną dżunglą. A w centrum tej pajęczyny, w niczym nie wyróżniającym się domu, mieszka Monipodio, Król Złodziei. Ci, którzy odwiedzają jego dwór, wiedzą, że tak naprawdę to kilka budynków, w których wyburzono wewnętrzne ściany i dzielące je mury, tworząc w ten sposób na parterze ogromną salę – bandyta postawił w niej swój drewniany tron. Nie ma w okolicy bardziej chronionego człowieka. Nikt nie zdoła dostać się do niego, jeśli nie należy do gildii złodziei.

Każdej nocy Monipodio schodzi z komnat na piętrze i przyjmuje swych poddanych. Jest w bród jedzenia i wina. Stoją bulgoczące garnki pełne gulaszu mięsnego, na przykład flaczków czy nerek. Są raki z rzeki, zając pieczony w jednym z trzech kominków, częściowo pokrojony prosiak pływający w maśle. Codziennie między pół setki a setką osób bierze udział w tej uczcie, która rozpoczyna się wtedy, gdy mieszkańcy Sewilli zaczynają chronić się w domach i zamykać drzwi. Płyną opowieści o ostatnich skokach, planuje się nowe, prowadzi się rozliczenia.

Kiedy już jedzenie i plany zostaną przeżute, odsuwa się na bok ławy i stołki, by zrobić miejsce dla prymitywnej, dzikiej, plemiennej muzyki. Jeden zagra na gitarze, której brak jakiejś struny, drugi robi kastaniety z muszli, trzeci potrząsa butelką wypełnioną kamieniami i pestkami. Dziwki wskakują do środka kręgu i tańczą prowokacyjnie zmysłowe flamenco. Czasem podniosą suknię, aby przelotnie pokazać tyłek czy cycki, a publiczność się rozgrzewa, pomimo że ten widok jest jej dobrze

znany. Wyje jak szalona, jak sfora wilków świętująca swą władzę nad lasem i jego zawartością. Ci, którzy się tam spotykają, wiedzą, kto jest prawdziwym panem Sewilli.

Ale od kilku tygodni nie słyhać tu muzyki. Ponure spojrzenia zajęły miejsce tych lubieżnych, a podejrzliwość zastąpiła luksusy. W czasie uczt je się mniej, a bandyci zniżają głos, kiedy rozmawiają na temat, który ich dręczy. Doskonale pamiętają, co zrobił Monipodio z tym, który bezpośrednio zwrócił się do niego, by zapytać, co zamierza przedsięwziąć w sprawie Czarnych Duchów. Jego krew wciąż jeszcze płami posadzkę.

Król siedzi na tronie, z dala od ław swych poddanych, i ledwie tknie dania podawane mu przez konkubiny. Wbija zagubione spojrzenie w ogień. Jego zapadnięte oczy jeszcze bardziej niż zwykle przypominają dwie wyschnięte studnie. Siedzi tak nieruchomo, że można by go wziąć za umarłego, gdyby nie kłykcie prawej dłoni, aż białe od ściskania rękojeści rapiera. Jednak nie ma przeciw komu go skierować, i to właśnie męczy Monipodia.

Wszystko zaczęło się, kiedy nadeszły wieści o śmierci Szuflady. Ciało pasera znaleźli następnego ranka dwaj złodzieje, którzy zwykli przynosić do niego złote łańcuszki i medaliki skradzione na placach. Kiedy zastukali, drzwi otworzyły się, a oni uciekli czym prędzej do Triany, przerażeni tym, co zobaczyli wewnątrz.

Ten napad rozwścieczył Monipodia, który wziął go za atak jakiejś konkurencyjnej bandy lub kogoś z jego własnej organizacji. Bandyta godzinami przesłuchiwał tych dwóch złodziejasków, nie szczędząc im razów, aby upewnić się, że mówią prawdę. Przesłuchiwał też co bardziej niepokornych spośród swoich, jednak bez rezultatu. Wyglądało na to, że nikt nic nie wie.

Nie był to pierwszy raz, kiedy ktoś podważał autorytet Króla. Miał na takie sytuacje niezawodny sposób, polegający na wybijaniu wszystkich podejrzanych, aż trafi na winnego. Jednak tym razem rozwiązanie było proste. W noc po napadzie na dom Szuflady na moście niedaleko bramy Postigo del Aceite znaleziono dwóch farbowanych braciszków. Wisieli ze związanymi rękami i naguteńcy, ale żywi.

Ci oszuści stosowali bardzo powszechną w tych czasach sztuczkę. Przebierali się za mnichów i chodzili nad ranem ulicami miasta, wyrzaskując pod oknami obietnice modlitwy za zmarłych. Mieszkańcy, którym niedawno ktoś zmarł, rzucali im zwykle przez okno pieniądze, a pozostali ciskali kamieniami lub wylewali na nich zawartość swych nocników. Tak czy inaczej, wracali zwykle o świcie do domu z garścią maravedí. Tak było codziennie, ale nie tej nocy, kiedy – jak przysięgali – jakieś niewidoczne dłonie wynurzyły się z ciemności i pozbawiły ich przytomności. Jednemu z nich na szyi zawieszono kartkę, którą jeden z przybocznych Monipodia zaniósł mu tego samego ranka. Z przekrwionymi oczyma i ochrypłym głosem Król wyraził się jasno, że ktokolwiek puści parę na temat treści wiadomości, skończy w rzece bez języka.

Kolejnej nocy odbył się nie jeden, ale dwa napady. Ktoś zniszczył warsztat apostołów, tajnych ślusarzy gildii złodziei, którzy dostarczali uniwersalne klucze i otwierali wszelkiego rodzaju kufry i skrzynie. A w godzinę później jakieś cienie wdarły się do domu, gdzie grupa porywaczy dzieci przetrzymywała pierwородnego pewnej zamożnej rodziny, za którego zażądała sowitego okupu.

Monipodio do znudzenia przesłuchiwał świadków. Wszystkie wersje były do siebie podobne. Mężczyźni ubrani na czarno, pojawiający się znikąd. Silne dłonie, szybkie rapiery, ostrza przy gardłach ofiar. Ani słowa. Żadnych trupów, poza Szufladą, choć porywacze dzieci dostali niezłe baty. Niektórzy twierdzili, że towarzyszył im jakiś olbrzymi dwugłowy potwór, inni, że to tylko ogromny Murzyn. Co do szczegółów brak było precyzji, ponieważ pierwsze, co robią tajemniczy napastnicy, to jednym ruchem zrzucają na ziemię lampy lub gaszą świece. Swoje zadanie wykonują w zupełnej ciszy i znikają tak szybko, jak się pojawili.

I zawsze, przy każdej okazji, zostawiają kartkę z tym samym zdaniem:

PANOWANIE
MONIPODIA
SIĘ KOŃCZY

Bandyta robił, co mógł, aby utrzymać to w tajemnicy, jednak w końcu treść wiadomości wyszła na jaw. Ludzie szeptali za jego plecami, ponieważ nie mogli bezpośrednio zwrócić się do niego o pomoc. Wskutek absurdalnie błędnej oceny sytuacji Król nie chciał przyznać przed swym dworem, że coś się dzieje, a to nadało atakom jeszcze większego znaczenia. Gildia złodziei ochrzciła tajemniczych nieznajomych mianem Czarnych Duchów. I jak każdy koszmar, któremu nada się imię, tak i ten zaczął żyć własnym życiem.

Opowieści o poczynaniach Czarnych Duchów krążyły pomiędzy strażnikami, do których Monipodio zwrócił się z prośbą o pomoc

w zamian za cotygodniowe wypłaty łapówek. Jednak ci, których sposób na życie polegał na przyjmowaniu pieniędzy w zamian za spoglądanie w inną stronę, nie mogli być zbyt pomocni, i jedyne, czego dokonali, to rozpropagowanie miana Czarnych Duchów pomiędzy prokuratorami, członkami rady dwudziestu czterech i urzędnikami ratusza. W ciągu zaledwie kilku godzin powtórzyli i pomnożyli ich dokonania w rozmowach ze sklepikarzami i kupcami, na Schodach katedry i na placu św. Franciszka.

Wkrótce cała Sewilla aż huczała od opowieści o pojawieniu się bandy, która atakowała przestępców, i tylko ich. W społeczeństwie, którego serce biło, które oddychało i poruszało się w rytmie przemocy i strachu, które wiedziało, że śmierć może czekać za każdym rogiem, taka wiadomość z miejsca znalazła się w centrum wszystkich rozmów. Wszyscy sewilczycy byli świadomi tego, że postawić stopę na ulicy po zachodzie słońca równało się ryzykowaniu własnego życia. Każdego dnia w roku, bez wyjątku, o świcie strażnicy usuwali z ulic od pięciu do dziesięciu trupów. Niewielu z tych nieszczęśników umarło ze starości. W sytuacji, kiedy można było skończyć z ostrzem w brzuchu za parę dobrych butów, było nieuniknione, że członkowie bandy wymierzającej sprawiedliwość zbirom zostali uznani za bohaterów.

Podczas gdy sława Czarnych Duchów rosła, ataki trwały. A to dwóch „wspinaczy” spadło z wysokości, kiedy ktoś przeciął linę, po której zamierzali dostać się do pałacyku jakiegoś szlachcica. A to na bandytów wykuwających otwór w ścianie magazynu zeskoczył z dachu jakiś ciemny cień i rozgonił wszystkich. I tak raz za razem, przez całe tygodnie. Jedyńymi, którzy uniknęli prześladowań, byli złodziejaskowie specjalizujący się

w odcinaniu toreb i żebracy, którzy wykonywali swoje zajęcia za dnia. Ale nawet oni krzywo patrzyli na Monipodia, kiedy zapadała noc i wzywano ich na dwór, aby się rozliczyli.

Dziś piątek, dzień zapłaty dziesięciny na rzecz Króla Złodziei, ale Ryża, stara cygańska wiedźma pełniąca rolę klucznicy Monipodia, szepcze dyskretnie do uszu zainteresowanych, że dziesięcina została tymczasowo zawieszona. Niejeden odetchnął z ulgą, ale inni przeklęli w duchu. Choć wszyscy musieli się natrudzić, by zdobyć pieniądze i spełnić swój obowiązek, wielu widziało w dziesięcinie sposób na przypomnienie Królowi o obowiązku zapewnienia im ochrony. Herszt bandytów wiedział, że to tylko kwestia czasu i ktoś wstanie i powie, że dziesięcina od niczego wynosi nic, więc sam zawiesił pobieranie tego haraczu w rozpaczliwej próbie zyskania na czasie i znalezienia rozwiązania. A tymczasem jego władzę z każdym dniem podkopywał niewidoczny wróg, którego ataku można się było spodziewać z każdej strony. Gdyby Król był człowiekiem obdarzonym poczuciem ironii, wyciągnąłby może jakieś wnioski dla siebie, posmakowawszy lekarstwa, które sam aplikował innym.

Siedząc nieruchomo na swym tronie, Monipodio czuje na sobie te mroczne spojrzenia spode łba, kierowane w jego stronę. Choć jeszcze nikt się nie odważył spojrzeć mu prosto w oczy, wie, że prędzej czy później znajdzie się ktoś taki, wystarczająco zdesperowany lub szalony, by wyjąć rapier i wyzwać go. Pierwszego zabije, drugiego też. Ale co, jeżeli będzie ich więcej? A jeżeli to jego własna straż przyboczna obróci się przeciwko niemu? Nie, żeby miało mu braknąć gotówki, aby ich opłacić. Wielu by się zdziwiło, gdyby się dowiedzieli, jaką zawartość kryje

ogromny kufer, który Monipodio trzyma przy swoim łóżku – ale dla bandytów i płatnych morderców pieniądze to nie wszystko. Są dumni i kierują się złożonym kodeksem honorowym, a zachowanie, które prezentował ostatnimi czasy ich szef, było niemal nie do zniesienia. Nie brakuje takich, którzy im przypominają, że Duchy szukają właśnie Monipodia.

– Postawiłam karty, panie, i losy są jasne. Musicie zastawić pułapkę na tych, którzy wam zagrażają – mówi do niego Ryza z bezzębnymi ustami przy samym jego uchu. Ciepły i cuchnący oddech starej wywołuje dreszcze u Monipodia, ale mądrość jej słów powoli dociera do jego niespokojnego umysłu.

Pułapka. Wabik, jak ten, który stosuje się na szkodniki biegające po ścianach. „Tego mi właśnie potrzeba” – myśli Monipodio, analizując wszystko, co wie o Duchach, czyli niewiele. Ale jedno jest jasne, to, że plan, który zaczyna się formować w jego głowie, zachowa dla siebie, ponieważ wiedza, jaką posiadają intruzi o jego organizacji – a którą naiwni uznają za ponadnaturalną – jest zbyt rozległa. „Czy zdrajcy są teraz w tej sali? Siedzą przy moim stole i piją moje wino?”.

Ani Król Złodziei, ani jego poddani – ci, którzy tej nocy przebywają na dworze i ci kierujący się właśnie tam, gdzie zamierzają dokonać swych niecznych czynów – nawet sobie nie wyobrażają, że źródłem ich koszmarów jest wysoki i szczupły młodzieniec, który nie tak dawno temu przestał być dzieckiem. Młodzieniec oddalający się właśnie od apteki, którą odwiedził, nieświadomy planów obmyślanych przeciwko niemu, zdziwiony, że kobieta, którą – jak sądził – nienawidzi za to, że wydała go strażom, zapamiętała jego imię. Młodzieniec, który idzie lekkim

krokiem, czując w sercu ogień, jakiego nigdy wcześniej nie czuł,
i pyta sam siebie, jak go ugasić.

INTERLUDIUM

JEDENAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

Brat Juan Gil usiłował przebić się przez zatłoczone ulice centrum Algieru, idąc drogą prowadzącą w dół w stronę nabrzeża.

Reumatyzm wyrządził duże szkody w jego zmęczonym ciele, więc utykał – przy każdym jego kroku torba, którą niósł na ramieniu, podskakiwała w górę i opadała w dół. Przyciskał ją do siebie mocno, aby temu zapobiec, ponieważ niósł w niej prawdziwą fortunę. Czuł się z tym nieswojo. Choć bracia trynitarze byli w mieście nietykalni, napięta atmosfera panująca w Algierze w ostatnim czasie mogła sprzyjać wszelkim wydarzeniom.

W mieście panował straszliwy głód, co dzień pochłaniał ponad czterdzieści ofiar. Najbardziej cierpieli chrześcijańscy niewolnicy, w większości jeńcy wojenni, których Turcy pojмали na morzu. Ich sytuacja, zwykle fatalna, w czasie gdy panował tak wielki głód, stawała się rozpaczliwa. Jeden z nich szedł właśnie w stronę brata Juana, ścigany przez dzieciaki rzucające w niego kamieniami i ekskrementami i krzyczące po hiszpańsku.

– Don Juan nie przychodzić! Umrzeć tutaj, chrześcijanin!
Umrzeć tutaj!

Chodziło o księcia Juana de Austria, brata króla Filipa II, niedawno zmarłego wodza i admirała hiszpańskiej floty. Turcy nienawidzili go głęboko za klęskę, jaką ponieśli w bitwie pod Lepanto, po której wciąż jeszcze się nie pozbierali.

Niewolnicy włóczyli się po mieście, a jedynym, co ich wyróżniało, była obręcz na prawym nadgarstku. Ten, który zbliżał się do zakonnika, szedł ze spuszczoną głową, dźwigając ładunek drewna, zapewne do domu swego pana. Mijając brata Juana, niewolnik od razu rozpoznał czarny habit trynitarzy. Szeroko otworzył oczy, patrząc na zakonnika z błagalnym wyrazem twarzy, tak poruszającym, że bratu Juanowi niemal pękło serce. Widywał to spojrzenie wielokrotnie, tak jak i takie palce o połamanych, szerniałych paznokciach wyciągające się w stronę skraju jego płaszcza. Nigdy nie ośmielali się go dotknąć, jak gdyby nie wierzyli w to, co mieli przed oczyma.

Bracia trynitarze wzięli na siebie trudne zadanie wyzwolenia jak największej liczby chrześcijan z jarzma niewolnictwa na ziemi niewiernych, a Algier był miejscem, w którym realizowali dużą część swojego dzieła. Co tydzień grupa zakonników wyruszała przez morze z Hiszpanii z listą nazwisk jeńców i pieniędzmi, których zażądano za ich uwolnienie. Środki finansowe pochodziły od rodzin więźniów – wiele z nich musiało się zadłużyć po same uszy, aby ratować swych ukochanych. Były też kwoty pochodzące z datków, które składali zakonowi bogaci i możni chrześcijanie w zamian za msze za spokój ich dusz. Bracia chętnie przyjmowali wszelkie darowizny, ponieważ na zaspokojenie rosnącej żądzdy bogactwa Turków przydawało się każde escudo.

Oczywiście pieniędzy nie wystarczało dla wszystkich. Dlatego brat Juan Gil odwrócił wzrok, mijając niewolnika.

– Ojciec... na miłość boską... mam w Toledo żonę i dzieci... – rzekł mężczyzna drżącym głosem.

Brat Juan przyspieszył kroku. Nie chciał podsycać nadziei biednego nieszczęśnika. Uratował wystarczająco wielu więźniów, by wiedzieć, że najgorsza w niewoli nie jest perspektywa śmierci, jak wielu błędnie sądzi, lecz niespełniona nadzieja. Turcy dobrze o tym wiedzieli i czasem przeprowadzali taką okrutną zabawę dla czystej rozrywki. Prowadzili jakiegoś więźnia do łaźni, myli go i ubierali, mówiąc, że zamierzają go uwolnić. Prowadzili go na nabrzeże i – kiedy już miał wejść na pokład statku – ponownie zakuwali w kajdany, mówiąc, że to był tylko żart. Chwila, kiedy nadzieja na twarzy więźnia rozpadała się na tysiąc kawałeczków, wywoływała wielki śmiech Turków – czekali na ten moment z zapartym tchem. Niewielu więźniów przeżywało ten okrutny żart. Poddawali się śmierci lub rzucali się w morze ze skał otaczających mury miasta.

Niewolnik zniknął mu z oczu, a brat Juan wymamrotał pospieszną modlitwę za jego los. Już niemal dotarł do portu i nie miał czasu do stracenia. Okręt Hazána Bachy mógł odbić od brzegu w każdej chwili.

Nietrudno było odnaleźć ogromną galerę o czerwonych żaglach, cumującą na końcu mola, na większej głębokości. Powroźników, nekromantów i prostytutek, którzy zazwyczaj włóczyli się po porcie, nie było w pobliżu statku. Dostępu broniła linia janczarów uzbrojonych w ogromne włócznie.

Mnich ruchem głowy pozdrowił kapitana w białym turbanie. Ten wykonał niedostrzegalny ruch i dwaj z jego podwładnych natychmiast odsunęli się na boki, robiąc przejście dla brata Juana. Zakonnik wszedł na trap prowadzący na statek.

Powstrzymał obawę przed postawieniem stopy na pokładzie, przez którego burtę przelano krew tyłu chrześcijan. Brat miał już czterdzieści pięć lat, z których dwadzieścia poświęcił służbie Bogu, a od ponad dekady podróżował na ziemi niewiernych i z powrotem. Był dzielnym człowiekiem, jednak miał się zobaczyć z kimś tak niemoralnym i odrzucającym, że aż przebiegły go dreszcze. Dziś po raz szesnasty stanie twarzą w twarz z Hazánem Bają podczas negocjacji i wciąż nie miał pewności, czy to jest człowiek czy też istota z piekła rodem, tylko przebrana w ludzkie szaty.

Galera stała w miejscu tak stabilnie, jak zamek pośrodku płaskowyżu, jej pokład ani drgnął. Hazán był bardzo surowy wobec swoich kapitanów, kiedy znajdował się na pokładzie, więc niczego nie pozostawiano przypadkowi. Drewno lśniło, żagle – bez najmniejszej łatki – błyszczały, a droga prowadząca do markizy przy pokładzie dziobowym, gdzie leżał władca Algieru, była pokryta dywanem. Brat Juan szedł obok dywanu, obawiając się go ubrudzić swoimi zakurzonymi sandałami. Kiedy dotarł do Hazána, skłonił się, starając się jednocześnie wyrazić szacunek dla swojego gospodarza i zachować godność członka chrześcijańskiego zakonu. Niełatwo było osiągnąć tę równowagę, więc wynik był dosyć dziwny.

Wydawało się, że Hazán go nie spostrzegł. Był bardzo zajęty wybieraniem granatów z koszyka trzymanego przez niewolnika.

Rozkrawał je cienkim złotym nożykiem, gryzł odrobinę, aby sprawdzić, czy są słodkie i wyrzucał za burtę te, które mu nie smakowały. Leżał na jedwabnych poduszkach, z twarzą jak zwykle bez śladu zarostu i powiekami pomalowanymi na cynober, podkreślający szarość jego oczu. Dla Turka byłoby to dziwne połączenie, ale nie dla turkopola, przechrzty, jakim był Hazán Bajá. Urodził się w Genui trzy dekady temu, a dziewięć lat temu trafił do niewoli. Zgodnie z tradycją grupie chrześcijan zaoferowano wolność w zamian za przejście na wiarę Proroka. Tylko jeden człowiek podniósł dłoń, młody artylerzysta, na którego pozostali chrześcijanie spojrzeli z pogardą.

– Nie rób tego, chłopcze. Utną ci kawałek małego, a jeśli to przeżyjesz, pójdziesz do piekła – szepnął jego sąsiad.

Fabrizio go zignorował. I tak z własnej woli był samotnikiem w załodze, nie bratał się z innymi, nie pił wina ani nie śpiewał z kompanami. Wolał zagłębiać się w książkach, które nosił w swoim plecaku. Wielu splunęło na Fabrizia, kiedy wstał i szedł w stronę Turka, aby zdjąć mu kajdany.

Renegat okazał się tak bystry jak okrutny i tak ambitny jak nieugięty. Korzystając z prawa do równych szans, jakie gwarantowali Turcy nawróconym, wspinał się na sam szczyt, zostawiając za sobą drogę gęsto usianą trupami. Dziewięć lat po tym, jak jego towarzysze pluli na niego, Hazán był już kadim Algieru, podczas gdy wszyscy, których zostawił w dusznej piwnicy, poumierali w niewoli. W wielu przypadkach pomógł im w tym sam Hazán, który wolał zerwać wszelkie więzy z przeszłością. Członków tamtej załogi nie zdołał odnaleźć żaden z braci trynitarzy, łącznie z tym stojącym teraz przed Hazánem Bają.

– Ach, mój drogi bracie Juanie Gil – rzekł kadi, w końcu zauważając obecność gościa. – Przychodźcie mnie pożegnać?

– W rzeczy samej, panie. Chciałem po raz ostatni złożyć uszanowanie przed waszym odpłynięciem do Konstantynopola. Będzie mi brakowało waszej obecności – brat skłamał bezczelnie.

Z nauk Mahometa brat Juan zaczerpnął maksymę, że kłamać wrogowi to nie grzech. Hazán Bajá był najbardziej bezwzględny gubernatorem w całej historii Algieru. Z jego rozkazu zgładzono setki ludzi, uciskał lud i rządził, mając na celu tylko jedno: napełnić swoje kufry i podnieść kotwicę w kierunku Konstantynopola, gdzie jego rozwiąże zwyczaje i przeszłość przechrzty będą dobrze widziane.

„Niezależnie od tego, jak daleko uciekniesz, piekło zabierzesz ze sobą, chłopcze. I pochłonie cię ono prędzej czy później” – pomyślał brat Juan.

Hazán jakby czytał w jego myślach, bo skierował na niego przeszywające spojrzenie swoich pomalowanych oczu, po czym ponownie skoncentrował się na granatach. Sok z owoców spływał mu po szczęce i moczył dłoń. Od czasu do czasu pozwalał jej opaść na bok, gdzie klęczał mały mauretański niewolnik i wylizywał jego palce do czysta. Chłopczyk nie mógł mieć więcej niż osiem czy dziewięć lat, i brat Juan poczuł przypływ litości dla niego, ponieważ wiedział, co czekało go każdej nocy w prywatnych komnatach kadiego. Jednak nie mógł nic zrobić dla tego dziecka, jakkolwiek odrażające było to, na co patrzył. Ale mógł coś zrobić dla człowieka, którego przybył uratować.

– Panie...

– Wy jeszcze tutaj?

– Panie, mam ostatnią sprawę, którą chciałbym z wami omówić. Powiedziano mi, że zabieracie ze sobą niektórych spośród swoich niewolników. Chciałbym uratować jednego z nich, zanim odpłyniecie.

– Któż to taki, bracie?

– Don Jerónimo Palafox.

Kadi uśmiechnął się niechętnie.

– Jest pod pokładem. Będzie wspaniałym darem dla cesarza. Lubi młodych arystokratów hiszpańskich. Im bardziej są oporni, tym lepiej.

Brat Juan doskonale wiedział, jaką nienawiścią do Hiszpanów pała cesarz Murad, wnuk Sulejmana Wspaniałego. Poprzysiągł zmieść ich z powierzchni ziemi i aby to zrealizować, rozważał nawet nienaturalny sojusz z angielską królową Elżbietą, na oczach całej zszokowanej Europy. Jeżeli ten statek odpłynie z Palafoxem na pokładzie, nie będzie już dla niego ratunku, nigdy.

– Wymieńcie cenę, panie – rzekł z ciężkim sercem.

– Tysiąc dukatów.

Brat zmarszczył brwi, bo kwota dwukrotnie przewyższała to, co miał przy sobie. Nastaly trudne czasy dla rodziny Palafox i zdołała ona zebrać zaledwie dwieście dukatów. Próbował przez dłuższą chwilę targować się z Hazánem Bają, ale ten nie obniżył ceny nawet o maravedí. Brat Juan negocjował z nim wystarczająco wiele razy, by wiedzieć, kiedy nie chce on sprzedać niewolnika. Niestety, los tego młodego arystokraty był przypieczętowany, mnich musiał więc podjąć szybką decyzję. Następnym na liście był żołnierz, który już od ponad pięciu lat przebywał w niewoli w Algierze. Jego rodzina sprzedała ostatnią

fanegę ziemi w Hiszpanii, aby go ratować. Podał kadiemu jego nazwisko.

– Ach, ten. Cenię go sobie, jest wspaniałym rozmówcą.

Zamierzałem zatrzymać go dla siebie.

– Czy mogę sprawić, byście zmienili plany, panie?

– Po namyśle... przydałby mi się nowy dywan. Sześćset escudo.

– Ale, panie, to tylko prosty żołnierz!

Kadi pokręcił głową.

– Miał przy sobie listy polecające od samego księcia Juana de Austria. Musi mieć wpływowych przyjaciół. Jeżeli chcą go odzyskać, będą musieli zapłacić.

Negocjacje zaczęły się ponownie, tym razem z innym życiem na szali. Po dłuższej chwili Hazán zmęczył się tą grą i wymienił ostateczną kwotę.

– Pięćset escudo, bracie Juanie. Nie sądzę, abym za niższą cenę zdołał kupić dobry brokatowy perski dywan. – Uniósł bose stopy i poruszył palcami, prezentując pomalowane paznokcie. – A przecież nie chcielibyście, abym stąpał po dywanie niższej jakości, nieprawdaż?

– Nie, panie – odrzekł brat, myśląc o tym, że dla tych stóp bardziej odpowiednie byłyby ognie piekielne.

– A więc zgoda? – zapytał Hazán niecierpliwie.

– Tak, panie. Pięćset escudo.

Kadi klasnął w dłonie i natychmiast pojawiło się dwóch strażników, ciągnąc za sobą więźnia. Ten szedł w łańcuchach, z kajdanami na nadgarstkach i kostkach. Włosy i brodę miał długie i splątane, cuchnął potem i moczem. Kiedy strażnicy go puścili, upadł na pokład, ciężko dysząc.

– Jakiejż to jakości towar mi doręczacie, panie – zaprotestował mnich.

– Powinniście być wdzięczni za to, że jest w tak dobrym stanie. Ten dzielny rycerz cztery razy usiłował uciec. Raz nawet pociągnął za sobą sześćdziesięciu innych niewolników. Już dawno temu powinienem był go powiesić, ale mam słabość do tego człowieka. Zadowolam się więc wkładaniem mu w dziurę, kiedy jest niegrzeczny – rzekł Hazán, kładąc szczególny nacisk na ostatnie zdanie.

Brat Juan zignorował ten złośliwy komentarz, ponieważ w odróżnieniu od wielu innych nigdy nie oceniał ludzi po tym, co robili, aby przeżyć w tym miejscu opuszczonym przez Boga. Poza tym od innych więźniów słyszał o niesamowitej odwadze tego człowieka. Usiłował zbiec na wszelkie sposoby, począwszy od ucieczki na wzgórze w pobliżu miasta, po kradzież łodzi i zawierzenie swego losu morzu. Przy jednej z tych prób poprowadził za sobą dużą grupę niewolników chrześcijańskich. Schronili się w jakiejś jaskini i ukrywali się tam całymi miesiącami, aż jakiś zdrajca, również chrześcijanin, sprzedał ich za słoń masła.

Tureckie prawo przewiduje, że karą za ucieczkę jest śmierć, ale kiedy straż kadiego pojmały ich w jaskini, człowiek, który leżał teraz na pokładzie statku, wyszedł przed szereg i wziął całą odpowiedzialność na siebie. Ten mężczyzna, choć niskiego pochodzenia, miał większe prawo niż ktokolwiek inny, by wrócić do Hiszpanii, do swoich.

– Proszę, panie – rzekł brat Juan, składając zapłatę u stóp kadiego.

– A cóż mam z tym zrobić? – zapytał Hazán Bajá, patrząc na papierki, jak gdyby brat rzucił kobrę na jego poduszki.

– To weksle banków genueńskich, panie. Są tak samo dobre jak gotówka.

– Może w Algierze tak, bracie, ale ten statek jest już w zasadzie w Konstantynopolu. Więc lepiej będzie, jak w ciągu godziny przyniesiecie mi tu pięćset escudo w złocie. Już prawie odpływamy – rzekł Hazán Bajá, zegnając go gestem.

Brat Juan nie pozwolił sobie nawet na krótkie spojrzenie na więźnia, choć ten próbował zwrócić na siebie jego uwagę. Nagle ogarnęło go wielkie zmęczenie, a reumatyzm stał się bardziej dokuczliwy niż kiedykolwiek wcześniej. Będzie musiał pokonać teraz całą tę drogę z powrotem, aż dojdzie do sklepów w górnej części rynku, znaleźć kilka kantorów – bo jeden nie będzie miał na stanie takiej kwoty w escudo – i zapłacić wysoką prowizję za wymianę, co wyrwie dziurę w jego już i tak nadwyrężonym budżecie. Potem znów czeka go wędrówka w dół, do portu, przedzieranie się przez spocony tłum, a wszystko w pełnym słońcu i niemal na czczo. A najgorsze jest to, że cały ten trud pójdzie na marne, ponieważ potrwa to dłużej niż godzinę.

„Synu, mam nadzieję, że jesteś tego wart” – pomyślał zakonnik i pokuśtykał w stronę trapu.

Wrócił dopiero po dwóch godzinach, straciwszy już nadzieję, że znajdzie wielką galerę Hazána Bachy w tym samym miejscu. Zaczął się już przyplýw, ale z jakiegoś powodu okręt wciąż stał na swoim miejscu, a kadi wściekle łajał jednego ze swych kapitanów, uderzając go miotełką do odganiania much z drzewa sandałowego i bawolego włosia. Kapitan rzucił się do stóp swego pana.

Z każdym uderzeniem jego nagie plecy pokrywały się włosiem wypadającym z miotelki. Scena mogłaby się wydać komiczna, gdyby nie jej gwałtowne zakończenie.

– Zabrać go i obciąć mu uszy – rozkazał kadi swoim strażom. – Dzięki temu następnym razem nie zapomni o załadowaniu towaru, który powinien już od kilku godzin być pod pokładem.

Zwrócił się w stronę brata Juana z nieludzkim grymasem na twarzy, który stopniowo przykrywała ponownie obojętna maska.

– Mielście szczęście, bracie. – Skinął ręką na służącego, a ten odebrał ciężką torbę z rąk brata Juana. – Albo raczej wasz nowy przyjaciel miał szczęście.

Inny strażnik uwolnił więźnia z kajdan i łańcuchów i pociągnął go gwałtownie za włosy, podnosząc na nogi.

– Możecie iść? – mnich zapytał więźnia szeptem, podając mu dłoń.

Ten przytaknął, ale nie odrzucił oferowanej pomocy. Ramię w ramię zeszli po trapie i szli wzdłuż nabrzeża, a mnichowi wydawało się, że trwa to całą wieczność. W końcu dotarli do ujęcia wody u wejścia do portu, gdzie za murami miejskimi w dół spływał czysty strumyk. Biedak upadł, gdy tylko tam doszli. Pił, aż jego brzuch spuchł jak u ropuchy, jednak jeszcze przez dobrą chwilę trzymał głowę pod kurkiem, jak gdyby mało mu było tej wody, którą wypił.

– Jaki dziś mamy dzień? – zdołał zapytać brata, gdy już odzyskał siły. I natychmiast wybuchnął płaczem, nie mogąc już się powstrzymać.

– Jest 19 września 1580 roku.

– Dobry Boże – rzekł żołnierz, wycierając łzy. – Dziewięć miesięcy w tym lochu. Bez światła, pijąc nie więcej niż naparstek wody dziennie. Niech wam Bóg błogosławi, ojczy.

– Zapamiętajcie ten dzień na zawsze, przyjacielu. I dobrze wykorzystajcie te, które wam w życiu zostały – odrzekł brat Juan.

Miguel de Cervantes skinął głową i dał uroczyste słowo, że tak zrobi.

Dziesięć lat później stary żołnierz, teraz pełniący obowiązki królewskiego komisarza do spraw zaopatrzenia, znów znalazł się w ogniu walki na śmierć i życie, choć tym razem innej natury. Wrogowie napierali na niego z dwóch flank, byli lepiej uzbrojeni i szli po niego.

Miguel nie wyszedłby cało z tego pomieszczenia, gdyby nie to, że w tym momencie pojawił się wysoki, szczupły chłopak o przenikliwym spojrzeniu zielonych oczu, ubrany na czarno od stóp do głów. Usiadł obok niego i rzekł...

LV

– Bądźcie uprzejmi podać mi karty.

Szuler wziął talię i rozłożył ją na stole, aby ją lepiej przetasować, bez żenady przyglądając się Sanchowi. Chłopak uśmiechnął się, udając niewiniątko. Wszedł do szulerni bez rapiera, jak to było w zwyczaju, a w gorącym pomieszczeniu szybko zdjął z siebie kaftan i powiesił go na oparciu krzesła. Wyjął też torbę, tak wypchaną, że szwy niemal pękały. Na ten widok oczy właściciela lokalu błysnęły chciwością.

Sancho wiedział niemal wszystko o tym miejscu i pół tuzinie stolików do gry – jedyny, który go interesował, stał pośrodku. Nie był w okolicy po raz pierwszy. To tutaj dotarł, śledząc Bartola podczas jednej z jego tajemniczych czwartkowych wypraw w – jak się teraz wydawało Sanchowi – innym życiu. Tu właśnie karzeł stracił fortunę i tutaj zaczął się bieg zdarzeń, które Bartola doprowadziły do grobu, a Sancha na galery.

Tutaj mieściło się centrum operacyjne człowieka, który przyczynił się do ich upadku. Gonzalo Ramos nosił pseudonim Kwiaciarz, nadany mu przez półświatek ze względu na kwiatki, czyli pułapki, jakie potrafił zastawić na nieostrożnych, choć nikt,

kto nie należał do gildii, nie ośmieliłby się nazwać go tak w twarz lub przed porządnymi ludźmi. Był to człowiek o niepozornym wyglądzie, ani młody, ani stary, ani wysoki, ani niski. Miał charakter tak zmienny jak jego gra, dostosowywał się do osób, które miał przed sobą. Raz udawał wesołego i odświętnego, jak gdyby przychodził tu trwonić pieniądze, innym razem udawał, że jest ostrożny, jak gdyby nie mógł sobie pozwolić na utratę ani jednego maravedí, lub że uznaje za obrazę sam fakt, że ktoś inny wygrywa. Albo wyglądał na zdenerwowanego i przytłoczonego, jak gdyby kaprys losu sprawił, że znalazł się na łódce miotanej przez fale. Wszystko to były twarze jednego osobnika, który w dodatku potrafił grać. Przeciwno niemu właśnie przygotował się Sancho, słuchając uważnie Zachariasza.

– Aby uderzyć w Monipodia, musisz zniszczyć Kwiciarza. Jest jednym z jego głównych filarów, ponieważ kontroluje długie hazardowe połowy Sewilli, i wie, jak skłonić tych, którzy coś znaczą w mieście, do wyświadczenia mu przysługi. Niejeden raz jakiś sędzia, wpadłszy do jego szulerni przy ulicy Jazmines, miał niespodziewanie dobrą passę akurat na dzień przed istotną rozprawą.

„Jak zorganizujemy napad?” – zapytał Josué.

Sancho pokręcił głową.

– Na nic by się to zdało. Jeśli ukradniemy mu pieniądze, po prostu zarobi więcej. Będziemy musieli uderzyć go tam, gdzie najbardziej go zaboli. Trzeba ujawnić, jakim jest oszustem.

„Ale to będziesz musiał zrobić z odkrytą twarzą” – zaproponował czarny, nie chcąc, aby przyjaciel ponosił takie ryzyko.

– Moglibyśmy przecież go wysłać na tamten świat – wtrącił się jeden z bliźniaków, bez większego nacisku. Obaj wiedzieli, że tego typu propozycja zawsze jest odrzucana, ale wciąż próbowali.

Sancho na spokojnie przemyślał to, co mu powiedział Zachariasz. Noc stawała się coraz trudniejszą scenerią polowań na popleczników Monipodia i zbliżał się moment, kiedy trzeba będzie stanąć do bezpośredniej konfrontacji, a więc jeszcze bardziej zwiększyć presję. To była dobra okazja i warta ryzyka, które się z nią wiązało.

Potrzebował tylko dobrego planu.

Na ulicy Sierpes, najbardziej znanej w Sewilli, można było kupić wszystko: od pięknie wykonanej broni po olśniewającą biżuterię. Sancha interesowało tylko jedno miejsce – parterowy budynek, z którego piwnicy unosił się silny zapach węgla i żywicy. Wszedł tam i zobaczył niewielkie pomieszczenie z ladą, za którą teraz nikt nie stał. Z piwnicy dochodził ogromny zgiełk. Sancho zszedł po schodach i znalazł się w gąszczu maszyn, stołów i ludzi. Na jednym krańcu pomieszczenia kilku czeladników przestawiało bulgoczące garnki, podczas gdy inni ugniatali w młódkach dziwne mieszanki i wrzucali je do środka. Pośrodku kilka osób stało wokół ręcznej prasy, która opadała na twarde i cienkie kartonowe arkusze. Na osobnym stole jeszcze inni nakładali warstwę lakieru na płytki, po czym cięli je na niewielkie prostokąty za pomocą ostrej matrycy.

W centrum tego zamieszania jakiś garbaty i pokrzywiony człowieczek biegał od jednego stołu do drugiego, tryskając niewyczerpaną energią. Pierres Papin, posiadacz garbu i jednego ramienia dłuższego od drugiego, miał przyjemną twarz i cieszył

się sławą dobrego kochanka. Choć urodził się w Paryżu, już tyle lat mieszkał w Sewilli, że na każde *mondié* rzucał trzy *Jesús*, a na każde *sacréblé* dwa *por favor*.

Papin był najbardziej znanym drukarzem kart na świecie. Eksportował swoje talie – hiszpańskie, neapolitańskie i francuskie – na całą Europę. Miał nosa do interesów, co przejawiało się wytrwałym całowaniem tyłków europejskich monarchów, którym dedykował specjalne edycje swoich talii. Pojawiali się na nich jako asy i królowie, zawsze z mieczem w dłoni. W odróżnieniu od nich Papin wiedział doskonale, że najlepszym kolorem w talii są dukaty, i tymi grał z największą sprawnością.

Choć jego talie, zawinięte w paczuszki z szarego papieru ze znakiem wodnym i zapieczętowane słynnym czerwonym woskiem Papina docierały nawet do Indii, jego najważniejszym źródłem dochodu była Sewilla. Domy gry działały w różnych punktach miasta, nawet na ulicach zasiadano do gry w pokera, stawiając drewniane skrzynki i cztery kamienie jako siedziska dookoła. Przy cenie dwóch escudo za talię ten rynek zrobiłby z garbusa najbogatszego człowieka, gdyby tylko nie padł ofiarą własnego towaru.

– Czym mogę wam służyć, panie? – zapytał Pierres Papin, zwracając się w stronę Sancha.

Chłopak wyjaśnił, o co mu chodzi. Początkowo twarz drukarza wyrażała jedynie oburzenie, aż Sancho wspomniał o Gonzalu Ramosie, Kwiaciarzu.

– Co się dzieje? Nie podobają się wam karty? – zadrwił szuler, widząc obrzydzenie, z jakim Sancho spogląda na karty, które

właśnie rozdał.

– Są brudne i przepocone – odrzekł Sancho, nie racząc ich dotknąć.

Jego towarzysze ze stolika z powagą skinęli głowami. Młodzieniec dobrze wybrał czas, upewniając się, że przy stoliku znajdzie ludzi o pewnym znaczeniu. Żaden z nich się nie przedstawił, w tym domu nie używano nazwisk, jednak Sancho dobrze zbadał teren. W tej chwili przy stoliku siedzieli urzędnik Izby Handlowej, diakon w świeckim ubraniu i komisarz do spraw zaopatrzenia. Szuler i Sancho dopełniali kwintetu potrzebnego do gry w dwadzieścia jeden, bardzo ostatnio modnej w Sewilli. Nie była to gra dla dżentelmenów, jednak nie miało to przełożenia na praktykę w domu gry Kwiaciarza, w miejscu pachnącym dymem świec i trocinami.

Niemniej jednak stan kart był czymś, na co zawsze zwracało się uwagę, a szczególnie wtedy, gdy wymiany zażądali klienci na pewnym poziomie. Położona przez Sancha na stole wypełniona torba, której zawartość szuler chętnie przejąłby na własność, zaliczała go do tej grupy klientów. Kwiaciarz elegancko wstał i poszedł w stronę szafy stojącej za jego plecami. Zdjął klucz, który nosił na szyi, i otworzył szafę na oścież, ukazując trzy stosy talii kart.

Wziął dwie z góry i pokazał je swoim towarzyszom przy stole, jedną po drugiej, pieczęcią Papina na wierzchu. Kiedy wszyscy skinęli głowami z aprobatą, szuler złamał palcami pieczęcie. Niewielkie kawałki wosku spadły na stół. Kwiaciarz zgarnął je tym samym ruchem dłoni, jakim rozkładał karty. Usunął kartonik z drukarni i zaczął szybko tasować karty.

– Wy przekładacie – rzekł, podając talię graczowi po swojej prawej, urzędnikowi Izby. Dalej byli komisarz, Sancho i diakon. Szuler rozdał po trzy karty każdemu i położył kolejne trzy awersem do góry na stoliku.

Siódemka puchary, walet kije i trójka miecze.

Urzędnik uważnie przyjrzał się kartom, po czym wyjął czwórkę dukatów. Połączył ją z siódemką i waletem.

– Dwadzieścia jeden – rzekł, po czym zgarnął karty i ułożył je na stosiku obok swoich.

Kwaciarz skinął głową, podał mu jedną kartę, a urzędnik położył na stole kolejne dwie. Celem gry było zebranie dwudziestu jeden oczek poprzez dodawanie swoich kart i tych leżących na stole. Figury liczone jako dziesięć, a asa jako jedenaście. Za każdym razem, gdy ktoś zebrał dwadzieścia jeden, zyskiwał jeden punkt, a nawet trzy, jeżeli zdołał zebrać dwa razy po dwadzieścia jeden, co jest bardzo trudne. Najbardziej emocjonującą częścią gry było to, że – po zgłoszeniu i otrzymaniu kart – gracz, który właśnie zyskał jeden punkt, mógł wymienić się kartami z którymkolwiek ze współgraczy. Zwykle się to opłacało, ponieważ dawało szerszy ogląd rozdania i możliwość pozbycia się najgorszych kart, czyli zwykle dwójek i trójek. Figury i siódemki uchodziły za najlepsze.

– Wymiana – rzekł urzędnik, wskazując na Sancha.

Chłopak oddał mu swoje karty i wziął te, które tamten mu podał. Oczywiście stracił na tym, ponieważ oddał jedną szóstkę i dwie siódemki, a w zamian otrzymał dwie czwórki i jedną piątkę. Kiedy nadeszła jego kolej, nie miał żadnej możliwości zbierania dwudziestu jeden, więc musiał spasować. Dopiero

w trzecim rozdaniu zdołał zebrać dwadzieścia jeden, a wtedy Kwiciarz i urzędnik mieli już dużą przewagę. Ta runda zakończyła się zwycięstwem urzędnika, któremu wszyscy sumiennie wypłacili po jednym escudo.

– Gratulacje. Doskonała wymiana przy piątym rozdaniu – pogratulował mu diakon.

– Podebraliście mi kilka koni, które mogły wygrać dla mnie ten wyścig. Dobry ruch – dodał Kwiciarz.

Było to kłamstwo. Szuler pozwolił mu wygrać i zagadywał go, aby wzbudzić jego zaufanie. Sancho bardzo uważał, by nic nie powiedzieć.

Kelnerka z głębokim dekoltem podała im dzban wina, co wszyscy przyjęli z wdzięcznością, ponieważ robiło się coraz goręcej, a i emocje związane z grą wysuszały im gardła. Sancho zwrócił uwagę, że kielich dla szulera kelnerka przyniosła już napełniony, i założył, że zawierał rozcieńczone wino – pozostali dostali mocne.

– Czy moglibyśmy zamienić się kielichami? – zapytał Sancho szulera, chcąc wytrącić go z równowagi.

– Czyżbyście nie lubili wina z Toro, przyjacielu?

– Wręcz przeciwnie, jest doskonałe.

– Dla moich gości wszystko, co najlepsze.

– Tylko że wydaje mi się trochę za mocne. A nie chciałbym się pomylić, licząc oczka. To byłby wstyd, nie sądzicie?

– A więc niech je dla was trochę rozcieńczą – odrzekł szuler i skinął na kelnerkę.

Pozostali uznali, że to ma sens, i poprosili o to samo. Szuler zacisnął zęby i spojrzał dziwnie na Sancha, ale nic nie rzekł.

Teraz rozdawał urzędnik. Sancho wygrał bez trudu. Również w następnym rozdaniu, kiedy Kwiciarz niejedną raz spasował, podając Sanchowi zwycięstwo na tacy.

– Przysięgłbym, że kiedy liczyłem walety, wy mieliście parę asów – rzekł Sancho do szulera, zgarniając wygraną.

– Chyba się mylicie – odrzekł poważnie Kwiciarz. – W takim razie mógłbym zebrać dwa razy po dwadzieścia jeden.

– No tak – zaśmiał się Sancho – gdzież ja mam głowę. Proszę o wybaczenie.

– Sądzę, że to kwestia braku doświadczenia.

– Albo sztuczek tych bardziej doświadczonych.

Przez salę przeszedł szmer, a atmosfera wokół stolika się zageściła. Sugestia była celna, jednak tak otwarta, że mogła oznaczać cokolwiek. Ktoś się poruszył za plecami Sancha – chłopak przysięgłby, że Kwiciarz wykonał jakiś niezauważalny gest. W tej chwili cieszył się, że wszyscy tutaj byli nieuzbrojeni, przynajmniej teoretycznie. Bandyci pracujący dla szulerni mogli mieć ukryte jakieś noże. Tak jak i Sancho, który schował dwa ostrza w bucie. Zadał sobie pytanie, ile by mu zajęło wyjęcie ich, gdyby sprawy przybrały nieprzyjemny obrót i ktoś chciałby go dźgnąć w plecy.

– Lepiej kontynuujmy – rzekł szuler.

Jeżeli rozdający przegrał poprzednią kolejkę, mógł podwyższyć zakład o jedno escudo, aby się odegrać. Zakłady rosły wraz z upływem czasu, tak jak upał i napięcie. Teraz Kwiciarz przejął inicjatywę i zaczął otaczać swoich najsłabszych przeciwników. Wkrótce zakłady doszły do dziesięciu escudo, co przekroczyło możliwości diakona, który przeprosił i podniósł się. Ale nie

odszedł, tak jak i urzędnik, kiedy został już bez pieniędzy. Obaj przyłączyli się do kółka widzów otaczającego graczy.

Taka grupka zawsze zbiera się wokół stolików w kasynach na całym świecie. Ci, którzy nie mają fortun do roztrwonienia albo są na to zbyt rozsądni, często przyglądają się tym, którzy mogą sobie na to pozwolić, lub nie potrafią nad sobą zapanować. A kiedy gra staje się tak emocjonująca jak w tej chwili, widzowie śledzą każdy jej etap z ogromnym zainteresowaniem, wstrzymując oddech przy każdej karcie dotykającej skórzanego blatu. Widzowie często zaglądają też przez ramię graczom. To była technika, którą stosował Kwiciarz od niepamiętnych czasów, aby zwiększyć przewagę nad przeciwnikami. Jego poplecznicy zaglądali w karty przeciwników i przekazywali mu ich wartość za pomocą skomplikowanego systemu mrugnięć i gestów. W grze w dwadzieścia jeden, gdzie można było wymienić się kartami z rywalem, stanowiło to ogromny atut.

– Zdaje się, że zostało nas tylko trzech, panowie. Czy życzycie sobie zrobić przerwę? – zapytał szuler.

– Ja mam się dobrze – rzekł komisarz. – Jeśli młodzieniec nie ma nic przeciwko temu, możemy kontynuować.

– Zdaje się, że macie dziś dobrą passę, panie.

– Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi – odrzekł komisarz ponurym tonem osoby, która wiele razy już kupiła kota w worku.

– Cierpliwości i tasujemy.

Gra potoczyła się dalej i zdawało się, że złe przeczucia komisarza zaczęły się spełniać. Godzinę później, kiedy zakłady sięgnęły pięćdziesięciu escudo, był stratny już ponad trzysta. Sancho też już krwawił, ale jego rany nie były tak wielkie jak

komisarza. Szuler pozwalał mu wygrywać dokładnie tyle, aby uwierzył w możliwość odegrania się, ale trzymał go z dala od tego celu. A na dodatek pieniądze, które przegrywał Sancho, pochodziły od bandytów Monipodia, a escudo, które komisarz tracił jak kasztan liście w październiku, były z zupełnie innego źródła.

– Obawiam się, że moje kieszenie są już puste – rzekł komisarz z poszarzałą twarzą przegranego, podnosząc się.

– Wiecie, że w tym domu możecie skorzystać z kredytu – zasugerował szuler z szerokim uśmiechem. – Z przyjemnością powierzymy wam dodatkowe dwieście escudo. Kto wie, co może się wydarzyć w ciągu kilku rozdań?

Komisarz zawahał się przez chwilę, nie ruszając się z miejsca. Karty i błyszczące złote monety ciągnęły go w dół, prosząc, by wrócił do stołu i stoczył tę ostatnią bitwę. Jednak długi, które zaciągnął już do tej pory, były spore. Toczył wewnętrzną walkę, która na chwilę pozbawiła go głosu.

– Ja...

– Panie, jesteście dla mnie nieznanymi, jednak przynieśliście mi szczęście – w tej chwili wtrącił się Sancho. – Jeżeli nie macie nic przeciwko, chętnie wyłożę za was zakład na następną kolejkę. Mam przeczucie, że tym razem będziecie mieli szczęście.

Szuler i komisarz jednocześnie z takim samym wyrazem zdziwienia na twarzach zwrócili głowy w stronę Sancha, choć w przypadku Kwiciarza przeszedł on zaraz we wściekłość. Nadał nozdrza i parsknął, ponieważ lubił tę władzę nad ludźmi, jaką dawała mu gra. Szczególnie wtedy, gdy ci poniżali się i zadłużali, podpisując weksle, które on kolekcjonował w swojej szafie. Sancho

właśnie pozbawił go tej przyjemności i chwilę trwało, nim odzyskał równowagę.

– Nie mogę przyjąć waszej oferty – odrzekł komisarz, który w rzeczywistości szukał jakiegoś sposobu, by to zrobić, nie tracąc godności.

– Proszę was, panie. Tylko jedna kolejka. Jeśli już musimy przegrać, zróbmy to w wielkim stylu.

– Zgoda – przystał na to komisarz.

Sancho uśmiechnął się i popchnął dwa stosiki monet na środek stołu. Kwiaciarz również wykrzywił twarz w uśmiechu i rozdał karty w – jak sądził – ostatniej kolejce. Mylił się jednak.

Tym razem komisarz wygrał bez trudu, nie bez pomocy kart, które Sancho oddawał mu raz i drugi. W następnym rozdaniu stało się to samo, i tak jeszcze dziesięć razy z rzędu. Twarz szulera płonęła z wściekłości. Na niewiele zdało się to, że znał karty swoich rywali, ponieważ Sancho ukrywał swoje i grał przez cały czas na korzyść komisarza. A ten zbierał dwadzieścia jeden niemal w każdym rozdaniu, sam coraz bardziej tym oszołomiony. Kwiaciarz próbował się odegrać, jednak za każdym razem gdy miał dobre karty, te albo się marnowały, albo kończyły w rękach komisarza. Grube krople potu zaczęły spływać mu po twarzy, gdy patrzył, jak komisarz nie tylko odzyskuje to, co stracił, ale i powiększa stos pieniędzy po swojej stronie stolika – już wygrał dwukrotność tego, z czym wszedł.

– Chyba mieliście rację, panie – rzekł Sancho do szulera. – Mój towarzysz najwyraźniej zaczął mieć dobrą passę.

– Sądzę, że nie pozwolę wam więcej grać w moim lokalu – odrzekł Kwiaciarz, krzyżując ręce na piersi.

Zapadła głęboka cisza. Publiczność dostrzegła ciosy, jakie Sancho zadawał swoją grą przeciwko Kwiciarzowi równocześnie wspierającą komisarza, jednak żadne zasady nie zabraniały tego. Nie można było za to wykluczyć go z gry, szczególnie że Sancho tracił ogromne ilości pieniędzy.

– Czy możecie mi wyjaśnić swoje powody?

– Ponieważ oszukujecie.

Wszyscy w sali wstrzymali oddech. Komisarz, usłyszawszy to, skrzywił się, wyciągnął ramiona na stole przed sobą i rzucił Kwiciarzowi lodowate spojrzenie. Oskarżanie Sancha o oszustwo było tożsame z oskarżaniem jego, ponieważ to on był bezpośrednim beneficjentem tego, co zdarzyło się podczas ostatnich rozdań.

– Mam nadzieję, panie, że potraficie uzasadnić swoje oskarżenie. Dla waszego dobra.

Szuler uderzył pięścią w stół, a stos złotych monet potoczył się brzęczącą lawiną.

– W tym problem. Że nie potrafię. Ale taka passa to coś niespotykanego. Dałbym sobie rękę uciąć, że chłopaczek znał z góry każde moje posunięcie.

Sancho odetchnął głęboko i spojrzał na niego z szerokim uśmiechem. Od początku gry czekał na ten moment.

– No cóż, obawiam się, że to prawda. Widzicie, rzeczywiście oszukiwałem.

Przez salę przeszedł szmer zdziwienia, a jeden ze zbirów pilnujących drzwi ruszył w stronę stołu, jednak nim zdążył rzucić się na Sancha, ten uniósł dłoń.

– Ale nie powinniście udawać zdziwionego, mistrzu Kwiciarzu. W końcu przez cały czas korzystam z waszego systemu.

Szuler szeroko otworzył oczy, jednak zaraz zdołał udać pogardę i oburzenie.

– Jak śmiecie? Młodzieńcze, wasze minuty są policzone. Pojmać go!

Zbir spróbował dotrzeć do Sancha, ale widownia szczelnie otaczała stół.

– Chwileczkę – ktoś krzyknął. – O co chodzi z mistrzem Kwiciarzem?

– Tak, i o co chodzi z systemem?

– Niech wyjaśni!

– Pozwólcie mu mówić!

– Panowie, to bardzo proste. Pan Gonzalo Ramos, właściciel tego lokalu, jest ni mniej, ni więcej tylko szulerem, który oszukuje was wszystkich od lat, używając znaczonych kart.

– To kłamstwo! – wrzasnął szuler.

– Przyjrzyjcie się uważnie, a dostrzeżecie prawdę, panowie – rzekł Sancho, biorąc w dłoń karty i rozkładając je na stole awersem do dołu. – Jeśli przyjrzyjcie się rysunkowi na odwrocie, zauważycie, że na jednym z końców znaku wodnego, gdzie nie powinno być już nic więcej, ktoś wkomponował litery. Przyjrzyjcie się, tutaj wyraźnie widać cyfrę siedem i literę C. Odwracam kartę i... – odwrócił kartę i ukazała się siódemka puchary.

– 1B – rzekł pokazując inną kartę.

As kije.

– 12E.

Król miecze.

– 110.

Jeździec dukaty.

– Podmienił talię! To niemożliwe, aby to była moja – zaprotestował Kwiaciarz, który z wściekłością przyglądał się prezentacji.

Nagle wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Wstał i utorował sobie drogę między ludźmi do szafy, w której trzymał karty. Przez chwilę mocował się z zamkiem. Sancho przygryzł dolną wargę, aby się nie uśmiechnąć. Wiedział doskonale, że zamek szafy nie działa najlepiej, bo kiedy wkradł się tutaj tego poranka, kiedy wszyscy jeszcze spali, miał z nim trochę problemów. Aż go kusiło, by kapnąć nań odrobinę oliwy, ale obawiał się, że Kwiaciarz mógłby to zauważyć.

– Tutaj są wszystkie moje karty. Wszystkie nowe, czyste, z pieczęcią samego Papina. Widzicie?

Szuler wziął kilka tali i położył na stole. Zerwał lakową pieczęć z jednej z nich i rozerwał papier. Zrobił to gwałtownie, więc wiele kart wypadło na ziemię, ale zdołał kilka umieścić na stoliku.

Wszystkie miały ukryte rysunki na odwrocie.

– To niemożliwe – wymamrotał szuler biały jak ściana. To, że zostanie odkryty jako oszust, było jego najgorszym koszmarem, a teraz na oczach trzydziestki najważniejszych i najbardziej wpływowych mieszkańców Sewilli ten koszmar stawał się rzeczywistością

– Mój przyjaciel, drukarz Papin, odkrył jakiś czas temu, że ktoś podrabia jego karty. Przysłał mnie tutaj, abym udowodnił to oszustwo, na którym cierpieliście wy, panowie. Jeżeli się przyjrzyjecie lakowym pieczęciom, zobaczycie, że tradycyjny znak

lilii Papina składa się z trzech, a nie z czterech liści. Choć sędzę, że oszustwo już i tak zostało udowodnione.

Zebrani zaczęli krzyżeć, a zbiry pilnujące drzwi musiały się precyzyjnie przecisnąć do stołu szulera i otoczyć go, by go chronić. Wszyscy klienci w mniejszym lub w większym stopniu tracili pieniądze w tym lokalu. Nagle Kwiciarz musiał się tłumaczyć z oszustw... których nie popełnił. Był skończony w tym mieście.

Sancho wyrył w swojej pamięci zrozpaczony wyraz twarzy szulera, z przyjemnością przyglądając się, jak na dno idzie człowiek, który wyrządził tyle krzywdy Bartolowi. Oglądanie, jak ten drań, który zbudował swoją pomyślność na nieszczęściu i słabościach innych, otrzymywał zasłużoną nauczkę, napełniło go niezdrową radością.

– Głowa do góry, panie – rzekł Sancho, wstając i sięgając po kaftan. – W końcu nigdy nie wiadomo, co wam przyniosą karty.

Wyciągnął dłoń na środek stołu i skręcił karty, tworząc wachlarz. Wyjął jedną z kart i przeciągnął ją po stole palcem wskazującym, aż znalazła się naprzeciw szulera. Ten uniósł ją z wolna i odwrócił. Nie była to zwykła karta z talii, lecz taka, na której na białym tle wydrukowano jedno tylko zdanie.

PANOWANIE
MONIPODIA
SIĘ KOŃCZY

W tej chwili szuler pojął wszystko.

– To on! To jeden z Duchów! – wrzeszczał do swoich zbirów, wskazując na Sancha, który wychodził z lokalu, nie odwracając się. – Łapać go!

Ale jego krzyki utonęły w obelgach zebranych, a zbiry były zbyt zajęte pilnowaniem, by ktoś nie połamał krzesła o jego czaszkę.

– Panie! – Zaczekajcie chwilę!

Sancho oddalał się już od szulerni, nie zatrzymując się nawet, by włożyć kaftan, kiedy usłyszał czyjś głos za plecami. Próbował zgubić idącego za nim mężczyznę, nie zwracając na siebie uwagi, jednak ten w końcu dopadł go kilka ulic dalej, przy latarni stojącej przed wejściem na plac Ryzowy. Odwrócił się, gdy ktoś szarpnął go za ramię.

– Nie miałem okazji wam podziękować.

Przed Sanchem stał komisarz, dysząc ciężko po biegu.

– Nie ma za co.

– Chciałbym poznać wasze imię.

Chłopak zawahał się przez chwilę, ale dojrzał w oczach komisarza coś, co przekonało go, że może mu zaufać.

– Nazywam się Sancho de Écija.

– Straciliście tam mnóstwo pieniędzy.

Chłopak wzruszył ramionami.

– To tylko kawałki metalu użyte dla osiągnięcia celu.

– Doprawdy jesteście niezwykłym człowiekiem – rzekł komisarz zdziwiony.

Zapadła niezręczna cisza i Sancho poczuł się zmuszony, by przemówić. Wskazał na lewą rękę swojego rozmówcy, strzaskaną i bezużyteczną.

– Co wam się przydarzyło?

Komisarz przez chwilę wyglądał na nieobecnego, jak gdyby samo wspomnienie o otrzymanej ranie przeniosło go daleko stąd.

– To, chłopcze, efekt działania trzech kul, które trafiły mnie pod Lepanto. Najlepsza okazja, jaką widziały wieki. Gdybyście uczynili mi zaszczyt i wstąpili ze mną na kielich wina, chętnie wam opowiem, jak to się wydarzyło.

– Może przy innej okazji, panie.

Sancho włożył kaftan. Kiedy to robił, odwrócił się prawym bokiem w kierunku komisarza, a ten zwrócił uwagę na dolne partie jego szyi i brzydkie blizny wielkości monety, które tam miał: niewątpliwe ślady po przebytej zarazie. Podczas gry Sancho zajmował miejsce po jego prawej stronie, więc nie zauważył ich wcześniej.

– Wybaczcie to pytanie, ale czy jesteście sierotą? – zapytał komisarz.

Po raz drugi tej nocy Sancho zawahał się na chwilę, nim udzielił odpowiedzi, jednak było coś w tym człowieku, co wydawało mu się znajome. Zwierzył mu się z przyczyn, których sam nie rozumiał.

– Wychowałem się w przydrożnej oberży, a kiedy moja matka zmarła, zawieziono mnie do sierocińca w Sewilli.

Nigdy nie opowiadał nikomu o swoich losach, ponieważ nie chciał, aby mu współczuć. Jednak w życiu by nie pomyślał, że ktoś usłyszawszy tę historię, wybuchnie śmiechem, tak jak to zrobił komisarz. Sancho zeszywniał i zacisnął pięści, sądząc, że mężczyzna drwi z niego, jednak zaraz zobaczył, że w jego oczach nie ma okrucieństwa.

– Wybaczcie, przyjacielu Sancho. Po prostu nagle sobie przypomniałem o pewnej inwestycji, której dokonałem kilka lat temu. Sześć escudo. Przyniosły mi ogromny zysk, wiecie?

Sancho spojrział na niego dziwnie i nie odpowiedział. Nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi ten człowiek. Nie mógł tego wiedzieć, ponieważ – skoro nie pożegnał się formalnie z sierocińcem – brat Lorenzo nigdy mu nie powiedział, kto go tam zostawił. Tego rodzaju informacje zakonnik zachowywał, mądrze, aż do ostatniego dnia pobytu każdego dziecka w sierocińcu.

– Ach, nie zwracajcie uwagi na bredzenie starego wojaka – rzekł komisarz, widząc, jaki efekt wywarły jego słowa na młodym człowieku. – Przyjąłem zbyt wiele ciosów w głowę. W każdym razie jestem Miguel de Cervantes, królewski komisarz do spraw zaopatrzenia. Jeżeli któregoś dnia znajdziecie chwilę na ten kielich wina lub będę mógł pomóc wam w czymkolwiek, szukajcie mnie w gospodzie Tomása Gutiérreza.

Sancho pożegnał się z tym osobliwym mężczyzną, błędnie sądząc, że nigdy więcej go nie spotka.

LVI

Przed wejściem poczuła strach.

Brama była drewniana, z żelaznymi ślimacznicami. Dwuskrzydłowa, na szerokość dużego wozu, z mniejszą furtką z boku. Tuż za wejściem znajdowała się niewysoka budka, gdzie dwóch strażników zapytało ją z sarkazmem w głosie, czy jest uzbrojona. Na długiej drewnianej listwie przybitej do ściany za nimi wisiał tuzin rapierów należących do klientów, którzy weszli do burdelu.

– Nie zwracaj na nich uwagi, duszko. I nie bój się. Nic ci się tutaj nie przytrafi – rzekła Zdziorna.

Clara zdziwiła się, przekroczywszy bramę. Spodziewała się obskurnej i ciemnej nory, bynajmniej nie tego, co zobaczyła. To było tak, jakby weszła do niewielkiej wioski otoczonej wysokim murem. Dwie długie i wąskie ulice, wzdłuż których stały niewielkie identyczne domki, niewiele większe od budki strażników przy wejściu. Ulic nie wybrukowano, ale też nie walały się po nich odpadki ani nie płynęły nimi nieczystości, co było normą w Sewilli. Całe to miejsce sprawiało wrażenie czystego i spokojnego. Przed domkami stały nawet niewielkie doniczki

pełne kwiatów lub bazylii dla odstraszenia komarów. Na wolnym kawałku ziemi pomiędzy dwoma domami ktoś posadził kapustę.

– Nie tak to sobie wyobrażałaś, prawda? – zapytała prostytutka, widząc zdziwienie na twarzy dziewczyny.

Zadziorna oprowadziła ją po terenie burdelu, który w miejscu najbardziej oddalonym od bramy wejściowej przybierał formę podkowy łączącej obie uliczki. Nad drzwiami przybito niewielkie szyldy z imionami dziewcząt pracujących wewnątrz. Niektórym z nich towarzyszyły bynajmniej nie skromne rysunki obrazujące „specjalność zakładu”. Przechodząc przed domkami, gdzieś Clary słyszała hałasy i jęki, czasem skandaliczne.

– Ależ krzyczą. Ale wielu gościom dodaje to animuszu.

Clara nie miała za sobą żadnych doświadczeń seksualnych, jedynie z ciekawości zbadała własne ciało. Na podstawie powieści rycerskich, które opisywały relacje pomiędzy mężczyznami a kobietami jako platoniczne i nigdy nie konsumowane, wyobrażała sobie miłość jako stałe cierpienie i niepokój, takie jak te, które czasem w nocy paliły jej ciało. Nie potrafiła więc patrzeć na to wszystko z łatwością, z jaką to czyniła Zadziorna, która już na to wszystko zobojętniała. Clara starała się jednak skupić na jej wyjaśnieniach na temat funkcjonowania burdelu.

Bardzo się zdziwiła, dowiedziawszy się, że domki tylko wynajmowano prostytutkom, a ich właścicielami były poważane osoby i instytucje. Ponad połowa z nich należała do klasztorów, kościołów, a nawet samego arcybiskupa. Pozostałe do szlachty i bogatych kupców. Clary przemknęło przez myśl pytanie, czy i Vargas jest w gronie tych właścicieli, ale nie ośmieliła się o to zapytać, nie chciała być z nim kojarzona.

– Co roku w Wielkim Tygodniu zbierają nas wszystkie w katedrze i prawią kazanie, że powinniśmy żałować za swe grzechy i porzucić ten zawód, tak jakbyśmy same chciały zarabiać na chleb, leżąc na plecach. Te nieliczne z nas, które się na to godzą, zamykają w klasztorze o chlebie i wodzie do końca ich dni, a resztę, która każe im iść do diabła, wysyłają poza granice miasta aż do Wielkiejnocy, tak jakby pieprzyć się przez resztę roku nie było grzechem. A księża ciągle próbują podnieść nam czynsz. Banda hipokrytów, duszko, oto kim oni wszyscy są.

Powrót wzdłuż dwóch uliczek trwał krócej niż lista obelg, którą Zadziorna miała w zanadrzu dla właścicieli domków. Zwiedzanie zakończyły pod dachem gospodyni. Dom był prosto urządzone. Słomiane posłanie, kufer i krzesło, a w głębi piecyk na zaledwie dwa polana. Samotne geranium w oknie przy wejściu stanowiło jedyny barwny akcent. Roślina urosła przekrzywiona w lewo, walcząc dzielnie o jak największą ilość słońca. Clarze przypominała stojącą przed nią kobietę, która też nie chciała pozostawać w cieniu.

– A więc oto Compás, przynajmniej za dnia. Kiedy zapada noc i pojawiają się nabuzowani klienci, robi się tu bardziej hałaśliwie. Wtedy przychodzą też alfonsi i zbiry, których przydziela nam gildia złodziei, i udają, że nas chronią, podczas gdy w rzeczywistości wypijają tylko wino i przysparzają nam więcej siniaków, niż ich nam zaoszczędzają. A kiedy nadchodzi świt, zostawiają nas wykończone i bez pieniędzy, duszko. Ale tak to już jest, i tak było od zawsze.

W tej chwili dziewczynę ogarnęła fala współczucia dla Zadziornej. Jakkolwiek ciężkie wydawało się Clarze jej własne

życie, jak strasznie niesprawiedliwe to, że wychowywała się z piętnem niewolnictwa już od narodzin, tym kobietom było gorzej. A największą niesprawiedliwość stanowiło przyjście na świat bez tego kawałka mięsa między nogami, któremu mężczyźni przychodzili tam ulżyć. Kobiety, choćby nie urodziły się niewolnicami, były podporządkowane władzy swych ojców i nie miały innego godnego wyjścia, jak tylko wydać się za mąż lub zamknąć się w klasztorze. W przeciwnym razie upadek w otchłań miały gwarantowany. Miejsca takie jak Compás nie stanowiły jeszcze bynajmniej dna. Tam te kobiety spadały później, kiedy zmarszczki skazywały je na głód, szaleństwo i śmierć.

– Gotowa na przyjęcie dziewcząt? – zapytała Zdziorna.

Clara z powagą skinęła głową. Chciała w miarę swoich możliwości pomóc tym kobietom, by żyło im się lepiej. Wstała, wygładziła spódnicę sukni i przejechała dłonią po włosach, aby dodać sobie odwagi.

– Wchodź, Dolores, jest już lekodziejka – rzekła Zdziorna, wpuszczając pierwszą z dziewcząt.

Kobiety przez cały poranek stały w kolejce, aby pokazać swoje bolączki lub opowiedzieć o dolegliwościach, a to, co mówiły, dobitnie ukazywało, w jak kiepskich warunkach te nieszczęsnice zarabiają na swoje utrzymanie. Wiele z nich miało obrażenia na całym ciele, podbite oczy lub ruszające się zęby, efekt działania alfonsów – ci nigdy nie byli zadowoleni z tego, co podopieczne przynosiły im w zamian za ochronę. Inne cierpiały na bardziej powszechne choroby, takie jak przeziębienie, niestrawność, bóle głowy czy bezsenność, którym dało się zaradzić. Tak jak i wszom i gnidom, których tak łatwo było się tutaj nabawić, choć

zdecydowana większość dziewcząt goliła sobie łona, aby ich uniknąć. Przepisywała napary z kory wierzby, walerianę, wiciokrzew i wszelkiego rodzaju okłady. Przyniosła ze sobą torbę z najczęściej stosowanymi roślinami. Zdziorna ustaliła, że następnego dnia przyjdzie do apteki Clary po pozostałe środki. Nie wszystkie dziewczęta mogły wychodzić poza teren Compásu, a wiele z nich nie opuszczało go niemal przez cały rok, ponieważ wykonywanie ich zawodu poza tym terenem było zabronione.

Clara obawiała się, że napotka poważniejsze przypadki, jak syfilis, którego straszne objawy widziała raz podczas praktyki u Monardesa. Mając na uwadze rodzaj miejsca, w którym udzielała porad, można się było tego spodziewać, więc poprzedniego dnia poświęciła dobrą chwilę na dokładne przestudiowanie pierwszych objawów tej choroby. Nie, żeby to się zdało na wiele osobie, która by na nią zapadła, ponieważ była ona nieuleczalna, a często śmiertelna, ale chociaż może zdołałaby ograniczyć jej rozprzestrzenianie się. Na szczęście w tym roku nie słyszała o wielu takich przypadkach.

Była jeszcze jedna nieunikniona „przypadłość”, z którą miała się zetknąć.

– Jest jeszcze jedna dziewczyna, która potrzebuje twojej pomocy, ale nie może wstać z łóżka, duszko.

– Więc zaprowadź mnie do niej.

Poszła za Zdziorną do domku chorej stojącego przy drugiej ulicy. Kiedy się zbliżały, zauważyły niewielkie zamieszanie przy drzwiach.

– Co się dzieje?

– Przyszedł medyk – szeptem poinformowała je jedna z kobiet.
– Jest w środku.

Zadziorna westchnęła.

– Musiał przyjść akurat dzisiaj. Ten stary zbereźnik przychodzi co dwa tygodnie i każe nam wszystkim rozkładać nogi. Przysyła go ratusz, aby się upewnić, czy nie mamy pcheł lub gnid. A po zakończeniu pracy zawsze jedną wybiera do łóżka – wyjaśniła Clarze cicho.

Clara utorowała sobie drogę między dziewczętami i zobaczyła, że medyk klęczy u boku dziewczyny. Wcześniej kazał jej nasikać do niewielkiego naczynia. Z zamyślonym wyrazem twarzy przyglądał się kolorowi moczowi pod światło. Następnie pociągnął niewielki łyk, ku obrzydzeniu grupki kobiet stojących przy drzwiach.

– Tak sądziłem – rzekł stary spocony medyk o nieprzyjemnym wyglądzie, z czerwonym nosem naznaczonym grubymi żyłami. – Ta kobieta cierpi na miazmaty. Trzeba jej porządnie upuścić krwi, aby przywrócić równowagę humorów.

Clara spojrzała na dziewczynę na łożu i zdumiała się, widząc, że jest niemal dzieckiem. Nie mogła mieć więcej niż czternaście lat, ale to nie było niczym niezwykłym. Aby rozpocząć pracę w Compásie, wystarczyło skończyć dwanaście lat i nie nosić imienia María. Jeśli tylko znalazł się wolny domek i dziewczyna spełniała te skromne wymagania, pracę miała zagwarantowaną. Tak było w przypadku Zadziornej, a i ta biedna dziewczyna leżąca na łóżku nie stanowiła wyjątku.

Widząc, że medyk zaczyna wyjmować miski i lancety, Clara zaniepokojona przygryzła wargę. Dziewczyna wyglądała bardzo

blado i upuszczenie krwi na pewno nie przyczyni się do poprawy jej stanu. Jednak Clara nie śmiała publicznie zakwestionować diagnozy medyka, bo mogło ją to drogo kosztować. Monardes przestrzegał ją przed tym wyraźnie, jednak uczył ją również, że puszczanie krwi to szkodliwa i nieskuteczna metoda leczenia. Przez chwilę biła się z myślami, nie wiedząc, co począć. Zobaczyła, że lekarz bierze w dłoń szczupłe i blade ramię dziewczynki i zbliża do niego czubek lancetu.

W tym momencie już nie mogła się powstrzymać i porzuciła wszelką ostrożność. Podeszła do łóżka i uklękła obok dziewczyny, przeszkadzając medykowi.

– Ale cóż robicie? – mężczyzna zaprotestował ze złością, wstając.

Clara nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Położyła dłoń na czole dziewczyny. Miała wysuszoną skórę, ale chyba nie gorączkowała. Chora spojrzała na nią bezradnymi, szklistymi oczyma.

– Jak ci na imię?

– Juani – odpowiedziała dziewczynka zmęczonym głosem.

– Powiesz mi, co ci dolega?

– Zaczęło się dzisiaj rano... nie mogłam przestać wymiotować. Zemdlałam przy drzwiach i od tego czasu czuję się coraz gorzej. Mdzi mnie strasznie.

– Chce ci się pić?

– Bardzo, ale nie chciałam nic pić, żeby już więcej nie wymiotować. Nie znoszę tego – powiedziała, przykrywając się prześcieradłem.

Clara zauważyła, że dziewczyna ma bardzo wysuszone usta, tak jak skórę, i zrozumiała, że nieprzyjemne objawy wywołał brak

płynów w organizmie. Ostrożnie odsunęła prześcieradło.

Dziewczyna leżała nago, a jej sutki były twarde i nabrzmiałe. Clara musnęła je opuszkami palców, a pacjentka wydała z siebie jęk protestu. Przykryła ją ponownie.

– Czy to zwykle cię boli?

Dziewczyna pokręciła głową i otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale wtrącił się medyk.

– Czy można wiedzieć, dlaczego się wtrącacie, moja pani? Bądźcie tak mili i odsuńcie się. Ta kobieta potrzebuje mojej opieki.

Clara wstała. Choć nie była bardzo wysoka, przewyższała medyka niemal o dłoń.

– Z całym szacunkiem, doktorze, nie jestem pewna...

– Wy tu jesteście nowi, prawda? – przerwał jej stary z lubieżnym spojrzeniem. Clara oparła się pokusie, by obciągnąć na sobie suknię, ponieważ medyk już rozbierał ją wzrokiem. – Nigdy was nie badałem. Nie przejmujcie się, dziś się wami zajmę. Sądzę, że zostawię sobie was na koniec, aby się upewnić, że absolutnie nie ma czym się martwić.

– Ona nie jest kurwą, doktorze. To lekodziejka, przyszła nas leczyć – rzekła Zdziorna, która w międzyczasie utorowała sobie drogę do wnętrza domku.

Medyk zeszywniał, usłyszawszy to.

– No proszę, a ja sobie was wyobrażałem jako jedną z tych grubych bab sprzedających zioła w La Feria. Nie pomyślałbym, że tak wyglądacie, doprawdy. W każdym razie odsuńcie się na bok, muszę się zająć tą kobietą.

Clara zwalczyła chęć rzucenia się na tego człowieka i wymierzenia mu policzka. Zawładnęły ją niepewność i strach. Ten człowiek zamierzał wyrządzić dziewczynie krzywdę. A ona jest tak słaba, że może ją nawet zabić, i nikomu nie będzie się musiał tłumaczyć z tego przestępstwa. Clara zastanawiała się rozpaczliwie, co powiedzieć, ale zdała sobie sprawę, że brak jej autorytetu. Gdyby tylko nie miała na nadgarstku tej bransolety niewolnicy, gdyby nie była kobietą, może ten głupiec posłuchałby jej przez chwilę. W tym momencie poczuła, że bardzo tanio kupiła wiedzę, którą Monardes zdobywał dekadami, a na dodatek nie mogła jej w żaden sposób zweryfikować.

Zadziorna zrobiła krok naprzód i pociągnęła medyka za rękaw. Ten odwrócił się do niej zirytowany.

– Zaczekajcie chwilę... Nigdy się nie przejmowaliście niczym, co by się nie znajdowało między naszymi kolanami a pępkiem. Skąd nagle takie zainteresowanie tą dziewczyną?

Zapadła pełna napięcia cisza i nagle prostytutka ułożyła kawałki w logiczną całość.

– Ach, teraz rozumiem. Wiedzieliście, że przyszła lekodziejka, nieprawdaż? Powiedzieli wam o tym strażnicy przy wejściu. I nagle chcieliście udowodnić, że wiecie więcej niż ktokolwiek inny, czyż nie? Mówcie, mówcie, jeśli kłamię!

Stary spojrzał na prostytutkę z ukosa, ale nie odsunął się i spojrzał w twarz Clarze.

– Te oskarżenia są śmieszne. A wy odsuńcie się – rzekł, choć jego głos nie brzmiał już tak pewnie jak wcześniej.

– Nie, doktorze. Ta kobieta nie cierpi na miazmaty, co z pewnością byście zauważyli, gdybyście tylko poświęcili jej więcej

uwagi. – Clara była wściekła i choć wiele ryzykowała, nie mogła już się powstrzymać.

– Ach tak? A na jakimż to uniwersytecie posiadliście tę wiedzę?
– zadrwił starzec.

– Nie musiałam iść na uniwersytet, aby poznać teorię humoralną. A i tak wystarczy mieć oczy w głowie, żeby się zorientować, że ta biedna dziewczyna jest brzemienna.

Medyk drgnął, jak gdyby właśnie został spoliczkowany, i przestraszył się, zobaczywszy spojrzenia pozostałych kobiet. Wymamrotał jakąś wymówkę, pośpiesznie pozbierał swoje rzeczy do torby i poszedł sobie. Clara odwróciła się, aby zająć się dziewczyną, która – usłyszawszy diagnozę – rozplakała się.

– Przynieście czystą wodę – poprosiła Clara.

Podano jej naczynie, a ona pomogła dziewczynie się podnieść, z troską podtrzymując jej szyję. Ta początkowo zaciskała wargi, ale w końcu przestała się bać wymiotów i zaczęła chciwie pić. „Biedna dziewczyna jest kompletnie odwodniona” – pomyślała Clara. Nic dziwnego, że tak źle się czuła. Pogładziła czule jej głowę. Dziewczyna zareagowała spojrzeniem przepelnionym zdziwieniem i wdzięcznością. Widać czule gesty nie zdarzały się często w miejscach takich jak to.

– Nie martw się tym, co masz w środku, duszko. To się czasem zdarza. Ale tutaj wszystkie dbamy o siebie nawzajem, prawda, dziewczęta?

Chór głosów wsparcia popłynął od drzwi, a dziewczyna w końcu zaczęła się uspokajać. Po chwili zasnęła, a Zdziorna poprosiła Clare, by poszła za nią do jej domku, aby odebrać zapłatę za swoje usługi.

– Muszę być tutaj, kiedy urzędnicy zaczną wychodzić z ratusza. Przychodzą prosto na Compás, tak jak byk biegnie na płachtę. Chciałabym cię odprowadzić do apteki, duszko, ale jest już bardzo późno.

Clara już miała odpowiedzieć, że nie jest to konieczne, że przecież nic jej się nie stanie po drodze, kiedy widok pewnej postaci wychodzącej zza rogu napełnił ją przerażeniem. W ich kierunku zmierzał Groot, z połami koszuli na spodniach i kaftanem na ramieniu. Szedł, patrząc w ziemię, więc nie zauważył Clary.

– Ukryj mnie, Lucío, proszę cię! – wyszeptała do Zadziornej, próbując schować się za jej ciałem.

– Co takiego? Co robisz? – zdziwiła się kobieta, zanim zauważyła osobę, przed którą Clara chciała się schować. Na jej niemal zawsze uśmiechniętej twarzy pojawiły się grube zmarszczki. Niewiele myśląc, otworzyła najbliższe drzwi i pociągnęła za sobą Clare do środka. Pech chciał, że dom był zajęty. Dziewczyna, która leżała na łóżku, wydała z siebie okrzyk, bardziej zdziwienia niż strachu, a jej towarzysz, leżący na niej, spojrzał zaskoczony na kobiety.

– Kontynuujcie, kontynuujcie, drodzy państwo, ta dziewczyna jest nowa i prowadzę jej przeszkolenie – rzekła Zadziorna, gestem wskazując, by kontynuowali.

Zachęcony tymi słowami i wierząc, że daje dobry przykład nowicjusze, klient z zapalem kontynuował pchnięcia. Clara odwróciła wzrok zakłopotana i wstrzymała oddech, aż do chwili gdy Zadziorna wychyliła głowę za drzwi i stwierdziła, że droga

jest wolna. Jej domek był następny. Wewnątrz wsunęła Clarze w dłoń zapłatę za ten dzień.

– Sześć srebrnych reali. Gdybyś każdą z nas przyjmowała osobno, zarobiłabyś więcej, ale nie wszystkie mogą tyle samo zapłacić.

– To więcej niż się spodziewałam. Bardzo dziękuję – odrzekła Clara nieobecny głosem. Wciąż myślała o spotkaniu, którego uniknęła o włos. Czy Groot przyszedł tam, aby grozić jej nowym klientkom, tak jak sterroryzował wszystkich mieszkańców jej dzielnicy? Nie, odpowiedziała sobie natychmiast, chyba zwariowałaś. Sądząc z tego, jak wyglądał, było jasne, że ogromny Flamand przyszedł tu w poszukiwaniu czegoś zupełnie innego.

– Co ty masz wspólnego z tą bestią? – zapytała Zdziorna, czytając w jej myślach.

– Pracuje dla mojego pana, i tak się składa, że nie jesteśmy przyjaciółmi – odrzekła Clara i opowiedziała jej całą swoją historię od początku.

– Nie można mu ufać, to ci mogę zagwarantować. Nie idzie z każdą dziewczyną, tylko z tymi, które pozwalają mu na prawdziwe barbarzyństwo. Wiele z sińców, które dziś widziałas, to jego sprawka.

– A ciebie kiedyś...?

– Ja nigdy się na to nie zgadzałam, nie potrzeba mi tego. Nie chodzi tylko o ciosy, ale też o jego męczące gadanie. To jeden z tych, którzy – kiedy już zrobią swoje – zaczynają gadać. Chwalą się tym i tamtym, jak gdyby chcieli przechwałkami przykryć to, że krótko trwała cała zabawa. Teraz łązi i opowiada, że jest panem

sewilskiej pszenicy, że ma zmagazynowane całe tony, i gdyby tylko chciał... Słowem, bełkocze bez sensu.

Clara przytaknęła, nie zastanawiając się nad tym zbyt długo. Odgłosy dochodzące z przyległego domku nie cichły, a nawet stały się głośniejsze, do tego stopnia, że aż trudno było rozmawiać. Nagle Clara zdała sobie sprawę, że Zdziorna od jakiegoś czasu pyta ją o coś.

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Jesteś dziewczicą, prawda, duszko?

Clara skinęła głową. Zauważyła, że oddech jej przyspieszył i że się zarumieniła, i to nie tylko ze wstydu. W jakiś sposób rozwiązała atmosfera tego miejsca wdarła jej się pod skórę, a ona zupełnie tego nie rozumiała. Czuła się zdradzona przez własne ciało, które powinno czuć obrzydzenie, a reagowało w zupełnie odmienny sposób.

– Ależ, kobieto, tak nie może być. Musiałaś chyba kiedyś... szarpnąć za struny.

Dziewczyna z początku nie zrozumiała, aż Zdziorna gestami pokazała jasno, o co jej chodziło. Clara ponownie zaprzeczyła.

– Duszko moja, trzeba to naprawić, jesteś już dużą dziewczynką. Ile masz lat?

Wstała i uklękła naprzeciw Clary, która wciąż siedziała na krześle.

– Wkrótce skończę dziewiętnaście – rzekła tak schrypniętym głosem, że sama ledwie go rozpoznała.

– W takim razie zobacz, co tracisz, duszko – rzekła Zdziorna, zniżając głos do szeptu i chwytając dłoń Clary. – Ja codziennie muszę do tego się uciekać, bo od tych wszystkich szabli mam

bardzo szeroką pochwę. A jeszcze przy tych chojrakach, co tu przychodzą i myślą, że są Herkulesami, a w rzeczywistości są szybsi niż zajac i mięksi od przegotowanej botwiny...

Gdy to mówiła, skierowała dłoń Clary pod suknię. Dziewczyna początkowo się opierała, ale zaraz się poddała i w końcu rozsunęła uda. Wprawne palce prostytutki pokazały jej palcom, jak delikatnie rozsunąć fałdy ciała, wykorzystać wilgoć z wnętrza i przenieść we właściwe miejsce. Kilka minut później Clara wydała z siebie zduszony jęk, podczas gdy fala przyjemności przelewała się przez jej ciało, od czubków palców po linię włosów, wywołując dreszcze na karku.

– Ja... nie wiedziałam, że to tak – wyjęczała.

Zadziorna roześmiała się i klepnęła ją czule w plecy.

– Teraz rozumiesz, dlaczego wszyscy szaleją na tym punkcie, prawda? No dobrze, chociaż wiesz, czego oczekiwać, kiedy będziesz z mężczyzną. A teraz zmykaj, muszę zarobić na chleb.

LVII

Cała ta sprawa od samego początku śmierdziała.

Sancho wiedział, że wielkim błędem było pobicie porywaczy dzieci. Poza incydem z Szufladą wszystkie dotychczasowe spotkania z gildią złodziei przebiegały bez większej przemocy. Jednak pobicie tych pijawek żyjących z bólu rodziców było czynem impulsywnym i nieuniknionym. Szczególnie poturbowany został jeden z porywaczy, którego Zachariasz oskarżył o wykorzystywanie dziewczynek w oczekiwaniu na wykup. Sancho połamał mu palce u dłoni, jeden po drugim, bez litości, z trudem powstrzymując się przed przebicciem mu płuc.

Była to głupota, ponieważ to postępowanie otworzyło Monipodiowi drogę do jego umysłu, wskazało, że jest coś, co go boli i powoduje, że traci kontrolę nad sobą. Podpowiedziało to też idealny pomysł na zasadzkę. Taką, którą powinien był wyczuć z odległości wielu mil. Poprzedniego dnia wśród szulerów i złodziei nie rozmawiano o niczym innym, jak tylko o porwaniu córki francuskiego kupca. Wydawało się, że o miejscu, w którym jest przetrzymywana dziewczynka, wiedzą wszyscy.

Sancho i pozostali złapali się na tę przynętę jak prawdziwi idioci. Wdarłszy się do domu, nie znaleźli dziewczynki, tylko pół tuzina uzbrojonych po zęby ludzi Monipodia. Niestety, Sancho nie powiązał ze sobą wszystkich szczegółów aż do chwili, gdy już sześciu wrogów leżało u jego stóp, a bliźniacy ciężko dyszeli oparci o ścianę. Ich uśmiechy były widoczne nawet w półmroku.

– To była zasadzka, Sancho – rzekł Marcos, plując na bok.

Josué wykonał gest, a Sancho skinął głową, w lot pojmując, o co chodzi przyjacielowi. Gigant był niespokojny. Choć nigdy nie brał udziału w walce, jego obecność była kluczowa na etapie otwierania drzwi i pilnowania więźniów. Jego groźny wygląd tak samo skutecznie skłaniał wielu do rzucenia broni, jak umiejętności Sancha w posługiwaniu się rapierem.

– Wciąż jest. Ci byli zbyt słabi. Jeżeli rzeczywiście się nas spodziewali, na pewno przygotowali dla nas coś jeszcze – rzekł chłopak, idąc w stronę wyjścia, aby rzucić okiem na ulicę. Wydawało mu się, że na zewnątrz nie ma nikogo, ale nie mógł być tego pewien, a nie odważył się wychylić głowy. Zbyt duże ryzyko. – Wyjdźmy tyłem – zaproponował, kierując się w stronę tylnych drzwi prowadzących na wąską uliczkę. Dochodziła ona do głównych ulic dzielnicy La Feria, gdzie już łatwo będzie uniknąć pościgu. Gdyby był sam, uciekłby po dachach, jednak ani Josué, ani bliźniacy nie potrafiliby skorzystać z tej drogi ucieczki.

Niestety drugą część pułapki zastawiono, tak jak się obawiał Sancho, w uliczce. U wyjścia zaczaili się na nich czterej mężczyźni, a kolejni dwaj w ciemnościach po drugiej stronie. Jednak tym razem to Sancho wybrał teren do walki. Choć

napastnicy byli liczniejsi, wąska uliczka uniemożliwiała im otoczenie Sancha i pozostałych.

– Po dwóch na jednego – rzekł Mateo z niechęcią. W jego głosie nie było ani śladu strachu. W odróżnieniu od Sancha, któremu przed walką zawsze miękły nogi, bliźniacy żyli tylko po to.

Zbliżało się do nich sześciu mężczyzn z rapierami w dłoniach. Uliczkę, wzdłuż której biegły wilgotne mury, oświetlał tylko blask księżyca – więcej było cieni niż jaśniejszych plam. Bliźniakom to odpowiadało.

– Wy zajmijcie się tymi z tyłu i kryjcie Josuégo.

– A czterech dla ciebie samego? Oszalałeś? – zaprotestował Marcos, próbując zamienić się miejscem z Sanchem.

„Na to wygląda” – pomyślał Sancho, przypominając sobie, co powiedział Dreyer na temat tego, w jaki sposób szermierz staje się legendą: popełniając głupstwa takie jak to.

„Lepiej, żeby nikt cię nie zapamiętał”.

– Róbcie, co mówię! – mruknął, popychając bliźniaków na drugą stronę. Josué został na środku jako świadek szykującej się rzezi.

Pierwszy z przeciwników wszedł w zasięg rapiera Sancha ze sztychem opuszczonym tak nisko, że Sancho mógł go przebić bez żadnych ceregieli, rzucając się naprzód. Wtedy jednak byłby zdany na łaskę i niełaskę kolejnego. Tę walkę trzeba było stoczyć z zimną krwią, jak partię szachów na śmierć i życie, w której to on miał być zwycięskim pionkiem.

Zbir zrobił krok naprzód i trącił końcówkę rapiera Sancha swoją klingą. Chłopak celowo rozluźnił uchwyt dłoni, pozostawiając nieco przestrzeni w górnej zasłonie. Napastnik odebrał tę sztuczkę jako brak doświadczenia. Rzucił się naprzód,

by odkryć, że Sancho nie stoi już tam, gdzie się go spodziewał. Chłopak, przyklejony do ściany, zrobił dwa kroki do przodu i wbił sztylet w żebra pewnego siebie bandyty. Jednocześnie drugą ręką przypuścił atak na gardło kolejnego przeciwnika, który nie spodziewał się, że jego walka rozpocznie się tak szybko, i był na to zupełnie nieprzygotowany. Pchnięcie minęło jego szyję o milimetry, ponieważ się schylił, jednak ostrze rapiera przejechało po jego policzku, okrutnie rozdzierając mu twarz i ucinając połowę jednego ucha. Zbir upadł na ziemię, wrzeszcząc z bólu. Sancho kopnął go w twarz, pozbawiając przytomności.

„Zdaje się, że to ja miałem rację, mistrzu Dreyer. Krawędź się liczy” – pomyślał Sancho zdziwiony, że tak spójna myśl mogła mu przyjść do głowy w ferworze walki. Kiedy analizował swoją sytuację, wydawało mu się, że czas zwolnił. Dwóch załatwionych, zostaje jeszcze dwóch.

Sancho odetchnął głęboko, starając się nie myśleć o sztylcie pozostawionym w piersi dogorywającego zbira o kilka dłoni od jego prawej nogi. W tym przypadku odległość nie miała znaczenia, sztylet mógł być nawet w samych Indiach. Gdyby tylko wykonał najmniejszy ruch, aby go podnieść, byłby martwy.

– Bierz go, Luneta. Dalej!

Ten głos i to imię wywołały dreszcz na plecach Sancha. Poczuł, jak mieszanka strachu i wściekłości podnosi mu włosy na karku, i mocno zacisnął zęby, aby nie krzyknąć. Przed sobą miał dwie osoby, których nienawidził najbardziej na świecie, może nawet bardziej niż samego Monipodia. Luneta i Żelazna Ręka, ochroniarze i zabójcy na usługach Króla Złodziei. Najniebezpieczniejsze sukinsyny w całej Sewilli, ci, którzy

kopniakami wykończyli Bartola, podczas gdy Sancho bezsilnie słuchał tego zza muru.

Luneta już przechodził ponad ciałem rannego i Sancho się przygotował. Ten bandyta zabił więcej ludzi, niż miał zębów w gębie i słynął jako podstępny i okrutny. Wykorzystywał swojego zeza, aby oszukać przeciwnika co do swoich intencji. W ciemności nie zda mu się to na wiele, ale na pewno zna jeszcze tysiąc jeden innych sztuczek wyniesionych z tyłu walk.

Sancho poczuł jego energię, kiedy ich rapiery się zetknęły. Klinga Lunety wibrowała nerwowo, jak gdyby jej właściciel z każdym oddechem chciał wykonać tuzin różnych sfingowanych ruchów i zatrzymywał je w ostatniej chwili. Najlepszym sposobem stawienia czoła komuś takiemu było utrzymywać pozycję i czekać. Sancho odciął się od walki, która toczyła się za jego plecami, gdzie ciężkie oddechy i odgłosy stali przecinającej powietrze osiągnęły punkt kulminacyjny. Zapomniał o wszystkim, co go otaczało, i skoncentrował całą swą uwagę na ciężarze swojego ciała, zbierając energię w mięśniach ud na moment, kiedy Luneta zdecyduje się zaatakować, i wyobrażając sobie ruch, który wykona jego ciało. Zezowaty zamarkował krótkie pchnięcie, i jeszcze jedno, na które chłopak ledwie odpowiedział lekkim pochyleniem swojej zasłony, zamykając drogę dostępu. I wtedy Luneta popełnił błąd niecierpliwych i głupców.

„Dwa w trzecią, jeden w piątą i znów w trzecią. To pierwsza sekwencja, której uczą się wszystkie zbiry niskich lotów w obskurnych akademiach lub od instruktorów w wojsku, i zawsze do niej wracają” – powtarzał Dreyer.

Słowa kowala właśnie się zmaterializowały. Dwa pchnięcia jedno za drugim na prawo, na średniej wysokości. Króciutki krok w tył. Pchnięcie w stronę nerek, po czym kolejne, znów na średniej wysokości, mające przebić płuca Sancha i posłać go na ziemię plującego krwią. Śmiertelna sekwencja, która tyle razy się sprawdziła, że Luneta bezgranicznie jej zawierzył, odsłaniając się z prawej strony. Nie wiedział, że Sancho wyprzedzi jego ruchy, zdając się na nauki Dreyera i własny instynkt.

Chłopak dwa razy zatrzymał pchnięcia w trzecią, z łatwością odbił cios Lunety w piątą, po czym uklęknął. Zająwszy miejsce, które właśnie opuścił rapier Lunety, swoją broń wysunął do przodu, znajdując wolną drogę do piersi zbira. Dał się słyszeć nieprzyjemny chrzęst, gdy Luneta siłą rozpędu nabił się na sztych rywala. Zbroja wykonana z kawałków skóry pokrytych cienką warstwą stali, którą nosił pod koszulą, i która tyle razy uratowała mu życie, na nic się zdała wobec działania dwóch sił – jego własnej i Sancha. Jego ciało runęło z takim impetem, że rapier Sancha zagłębił się w nie aż po rękojeść. Twarz Lunety wyrażała nieskończone zdziwienie, zapewne takie samo, jakie pojawi się na twarzach strażników, którzy znajdą jego ciało następnego dnia rano.

Ale Sancho tego nie zauważył, ponieważ zbir był dla niego zbyt ciężki i jego bezwładne ciało niemal go pchnęło na ziemię. Rapier Dreyera utknął w piersi Lunety, więc chłopak musiał jednym ruchem wyrwać rapier z jego dłoni. Żelazna Ręka już się zbliżał, tak samo zdumiony jak jego towarzysz niekorzystnym wynikiem walki. Może gdyby to on jako trzeci zaatakował Sancha, a nie zezowaty, potyczka byłaby już skończona. Gdyby to Żelazna Ręka

leżał teraz na ziemi, Luneta już biegłby z powrotem w stronę Triany z podkulonym ogonem. Ale było na odwrót, a Żelazna Ręka nie grzeszył błyskotliwością. Ogarnięty furją wywołaną śmiercią Lunety, atakował raz po raz, bez przerwy, trzymając rapier w dwóch rękach i waląc nim bez ładu i składu, bez żadnej strategii, zataczając taki łuk, że sztych krzeszał iskry, uderzając o kamienne mury.

Zaskoczony lawiną pchnięć, jaka na niego spadła, i spowolniony ciężkim i bardziej topornym rapierem Lunety, Sancho mógł tylko bronić się przed atakami Żelaznej Ręki. Ten ostatni też miał na swym koncie wiele walk wygranych dzięki brutalnej sile i strachowi, który wzbudzał w przeciwnikach. Sancho ledwie uniknął pchnięcia w czwartą, które zmierzało prosto w jego serce, a niemal rozdarło mu lewe ramię. Wydał z siebie jęk bólu, który tylko dodał siły atakom Żelaznej Ręki. W tym momencie Sancho zdekoncentrował się i robiąc krok w tył, potknął się o leżące na ziemi ciało pierwszego bandyty i upadł. Leżał tak brzuchem do góry jak żółw i przez chwilę pomyślał, że to już koniec. Ciemności nieco ustąpiły i chłopak wyraźnie widział triumfalny wyraz twarzy Żelaznej Ręki, który już podnosił rapier, gotowy zadać mu ostateczny cios. Uniósł swoją broń, wiedząc, że nie będzie miał czasu, by dosięgnąć brzucha zbira, nim ten rozpocznie atak, jednak był gotów umrzeć w walce. I wtedy, zanim uliczka na powrót zanurzyła się w ciemności, a czas odzyskał swoje zwykłe tempo, Sancho zobaczył, że rapier Żelaznej Ręki nie kończy pchnięcia, a jego ramię zatrzymuje ogromna czarna dłoń. I zobaczył swoją broń przebijającą brzuch zbira. Żelazna Ręka

upuścił rapier i zrobił kilka kroków w tył, tylko po to, by paść u wejścia do uliczki, nieprzytomny lub martwy.

Z pomocą Josuégo Sancho podniósł się na nogi. W tej chwili zamieniłby bilet do Indii, o którym marzył przez całe swoje życie, na odrobinę światła, aby móc porozumieć się z przyjacielem tak, by nikt inny ich nie słyszał. Aby podziękować mu jak należy za to, że przyłączył się do walki i uratował mu życie. Ale może i tak było lepiej, bo Josué zawsze przysięgał, że gdy nadejdzie czas, własnym ciałem zasłoni Sancha, aby nie stała mu się krzywda, i to właśnie nastąpiło. Ograniczył się więc do serdecznego uściśnięcia ramienia Josuégo, a czarny odwzajemnił jego gest.

Bliźniacy poradzili już sobie z dwoma mężczyznami, z którymi przyszło im walczyć, więc gdy tylko Sancho odszukał w ciemności swoją broń, odeszli jak najdalej od miejsca walki, obawiając się nowej zasadzki. Zatrzymali się kwadrans później przy wejściu na plac Księcia Mediny. Sancho oparł się o mur, czując zawroty głowy. Dopiero wtedy zauważył, że jego lewa ręka jest pokryta krwią wypływającą z rany na ramieniu.

Odrzucił głowę w tył, patrząc w bezchmurne niebo, świadomy każdego swojego oddechu, ciepła nocy, wyblakłych plam na tynku ściany, którą miał przed sobą. Właśnie spełnił jedno ze swoich marzeń, które trzymały go przy życiu pod razami bata nadzorca na galerach. Starł z powierzchni ziemi te dwie kanalie, jednak w jego sercu nie było ani cienia radości, ani krztyny pocieszenia. Tylko złowieszcza i przygnębiająca pustka, która przypominała mu o marności istnienia, o tym, że świat będzie trwał długo po tym, jak on znajdzie się już martwy w ziemi. O tym, że żaby w pobliskiej fontannie rechotałyby tak samo, gdyby to on leżał

tam wykrwawiony w uliczce. To odkrycie chwyciło go za serce jak lodowata ręka. Na chwilę zamyślił się, zadając sobie pytanie, czy naprawdę istnieje jakieś inne życie, a jeżeli tak, to czy matka i Bartolo czekają na niego po drugiej stronie. Poczuł ciężar samotności jak ogromny kamień.

– Idźcie do Czerwonego Koguta. Ja pójdę zająć się tą raną – rzekł, wskazując na swoje ramię, nie chcąc spojrzeć im w twarz w obawie, że zdadzą sobie sprawę z jego odczuć.

Josué zaprotestował, mówiąc, że on może opatrzyć tak niewielką ranę, ale Sancho już zniknął w głębi ulicy.

Wszedł do apteki od strony ogrodu, skacząc przez mur. Uważał, by podczas upadku nie zgnieść żadnej rośliny. Sądził, że będzie musiał wyłamać tylne drzwi, ale nie było to konieczne. Kiedy wchodził po schodach prowadzących na tylny ganek, zatrzymał go jakiś głos.

– Sancho de Écija, włamywanie się do mojego domu stało się już waszym zwyczajem.

Dziewczyna siedziała na jednej z ławek w ogrodzie, przyglądając mu się. Sancho zdziwił się, znajdując ją na zewnątrz o tej porze, jak gdyby czekała na niego. Wzdrygnął się, przypominając sobie znowu, że gdyby Josué nie zainterweniował w ostatniej chwili, już by jej nie zobaczył.

– Potrzebuję waszych usług – rzekł, z trudem unosząc ranne ramię.

W świetle księżyca krew pokrywająca rękę wydawała się czarna, ale Clara od razu się zorientowała, co to, i wprowadziła go do środka.

– Zdejmijcie kaftan i koszulę – rozkazała mu surowym głosem.

Sancho posłuchał i położył ubranie na kamiennej podłodze, aby nie zniszczyć tkaniny pokrywającej ladę. Dziewczyna kazała mu usiąść na ławce, po czym przygotowała narzędzia do oczyszczania ran oraz butelkę octu i słoik z oleistą mazią, której Sancho nie potrafił rozpoznać. Kiedy Clara przyłożyła do rany płótno pokryte octem, uniósł brew. Nie podskoczył tak jak ktoś, kto nagle doświadczył pieczenia. Jego ciało widocznie się zrelaksowało. Ból sprawił, że ponownie poczuł się żywą istotą.

– Jak to się stało? – spytała, biorąc w dłoń igłę i nić, aby zszyć ranę.

Rana była długa na ponad dłoń, sięgała od łokcia aż po ramię.

– Dziś w nocy zabiłem ludzi, którzy zamordowali mojego przyjaciela – odrzekł Sancho pustym głosem.

Nie zareagował, kiedy igła weszła w skórę.

– I co? Wasza żądza zemsty została zaspokojona? – zapytała Clara.

Ton jej głosu był wolny od oceny czy dezaprobaty, a przynajmniej tak się Sanchowi zdawało.

Może było w nim coś jeszcze, ale nie potrafił określić, co to takiego.

– To byli tylko dwaj płatni zabójcy. Nawet nie mogłem im powiedzieć, kim jestem, ani wymieniść w czyim imieniu... zrobiłem to, co zrobiłem. Nawet nie mogłem rzucić im w twarz ich zbrodni, by wiedzieli, za co umierają.

– Każda śmierć jest niepotrzebna – odrzekła Clara, ale w jej głosie wciąż nie było wyrzutu.

Sancho nie odpowiedział, a Clara w zupełnej ciszy skończyła zszyć ranę. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła jego oczy.

Nieruchome, błyszczące, tak realne jak to tylko możliwe. Był w nich strach i pragnienie, ale też nadzieja. Clara nadstawiła spragnione usta, a Sancho pocałował ją z rozpaczliwą namiętnością. Odsunęła go delikatnie i rozwiązała pasek swojej sukni. Wygięła ramiona w tył, a suknia opadła na ziemię.

Chłopak przyglądał się nagiej Clarze, czując, jak jego serce galopuje, daleko za sobą pozostawiając lód, który je więził. Jego wzrok przesunął się po szczupłych nogach, w stronę trójkąta jej płci, aż po krągłość piersi. Przez chwilę chciał jej powiedzieć, że obraz jej nagiego ciała, który skradł, przyglądając jej się przez płot, podczas gdy ona myślała się przy studni, towarzyszył mu na galerach. Że kurczowo trzymał się tego ulotnego piękna, aby pozostać przy zmysłach, z niemal taką samą determinacją, z jaką podtrzymywał żądzę zemsty. Ale zaraz zrozumiał, że słowa są już niepotrzebne.

Przyciągnął Clarę do siebie, tuląc ją, pieszcząc czule nienaruszoną, idealną skórę na jej lewym ramieniu, w tym samym miejscu, które ona właśnie jemu zszyła. A potem ich usta ponownie się spotkały, a namiętność przykryła wszystko inne.

LVIII

– To szaleństwo nie jest warte całego złota tego świata – rzekł Mateo, okazując strach po raz pierwszy, odkąd Sancho go znał.

– Cisza – mruknął idący na czele Zachariasz. – Tutaj ściany mają oczy i uszy.

– Nie możemy okazać słabości. Wejdźcie pewnym krokiem, nie patrzcie nikomu w oczy i nie wykonujcie gwałtownych ruchów. Dziś wszyscy dostaniemy to, czego chcieliśmy – rzekł Sancho, po raz enty powtarzając instrukcje ślepeca.

Bliźniacy zachowali pełne napięcia milczenie i szli dalej żwawo za Zachariaszem. Kilka minut temu przekroczyli most Barcas i ślepiec poprowadził ich labiryntem uliczek Triany w stronę miejsca, które niewielu w Sewilli zdecydowałoby się odwiedzić z własnej woli. Napięcie było wyczuwalne, ale Sancho mimo wszystko wierzył, że podjął najlepszą z możliwych decyzji.

Minęło już kilka tygodni od walki z Lunetą i Żelazną Ręką. Jesień ciągnęła w dół rzeki szare chmury i wietrzne, gradowe dni zapowiadające wczesną zimę. Bezlitosne ataki Czarnych Duchów na gildię złodziei trwały, jednak pracy było z każdym dniem coraz mniej. Po śmierci dwóch najniebezpieczniejszych zabójców

w mieście przez sewilski półświatek przetoczyła się fala strachu. Echa tego zdarzenia przebiły się nawet do uczciwych mieszkańców – świętowali je z chorobliwą fascynacją. Skutek tego był taki, że wszelkie nielegalne interesy uległy paraliżowi. Wobec braku dostaw skradzionych przedmiotów Malbaratillo się zwinął, zostały po nim tylko pojedyncze bezduszne i na wpół puste stoliki. Długów honorowych nie przekazywano do ściągania, nie przybijano też rogów na drzwiach domów kochanków, nie było więcej zabójstw na zlecenie. W noc Wszystkich Świętych 1590 roku, po raz pierwszy od ponad wieku, strażnicy nie znaleźli na ulicach Sewilli ani jednego trupa.

Istnienie Czarnych Duchów zupełnie zastopowało interes, jednak znaleźli się tacy, którzy byli gotowi na wszystko, by go wznowić, nawet z pominięciem Monipodia.

A kiedy pojawiły się takie plotki, bardzo szybko dotarły one do uszu Zachariasza.

– Idź i porozmawiaj z nimi – rozkazał mu Sancho.

I tak oto, kilka dni później, cała piątka znalazła się w tym miejscu. Bliźniacy ubrani w czarne stroje, takie jak Sancha, zamówione u Fanzóna specjalnie na tę noc. Nawet Josué, pomimo obiekcji, zgodził się wziąć broń, kiedy Sancho obiecał mu, że nie będzie musiał robić z niej użytku. Kupili u jakiegoś handlarza używanymi rzeczami dwa ogromne topory bojowe, zardzewiałe i niemal bezużyteczne. Ale po solidnym oczyszczeniu, zatknięte za pas Josuégo, nadawały mu przerażający wygląd.

Zachariasz zatrzymał się w wąskiej uliczce, identycznej jak poprzednie. Sancho zbyt późno zdał sobie sprawę, że gdyby coś przydarzyło się ślepcowi, a oni musieliby salwować się ucieczką,

nie potrafiłyby odnaleźć drogi powrotnej. Potrząsnął głową, starając się o tym nie myśleć. I tak miał zbyt wiele powodów do zmartwień.

– To tutaj – rzekł ślepiec, dotykając portalu swoim kijem. Drzwi otworzyły się, jak gdyby ich oczekiwano. Po drugiej stronie zobaczyli mężczyznę w średnim wieku z kozią bródką.

– Właśnie zszedł – wyszeptał.

Przechodząc obok mężczyzny, Sancho zauważył jego świdrujące spojrzenie, i zastanowił się, czy już się kiedyś spotkali. Próbował się skoncentrować. Wszyscy, którzy znajdowali się w tym domu, nienawidzili go, a rozmyślanie o każdej z tych osób z osobna w niczym mu nie pomoże. Jeżeli chce za godzinę wciąż być wśród żywych, musi traktować członków dworu jak jedną istotę.

Poszli za Zachariaszem i Kozią Bródką w głąb domu. Wąski korytarz prowadził do swego rodzaju przedpokoju, gdzie zatrzymał ich inny człowiek, o bardziej dzikim i groźnym wyglądzie niż ten, który otworzył im drzwi. Kozia Bródka na chwilę odszedł z nim na bok – omawiali coś po cichu, kilka razy spoglądając w stronę gości. W końcu wrócili do nich.

– Wejdziecie teraz. Miej się na baczności, ślepcze. Jeżeli odkryję, że to wszystko to sztuczka... – rzekł Kozia Bródka.

– Chcemy jak najlepiej dla wszystkich, przyjacielu – odparł Zachariasz, starając się sprawiać wrażenie spokojnego.

Drzwi dworu otworzyły się i Duchy weszły do ogromnej sali. Rozmowy zamarły i setka twarzy zwróciła się w ich stronę.

Na wielu z nich malowało się zaskoczenie, na innych wyczekiwanie.

– Co tam się dzieje? – rozległ się szorstki głos.

Pomiędzy członkami gildii utworzyło się przejście prowadzące prosto do tego samego silnego mężczyzny o owłosionej klatce piersiowej i gęstej brodzie, którego Sancho zapamiętał ze spotkania z Bartolem. Nie miał na głowie kapelusza, ale u pasa zwisał jego szeroki mauretański miecz. Król dostrzegł Zachariasza i przez jego twarz przemknął cień podejrzenia. Następnie przeniósł wzrok na jego towarzyszy zmierzających wprost ku niemu. I nagle zrozumiał, kim oni są. Okrutny grymas zarysował się na jego twarzy.

Sancho zatrzymał się kilka kroków od jego tronu. Wokół niego utworzyło się koło.

– Mistrzu Monipodio.

– Proszę, proszę, a więc Czarne Duchy w końcu zdecydowały się ujawnić... – zadrwił bandyta. – I to w najmniej spodziewanym miejscu. Zastanawiam się, któż was tu wpuścił. Oczywiście widząc, z kim przychodzicie, nietrudno się domyślić.

Dały się słyszeć okrzyki zdziwienia i szczęk broni wyjmowanej z pochew. Sancho poczuł, jak osacza go nienawiść płynąca od zebranych w sali. To był decydujący moment.

– Nie wiecie aż tyle, ile wam się wydaje.

Monipodio podszedł do niego, patrząc mu prosto w oczy. Sancho zadał sobie pytanie, czy bandyta go rozpozna, ale ten nie pokazał, że tak jest.

– Może i nie, ale jak już z wami skończymy, to sami będziecie chcieli mieć nam więcej do powiedzenia, abyśmy tylko zostawili was w spokoju.

Podniósł jedną rękę, aby dać znak do ich pojmania. Sancho odwrócił się w stronę tłumu. Rozległ się jego metaliczny, łagodny

głos, tak odmienny od głosu Monipodia.

– Przyszliśmy do was w dobrej wierze, aby złożyć prośbę do gildii złodziei. Spełnijcie ją, a wasze życie wróci do normalności.

– A jeśli nie? – zapytał drwiąco Monipodio.

– Sądzicie, że bylibyśmy aż tak głupi, aby się tu pojawić w komplecie? Albo że w pięciu, wliczając jednego ślepcę, moglibyśmy sparaliżować wszechmocną gildię? Duchów jest o wiele więcej, niż widzicie. Niech tylko włos spadnie z głowy mnie lub jednemu z moich ludzi, a wy i wasze rodziny poniesiecie za to odpowiedzialność. Nie będziemy mieli skrupułów. Będziemy na was polować i wyłapiemy was jednego po drugim jak robactwo w ciemności.

– To blef – rzekł Monipodio. – Łapać ich.

Ale ochroniarze zbira nie poruszyli się. Zamiast tego Kozia Bródka zrobił krok naprzód i zadał pytanie uzgodnione z Zachariaszem.

– Jaką to prośbę przynosicie?

– Czarne Duchy działają w imię pamięci tych wszystkich, których życie zniszczył ten człowiek – podniósł rękę w górę i zatrzymał ją, wskazując na Monipodia. – Tych, których wrzucił do rzeki za długi. Tych, których sprzedał za kilka maravedí. Tych, którym wypruł flaki, ponieważ sądził, że oszukują go na daninie – przerwał na chwilę i opuścił ramię. – Za to wszystko prosimy o głowę Monipodia. Następnie Duchy znikną.

Bandyta prychnął zdumiony.

– Ty mały bękarcie, zakradasz się do serca mojego dworu i prosisz o moją głowę? Przed moimi braćmi, których żywię i ochraniam? Chyba straciłeś rozum.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że woli sprawiedliwość króla od ochrony Monipodia. Może powinniście się zastanowić, czy tylko on tak sądził?

– Ha! I co wy na to? Czy ma rację? Czy może tutaj wejść jakiś młokos i...?

Król Złodziei rozglądał się wokół, a jego głos zamierał, w miarę jak jego spojrzenie krzyżowało się ze wzrokiem jego poddanych. Wielu odwróciło oczy, ale inni patrzyli na niego oskarżycielsko. Nie było na tej sali nikogo, kogo łączyłyby z nim inne więzy jak tylko strach czy wymuszona uległość. Monipodio patrzył po kolei na wszystkich i widział, jak z ust do ust przechodzą tajemnice i hasła. I nikt z obecnych nie odpowiedział na zadane przez niego pytania.

Widząc, że został zupełnie sam, Monipodio podjął próbę ratowania swej dumy. Zacisnął usta w pełnym napięcia uśmiechu i kilkakrotnie potrząsnął głową.

– Ach, Zachariaszu, zdaje się, że byłem jeszcze bardziej ślepy niż ty.

– Zbieracie tylko owoce tego, co sami zasialiście, mój panie – odrzekł ślepiec, wzruszając ramionami.

– Do diabła z wami wszystkimi, sukinsyny! – wrzasnął bandyta, wyjmując miecz. – Bez walki mnie nie dostaniesz, smarkaczu. Bóg mi świadkiem. Chodźcie tu, jeden za drugim, jeśli macie to, czego trzeba!

Mateo i Marcos jednocześnie postąpili krok naprzód, ale Sancho zatrzymał ich gestem.

– Zostawcie go mnie.

Monipodio stanął w pozycji do walki i zaczął zataczać duże kręgi, nie zbliżając się. Sancho przyglądał mu się niewzruszony, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– A więc to będziesz ty, chłoptasiu? Sądziłem, że jako pierwszego wyślesz czarnego. Ale niech i tak będzie, na tobie rozgrzeję swoje ostrze.

– Mam nadzieję, że jesteście lepsi niż te wasze dwa psy, które zabiłem kilka tygodni temu w uliczce Ánimas. Nie wytrwali długo – rzekł, wyjmując powoli rapier z pochwy, jak gdyby to wszystko stanowiło dla niego tylko zbędny kłopot.

Monipodio zatrzymał się, mrużąc oczy z niedowierzaniem. Ten chłoptaş nie mógł być za to odpowiedzialny, przynajmniej nie sam. Musiało ich być dużo więcej.

– Kłamiesz.

– Możecie sobie myśleć, co wam się podoba.

Bandzior przełknął ślinę, już nie tak pewny siebie. Musiał sam się przekonać czy to, co mówi chłopak, jest prawdą. A może to pełne wyczekiwania spojrzenia jego zbuntowanych poddanych zmusiły go do zrobienia kroku naprzód. Kiedy klingi się zetknęły, Sancho poczuł, że sztych broni Monipodia drży. Odpierając niezgrabny atak, Sancho zorientował się, że ten mężczyzna, z którego rozkazu zginęły setki ludzi, już dawno sam nie walczył i utracił instynkt drapieżcy.

Sparował w czwartej, w pierwszej i w szóstej, nie pozwalając Monipodiowi nawet zbliżyć się do siebie, a co dopiero zranić. Bandyta sfingował krok w tył, otwierając zasłonę, jednak Sancho, zamiast go przebić, skoczył naprzód i uderzył go w brzuch krawędzią lewej dłoni. Niewiele brakowało, a ten brawurowy ruch

bardzo drogo by go kosztował, ponieważ Monipodio instynktownie wyprowadził pchnięcie, nim złamał się w pół, i jego ostrze przesunęło się bardzo blisko szyi Sancha.

Tłum ryknął, widząc, jak Monipodio upada, jednak nie był to odgłos żalu. Członkowie gildii najwyraźniej już zapomnieli o atakach, którymi całymi miesiącami męczyły ich Duchy. W porównaniu z terrorem Monipodia wyglądało to na wybawienie.

Złapawszy oddech, bandyta wyszczerzył swoje zepsute zęby i ponownie rzucił się na Sancha. Jego niepewne ruchy stały się bardziej brutalne, odzwierciedlając ogarniającą go wściekłość i poczucie poniżenia. Sancho musiał się napracować, aby sparować jego ciosy. Zdecydował się po raz drugi przejść do działania. Zblokował serię pchnięć i kiedy zauważył, że Monipodio ciężko dyszy, sam wyprowadził atak. Czwarta, pierwsza i w końcu, kiedy Monipodio sparował w ósmej, z całkowicie wyprostowanym ramieniem, wykorzystał na swoją korzyść krzywiznę broni bandyty. Sztych rapiera Sancha przeszył przedramię Monipodia. Bandzior wrzasnął i wypuścił broń z ręki, nie mogąc nic na to poradzić.

Sancho kopniakiem odrzucił miecz do stóp Josuégo.

– Rapier! Tysiąc escudo za rapier! – krzyknął zdesperowany Monipodio.

Sancho oparł sztych na jego szyi.

– Na kolana.

– Zapłacisz za to, młokosie! To cię będzie bardzo drogo kosztować! – Głos Króla Złodziei, zwykle ochrypły i brzmiący jak nieprzyjemny grzmot, stał się ostry i piskliwy.

– To wy zapłacicie. Na kolana. Żeby nie musiał powtarzać.

Monipodio rozejrzał się na boki w poszukiwaniu wsparcia, ale go nie znalazł. Trzęsąc się z wściekłości i strachu, ukląkł na posadzce. Sancho stwierdził ze zdumieniem, że człowiek, którego bało się całe miasto, ma szkliste oczy, choć próbował zagryzać wargi, aby zachować resztki godności. Poczł pogardę dla tego pasożyta, który od lat karmił się nieszczęściem słabych, a teraz płakał, z czołem pokrytym cienką warstewką potu. Przez chwilę poczuł nieodpartą chęć, by przeszyć jego szyję rapierem tu i teraz, i zmieść go z powierzchni ziemi, tak że aż musiał zacisnąć lewą pięść, wbijając paznokcie w ciało, aby się powstrzymać.

– Mistrzu Monipodio, duchy wszystkich tych, których zabiliście, żądają waszej głowy. Mój brat jest gotów spełnić ich prośbę za pomocą swych toporów bojowych.

Ani jeden mięsień Josuégo nie drgnął, ale gdy Monipodio spojrział na ogromnego Murzyna, przez jego ciało przeszedł dreszcz.

– Możecie jeszcze ocalić życie, jeżeli wyznacie mi swoje zbrodnie – rzekł głośno Sancho. Następnie stanął za jego plecami i wyszeptał mu do ucha: – Jak wam się podoba klęczeć tak bezbrinnie? Tego wzrostu był mój mistrz, którego rozkazaliście zabić.

– Chłopak Bartola!

– Bartolo nie zginął za karciane długi, bo termin płatności jeszcze nie minął. Luneta i Żelazna Ręka szukali nas z powodu teczki z dokumentami. Do kogo ona należała, Monipodio? Któż wam zapłacił za śmierć złodzieja?

– Nie powiem.

– A więc sami poniesiecie konsekwencje swego czynu.

Wykonał gest w kierunku Josuégo, a ten zrobił krok naprzód. Sancho wstrzymał oddech, wiedząc, że przyjaciel nie wyrządzi przecież krzywdy Monipodiowi. Bandyta musi się poddać albo ta farsa nie przyniesie efektu.

– Dobrze! To był kupiec, bardzo ważny kupiec. Teczka zawierała cenne dokumenty...

Sancho nie zdołał się powstrzymać. Porzucił wszelką ostrożność i szarpnął bandytę za włosy.

– Jego nazwisko!

– Vargas! Francisco Vargas! – wrzasnął Monipodio.

Sancho poczuł, jak zaciska mu się gardło. Puścił Monipodia, który upadł w tył jak worek wypełniony kamieniami.

Bandyta wsparł się na jednym ramieniu, wstając z trudem, jak każdy dojrzały mężczyzna, który spędził jakiś czas na klęczkach. Poczuł ciężar wbitych w niego wielu par oczu. To, co właśnie zrobił – ujawnił nazwisko osoby, która zleciła mu zabójstwo – stanowiło największą zbrodnię, jakiej mógł się dopuścić ktoś taki jak on. W porównaniu z tym upokorzenie w walce i łzy przelane w obliczu śmierci były niczym.

– Możecie odejść, mistrzu Monipodio. Opuścić Sewillę. Na zawsze.

Bandyta wbił spojrzenie w ziemię. Był całkowicie pokonany, nie mógł stawić czoła Sanchowi.

Jednak wciąż jeszcze wystarczyło mu determinacji, by spróbować ostatniej zagrywki.

– Zbiorę swoje rzeczy i odejdę.

Sancho pokręcił głową.

– Odejdziecie tak, jak stoicie. Nie zabierzecie ani jednego maravedí z pieniędzy zapłaconych wam za ochronę, której nie zapewniliście.

Monipodio zgiął się, jakby właśnie otrzymał cios. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Był zupełnie bez sił, jak szmaciana lalka, z której przez dziurę w boku wysypała się połowa piasku. Odwrócił się, aby odejść, ale jeszcze raz zwrócił głowę w stronę Sancha. Jego oczy przesłaniała mgiełka oszołomienia i zagubienia, jak gdyby jeszcze do niego nie docierało, że właśnie w ciągu jednej chwili utracił swoje królestwo.

– I to wszystko... z powodu jakiegoś karła?

– To wszystko z powodu przyjaciela. Nie spodziewam się, abyście to zrozumieli.

Zdetronizowany Król ruszył do drzwi, a jego dawni poddani obracali się za nim, śledząc go wzrokiem.

Sancho skinął głową na bliźniaków, a oni pobiegli w górę schodami prowadzącymi na piętro, wykorzystując moment nieuwagi tłumu, który przyglądał się wyjściu Monipodia. Niektórzy z członków gildii wyszli za nim i Sancho zaczął się zastanawiać, czy bandyta zdoła ująć żywy z Triany. Bardzo w to wątpił.

Muśnięcie kijem po nodze wystraszyło go. To Zachariasz podszedł do niego i wyszeptał w ucho gratulacje.

– Gratuluję, chłopcze. Świetnie sobie poradziłeś. A teraz przemyśl dobrze, co im powiesz. Jeśli właściwie to ujmiesz, będziesz nowym Królem i nikt nie stanie na naszej drodze.

– Spokojnie, Zachariaszu. Dobrze wiem, co teraz należy zrobić.

Ślepy radośnie klepnął go w plecy. Sancho odetchnął głęboko kilka razy, nim się odezwał.

– Złodzieje Sewilli, jestem jednym z was!

Przez zgromadzony tłum przeszedł szmer zdziwienia, obelg i głosów protestu, ale zaraz jedni uciszyli drugich. To, co zdarzyło się przed chwilą, napełniło ich szacunkiem dla Sancha, a chłopak zauważył, że spojrzenia nie są już wrogie.

– Urodziłem się daleko stąd, ale zostawszy sierotą, wychowałem się tutaj. Fachu synów Kakusa uczyłem się od karła Bartola. Umiejętności odcinać torby, kraść puszki kościelne, włamywać się do domów i łągać jak z nut. Radzę sobie też z rapierem. – Wciąż jeszcze trzymał go w dłoni i zrobił nim młynek, czym zdobył aplauz widowni. – Jak zresztą wasz Król miał okazję się przekonać.

Przez dwór przetoczyła się fala śmiechu. Sancho skłonił się lekko, zaskoczony tym, jak zmienni potrafili być ludzie. Wsunął broń do pochwy w geście pokoju.

– Jestem jednym z was i pokonałem Króla w uczciwej walce. Zgodnie z prawami gildii czyni mnie to nowym Królem.

– To wymaga głosowania!

– Nie!

– Ktoś taki jak on nie może zostać Królem!

Rozległo się więcej głosów protestu, pojawiło się więcej zaciśniętych pięści i twarzy rozpalonych gniewem.

– Oczywiście, każdy z was ma prawo stanąć ze mną do pojedynku na rapiery o koronę. Życzę mu szczęścia, którego zabrakło Lunecie, Żelaznej Ręce czy Monipodiowi. Jacyś ochotnicy?

Wsunął kciuki za szlufki kaftana i rozejrzał się dookoła wyzywająco. Głosy protestu umilkły, pięści się rozwarły, a ramiona opadły. W dworze zapadła cisza, gęsta i lepka jak świeżo wyciśnięta oliwa.

– Widzę, że wszyscy jesteście zgodni. A więc, gdybym tylko chciał, mógłbym zostać Królem... – Zrobił pauzę. Upewnił się, że wszyscy czekają na jego słowa. – Ale nie chcę. Przez wiele lat pracowaliście, by wyżywić kastę pasożytów, która bogaciła się na każdym waszym skoku, napadzie, na każdym oszustwie. W zamian dawano wam tylko obietnicę odstraszenia straży.

Przez chwilę jeszcze panowała napięta cisza, podczas gdy na twarzach złodziei malowało się zdumienie. Aż w końcu tamę przerwała niekończąca się fala szeptów. Zachariasz podszedł do Sancha i chwycił go za ramię.

– Chłopcze, co u diabła robisz? – rzucił w ucho chłopaka.

– To, co najsprawiedliwsze dla wszystkich.

– Nie po to ci pomagałem.

– Ani ja nie obalałem Króla po to, by zajmować jego miejsce.

A teraz puść mnie – rzekł Sancho, uwalniając się z uchwytu ślepeca jednym szarpnięciem.

Kątem oka zauważył, że bliźniacy machali mu z galerii prowadzącej do pokoi Monipodia, i niezauważalnie skinął głową, nim odezwał się ponownie.

– Kiedy decydowaliście się służyć Monipodiowi, zamiast królowi Filipowi, zamieniliście jedno jarzmo na inne. Wierzyliście, że uciekniecie od życia, w którym trzeba zginać kręgosłup nad pługiem lub kołem garncarskim, pracując na kogoś innego. W zamian za to nadstawialiście karku po to, by napełniać kieszeń

innego króla. Może więc nadszedł moment, byście odzyskali to, co się wam należy i poszli inną drogą. Zwracam wam skarb Monipodia oraz waszą wolność. Nie będzie więcej dworu!

Uniósł ramiona w geście umówionym z bliźniakami. Stali oni u szczytu schodów, gdzie zaciągnęli kufer, w którym Monipodio przechowywał całe bogactwo zgromadzone przez lata grabieży. Zachariasz opisał im kufer i wskazał, bardzo precyzyjnie, w jaki sposób go otworzyć przy użyciu stalowych prętów, które przemycili pod ubraniem. Sancho zadał sobie pytanie, ile godzin spędził Zachariasz, gładząc pod nieobecność szefa tę skrzynię i marząc o tym, by zawładnąć jej zawartością. Albo o tym, by zastąpić brutalnego Monipodia kimś, kim mógłby manipulować, tak jak próbował robić z Sanchem.

Bliźniacy, widząc sygnał, zanurzyli dłonie w kufrze i zaczęli rzucić z góry garście złotych i srebrnych monet na oszołomionych członków gildii zgromadzonych w wielkiej sali na parterze. Było tego tyle, że przez dłuższą chwilę rozrzucali monety jak najdalej mogli na wszystkie strony, zanim opróżnili kufer. Na szczęście Mateo natrafił w kufrze na złoty talerz i użył go, aby przyspieszyć cały proces.

Sancho przyglądał się z uśmiechem, jak tłum desperacko rzuca się na to złoto, rozpychając się między sobą i walcząc o każdą monetę, zapomniawszy już o Duchach. Poczul, jak euforia wdziera się w każdą cząstkę jego istoty. W ciągu jednej nocy skończyli z Monipodiem i zwrócili wolność tym ludziom. Może i byli wyrzutkami społeczeństwa. Niektórzy to z pewnością szumowiny, ale wielu innych to tylko biedacy, którym zabrakło w życiu szczęścia. Swoją świeżo nabytą fortunę z dużym

prawdopodobieństwem w ciągu kilku dni wydadzą na wino i kobiety i powrócą do swego życia nieszczęśników. A może wykorzystają ten moment, by zbudować sobie lepszą przyszłość, kto wie? W każdym razie teraz mają coś, czego nigdy w życiu nie mieli, coś, o czym będą opowiadać każdego dnia do końca życia.

Mają szansę.

Sancho kazał swoim ludziom przygotować się do wyjścia. Wszyscy ruszyli za ślepcem. Sancho, upojony triumfem, nie zwrócił uwagi na ponury wyraz twarzy Zachariasza.

Gdyby go zauważył, pewnie by się zmartwił, i to bardzo.

LIX

Koszmar Vargasa zawsze zaczynał się tak samo, w chwili, w której zdawał sobie sprawę, że zaraz koń stratuje jego brata. Ale tej nocy coś się zmieniło.

Tym razem księżę, potwór, nie jedzie konno, tylko zbliża się pieszo. Przykuca przy jego bracie, który leży na ziemi i woła go rozpaczliwie. Ale on nie może krzyczeć. Nikt nie może krzyczeć we śnie, a już na pewno nie wtedy, gdy ma sztylet na gardle.

Kiedy Vargas biegnie w stronę ciała leżącego na ziemi, zdaje sobie sprawę, że to nie jego brat, tylko on sam. Próbuje uciekać, ale jego drobne ramiona są zbyt słabe i przegrywają z ogromną siłą potwora.

Nagle Vargas otwiera oczy i już nie śni, choć wciąż coś go trzyma. Potwór stał się ciałem. Żelazna dłoń wciska go w materac, ostrze noża opiera się na jego szyi. Ta chwila jest tak przerażająca, że Vargas po prostu pyta sam siebie, czy aby nie zszedł na nowy poziom swojego koszmaru, a może coś ze świata snów, co go tam dręczy, wróciło razem z nim do rzeczywistości.

I wtedy patrzy potworowi w oczy. W świetle dogasającego ognia w kominku jego spojrzenie skrzy się zielonkawym blaskiem. To

chwila dziwnej intymności, znajdują się tak blisko siebie, jak dwoje kochanków ogarniętych namiętnością. Jeden rozpoznaje sam siebie w oczach drugiego, jak dwoje zwierząt z tego samego gatunku w zbyt ciasnej klatce.

– Tak łatwo byłoby was zabić – szepcze potwór. – Ot, prosty ucisk w dół, ześlizgnięcie się noża i wykrwawilibyście się na miejscu. Mógłbym to zrobić z taką łatwością, z jaką wy zleciliście zabójstwo karła Bartola.

Vargas pamięta chłopaka, który dwa lata temu w zamieszaniu skradł mu teczkę z dokumentami na Schodach katedry. Jednak nie potrafi go skojarzyć z tą ciemną i silną postacią.

– Ale nie zrobię tego. Zamiast tego zniszczę was na oczach całego tego miasta. Zrobię z was żebraka pokrytego jęczącymi się ranami. Dopiero to będzie sprawiedliwość.

Kupiec zamierza coś powiedzieć, może błagać o swe życie, ale duma nie pozwala mu na to i zmienia jego twarz w kamienną, wyzywającą maskę.

Potwór uśmiecha się lekko i znika.

Vargas przełamuje strach i kuśtyka w stronę otwartego okna. Okno znajduje się bardzo wysoko i nie ma sposobu, by się do niego wspiąć. Dopiero w świetle dziennym kupiec zorientuje się, że potwór spuścił się tutaj z dachu. Kawałek liny na parapecie okna powie mu, że potwór jest tylko człowiekiem, a skoro tak, to jest śmiertelny. Świt przywróci mu chęci do walki.

Jednak teraz Vargas siedzi, obejmując kolana, i może myśleć wyłącznie o demonach.

LX

Trzy noce przed tym, jak Sancho nagle wyrwał Vargasa ze snu, barka „Póvoa de Varzim” przepływała w niedużej odległości od wyspy Barreta. Kapitan, wykończony po długiej podróży, postanowił uciąć sobie drzemkę. Morze było wzburzone, a niebo zachmurzone, ale barka, choć stara, bez problemów odpierała ataki fal. Pilot znał te wody, ponieważ już wcześniej pływał do Sewilli z ładunkami zboża, choć nigdy tak późno w roku. „Póvoa de Varzim” powinna już cumować w Porto, a jej załoga korzystać z zasłużonego odpoczynku. Ale armator otrzymał pilne zlecenie od Korony hiszpańskiej zaalarmowanej straszliwym deficytem zboża panującym w całej Andaluzji. Król Filip zamówił kilka barek pełnych zboża, jednak armator zdołał zebrać ładunek tylko na jedną, i to niepełną. Deficyt zboża w Europie w połączeniu z żarłocznością załóg hiszpańskich okrętów wojennych opróżnił spichlerze na całym kontynencie. Ten ładunek, odebrany w Antwerpii kilka tygodni temu, był prawdopodobnie jedynym, jaki pozostawał na sprzedaż w całym Starym Świecie.

Kapitan zszedł z pokładu rufowego. Kiedy otworzył drzwi prowadzące do swojej kajuty, oślepiło go silne białe światło

i poczuł, jakby jakaś gigantyczna ręka rzuciła nim o gródź. Wrócił na pokład w samą porę, by zobaczyć, jak główny maszt spada na dwóch marynarzy. Rozległ się mrozący krew w żyłach chrzęst łamanych kości, ale kapitan nie miał czasu, by dłużej się nad tym zastanawiać.

– Piorun, kapitanie! Raził nas piorun!

Główny maszt wściekle płonął, podsycany jeszcze gwałtownym wiatrem, który zerwał się w ciągu chwili. Kolejna błyskawica oświetliła niespokojne twarze załogi.

– Do pomp! Wiadra! Trzeba ugasić ten pożar albo będziemy zgubieni!

Mężczyźni natychmiast rzucili się wypełnić rozkazy kapitana. Część marynarzy utworzyła ludzki łańcuch, podczas gdy pozostali rozpaczliwie próbowali zwinąć resztę ożaglowania. Kapitan aż ochrypl, zagrzewając swoich ludzi, by nie osłabli, sam wspiąwszy się na olinowanie. Wiatr jeszcze się wzmógł, daleko ciągnąc wodę, którą nagła burza zaczęła podnosić, grożąc wyrwaniem kapitana z jego niepewnego siedziska.

„Mój Boże, niech tylko ogień nie przeniesie się na marsel. Tylko o to Cię proszę” – modlił się kapitan. Ale Wszechmogący najwyraźniej był zajęty innymi sprawami, ponieważ modlitwa kapitana trafiła w próżnię. Płomienie zajęły olinowanie sąsiednich żagli. Ogień wkrótce przeniósł się po linach na bezan, który jeszcze nie został związany wokół masztu. Połowa lin była ciągle luźna, więc żagiel zerwał się z szotu i rozwinął się na bakburcie barki. Wypełniony huraganowym wiatrem i wiszący pod nienaturalnym kątem, spowodował niebezpieczny przechył.

– Uciąć te liny! Przeciąć je albo pójdziemy na dno!

Jeden z marynarzy wziął siekiere i skierował się w stronę szotu, ale nigdy nie dotarł do celu. Dał się słyszeć głośny trzask, a kapitan poleciał głową w dół do wody. Podczas gdy tonął w falach obok swego statku, poniewczasie zdał sobie sprawę, że burza zepchnęła barkę w stronę raf wyspy Barreta. W ostatniej chwili pomyślał jeszcze o żonie i dzieciach, po czym pochłonęła go niezmierna ciemność.

Wiadomość o zatonięciu „Póvoa de Varzim” dotarła do Sewilli dopiero po niecałym tygodniu. Ponieważ barka poszła na dno w środku nocy na wodach portugalskich, urzędnicy królewscy otrzymali tę informację dopiero wtedy, gdy jeden z rozbitków dotarł do Ayamonte. Kiedy burmistrz otworzył list, w którym zdawano sprawę z tego, co się zdarzyło, po plecach przebiegł mu dreszcz. Ten ładunek był jego ostatnią nadzieją na zapewnienie Sewilli pszenicy na zimę. Nie miał więcej możliwości ani też czasu na to, by szukać innych rozwiązań. A dla miasta liczącego sto pięćdziesiąt tysięcy dusz, gdzie dla trzech piątych mieszkańców bochenek chleba dziennie stanowił jedyne pożywienie, był to miazdzący cios.

Trzeba oddać sprawiedliwość urzędnikom miejskim, większość z nich wykonała godną pochwały pracę, aby – w miarę swoich możliwości – złagodzić kryzys. Spotkali się z rzeźnikami i rybakami, szukając możliwości obniżenia cen ich towarów, aby stały się dostępne dla prostej ludności. Próbowali zwiększyć dopływ artykułów spożywczych, a nawet poprosili wszechmocną Izbę Handlową o pożyczkę na rzecz miasta.

Jednak wszystkie te poczynania okazały się bezowocne. Niektórym kwestia honoru była obca i wykorzystali oni wiedzę na

temat niedostatku, który miał ogarnąć Sewillę, aby zgromadzić zapasy towaru, uzgodnić poziom cen z głównymi dostawcami i ostatecznie jak najbardziej i jak najszybciej napełnić sobie kieszenie.

Pierwszego grudnia 1590 roku w mieście pracowały zaledwie trzy piekarnie. W połowie miesiąca w całej Sewilli nie można było znaleźć ani jednego bochenka chleba. Żyto, jęczmień i otręby także się już skończyły, i jedynym tanim pożywieniem był łamliwy chleb o czarniawym mięszu, pieczony na bazie mąki z żołądzi i szarańczynu. W wigilię Bożego Narodzenia nigdzie nie można już było znaleźć nawet tego marnego substytutu. Podczas pasterki w katedrze arcybiskup prosił Boga, by piekło pochłonęło Anglików, którzy – jak wszyscy wiedzieli – byli odpowiedzialni za ten straszliwy głód. Przekłeci heretycy posunęli się nawet do spalenia magazynu zboża z zapasami na zimę, przypomniał arcybiskup w swym kazaniu.

Ceny wszystkiego, co dało się przetworzyć na żywność, w ciągu kilku dni poszły kilkakrotnie w górę, osiągnęły taki poziom, że niemal nikt nie mógł już sobie na nic pozwolić. Rzepa stała się podstawą diety rzemieślników i członków cechów, a niższe klasy były zmuszone żuć korzenie i zioła. Na brzegach rzeki ludzie bili się o ryby, a i tych brakowało. Najbiedniejsi zjadali nawet ikrę jesiotra, potrawę, która odrzucała sewilczyków i którą normalnie rzucano wieprzkom. Z ulic miasta zniknęły psy i koty – padły ofiarą zdesperowanych rodziców polujących na cokolwiek, czym mogliby wykarmić swoje rodziny. Wszędzie mnożyły się szczury. Krążyły nawet pogłoski, że w dzielnicach takich jak La Feria czy Carmona bez śladu zniknęły sieroty.

Podczas gdy bieda przybierała coraz większe rozmiary i głód zaczynał już zbierać pierwsze żniwo, Francisco de Vargas czekał, stojąc przy oknie swojej dobrze ogrzanej komnaty. Za kilka tygodni desperacja rządzących miastem będzie już tak wielka, że przyjmą ofertę sprzedaży pszenicy Vargasa za dziesięciokrotność jej wartości. Jednak wciąż było coś, co kładło się cieniem na jego nadchodzącym triumfie. Od czasu do czasu bezwiednie gładził parapet okna, jak gdyby palce chciały mu o tym przypomnieć.

Był pochłonięty swoimi myślami, kiedy do komnaty weszła Catalina i zbliżyła się do niego.

– Panie, przyszedł jakiś człowiek, mówi, że chce wam zaproponować jakiś interes.

– Odpraw go. Nikogo dziś nie chcę przyjmować.

Klucznica uśmiechnęła się wyniośle.

– Uczynię to, panie, i to z przyjemnością. To jakiś dziwak. Opowiadał coś, że może was uwolnić od nocnego gościa.

Z pewnością szaleniec.

Vargas odwrócił się i zdumiony spojrzał na starą niewolnicę.

– Co powiedziałaś? Powtórz to! – rzekł, chwytając Catalinę za ramię.

– To nikt... tylko ślepy i obdarty żebrak. To boli!

– Każ mu wejść, Catalino. Ale najpierw przyślij mi tu Groota.

Klucznica wyrwała się Vargasowi i wyszła przestraszona, rozcierając ramię, a kupiec poczuł, jak powoli na jego twarz wpływa uśmiech.

LXI

Sancho poruszył się niespokojnie na stołku. Już od kilku tygodni nie wychodził z Czerwonego Koguta i napięcie spowodowane brakiem aktywności zżerało go od środka. Ta noc, kiedy odwiedził Vargasa, była dla niego ostatnią chwilą szczęścia, choć niepozbawioną ryzyka. Kiedy wyszedł przez okno, niemal spadł i rozbił się na bruku, nie mówiąc już o tym, jak trudno było trafić do sypialni kupca. Kiedy opowiedział Clarze, co zrobił, pokłócili się, przy czym chłopak nie do końca zrozumiał, o co chodziło. Wyglądało na to, że Clara jest wściekła, ponieważ Sancho przyłożył nóż do szyi Vargasa, chociaż sama nienawidziła tego człowieka prawie tak samo jak on. W końcu rozstali się pokłóceni i od tego czasu się nie widzieli. Sancho miał nadzieję, że czas ukoi nerwy i będzie mógł porozmawiać z nią o swoich uczuciach. Przy tej skomplikowanej, inteligentnej i bezkompromisowej istocie, jaką była Clara, czuł się zupełnie zagubiony. Nie mógł jednak szukać rady wśród swoich towarzyszy, ponieważ byli w sprawach sercowych tak samo niedoświadczeni jak on.

Kiedy skończyli z dworem Monipodia, Sancho zaoferował towarzyszom podział łupu zdobytego do tej pory i rozstanie.

Inaczej niż w przypadku Monipodia, przeciwko któremu razem spiskowali, ani bliźniacy, ani Zachariasz nie mieli osobiście nic do Vargasas. Ta nowa robota miała być nieprzyjemna, niebezpieczna, a i możliwe, że nie przyniesie dużego zarobku. Wszyscy jednak zdecydowali się pozostać z Sanchem, nawet ślepiec, który pozbył się już swego ponurego nastawienia z ostatnich dni i przyrzekł wieczną lojalność chłopakowi.

– A kiedy już załatwisz swoje sprawy, zajmiemy się bardziej zyskowną robotą, prawda, chłopcze?

Żałosny głos Zachariasza przywiódł Sanchowi na myśl tę chwilę, kiedy Bartolo prosił go, by został z nim w Sewilli. Sancho powiedział mu, że wyjedzie, aby zrealizować swoje marzenie o zdobyciu fortuny w Indiach Zachodnich, a to złamało serce karłowi. Nie chciał, by to stało się ponownie, więc skłamał całej grupce. Powiedział, że kiedy już będzie po wszystkim, stworzą bandę, jakiej to miasto nigdy nie widziało.

– Co mówię, miasto! Jakiej świat nie widział!

Wypili za to, wznosząc kielichy, nawet Castro, który ostatecznie okazał się dobrym kompanem. Dla Sancha to wino miało gorzki smak kłamstwa, ponieważ zamierzał im zostawić swoją część łupu i odpłynąć pierwszym galeonem, który odbije od brzegu. Do towarzystwa zaprosił Josuégo, a także Clarę. Choć jeśli odmówią, on i tak popłynie. Podbój Nowego Świata był tym, czego najbardziej pragnęło jego wzburzone serce.

Jednak przed wyjazdem musiał jeszcze wyrównać rachunki z Franciskiem de Vargasem. Zdziwienie, które poczuł, usłyszawszy to nazwisko, stopniowo, im dłużej o tym myślał, przerodziło się w pewność. W jakiś sposób od momentu, kiedy

Sancho przypadkowo zrzucił skrzynię pełną złotych monet Vargasa i skradł jedną z nich, za co ścigał go Groot, życie kupca i jego własne zdawały się ze sobą połączone jakąś niewidzialną nicią. Od tego czasu minęły nieco ponad trzy lata, ale Sanchowi zdawało się, jakby to się wydarzyło kilka żywotów temu.

Tak samo dłużył mu się czas w ostatnich dniach. Do domu Vargasa wszedł z odwagą i arogancją ignoranta. Zagroził, że go zniszczy, chcąc zasiać strach w jego sercu, ale to były tylko puste słowa. W odróżnieniu od Monipodia Vargas nie miał słabych punktów. Jego firmy wyglądały na legalne, a transakcje przeprowadzał w świetle dnia. Na dodatek, z tego co mówili wszyscy, z którymi o tym rozmawiał, podając się za przedstawiciela jakiejś zagranicznej firmy, wynikało, że Vargas wycofał się z życia publicznego. Chodził co dzień na mszę i na Schody, ale jego obecność tam była tylko symboliczna. Wciąż posiadał cenne informacje, więc wiele osób starało się zamienić z nim choć kilka słów, ale wyglądało na to, że nie zajmuje się niczym konkretnym.

– Mówi, że handluje pszenicą. Jaką pszenicą, na Boga, skoro w ogóle jej nie ma? – powiedział mu jeden z mężczyzn, zaczepiony w karczmie nieopodal katedry, któremu trzeci dzban wina rozwiązał język.

Dopadnięcie Vargasa zdawało się niewykonalnym zadaniem. Zachariasz zaoferował się, że może zrobić dla Sancha wywiad, na co chłopak z chęcią przystał, szczególnie kiedy się dowiedział, że strażnicy posiadają jego dość dokładny rysopis dostarczony bez wątplenia przez Vargasa. Sancho przeklął dobrą pamięć kupca

i pożałował – nie po raz ostatni – że nie złamał zasad Bartola i nie poderżnął Vargasowi gardła, kiedy miał ku temu okazję.

„Teraz pewnie siedziałbym z Clarą w ogrodzie, zamiast kryć się tu w zamknięciu” – pomyślał chłopak, wydając z siebie westchnienie.

– Co ci jest? Przez całe popołudnie tylko wzdychasz – stwierdził Marcos.

– Raczej przez cały tydzień – dodał jego brat.

Sancho rzucił w niego ogryzkiem jabłka leżącym na stole, a Mateo z łatwością się uchylił.

„Ja sądzę, że to o niej myślisz” – pokazał Josué.

– Co powiedział czarny? – zapytał Marcos.

– Że są z was dwaj przebrzydli pederasci – przełożył im Sancho wypowiedź Murzyna.

Josué potrząsnął głową, udając przerażenie, a bliźniacy rzucili się na niego, atakując go w żartach.

– Ty po prostu jesteś głodny, chłopaku. Wzdychasz z głodu, znam się na tym.

– Kiedy będzie kolacja? – zapytał Mateo, wdychając aromat unoszący się znad garnka, w którym mieszał Castro.

– Już. Chciałem poczekać na Zachariasza, ale ta stara gnida się nie pojawia. Wypijmy dzban wina, zanim...

Koniec zdania utonął w wielkim hałasie. Drzwi wejściowe, wyrwane z zawiasów, upadły na ziemię, a w otworze pojawili się dwaj mężczyźni trzymający ciężki żelazny taran z hakami po obu stronach. Odsunęli się i ich miejsce – jakby w magiczny sposób – zajęli dwaj strażnicy z muszkietami w dłoni.

– Padnij! – krzyknął Sancho, rzucając się na ziemię.

Jeszcze nie umilkł jego głos, gdy rozległy się strzały. Jeden z nich rozbił dzban z winem, który wciąż trzymał Castro. Karczmarzowi zostało w ręku gliniane ucho – przyglądał mu się zdziwiony, zanim zdał sobie sprawę z wielkiej czerwonej plamy wykwitającej na jego piersi.

– Ja...

I upadł martwy. Sancho rzucił się pod stół, pociągając za sobą Josuégo i Marcosa, który wcześniej padł na ziemię tuż obok niego.

– Na górę! Idziemy na górę!

Jednak zamiast podążyć za nim w stronę schodów, Josué złapał obiema rękami stół i uniósł go jak tarczę, ustawiając go pomiędzy nimi a wejściem. W samą porę, ponieważ zaraz kolejne dwie kule utkwily w drewnie.

– Na górę! – powtórzył Sancho.

– Mateo! Mateo! Nie!

Krzyk Marcosa przetoczył się przez całą karczmę i Sancho kątem oka zauważył, co go wywołało. Mateo leżał na ziemi z głową roztrzaskaną przez jeden z pocisków wystrzelonych w pierwszej salwie. Marcos chciał pobiec w dół schodami, ale Sancho przytrzymał go mocno za szyję i pchnął w korytarz na piętrze. Josué poszedł za nimi, wciąż trzymając stół. W tej części karczmy nie było drzwi. Josué umieścił stół w przejściu, blokując dostęp.

– Co zrobiłeś? Zabili go! Pozwól mi zejść, ty draniu! – krzyczał Marcos, zupełnie nie panując nad sobą. Płakał, jego twarz była blada, a na skroniach, jak punkty na mapie, rysowały się nabrzmiałe żyły.

– Posłuchaj mnie! – rzekł Sancho, przytrzymując go, aby nie ruszył w stronę zaimprovizowanej barykady, którą Josué ustawił w korytarzu. – Jeżeli teraz zejdziesz, osiągniesz tylko tyle, że i ciebie zabiją, i nas razem z tobą. A jeśli chcesz dopaść tych, którzy odebrali ci brata, musisz pozostać przy życiu!

Marcos uniósł dłonie do głowy, w rozpaczy szarpiąc się za włosy i uszy. Kilka razy uderzył pięścią w ścianę tak mocno, że jego kłykcie pokryły się krwią.

Sancho spróbował się skoncentrować. Choć strach skręcał mu wnętrzności, starał się przywołać na nowo to lodowate zimno, które tak w nim cenił Dreyer. Wymagało to ogromnego wysiłku. Z drugiej strony prowizorycznej barykady słychać było krzyki strażników wywracających karczmę do góry nogami i zbierających się do ataku na górne piętro. Będą tu w ciągu kilku minut, a ten lichy stół, który Josué podtrzymywał własnym ciałem, nie wytrzyma długo.

Osaczony, przebiegł korytarz szybkimi susami, robiąc naprędce przegląd tego, co mogło im się przydać. Nie było żadnych ciężkich mebli, z których można by zbudować barykadę. Mogli uciec tylko przez okienko w ostatniej izbie, a następnie spuścić się w dół na dach sąsiedniego domu i dalej zbiec uliczkami prowadzącymi w stronę murów miejskich. Ale okienko było zbyt wąskie. Wątpił, czy choć Marcos precisnąłby się przez nie, nie mówiąc już o Josué.

– Panie! Znaleźliśmy złoto! Dużo złota!

– Zostawcie to teraz! Przygotujcie taran, żeby rozwalić tę barykadę!

Sancho zaklął w duchu. Powinni byli ukryć część łupu w innym miejscu. Teraz wszystko wpadnie w ręce strażników, a im zostaną tylko te monety, które mają przy sobie. Pod warunkiem, że wyjdą stąd żywi. Ze zmartwienia zagryzał wargi, kiedy jego uwagę zwróciły dwa głosy.

Pierwszy mówił niezbyt głośno i nie dało się rozróżnić słów, ale Sancho nie miał wątpliwości. Poczł, jak zółc podchodzi mu do gardła na samą myśl o zdrajcy.

– Zachariasz.

Marcos, któremu udało się już uspokoić i siedział oparty o ścianę, przyglądając się Sanchowi w milczeniu, wstał.

– To ten ślepy skurwysyn. Sprzedał nas.

Jednak to ten drugi głos pobudził Sancha do działania. Głęboki, nieprzyjemny głos, którego właściciel połykał „r” podczas mówienia.

– Groot. Groot jest tutaj.

– A kto to?

– Nie przyszli nas aresztować, Marcos. To jest egzekucja. Jeżeli stąd nie wyjdziemy, będziemy martwi w ciągu dwóch *Ojciec nasz*.

Znów zaczął przemierzać korytarz, gryząc kłykcie i starając się myśleć. Nagle zwrócił się w stronę Marcosa i złapał go za ramiona.

– Beczka. Ta beczka, którą znaleźliśmy u ślusarzy. Ta, o której mówiłeś, że się przyda. Gdzie ona jest?

– Beczka? W środkowej izbie. Ale... co ty, oszalałeś?

Sancho nie odpowiedział. Poszedł do środkowej izby i zaraz zrozumiał, dlaczego ją przeoczył. Mateo i Marcos, którzy tutaj spali, przykryli ją kawałkiem materiału i używali jej jako stolika.

Pociągnął tkaninę i odkrył beczkę. Sięgała mu nieco poniżej kolan i była na wpół pusta. Będzie musiała wystarczyć.

– Pomóż mi!

Z drugiej strony zaczęto walić w barykadę. Josué wytrzymał pierwsze uderzenia, ale było jasne, że drewno nie wytrzyma długo. Sancho dojrzał strach w oczach przyjaciela i wykonał uspokajający gest, ale Josué go nie zauważył. Chłopak pobiegł do ostatniej izby i wcisnął beczkę w okienko.

– Wyrwij porządną garść słomy z siennika i zapal ją – powiedział do Marcosa.

Ten przez chwilę męczył się z krzesiwem, był tak zdenerwowany, że musiał kilka razy próbować, aż w końcu podał Sanchowi zaimprovizowaną pochodnię.

– Urwie ci ramię – rzekł przerażony Marcos.

– Idź do Josuégo i powiedz mu, żeby na mój sygnał razem z tobą ukrył się w pierwszej izbie. I zasłońcie uszy.

– Ale oni tu wejdą!

– Rób, co mówię!

Marcos posłuchał go. Sancho złapał płonąca słomę jedną dłonią, a drugą wyciął sztyletem otwór w beczce – posypała się z niej cienka, czarna strużka, tworząc kopczyk na podłodze.

Na korytarzu rozległ się trzask i Sancho wiedział, że stół nie wytrzyma dłużej.

– Zaraz wejdą! – usłyszał krzyk Marcosa.

– Teraz! – odkrzyknął Sancho.

Podszedł do wejścia i stamtąd rzucił płonąca słomę na kupkę prochu na podłodze, po czym wybiegł i wpadł do pierwszej izby razem ze swoimi towarzyszami. Bez siły Josuégo barykada

natychmiast się rozpadła i dwaj mężczyźni wdarli się na korytarz z gotowymi do strzału muszkietami.

Sancho wstrzymał oddech. Nie sprawdził nawet, czy ogień nie zgasł, nim wybiegł. Strażnicy pojawili się w drzwiach i przez chwilę tak się zdumiali, widząc ich trzech leżących na ziemi z zakrytymi uszami, że nie wystrzelili.

W tej chwili beczka z prochem wybuchła.

To było tak, jak gdyby huragan wymiótł korytarz. Dwaj strażnicy zniknęli, a wszystko pokryło się gryzącym czarnym dymem. Sancho krzyknął do swoich towarzyszy, by wstali, choć sam ledwie słyszał swój głos. Wszyscy trzej pobiegli do ostatniej izby, gdzie w ścianie, w której niegdyś było okienko, widniała teraz ogromna dziura. Przyległy dach był pokryty gruzem. Szli po nim pochyleni, uważając, by się nie poślizgnąć, choć nie znajdowali się wysoko nad ziemią. Sancho zeskoczył pierwszy i pomógł Josuému. Następnie obaj wyciągnęli dłonie w kierunku Marcosa.

– Skacz, złapiemy cię!

Chłopak zawahał się przez chwilę, a kiedy już miał skoczyć, usłyszeli salwę z muszkietów. Twarz Marcosa wykrzywiła się w grymasie bólu, a jego ciało zawisło w powietrzu pod nienaturalnym kątem, po czym spadło w dół. Josué i Sancho złapali go w locie, dzięki czemu nie upadł głową na chodnik. Czarny wsparł jego głowę na swej piersi i spojrzał na przyjaciela z troską.

„Oddycha jeszcze, ale bardzo słabo” – powiedział.

– Wyjdziemy z tego cało, Marcos. Zobaczysz – rzekł Sancho, chwytając go za rękę.

Josué uniósł Marcosa i trzymając go w ramionach, pobiegł za Sanchem. Za plecami usłyszeli krzyki i kilka razy zmienili kierunek, choć ulice w tej okolicy były szerokie, a i noc jeszcze nie zapadła.

Nie mieli pieniędzy, ich jedyna kryjówka była spalona, a wszyscy strażnicy w mieście szukali ich po to, by ich zabić. Ucieczka będzie bardzo trudna, szczególnie z rannym w ramionach.

„Jest tylko jedno miejsce, do którego mogę się udać. Ale czy mam prawo znów ściągać na nią niebezpieczeństwo?” – pomyślał Sancho, walcząc ze sobą.

Zdesperowani przyspieszyli kroku, a stukot butów ich prześladowców zbliżał się coraz bardziej.

LXII

Kiedy Clara otworzyła drzwi, po jej plecach przeszedł dreszcz. Nie tylko z zimna, choć do apteki wraz z Sanchem i jego towarzyszami wpadł podmuch lodowatego wiatru.

– Zamykaj szybko. Depczą nam po piętach – rzekł Sancho, ciężko dysząc.

– I tutaj ich przyprowadziłeś? – wyszeptała Clara, nie wierząc w to, co się dzieje.

Poczuła, jak rośnie w niej oburzenie na Sancha. Kiedy przyszedł do niej ranny w ramię, a z duszą tak wysuszoną i pustą, jak wyrzucona na słońce miska, Clara otworzyła przed nim drzwi do swej duszy i sypialni. Chłopak został u niej do rana. Nie spali aż do świtu, opowiadając sobie duszą i ciałem wszystko to, czego nie odważyli się powiedzieć nikomu nigdy wcześniej. Od tej pory Sancho wracał codziennie, choćby tylko na kilka minut.

Aż do dnia, w którym się pokłócili, Clara czuła się tak lekko, jak gdyby ledwie dotykała ziemi, i niecierpliwie czekała na każde kolejne spotkanie. Wierzyła też, że w Sanchu znalazła osobę, z którą mogła podzielić się wszystkim, że on ją rozumie, pojmuje, co znaczyła dla niej jej praca i ta namiastka wolności, którą

zdobyła. A potem pokłócili się, kiedy Sancho powiedział jej, że chce zniszczyć Vargasa. Wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się na niego za to wściekła. Vargas mógł być jej ojcem, ale dla niej to nic nie znaczyło. Był też mężczyzną, który próbował ją zgwałcić i zniszczyć jej aptekę, ale i to nie było najważniejsze. Później, kiedy Sancho już dawno sobie poszedł, Clara zrozumiała, że jeżeli coś stałoby się Vargasowi, zanim ona zdoła wykupić swą wolność, dla niej oznaczałoby to porażkę. Młoda lekodziejka również miała rachunki do wyrównania z tym człowiekiem i chciała rzucić mu w twarz pieniądze za swoją wolność. Była pewna, że sama zdoła to zrobić.

Zrozumiała też coś innego, mianowicie, że była w Sanchu zakochana bez pamięci. Ogarniające ją uczucie było tak potężne, że blakły przy nim zawile opisy, jakie znalazła w powieściach rycerskich, które z takim zapałem czytała, mieszkając w domu Vargasa. Pragnęła go mieć wciąż i wciąż, kochała go każdą cząstką siebie. Sposób, w jaki przygryzał dolną wargę, kiedy się koncentrował. To, jak napinały się mięśnie jego ramion – jak struny z brązu pod skórą. Jego oddech na swojej szyi, kiedy się kochali.

A jednocześnie go nienawidziła, ponieważ odkąd go poznała, zawładnął jakąś częścią jej myśli, ograniczając w ten sposób jej wolność. Wlaził w swoich wielkich czarnych butach do maleńkiego ogródka jej świata. Wywrócił wszystko do góry nogami i skomplikował wszystko jeszcze bardziej. Czasem miała ochotę go udusić. Tak jak teraz, kiedy pojawił się w jej aptece z gigantycznym Murzynem, trzymającym w ramionach umierającego człowieka.

– Nie miałem innego wyjścia. Nie wiedziałem, dokąd pójść – powiedział Sancho zawstydzony tym, że sprowadził na nią niebezpieczeństwo.

Clara podeszła do Sancha i uderzyła go w twarz tak mocno, że aż dłoń jej zdrętwiała, a jego policzek się zaczerwienił. A zaraz potem, zanim jeszcze otrząsnął się ze zdumienia, pocałowała go z równie intensywnej namiętnością.

– Zabierzcie go na zaplecze – rzekła, przerywając pocałunek. – Gdzie jest ranny?

– Dostał kulę w plecy. Strażnicy zabili Matea i Castra. Zachariasz nas zdradził.

Clara skinęła głową, choć w tym momencie już o tym nie myślała. Jej umysł w pełni zajmowało to, jak zająć się rannym. Położyli go na jej łóżku na brzuchu. Clara kazała Sanchowi zdjąć mu koszulę, podczas gdy sama przygotowywała potrzebne przybory. Chłopak bez wahania przeciął koszulę nożem, odkrywając plecy pokryte lepka i ciemną krwią. Clara delikatnie polewała skórę wodą z naczynia, nie przejmując się tym, że spływające strumyczki zniszczą jej pościel, aż odkryła, gdzie znajduje się rana. Przy prawej łopatce dostrzegła niewielki otwór.

Zmartwiona zmarszczyła brwi. Wiedziała, że teraz trzeba wyjąć kulę, ponieważ czytała, że w przeciwnym razie organizm nie będzie miał szans na wyzdrowienie. Jednak proces wyjmowania kuli też jest szkodliwy, i do tego przerażał ją. Westchnęła i zmusiła się do wzięcia w dłoń lancetu i włożenia go w ranę, w celu jej powiększenia. Następnie włożyła palce w ciepłe ciało. Zebrało jej się na wymioty, ale się powstrzymała, zaciskając

szczęki. Natrafiła na coś twardego i okrągłego i po kilku próbach udało jej się to wyjąć.

– Podaj mi nóż, jest na piecu.

Ranny, który do tej pory jedynie słabo oddychał i nie wykonywał żadnych ruchów, wygiął się gwałtownie, kiedy Clara przyłożyła końcówkę rozgrzanego ostrza do brzegów rany. To było stanowcze, ale szybkie dotknięcie, który wywołało skwierczenie i nieprzyjemny zapach palonego mięsa.

– Teraz musi wypoczywać – rzekła Clara, wycierając dłonie w ściereczkę.

Podniosła wzrok i z oczu Sancha wyczytała nieme pytanie.

– Jeżeli przetrwa tę noc, to jest szansa, że przeżyje. Ale my już nic dla niego nie możemy zrobić – odpowiedziała bardzo wolno. Ogarnęło ją zmęczenie.

Sancho chciał coś powiedzieć, ale przeszkodziło mu gwałtowne kołatanie do drzwi.

– To strażnicy. Wyjdziemy przez ogród – rzekł przerażony losem, jaki czekałby Clarę, gdyby odkryto ich tutaj.

– Nie uda się wam. Zostawcie to mnie.

Lekodziejka zamknęła drzwi do sypialni. Wzięła świecę i skierowała się w stronę drzwi, skąd wciąż dobiegały odgłosy stukania.

– Otwierać, w imieniu króla! Oddać się w ręce sprawiedliwości.

Clara potarła oczy, nim otworzyła, aby sprawiać wrażenie, że dopiero wstała. Wyczerpania oczywiście nie musiała udawać. Otworzyła zamki i zobaczyła wysokiego mężczyznę w kapeluszu o szerokim rondzie.

– Czego sobie życzycie.

– Pani, szukamy pewnych bandytów. Niebezpieczne typy, uciekli z zasadzki.

– Tutaj nie ma nikogo, dowódco.

– Odsuńcie się na bok, abym sam mógł to sprawdzić, pani.

Clara wstrzymała oddech, zastanawiając się, co powiedzieć, aby zatrzymać mężczyznę na zewnątrz.

– Jestem sama, to nie byłoby odpowiednie, dowódco. Wróćcie jutro rano, a będziecie mogli przeszukać każdy zakątek.

Głos dowódcy stwardniał.

– Pani, zarówno moim obowiązkiem, jak i waszym, jest ułatwić zadanie wymiarowi sprawiedliwości. Nie będę powtarzał.

Odsuńcie się na bok.

Nagle przez umysł Clary przemknęło wspomnienie. Obraz jej samej, na targu na placu św. Franciszka. Martwego chłopca leżącego na ziemi. I wysokiego dowódcy straży z okazałymi wąsami.

Podniosła świecę, oświetlając twarz stojącego przed nią mężczyzny oraz swoją. Dowódca zamrugał przez chwilę, kiedy płomień znalazł się blisko jego twarzy. Kiedy jego oczy przywykły do światła, ogorzała twarz przecięły zmarszczki, a Clara zrozumiała, że i on ją rozpoznał. Tego dnia na targu dowódca straży działał wbrew swoim przekonaniom, pod naciskiem markiza de Montemayora. Najwyraźniej i on tego nie zapomniał, bo zawstydzony spuścił wzrok.

– To wy.

Ona w milczeniu skinęła głową.

– Jesteście teraz lekodziejką – rzekł dowódca straży, wskazując na szyld nad drzwiami. Za jego plecami przebiegła grupa

strażników z pochodniami, dało się słyszeć kołatanie do innych drzwi.

– Medyk, u którego służyłam, zmarł i zostawił mi swój dom. Możecie przyjść, kiedy tylko zechcecie wypróbować moje leki, byle o właściwej porze – wyjaśniła Clara, starając się panować nad swoim głosem.

– W mojej pracy nie ma mniej i bardziej właściwej pory, szczególnie jeżeli szukam przestępców.

– Co to za przestępcy?

– Najgorszego rodzaju. To banda zwana Czarnymi Duchami.

– Na ulicach mówią, że to oni wykończyli Monipodia. Więc może nie są aż tak źli, jak sądzicie?

– Nie mnie to oceniać.

– Rozumiem. Zawsze trzeba wykonywać rozkazy, prawda?

Dowódca straży zeszywniał, usłyszawszy aluzję, którą świetnie zrozumiał. On również wolałby nie wypuścić zabójcy tamtego dziecka. Przechylił głowę w zamyśleniu i uśmiechnął się pod swoimi ogromnymi wąsami. Zdjął jedną rękawicę i zbliżył dłoń do twarzy dziewczyny. Clara zamarła ze strachu, sądząc, że zamierza ją uderzyć, ale strażnik tylko delikatnie przejechał kciukiem po jej lewym policzku. Odsunął dłoń i pokazał ją dziewczynie.

– Macie krew na twarzy, pani.

Clara, zaskoczona, nie wiedziała, co powiedzieć. Ale strażnik tylko pociągnął drzwi, zamykając je za sobą.

– Ej, wy! Na następną ulicę! Ten dom jest czysty! – usłyszała jego głos.

Clara zaryglowała drzwi i się o nie oparła, wypuszczając powietrze z płuc, wciąż jeszcze przerażona tym, jak blisko była

katastrofa.

LXIII

Minęło dziewięć dni.

Marcos przeżył pierwszą noc, walcząc z gorączką, mającąc i wzywając Matea, którego – jak sądził – widział w nogach łóżka. Sancho siedział przy nim, trzymając go za rękę i próbując chłodzić mu czoło wilgotnymi szmatkami.

– Chcę być razem z tobą, bracie – mówił Marcos raz po raz.

– Będiesz. Obiecuję ci, że będziesz – drżącym głosem odpowiadał Sancho.

Następnego ranka Marcos zapadł w ciężki, głęboki sen. Josué i Sancho czuwali przy nim na zmianę, jednak piątego dnia o świcie przestał oddychać. Sancho wylał łzy wściekłości nad jego grobem, który wykopali w kącie ogrodu. Mateo i Marcos byli dobrymi chłopcami, owszem, skłonny do przemocy, bo przemoc była jedynym, co poznali w życiu. Jednak wedle wiedzy Sancha nigdy nie skrzywdzili nikogo, kto by na to nie zasłużył.

„Chciałby, żebyśmy go pochowali razem z bratem” – rzekł Josué.

„Jutro w nocy go poszukamy” – odrzekł Sancho, również w języku migowym. Nie chciał, by Clara się martwiła.

To było niebezpieczne i nieprzyjemne zadanie. Matea pochowano w zbiorowym grobie niedaleko Puerta del Osario, po drugiej stronie murów. Odnalezienie jego zwłok i przeniesienie ich do ogrodu Clary zajęło im całą noc i kosztowało sporo pieniędzy na łapówki dla strażników pilnujących bram. Pieniądzy, których potrzebowali na inne cele. Ale i tak to zrobili. Kiedy Clara się o tym dowiedziała, skinęła tylko głową w milczeniu. Wciąż była na Sancha obrażona, a ich relacje pozostawały chłodne.

– Bardzo mi przykro, że tak się sprawy potoczyły – powiedział jej Sancho, próbując ją przeprosić, choć z pewnością nie był w tym dobry.

– Nie chcę, aby ci było przykro. Przeprosiny na nic się zdadzą.

– A więc czego chcesz?

– Chcę, byś mnie kochał.

– Ale ja już cię kocham, Claro.

– Kochasz mnie wtedy, kiedy ci to nie przeszkadza. Wolisz żyć przeszłością i jej duchami, niż przyszłością i związanymi z nią nadziejami.

Sancho kilka razy otworzył i zamknął pięści. Paliła go frustracja, ponieważ wydawało mu się, że ona zmusza go do wybierania pomiędzy nią a powinnością.

– Kim jest dla ciebie ten człowiek? Ten pasożyt, który zniszczył tyle istnień?

Wziął w ręce dłonie Clary.

– Wkładałaś te palce w rany, które spowodował Francisco de Vargas!

Chciała coś odrzec, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i Sancho poczuł, jak między nimi wyrasta mur.

– Nie mogę ci powiedzieć dlaczego. Ale nie chcę, byś go zabił – to wszystko, co zdołała wydusić z siebie w odpowiedzi.

– Ja też nie chcę tego zrobić. Wystarczy mi, jeśli go zrzucę z jego piedestału. Tylko nie wiem jak.

Clara zawahała się przez chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy podzielić się z Sanchem swoją wiedzą. W końcu westchnęła.

– Sądzę, że mogę ci w tym pomóc.

Sancho poszedł na Compás wraz Claram, przebrany w starą tunikę należącą niegdyś do Monardesa, aby strażnicy przy wejściu go nie rozpoznali, choć ci i tak ledwie na niego spojrzeli. Dla nich był tylko kolejnym napaleńcem, który przyszedł ulżyć sobie w burdelu.

Kiedy weszli, lekodziejka przechwyciła kilka spojrzeń rzucanych przez prostytutki na młodego złodzieja i po raz pierwszy w życiu poczuła ukłucie zazdrości. Ale Sancho, zbyt poruszony tym, co powiedziała mu Clara, w ogóle tego nie zauważył. Przez dłuższą chwilę rozmawiali z Zadiorną oraz z dziewczynami, które bywały z Grootem. Fragmentaryczne opowiadania prostytutek składały się powoli w jeden obraz. Pośród skarg na brutalność Holendra i strachu znajdowali to, co istotne, by skończyć z Vargasem, choć obraz wciąż jeszcze był niepełny.

Do domu Clary wrócili w zupełnej ciszy. Dziewczyna, pragnąc czegoś, czego Sancho do końca nie rozumiał, a on miotając się pomiędzy nieuporządkowanymi impulsami w sercu.

– Claro... – powiedział Sancho, przerywając milczenie.

– Proszę cię, nic nie mów. Dostałeś to, czego chciałeś. Może rzeczywiście byłoby lepiej, gdybyś to zrobił – przyznała Clara. – Jeżeli to, czym chwali się Groot, jest prawdą, a Vargas

rzeczywiście spekuluje pszenicą, to jest odpowiedzialny za głód, który panuje w mieście. Zrób to, co musisz.

Sancho skinął głową i pocałował ją, ale ona odsunęła twarz i uciekła do ogrodu. Nie wróciła nawet, by się z nimi pożegnać, kiedy wychodzili godzinę później.

„Ona cię kocha” – rzekł czarny, gdy już znaleźli się na ulicy.

– Wiem. Tylko nie umiem tego uczucia odwzajemnić.

„Kiedy dwoje jedzie na jednym koniu, tylko jedno jest z przodu”.

– A cóż, u diabła, ma to znaczyć?

„Zrozumiesz, kiedy sam usiądziesz z przodu”.

Sancha zaintrygowały te słowa i żałował, że przyjaciel nie wyraził się jaśniej, ponieważ już zbyt wiele czasu spędził z Josué, aby lekceważyć jego tajemnicze metafory. Czarny był znacznie mądrzejszy, niż się wydawało. Teraz jednak nie było czasu, by się nad tym zastanawiać.

– Poszukamy jakiejś gospody, w której będziemy mogli się zatrzymać. Później ci opowiem, co zrobimy.

Odetchnął z ulgą, kiedy znaleźli się w czterech ścianach, bo był to pierwszy dzień, kiedy wyszli na ulice w świetle dziennym. Choć minął ponad tydzień od zasadzki w Czerwonym Kogucie, był pewien, że wciąż są poszukiwani. Omijali więc główne ulice i patrole strażników, i szukali dyskretnego miejsca na nocleg.

Tego samego popołudnia Sancho zaczął obserwować dom Vargasa. Zajęło mu to wiele dni, ale w końcu zdołał ustalić plan dnia Groota. Flamand zwykł poruszać się pieszo, poza poniedziałkami i czwartkami, kiedy dosiadał konia i kierował się w stronę Puerta de Córdoba. Sancho mógł go dość łatwo śledzić aż do tego miejsca, ponieważ wąskimi uliczkami Sewilli nie dawało

się szybko jeździć konno. Dla kogoś przywykłego do poruszania się pomiędzy budynkami jak wiatr pośród drzew, wyprzedzenie Groota było dziecięcą igraszką. Zupełnie inaczej to wyglądało, kiedy już kopyta konia Flamanda dotknęły kurzu Traktu Królewskiego – Groot pędził, jak gdyby od tego zależało jego życie. Tam już nie mógł go śledzić.

W następny poniedziałek Sancho nie czekał na Flamanda pod domem Vargasa, tylko przyczaił się za kapliczką św. Justy. Delikatnie poklepywał dosiadanego konia po karku. Ukradł go tego samego ranka i zwierzę jeszcze do niego nie przywykło. Przy odrobinie szczęścia będzie mógł je zwrócić przed zmierzchem, ponieważ wyprawy Groota nie trwały zwykle długo.

Śledzenie Flamanda na otwartym terenie było dużo bardziej skomplikowanym zadaniem, niż to sobie wyobrażał. Niewiele brakowało, a straciłby go z oczu, zwłaszcza kiedy kapitan w którymś momencie skręcił niedaleko lasku sosnowego i czegoś, co wyglądało na zwęglone resztki jakiegoś budynku. Sancho zrozumiał, że był to pewnie spalony spichlerz na zboże, o którym tyle się mówiło w Sewilli. Rozwścieczeni mieszkańcy miasta uważali, że zrobili to angielscy szpiedzy. Nic nie mogłoby sprawić, by bardziej nienawidzili głodu, który cierpieli, niż fakt, że stali za tym Anglicy.

Groot zwolnił tempo, kiedy dojechał w okolice spalonego spichlerza, i przechylił lekko głowę. Sancho przez chwilę obawiał się, że został odkryty, ale zaraz coś innego przyszło mu do głowy. Był zbyt daleko, by widzieć twarz kapitana, ale coś w jego postawie mu powiedziało, że Groot z przyjemnością przygląda się tym ruinom. Wyglądał na dumnego z siebie.

„To oni. To oni spalili spichlerz”.

Wtedy niemal stracił z oczu Flamanda, kiedy ten skręcił w mało uczęszczaną ścieżkę między drzewami. Prowadził konia stępem i Sancho domyślił się, że jest już blisko celu. W tym odludnym miejscu nie mógł ryzykować śledzenia Groota konno, jeżeli ten poruszał się tak powoli, ponieważ bez wątpienia usłyszałby go z bardzo daleka.

Przygryzł dolną wargę, próbując się skoncentrować. Jeżeli kapitan przejedzie przez sosnowy las i znów ruszy galopem, tutaj jego pościg się zakończy. W końcu zdecydował się zsiąść z konia. Przywiązał go do drzewa za grupą skał, tak, że gdyby Groot przejeżdżał tędy, zanim on wróci, nie dojrzałby go ze ścieżki. Założył zwierzęciu wędzidło i dał trochę paszy, aby nie rżało.

– Mam nadzieję, że nic mi się nie stanie, przyjacielu. Nie chciałbym, byś skończył pożarty przez wilki.

Zwierzę prychnęło zadowolone, a Sancho pobiegł w dół zbocza w stronę lasu, w który zagłębił się Groot. W tej chwili przypomniał sobie codzienne poranne biegi do lasu akacjowego niedaleko domu Dreyera i pożałował, że w ostatnich miesiącach nie poświęcał więcej czasu na ćwiczenia. Jego nogi początkowo nieco protestowały, ale zaraz przypomniał sobie długi i mechaniczny trucht, do którego przyzwyczał go kowal. Biegł dalej niewyraźną ścieżką pośród sosen, szeroką, choć ledwie widoczną pod liśćmi, czując, że coś tu nie pasuje. I nagle zrozumiał i aż stanął zdumiony.

„Liście. Jak mogłem być tak głupi”.

Zamiast igieł sosnowych, których i tak by nie wystarczyło, aby ukryć ścieżkę, na ziemi leżały liście. To były poźółkłe, szerokie

liście akacji i dębu, zebrane w innym lesie i rozrzucone tutaj celowo.

„Ktoś bardzo się postarał, by ukryć to, co znajduje się na końcu tego szlaku”.

Poczuł, jak ziemia wibruje, a potem odgłos końskich kopyt ostrzegł go, że w jego stronę zmierza jeździec. Rzucił się na ziemię w samą porę, bo już zza zakrętu między drzewami wylaniał się koń Groota wracającego do Sewilli. Sancho przeleżał dłuższą chwilę, aż nabrał pewności, że odgłosy ucichły w oddali, po czym ruszył dalej ścieżką.

Dotarłszy do starego tartaku, zdumiał się. Budynek był ogromny, jednak zagłębienie terenu sprawiało, że nie był widoczny z Traktu Królewskiego. Jego opłakany stan świadczył o tym, że interes zamknięto wiele lat temu, choć swego czasu musiał dostarczać ogromne ilości drewna do Sewilli. Od tej pory wyrósł tutaj ogromny las sosnowy i zamaskował tartak.

Nie tylko to zostało tutaj ukryte. Drzwi i okna tartaku były szczelnie zamknięte i Sancho musiał się wdrapać po ścianie budynku, uważając, by nie zranić się jakimś zardzewiałym gwoździem, bo to oznaczałoby pewną śmierć. Widział już skutki spazmu na pokładzie „San Telmo”, pamiętał te plecy wyginające się w łuk i to, jak chory odchodził w straszliwych bólach.

Na szczycie dachu udało mu się znaleźć kilka luźniejszych desek. Rozsunął je na tyle, by wetknąć między nie głowę. Czekał, aż jego oczy przywykną do ciemności, kiedy coś czarnego i obrzydliwego uderzyło go w twarz. Odchylił się do tyłu i wyjął sztylet, ale zaraz poczuł wstyd, stwierdziwszy, że to tylko mały

nietoperz, który zerwał się przestraszony nagłym światłem i już zniknął między drzewami.

Ponownie zajął do środka i w końcu jego podejrzenia się potwierdziły. Sekret Vargasa, trzymający Sewillę w śmiertelnym uścisku, krył się pod tym dachem.

Były tam tysiące worków pszenicy, które wystarczyłyby, by wyżywić miasto przez całe miesiące.

Wrócił do Sewilli z głową wypełnioną czarnymi myślami. Jeżeli zgłosi to, co zobaczył w tym magazynie, strażę zajmą zapasy i pszenica zostanie sprzedana za godziwą cenę, co doprowadzi Vargasa do ruiny. Może. A może kupiec zdoła przekupić sędziów i radę dwudziestu czterech, by przymknęli oko na tę sprawę i zachowa zboże. Niestety Sancho nie znał zasięgu tego spisku. W każdym razie kupiec nie pójdzie do więzienia, ponieważ zawsze będzie mógł powiedzieć, że nie wiedział o zapasach, lub wywinie się, płacąc grzywnę. Ludzie tacy jak on nigdy nie trafiają na galery.

Sancho ścisnął wodze, zarażając swym zdenerwowaniem konia, który przyspieszył kroku. Musiało istnieć jakieś inne rozwiązanie. Takie, które pokazałoby całemu miastu, jakim potworem jest Vargas. I szybkie, ponieważ każdy dzień bez tych worków zboża oznaczał więcej ofiar głodu.

Ale na próżno łamał sobie głowę, żaden pomysł się nie pojawiał. Wjechał do miasta Puerta de San Juan i zsiadł z konia niedaleko miejsca, z którego ukradł go dziś rano. Klepnął zwierzę mocno w zad, a ono, wiedzione instynktem, samo potruchtało w stronę stajni.

„Gdybyż moje życie było tak samo proste, jak twoje, przyjacielu. Gdyby ktoś mnie prowadził silną ręką za wodze, jak dobrego żołnierza”.

To ostatnie słowo na chwilę zatrzymało się w jego głowie. I wtedy Sancho zdał sobie sprawę, że zna kogoś, kto będzie mógł mu pomóc rozwiązać ten problem.

Gospoda Tomása Gutiérreza była eleganckim miejscem usytuowanym niedaleko Pałacu Królewskiego. Nie miała nic wspólnego z ruderą w dzielnicy La Feria, w której Sancho i Josué znaleźli schronienie. Tutaj komnaty były duże i przestronne, a armia służących przechodziła z jednej strony na drugą ze ścierkami i stosami białej pościeli. Nie musiał nikogo pytać o Miguela de Cervantesa, ponieważ komisarz do spraw zaopatrzenia siedział na fotelu przy kominku w głównej sali, pogrążony w lekturze jakiejś książki. Kiedy chłopak podszedł do niego, podniósł wzrok znad jej kart i na jego usta wypłynął szczery uśmiech.

– Przyjacielu Sancho! Usiądźcie, zapraszam. – Cervantes wykonał gest w stronę jednej ze służących, która zaraz przyniosła im dzban wina. – Przyszliście zagrać w karty? Jeżeli tak, to uprzedzam was, że nie zamierzam z wami grać. Zapewniam, że jestem jednym z tych, którzy uczą się na cudzych błędach.

Sancho nalał sobie kielich wina i wypił je jednym haustem. Był spragniony i odrętwiały z zimna po długim dniu spędzonym na grzbiecie konia i bieganiu po lesie, ale pił przede wszystkim po to, by dodać sobie odwagi. Wysuszywszy kielich, opróżnił też swoją duszę. Opowiedział komisarzowi całą swoją historię, nie pomijając niczego. Każdy etap swojego życia w ciągu ostatnich lat, decyzje,

które podjął i trudności, które napotkał na swej drodze. Wyraz twarzy Miguela stwardniał, kiedy opowiadał mu o swoim życiu złodzieja, ale Sanchowi wydawało się, że ponownie złagodniał, kiedy przeszedł do etapu na galerach. Coś mu mówiło, że może Miguel miał za sobą podobne doświadczenie, choć ten przez cały czas nie odezwał się ani słowem.

Sancho mówił przez ponad godzinę, a ostatnia część opowieści dotyczyła pszenicznego spisku Vargasa i planu, który mu przyszedł do głowy, mającego na celu zdemaskowanie kupca i zwrócenie zboża miastu.

Kiedy skończył, spojrzał na komisarza z wyczekiwaniem i ze strachem. Ten odgadł, co dzieje się w głowie jego rozmówcy.

– Przyjacielu Sancho, mieliście bardzo ciężkie życie. Zawsze byłem zdania, że każdy człowiek jest kowalem swojego losu. Jednak nigdy nie mamy pod ręką właściwych narzędzi i czasem trzeba walczyć o swoje zębami. Nie bójcie się, nie będę was oceniał, bo to nie do mnie należy, tylko do Boga.

– A więc pomożecie mi?

Cervantes zamyślił się przez chwilę.

– Czyny, o których mi opowiedzieliście, to poważne przestępstwa, Sancho. Moim obowiązkiem jako komisarza jest oddać was w ręce sprawiedliwości.

– Widzę, że się pomyliłem, przychodząc do was – odrzekł smutno chłopak, wstając.

Miguel zatrzymał go, chwytając go za ramię.

– Nie, proszę. Usiądźcie. Tak jak i wy obawiam się, że doniesienie na Vargasa nie zda się na nic. Sądzę, że wasz plan, jakkolwiek ryzykownie brzmi, jest lepszy niż ta opcja. Jednak jest

jeden aspekt, którego nie przemyśleliście: będziemy potrzebowali kogoś, kto przekaze mu ofertę. I to nie może być byle kto.

Sancho nic nie odpowiedział. Wbił wzrok w jakiś punkt wysoko po prawej stronie, ponad głową Miguela. Ten odwrócił się zaintrygowany, by sprawdzić, co tak przykuło uwagę chłopaka.

Z jednej strony kominka na ścianie zawieszono wielki kawał drewna, który służył za tablicę ogłoszeń. Znajdował się tam cennik obowiązujący w gospodzie, obwieszczenia królewskie, drobne ogłoszenia dotyczące zagubionych przedmiotów i nagród wyznaczonych za nie. Ale to nie to zainteresowało Sancha.

W kącie, niedaleko nich, wisiał plakat z zaproszeniem na sztukę, która zostanie odegrana w pobliskim teatrze komedii. Ani tytuł, ani miejsce wciąż nie było tym, co przykuło jego uwagę, lecz ostatnia linijka: obco brzmiące nazwisko ostatniego i najmniej ważnego aktora tej trupy.

– Don Miguel, sądzę, że znalazłem doskonałego człowieka do tego zadania.

LXIV

William Szekspir czekał przed drzwiami Francisca de Vargasa, przybrawszy wyniosłą i pogardliwą postawę. Wiedział doskonale, że kupiec kazał mu czekać, aby podkreślić własne znaczenie. Przygotował się na to podczas dni spędzonych z Sanchem.

Kiedy chłopak podszedł do niego tydzień temu po wyjściu z teatru, nie rozpoznał go. Przyjął jego zaproszenie na kielicha bardziej dla samego wina niż dla towarzystwa. Dopiero gdy kelnerka przyniosła im napój, najlepsze wino z Toro, Anglik wrócił pamięcią do tych chwil trzy lata temu, do karczmy, w której mieszkał i gdzie z jego powodu pobito pewnego chłopca.

– *Sanso!* – rzekł William, kalecząc hiszpańskie głoski, opuściwszy opróżniony kielich. – Teraz sobie przypominam...

– Ale wciąż nie potraficie właściwie wymówić mojego imienia – odrzekł chłopak po angielsku.

Twarz Williama rozjaśniła się. Nieczęsto miał okazję porozmawiać w swoim języku.

– Ach, *Sanso*. Stary język, nowa mowa. To złe połączenie. Ale opowiadajcie, opowiadajcie, co się z wami działo. Tylko mówcie

cicho. Nie jest dobrze w tych czasach afiszować się z językiem angielskim.

Choć siedzieli w kącie pustej karczmy, Sancho usłuchał go.

– A wy, wciąż udajecie Irlandczyka?

– Złości mnie to, ale tak jest. Cenię sobie swoje życie. A do ojczyzny nie mogę wrócić, choć bardzo bym tego chciał. Póki jednak Filip jest w stanie wojny z Elżbietą, żaden statek nie popłynie na wyspy z Sewilli.

– Moglibyście pojechać do Normandii.

– Na to trzeba pieniędzy, a tych nie mam. Moja ostatnia nadzieja w tym, że spotkam jakiegoś dobrego angielskiego kapitana, który zechce zabrać rodaka z powrotem do ojczyzny. Obawiam się, że jeszcze będę musiał na to poczekać.

William opowiedział Sanchowi, jak trudne były dla niego te ostatnie lata. Mówił z zapałem i pasją, które sprawiły, że opowieść była kolorowa i pełna uczuć. Pracował jako nauczyciel angielskiego w domach młodych szlachciców i kupców, jednak stracił do tego serce, a i tak nie zapewniało mu to godnego zarobku. Były dni, kiedy musiał zakradać się do kuchni, aby zwędzić coś do jedzenia. Kiedy już miał dość impertynencji źle wychowanych bachorów, zamienił głodowe zarobki nauczyciela na jeszcze bardziej głodowe, jakie dawało zajęcie aktora. Przy swoim kiepskim kastylijskim mógł grać tylko drugoplanowe lub nieme role.

– Grałem już strażnika, pasterza i kamień. I drzewo, niech je diabli. Przysięgam, że któregoś dnia napiszę komedię godną tego miana i nie wystąpi w niej ani jedno drzewo.

– Wciąż piszecie, Williamie?

Anglik spojrział na opuszki swych palców, jak zwykle poplamione atramentem. W jego głosie pobrzmiwała frustracja, a wokół oczu widniały zmarszczki.

– Coś piszę. Ale nie jestem z tego zadowolony. Zmarnowałem wiele ryz papieru, które bardziej by się nadały na opał. Dlatego palę wszystko, co piszę.

Teraz przyszła kolej na Sancha, by opowiedzieć swoją historię. W porównaniu z opowiadaniem Williama jego relacja była zimna i krótka, i trwała o połowę krócej. Kiedy skończył, William spojrział na niego zdumiony.

– A więc zostaliście złodziejem.

– Jak Robin Hood. Sądziłem, że i ja będę mógł uciec od nędzy tej karczmy i zostać kimś wielkim, kradnąc bogatym, by rozdawać biednym. Jakiż byłem głupi.

– To była tylko opowieść – rzekł William cichym głosem.

Sancho nic nie powiedział. Anglik zapytał go, przepełniony poczuciem winy, czy może coś dla niego zrobić.

– Oczywiście, że możecie, don Williamie. Możecie odegrać rolę waszego życia. A ja w zamian zadbam o to, byście mogli wrócić do domu.

Kiedy William to usłyszał, zniechęcenie i poczucie winy zniknęły z jego twarzy, jakby zmiecione podmuchem wiatru.

– A gdzie ma się odbyć ten spektakl?

Sceną, jak mu wyjaśnił Sancho, będzie gabinet Vargasa. William właśnie tam wchodził, podążając za kapitanem Grootem.

W porównaniu z zimnym dziedzińcem, w komnacie było gorąco jak w piecu. Choć Anglik ucieszył się, że znalazł się w ciepłe, zaraz poczuł, że się poci.

„Nie mogę dopuścić do tego, by wyschła mi górna warga ani czoło. Unikać kontaktu fizycznego” – pomyślał William.

Podszedł do Vargasa, który przyglądał mu się nieufnie, siedząc za swym biurkiem. William skinął głową, sztywny jak kij, i wyciągnął w stronę kupca swoje listy polecające. Vargas nie wykonał najmniejszego ruchu, aby je przyjąć. To Groot podszedł, wyjął je z dłoni gościa i podał swemu pryncypałowi. Ten rzucił na nie pobieżnie okiem, przy czym nie drgnął ani jeden mięsień jego twarzy.

„Są autentyczne. Wszystko jest autentyczne, tak jak i nóż, który ci wbiją w brzuch, jeśli nie zrobisz tego dobrze” – powtarzał sobie William, próbując nie myśleć o tym, że dwa dni wcześniej widział świeży atrament na tych podrabianych dokumentach. Kosztowały fortunę, którą Sancho musiał uzbierać, odcinając torby na placu św. Franciszka. Coś, co nie sprawiło mu przyjemności, ponieważ z każdą chwilą coraz większą niechęcią pałał do kradzieży.

– Nazywam się Francisco de Whimpole, panie Vargas, i... – zaczął William swoim kiepskim kastylijskim.

– Świetnie znam waszą mowę, panie de Whimpole – przerwał mu Vargas po angielsku. Jego głos był twardy i władczy, i William pojął w mgnieniu oka, że to bezwzględny człowiek.

– Cieszę się, panie. To mi bardzo ułatwi zadanie – rzekł aktor z dużo większą swobodą, mogąc rozmawiać w swoim języku.

Vargas potrząsnął kawałkiem papieru pokrytym drobnym pismem. William przekazał go godzinę temu w zalakowanej kopercie jednemu ze sług Vargasa.

– Nie wiem, jakież to miałyby być zadanie, Whimpole. Ten liścik był celowo dwuznaczny. Równie dobrze mogliście w nim zawrzeć przepis na owsiankę. Sama wasza obecność w tym mieście stanowi zdradę.

– Czy aby tak wielką, jak spalenie pustych spichlerzy i zrzucenie winy na moją monarchię, panie Vargas? – rzekł William, starając się wlać w swoje słowa jak najwięcej sarkazmu i wyższości.

Reakcja na te słowa nadeszła z trzech kierunków. Vargas spiął ramiona i zacisnął pięści. Groot zrobił krok naprzód. A z przeciwległego końca komnaty dobiegł ich przerażony skrzek, który ujawnił obecność jeszcze jednej osoby, ukrytej za kotarą.

– Wyjdźcie, Malfini. Skoro już sami ujawniliście swą obecność, możecie równie dobrze zobaczyć, jak Groot rozdziera tego Anglika na kawałki – rzekł Vargas przez zaciśnięte zęby.

William roześmiał się. Gdyby to była sztuka teatralna, widownia ażby się wzdrygnęła, tak naturalnie wypadł ten przejaw pogardy. W gabinecie zdołał przynajmniej zatrzymać Groota, który – zbity z tropu – spojrzał na Vargasa. Mężczyzna, który stał za kotarą, tłusty, o niechlujnym i lubieżnym wyglądzie, wyszedł z ukrycia i przyglądał się tej scenie z otwartymi ustami.

– Żałuję, że wzięliście moje słowa tak bardzo do siebie, panie Vargas. Chciałem tylko zaznaczyć, że zdrada to tylko kwestia punktu widzenia. Dla Anglików ja jestem patriotą, a wy... no cóż, wy macie pieniądze. A po dzisiejszym dniu będziecie ich mieć o wiele więcej.

Vargas spojrzał na Groota, a ten cofnął się o dwa kroki.

– Mówcie dalej.

– Chcę kupić waszą pszenicę.

– Nie ma żadnej pszenicy.

– Ależ proszę, panie, ten wysiłek nie zda się na nic. Sewilla jest pełna naszych szpiegów. Wiem doskonale, że trzymacie zboże w starym tartaku. A że nie jestem jedynym, który to wie, wyjdę stąd cały, i nie spadnie mi z głowy ani jeden włos, niezależnie czy dobijemy targu, czy nie. Zrozumieliśmy się?

Rzadko się zdarzało, by ktoś odzywał się do Francisca de Vargasa tym tonem. Kupiec był siny z wściekłości i zajęło mu dobrą chwilę, nim odpowiedział. William spodziewał się, że teraz padnie pytanie, jak to odkrył, jednak akurat tego nie myślał mu zdradzać.

– Tak – bardzo wolno odpowiedział Vargas. – Zrozumieliśmy się.

– Świetnie, w takim razie pozwólcie, że zrealizuję teraz zlecenie jej wysokości, królowej Elżbiety – Anglik jeszcze bardziej się wyprostował, wspomniawszy swą monarchinię, wyrażając dumę, nie całkiem udawaną.

– Wasza oferta?

– Milion escudo.

Malfini gwałtownie wypuścił powietrze, a jego świńskie oczka zapłonęły chciwością. Nawet Vargas, przywykły do zachowywania kamiennej twarzy podczas wszelkich negocjacji, poczuł lekkie drżenie dolnej wargi.

– Jeżeli sprzedam wam pszenicę, Sewilla umrze z głodu – rzekł kupiec schrypniętym głosem.

– Tego właśnie życzy sobie Anglia, panie Vargas. Potrzebujemy Hiszpanii podzielonej, dla celów, które pewnie możecie sobie

wyobrazić. Nie chcemy drugiej Armady płynącej w stronę wysp. Następnym razem mogłoby się wam udać.

– Macie świadomość tego, o co mnie prosicie?

– Mówią, że urodziliście się biedakiem, panie Vargas.

A staliście się bogaczem. Z mojego doświadczenia wynika, że żadnemu uczciwemu człowiekowi dotąd się to nie udało. Stąd wiem, że przyjmiecie ofertę.

– Jesteście aroganckim skurwysynem, Whimpole.

Jeżeli Vargas chciał zranić swojego gościa, to nie udało mu się to. William inteligentnie puścił ten komentarz mimo uszu, dając wyraźnie do zrozumienia, jak mało znaczy dla niego opinia Vargasa.

– Jak sobie życzycie. Ale czy jestem skurwysynem z ładunkiem zboża?

Kupiec spojrział w ziemię. Kiedy podniósł wzrok, wydawało się, że strach zniknął z jego oczu, jak gdyby – raz podjąwszy decyzję – umywał ręce od wszelkich konsekwencji swych czynów.

– Umowa stoi.

– Dobrze, panie Vargas. A zatem, oto warunki...

Na kilka kolejnych dni William zniknął. Zgodnie z instrukcjami Sancha nie wrócił do teatru ani nie pokazywał się na ulicach, aby zminimalizować ryzyko przypadkowego spotkania z Vargasem.

Tydzień później, w wigilię dnia uzgodnionego z kupcem, Anglik obudził się w swoim łóżku o zmierzchu, z głową obolałą od kaca i zaropiałymi oczami. Sancho zapewniał mu stałe dostawy wina, które poczyniło w nim pewne spustoszenia. Jak zawsze po takim wybryku, przysiągł sobie, że już nigdy więcej się nie napije, choć była to obietnica, której raczej nie potrafił dotrzymać. William

czuł w sobie jakąś niezaspokojoną potrzebę, która zżerała mu wnętrzności jak bestia – budziła się głównie wtedy, gdy próbował zmierzyć się z którymś ze swoich sonetów. Jeżeli słowa nie nadchodziły lub nie spełniały jego wysokich wymagań, bestia wbijała zęby w jego wątrobę. I jedynym sposobem, jaki William znał, aby ją ujarzmić, było zalać ją.

Choć starał się nie myśleć o tym, aby nie odczuwać jeszcze bardziej ciężaru samotności, w takich chwilach wspominał swoje dzieci. Kiedy wyjeżdżał z Anglii w 1588 roku, najstarsza córka, Susan, miała pięć lat, a bliźniaki, Hamnet i Judith, trzy. Już od miesięcy nie był w stanie zarobić wystarczających pieniędzy, aby cokolwiek wysłać do domu, i zadawał sobie pytanie, czy wszyscy tam mają się dobrze. Jego żona była zbyt zapatrzona w siebie i głupia, by nauczyć się pisać lub wysłać mu wiadomości. Po raz enty w swoim życiu pożałował, że zapłodnił tę kobietę starszą od siebie o osiem lat i był zmuszony się ożenić. Ledwie się znosili i wyjazd daleko od niej w poszukiwaniu fortuny przyniósł mu prawdziwą ulgę. Wiedziony pragnieniem odniesienia sukcesu w teatrze, przyłączył się to trupy wędrownych komików, którzy wyjeżdżali na dwuletnie tournée po kontynencie, i odwiedził miejsca, o których nigdy wcześniej nawet nie słyszał, takie jak Werona, Wenecja czy wreszcie Sewilla. Talentu aktorskiego William nie miał, lecz rekompensował to, próbując improwizować. Do tego i owszem, miał dar, i to dużo większy niż jego koledzy. To wywołało pewne tarcia i kłótnie, aż ostatecznie skończyła się cierpliwość dyrektora, który wyrzucił Williama z trupy. Skończył w tej obskurnej norze zwanej Czerwonym Kogutem, przeklinając

swój los, uwięziony przez wojnę z Hiszpanią i przez swoje wiecznie dziurawe kieszenie.

Ten obraz kieszeni bez dna przywiódł mu na myśl pierwszy wiersz jednego z sonetów, ale wtedy już dotarł przed gospodę Tomása Gutiérreza. Elegancja tego budynku onieśmieliła go. Wszedł ostrożnie, aż nazbyt świadomy swoich wielokrotnie cerowanych spodni, pozółkłych i poplamionych atramentem mankietów koszuli.

– Mistrzu Williamie!

Sancho czekał na niego przy drzwiach i poprowadził go do niewielkiej, lecz przytulnej sali, którą właściciel gospody przygotował dla nich. Stał tam niski stolik, a przy nim ława i dwa krzesła. Na jednym z nich siedział szczupły mężczyzna o haczykowatym nosie, który na ich widok wstał.

– Don Miguel de Cervantes, pozwólcie, że wam przedstawię: don William Szekspir.

Kolacja upłynęła na mozolnym docieraniu się. William walczył ze swoim kiepskim hiszpańskim, a Miguel robił zdziwioną minę, kiedy aktor wplatał słowa w swoim języku. Znajomość angielskiego w przypadku komisarza ograniczała się do przekleństw i narzekań usłyszanych od żołnierzy. Jednak, z pomocą Sancha, wszyscy się rozumieli.

Kiedy chłopak przedstawił ich sobie nawzajem, Miguel omiół Williama z góry do dołu stalowym, bezpośrednim spojrzeniem, tak prostym, jak jego własna anatomia, nie ukrywając niezadowolenia ze spotkania z wrogiem jego króla. William od razu to zauważył, ale próbował wpłynąć na to wrażenie, szukając elementów, które ich łączyły. Najwyraźniej jednak nie mogło być

dwóch bardziej różniących się od siebie mężczyzn, bo podczas gdy komisarz reprezentował kastylijską surowość, charakter Williama był nieprzewidywalny i zmysłowy.

– Don Miguel, rozumiem waszą oschłość w stosunku do mnie – rzekł William, odsuwając od siebie talerz, na którym zostały tylko ości po pieczonej rybie. – Ale powiem wam z głębi serca, że spory pomiędzy naszymi królami wcale mnie nie zajmują. Anglicy czy Hiszpanie, panowie czy słudzy... życie to tylko gra masek, mój przyjacielu.

Komisarz zamrugął, początkowo zdziwiony tą myślą rzuconą przez Anglika, ale zaraz zrozumiał, jakiego rodzaju człowieka ma przed sobą. Tych dwóch mężczyzn łączyło coś, co posiada niewiele osób: zdolność zaglądania do wnętrza rzeczy, w ich istotę, ukrytą za widzialną formą.

– A więc i wy jesteście poetą, don Williamie. Bo nie powiecie mi, że to efekt pisania listów – rzekł Miguel, wskazując na plamy atramentu na mankietach Anglika.

– Nie, macie rację. Przyznaję. – Uniósł jeden z mankietów, już nie wstydząc się swego biednego ubioru. – To tutaj, to surowiec, z którego powstają sny.

Ostatnie zdanie wypowiedział po angielsku, a Sancho przetłumaczył je, nie mogąc powstrzymać sarkastycznego grymasu.

– Pozwalam sobie nie zgodzić się z naszym gościem, komisarzu. Jedynym surowcem dla snów jest to – rzekł chłopak, dzwoniąc monetami w torbie zawieszanej na pasku.

– A ja nie zgadzam się z żadnym z was. Surowcem, z którego powstają sny, jest nadzieja, bez której ani jedno, ani drugie nie

jest możliwe.

– Nadzieja? – zapytał William. – Nadzieja na co?

– Na wolność – odrzekli Sancho i Miguel niemal jednocześnie.

William pokręcił głową.

– Ludzie lubią mury. Lubią żyć pochowani w wygodnej pewności. Bóg, król i ojczyzna. Będą zabijać, aby tylko nie wyprowadzać ich z błędu.

Zapadła niezręczna cisza, wypełniona nieprzyjemną i przejrzystą trzeźwością. Przez chwilę wszyscy trzej patrzyli na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Dwaj z nich byli nieprzyjaciółmi, ponieważ tak orzekli ich królowie i biskupi. Trzeci był złodziejem, zbiegłym galernikiem, kimś, kto złamał wszelkie zasady.

– Nie ma sensu nad tym dyskutować – rzekł Miguel, wyginając brwi w łuk. – Jesteśmy tylko ludźmi, ulotnymi jak gazy zakonnicy.

William roześmiał się.

– Co was tak rozbawiło?

– Nic takiego, przyjacielu Miguelu. Widać, że nigdy nie byliście w klasztorze. Gazy zakonnic wcale nie są ulotne.

Teraz wszyscy się roześmiali. W tym momencie ci trzej mężczyźni, tak różni, stali się przyjaciółmi. Rozmowa trwała do wczesnych godzin porannych. Sancho, wykończony długim dniem, położył się w końcu na ławie i zasnął.

Miguel wskazał na płaszcz, którym się przykrył. Dobiało spod niego delikatne chrapanie.

– Wy go poznaliście, kiedy był jeszcze dzieckiem, prawda, don Williamie? Jaki był?

Anglik, tym razem wspomagając się gestami, a nawet łaciną, którą obaj nieco znali, zdołał podzielić się swoją opinią.

– To był dobry chłopak, o ciepłym sercu. Ale miał pecha.

Komisarz skinął głową, jak gdyby usłyszał starą piosenkę, której tekst znał na pamięć.

– Zadaję sobie pytanie, jak to się stało, że skończył jako złodziej.

– Obawiam się, że mogę ponosić za to część winy – rzekł William, poruszając się niespokojnie.

Opowiedział Miguelowi, co się stało tego dnia, kiedy wypił drogie wino. O tym, jak Castro zlał Sancha. I o tym, jak się nim zajmował i zabawiał go opowieściami. I jaki ogromny wpływ na chłopaka wywarła legenda Robin Hooda.

– Przypuszczam, że dobra historia może poruszyć nawet najspokojniejszego człowieka – rzekł Anglik, opróżniając dzban. Niezadowolony odstawił go na stół. Dziewczyny z gospody już dawno poszły spać. Tej nocy nie będzie więcej wina.

Kiedy się odwrócił w stronę komisarza, zauważył, że ten utkwiał wzrok w jakimś punkcie na ścianie i wydawało się, że przebywa gdzieś daleko. Mruczał przez zęby coś, czego William nie zrozumiał. Wychwycił tylko słowo „wiatraki”, które nic dla niego nie znaczyło.

– To nie wy zrobiliście z niego złodzieja – rzekł po chwili Miguel. – To było coś, co on nosił w sobie, z niewłaściwych powodów.

– A jednak obawiam się, że przyczyniłem się do tego. I zmusiłem go, by szukał zemsty. Najniższej i najbardziej zbędnej z namiętności.

Miguel się uśmiechnął.

– Zemsta. To ciekawe, don Williamie, ale ostatnio doszła mych uszu tragiczna historia, która przydarzyła się księciu Danii cztery wieki temu...

LXV

Mgła wisiała nad rzeką, a jej szare macki wdzierały się na brzeg, pożerając połowę Arenalu. Statki, kołysane przez przyływ, zdawały się unosić w morzu chmur. Dwaj mężczyźni, którzy czekali na końcu przystani, skulili się, chroniąc się przed wilgocią i zimnem.

– Minęła już chwila, odkąd wybiła druga – rzekł William. – I ani mysz się nie pojawiła.

Sancho otulił się peleryną. Czekali już ponad godzinę. Zdenerwowanie i strach, które czuli na początku, przeszły w znużenie.

– Przyjdzie. Na pewno czeka w pobliskiej karczmie, podczas gdy Groot i któryś z jego zbirów upewniają się, że to nie zasadzka.

Anglik kopnął w deskę przystani, a Sancho poczuł, jak coś ścisnęło mu serce. Powrócił w myślach do przedostatniego dnia życia Bartola. Czekali wówczas razem przed drzwiami domu Malfiniego, kopiąc w ziemię na rozgrzewkę. Dwa dni później Bartolo już nie żył, a on sam znalazł się w więzieniu i czekał na transport na galery.

„Miejmy nadzieję, że tym razem to się lepiej skończy” – pomyślał chłopak, chuchając w dłonie, by odgonić zarówno zimno, jak i złe wróżby.

W końcu mgła przed nimi przybrała pomarańczowawy odcień, a następnie otworzyła się, ukazując cztery postacie wyglądające jak duchy, zbliżające się do nich wzdłuż przystani. Na czele podążał Groot z latarnią w ręku. Szli z zamaskowanymi twarzami, jednak chłopak natychmiast rozpoznał kuśtykanie Vargasa i chwiejny krok Malfiniego. Ostatniej osoby nie udało mu się rozpoznać.

– A jeżeli odkryją, kim jesteście? – zapytał William przestraszonym szeptem.

– Wtedy zrobi się nieprzyjemnie. Cisza, już tu są.

Groot zatrzymał się o kilka kroków od nich. Vargas stanął u boku Flamanda i spojrzał groźnie na Williama.

– Spóźniliście się – rzekł Anglik, starając się przejąć kontrolę nad sytuacją.

Sancho, stojący za nim, zauważył, że dłoń Williama lekko drży. Kupiec zignorował pytanie.

– Kim jest wasz towarzysz?

– To tylko ochrona. Chyba nie sądziliście, że będę czekał tu sam w ciemnościach z tym, co mam przy sobie.

Groot uniósł latarnię, oświetlając twarz Sancha. Ten nie odsunął się, choć przymknął oczy, oślepiony światłem. Vargas przyglądał mu się przez chwilę, która Sanchowi wydała się wiecznością.

– Przynieśliście zapłatę?

Chłopak wypuścił powietrze, które wstrzymywał, nie zdając sobie z tego sprawy. Ukrył swoją twarz pod zarostem, sztucznymi bliznami i wielkim wąsem przyklejonym na smołę. Sztuczki, których nauczył go Bartolo, sprawdzały się, przynajmniej w nocy. Rozluźnił trochę uścisk dłoni na rękojeści rapiera. Musiał się przygotować na to, co miało nastąpić, a napięcie nie będzie w tym pomocne.

– Jest tutaj, zgodnie z umową – rzekł William, wręczając skórzaną teczkę Malfiniemu, który podszedł po nią. Bankier przez dłuższą chwilę studiował dokumenty w świetle latarni, po czym odwrócił się do Vargasa i wyszeptał mu coś do ucha. Kupiec wykonał w stronę Groota jakiś gest, którego Sancho nie potrafił zinterpretować.

Chłopak ponownie poczuł w brzuchu strach. Był przekonany, że zostali zdemaskowani. Skryba, który przygotował fałszywe dokumenty, mógł popełnić tuzin różnych błędów, a oni mogli je przeoczyć. Dla kogoś, kto na co dzień ma do czynienia z takimi dokumentami, te niedoróbki mogły być widoczne jak na dłoni.

Groot postąpił krok naprzód i ponownie uniósł latarnię.

– Idźcie za nami.

Flamand ruszył w głąb przystani. William i Sancho wymienili krótkie spojrzenia. Tamci mogli ich wciągać w pułapkę, a oni nie mogli zrobić nic, by tego uniknąć. W którejkolwiek z setek łodzi przycumowanych w Arenalu mogła się zebrać gromada zbirów gotowych do ataku na nich. Gdyby bliźniacy żyli, mogliby zająć miejsce Sancha, podczas gdy on przeszukałby okolicę. Ale teraz chłopak był sam i pozostawało mu tylko ufać komisarzowi. Starał się nie myśleć o całym szeregu spraw, które mogą pójść źle,

i skoncentrował się na postaci Flamanda. Groot zatrzymał się w połowie przystani, przed galeonem wyglądającym tak samo, jak pół tuzina innych wokół. Dużo wielkich statków kotwiczyło w Sewilli zimą, kiedy pogoda uniemożliwiała dalekie rejsy. Nazwa galeonu, którą tworzyły litery wykute z brązu, widniała na pokładzie rufowym. „Nuestra Señora del Genil”. Sancho za gorzką ironię losu uznał, że imię patronki rodzinnych stron Sancha zdobiło galeon wywożący zboże, tak potrzebne Sewilli. Pod spodem odczytał nazwisko armatora statku i swojego wroga.

– Whimpole, oto statek, tak jak uzgodniliśmy. Wypłynie w ciągu tygodnia, jak tylko potwierdzimy wasze weksle u Piera Luigiego Fortichiariego w Banku del Orso.

– Tak jak uzgodniliśmy.

– Ten człowiek u mego boku to inspektor portowy, to on zadba o to, by statek miał pierwszeństwo przy wyjściu z portu, i by nikt nie sprawdzał jego ładunku. W dokumentacji statku wpisano, że przewozi rudę żelaza do Normandii. Towar został załadowany w beczki, zgodnie z ustaleniami.

William niecierpliwie skinął głową.

– Chciałbym zobaczyć ładunek.

Vargas spojrział na boki, zanim gwizdnął raz przeciągle, a potem trzy razy krótko. Z pokładu wyglądającego na pusty, wysunął się trap, jak ciemny język, i z trzaskiem oparł się o przystań.

Cienie marynarzy, którzy opuścili trap, poruszyły się w ciemnościach. Sancho zadał sobie pytanie, ilu mężczyzn mogło być na pokładzie i gdzie, u diabła, podziewa się komisarz. Już było wiadomo, który to statek. Czy czekał na jakiś sygnał?

– Możecie wejść, Whimpole. Ale wasz ochroniarz zostanie tutaj. Anglik spojrzał na Sancha z niepokojem, co zauważył Vargas.

– Nie macie się czym martwić. Jesteście wśród przyjaciół, odpłacimy wam uczciwością za wasze uczciwe postępowanie.

William zmarszczył nos i postawił stopę na trapie, ale Vargas jeszcze nie skończył mówić.

– Choć chciałbym się dowiedzieć, jakie dokładnie są wasze związki z Bankiem del Orso.

Anglik się odwrócił.

– Ja nie odpowiadam za płatność, mistrzu Vargas. Mój związek jest więc zaden.

– Oczywiście, mogę to sobie wyobrazić, ale mimo wszystko w tych dokumentach jest coś dziwnego. Widzicie, zostały podpisane przez Piera Luigiego Fortichiariego, zarządcę banku. I podpis wygląda na jak najbardziej autentyczny.

Sancho poruszył się niespokojnie, obliczając w myślach odległość dzielącą go od Groota. Będzie musiał przebiec kilka metrów, aby ochronić Williama przed rapierem Flamanda, gdyby ten go zaatakował. Po raz pierwszy od lat wymamrotał modlitwę, aby to wszystko nie poszło na marne.

Pięćdziesiąt escudo, które kosztowały go te podrabiane dokumenty, napięcie, jakie odczuwał, wypytyjąc niezadowolonych pracowników banku w karczmach, szukając takiego, który by pomógł mu stworzyć tę iluzję dokumentu wiarygodną przez kilka minut. Wszystko to może pójść na marne, jeśli William wypowie niewłaściwe słowa.

– Oczywiście, że jest autentyczny! Sądzicie, Vargas, że to jakieś gierki? Za kogo bierzecie wysłannika Jej Królewskiej Mości?

Protest Anglika zakończył się mało godnym skrzykiem, który poniósł się po opustoszałym Arenale i ucichł u stóp murów miejskich.

– Kiedy byłem chłopaczkiem biegającym po ulicach tego miasta w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, był taki mężczyzna, który lubił zabierać dzieciaki do swojego domu – rzekł Vargas. – Zostawiał w drzwiach świeżo wypieczone bochenki chleba, czekając, aż jakiś chłopak będzie przechodził i przyciągnie go zapach chleba. Od niego się nauczyłem, że jeżeli coś bardzo dobrze pachnie i wydaje się tak łatwe do zdobycia, często okazuje się oszustwem. Groot.

Flamand wyjął rapier z pochwy. Sancho zrobił to samo. Żaden z nich się nie ruszył, choć Groot stał znacznie bliżej Williama.

– Co ma znaczyć ta insynuacja?

– To wy mi powiedzcie, Whimpole. Wyjaśnijcie mi to, a także jak to możliwe, że Fortichiari podpisał ten weksel trzy tygodnie temu, podczas gdy jeden z moich kontrahentów potwierdził, że od jego śmierci minął już ponad miesiąc.

„Cholera” – pomyślał Sancho, rzucając się naprzód. Malfini usunął mu się z drogi, z oczami pełnymi łez, ale inspektor portowy próbował mu przeszkodzić, jednocześnie usiłując wyjąć sztylet z pochwy u pasa, który teraz się o coś zaczepił. Choć mógł go bez trudu zabić, chłopak wolał się go pozbyć, kopiąc go w brzuch i popychając w przestrzeń między galeonem a przystanią. Inspektor wpadł do wody, wymachując rękami.

– Nie ruszać się – rzekł Groot, który już dopadł Williama. Okrutnie wykręcił mu ramię, zmuszając go do odwrócenia się,

i przyłożył mu rapier do szyi. – Rzućcie rapier albo wasz pan umrze.

Sancho odrzucił w tył pelerynę i zdjął kapelusz, robiąc krok naprzód, w stronę latarni, którą Flamand wciąż trzymał w lewej dłoni.

– Zdaje się, że niewłaściwie oceniliście sytuację, kapitanie. Ten nieszczęśnik to tylko pospolity aktorzyzna – rzekł Sancho, wbijając wzrok w Vargasa.

– To wy! – kupiec zrobił krok w tył, rozpoznawszy głos. W jego głosie czaił się strach.

– Powiedziałem wam, że was zniszczę, Vargas. Na oczach całego miasta.

– Stać! Oddać się w ręce sprawiedliwości. Stać w imieniu króla!

Na południowym krańcu przystani rozległy się krzyki strażników. Biegli w ich stronę, z Cervantesem na czele, pochodniami w dłoniach i rapierami wyjętymi z pochew.

– Już idą, Vargas – rzekł Sancho z kpiącym uśmiechem. – Wiedzą, kim jesteś. Wiedzą, że zdradziłeś swój lud i sprzedałeś swój kraj.

– Przeklęty sukinsyn. To nie jest prawdziwy szpieg angielski!

– Ale nim będzie, jeżeli Groot go zabije. Trupy nie mówią.

Vargas przez chwilę bił się z myślami, aż w końcu zrozumiał, że Sancho ma rację.

– Puśćcie go, kapitanie – rzekł lodowatym tonem.

– Ależ, panie... – zaprotestował Flamand.

– Powiedziałem, że macie go puścić. Idziemy stąd.

Groot przesunął się w bok, ale Sancho postąpił dwa kroki naprzód, wchodząc w zasięg jego rapiera. Tylko ciało Williama

stało im teraz na drodze, uniemożliwiając skrzyżowanie broni. Kapitan, widząc, że strażnicy się zbliżają, pchnął Anglika na Sancha i ruszył biegiem za Vargasem, który już kuśtykał na północ Arenalu.

– Wszystko w porządku? – zapytał chłopak, pomagając aktorowi wstać.

Williamowi drżały nogi i był blady, ale dał radę się uśmiechnąć.

– Tak, tak. Nie pozwólcie im uciec.

Sancho odwrócił się i zobaczył Malfiniego, który próbował się ukryć wśród stosów koszy rybackich złożonych między przystanią a Arenalem. Podszedł do niego i pociągnął go mocno za pelerynę. Grubas upadł w tył jak ścięte drzewo i został tak, leżąc na ziemi, z ostrzem rapiera Sancha opartym o nos.

– Zostaniecie tutaj, Malfini, i dacie się pojmać. Bo strażnicy będą łagodniejsi niż ja. Zrozumiano?

Tłusty genuńczyk skinął głową, a Sancho pomknął w górę przystani w pogoni za uciekinierami. Tempo Vargasa było tak wolne, że pościg szybko by się zakończył, gdyby nie to, że konie, na których tutaj przybył wraz ze swoją świtą, stały wciąż przywiązane do jakichś desek. Były trzy. Vargas z pomocą Groota dosiadał właśnie najmniejszego, kiedy z mgły wyłonił się Sancho. Flamand zaklął i uderzył konia w zad – zwierzę ruszyło jak wystrzelone z procy. Groot z zimną krwią wskoczył na najwyższego konia i kiedy już na nim siedział, jednym pchnięciem przebił oko ostatniego. Zwierzę, śmiertelnie ranne, upadło u stóp Sancha – chłopak musiał uskoczyć, aby trup go nie przygniótł.

Nie mając czasu do stracenia, okrążył ciało konia i biegł dalej. Kapitan zdobył już nad nim ogromną przewagę, ale miał jeszcze

przed sobą miejsce, w którym będzie musiał prowadzić konia bardzo wolno. Vargas dojechał już do Puente de Barcas i dyskutował ze strażnikami strzegącymi mostu w nocy. Sancho, będąc w połowie drogi, zobaczył, jak dojeżdża do nich Groot, zeskakuje z konia i przebija rapierem pierwszego ze strażników. Drugi próbuje się bronić, ale nie ma szans z Flamandem i pada kilka chwil później.

Z sercem walącym w piersi jak młotem i z palącymi płucami, Sancho zatrzymał się, dobiegłszy do wejścia na most. Vargas już zsiadł z konia i chwycił oba zwierzęta za wodze, prowadząc je ostrożnie przez most, kołysząc się zdradliwie ponad potężnymi wodami Betisu.

Przed sobą zobaczył Groota, kryjącego odwrót swojego pana. Flamand czekał na niego.

Sancho ledwie oddychał po tym szalonym pościgu i potrzebował kilku chwil, aby odzyskać oddech. Oparł dłonie na kolanach. Groot uśmiechnął się okrutnie i wszedł na most, wykorzystując tę chwilę, którą dawał mu jego prześladowca. Nie patrzył w tył. Kroki Sancha na lichej drewnianej konstrukcji i tak dadzą mu znać, kiedy ten ponownie znajdzie się za nim.

„Jeżeli dotrą do końca mostu, ruszą galopem. Ktoś taki jak Vargas z pewnością ma gdzieś ukryte pieniądze. Uciekną z Sewilli i nikt już nigdy ich nie odnajdzie”.

Sancho się wyprostował i wszedł na most. Ledwie widział wodę pod nim przez gęstą mgłę, która kładła się miejscami na budowli, przykrywając je zupełnie. Przed sobą usłyszał nerwowe rzenie koni prowadzonych przez Vargasa.

Flamand odwrócił się, kiedy Sancho się zbliżył. Czekał na niego, stojąc na prostych nogach, w dziwnej jak na szermierza postawie. Sancho nigdy nie widział nikogo, kto by w ten sposób walczył, ani taką bronią. W bladym świetle latarni u wejścia na most ogromny rapier kapitana wydawał się jeszcze większy i groźniejszy – klinga miała czubek dużo szerszy niż środek.

Skrzyżowali żelazo dwa razy i Sancho poczuł, jak gdyby uderzał w ścianę. Brutalna siła Groota była niesamowita, a jego panowanie nad rapierem niewiele jej ustępowało. Sancho wykonał swoje najlepsze kombinacje pchnięć, ale wszystkie na marne. Zasięg broni kapitana był dużo większy niż jego rapiera. Postawa Flamanda, która dla kogoś słabszego od niego byłaby samobójcza, nie pozwalała Sanchowi ani zbliżyć się wystarczająco, ani poszukać drogi dostępu. Koń Vargasa doszedł już niemal do drugiego końca mostu.

– Cóż to, *smeerlap*? Nikt cię nie nauczył korzystać z tego twojego szpikulca?

Sancho rozwścieczony ruszył na czwartą Groota, ale Flamand był zręczniejszy i zrobił krok naprzód, przenosząc ciężar ciała z jednej strony na drugą i przechodząc do kontrataku. Sancho obronił się w pierwszej, odpierając dwa pchnięcia, ale ostatnie, wyprowadzone w stronę jego twarzy, zmusiło go do obrotu wokół własnej osi. Jego lewa stopa na chwilę zatańczyła w powietrzu, a Groot wciąż atakował.

Z okrzykiem frustracji chłopak poleciał w tył i pochłonęła go lodowata woda.

LXVI

Prąd rzeki był tak silny, a ubranie Sancha tak ciężkie, że minęło kilka dobrych minut, nim zaczął kontrolować, dokąd płynie. We mgle i ciemnościach było kwestią czystego szczęścia, że przez moment dostrzegł znicze płonące zawsze na szczycie Złotej Wieży. Znów stracił orientację, ale za wieżą rzeka skręcała gwałtownie na zachód. Tam Sanchowi udało się dotrzeć do brzegu. Był skostniały, skrajnie wyczerpany i trząśł się z wściekłości.

W tym miejscu brzeg był stromy i porośnięty roślinnością, więc zajęło mu dobrą chwilę, nim zdołał wydostać się z wody, a kiedy to mu się udało, był tak wykończony, że ledwo mógł zrobić krok. Wszystkie mięśnie jego ciała błagały, by się położył na ziemi i zasnął, ale wiedział, że jeśli to zrobi, do świtu będzie martwy. Musiał się ruszać.

Kiedy szedł, wiatr przyklejał przemoczone ubranie do jego ciała i ciął po policzkach, aż zaczął szcząkać zębami. Nie miał czym rozpalić ognia, by się rozgrzać, a bramy miasta o tej porze z pewnością były zamknięte. Nie mógł też zaryzykować powrotu na przystań, teraz na pewno pełną strażników. Któryś z nich mógłby go rozpoznać, a nie miał wątpliwości, że jest poszukiwany.

Jego plan od początku zakładał, że rozplynie się w ciemnościach, kiedy już pojawi się komisarz z przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości, ponieważ wyrok skazujący go na galery wciąż wisiał nad jego głową, teraz dodatkowo obciążony ucieczką. Nie wiedział też, jakie oskarżenia wysunął przeciwko niemu Vargas, ani co strażnikom powiedział Zachariasz. Ślepiec zasługiwał na nauczkę, a Sancho już zbyt długo odsuwał ją w czasie. Ale jeszcze nie tej nocy. Dziś nie zajdzie zbyt daleko.

Przeszedł przez kamienny mostek na strumieniu Tagarete, który łączył się z rzeką Betis u stóp Złotej Wieży, i szedł dalej, przywarłszy za stoczną do murów, aż dotarł do tajnego wejścia prowadzącego do kryjówki Bartola. Skostniałymi palcami namacał krawędzie kamienia zasłaniającego otwór prowadzący do środka, i zdał sobie sprawę, że prawie nie ma czucia w dłoniach. Pocierał nimi o siebie przez chwilę, by odzyskać zdolność poruszania palcami. Dopiero wtedy udało mu się wyjąć kamień i wcisnąć w wąski tunel. Nawet nie zasłonił z powrotem wyjścia. W tej chwili mógł myśleć tylko o hubce i krzesiwie, które miały uratować mu życie.

Rozpalenie ognia w zupełnych ciemnościach kryjówki, ze skostniałymi dłońmi, było najtrudniejszym i najbardziej frustrującym zadaniem, jakie Sancho miał do wykonania w całym swoim życiu. Stracił rachubę, ile razy próbował wykrzesać iskrę i trafić w niewielką garść suchej słomy, jedyną, jaką miał, i której starał się nie zmoczyć, choć jego odzienie wciąż ociekało wodą. Minęła może godzina, może trzy, Sancho nie potrafił tego ocenić. Kiedy w końcu udało mu się rozpaścić niewielki i drżący płomień, osłaniał go dłońmi tak długo, aż ponownie poczuł palce i mógł

nimi poruszyć. Wtedy dołożył do ognia całe drewno, jakie znajdowało się w kryjówce, rozebrał się do naga i położył się na łóżku, przykrywając się zawszonym pledem. Zaraz też zapadł w gorączkowy, pełen halucynacji i koszmarów sen.

Obudziwszy się, stwierdził, że odzienie, które rozwiesił przy ogniu, było już suche. Ubrał się powoli, wciąż jeszcze wykończony i z obolałymi mięśniami. Głowę miał rozpaloną, jednak już nie tak bardzo, jak w nocy.

Było późne popołudnie, kiedy wyszedł z kryjówki. Ruszył w stronę gospody, gdzie czekał na niego Josué. Musiał przedostać się na drugi koniec miasta, a na każdym rogu i na każdym placu napotykał grupki osób rozmawiające o tym, co się wydarzyło o świcie na przystani. Nienawiść unosiła się nad nimi jak kłęby trującego dymu. Sancho się uśmiechnął. Może i Vargas uciekł przed karą, ale Sanchowi udało się chociaż na zawsze zniszczyć jego reputację. Kupiec nigdy nie odważy się tutaj wrócić.

A Sancho w końcu, po tak długim czasie, będzie mógł odpocząć. Będzie mógł być sobą.

Do gospody dotarł o zachodzie słońca. Jakież było jego zdziwienie, kiedy zobaczył w izbie Miguela siedzącego z Josué. Obaj wstali, zobaczywszy go, i podbiegli go uściskać.

– Boże, dajcie mi coś do jedzenia. Nawet nie wiecie, przez co przeszedłem.

„Wyglądasz okropnie. Jakby cię koza wyrzygała” – rzekł Josué.

Sancho zaśmiał się, bez sił, i zajął się pałaszowaniem sera, ciepłej zupy i piciem wina, które z pobliskiej karczmy przyniósł komisarz.

– Wasz przyjaciel, inspektor portowy, wyszedł z wody ze złamaną ręką, a Malfini zabrudził sobie spodnie. To były największe zdobycze wczorajszej zasadzki, ponieważ z załogą statku niewiele można zrobić. No i, oczywiście, przejęliśmy pszenicę.

– Była na statku?

– Do ostatniego ziarnka. Już jest w drodze do spichlerza przy ulicy Menesteres, gdzie zostanie wydana piekarniom za zwykłą cenę sprzed miesiąca. Jutro w Sewilli znów będzie chleb, Sancho. A wszystko to dzięki wam. Dopilnuję, żeby król Filip się o tym dowiedział.

– To wy wykryliście spisek, don Miguelu. To wam pomoże w karierze. A ja nie chcę, by o mnie wspomiano.

– Ale to mogłoby oczyścić wasze imię, zdjęć z was wyrok.

– Tam, dokąd się wybieramy, nie ma to większego znaczenia, komisarzu. A ryzyko, że ten ruch nie wyjdzie dobrze i znowu trafię na galery dzięki komuś podobnemu do Vargasa, który przeze mnie został zrujnowany, jest zbyt duże. Zostawmy wszystko tak, jak jest.

– Jak chcecie – rzekł Miguel, ale wyglądał na zmartwionego tą decyzją Sancha.

– Co będzie z Vargasem?

– Będzie musiał stanąć przed wymiarem sprawiedliwości, jeżeli go odnajdziemy. Najbardziej prawdopodobne jest to, że zniknie na zawsze. Wie, że tutaj czeka go stryczek albo coś gorszego. Nie mówiąc już o tym, co się zdarzyło dziś rano w jego domu...

Usłyszawszy to, Sancho wypuścił z dłoni łyżkę i złapał komisarza za ramię.

– O czym mówicie?

– To było do przewidzenia, chłopcze. Pospólstwo oszalało, kiedy rozeszła się wieść o tym, co zrobił Vargas. Zaatakowali jego dom, wyrzucili jego meble i podpalili je. Niektórzy jego służący zginęli.

– Jacy? Czy jakaś kobieta?

– Nie wiem. Można wiedzieć, cóż się z wami, u diabła, dzieje?

Sancho nawet się nie pożegnał, wybiegł z gospody i puścił się pędem w stronę apteki Clary. To było niemożliwe, nie rozmawiały ze sobą od dłuższego czasu, a ona nie chodziła do tego domu, ale co, jeśli zdecydowała się odwiedzić matkę właśnie tego dnia? A jeżeli usłyszała plotki i poszła do niej, by sprawdzić, czy nic jej się nie stało? Mogła utknąć gdzieś pomiędzy motłochem a służbą Vargasa.

Chory z niepokoju, przeskoczył przez mur i przeciął ogród. Wbiegł do domu, krzycząc, ale odpowiedziało mu tylko echo. Dom był pusty.

A na ladzie zobaczył zapisany schludnym pismem kawałek papieru, przybity nożem, który Clara trzymała tam dla ochrony przed nieproszonymi gośćmi. Sancho przeczytał raz i drugi, nie dowierzając, wściekły i ze ściśniętym sercem.

Usłyszał kołatanie do drzwi. Otworzył je, blady. To byli komisarz i Josué.

„Wiedziałem, że tutaj cię znajdę” – rzekł czarny.

– Co się stało?

Sancho pokazał im liścik.

– To Vargas. Zabrał Clare.

LXVII

Nie było sensu płakać nad rozlanym mlekiem, ale w miarę, jak Sancho rozpamiętywał zdarzenia minionych dni, ogarniała go czarna rozpacz.

„To na pewno sprawka ślepcy” – rzekł Josué, marszcząc brwi. Czarny nie był skłonny do okazywania gniewu, ale zimna wściekłość widoczna w jego oczach wskazywała na uczucie, jakim darzył Clarę. W czasie, który spędzili w aptece po śmierci bliźniaków, młoda niewolnica bardzo dobrze go traktowała, a i dzielili się zwierzeniami, o czym Sancho nie pamiętał. Dziewczyna trochę się nauczyła języka migowego, który Sancho i Josué stworzyli na galerach, co dało Josuému wiele satysfakcji.

– Zachariasz nic o niej nie wiedział.

„Wszyscy o niej wiedzieliśmy. Tego dnia, kiedy zostałeś ranny i zniknąłeś, bliźniacy poszli za tobą aż pod jej dom. Powiedzieli nam, gdzie poszedłeś. A potem znikasz niemal codziennie, to mogła być tylko kobieta” – odrzekł Josué.

Sancho przeklął sam siebie za to, że był tak głupi, by wierzyć, że zdoła utrzymać w tajemnicy swój związek z Clarą, a tym bardziej że zapewni jej bezpieczeństwo. Gdyby zajął się Zachariaszem

zaraz po tym, jak ich zdradził, ten nie wygadałby Vargasowi, że Sancha coś łączy z Clarą. A z tego, co powiedziała mu dziewczyna, wynikało, że kupiec tylko czeka na właściwy moment, by wyrównać z nią rachunki. Powinien był odesłać ją gdzieś daleko już dawno temu, pomóc w spłaceniu długu, który miała wobec Vargasa, zanim go zaatakował.

„Nie zgodziłaby się na to – rzekł Josué, odgadując jego myśli. – Chciała tego dokonać sama”.

Chłopak niechętnie skinął głową. Choć przyjaciel miał rację, nie łagodziło to jego obecnego cierpienia. Opadł na krzesło, które Clara trzymała obok lady.

– Sancho, czy mogę zobaczyć liścik?

Chłopak wręczył mu kartkę przedziurawioną pośrodku nożem. Miguel przeczytał ją powoli, obracając w palcach.

„Muszę ci pogratulować, osiągnąłeś to, co mi obiecałeś. Teraz ja ci coś obiecuję: jeżeli nie przyniesiesz dwudziestu tysięcy escudo do Rzeźni w niedzielę w południe, zabiję tę dziwkę. V.”

– Zapewne uwierzył w legendę Czarnych Duchów, najzuchwalszych złodziei w Sewilli – rzekł Miguel. – Plotki krążą po ulicach. Przechodząc z ust do ust, rosną, aż w końcu zaczynają żyć własnym życiem. – Albo ten sukinsyn chce tylko mnie zranić.

– Dziś poniedziałek. Mamy sześć dni na to, by zdobyć pieniądze.

Chłopak z rozpaczą westchnął.

– Nie rozumiecie, nikt nie zdoła tyle ukraść. Ona już jest martwa!

Komisarz złapał go za kaftan i podniósł z krzesła, zmuszając, by spojrzał mu w oczy.

– Posłuchaj, chłopcze. Przez całe życie, przez całe twoje życie walczyłeś z tym, co nieuniknione. Przeżyłeś zarazę, przetrwałeś na ulicach Sewilli, przeżyłeś baty od swoich panów i nadzorców. Wyszedłeś cało z katastrofy statku i pokonałeś Króla Złodziei. Twoim przeznaczeniem było umrzeć, ale ty raz po raz temu zaprzeczałeś.

Miguel zamilkł na chwilę, zastanawiając się, czy zdradzić mu sekret, który nosił w sobie od dnia, kiedy spotkał Sancha w szulerni Kwiaciarza. Zaciśnął usta i odetchnął głęboko. W końcu wyrzucił to z siebie.

– Nie po to wyciągnąłem cię z tej płonącej oberży, by teraz patrzeć, jak poddajesz się, nie podejmując nawet próby.

Sancho spojrział na niego zdumiony.

– To byliście wy! Wiedziałem! Wiedziałem, że kogoś mi przypominacie! Wieźliście mnie na grzbiecie waszego konia i... – przerwał, próbując zapełnić luki w swojej pamięci.

– ...i przywiozłem cię do Sewilli, gdzie zapłaciłem bratu Lorenzo sześć złotych escudo za twoje utrzymanie. Spraw, bym tego nie pożałował.

Teraz Sancho chwycił go mocno za połą kaftana. Jego poczucie porażki zamieniło się w gniew.

– Sądzicie, że zamierzam ją zostawić? Pojadę do Rzeźni i umrę za nią! – wrzasnął. – Ale nie mówcie mi, że mogę ją uwolnić, ponieważ to jest niemożliwe!

– Nie ma rzeczy niemożliwych.

Puścili swoje kaftany i Sancho znów opadł na krzesło z twarzą ukrytą w dłoniach, próbując myśleć.

– Jest tylko jedno miejsce w tym mieście, gdzie jest tyle pieniędzy... – rzekł Sancho chwilę później, unosząc nagle głowę. – Ale to miejsce nie do zdobycia.

Komisarz skinął głową z poważnym wyrazem twarzy. Już się domyślił, o jakim miejscu mówi Sancho.

– To tylko budynek. Ma więcej zamków i strażników, ale... Cóż to byłby za złodziej, gdyby bał się budynku?

We wtorek komisarz odwiedził wybrany cel.

Miguel pięć razy uciekł z niewoli u Turków w Algierze. Był człowiekiem o inteligencji tak ostrej jak klinga jego rapiera, choć wolał działać w ciszy, niż publicznie demonstrować swoje przymioty. Dostrzegał szczegóły tam, gdzie inni widzieli tylko powierzchnię, i to sprawiało, że był właściwym człowiekiem, by rozpoznać teren. To miał być jego jedyny wkład w tę sprawę. Sancho się wahał.

– Jesteście uczciwym człowiekiem, don Miguelu. Człowiekiem króla. Nie mogę was w to mieszać.

– Synu, nie przychodzi mi do głowy nic bardziej szlachetnego, jak pomoc kobiecie w niebezpieczeństwie.

Jednak przyjął warunek, który postawił mu Sancho, bo w głębi duszy straszliwie bał się ponownej utraty wolności. A taki będzie efekt tego przedsięwzięcia, Miguel nabrał co do tego pewności, spędziwszy chwilę wewnątrz Mennicy Królewskiej.

Przechodził obok niej wiele razy, nie zadając sobie pytania, czy jest to miejsce, do którego wstęp jest wolny. Wejście przez grube drewniane drzwi, wzmocnione ciężkimi stalowymi płytami, znajdowało się na placu Mistrza Rodriga, pomiędzy Puerta del Carbón i Puerta de Jerez. Strzeżona przez Srebrną Wieżę

Mennica Królewska stanowiła zespół budowli połączonych z murami miejskimi. Mury w tej części miasta przechodziły w ogromną przyporę, która kończyła się na Złotej Wieży, symbolu władzy imperium hiszpańskiego. „Bez kruszcu z Indii cała ta wielkość zniknęłaby w okamgnieniu” – pomyślał Miguel.

Jednak wciąż były pieniądze na opłacenie strażników, takich jak ci stojący przy wejściu do kompleksu, i na wznoszenie wspaniałych budynków, takich jak ten, ukończony trzy lata temu. W jego skład wchodził nowoczesny plac Mincerzy, wokół którego toczyło się życie rzemieślników. Komisarz włożył swoje najlepsze ubranie, więc nikogo nie zdziwiła jego obecność w tym miejscu – wyglądał jak jeden z urzędników, którzy często je odwiedzali. Pracujący tam rzemieślnicy byli zbyt zajęci swoimi sprawami, przemieszczając się jak mrówki z jednego krańca dziedzińca na drugi. Przewozili worki z rudą, zajmowali się jej myciem i ostrzeniem narzędzi, a w międzyczasie posilali się wspólnie w słońcu.

Miguel usiadł na brzegu fontanny stojącej na samym środku placu i przyglądał się uważnie rzędowi niewielkich sklepików. Żywność, ubrania, nawet święte obrazki. Na piętrze były też mieszkania dla rzemieślników i sklepikarzy. To miejsce było jak miniatura zamku i ci, którzy tutaj mieszkali, poza wyjściem na mszę w ogóle nie musieli opuszczać terenu kompleksu.

„Filip jest inteligentnym człowiekiem – pomyślał Miguel. – Otoczył wygodami tych, którzy dbają o jego władzę, i na wszystkim umieścił swój znak”.

Herb króla był widoczny wszędzie. Na drzwiach, na szyldach sklepów, a nawet, stwierdził ze zdziwieniem komisarz, na

trzonkach narzędzi rzemieślników. Doskonały sposób, by zdobyć sobie lojalność tych ludzi i upewnić się, że przetopią aż do ostatniego grama kruszec na monety na użytek jego wojsk.

„Nikt też tu nie wejdzie siłą, nie przez te ogromne wrota w martwym punkcie placu, tak łatwym do obrony. Ani przez te ogromne mury. A potem jeszcze trzeba w labiryncie budynków i drzwi po wschodniej stronie znaleźć miejsce, w którym przechowuje się złoto. To nie będzie łatwe”.

Z tym ostatnim poradził sobie najszybciej. Na jednym z krańców placu stał nieoznakowany budynek o grubych drzwiach, przez które co jakiś czas przechodził rzemieślnik w słusznym wieku, popychając wózek przykryty czarną tkaniną. Miguel założył, że to tam mieści się Skarbiec, i ogarnęło go rozczarowanie. To był budynek nie do zdobycia. Oddział straży przy wejściu z pewnością strzegł go bez przerwy, tak jak i ten pilnujący dostępu z ulicy.

Zniechęcony poszedł do jednego z budynków na zachodnim skrzydle, aby coś zjeść i się wzmocnić. Znalazł małą karczmę, niewiele większą od kramu, gdzie nalano mu gulaszu z glinianego garnka. Karczmarz wytarł jedną z łyżek o fartuch zawiązany na szyi, nim położył ją na talerzu Miguela.

Choć komisarz jadł bardziej z obowiązku i aby przedłużyć swą obecność w tym miejscu, zdziwił się, bo gulasz był smaczny. Tłuszcz wypływający z flaczków i pikantny smak kiełbasy w ten zimny poranek przywróciły mu wolę walki.

– Przyjechaliście w sprawie centenów? – zapytał karczmarz.

Miguel podniósł głowę znad talerza i spojrzał na karczmarza. Mężczyzna wyglądał na znudzonego i chętnego do rozmowy,

a w jego pytaniu raczej nie było podejrzliwości. Zdecydował się udawać, może dzięki temu zdobędzie jakieś informacje.

– A jakże. Na zlecenie Jego Królewskiej Mości. Ale nie mogę o tym rozprawiać.

– Aaa, dobry urzędnik. Ale my tutaj wszyscy jesteśmy rodziną. Trudno utrzymać jakiś sekret w Mennicy. Nowy mistrz już skończył pracę nad formami i rozpoczął produkcję zgodnie z rozkazem Filipa. Dziwny z niego typ, jeśli wiecie, co mam na myśli.

– Będę z nim miał problemy?

– Nie, nie sędzę. Jest raczej nieśmiały, nie lubi towarzystwa innych osób. Nigdy nie wychodzi ze swojego warsztatu, tylko jego czeladnik przychodzi tutaj po jedzenie – podszedł do Miguela i kontynuował konspiracyjnym szeptem: – Woli moją kuchnię niż z tej drugiej karczmy, Jiméneza. Widać, że wy przybyliście do Mennicy po raz pierwszy, ponieważ jeszcze nie wiecie, jakie pomyje tam podają...

Miguel się uśmiechnął.

– Rozumiem. Dziękuję wam za ostrzeżenie, będę uważał. Mówicie, że gdzie znajdę mincmistrza?

– Wejdziecie po schodach we wschodnim skrzydle, pod arkadą. Na drugim piętrze, ostatnie drzwi w głębi. Na pewno traficie, dym siarki was poprowadzi. Tylko on stosuje stare metody do wykonywania form. Pozostali już z nich nie korzystają.

– Dużo wiecie o formach.

– To niemal jedyny temat moich rozmów z klientami, panie. Dobrego dnia!

Miguel wstał, zamierzając wyjść, ale w połowie drogi zawrócił i wziął niewielki kawałek chleba, który został na stole.

– Będzie na później – rzekł, uśmiechając się.

Karczmarz spojrzał na niego poirytowany, a Miguel domyślił się, że ten już zamierzał wrzucić chleb do gulaszu, aby go zagęścić.

– Oczywiście, panie. Zapraszam ponownie.

Komisarz wyszedł i ruszył w roztargnieniu przez plac. Kiedy dotarł do miejsca przy murach, gdzie obmywano kruszec, przeskoczył przez kanał odwadniający. Kawałek chleba, który miał w dłoni, spadł do wody.

– Mogę w czymś wam pomóc? – rzekł jeden z rzemieślników, nie rozumiejąc, po co Miguel podszedł tak blisko stanowisk płukania.

– Nie, wielkie dzięki, panie. Już zakończyłem swoją misję – odrzekł Miguel, przyglądając się, jak kawałek chleba znika w otworze w murze.

LXVIII

Sancho zadrżał z zimna. Wiedział, co będzie dalej. Zimny uścisk wody, jakby tysiąc lodowatych igieł. Wrażenie ciężkości członków, strach, chęć poddania się. Przeżył to wszystko zaledwie dwa dni temu i nie chciał ponownie przez to przechodzić.

Ale nie miał innego wyjścia.

„Nie modlisz się, Sancho?” – zapytał Josué.

Chłopak pokręcił głową.

– Nie sądzę, aby jakikolwiek Bóg, do którego warto byłoby się modlić, zechciał nam pomóc w tym, co zamierzamy zrobić.

Josué wykrzywił twarz w jednym z tych swoich uśmiechów, które mogły oznaczać zarówno solidarność, jak i współczucie. Sancho zawsze odwzajemniał uśmiech, ale tym razem nie miał nastroju.

To wszystko było jednym wielkim szaleństwem i tak też powiedział komisarzowi.

– Kawalek chleba? Mówicie serio, don Miguelu? Na tej podstawie wyśłacie nas obu tam do środka?

– Uspokójcie się, chłopcze. W więzieniu w Algierze poznałem pewnego sapersa, który mnie sporo nauczył na temat wody i jej

małych sztuczek. Dzięki niemu udało nam się uciec za pierwszym razem. Dotarliśmy aż do wejścia do portu, gdzie czekała na nas łódka. Niestety, razem ze strażnikami.

– Don Miguelu...

– Kawałek chleba zniknął między kratami i było tam wystarczająco dużo wolnego miejsca. Będziecie mogli oddychać.

Plan był prosty. Odkryć, gdzie kończy się kanał odpływowy, który zaczynał się w Tagarete. Dostać się do środka i stamtąd, pod murem, aż na sam plac.

Jak każdy z pozoru prosty plan, skomplikował się straszliwie, gdy tylko przeszli do fazy realizacji. Musieli odnaleźć punkt, w którym woda z kanału wpada do strumyka, ale to było jak szukanie igły w stogu siana. Przy murach w tym miejscu gęsto rosły krzaki, a nad ich głowami co pół godziny przechodziły patrole straży. Tak więc poszukiwanie otworu stało się nieprzyjemną zabawą w chowanego.

W końcu znaleźli wejście. Było przykryte zardzewiałymi prętami, które nie stawiały większego oporu grubym pilnikom kupionym od kowala przy ulicy Armas. Od tego momentu sprawy zaczęły się komplikować. Kanał był wysoki na tyle, że nawet Josué mieścił się w nim, niemal nie pochylając głowy. Woda sięgała mu nieco poniżej szerokiej piersi. Miała gliniastą barwę i wydzielala ostry, odrzucający zapach. Tworzyła staw, z którego przelewała się do rzeki, w miarę jak pompy pralni wpychały wodę. Jednak spora część odpadów chemicznych i organicznych pozostawała przyklejona do ścian lub opadała na dno. Ledwie dało się tam oddychać, było gorzej niż pod pokładem „San Telmo” w kiepskie dni.

Spędzili w tym smrodzie trzy noce.

Na końcu kanału znaleźli kolejną kratę, która okazała się o wiele większym wyzwaniem. Dolna część kraty znajdowała się głęboko pod wodą i po prostu nie dało się jej przeciąć. Jedynym sposobem było rozebrać się do naga i wejść do wody, by przeciąć górną część krat w miejscu, gdzie kanał był znacznie głębszy i gdzie woda sięgała Sanchowi pod brodę. Tu kraty były dużo grubsze, jednak nie mogli ryzykować użycia piły do ich przecięcia, ponieważ hałas niósłby się na cały plac.

Byli więc zmuszeni używać pilników, cięli powoli i stopniowo. I musieli to robić w środku zimy zanurzeni w lodowatej wodzie, nie mając nawet pewności, że – kiedy nadejdzie właściwy moment – Josué zdoła wyrwać te trzy pręty. Co godzinę wychodzili z kanału na kilka minut, wycierali się przyniesionymi kocami, po czym owijali się w inne, suche, usiłując trochę się ogrzać i marząc o nieosiągalnym ognisku.

Ktoś słabszy lub mniej niż oni nawykły do wyrzeczeń od razu by się poddał. Wiele razy w ciągu tych trzech nocy Sancho zamykał oczy i pragnął śmierci. Ale gdy tylko powieki mu opadały, w jego pamięci rozkwitało wspomnienie Clary i wracał do walki z tymi trzema metalowymi wrogami, tak grubymi, że ledwie starczało mu palca wskazującego i kciuka, by je objąć.

Pierwszy pręt poddał się pilnikowi Josuégo w momencie, gdy Sanchowi pozostało jeszcze do przepiłowania więcej niż szerokość paznokcia. Pokryli miejsce przecięcia mułem, aby rzemieślnicy nie zauważyli niczego w kanale, i kontynuowali, z większym animuszem.

O świcie z czwartku na piątek pilniki Sancha i Josuégo z głuchym brzękiem spotkały się w połowie ostatniego pręta.

– Idziemy. Wrócimy jutro – wyszeptał Sancho.

Następnej nocy, wzmocnieni i wypoczęci, weszli obaj do kanału. Josué szedł pierwszy, a Sancho niósł jego ubranie i przybory na głowie, zawinięte w węzełek, aby się nie zamoczyły.

Josué dotarł do pierwszej kraty, złapał ją obiema rękami i pociągnął mocno. Nie drgnęła. Spróbował ponownie, wkładając w to każdą cząstkę energii, jaka drzemała w jego silnym ciele, przywierając stopami do ściany. W końcu udało mu się odsunąć kratę, zginając ją, i wtedy posłużył się swoim ciężarem, aby wygiąć ją do samego dołu. Powtórzył tę operację jeszcze dwa razy, w zupełnej ciszy, zakłócanej tylko przez płynącą wodę i pluskanie szczurów oraz innych paskudnych stworzeń czających się w ciemności.

Kiedy przejście było już wolne, czarny odwrócił się w stronę przyjaciela.

„Uważaj na siebie”.

„Kiedy będę gotowy, dam sygnał. Od teraz za dwie zmiany warty. Jeżeli się nie pojawię, idź. Zrobisz to?”.

„Tak” – skłamał Josué.

Sancho prześlizgnął się między kratami i wyszedł na zimno panujące na placu. Lodowate powietrze kłuło go nieprzyjemnie w skórę, gdy próbował wysuszyć się przyniesionym pledem. Pozostał tak przez chwilę, owinięty pledem, przywarłszy do stanowisk płukania, w myślach po raz enty przypominając sobie plan, który Miguel narysował mu na kartce papieru.

Najpierw schody.

Włożył koszulę, kaftan i grube czarne spodnie, chroniące również podeszwy stóp. Nie miał na nogach butów, ponieważ te z kompletu wykonanego przez Fanzóna zostały razem z peleryną na dnie rzeki, kiedy Groot zrzucił go do wody. Gdyby ich nie zdjął, na pewno by utonął, a nie miał ani czasu, ani pieniędzy, by zamówić nowe. Obwiązał się długim sznurem.

Wyszedł z za stanowisk płukania, kryjąc się w cieniu murów przed światłem księżyca. Strażnicy stojący przed drzwiami do Skarbca wyglądali na rozbudzonych i skoncentrowanych, a Sancho musiał przemknąć mniej niż trzydzieści metrów od nich. Starał się poruszać jak najwolniej się dało, z sercem ściśniętym za każdym razem, gdy strażnicy spoglądali w jego stronę. Na szczęście mieli przed sobą piec, który nieco ograniczał ich pole widzenia.

Kiedy dotarł do schodów, zdał sobie sprawę z kolejnego problemu. A jeżeli w tej chwili przypada zmiana strażników strzegących drzwi? Mógłby się spotkać z takim patrolem na korytarzach, a to oznaczałoby koniec przygody. Znów spróbował zapomnieć, jak głupie jest to, co robi. Biorąc pod uwagę, jak mało miał informacji, wyjście stąd z życiem będzie zależało wyłącznie od szczęścia. Włożył dłoń do jednej z kieszeni kaftana, muskając opuszkami palców drewnianą figurkę, którą dał mu Bartolo przed śmiercią. To był jedyny amulet, w który wierzył.

Teraz ostatnie drzwi na drugim piętrze.

Korytarze na tym piętrze były wąskie i otoczone balustradami, a na żadnych drzwiach nie widniała tabliczka. Sancho szedł pochylony, z dala od balustrady, jeszcze bardziej zaniepokojony, ponieważ światło księżyca jasno oświetlało tę część budynku.

Przez chwilę zastanowił się, co by było, gdyby karczmarz, z którym rozmawiał komisarz, pomylił się, informując go, jak dotrzeć do warsztatu mincmistrza, lub gdyby Miguel źle coś zrozumiał.

Kiedy znalazł się przed drzwiami, okazało się, że są zamknięte na klucz. Wyjął wytrychy z jednej ze swych ukrytych kieszeni i operował nimi przez chwilę, przeklinając bliskość rzeki, która spowodowała, że metal zaczął już rdzewieć, choć kompleks miał tylko trzy czy cztery lata. W końcu drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem, które dla Sancha zabrzmiało jak krzyk.

Pomieszczenie było ogromne, pełne ławek i przyrządów, których Sancho nigdy w życiu nie widział. W głębi znalazł to, czego szukał: szafę pancerną wbudowaną w ścianę, gdzie mincmistrz zapewne przechowywał owoce swej pracy.

„Nigdy nie wychodzi ze swojego warsztatu”, mówił karczmarz. A przecież zlecono mu produkcję centenów, najcenniejszych monet świata chrześcijańskiego. Każda z nich jest warta sto escudo i tylko ci najbardziej uprzywilejowani zobaczą jedną z nich choć raz w życiu.

Ostrożnie, aby niczego nie przestawić, ani nie zrzucić na ziemię porozkładanych wszędzie narzędzi, Sancho podszedł do szafy. Jej potrójny zamek oparł się wszelkim próbom, a nawet złamał jeden z wytrychów chłopaka. Mając świadomość upływającego czasu i wiedząc, że Josué z pewnością coraz bardziej się denerwuje, Sancho zdał sobie sprawę, że istnieje tylko jeden sposób otwarcia tej szafy.

Poszedł w głąb warsztatu i znalazł drzwi prowadzące do sypialni. Kiedy wszedł, od razu zrozumiał, dlaczego mincmistrz

nigdy nie wychodzi ze swojego warsztatu. W ogromnym łożu leżeli razem jasnowłosy chłopak i dojrzały mężczyzna o długich, siwych, przetłuszczonych włosach. Obaj byli nadzy, a starszy obejmował młodszego.

Sancho ostrym szarpnięciem zerwał pled, którym byli przykryci, i przyłożył sztylet do piersi czeladnika. Kiedy już obaj się obudzili, stary krzyknął cicho, ale Sancho kazał mu zamilknąć.

– Jesteście mincmistrzem.

– Czego chcecie?

– Pytanie brzmi, czego wy chcecie. Macie dwie możliwości.

Mogę zabić waszego młodzieńca i przywiązać was do niego na golasa, a już jutro rano porozmawiacie z inkwizycją. Podoba się wam ta pierwsza możliwość?

Na twarzy starego odmalowało się takie przerażenie, że Sancho poczuł do niego litość. Ale niestety nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Blondynek leżał spokojnie jak zarzynany królik. Nie spuszczał wzroku ze sztyletu opartego na jego piersi.

– Druga opcja jest taka: ubierzecie się, otworzycie szafę, po czym związę was pojedynczo w waszych izbach. Z pewnością ta wyda się wam bardziej do przyjęcia, nieprawda?

Dopiero wtedy stary odważył się przemówić.

– Szafa jest pusta.

– Dobrze, w takim razie nie będziecie mieli nic przeciwko temu, by ją otworzyć, zgadza się?

Stary, z grymasem rozpaczy na twarzy, wstał i się ubrał. Nie odsuwając sztyletu od piersi czeladnika, Sancho kazał mu, aby

włożył sobie chustkę w usta, mocno ją związał i położył się na ziemi.

Następnie kazał blondynkowi się ubrać i związał go prześcieradłami.

– Możecie powiedzieć, że było nas sześciu czy siedmiu. Tym sposobem ocalicie swój honor. Gdzie udajecie, że śpicie?

Blondyn ruchem głowy wskazał na warsztat i Sancho kazał staremu przejść do drugiego pomieszczenia. Mistrz zachowywał się ulegle, ze strachu przed utratą kochanka, choć kiedy ten położył się na łożu, z którego nigdy nie korzystał, z dala od ostrza noża Sancha, jego postawa stała się dużo bardziej wroga. Spojrzał na napastnika z nienawiścią i z pewnością obrzuciłby go obelgami, gdyby nie to, że usta miał zatkane chustką.

– Otwórzcie szafę.

Mistrz rozejrzał się wokół w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu posłużyć za broń. Był silnym mężczyzną i gdyby tylko zdołał złapać jakiś rylec, mógłby zranić Sancha lub co gorsza, zmusić go, by zabił jego.

– Mogę przyciągnąć tutaj waszego młodziaka i uciąć mu tym jaja. Jest tak ostry, że nawet go bardzo nie zaboli. Wolicie to?

Mistrz, pokonany, ukląkł, wyjął klucze, które nosił na szyi i otworzył szafę, ciągnąc delikatnie za uchwyt. Odsunął się na bok, a Sancho schylił się, by zajrzeć do środka. Była tam teczka z dokumentami, kamienne formy monet z różnych krajów i dwa wielkie skórzane wory.

– Wyjmijcie je.

Mincmistrz przecząco pokręcił głową i wykonał ruch ramionami. Sancho zrozumiał. Nie dałby im rady. Worki były zbyt

ciężkie. Kazał mu wrócić do sypialni, gdzie związał go mocno, używając pozostałych prześcieradeł. Mistrz wbił w niego wściekle spojrzenie.

– Siedzicie spokojnie, a wszystko będzie dobrze.

Wrócił do szafy i z trudem wyjął pierwszy wór. Rzeczywiście były strasznie ciężkie. Nie miał innego wyjścia, jak tylko opróżnić je i zabrać tylko tyle monet, ile potrzebował. Przeciął nożem sznury wiążące pierwszy wór i pociągnął za bok, by wysypać zawartość. Monety wysypały się na kamienną podłogę. Sancho wziął jedną z nich w dłoń i zdumiał się. Była duża, o średnicy pomarańczy, bardzo ciężka i bogato grawerowana – z jednej jej strony widniało oblicze króla, a z drugiej jego herb. Sancho poczuł dreszcz, pomyślawszy o tym, co trzymał w dłoni.

Odliczył dwieście takich monet, układając na stole dwadzieścia słupków po dziesięć. Kiedy skończył, wziął jedną z pozostałych i podszedł do blondynka, który wciąż leżał przywiązany za stopy i ręce do swojego pośłania.

– Widzisz to? – rzekł, pochylając się nad nim. Ten skinął głową.
– Nie strać jej z oczu.

Podszedł do ściany i wcisnął centena w otwór między kamieniami, wystarczająco głęboko, aby nie dało się go dostrzec, tylko rzuciwszy okiem.

– Nie wyjmuj go, kiedy strażę cię znajdą, bo potem mogą cię przeszukać. Odczekaj kilka dni. A potem poszukaj sobie innej pracy.

Worek, pozbawiony sporej części zawartości, nie był już tak ciężki. Ale i tak Sancho musiał włożyć sporo wysiłku, by go podnieść i opróżnić, nim położył go na stole. To samo zrobił

z drugim, aż podłoga w całym pomieszczeniu pokryła się złotym kobiercem.

Szybko, szybko.

Był przekonany, że czas, jaki wyznaczył Josuému, już upłynął. Podzielił dwieście monet między dwa worki i zrobił sztyletem dziury w ich górnej części. Przeciągnął przez nie sznur, a następnie przewiesił je sobie przez piersi i plecy tak, że jeden zwisał mu z przodu, a drugi z tyłu. Ciężar i tak był ogromny. Sancho obliczył, że będzie musiał unieść trzy czwarte własnej wagi ciała. Idąc z powrotem korytarzem, ledwie powłóczył nogami, miał ściśnięte płuca i czuł sznury wrzynające się w ramiona.

Ostatnia przeszkoda, mury.

Sancho szedł jak najwolniej się dało, ale i tak z każdym jego krokiem monety podzwaniały delikatnie. W tym tempie, i na dodatek hałasując, nie mógł wracać tą samą drogą, którą tutaj wszedł. Jedynym rozwiązaniem było wdrapać się na najwyższe piętro, tam, gdzie budynek łączył się z murami. Sęk w tym, że odcinek murów prowadzący od Złotej Wieży do Pałacu Królewskiego stale patrolowały straż.

Wejście po schodach było torturą. Kiedy dotarł do najniższego punktu murów i znalazł się w otwartym korytarzu z licznymi drzwiami do pomieszczeń dla służby, z wysiłku szumiało mu w głowie, skronie mu pulsowały. Trwało to dłużej, niż zakładał, więc był przekonany, że przez miejsce, w którym miał zejść, przeszły już co najmniej trzy patrole straży. Problem w tym, że nie wiedział, ile czasu minęło od chwili, gdy przeszedł ostatni, i czy zdąży jeszcze się spuścić w dół, nim nadejdzie kolejny.

Dotarłszy do muru, zdjął worki z piersi i dał sobie chwilę na złapanie oddechu. Krew zaczęła ponownie bez przeszkód dopływać do głowy, wywołując u Sancha uczucie lekkości i euforii. Nie dał się mu jednak ponieść, ponieważ nie miał czasu do stracenia. Wskoczył na mur i usadowił się pomiędzy dwoma blankami, trzymając w rękach jeden z worków. Zawiesił go nad przepaścią, napinając sznur, który obwiązał wokół przedramienia. Następnie zaczął go opuszczać. Zauważył, że sznur rozdziera mu kaftan – po tej nocy będzie już bezużyteczny. Ale i nad tym nie miał czasu się zastanawiać.

W tym miejscu mur miał wysokość sześciu mężczyzn. Kiedy obliczył, że wór powinien być już blisko ziemi, zaczął nim kołysać na boki z nadzieją, że Josué go dostrzeże.

„A jeżeli go tam nie ma? Może się przestraszył i sobie poszedł, albo po prostu zrobił tak, jak mu kazałem i odszedł po drugiej zmianie straży?”

Na chwilę ogarnęły go wątpliwości, aż nagle poczuł, że ciężar, który podtrzymywał, nagle zniknął, jak gdyby za sprawą czarów. Wciągnął sznur do góry, przewiązał drugi wór i rozpoczął ponownie tę samą operację. Worek był już niemal w połowie drogi, kiedy usłyszał głosy.

– Mówię ci, musisz ją wypróbować. W życiu nie miałem takiej kobiety.

Strażnicy dochodzili już do załamania w murze, gdzie znajdował się Sancho. Szli z muszkietami na ramionach i gawędzili bez troski. Nie było czasu, by opuszczać wór, nie mógł też puścić sznura, ponieważ wtedy sam nie miałby jak zejść. Sancho zdesperowany rzucił się z powrotem w korytarz

prowadzący do budynku i przykucnął za progiem. Przywierał plecami do muru, z końcem sznura owiniętym wokół ramienia, i przyciskał jego pozostałą napiętą część do podłoża.

„Niech tylko nie nadepną na sznur. Niech go nie zauważą. Niech przejdą, nie zatrzymując się. Niech tylko nie przyjdzie im do głowy wyskoczyć do wieży po szklaneczkę wina. Boże, ależ to boli!”.

– Z brunetek na Compásie podoba mi się tylko Warszawa Maryńska.

– Ale przydomek ma paskudny.

– I jest brzydka jak sam diabeł, ale co potrafi zrobić językiem...

Jeden ze strażników zatrzymał się, z czubkiem buta oddalonym od sznura Sancha o mniej niż dłoń, gestami opisując swojemu towarzyszowi biegłość Wszawej Maryński w sztuce miłości. Ten drugi śmiał się do rozpuku.

Przyczajony tak blisko nich, że gdyby strażnicy trochę się schylili, mogliby dotknąć jego głowy, Sancho czuł się tak, jak gdyby sznur miał zaraz wyrwać mu ramię. Przygryzł dolną wargę tak mocno, że poczuł strużkę krwi spływającą po szczęce. Wszystko, byle tylko nie myśleć o tym ciężarze.

Stopa strażnika się podniosła, a następnie przesunęła ponownie, coraz bardziej zbliżając się do liny. Musnął ją czubkiem buta, a potem nadepnął delikatnie, nie zwracając na to uwagi. I obaj poszli dalej.

Kiedy głosy już ucichły w oddali, Sancho wstał i opuścił resztę sznura. Lewe ramię zupełnie mu zdrętwiało, i to w najgorszym momencie, ponieważ, aby samemu opuścić się w dół muru, musiał mieć obie ręce sprawne. Przywiązał sznur do blanka, po czym

owinał się nim wokół pasa i przeciągnął go pod ramieniem. Robił to już dziesiątki razy, ale nigdy jedną ręką. To był ogromny wysiłek, kilka razy stracił równowagę i uderzył twarzą w mur. Kiedy był już blisko ziemi i ramiona Josuégo otoczyły go i potem podtrzymywały w drodze do ukrytej w pobliżu łódki, Sancho oddychał ciężko, ale też wypełniała go dzika radość.

„Udało się nam. Weszliśmy tam, gdzie nikt wcześniej nie wszedł i zdobyliśmy pieniądze. I szansę dla Clary”.

LXIX

Wiatr gwizdał wśród skał, kiedy dotarli na szczyt wzgórza.

Odkąd opuścili Castilleję de la Cuesta, minęło niecałe sześć miesięcy, ale tyle rzeczy się zdarzyło w ciągu tego czasu, że kuźnia i jej okolice, które wydawały się niezmiennie, należały do zamierzchłej przeszłości.

Już w połowie wspinaczki wyczuli, że coś jest nie tak. Nawet Josué, choć zajęty kontrolowaniem dosiadanego konia, zauważył, że z komina kuźni nie unosi się dym. Na wschodzie już świtało, a słońce rzucało wydłużone cienie mężczyzn i koni na drogę. O tej porze Dreyer zawsze dzierżył już w dłoni młot.

Przywiązali zwierzęta do koniowiązu nieopodal wejścia. Oba były mocno obciążone, ponieważ poza swoimi panami niosły bardzo ciężkie prowizoryczne skórzane sakwy. Josué dotknął ramienia Sancha i wskazał mu coś za jego plecami.

„Rośnie” – rzekł z uśmiechem.

Drzewko brzoskwiniowe, które Josué zasiał półtora roku temu, przetrwało, wbrew wszelkim przewidywaniom, i teraz już go przewyższało. Jego gałęzie zaczynały się rozrastać. To, że drzewo przeżyło, poruszyło go głęboko.

– Wejdźmy do środka.

„Idź ty” – rzekł Josué.

Sancho zrozumiał, że na czarnym, tak jak i na nim, widok drzewa zrobił duże wrażenie, i chciał побыć przez chwilę sam. Zostawił go więc i poszedł poszukać Dreyera, zadając sobie pytanie, czy kowal jest chory, czy też nie żyje.

To pierwsze okazało się prawdą.

Dreyer leżał w swoim łóżu, blady i z podkrążonymi oczami. Bardzo kaszłał. Kominek był wygaszony. Miał gorące czoło i wysuszone usta.

Kowal dopiero po chwili rozpoznał Sancha, ale wypiwszy odrobinę płynu, poczuł się lepiej i wymówił jego imię. Chwilę później spróbował unieść się na łóżu.

– Sancho, synu. Co tutaj robisz?

– Potrzebujemy gdzieś się schronić do jutra, mistrzu.

– Wpakowałeś się w jakieś tarapaty?

– Nie takie, z jakich nie moglibyśmy wyjść, mam nadzieję – odrzekł Sancho, nie chcąc go martwić. – Odpoczywajcie, Josué i ja zajmiemy się wami.

Kowal musiał już od dłuższego czasu być chory, bo w jego spiżarni nie było wiele zapasów. Sancho doszedł do wniosku, że Dreyer ma bezdusznych sąsiadów, skoro pozwolili, by znalazł się w takim stanie. Ale zaraz przyszło mu do głowy, że przy tak straszliwym głodzie, jaki panował tej zimy, może to i lepiej, że go zostawili w spokoju. Gdyby nie bali się tutaj podejść, to biorąc pod uwagę stan, w jakim znajdował się Dreyer, ktoś mógłby poczuć pokusę, by poderżnąć mu gardło i go okraść. Sama tylko kolekcja broni, którą przechowywał w sali treningowej, była warta fortunę.

Kowal zapadł w lekki sen, a Sancho i Josué wykorzystali ten czas, by odpocząć po wyczerpującej nocy. Czarny obudził się pierwszy, w samą porę, by rozpalić ogień i dobrze rozgrzać piec. Kiedy Sancho wstał, było już późne popołudnie. Poszedł do jednego z domów w wiosce po świeże jaja, wino, mleko i dużego kurczaka. Zapłacił resztkami pieniędzy, które pozostały mu w sakiewce. Niezależnie od tego, co się zdarzy, jutro i tak nie będzie już ich potrzebował.

Najedli się do syta. Kiedy Dreyer się obudził, dali mu nieco rosółu z kurczaka. Kowal odważył się nawet spróbować trochę mięsa. Choć wyglądał źle, było z nim już dużo lepiej niż rano.

– Co się wam dzieje, mistrzu? Od jak dawna jesteście chorzy?

– Zaczęło się z końcem jesieni. Najpierw zacząłem sikać krwią, a potem coraz bardziej chudłem i traciłem apetyt.

– Widział was jakiś medyk?

Dreyer uśmiechnął się smutno.

– A po co, chłopcze? Po tylu latach opuściły mnie siły, zostały tylko popioły. Jestem już stary i nie mam ochoty dalej żyć na tym świecie. I nie jestem głupi. Wiem, co mi jest, to nieuleczalne.

Sancho skinął głową, nie wiedząc za bardzo, co na to odrzec. Dreyer nie popełnił samobójstwa, dowiedziawszy się o śmierci swojego syna, ponieważ oni weszli do jego życia. Ale teraz, kiedy śmierć przychodziła po niego, był rad z jej przybycia.

– Ale co z tobą, chłopcze? W jakież to tarapaty wpadłeś?

Siedząc na brzegu jego łoża, chłopak opowiedział w skrócie o tym, co się wydarzyło, odkąd opuścili dom kowala. Ten kiwał głową, uśmiechając się z aprobatą. I – a przynajmniej tak się Sanchowi wydawało – z odrobiną zazdrości.

– A więc przyjechaliście tutaj się ukryć.

– Nie tylko. Człowiek, który mnie pokonał... jest zbyt silny, mistrzu. Jutro będę musiał znowu się z nim zmierzyć i nie sądzę, abym dał mu radę.

– Opisz mi tego Groota, jak najbardziej szczegółowo, a spróbuję ci pomóc.

– Jasnowłosy Flamand z cienką brodą. Jest niemal wzrostu Josuégo. Prawdziwe zwierzę. Kiedy walczyliśmy na moście, przybrał dziwną pozycję, ze stopami równoległe do tułowia. Ale najdziwniejsza była jego broń. Duża i ciężka, z końcówką szerszą od reszty ostrza. Mistrzu!

Wyraz twarzy Dreyera stopniowo ulegał zmianie. Miał otwarte usta, a oczy niemal wyszły mu z orbit. Spróbował wstać, ale siły go zawiodły po tak długim czasie spędzonym w łóżku.

– Co się z wami dzieje? – zapytał Sancho, podtrzymując go za ramię, aby nie upadł.

– Kufer. Podejdź do tego kufra... – rzekł kowal, wskazując na drugi koniec izby.

Sancho otworzył kufer, postępując zgodnie z instrukcjami Dreyera, i znalazł paczkę owiniętą w ciemnobrązową tkaninę. Podał ją Dreyerowi, a on wyjął to, co znajdowało się wewnątrz. Kawałek stali, część klingi.

– Czy była taka jak ta, Sancho? Taka jak ta?

Chłopak skinął głową, zdziwiony reakcją kowala. Dreyer ponownie opadł na łożo, wykończony tym wysiłkiem. Minęła długa chwila, nim znów się odezwał, a kiedy to zrobił, jego głos był przytłumiony i ponury.

– Ta broń to anomalia. Nie jest to ostrze płomieniste, ani zwykłe. To niewyważone i śmiercionośne narzędzie. Aby się nim posługiwać, trzeba ogromnej siły. Jest szczególnie niebezpieczna podczas ataku na twarz, Włosi nazywają to *stramazzone*.

– Znacie tego człowieka, mistrzu?

– Wcześniej nie nazywał się De Groot, tylko De Johng. Tak, dobrze go znam. To człowiek, który zniszczył mi życie.

Dopiero wtedy Sancho zrozumiał, że to, co on wziął za brązową tkaninę, było tak naprawdę białym płótnem, pokrytym starą krwią.

– Mistrzu...

Dreyer już go nie słuchał. Nagle ból, który kumulował się przez te wszystkie lata, skryształizował się w postaci słów wypływających z jego ust jak krople deszczu z gęstej chmury goryczy.

– Moja żona miała na imię Anika. Jej brat bliźniak był jednym z moich najlepszych uczniów, szybki rapier i zimny umysł. Trochę był do ciebie podobny, ale był zbyt pewny siebie i próżny. Pewnego dnia w naszej szkole doszło do pojedynku. Pojawił się nowy szermierz, chłopak ze wsi, zwierzę gigantycznych rozmiarów. Mój szwagier postanowił się z nim spróbować. W tamtych czasach tego rodzaju pojedynki były w Rotterdamie czymś normalnym. Służyły rozpaleniu ducha walki wśród naszej młodzieży. Czasem ktoś przy tym zginął, ale któż by się tym przejmował, prawda? Chodziło o to, by szkolić jak najlepszych szermierzy.

Kowal zrobił dłuższą przerwę. Zamknął oczy i Sancho pomyślał, że zasnął, ale zaraz jął opowiadać dalej. Łzy spływały po jego policzkach.

– Mój szwagier stanął do walki z nim, nie pofatygowawszy się nawet na jego lekcje, by poznać jego styl walki. Sądził, że jakiś cham ze wsi nie będzie dla niego żadnym rywalem. A i ja, niech mi Bóg wybaczy, zgrzeszyłem pychą. Sądziłem, że to będzie dla niego bułka z masłem. Ale wieśniak go pokonał. Przełamał wszystkie jego zasłony, prowokując go i obrażając.

– *Smerlaap* – rzekł Sancho, przypomniawszy sobie słowo, którym Groot plunął mu twarz na przystani.

– To znaczy brudna szmata, śmieć. Żaden z nich nie walczył zgodnie z regułami. To miała być walka do pierwszej krwi, ale wieśniak nie zatrzymał się w tym momencie, a i mój szwagier też nie. Kiedy tamten wyprowadził śmiertelny atak, próbowałem interweniować. Broń wieśniaka złamała się na pół. Ta połowa została wewnątrz mojego szwagra.

Dreyer zrobił kolejną przerwę.

– Miesiąc później moja żona podcięła sobie nią gardło.

Sancho wzdrygnął się z przerażenia.

– Byli ze sobą blisko związani – wyszeptał Dreyer. – Ona miała melancholijny charakter, a po urodzeniu naszego syna przeżyła ciężkie chwile. Obwiniła mnie za śmierć swojego brata, a potem zdecydowała, że mnie ukarze.

Zapadło milczenie. Gdzieś w domu otworzyło się okno i przez izbę przemknął zimny podmuch, a wraz z nim duchy.

– Pomóżcie mi go pokonać, mistrzu Dreyer – poprosił Sancho pustym głosem.

Dreyer wstał z łóżka i zawołał Josuégo. Wyszeptał mu coś do ucha, a ten wrócił po chwili z rapierem w dłoni. Był podobny do

tego, który nosił Sancho, choć nieco niższej jakości. Chłopak pamiętał go, bo walczył nim wielokrotnie.

– Weź go w lewą dłoń, chłopcze. I wyjmij z pochwy drugi.

Sancho posłuchał go zdziwiony. Nie był przyzwyczajony do trzymania tak dużej broni w lewej dłoni i czuł, że równowaga jego ciała została zachwiana. Dreyer kazał mu skorygować ułożenie stóp i ćwiczyć zasłonę odmienną od tych wszystkich, które już znał. Tutaj musiał trzymać lewą dłoń przed swoją pierśią, ostrzem równoległe do ziemi i z nieco zgiętym ramieniem. Prawa dłoń pozostawała nieco w tyle, nisko.

– To się nazywa styl florencki, Sancho. W dużym stopniu zwiększa zasięg twojej broni i daje ci większą mobilność. Ale jest tak samo niebezpieczny dla rywala, jak i dla ciebie. Wymaga znacznego wysiłku. I maksymalnej koncentracji, bo najmniejszy błąd w tej technice oznacza śmierć. Oto co musisz zrobić...

LXX

Już prawie świtało, kiedy Sancho obszedł ciało Josuégo i ostrożnie założył mu na stopę łańcuch, którego drugi koniec był przypięty do komina w kuchni.

Doszedł już niemal do drzwi, kiedy Josué się obudził. Od razu poczuł ciężar na stopie. To był najgorszy z jego koszmarów i Sancho nie musiał patrzeć mu w oczy, by wiedzieć, że złamał mu serce.

– Musiałem to zrobić, Josué. Jeśli pójdziesz ze mną, zabiją cię.

„Chcę umrzeć u twego boku, jeżeli tak jest mi pisane” – rzekł czarny, szarpiąc wściekle za łańcuch. Ale ogniwa były zbyt mocne nawet dla niego.

– Na podłodze obok ciebie leży pilnik. Klucz do kajdan jest w kuźni na kowadle. Jeżeli nie wrócę, użyj dokumentu dającego ci wolność, który masz w tubie, i znajdź sobie dobrą pracę.

„Zaczekaj. Zaczekaj”.

– Żegnaj, przyjacielu. Bracie.

Sancho zamknął za sobą drzwi, próbując ignorować żalose gesty giganta. Powtarzał sobie raz po raz, że tak było dla przyjaciela najlepiej, ale i tak czuł się jak brudny zdrajca.

Dotarłszy do koni, zdziwił się ogromnie. Były już osiodłane, a na jednym z nich siedział kowal. Miał na sobie skórzany kaftan, rękawice bojowe i rapier u pasa. Ubranie wisiało na nim, tak bardzo schudł przez te miesiące, ale jego siwe włosy błyszcząły w pierwszych promieniach świtu, a twarz zdradzała determinację.

– Wsiadaj, chłopcze.

Sancho w milczeniu przełknął ślinę. Ścisnęło go w gardle, jeszcze mocniej niż wtedy, gdy przykuł Josuégo do komina. Ten wychudzony i chory człowiek ledwie trzymał się w siodle, jak więc miał brać udział w spotkaniu takim jak to, które ich czekało tego ranka. Ale kim on był, aby mówić temu człowiekowi, jak ma umrzeć? Dreyer sam wybrał, a Sancho mógł tylko uszanować jego decyzję.

Włożył stopę w strzemień i elegancko dosiadł konia.

– Jedziemy w stronę klasztoru św. Trójcy. Tam czeka na nas przyjaciel.

Kiedy dotarli do bram klasztoru, ujrzeli dwie postacie.

– Witaj, mój młody przyjacielu – rzekł William.

Sancho spojrzał na komisarza, unosząc brew.

– Co on tu robi?

– Nalegał – odrzekł Cervantes, wzruszając ramionami.

– Potrafię mówić za siebie, don Miguelu. Ja was w to wszystko wpakowałem, *Sanso*, lata temu. Więc i teraz powinienem być tutaj, by was z tego wyciągnąć.

– Przeklęty, szalony Anglik. Zginiecie!

– Tchórze umierają wiele razy, chłopcze. Odważni tylko raz – dumnie odrzekł William.

Sancho pokręcił głową.

– Długo ćwiczyliście to zdanie, prawda?

– Przez całą noc – przyznał Anglik.

– Mistrzu Williamie, ale to nie jest jedna z waszych sztuk teatralnych. Tutaj miecze nie będą drewniane.

– Mój też nie jest – rzekł Szekspir, wskazując na rapier u swego pasa. Broń wyglądała tak, jakby nigdy nie opuściła pochwy.

– Ale wy nie potraficie walczyć!

– Ale mogę udawać, że umiem. Jestem aktorem, pamiętacie?

Sancho prychnął z irytacją.

– Staniecie za mną, do diabła. Świat nie może sobie pozwolić na utratę ani jednego poety, choćby tak kiepskiego jak wy.

Przedstawił ich Dreyerowi, a ten pozdrowił ich, podnosząc dłoń do wymagowanego kapelusza, bo w rzeczywistości nigdy nie nosił nakrycia głowy. Ruszyli w drogę, kiedy dzwony na katedrze wybiły kwadrans do dwunastej.

Przejechali pod Kanałami Carmona, akweduktem zaopatrującym dużą część miasta w wodę pitną. Kiedy minęli kamienne łuki, przed ich oczami pojawiła się masywna sylwetka Rzeźni. Był to brzydki, pstrokaty, trzykondygnacyjny budynek. Sancho doskonale wiedział, dlaczego Vargas wybrał go na miejsce ich spotkania. Z okien na najwyższym piętrze można było obserwować, kto się zbliża.

W szczególności w niedzielę, kiedy Rzeźnia świeciła pustkami. Było to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc w Sewilli, i to z wielu powodów. Kontrolował je świeżak przestępczy, a wielu z pracujących w nim rzeźników wcześniej służyło w wojsku i miało doświadczenie w podrzynaniu gardeł szczuplejszych niż

u krowy czy wieprzka. Było to też dobre miejsce dla tych, którzy chcieli się pozbyć kogoś niewygodnego. Lokalizacja poza murami miasta, na otwartym terenie, była do tych celów doskonała.

Gdyby zamiast nich pojawił się oddział strażników, Vargas rozkazałby zabić Clare i uciekłby konno na południe. Na samą myśl, że ona znajduje się w rękach tych bezdusznych drani, Sancho popędził konie. Zwierzęta pokonały ostatnie metry galopem, z pianą spływającą z pysków.

Smród był wyczuwalny z daleka. Mieszanina zepsutego mięsa, krwi i śmieci.

– To miejsce musi być latem nie do zniesienia – powiedział Sancho do siebie. Zdał sobie sprawę, że może nie dożyć kolejnej pory roku, i przeszył go dreszcz. „Do diabła, to może być ostatni raz, kiedy oddycham świeżym powietrzem” – pomyślał, napełniając płuca.

Skrzypnięcie drzwi odbiło się głośnym echem, ogromna gęba Rzeźni się otworzyła. Nikt nie wyszedł na powitanie.

– Naprzód – rzekł Sancho.

Wrota były tak duże, że mogłyby przez nie przejechać jednocześnie dwa wozy, więc i cztery konie zmieściły się z łatwością, zad obok zadu, podczas gdy jeźdźcy rozglądali się ostrożnie na boki.

Przed sobą mieli pustą przestrzeń z klepiskiem. Ziemia była niemal niewidoczna, całymi dekadami barwiła ją krew i miazdzone wnętrzności. Wszędzie widać było łańcuchy z hakami, w większości pustymi. Tylko na niektórych wisiały na wpół rozebrane tusze, czekały tam do poniedziałku, kiedy rzeźnicy wrócą do pracy. Fragmenty wnętrzności i zawartość żołądków

zwierzęcych zamieciono niedbale w stosy w kątach. Wewnątrz panował tak mdlący odór, że przy nim smród „San Telmo” wydawał się niczym. Z grymasem przerażenia Sancho stwierdził, że nie tylko tusze krów rozkładały się w tym miejscu. Z jednego ze słupów zwisały nagie zwłoki Zachariasza, z głową wykrzywioną pod nienaturalnym kątem.

A z trzeciej kondygnacji przez otwór w balustradzie służący do wciągania dużych kawałków mięsa na stanowiska, gdzie były solone, obserwował ich Francisco de Vargas. Nie wyglądał już na zamożnego kupca zajmującego jedno z najwyższych stopni na Schodach katedry. Miał tłuste włosy i zaczerwienione oczy. Jego tors okrywała brudna koszula.

– Mistrzu Whimpole, cóż to za zaszczyt. Jest i nasz przyjaciel Sancho, młokos, który odważył się rzucić mi rękawicę. Jakaż miła niespodzianka. Widzę, że przyprowadziliście towarzystwo.

– Gdzie jest Clara? – zapytał Sancho, udając spokój, którego bynajmniej nie czuł.

Kupiec dał sygnał i dał się słyszeć zduszony jęk. Następnie dziewczyna coś krzyknęła, ale Sancho nie zrozumiał, co.

– Puśćcie ją, a dostaniecie to, czego chcecie.

– Młodzieniaszku, sądzicie, że jestem głupcem? Pokażcie, co dla mnie ukradliście. Przekonamy się, czy jesteście tak dobrym złodziejem, jak twierdził Zachariasz.

Sancho zsiadł z konia, zdjął worki z monetami i przeniósł je dalej od miejsca, w którym się zatrzymali. Był tam ogromny kamień szlifierski, na którym – tak sądził Sancho – rzeźnicy ostrzyli swoje śmiercionośne narzędzia. Z dużym wysiłkiem rzucił worki na kamień, a hałas odbił się echem od sufitu.

– Dwadzieścia tysięcy escudo.

Vargas spojrział na niego z niedowierzaniem. Jak Sancho przeczuł w dniu, kiedy znalazł liścik, kupiec nigdy nie wierzył w to, że chłopak zdoła zdobyć tę kwotę. Chciał tylko wyrządzić mu jak największą szkodę, a przy okazji wyciągnąć od niego tyle, ile zdoła.

Chłopak wyjął rapier, cofnął się nieco i jednym cięciem rozplątał oba worki. Otworzyły się jak przejrzałe owoce, ukazując swoją zawartość.

– Dwieście centenów. Skradzionych dwie noce temu z Mennicy Królewskiej. A teraz oddajcie mi Clareę.

Kupiec wciąż stał z otwartymi ustami, nie wierząc własnym oczom. Pokręcił głową z irytacją.

– Gdybym to ja was znalazł, zanim wpadliście w łapy tego karła, którego tak czcicie... Aż szkoda marnować taki talent. Groot.

Flamand pojawił się na drugiej kondygnacji z naładowanym garłaczem wycelowanym prosto w Sancha. Chłopak, który spodziewał się takiej zasadzki, przeturlał się po ziemi. Groot w ostatniej chwili przesunął lufę broni na konie. Strzał trafił jedno zwierzę, pozostałe stanęły dęba. William i Dreyer spadli z siodeł i tylko komisarz zdołał utrzymać się prosto, jednak natychmiast zsiadł, aby się schronić. Wszyscy stanęli obok Sancha pod jedną ze ścian, z dala od zasięgu garłacza Groota.

– Nie mają więcej broni palnej. W przeciwnym razie strzelaliby dużo wcześniej. A stamtąd mieli przewagę – rzekł Miguel.

– Więc czego chcieli? – zapytał Sancho.

– Zmusić nas, byśmy zsiadli z koni i się rozdzielili. Pewnie jest ich więcej, czekają na wyższych piętrach – rzekł Dreyer cicho. Wyglądał strasznie.

– Wy i William zostańcie tutaj. Komisarz i ja pójdziemy do góry.

– Nie, chłopcze. Na dole też mogą być. Pójdziemy razem – odpowiedział Miguel.

Z góry dobiegł ich kpiący głos Vargasa.

– Starzec, kaleka, idiota i dzieciak! Oto wasza armia? Chodźcie, poszukajcie mnie!

– Szybko, schodami – wyszeptał Sancho.

Na drugą kondygnację wchodzili ostrożnie. Schody były wąskie i drewniane, i skrzypiały nieprzyjemnie, zdradzając ich pozycję. Sancho wychylił głowę, i zaraz znów ją schował, nim kolejny wystrzał rozwalił balustradę znajdującą się za nim. Niewielkie odłamki drewna i gipsu spadły mu na twarz.

– Po drugiej stronie budynku są schody prowadzące na trzecią kondygnację – wyszeptał Miguel do chłopaka niepewnym głosem.

– Musimy się tam dostać. Widzieliście, ilu ich jest?

– Nie zatrzymałem się, aby podziwiać krajobraz – rzekł Sancho z grymasem na twarzy.

Komisarz wychylił przez otwór swój haczykowaty nos. W miejscu, gdzie na pierwszej kondygnacji był dziedziniec, tutaj znajdowały się stoły do rozczłonkowania mięsa. Odór był jeszcze większy i rósł w miarę, jak wchodzili wyżej.

– Flamand stoi w rogu z bronią w ręku. To stary garłacz, wątpię, aby mu się na coś zdał, chyba że trafi nas z bliska. Musimy iść dalej.

Sancho nie był tego taki pewien, widząc, jakich zniszczeń dokonała broń w ścianie, ale pobiegł naprzód i przykucnął pod jednym ze stołów. Nie doczekał się strzału, którego się spodziewał. Pojawił się za to niski człowiek o ziemistej cerze, uzbrojony w rapier i sztylet. Rzucił się w jego stronę i Sancho nie miał innego wyjścia, jak tylko opuścić swoje miejsce i skrzyżować żelazo ze zbirem. Jakiś hałas za jego plecami powiedział mu, że zbliża się kolejny napastnik. Instynktownie rzucił się w bok, ledwie unikając pchnięcia wymierzonego w jego żebra. Nie widział, kto je wyprowadził, bo słońce wpadające przez okna w dachu go oślepiało, tworząc jednocześnie zacienione obszary, pełne – jak sądził – wrogów. Zbir, którego miał przed sobą, odsunął się na chwilę, po czym znów go zaatakował i Sancho musiał pozostawić nieosłoniętą flankę, która przed chwilą była zagrożona.

– Pomóżmy mu! – krzyknął Miguel. Pozostali wyszli z klatki schodowej i skrzyżowali broń z przeciwnikami, których Sancho nie widział. Zadawał sobie pytanie, ilu ich było, i czy ich skromnych sił wystarczy, aby zwyciężyć.

Napastnik, z którym walczył w tej chwili, okazał się świetnym szermierzem. Jego styl walki był suchy i szorstki, a Sancho przeciwstawił mu swoją technikę i spryt. Zbir niechętnie wchodził w zasięg broni Sancha, wolał go otaczać i spychać na stół, pod którym wcześniej przykucnął. Chciał go zapędzić w róg, po czym przypuścić atak na jego nogi, przed czym Sanchowi trudno będzie się bronić. Ale chłopak wyczuł, co tamten zamierza i kiedy jego biodra już dotykały drewna, wyprowadził dwa szybkie pchnięcia i usunął się na bok. Pchnięcie wymierzone w jego nogi trafiło

w nogę od stołu, a broń zbira na chwilę w niej utkwiała. Sancho tylko tego potrzebował, aby przeszyć jego szyję. Napastnik upadł, z dłonią wciąż zaciśniętą na rękojeści broni.

Sancho wyczuł ruch za swoimi plecami i odwrócił się, unosząc rapier. Opuścił go jednak, zobaczywszy, kto to. To Miguel i William ustawili się za nim, walcząc z kolejnymi trzema wrogami. Anglik bronił się, jak mógł, zaś komisarz starał się chronić obydwu, co udawało mu się z trudem. Krwawił obficie z dwóch ran na ramieniu i na czole, i było jasne, że nie wytrzyma już długo.

Sancho wskoczył na stół po swojej lewej stronie, przebiegł po nim i zeskoczył za zbirami. Jeden z nich się odwrócił, w samą porę, by natknąć się na ostrze rapiera chłopaka, które wbiło mu się w brzuch. Drugi, przestraszony, zdołał wleźć pod stół i pobiegł w stronę schodów. Miguel odwrócił się w stronę Williama, który desperacko odpierał ataki grubego i powolnego mężczyzny o zaczerwienionym nosie. Prawdopodobnie jedynie dlatego, że napastnik za kołnierz nie wylewał, Anglik nadal żył, choć i tak stopniowo oddawał pole. Oto odkrył, że prawdziwym przeznaczeniem miecza nie jest zderzyć się z bronią przeciwnika, robiąc przy tym jak najwięcej hałasu, tylko przeciąć tętnicę szyjną.

Komisarz nie mógł pomóc Williamowi, ponieważ z ciemności wyłonił się kolejny mężczyzna i rzucił się na niego. Dokładnie w tym momencie dał się słyszeć przenikliwy krzyk bólu dobiegający z góry. Sancho poczuł dreszcz, ponieważ rozpoznał głos Clary.

– Do diabła, chłopcze! Idź, pomóż jej! – krzyknął Miguel.

Sancha znów oddzielał od nich stół. Spojrzał przez ramię na wolną drogę wiodącą do schodów na trzecią kondygnację. Nie miał czasu do stracenia, ale nie mógł też zostawić przyjaciół. Spojrzał pod nogi i zobaczył drewniane wiadro z metalową obręczą. Podniósł je z ziemi i rzucił nim w głowę lubiącego wypić zbira. Rozległ się suchy trzask i bandyta upadł na rapier Williama, powalając i jego na ziemię. Wierząc, że Miguel zdoła poradzić sobie sam, Sancho pobiegł w stronę swojego celu.

Nie dotarł jednak do schodów. Kiedy wyszedł z jednego z oświetlonych obszarów, stał się świadkiem dantejskiej sceny. Dreyer, bezbronny i na kolanach, patrzył prosto na Groota. Flamand, stojąc przy nim wyprostowany, zadawał mu niewielkie cięcia w ramiona i żebra. Sancho zrozumiał, że kowal przemknął za ich plecami, przywarłszy do ściany, chcąc osobiście stawić czoło człowiekowi, który zniszczył jego szczęście. Jednak spadłszy z konia, ledwie mógł chodzić, nie mówiąc już o walce z najniebezpieczniejszym zabójcą, jakiego znała Sewilla. Groot bawił się teraz z nim jak okrutny kot z zakrwawioną i wściekłą myszą. Szalone spojrzenie jego małych świńskich oczek podkreślało zwierzęcość niegodziwej twarzy.

Flamand rzekł coś w swoim języku, a Dreyer mu odpowiedział. Odpowiedź musiała się Holendrowi nie spodobać, bo zadał kolejne cięcie, tym razem pod lewym okiem kowala. Nie mogąc patrzeć na tę rzeź, Sancho zrobił krok naprzód, wchodząc w ostatni krąg światła niedaleko schodów i ukazując się wrogowi.

– Kogoś nam tu brakowało... – rzekł Flamand po kastylijsku. – To twój uczeń, Dreyer? Wiesz przecież, co z nimi robię.

– Niczego się nie nauczyłeś, co, kapitanie? Będę musiał znów zapchać ci gębę gównem? Bóg mi świadkiem, że sporo go tutaj mamy – rzekł Sancho z wyzywającym uśmiechem. Za wszelką cenę chciał, by Flamand odszedł od jego mistrza.

Oczy Groota otworzyły się szeroko, kiedy wspomnienie zbuntowanego chłopaczka uciekającego ze złotą monetą odżyło w jego pamięci. Ten afront, którego nigdy nie mógł zmazać, zagotował krew w jego żyłach. Zrobił krok w stronę Sancha. Jednak zanim wszedł w zasięg jego broni, zatrzymał się ze złośliwym wyrazem twarzy.

Cofnął się i uniósł rapier.

– Byłoby zabawnie zabić kolejnego z twoich smarkaczy na twoich oczach, Dreyer. Ale gdyby miało zdarzyć się niepojęte...

I opuściwszy stal, jednym uderzeniem przeciął tchawicę Dreyera. Kowal upadł z głuchym odgłosem. Był martwy, nim dotknął ziemi.

Sancho, który sam wcześniej chciał sprowokować kapitana, musiał się powstrzymać, by nie przeskoczyć przez zwłoki swojego mistrza i nie rzucić się Grootowi do gardła. Błysk w oczach Flamanda wskazał mu, że na to właśnie czeka.

– Zabiję cię – rzekł, wyjmując drugi rapier, który miał za pasem.

Stanął w pozycji florenckiej z obiema klingami wymierzonymi w twarz Groota. Przeciwnik zamrugał zaskoczony, widząc ten ruch.

– A więc jesteś szczurem ulicznym. Teraz rozumiem, jak udało ci się dostać do Mennicy.

Zrobił krok w prawo, szukając martwego pola Sancha.

– Za dużo gadasz jak na tępego wieśniaka – rzekł chłopak, również robiąc krok w prawo.

Zaczęli zataczać koło w pobliżu zwłok Dreyera. Podeszwy ich butów malowały krwawe rysunki na ziemi tam, gdzie ich stopy przesuwają się ostrożnie, szukając jak najstabilniejszego wsparcia, podczas gdy pozostawali w napięciu, aby w każdej chwili skoczyć naprzód. Tym razem to Groot zaatakował pierwszy, wyprowadzając szybkie i nieco przesunięte pchnięcie, które Sancho odparł jednym z rapierów, podczas gdy drugim zakreślił koło przed twarzą kapitana. Groot cofnął szyję, choć końcówka ostrza nie zbliżyła się do jego nosa bardziej niż na dłoń.

Ponownie zatoczyli koło, badając się nawzajem. Umysł Sancha usiłował odciąć się od bólu, zmęczenia, strachu i nienawiści. Próbował odizolować swoje myśli od wszystkiego, co nie było krzywymi i prostymi, kątami natarcia, odległościami i kombinacjami.

„Szósta lewą, zablokować w siódmej prawą, wytrzymać, próbować znów wejść w szóstą”, pomyślał. I nim zdał sobie sprawę, jego ciało już wykonało dla niego te ruchy. Krok naprzód, pchnięcie w prawe ramię rywala, które ten sparował, zablokować rapier i spróbować znów od początku. Niestety, siła Groota była ogromna, zbyt wielka, aby Sancho mógł wytrzymać blok jego rapiera. Flamand odrzucił jego atak w końcówce, jak gdyby odsuwał kruchą gałąź napotkaną na drodze.

„Nie dam rady. Nie wygram z nim”.

A jednak jego atak musiał wytrącić kapitana z równowagi, bo odpowiedział serią pchnięć, które Sancho z ledwością odparł. Każde skrzyżowanie żelaza wysyłało wibracje docierające aż do

nadgarstków i przedramion chłopaka. Sancho zauważył, że jego stawy aż trzeszczały od ogromnego wysiłku. To było jak próbować odeprzeć kopnięcie muła kartką papieru.

– Czujesz to, *smeerlap*? – rzekł Groot.

Obaj ciężko dyszeli, ale Sancho się nie oszukiwał. Mięśnie jego lewego ramienia, ścięgna dłoni, a nawet zęby ostrzegały go, że nie przetrwają kolejnego takiego ataku. Jeszcze jeden i obrona Sancha zawiedzie. A wtedy rapier Groota pogruchocze mu zebra.

Flamand musiał to wyczuć, bo zrobił krok naprzód i wyprowadził jedno ze swoich uderzeń na lewą rękę Sancha; chłopak ledwie zdołał je sparować. Groot zebrał się w sobie, znów ruszył naprzód i zaatakował, spuszczając swój długi rapier na głowę Sancha, jak gdyby to była pałka. Ten brutalny atak sprawił, że chłopak upadł na kolana. Skrzyżował oba rapiery ponad głową, zatrzymując ostrze rywala w tak utworzonym kącie. Flamand uśmiechnął się, widząc Sancha na swojej łasce, i pchał z całej siły, podczas gdy chłopak zginał się coraz bardziej, mówiąc:

– Chcesz mnie zranić? Więc zrób to, sukinsynu.

Jednym szarpnięciem odsunął lewy rapier. Groot, zaskoczony, nie mógł temu zapobiec i jego broń ześlizgnęła się po drugim raperze Sancha. Szeroki sztych odbił się od jelca i zjechał, aż napotkał martwe pole w gardzie Sancha.

Nie myśląc dwa razy, Groot okrutnie zranił Sancha w prawe przedramię. Wydał z siebie ryk triumfu, ale na koniec przeszedł on w jęk skargi. Oszołomiony tym, co poczuł, spojrział w dół.

Lewy rapier Sancha zatopił się na dłoń w jego zębrach.

– To niemożliwe... – mruknął, nim zwałił się na chłopaka.

Sancho krzyknął, kiedy ogromny ciężar Groota uwięził jego lewe ramię między rapierem a ziemią. Usłyszał trzask i poczuł straszliwy ból, nawet większy niż ten, który go przeszył, kiedy Flamand go zranił, jednak nie wypuścił broni z ręki. Zamiast tego obrócił ją kilka razy, patrząc prosto w twarz Groota. Byli tak blisko siebie, że ich oddechy mieszały się ze sobą.

– Nie jesteście tego warci. Kreolski bękart i uliczny szczur – rzekł Groot, plując krwią i do samego końca starając się wyrządzić jak najwięcej szkody. – Dobrze się bawiłeś, pieprząc ją? My to tutaj robimy od tygodnia.

Chłopak wcisnął pięty w podłozę i z całej siły pchnął rapier w górę, jeszcze głębiej zatapiając go w piersi Groota. Kapitan splunął czarną krwią i jego oczy zgasły. Sancho z najwyższym wysiłkiem wy dostał się spod jego ogromnego ciała i ruszył w górę.

Kiedy dotarł na ostatnie piętro, poczuł, że zaraz zemdleje. Rana w prawym ramieniu okropnie go bolała, a lewym ledwo ruszał, po tym jak Groot upadł nań całym ciężarem swojego ciała. Tamten rapier zostawił pod Grootem, nie był w stanie go wyjąć. Drugi ledwie trzymał w dłoni.

Sancho dostrzegł Vargasa. Stał tam, wbijając w chłopaka nienawistne spojrzenie. Obok niego zobaczył wciąż zakneblowaną Clare. Kupiec trzymał ją za suknię, utrzymując jej ciało w równowadze na poręczy. Bose stopy Clary znajdowały się na krawędzi przepaści.

– Jeśli ją puszcze, zginie.

– To wy zginiecie, jeśli ją puścicie.

Kupiec roześmiał się.

– Mam uwierzyć, że darujecie mi życie, jeśli pozwolę jej odejść?

– Możecie sobie wierzyć, w co tylko chcecie. Ale, jak mi Bóg miły, jeśli ją puścicie, wypruję z was flaki, nim ona wyląduje na ziemi.

Vargas patrzył, jak Sancho się zbliża. Był tak przepełniony wściekłością, że chłopak nie był w stanie przewidzieć jego kolejnego kroku. Ramiona mu drżały z napięcia, a zęby zaciskał w nieludzkim grymasie. W końcu z okrzykiem pociągnął za suknię Clary, tak że dziewczyna upadła na ziemię w miejscu, gdzie drewniana poręcz ponownie zaczynała się wznosić. Została tam, szlochając.

Sancho pochylił się w jej stronę i wyjął z jej ust knebel. Clara odkaszlnęła kilka razy i ukryła twarz w jego piersi.

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Teraz jesteś ze mną. I już nigdy nikt nas nie rozdzieli. Obiecuję ci to.

Vargas odsunął się od otworu w poręczy. Patrzył przez chwilę na rapier Sancha, a następnie na niego, klęczącego przy Clarze. Obliczał swoje szanse.

– Nawet o tym nie myślcie – rzekł Sancho, próbując uśmiechem zatuszować fakt, że z bezużytecznymi ramionami nie zdołałby w tej chwili sparować nawet pchnięcia zadanego przez pięcioletnie dziecko.

Vargas również się uśmiechnął. To był bezduszny grymas, jego oczy pozostały martwe i puste.

– Sądysz, że zwyciężyłeś, prawda? Ta, którą kochasz, to moja córka, Sancho. Pomyśl o tym, kiedy urodzi ci syna. Zawsze będziesz w nim widział moją twarz.

– Nie wiem, czy będę potrafił odróżnić ją od swojej. W końcu obaj jesteśmy szczurami ulicznymi.

Sancho przewidział atak dużo wcześniej, niż ten nastąpił. Zorientował się po stopach Vargasa, które zwróciły się w jego stronę. Po jego oczach, które otworzyły się szeroko, zanim jeszcze usłyszał obelgę. Po rapierze, który w niego celował, podczas gdy kupiec pokonywał dzielące ich trzy kroki, kulejąc. Jednak choć go przewidział, ramiona już go nie słuchały. Miał tylko jedną szansę.

Kiedy już rapier Vargasa zbliżał się do niego, Sancho przeturlał się pod nim, wstał i uderzył ramieniem w sam środek piersi kupca. Ten zachwiał się i poleciał w stronę poręczy, rozpaczliwie machając ramionami w powietrzu i próbując odzyskać równowagę. Przez chwilę stał nieruchomo, ale zaraz okazało się, że jego ciężar to zbyt wiele dla starego drewna. Deska pękła, a Vargas zniknął w przepaści.

Sancho wychylił się i zobaczył go leżącego na dole bezwładnie, jak zepsuta lalka. Głowa z okropnym trzaskiem rozbiła się o kamień szlifierski. Martwe oczy kupca wciąż jeszcze wyrażały smutek, podczas gdy krew i wnętrzności rozlewały się na monety, plamiąc kamień i spływając aż na ziemię pokrytą flakami i szczątkami.

Koszmar Vargasa się ziścił.

EPILOG

Zabrzmiały dzwony, zrazu silnie i uroczyście, by potem przejść w szybkie, ostre i wesołe tony. Tego dźwięku nie sposób było z niczym pomylić.

Dwudziestego trzeciego kwietnia 1591 roku dzwony katedry obwieszczały wypłynięcie floty do Indii Zachodnich. W dzielnicy Arenal, jak zawsze, panowała atmosfera fiesty i optymizmu. W tym roku, po dłużej się zimie i towarzyszącym jej straszliwym głodzie, sewilczycy świętowali jeszcze radośniej niż zwykle. Pili wino z beczek przyciągniętych aż tutaj, śpiewali pieśni, składali Bogu ofiary dziękczynne i zanosili prośby o powodzenie wyprawy. Dziwki i żebracy także robili dziś dobry interes.

Pośród tego radosnego tłumu zegnały się cztery osoby. Kilka tygodni temu pożegnały już piątą, pewnego Anglika, który wracał do swej ojczyzny na pokładzie francuskiego statku, przez Normandię. Wyjeżdżał z pełnymi kieszeniami i w świetnym nastroju. Kiedy Sancho wydobyl go spod trupa zbira, którego pokonał, pokrytego jego wnętrznościami i krwią, powiedział, że przysiągł świętemu Jerzemu iż, już nigdy więcej się nie napije,

jeśli tylko święty wyciągnie go z tego cała. I rzeczywiście od tego dnia nie tknął wina. Wprost przeciwnie, spędzał całe dni zakopany w swoich ryzach papieru, pisząc. Twierdził, że wróci do Londynu i spróbuje wystawić sztuki, które przyszły mu do głowy. Spędzali z komisarzem mnóstwo czasu sam na sam, snując opowieści i rozmawiając o ludziach.

Sanchowi i Josuému ten czas upłynął na mozolnej pracy. Przetransportowali do kuźni Dreyera worki pełne centenów, razem ze zwłokami kowala. Pochowali go tam, przy jego punkcie widokowym, tak by każdego poranka mógł podziwiać świt, jak by sobie tego życzył. Na grobie postawili krzyż wykuty z żelaza, bo nie z innego materiału wykuto duszę tego człowieka, który tak wiele im dał.

Wykucie krzyża stanowiło dla Sancha wyzwanie, ale też dobry trening przed kolejnym zadaniem, które sobie wyznaczył. Monety, które ukradli, były znaczone. Król Filip zastrzegł sobie ich użycie i przeznaczał je tylko na dary dla wielkich osobistości i innych monarchów. Poza tym miały zbyt dużą wartość, by móc je wydawać. Gdyby tylko spróbował to zrobić, strażę powiesiłyby go na placu św. Franciszka, nim zmówiłby jedno *Ojcze nasz*. Po całej Sewilli krążyła przekazywana z ust do ust legenda o złodzieju, który obrabował Mennicę Królewską, po czym zniknął bez śladu.

Jednak przetopienie złota na niewielkie, łatwe w użyciu sztabki, było znacznie trudniejsze, niż to sobie wyobrażał. Choć wiele razy obserwował Dreyera przy pracy, a nawet pomagał mu, wykonując drobne zadania, kowal nigdy nie uczył go tajników swojego zajęcia, ograniczając się do zajęć z szermierki. Ta wiedza umarła wraz z nim, ponieważ nie zostawił żadnych ksiąg ani pism

na temat sztuki kowalskiej. Jednak Sancho zobaczył dość, by spróbować samemu. Osiągnięcie temperatury wystarczającej do stopienia złota było proste. Oglądanie, jak herb królewski znika między pomarańczowymi grudkami, dało chłopakowi pewną satysfakcję. Trudniejsze było przelanie stopionego metalu do form i uzyskanie jednolitego kształtu. Kosztowało go to wiele dni pracy i pozostawiło niewielkie blizny na przedramionach, ponieważ – w odróżnieniu od żelaza – złoto tworzyło bańki, które wybuchały w nieprzewidywalny sposób. Ale udało się.

Pierwszy jubiler, do którego trafił Sancho, zmarszczył brwi, widząc te nierówne sztabki o kształcie podejrzanie przypominającym trzpień miecza.

– Przywożenie złota z Indii i przetapianie go na własną rękę jest nielegalne – rzekł, spoglądając na Sancha znad okularów.

– To jest część złotego świecznika, który zostawił mi mój stary ojciec. Został przetopiony, aby łatwiej było go przetransportować. Ale jeśli nie jesteście zainteresowani... – rzekł Sancho, zdejmując sztabki z lady.

– Tego nie powiedziałem. Porozmawiajmy o cenie – pośpieszył z odpowiedzią kupiec, chwytając go pod ramię.

I tak, powtarzając tę samą scenkę kilka razy, Sancho zebrał wiele tysięcy escudo. Kwotę mniejszą, niż warte były monety, jednak – nie wyjeżdżając z Hiszpanii – nie sposób było uzyskać więcej. Może jakiś florencki lub genueński bankier przyjąłby centeny, nie zadając pytań, ale Sancho nie mógł ryzykować tak dalekiej podróży. Poza tym potrzebował pieniędzy jak najszybciej.

Większość włożył do dużej torby i zaniósł w pewne miejsce, gdzie sam nie znalazł szczęścia. Wspięcie się do komnaty brata

Lorenza z tym ciężarem na barkach było zadaniem trudnym i niebezpiecznym. Położył torbę na stole nad ranem, godzinę po jutrzni, modlitwie, którą zakonnik zawsze odmawiał w kaplicy wraz z innymi braćmi. Kiedy już zbliżał się do okna, by uciec tą samą drogą, którą przyszedł, zatrzymał go jakiś głos.

– Tutaj nie ma nic, co można by skraść, chłopcze.

– Teraz już jest – odrzekł chłopak, łapiąc za linę, której użył, by się tutaj wspiąć.

– Zaczekaj, Sancho!

Zatrzymał się zaskoczony.

– Rozpoznaliście mnie.

Brat wziął w dłoń świecę.

– Zawsze wiedziałem, że kiedyś wrócisz, chłopcze, chociaż sądziłem, że wejdiesz drzwiami. Co to takiego? – rzekł, wskazując na torbę leżącą na jego biurku.

– To zależy od was, ojczy.

Brat Lorenzo dotknął torby. Kiedy jego chude palce namacały znajome kształty, w jego oczach pojawiło się zdumienie.

– Nie rozumiem.

– Ta torba może zawierać owoc kradzieży i grzechu albo chleb dla dzieci z sierocińca na wiele lat. Jak mówiłem, to zależy od was.

Starzec spojrzał smutno na Sancha.

– Dlaczego przyszedłeś o takiej godzinie?

– Teraz to ja was nie rozumiem, ojczy.

– Mogłeś przecież przyjść, kiedy byłem na jutrzni. Wtedy moja komnata byłaby pusta. Wiesz o tym dobrze, mieszkałeś tu długo.

Sancho zamilkł, ponieważ zakonnik miał rację. Oczekiwał tego spotkania, rozmyślał o tym, co mu powie i jak mu to powie.

A teraz, w godzinie prawdy, wciąż bał się stawić mu czoła.

– Przyszedłeś, by rzucić mi te pieniądze w twarz, chłopcze.

Ustawić mnie pod murem, by kusić mnie jak Szatan kusił Jezusa na pustyni. Zmusić mnie do dokonania wyboru.

Chłopak wzruszył ramionami. To była prawda.

– I co?

– Niech ci Bóg błogosławi, chłopcze.

Sancho szeroko otworzył oczy. Tego się nie spodziewał.

– Ale...

– Wiesz, ile z moich dzieci zmarło z głodu tej zimy? Ile malutkich grobów przybyło w zmarzniętej ziemi w ogrodzie? Bóg mi pokazał, jak bardzo się myliłem. Prawdziwym grzechem byłoby odrzucić pomoc przez pychę lub arogancję, chłopcze. Niech mi Chrystus wybaczy, ale wiele bym dał, byś wcześniej zgrzeszył.

Sancho uśmiechnął się i wszedł na parapet. Objął linę obiema nogami.

– Żegnajcie, ojciec – powiedział i zaczął się opuszczać.

Był w połowie fasady, kiedy brat wychylił się przez okno.

– Zaczekaj! – koścista grdyka starca wznosiła się i opadała na jego odkrytej szyi, gdy usiłował przekrzyczeć wycie zimnego nocnego wiatru. – Nie chcesz wiedzieć, kto cię tutaj przywiózł?

– Nie ma potrzeby! – odkrzyknął Sancho. – Już go poznałem i powiedział mi, że te sześć escudo, które tu za mnie zostawił, było jego najlepszą inwestycją w życiu.

Zakonnik uśmiechnął się zadowolony i wrócił do środka.

Patrząc na ogromną skórzaną torbę leżącą na jego stole, nie mógł

się nie zgodzić z tą opinią.

Czworo ludzi wypilo wspólnie ostatni dzban wina w wędrowniej karczmie na przystani. Niewiele zabrali bagażu, woleli wykuć swoje życie od nowa po drugiej stronie oceanu. Josué miał odzienie i kilka książek, ponieważ Sancho uczył go czytać. Sancho zabrał broń i resztę pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży sztabek złota. Wystarczająco dużo, by zacząć dowolną przygodę.

Clara była najbardziej obładowana. Wiozła dwa ogromne kufry zawierające jej traktaty medyczne oraz stos buteleczek wypełnionych lekami – zamierzała otworzyć nową aptekę. Nie będzie tęskniła za swoim życiem w Sewilli. Wypłakała więcej łez, niż sądziła, że to możliwe, kiedy dowiedziała się o śmierci Cataliny. Ale mniej, niż żegnając się z dziewczętami z Compásu. Tydzień wcześniej powitała na świecie syna Juani, młodej prostytutki, którą poznała podczas swojej pierwszej wizyty w burdelu. Juani była przerażona i Clara ją rozumiała. Przed lekodziejką również otwierały się drzwi do nowego świata, ale ona była szczęśliwa. Marzenie jej matki, by Clara wróciła na drugą stronę morza, i jej własne, by odzyskać wolność, aby móc samodzielnie decydować o swoim losie, mogły teraz stopić się w jedno.

Miguel de Cervantes przyglądał im się ze smutkiem. Ucałował Clare, którą przez ostatnie miesiące dobrze poznał i nauczył się szanować. Wyciągnął rękę do Josuégo, a ten uścisnął jego dłoń tak mocno, że niemal ją zmiądzzył. I w końcu zatrzymał się przed Sanchem.

– Wiele się u waszego boku nauczyłem, mój przyjacielu. Tej nocy, zanim zastawiliśmy sidła na Vargasa, William opowiedział

mi, jak to się stało, że zostaliście złodziejem.

Nawet po całym tym czasie, który spędzili razem, Sancho nie mógł się nie zarumienić, przypominając sobie, jak tamtej nocy podziurawił beczki z winem, jak gdyby były jego wyimaginowanymi wrogami.

– To niefortunna historia.

– Dobrze opowiedziana może być genialna. Może któregoś dnia ją opiszę i nadam wasze imię jej bohaterowi.

Sancho potrząsnął głową.

– Na Boga, don Miguelu, nie róbcie tego. Na pewno nie głównemu bohaterowi. Może jakiemuś drugoplanowemu o dobrym sercu.

Miguel spojrział na niego i zmarszczył brwi. Obaj wybuchnęli śmiechem i padli sobie w ramiona.

– Dzięki, chłopcze.

– Cieszę się, że chociaż jakaś dobra historia po tym wszystkim zostanie.

Komisarz odsunął się od niego i na chwilę odwrócił wzrok, mrugając oczami, jak gdyby coś mu wpadło do oka przy silnych podmuchach wiatru. Odchrząknął.

– Co więc z wami, Sancho? Odkryliście już, co jest surowcem, z którego powstają sny?

– Mistrz William wierzył w atrament, który nadaje formę opowieściom. Ja w złoto, które daje środki, aby zrealizować te sny. A wy w nadzieję, która pozwala nam spełniać senne marzenia.

Sancho odwrócił się stroną Clary, a ona obdarzyła go delikatnym i uwodzicielskim uśmiechem, i spojrzeniem tak kryształowym i błyszczącym jak ten poranek. Kiedy znów spojrział

na Miguela, komisarzowi wydało się, że chłopak znajduje się w miejscu oddalonym o całe tysiące mil stąd.

– A więc? Jak brzmi właściwa odpowiedź?

– A dlaczego nie wszystkie trzy, don Miguelu? – odrzekł Sancho. A następnie odwrócił się, by pocałować dłoń Clary. – Dlaczego nie ta?

Miguel jeszcze długo pozostał na sewilskiej przystani, patrząc, jak galeon oddala się w dół Betisu. Granatowe włosy Clary unosiły się nad burtą w miejscu, gdzie cała trójka go pożegnała, kołysane wiatrem napędzającym żagle floty królewskiej płynącej w stronę Nowego Świata. Miguel dał się ponieść jakiejś dziwnej melancholii, pragnąc zająć miejsce chłopaka, którego ocalił od śmierci, któremu ostatecznie zawdzięczał znacznie więcej niż samo tylko życie i którego tak bardzo będzie mu brakowało. Kiedy już ostatni żagiel zniknął za zakolem rzeki, komisarz pozwolił sobie na jedną jedyną łzę, która zabłysła na jego ogorzałej i wychudzonej twarzy.

„Złoto, atrament i nadzieja. Niezła kombinacja” – pomyślał Miguel, prowadząc swojego konia za uzdę przez tłum. Przeszedł przez Puente de Barcas, dosiadł konia, wbił ostrogę w jego bok i znów wyruszył do swych zadań. – „Wcale nie jest zła”.

Kopyta jego konia unosiły się nad kurzem drogi. A potem odjechał i nie było już nic.

KONIEC

OD AUTORA NA TEMAT NIEKTÓ- RYCH POSTACI I FAKTÓW HISTORYCZ- NYCH „LEGENDY O ZŁODZIEJU”

Język migowy, którym porozumiewają się **Sancho i Josué**, może się wydawać czymś zadziwiająco nowoczesnym jak na czasy, w których osadzona jest powieść, jednak wcale tak nie jest. W rzeczywistości korzenie języków migowych sięgają zarania dziejów i można stwierdzić, że są tak samo stare, jak języki oralne. Istnieją wzmianki o ich użyciu w wielu momentach historycznych, choć pierwszy w pełni udokumentowany język, o którym wiemy, to metoda nauczania osób niesłyszących opracowana przez Aragończyka **Juana de Pablo Boneta** (1573–1633), współczesnego naszym bohaterom.

Kolejną postacią żyjącą w tym samym wieku co Sancho był **Joachim Meyer**, którego biografia stała się inspiracją dla mojego fikcyjnego mistrza **Dreyera**. Jego traktat o fechtunku, wydany

w 1600 roku, posłużył mi za dokumentację w wielu aspektach technicznych mojej powieści.

Jeżeli chodzi o **Nicolása de Monardesa**, ten prawdziwy niewiele ma wspólnego z moim bohaterem. Monardes był jednym z największych medyków hiszpańskiego renesansu, jeżeli nie największym, jednak w rzeczywistości bardziej przypominał **Francisca de Vargasa**, dla którego postaci stał się inspiracją. Monardes był zręcznym kupcem i został multimilionerem dzięki handlowi produktami importowanymi z Ameryki, które sprzedawał w Sewilli i w innych miejscach w Europie. Wiadomo, że jego fortuna w pewnym momencie osiągnęła poziom dwudziestu siedmiu milionów maravedí. Na potrzeby tej historii zrobiłem z niego gorszego kupca i lepszego medyka, ponieważ czytając traktaty prawdziwego Monardesa, odkrylibyśmy, że był wielkim zwolennikiem teorii humoralnej, z którą powieściowy mistrz **Clary** zupełnie się nie zgadzał.

Dla powieściopisarza problem z rzeczywistością jest taki, że jest ona zwykle brudna i zawiła. Monardes był w swoich czasach znanym autorem i wielkim medykiem, ale też jednym z największych handlarzy niewolnikami, których najwięcej wysłał do Ameryki. Jego niewolnicy nosili na policzku wypaloną literę M, jego znak handlowy. Dlatego też, dla dobra powieści, wszystkie jego negatywne cechy przenieśliśmy na Vargasa i nie przypadkiem obaj są dla Clary postaciami ojcowskimi.

Możliwe, że czytelnikowi perypetie naszej młodej bohaterki wydadzą się nieprawdopodobne. A jednak dla części jej przygód inspiracją była jeszcze bardziej nieprawdopodobna historia **Eleny Céspedes**, wyzwolonej niewolnicy, która praktykowała jako

cyrulik, udając mężczyznę. Niestety historia Eleny skończyła się nie najlepiej, ponieważ została zamordowana przez inkwizycję.

Nie powinno też nikogo dziwić to, że Clara nie była analfabatką. Panie domu, jeśli same zdobyły jakieś wykształcenie, nierzadko uczyły swoich niewolników pisać i czytać. A to, że uwielbiała **powieści rycerskie**, jest logiczne, ponieważ były to jednocześnie bestsellery i opery mydlane swych czasów. Ludzie rozmawiali o nich u golibrody, na targu, a koleje losów ich bohaterów śledzono jak życie dzisiejszych gwiazd rocka czy piłkarzy. Nie dziwi też dekret królewski, który w 1531 roku zabraniał eksportu do Indii Zachodnich „romansów opisujących próżne i profańskie historie, takich jak opowieść o Amadísie i inne tej jakości”. Snoby skarżyły się na to, że „panienki ledwie zaczną chodzić, a już noszą Dianę w sakiewkach”, co wskazuje, że mechanizmy kreujące idoli piętnastolatek w XXI wieku są takie same jak pięćset lat temu: sława, piękno, powierzchowność i seks.

Centeny istniały w rzeczywistości, tak jak je opisuję w powieści, choć trochę nagiąłem historię, umieszczając je we wcześniejszych czasach. Jest to celowy anachronizm, ponieważ pierwszym królem, który je wybijał, był **Filip III**, a nie jego ojciec. Dziś centeny są niezwykle rzadkie i jedna moneta z ogromnych worków, które ukradli z Mennicy Królewskiej Sancho i Josué, jest warta około miliona euro. Nawet nie chcę sobie wyobrazić tej ilości, którą Sancho przetopił w kuźni Dreyera.

Miguel de Cervantes Saavedra, królewski komisarz do spraw zaopatrzenia w czasie, w którym toczy się akcja powieści, a później cieszący się pewną sławą autor, na jednym z etapów

swojego życia był bardzo związany z Sewillą i zajmował się rekwizycją zboża. Wpadł też w dość poważne tarapaty jako amator gry w karty i miewał zatargi z wymiarem sprawiedliwości, zanim napisał wiekopomne dzieło, które – kto wie – mogło być częściowo inspirowane historią impulsywnego i szlachetnego złodzieja zwanego Sanchem z Écichy. Cała część dotycząca jego uwolnienia z niewoli w Algierze, jak również postać brata **Juana Gila**, są zgodne z rzeczywistością na tyle, na ile udało mi się to opisać.

William Szekspir, „włóczęga, aktor i poeta”, a później nie całkiem nieznaną dramaturg, jest również postacią tak zmienną i ekscytującą, jak jego dzieła. Trudno dociec prawdy na temat wielu etapów jego życia, a szczególnie tak zwanych „straconych lat” (1587–1592), podczas których nieprzypadkowo toczy się akcja *Legandy o złodzieju*. Szekspir mógł w ciągu tych lat przebywać gdziekolwiek, a to, że miałyby uciec przed swoim małżeństwem do największego i najbardziej znaczącego miasta siedemnastowiecznego świata, nie jest tak szalonym pomysłem, jak mogłoby się wydawać.

Zawsze głęboko fascynował mnie fakt, że obaj ci najwięksi pisarze, jakich wydała historia, zmarli 23 kwietnia 1616 roku, w dniu, który dziś świętujemy jako Dzień Książki. Obaj mają coś ze sobą wspólnego i wydaje się, że inspirację, która dała im nieśmiertelność, znaleźli mniej więcej w tym samym czasie. Przed swoimi „latami straconymi” Szekspir był zupełnie nieznaną. Cervantes, przed swoim etapem sewilskim, był niewiele znaczącym autorem. U podstaw tej opowieści legła możliwość, że w tym czasie się poznali, i że te dwa niesamowite umysły zapaliły

się nawzajem literackim płomieniem. I jeden, i drugi przez całą tę historię rzuca pewne aluzje, czasem bardzo zawoalowane, i dla czytelnika może być to zabawny pretekst, aby powrócić do powieści i odkryć je wszystkie.

Wzajemna inspiracja Szekspira i Cervantesa miała miejsce w rzeczywistości. Przeczytawszy tłumaczenie *Don Kichota*, Anglik napisał komedię zatytułowaną *Cardenio*, opartą na losach postaci noszącej to właśnie imię w dziele Hiszpana. Niestety sztuka spłonęła w pożarze i do naszych czasów przetrwały jedynie pewne odniesienia do jej fabuły. Jeśli czytelnik chciałby dowiedzieć się więcej o obu tych geniuszach, polecam ich biografie: *Cervantes visto por un historiador* (Cervantes oczami historyka) autorstwa Manuela Fernández Alvaréza oraz wielkie dzieło pt. *Shakespeare* autorstwa Harolda Blooma.

Z jednego z dzieł mistrza Williama wziąłem pierwotny tytuł tej powieści, który brzmiał: *Surowiec, z którego sny się wyrabia*. Ta książeczka to *Burza*, a fragment, którym rozpoczyna się ostatni akt, świetnie nadaje się na nasze pożegnanie.

PROSPERO

Nasza zabawa skończona. Aktorzy
Byli duchami, zgodnie z zapowiedzią,
I rozplynęli się w zwiewnym powietrzu.
A jak ulotna materia tych wizji,
Jak nasze bezcielesne widowisko,
Tak i pałace świetne, wieże w chmurach,
Wzniosłe świątynie, ba, cały ten glob
Ze wszystkim, co ma na swojej powierzchni,
Kiedyś rozwieje się, nie zostawiając

Strzępu mgły nawet. Jesteśmy surowcem,
Z którego sny się wyrabia, a życie
To chwila jawy między dwoma snami^[1].

^[1] Fragment monologu Prospera z Aktu 4 *Burzy* Williama Szekspira w przekładzie Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.).

PODZIĘKOWANIA

Antonii Kerrigan i jej ekipie: Loli, Víctorowi, Hilde i Toni.
Jesteście najlepsi.

Manuelowi Loureiro, pisarzowi i przyjacielowi. Manuelowi Soutiño, przyjacielowi i czytelnikowi. Zaciągnąłem u obydwu tyle długów wdzięczności, że będę potrzebował wielu żywotów, aby móc je spłacić. Bez waszej inteligencji i poczucia humoru nie pisałbym teraz tej ostatniej strony, a świat nie byłby miejscem nadającym się do zamieszkania.

Itzakowi Freskorowi, człowiekowi zdolnemu powstać z własnych popiołów.

Manolowi i Aurorze, którzy przyjęli nas w swym domu podczas naszych plenerów literackich w lasach Oregonu.

Juanowi José Ginésowi i Alfredowi Conde, dwóm dobrym przyjaciółom, którzy przeczytali rękopis i wprowadzili istotne poprawki.

Całej ekipie Planety: Marceli Serras, Puri Plazie, Ángeles Aguilerze, Sergiemu Álvarezowi i fenomenalnemu zespołowi, który przyczynił się do tego, że możesz trzymać tę książkę w dłoniach.

Pablowi Núñezowi, który wypełnił mój rękopis notatkami na marginesie.

Césarowi i Amalii, którzy pomagają nam w tym, co najważniejsze.

Katuxy, ponieważ stanowi centrum mojej egzystencji; oraz Andrei i Javiemu, którzy gwałtownie popychają mnie w stronę osobistej dojrzałości.

I Tobie, czytelniku, za to, że moje powieści odniosły sukces w czterdziestu krajach, dziękuję i ściskam cię mocno. I prośba o ostatnią przysługę: jeżeli dobrze się bawiłeś przy lekturze, napisz do mnie i opowiedz mi o tym.

juan@juangomezjurado.com

twitter.com/juangomezjurado

Legenda o złodzieju

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

PROLOG W POŁOWIE DROGI MIĘDZY ÉCIJĄ A SEWILLĄ
WRZESIEŃ 1587 ROKU

OD PAŹDZIERNIKA 1588 R. DO MARCA 1589 R.

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

OD KWIETNIA 1589 R. DO SIERPNIA 1590 R.

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

XXXVI

XXXVII

XXXVIII

XXXIX

XL

OD WRZEŚNIA 1590 R. DO KWIETNIA 1591 R.

XLI

XLII

XLIII

XLIV

XLV
XLVI
XLVII
XLVIII
XLIX
L
LI
LII
LIII
LIV

INTERLUDIUM JEDENAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

LV
LVI
LVII
LVIII
LIX
LX
LXI
LXII
LXIII
LXIV
LXV
LXVI
LXVII
LXVIII
LXIX
LXX

EPILOG

OD AUTORA NA TEMAT NIEKTÓRYCH
POSTACI I FAKTÓW HISTORYCZNYCH
„LEGENDY O ZŁODZIEJU”

PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału:
LA LEYENDA DEL LADRÓN

Copyright © Lago Espejo, 2012
Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2014 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Mariusz Kulan
Korekta: Magdalena Światała, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-7508-907-3

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2014



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**